

**LEŚNICY
DLA NIEPODLEGŁEJ**

Tom II



**Regionalna Dyrekcja
Lasów Państwowych w Toruniu**



**Polskie Towarzystwo Leśne
Oddział w Toruniu**

LEŚNICY DLA NIEPODLEGŁEJ

**Tom II
Biografie 24 leśników,
ich rodzin i bliskich**

Pod redakcją
Tadeusza Chrzanowskiego

Toruń 2021

WYDAWCY:

Polskie Towarzystwo Leśne
Oddział w Toruniu

Regionalna Dyrekcja
Lasów Państwowych w Toruniu

WSPÓŁWYDAWCA:

Studio Artystyczno-Reklamowe „Pomorze”
w Bydgoszczy

REDAKCJA:

Tadeusz Chrzanowski

WSPÓŁPRACA KOREKTORSKA:

Maria Szupryczyńska, Dorota Szupryczyńska, Tadeusz Chrzanowski

PROJEKT GRAFICZNY:

Marek Abramowicz

SKŁAD DTP:

Małgorzata Żukowska

ZDJĘCIA NA OKŁADCE:

Strona I - Pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w 1935 r.
z urną zawierającą ziemię pomorską przeznaczoną na kopiec
Józefa Piłsudskiego na Sowińcu w Krakowie
Strona IV - Portrety 24 leśników, których biografie zamieszczono
w niniejszej publikacji

Toruń 2021

ISBN 978-83-88245-73-2

*Leśnikom polskim, ich rodzinom i bliskim,
którzy nie szczędzili sił, zdrowia, pracy i życia
dla Niepodległej Ojczyzny, dla polskich lasów*

SPIS TREŚCI

Bartosz Michał Bazela Przesłanie wciąż aktualne	11
Maria Szupryczyńska Drugi tom publikacji „Leśnicy dla Niepodległej”	12
Tadeusz Chrzanowski Słowo od redaktora	14
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Bolesław Osiński (1871-1948)	16
Władysław Chałupka Dyrektor Feliks Osiński (1899-1982)	28
Krystyna Dymaczewska Inżynier Teodor Sroczyński (1910-1939)	54
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Bolesław Kiszkiel (1899-1939)	68
Krystyna Rząska Nadleśniczy Marian Wilgocki (1896-1939)	80
Tadeusz Chrzanowski Rozmowy z Maciejem Wilgockim, synem nadleśniczego Mariana Wilgockiego	82
Tomasz Ceran Zbrodnia w Rudzkim Moście	94
Tadeusz Chrzanowski Leśnicy zamordowani w Rudzkim Moście	98

Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Sobiesław Mościcki (1900-1940)	100
Tadeusz Chrzanowski Zbrodnia Katyńska	106
Wiesław Maria Grochowski Leśniczy Stefan Lipiński (1894-1943)	108
Tadeusz Chrzanowski Zbrodnia Wołyńska	126
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Norbert Dutkiewicz (1898-1943)	130
Bohdan Piętka Leśnicy w KL Auschwitz w latach 1940-1944	146
Tadeusz Chrzanowski Leśniczy Jan Stetkiewicz (1908-1960)	151
Jadwiga Wilkoń-Michalska, Jerzy Berndt Nadleśniczy Stefan Beer (1880-1944)	154
Dariusz Rząska Przodownik leśny Ignacy Rząska (1904-1945)	162
Marian Przybylski Nadleśniczy Tadeusz Metzig (1876-1949)	178
Adam Hlebowicz Leśniczy Wiaczesław Hlebowicz (1903-1966) i jego bracia	192
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Aleksander Wysiński (1897-1951)	214
Lech Niesłuchowski Inżynier Ryszard Kazimierz Borowy (1904-1977)	234
Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Czesław Łopuski (1882-1967)	240
Tadeusz Chrzanowski Ojciec kochał las. Rozmowa z prof. dr. hab. Janem Łopuskim	244
Małgorzata Latałowa Niesłuchanie dzielni ludzie	252

Tadeusz Chrzanowski Nadleśniczy Lech Babiński (1886-1967) i jego synowie	254
Izabela Koba Inżynier Franciszek Sosnowski (1900-1974) i jego rodzina	266
Tadeusz Chrzanowski Leśniczy Henryk Bolcek (1902-1979)	278
Teresa Januszewska Inspektor Ryszard Sierpiński (1896-1983)	296
Janusz i Henryk Czaińscy Leśniczy Stanisław Czaiński (1895-1985)	310
Piotr Celej Zbrodnia sowieckich deportacji	336
Halina Brzezińska Leśniczy Leonard Karolewski (1908-1982)	340
Andrzej Szafkowski Nadleśniczy Eugeniusz Bicz (1900-1985)	358
Tadeusz Chrzanowski Leśniczy Józef Mazgaj (1926-2014)	368



RZESŁANIE WCIAŻ AKTUALNE

Do rąk Czytelnika oddajemy drugi tom opracowania pt. „Leśnicy dla Niepodległej”. Znalazły się w nim kolejne biografie leśników polskich, których losy są bardzo silnie powiązane z dziejami ojczyzny i narodu. Biografie to niezwykle, oparte w dużej mierze na wspomnieniach bliskich – dzieci, wnuków i innych krewnych, co nadaje im specyficzny klimat ciepła, bliskości i autentyczności.

Tom drugi jest kontynuacją pierwszego, wydanego w 2018 roku. Przyjęta wówczas konwencja opowieści o głównym bohaterze-leśniku, jego rodzinie i bliskich, o losach, często dramatycznych, które niosły ze sobą zabory, wojna i okupacja, ale też o codziennym życiu i pracy ludzi oddanych polskim lasom, sprawdziła się, sądząc po opiniach wyrażanych przez czytelników, i trafia do ich serc i umysłów.

Pierwszy tom opowieści „Leśnicy dla Niepodległej” otrzymał w 2018 roku prestiżowe wyróżnienie Dyrektora Generalnego Lasów Państwowych w konkursie „Nagroda Adama Loreta”, co świadczy o uznaniu dla tego typu działalności wydawniczej przedstawiającej i popularyzującej w społeczeństwie środowisko zawodowe leśników z jego cichym patriotyzmem, poświęceniem i miłością do ojczyzny, narodu i polskich lasów.

Wyrażam podziękowanie wszystkim, którzy przyczynili się do wydania niniejszej publikacji, a przede wszystkim autorom wspomnień, którymi są na ogół członkowie rodzin leśnych, że zechcieli podzielić się historią życia swoich bliskich i własnego. Wyrażam uznanie tym, którzy podjęli się redakcji i opracowania biogramów, dzięki którym możemy nie tylko poznać, ale też w pewnym sensie uczestniczyć w życiu głównych bohaterów, ich wyborach, pracy, trudzie, smutkach i radościach. Pozostaną dla nas, dla naszego pokolenia i kolejnych, przykładem i wzorem do naśladowania.

Zachęcam do zapoznania się z zamieszczonymi w niniejszym tomie historiami. Bo chociaż życie pierwszoplanowych postaci dobiegło końca, to płynące z niego przesłanie – dobra, piękna i prawdy, które ze sobą niesie, pozostaje otwarte i wciąż aktualne.

Bartosz Michał Bazela

Dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

Toruń, w listopadzie 2021 roku



RUGI TOM PUBLIKACJI „LEŚNICY DLA NIEPODLEGŁEJ”

Kolejny, drugi tom publikacji „Leśnicy dla Niepodległej” jest dalszym ciągiem przedsięwzięcia wydawniczego zapoczątkowanego wcześniej tomem pierwszym, wydanym pod tym samym tytułem w 2018 roku. W tomie drugim znajdujemy kolejne biografie leśników polskich, należących do kilku pokoleń. Najstarsi z nich tworzyli polskie lasy państwowe w latach dwudziestych, a niektórzy pracowali w tych samych lasach jeszcze w czasie zaborów, inni podejmowali prace tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i pracowali w nich w latach międzywojennych, a najmłodszy był zatrudniony także w PRL-u. Niektóre życiorysy są krótkie, młodzi leśnicy byli bowiem rozstrzelani przez Niemców już na początku II wojny, zaledwie po paru latach pracy w lasach, inni umierali po wielu latach służby w lasach i po bardzo czynnym i bogatym życiu.

Tom drugi przynosi kolejną porcję lektury, nie tylko niezwykle ciekawej i poruszającej, ale też kształcącej. W indywidualnych losach poszczególnych leśników skupiają się jak w soczewce wszystkie aspekty dramatycznych doświadczeń międzywojennego pokolenia polskiej inteligencji, skazanej przez okupantów na zagładę. Widać wyraźnie, lepiej niż w pracach zawodowych historyków, wszystkie mechanizmy i zabiegi zmierzające do tego celu. Biogramy dają też wyobrażenie o tym, jak byli wychowywani, jak ćwiczyli się w cnotach obywatelskich i jak kształtowali się jako ludzie prawi i odpowiedzialni. To nie przypadek, że najpierw stanęli bez wahania do walki z okupantem, stawiając swoje życie na szali, a później podjęli od podstaw pracę nad wydobyciem kraju ze zniszczeń wojennych.

Wśród prezentowanych w tomie drugim biogramów oprócz takich, które opowiadają o losach indywidualnych poszczególnych leśników i ich rodzin, są też uję-

cia zbiorowe, obejmujące równoległe historie kilku leśników, należących do różnych pokoleń jednej rodziny. Pokazane są cierpienia ich rodzin, pozbawionych ojców, wyzutyk ze wszystkiego i skazanych na poniewierkę. Ze wspomnień wyłania się obraz dzielności i zaradności matek, które samotnie zdobywały się nieraz na heroizm, by w niezwykle trudnych warunkach nie tylko zapewnić swoim dzieciom przetrwanie, ale też zadbać później, już w PRL-u, o ich wykształcenie. Są przykłady matek szczególnie ciężko doświadczonych, np. matka żołnierzy dwóch wojen, nazywana „Ciechanowską Niobe”, ponieważ każda z tych wojen zabrała jej po dwóch synów. Każdy biogram to gotowy scenariusz na pasjonujący film.

Tom ten, podobnie jak poprzedni, mógł powstać tylko dzięki wytrwałej i systematycznej pracy ich Redaktora, Tadeusza Chrzanowskiego, który ma niezwykle talent do znajdowania ostatnich świadków, przeważnie bardzo już starszych osób, potrafi do nich dotrzeć i uruchomić w nich pokłady pamięci. Znajduje dostęp do bezcennych starych dokumentów, chwytą każdy trop i uparcie nim podąża, co daje doskonałe rezultaty. W największym stopniu dotyczy to również materiału ilustracyjnego oraz opracowania graficznego, którego autorem jest artysta grafik Marek Abramowicz ze Studia Pomorze w Bydgoszczy. Liczne zamieszczone w tomie czarno-białe zdjęcia, wszystkie bardzo piękne, starannie dobrane i opracowane, stanowią niezwykle cenną część poszczególnych tekstów i są ich świetnym uzupełnieniem, przy czym same w sobie mają też wartość archiwalną nie do przecenienia.

Maria Szuprzycka

Toruń, w listopadzie 2021 roku

S

ŁOWO OD REDAKTORA

Pierwszy tom publikacji pt. „Leśnicy dla Niepodległej” ukazał się w 2018 roku. Zamieszczono w nim biografie 28 leśników ilustrowane archiwalnymi fotografiami. Publikacja cieszyła się dużym zainteresowaniem nie tylko w środowisku leśników i ich rodzin. Sięgnęli po nią i wciąż sięgają osoby zainteresowane najnowszą historią Polski, wojennymi i powojennymi losami służby leśnej, jak też dziejami konspiracji niepodległościowej.

Leśnicy polscy to grupa społeczeństwa, która poniosła ogromne straty osobowe w latach II wojny światowej, gdyż jako ludzie zawodowo związani z lasem – miejscem tworzenia się i działania zbrojnych grup oporu – z punktu widzenia okupantów stanowili najmniej godne zaufania środowisko społeczeństwa polskiego. Na ziemiach wcielonych do Rzeszy (Pomorze, Wielkopolska) Niemcy już jesienią 1939 roku przeprowadzili akcję eksterminacyjną wymierzoną głównie w polską inteligencję i przywódców, do których zaliczali się m.in. wyżsi funkcjonariusze Służby Leśnej, głównie nadleśniczowie. Ci z nich, którzy nie trafili przed plutony egzekucyjne, w najlepszym wypadku byli wysiedlani na teren Generalnej Guberni. Zaś leśniczowie i gajowi, którzy nie znaleźli się na listach proskrypcyjnych sporządzanych przez niemieckich sąsiadów (do natychmiastowego rozstrzelania), byli degradowani do roli „pomocników leśnych”, gdyż Niemcom brakowało fachowych kadr, i to stwarzało szanse na przeżycie wojny.

Okupant sowiecki był jeszcze bardziej brutalny i bezwzględny. Już z chwilą najeźdu na wschodnie ziemie polskie we wrześniu 1939 roku wyżsi funkcjonariusze leśni (dyrektorzy, inspektorzy leśni, nadleśniczowie) byli rozstrzelani jako „polscy panowie” lub trafiali do więzień, a oficerowie rezerwy zmobilizowani wcześniej do Wojska Polskiego dzielili los jeńców Kozielska, Starobielska czy Ostaszkowa, którzy zostali zgładzeni w zbrodni katyńskiej wiosną 1940. Leśnicy polskich Kresów podobnie jak osadnicy wojskowi z punktu widzenia Rosji bolszewickiej stanowili największe zagrożenie w realizacji planów likwidacji Polski i narodu polskiego. To dlatego pierwsza wielka deportacja Polaków na Syberię, 10 lutego 1940 roku, objęła głównie pracowników leśnictwa i ich rodziny. Wywieziono wówczas na pewną śmierć kilkadziesiąt tysięcy ludzi, po których ślad i pamięć miały na zawsze zagaść. Wielu z nich nie przeżyło, niektórzy nie wrócili do Ojczyzny.

Zasygnalizowane tu okoliczności wojny przewijają się w historiach 24 leśników opisanych w niniejszym drugim tomie publikacji „Leśnicy dla Niepodległej”. Mogły być opisane, gdyż nie powiodły się zbrodnicze plany okupantów unicestwienia narodu. Udało się też dotrzeć do świadków tamtych tragicznych czasów, zdarzeń, przeżyć i ich wspomnień. Często w ostatniej chwili, bo świadkowie II wojny światowej to pokolenie odchodzące, część z autorów wspomnień nie doczekała nawet niniejszej publikacji. Tym większa wdzięczność, że podjęli trud przekazania i pozostawienia nam i przyszłym pokoleniom prawdy, często jakże bolesnej, o losach własnych, rodziny i bliskich.

Podobnie jak w pierwszym tomie „Leśników...” i tutaj zamieściliśmy przede wszystkim biografie nadleśniczych, leśniczych i ich rodzin. Zdecydowana większość to leśnicy zawodowo związani z regionem Pomorza, Wielkopolski i Kujaw, jednak są też wśród nich leśnicy z przedwojennych Kresów, ziem utraconych przez Polskę w wyniku II wojny światowej.

Jak wspomniano wcześniej, leśnicy to jedna z najbardziej eksterminowanych przez okupantów grupa zawodowa społeczeństwa II Rzeczypospolitej. Leśnicy są ofiarami m.in. takich ludobójczych działań jak Zbrodnia Pomorska, Zbrodnia Katyńska, Zbrodnia Wołyńska, zbrodnie sowieckich deportacji czy zbrodnie niemieckich obozów zagłady. Krótkie informacje na ten temat znalazły się na lamach niniejszej publikacji.

Czas wojny na szczęście nie wyczerpuje treści opisanych wspomnień i relacji. Części naszych bohaterów wbrew planom prześladowców było pisane przeżyć mroki prześladowań, represji, dyskryminacji. Przeżyły też ich dzieci, ich przekaz trafia do kolejnych pokoleń, chociaż z trudem i niepełny. Powojenne losy nie były łatwe, tym bardziej że Polska, zdradzona przez aliantów, pozostała na długie lata pod wpływem sowieckiej Rosji. Jest jednak budujące to, że Ci umęczeni i ciężko doświadczeni przez przeciwności losu ludzie powracali do pracy w polskich lasach, odbudowywali życie zawodowe i rodzinne, dalej marzyli o Niepodległej i mają swój niezaprzeczalny wkład w jej odrodzenie.

Tadeusz Chrzanowski

Toruń, w listopadzie 2021 roku



Bolesław Osiński (1871-1948)

Nadleśniczy BOLESŁAW OSIŃSKI

(1871-1948)



Bolesław Osiński pochodził z Wielkopolski. Ukończył pruską szkołę leśną i kilkadziesiąt lat pracował w lasach prywatnych należących do polskich ziemian na terenie Wielkopolski i Galicji. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w okresie międzywojennym, był zarządcą-nadleśniczym w państwowych nadleśnictwach Woziwoda i Szarłata. W tym ostatnim nadleśnictwie zakończył aktywność zawodową jako pierwszy powojenny nadleśniczy w latach 1945-1947.

Bolesław Osiński urodził się 3 stycznia 1871 roku we wsi Tarce w powiecie jarocińskim na terenie Wielkopolski. Jego rodzicami byli: Józef Kalasanty Osiński i Wiktoria Osińska z domu Gummer. W swoim formalnym życiorysie Bolesław Osiński napisał: *Od 7 do 18 roku życia uczęszczałem do szkoły. Od 18 do 20 roku życia odbywałem praktykę leśną w lasach wrzesińskich oraz w lasach hr. Czarneckiego w Krasnolipkach, powiat rawicki.* Bolesław ukończył też pruską szkołę leśną na poziomie średnim, jednak nie zachowały się dokładniejsze informacje na ten temat, poza wiadomością, że naukę opłacał hr. Stanisław Gorzeński, właściciel majątku w Tarcach.

W latach 1891-1893 Bolesław odbył służbę w armii pruskiej. Po zwolnieniu z wojska objął stanowisko prywatnego leśniczego w lasach hr. Ponińskiego w Marzelewie po Wrześnię. 27 maja 1895 roku zawarł związek małżeński z Rozalią z domu Kabza. Ślub cywilny odbył się w Rawiczu. Osińscy mieli później pięcioro dzieci: Zofię Helenę (1896-1958), Feliksa Antoniego (1899-1982) – leśnika, absolwenta Uniwersytetu Poznańskiego, pierwszego dyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie i równocześnie pierwszego dyrektora Lasów Państwowych (do aresztowania przez NKWD 20 listopada 1944 r.), Jana Szczepana (1901-1940), Mieczysława Wawrzyńca (1904-1940) i Marię (1906-2002).

JAK WIEŚĆ GMINNA NIESIE

Hrabia Stanisław Gorzeński właściciel majątku w Tarcach darzył dużym zaufaniem i przyjaźnią Józefa Osińskiego. Obydwaj jednak zmarli dość wcześnie. Ojciec Bolesława, Józef, którego zdrowie silnie nadwyrężył udział w wojnie francusko-pruskiej zmarł już w 1887 roku, a hrabia Gorzeński w 1898. Wtedy właścicielem majątku w Tarcach został jego syn hr. Zbigniew Gorzeński. Ten miał charakter zgoła odmienny od ojca, był zapalonym myśliwym i w młodości nie stronił od wystawnych zabaw, którym na ogół towarzyszyły polowania.



Okolo 1895 r. Bolestaw Osiński i jego żona Rozalia Osińska z domu Kabza



Okolo 1910 r. Od prawej stoi nadleśniczy Bolesław Osiniński i jego żona Rozalia. Pozostałe osoby to właściciel majątku i jego rodzina



Rok 1920. Załoga Nadleśnictwa Woziwoda. Pośrodku stoi nadleśniczy Bolesław Osiniński

W „Ogrodach wspomnień” Robert Pietrzak pisze: *Podczas jednego z wielu polowań dochodzi do sceny brzemiennej w skutki dla Bolesława. Niezadowolony z polowania młody hrabia Zbigniew Gorzeński¹ przy gościach w ostrych, ordynarnych słowach wymyśla Bolesławowi za to, że zorganizował podłe polowanie. Wszyscy goście się śmieją. Cóż na to Bolesław? Podjeżdża konno, bez słowa, do młodego Gorzeńskiego. Patrzy przez chwilę prosto w oczy i nagle ręką uderza go w twarz. Hrabia spada z konia. Wybucho skandal na całą okolicę. Bolesław musi wynosić się z miejsca pracy i zamieszkania. Fama jaka idzie za nim sprawia, że decyduje się opuścić zabór pruski i podjąć pracę na terenie Galicji.*

ZARZĄDCA LASÓW W ODRZYKONIU

Znalezienie pracy w ówczesnej Galicji dla „wygnańca” z zaboru pruskiego nie było specjalnie trudne. Tacy przybysze byli traktowani jako uchodźcy polityczni i nikt nie pytał ich o przyczynę emigracji. Bolesław otrzymał propozycję objęcia stanowiska zarządcy lasów i majątków rolnych dr. Stanisława Starowieyskiego – Bratkówki, Odrzykonია i Ustrobnej pod Krosnem w Małopolsce. Przeprowadził się tam z żoną i dziećmi Zofią i Feliksem, które już były na świecie, bo dalsza trójka: Jan, Mieczysław i Maria rodziła się dopiero w Odrzykoniu. Z dokumentów wynika, że w tym czasie (1904 r.) leśniczy z Odrzykonია, Bolesław Osiński aktywnie działał w Galicyjskim Towarzystwie Leśnym.

POWRÓT DO WIELKOPOLSKI

Tęsknota za rodziną, ale też chyba za Wielkopolską sprawiły, że gdy w 1910 roku pojawiła się propozycja objęcia zarządu nad znanymi Bolesławowi z młodości lasami i majątkiem rolnym hr. Jana Czarneckiego w Wilkowie Polskim koło Śmigła, w powiecie grodziskim na południowy zachód od Poznania, zdecydował się powrócić w rodzinne strony. Tam pracował, ale też wziął udział w Powstaniu Wielkopolskim. W końcu grudnia 1919 roku wraz ze swoim, wówczas 20-letnim synem Feliksem (później leśnikiem), oraz grupą powstańców zdobyli posterunek pruski w Rakoniewicach. Skądinąd wiadomo, że aż 121 mieszkańców niewielkiego Wilkowa uczestniczyło w Powstaniu Wielkopolskim, dlatego pełna nazwa miejscowości Wilkowo Polskie nie jest chyba przypadkiem.

WOZIWODA I SZARŁATA

W swoim życiorysie zawodowym Bolesław Osiński dalej napisał: *Z końcem marca 1920 roku zostałem powołany przez Ministerstwo Byłej Dzielnicy Pruskiej do służby państwowej i równocześnie został mi powierzony zarząd Państwowego Nadleśnictwa Woziwoda w powiecie tucholskim.* W ten sposób Bolesław trafił do lasów nadzorowanych przez Dyрекcję Lasów Państwowych w Toruniu, która w tym czasie funkcjonowała jeszcze (do 1925 r.) w strukturach Pomorskiego Urzędu



Zaloga Nadleśnictwa Szarłata w Borach Tucholskich w 1931 r. Siedzą od lewej: leśniczowie Teofil Warczak i Kazimierz Buszek, nadleśniczy Bolesław Ostiński, sekretarz Jan Madaler, leśniczy Oktawiusz Czajkowski. Stoją od lewej: kasjer Leon Chylewski oraz leśniczowie: Bolesław Łangowski, Oskar Vogt, Roman Żurawka i Władysław Lublik. Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta

Wojewódzkiego w Toruniu. Stanowisko nadleśniczego Nadleśnictwa Woziwoda objął 1 kwietnia 1920 roku i faktycznie to on organizował administrację polską tej jednostki po opuszczeniu terenu przez Niemców.

Po ośmiu latach pracy w Woziwodzie, w październiku 1928 roku został przeniesiony służbowo do niezbyt odległego Nadleśnictwa Szarłata w powiecie świeckim, na równorzędne stanowisko nadleśniczego. Na ten sam 1928 rok datowana jest kapliczka z figurą Matki Bożej z Lourdes posadowiona przy siedzibie Nadleśnictwa Woziwoda, po drugiej stronie drogi. Na cokole wyryte są inicjały B.O.R.O., co oznacza najpewniej fundatorów obiektu: Bolesława Osińskiego i Rozalię Osińską. Jak wieść ludowa i rodzinna niesie kapliczkę Osińscy wzniesli jako wotum wdzięczności Matce Bożej z Lourdes, za pośrednictwem której ich córka odzyskała zdrowie. Kapliczka, od blisko stu lat, wpisuje się w historię nadleśnictwa i pracujących tu ludzi. Kolejne pokolenia leśników dbają o jej dobrostan. W latach 90. ubiegłego wieku, jeden z następców Bolesława Osińskiego, nadleśniczy Zbigniew Grugel zabezpieczył dodatkowo ten obiekt kultu religijnego drewnianym zadaszaniem nawiązującym do lokalnej infrastruktury.

Z wielu fotografii z okresu międzywojennego wykonanych na terenie nadleśnictw Woziwoda i Szarłata wynika, że Bolesław Osiński był osobą towarzyską i często obecną w życiu lokalnej społeczności, nie tylko w relacjach służbowych z podwładnymi.

WOJNA

Pierwsze miesiące wojny i okupacji, od września do grudnia 1939 roku były wyjątkowo tragiczne dla leśników polskich na Pomorzu. Wielu z nich, zwłaszcza zajmujących stanowiska nadleśniczych bądź wyróżniających się w działalności społecznej i patriotycznej, znalazło się na niemieckich listach proskrypcyjnych, Polaków przeznaczonych do eksterminacji. W Płochocinie Niemcy rozstrzelali Witolda Bielowskiego, nadleśniczego Nadleśnictwa Przewodnik, w Górnej Grupie -Mnieszku zamordowali Bronisława Sierosławskiego, nadleśniczego Nadleśnictwa Osie. W Rudzkim Moście koło Tucholi oprawcy z niemieckiej organizacji paramilitarnej Selbstschutz rozstrzelali siedmiu leśników, w tym nadleśniczych – Konstantego Kamińskiego z Woziwody i Mariana Wilgockiego z Sarniej Góry.

Tak Niemcy realizowali plan likwidacji polskich elit: urzędników, księży, nauczycieli, leśników, lokalnych przywódców na terenie Pomorza, gdzie tylko jesienią 1939 roku zamordowali w ponad 400 miejscowościach co najmniej 35 tysięcy ludzi. Nadleśniczego Bolesława Osińskiego gestapo aresztowało w Szarłacie 19 października 1939 roku. Przewieziono go do obozu w Świeciu, skąd po pięciu tygodniach został zwolniony z nakazem natychmiastowego wysiedlenia i utraty własności. Jak sam pisze w życiorysie: *Wraz z żoną zostałem wysiedlony z nadleśnictwa, a własność moja, to jest żywy i martwy inwentarz, krescencje oraz urządzenia domowe zostały przez Niemców skonfiskowane, rzekomo na koszt wojenne.*



Spotkanie rodziny Osińskich w Świdniku ok. 1944 r. W środku siedzą Bolesław i Rozalia Osińscy. W drugim rzędzie, pierwszy od prawej stoi ich syn - Feliks Osiński, ówczesny nadleśniczy Nadleśnictwa Świdnik pod okupacją niemiecką

W końcu listopada 1939 roku Bolesław Osiński wraz z żoną Rozalią docierają do Lasek koło Kępna, gdzie mieszkał jego syn Feliks z rodziną. Feliksa jednak nie było w domu, gdyż zmobilizowany do Wojska Polskiego brał udział w kampanii wrześniowej, odniósł rany i ostatecznie trafił do niemieckiego obozu jenieckiego. Mniej szczęścia mieli pozostali dwaj synowie Bolesława. Major Jan Osiński (ur. 1901 r.), oficer Wojska Polskiego oraz porucznik Mieczysław Osiński (ur. 1904 r.) – lekarz medycyny, przed wojną adiunkt w Klinice Dziecięcej u prof. Jonschera w Poznaniu, po 17 września 1939 roku dostali się do niewoli sowieckiej. Uwięzieni w obozie jenieckim w Starobielsku, zostali zamordowani w „trybie kатыńskim” wiosną 1940 roku w siedzibie NKWD w Charkowie. Spoczywają na Polskim Cmentarzu Wojennym w Charkowie-Piatichatkach. Dramat wojny dotknął też najmłodszą córkę Osińskich, Marię Borzyszkowską, która wraz z mężem Stanisławem Borzyszkowskim, nadleśniczym w Białowieży i dziećmi została wywieziona przez Sowietów 10 lutego 1940 roku w głąb Rosji.

W Laskach Bolesław i Rozalia Osińscy przebywali krótko, gdyż Wielkopolskę, podobnie jak Pomorze – po wcieleniu do III Rzeszy – Niemcy oczyszczali z „żywołu” polskiego. Osińscy przenieśli się do starszej córki Zofii Ornatowskiej do Lublina. Niemcom brakowało wykwalifikowanej kadry leśnej na terenach okupowanych i w Generalnej Guberni, Polacy dobrze znający język niemiecki i posiadający wykształcenie i praktykę w leśnictwie mogli otrzymać posadę w swoim zawodzie. W ten sposób w marcu 1940 roku Bolesław został zarządcą lasów w majątkach powierniczych Żulin i Krasne koło Rejowca w powiecie chełmskim. Tu pracował aż do tzw. wyzwolenia przez Armię Czerwoną. W końcu lipca 1944 roku przeniósł się do Lublina i zgłosił się do organizującej się lubelskiej Dyrekcji Lasów Państwowych. Wśród organizatorów dyrekcji wiodącą rolę odgrywał syn Bolesława, Feliks Osiński (czytaj na stronach: 28-53), absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, który po zwolnieniu z niemieckiego obozu w 1940 roku trafił na Lubelszczyznę i w czasie okupacji niemieckiej był najpierw inspektorem leśnym w Lublinie i Białej Podlaskiej, a później nadleśniczym Nadleśnictwa Świdnik.

WALEC „WYZWOLENIA”

Jak pisze Władysław Chałupka²: *W dniu 1 sierpnia (1944 r. w Lublinie) przy ul. Okopowej odbyło się zebranie 20 leśników, którzy zapisali się na wyłożoną listę. Zebraniu przewodniczył najstarszy pośród obecnych, Bolesław Osiński (ur. 1871 r.), ojciec Feliksa Osińskiego, a protokół wraz ze spisem uczestników sporządził sekretarz Zygmunt Domagała (...) Józef Konderak (w artykule opublikowanym w Lesie Polskim w 1959 r.) pisze, że wybrano wówczas inż. Feliksa Osińskiego dyrektorem Dyrekcji Lasów Państwowych. Wiadomo, że Bolesław Osiński został kierownikiem Wydziału Użytków Ubocznych i Łowiectwa.*

Sytuacja w Lublinie latem i jesienią 1944 roku rozwijała się dla Polski i Polaków bardzo dramatycznie. Pod kontrolą sowieckiego NKWD odbywała się instalacja komunistycznego rządu „polskiego” zależnego całkowicie od Moskwy. Odbywały się liczne aresztowania Polaków związanych z podziemiem, w tym zwłaszcza żołnierzy-oficerów Armii Krajowej. Wielu z nich trafiało do katowni na Lubelskim Zamku. 20 listopada 1944 roku NKWD aresztowało Feliksa Osińskiego, syna Bolesława, i wkrótce trafił on z grupą żołnierzy Armii Krajowej do łagru Borowicze w ZSRR, gdzieś między Leningradem a Moskwą.

POWRÓT DO SZARŁATY

Bolesław Osiński jeszcze kilka miesięcy pracował w lubelskiej dyrekcji, jednak już wczesną wiosną 1945 roku, gdy otrzymał wiadomość, że teren Nadleśnictwa Szarłata i okolice zostały wyzwolone spod okupacji niemieckiej, powrócił na Pomorze na ostatnio zajmowane tu przez niego stanowisko nadleśniczego Nadleśnictwa Szarłata. W pierwszych latach powojennych obszar ten podlegał organizującej się Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Gdańskiego z siedzibą w Sopocie.

Ku wielkiemu zdziwieniu, niemiecki nadleśniczy, który podczas okupacji zajmował jego osadę, uciekając przed frontem, pozostawił mieszkanie w stanie praktycznie nienaruszonym. Zatem Osińscy odzyskali umeblowanie i inne urządzenia domowe i gospodarskie. Mogli w Szarłacie od razu zamieszkać i pracować w nad-



Rozalia i Bolesław Osińscy około 1948 r.

leśnictwie i w gospodarstwie. Wnuk Bolesława, Wojciech Osiński (ur. w 1938 r., syn Feliksa Osińskiego), który w latach 1946-1947 kilkakrotnie odwiedzał dziadków w Szarłacie, tak wspomina tamten czas: *Dziadek Bolesław pomimo ukończenia 74 lat był bardzo żwawym, aktywnym człowiekiem. Sprawnie zorganizował pracę nadleśnictwa i swoje gospodarstwo, którym na co dzień zajmowała się babcia Rozalia przy pomocy najmowanych we wsi robotników. W gospodarstwie były konie, krowy, trzoda chlewna i wielka różnorodność drobiu.*

Dziadkowie to byli bardzo dobrzy, pracowici, skromni ludzie. Bardzo szanowani przez własne dzieci, wnuki, ale również przez pracowników, sąsiadów, mieszkańców okolicy, w której żyli. Poza tym, to co pamiętam, babcia Rozalia to była prawdziwie święta kobieta. Wspierała wszystkich potrzebujących, a takich było wielu w trudnych czasach powojennych. Modliła się też często, właściwie bez przerwy się modliła. Obydwoje dziadkowie byli bardzo pobożni. Zawsze ciepło zwracali się do siebie. O ile pamiętam dziadek nazywał babcie „Rózią”, a babcia zwracała się do niego „Boleś”. To mi, jako niespełna 10-latkowi mocno utkwilo w pamięci – wspomina Pan Wojciech Osiński.

Bolesław Osiński zakończył pracę zawodową na stanowisku nadleśniczego Nadleśnictwa Szarłata i w Lasach Państwowych 31 grudnia 1947 roku. Za trzy dni, 3 stycznia 1948 roku skończył 77 rok życia. Wraz z żoną przenieśli się do córki Zofii Ornatowskiej, która w tym czasie mieszkała w Gdańsku-Oliwie. Bolesław Osiński zmarł 21 sierpnia 1948 roku i został pochowany w grobie rodzinnym w Gdańsku-Oliwie.

Tadeusz Chrzanowski

Zdjęcia: archiwum Rodziny Osińskich

¹ Opisany incydent pokazuje Zbigniewa Gorzeńskiego w dość niekorzystnym świetle. Dodać jednak trzeba, że z czasem ten ziemianin okazał się wielkim polskim patriotą i społecznikiem. Był jednym z dowódców Powstania Wielkopolskiego 1919 r. Pod jego dowództwem powstańcy wyparli Niemców z kilku miejscowości, m.in. z Jarocina. Zbigniew Gorzeński zmarł przedwcześnie w 1920 r. w Tarcach. W 2018 r. w Jarocinie odsłonięto jego pomnik (TaCh).

² Chałupka Władysław, 2015, Inż. Feliks Antoni Osiński i odbudowa struktur polskiego leśnictwa w 1944 roku, Stud. Mater. Ośr. Kult. Leśn. 14, 2015, s. 35-74.



Feliks Osiński (1899-1982)

Dyrektor FELIKS OSIŃSKI

(1899-1982)



Feliks Osiński był synem Bolesława Osińskiego (czytaj na stronach: 16-27), długoletniego nadleśniczego nadleśnictw Woziwoda i Szarłata w Borach Tucholskich. Zanim podjął studia leśne walczył w Powstaniu Wielkopolskim i w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku. Po ukończeniu Wydziału Rolniczo-Leśnego na Uniwersytecie Poznańskim zarządzał lasami kórnickimi hr. Zamoyskiego, a następnie lasami Fundacji „Nauka i Praca”.

Jako żołnierz Wojska Polskiego był ranny w kampanii wrześniowej 1939 roku i trafił do niemieckiego obozu jenieckiego. Po uzyskaniu zwolnienia w 1940 roku trafił na teren Generalnej Guberni, gdzie został nadleśniczym Nadleśnictwa Świdnik. Był żołnierzem Armii Krajowej w stopniu oficerskim. Po wyzwoleniu Lublina spod okupacji niemieckiej przez Armię Czerwoną w lipcu 1944 roku organizował Lubelską Dyрекję Lasów Państwowych i był jej pierwszym dyrektorem. Równocześnie krótko był faktycznym pierwszym dyrektorem rodzącej się Dyrekcji Naczelnej LP. Aresztowany przez sowieckie NKWD 21 listopada 1944 roku trafił do łagru Borowicze w Związku Sowieckim. Skrajnie wycieńczony, wrócił do Polski w marcu 1946 roku. Podjął pracę w Lasach Państwowych. Był kierownikiem tzw. stawów milickich w Dyrekcji LP we Wrocławiu, później inspektorem w Dyrekcji LP w Gdańsku a na ostatnim etapie pracy zawodowej – kierownikiem Leśnego Zakładu Doświadczalnego Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu. Zmarł w 1982 roku i został pochowany w grobowcu rodzinnym w Gdańsku-Oliwie.

Biografię wybitnego i zasłużonego leśnika polskiego Feliksa Osińskiego opracował prof. dr. hab. Władysław Chałupka¹. Za zgodą Profesora publikujemy jej obszernie fragmenty (przypis: Tadeusz Chrzanowski).

17 MAJA 1899 – 26 SIERPNI 1939

Feliks Antoni Osiński urodził się 17 maja 1899 roku w Słomowie, w powiecie wrzesińskim, jako drugie spośród pięciorga dzieci Bolesława i Rozalii z Kabzów Osińskich. Na początku XX wieku rodzina przeniósła się do Galicji, by w 1912 roku wrócić do Wielkopolski i osiąść w Wilkowie Polskim w powiecie śmigielskim, w dobrach Jana Czarneckiego (Skibiński 2014). W 1918 roku Feliks uzyskał maturę w słynnym poznańskim gimnazjum św. Marii Magdaleny i został wcielony do pruskiego wojska (jednostka Landsturmu na poznańskim Dębcu). Zwolniony z wojska



Filomaci z Towarzystwa Tomasza Zana, około 1915 r. Feliks Osiński stoi w górnym rzędzie, drugi od lewej (1)



Mażonkowie Feliks Osinski i Wladyslawa Osinska z domu Siewkowska. Ok. roku 1925



Leśnictwo Bielawy w Nadleśnictwie Kórnickim. Nadleśnictwo Kórnickie obejmowało 7 tys. ha lasu i stanowiło część dóbr majątku Kórnik. Właścicielem majątku był Władysław hrabia Zamoyski. Na zdjęciu od lewej: nadleśniczy Feliks Osiński, zarządca majątku Wincenty Szymborski (ojciec noblistki Wisławy Szymborskiej), prof. Stanisław Sokołowski i Władysław hrabia Zamoyski

Zarząd założonej przez prof. Heliodora Świącieckiego Fundacji „Nauka i Praca” w Laskach, pow. Kępno. Od lewej: Stanisław Burzyński – administrator dóbr rolnych majątku Laski, Cyryl Ratajski – prezydent Poznania, prezes Fundacji oraz Feliks Osiński – administrator dóbr leśnych majątku Laski. Koniec lat 30. XX w.



w listopadzie wrócił do Wilkowa Polskiego. W końcu grudnia uczestniczył wraz z ojcem i innymi powstańcami w zdobyciu posterunku pruskiego w Rakoniewicach, a na początku stycznia zgłosił się do organizowanego 3 Pułku Strzelców Wielkopolskich. Po złożeniu przysięgi w dniu 29 maja 1919 roku w Biedrusku Feliks Osiński odbywał służbę najpierw na wielkopolskim froncie południowym w rejonie Ostrowa Wielkopolskiego, a następnie uczestniczył w wojnie polsko-rosyjskiej – w bitwie nad Berezyną oraz w zdobyciu Bobrujska na przełomie sierpnia i września 1919 roku. Za udział w walkach o granice Rzeczypospolitej – zachodniej i wschodniej, został odznaczony Medalem Niepodległości i Krzyżem Walecznych (Osiński 1981). Po wstrzymaniu działań wojennych przez Piłsudskiego wiosną 1920 roku został skierowany na kurs do podchorążówki w Bydgoszczy, po ukończeniu którego 1 czerwca tegoż roku uzyskał stopień oficerski podporucznika.

Po zakończeniu działań wojennych 1 października 1920 roku został zdemobilizowany na własną prośbę i podjął najpierw studia na Wydziale Prawa, a następnie na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. Polecony przez Antoniego Pacyńskiego, ówczesnego dyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu, latem 1923 roku objął stanowisko nadleśniczego w lasach kórnickich hrabiego Władysława Zamoyskiego (Osiński 1978).

W związku z zamiarem małżeństwa i chęcią poprawy warunków bytowych, z dniem 1 października 1924 roku przeniósł się do Lasek koło Kępna, gdzie zarządzał lasami Fundacji „Nauka i Praca”, założonej przez prof. Heliadora Święcickiego, pierwszego rektora Uniwersytetu Poznańskiego. Zamieszkał w Laskach wraz z poślubioną w październiku małżonką, Władysławą Siewkowską. Tam też urodziło się troje dzieci państwa Osińskich: Krystyna Józefa Teresa, Aleksander Bolesław Feliks i Wojciech Władysław Feliks (Osiński 1981).

W styczniu 1927 roku ukończył studia na Uniwersytecie Poznańskim, uzyskując dyplom nauk leśnych. Pod opieką prof. dr. Ryszarda Biehlera, kierownika Katedry Hodowli Lasu, napisał pracę inżynierską pt. „Lasy majątności Laski, ich stan obecny i wnioski gospodarcze na przyszłość” i 1 czerwca 1928 roku zdał egzamin inżynierski z wynikiem bardzo dobrym. W tymże roku został mianowany na stopień porucznika po odbyciu ćwiczeń oficerów rezerwy w kilku poprzednich latach. Na stanowisku nadleśniczego w Laskach pracował do wybuchu drugiej wojny światowej, pełniąc jednocześnie od 1 stycznia 1936 roku dodatkowe obowiązki pełnomocnika Kuratora Fundacji, którym był wówczas Cyryl Ratajski. Poza pracą w Fundacji pełnił wiele funkcji społecznych, m.in. był członkiem Rady Gminnej, Sejmiku Powiatowego w Kępnie i Sejmiku Wojewódzkiego w Poznaniu, a ponadto prezesem Powiatowego Koła Leśników w Kępnie oraz Kółka Rolniczego. Nie należał do żadnego stronnictwa politycznego i odmówił kandydowania w wyborach do sejmu, ponieważ wiązało się to z koniecznością wstąpienia do Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (Osiński 1981, Krawiarz 2013).



Rodzina Osińskich w majątku Łaski, powiat Kępno, latem 1939 r. Od lewej stoi Bolesław Osiński, siedzi jego żona Rozalia Osińska; za nią stoi Władysław Osińska z synem Wojciechem na rękach. Pośrodku stoi chłopiec-Aleksander Osiński, za nim siostra Krystyna; za ich plecami stoi Jadwiga Siewkowska. Po prawej siedzi Józefa Siewkowska, stoi Feliks Osiński

WYBUCH WOJNY I NIEWOLA: 30 SIERPNIĄ 1939 – 3 GRUDNIA 1940

Wobec zbliżającej się wojny Feliks Osiński zgłosił się 30 sierpnia 1939 roku z kartą mobilizacyjną w miejscu przydziału – Składnicy Uzbrojenia w Gańkówku koło Łodzi. Na skutek ran odniesionych 9 września 1939 roku podczas ewakuacji składnicy został zwolniony ze służby wojskowej. Dotarł najpierw do Warszawy i Lublina, a następnie do Łucka, gdzie dzięki interwencji żołnierzy sowieckich uniknął rozstrzelania przez bandę ukraińską (Osiński 1981). Zaopatrzony w cywilne ubranie i przepustkę wydaną przez sowieckie władze wojskowe udał się do Lwowa, skąd podjął nieudaną próbę przejścia do niemieckiej strefy okupacyjnej. Przedostał się następnie do Rzeszowa, a później do Przemyśla, gdzie w ramach niemiecko-sowieckiego porozumienia o wymianie żołnierzy 4 listopada 1939 roku został przez Rosjan przekazany Niemcom. Aresztowany przez nich trafił do obozu jenieckiego Altengrabow koło Magdeburga – Stalag XI A. Pobyt w tym obozie miał charakter przejściowy i 15 listopada Feliks Osiński został umieszczony w Oflagu XI B Braunschweig, a następnie w styczniu 1940 roku w Oflagu II C Woldenberg. W obozie włączył się w działalność szkoleniową, ucząc kolegów języka niemieckiego (Osiński 1981, Skowronek 2004).

Na skutek starań żony i przychylniej opinii znajomego Niemca Kerstena (przed wojną właściciela majątku Siemionka nieopodal Lasek, a w czasie okupacji niemieckiej komisarycznego zarządcy majątku Fundacji w Laskach) 3 grudnia 1940 roku został zwolniony z oflagu z nakazem udania się do miejsca dawnego zamieszkania. Po powrocie do Lasek, powiadomiony przez Kerstena o groźbie aresztowania, uzyskał za jego pośrednictwem nakaz wysiedlenia do Generalnej Guberni i po kilku dniach od przyjazdu do Lasek udało mu się wyjechać wraz z rodziną do Lublina (Osiński 1981).

W GENERALNYM GUBERNATORSTWIE: GRUDZIEŃ 1940 – 25 LIPCA 1944

W Lublinie rodzina znalazła schronienie w mieszkaniu siostry Feliksa Zofii Ornatowskiej, u której już wcześniej zamieszkali także rodzice – Bolesław i Rozalia, wysiedleni z Pomorza. Nieznany był los pozostałego rodzeństwa Feliksa i Zofii – kapitana Jana Szczepana, podporucznika lekarza Mieczysława Wawrzyńca oraz siostry Marii, żony przedwojennego nadleśniczego z Białowieży Stanisława Borzyszkowskiego. Później okazało się, że obaj bracia dostali się w 1939 roku do niewoli sowieckiej, osadzono ich w obozie w Starobielsku i zamordowano w Charkowie (Tucholski i in. 2003), a siostra z mężem i dziećmi została wywieziona 10 lutego 1940 roku w głąb Rosji (Osiński 1981).

W Lublinie Feliks Osiński spotkał znajomych leśników, kolegów ze studiów na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego, którzy wcześniej znaleźli się w Generalnej Guberni. Byli to m.in.: Alojzy Cysewski (po wojnie drugi dyrektor poznańskiej dyrekcji Lasów Państwowych), inż. Włodzimierz Fełenczak,



Nadleśniczy Feliks Osiński w swoim gabinecie w Nadleśnictwie Świdnik podczas okupacji. Rok 1944

inż. Jan Rosochowicz oraz inż. Zbigniew Wierzejewski. Po przesiedleniu na Lubelszczyznę podjęli oni pracę w niemieckiej administracji leśnej na różnych stanowiskach. Za namową A. Cysewskiego Feliks Osiński zgłosił się w niemieckim urzędzie leśnym w Lublinie (Abteilung Forsten) i na początku 1941 roku otrzymał zatrudnienie, najpierw w inspekcji leśnej w Lublinie, a następnie w inspekcji w Białej Podlaskiej, gdzie spotkał Mieczysława Paula i Józefa Sklenerskiego, kolejnych kolegów ze studiów w Poznaniu (Osiński 1981).

W kwietniu 1942 roku Feliks Osiński objął stanowisko adiunkta w Nadleśnictwie Świdnik, a zaraz potem stanowisko nadleśniczego po przejściu na emeryturę inż. Wacława Morawskiego. Praca w administracji leśnej w tym czasie nie była łatwa, bowiem z jednej strony trzeba było respektować zarządzenia niemieckich władz okupacyjnych, a z drugiej strony wspierać działania polskich oddziałów partyzanckich.

Wiosną 1942 roku Feliks Osiński został zaprzysiężony i rozpoczął działalność w strukturach Armii Krajowej, współpracując ściśle z oddziałem ppor. Wojciecha Rokickiego ps. Nerwa (Zawadzki 1999). Dzięki swemu miejscu pracy i dostępowi do różnych informacji dostarczał wywiadowi Armii Krajowej cennych informacji, m.in. o działalności niemieckiego lotniska w Świdniku (Osiński 1981). Korzystał także szeroko z uprawnień nadleśnictw w Generalnej Guberni do wystawiania zaświadczeń o pracy, chroniąc w ten sposób wiele osób przed wywózką na roboty przymusowe do Rzeszy. Udało mu się m.in. sprowadzić z Kraju Warty (Wartegau) do pracy w lesie szwagierkę Janinę Siewkowską oraz zatrudnić księdza Franciszka Nowackiego, wikariusza z Lasek, który po ucieczce z aresztu Gestapo w Poznaniu przedostał się do Generalnej Guberni i był tajnym kapelanem w AK na Lubelszczyźnie (Wielkopolskie Towarzystwo Genealogiczne „Gniazdo”). Na przewidywany maksymalny stan zatrudnienia w Nadleśnictwie Świdnik, wynoszący 100 osób, Feliks Osiński zatrudnił ponad 300 osób na stanowiskach robotników stałych z kartą pracy (Jenke 1967). Na tej liście znajdowali się m.in. studentka polonistyki Anna Kamieńska, później wybitna poetka (przerabiała program szkoły średniej ze starszymi dziećmi Feliksostwa Osińskich), Krystyna Kamieńska – po wojnie aktorka Teatru Narodowego w Warszawie czy Saturnin Zawadzki, wybitny uczony, profesor nauk rolniczych na Uniwersytecie Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie i członek Polskiej Akademii Nauk.

Osobista odwaga, znakomita znajomość języka niemieckiego i zdolność opamiętania emocji pozwalała Feliksowi Osińskiemu wielokrotnie – z narażeniem własnego życia – na uratowanie dziesiątków osób przed aresztowaniem, a także na szczęśliwe wyjście z wielu sytuacji osobistego zagrożenia (Osiński 1981). Z drugiej strony jawna działalność Feliksa Osińskiego i wielu innych leśników z Poznańskiego, którzy po wysiedleniu z Kraju Warty znaleźli zatrudnienie na różnych stanowiskach w leśnej administracji niemieckiej w Generalnej Guberni, nie zawsze spotykała się ze zrozumieniem miejscowej ludności. Konieczne



Nadleśnictwo Świdnik. Feliks Osipiński (pierwszy z prawej) w towarzystwie swoich współpracowników. Około 1944 r.



Feliks i Władysława Osińscy z dziećmi: z lewej – syn Aleksander, z prawej – córka Krystyna, a w środku – najmłodszy syn Wojciech. Rok 1944

kontakty z Niemcami i dobra znajomość języka niemieckiego wywoływały niekiedy posądzenia o współpracę z władzami okupacyjnymi, co przy oczywistym tajnym charakterze działalności konspiracyjnej także bywało źródłem wielu, czasem dramatycznych nieporozumień i konfliktów (Osiński 1981).

Wraz ze zbliżaniem się frontu na początku maja 1944 roku sowieckie samoloty rozpoczęły codzienne nękające bombardowania rejonów Świdnika i Lublina. Na początku lipca pracownicy Nadleśnictwa Świdnik zignorowali niemiecki rozkaz ewakuacji do Włoszczowej i pozostali na miejscu, ukrywając się wraz z rodzinami w lesie do czasu spotkania pierwszego oddziału Armii Czerwonej, co miało miejsce 21 lipca (Osiński 1981).

W LUBLINIE: 26-31 LIPCA 1944

W dniach 25-31 lipca 1944 roku, bezpośrednio po wkroczeniu do Lublina jednostek Armii Czerwonej i oddziałów Armii Krajowej, przebywający w mieście leśnicy – Zygmunt Domagała, Zygmunt Woźniak i Stanisław Stańczak zabezpieczyli sprzęty i urządzenia biurowe oraz rozpoczęli inwentaryzację wyposażenia dawnego niemieckiego urzędu leśnego przy ul. Okopowej 7. Na gmachu wywiesili tablicę informującą, że budynek i wszystko, co się w nim znajduje, jest własnością państwową (Domagała 1959).

W czasie walk o Lublin w mieście przebywał także Józef Konderak, przed wojną prowizoryczny leśniczy biurowy w Nadleśnictwie Kowel, który 29 lipca uzyskał w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, działającej z mandatu Krajowej Rady Narodowej, tymczasowe upoważnienie *do zorganizowania administracji i przeprowadzenia inwentaryzacji Dyrekcji i Nadleśnictw w Okręgu Lubelskim*. Tymczasem w gmachu przy ul. Okopowej 7 pojawiało się coraz więcej leśników poszukujących pracy, którzy wpisywali się na wyłożoną listę (Konderak 1959). W Lublinie znalazł się również Feliks Osiński wraz z Edwardem Zawadzkiem, sekretarzem nadleśnictwa Świdnik i leśniczym Bolesławem Lisickim. Przybyli oni do Lublina 26 lipca pieszo z Krzczonowa, gdzie schronili się wraz z innymi pracownikami Nadleśnictwa Świdnik przed ewakuacją zarządzoną przez Niemców (Zawadzki 1959).

NA CZELE DYREKCJI LASÓW PAŃSTWOWYCH W LUBLINIE: SIERPIEŃ 1944

W dniu 1 sierpnia w gmachu przy ul. Okopowej odbyło się zebranie 20 leśników, którzy zapisali się na wyłożoną listę. Zebraniu przewodniczył najstarszy spośród obecnych, Bolesław Osiński, ojciec Feliksa, a protokół wraz ze spisem uczestników sporządził sekretarz Zygmunt Domagała, który opublikował ten dokument w swoich wspomnieniach (Domagała 1959).

Konderak (1959) pisze, że wybrano wówczas inż. Feliksa Osińskiego *dyrektorem (kierownikiem) Dyrekcji Lasów Państwowych*, a inż. Wilhelm Kokoszyński został jego zastępcą i kierownikiem działu organizacji i inspekcji. Według wspo-

mnianego wyżej protokołu uczestnicy spotkania wybrali obu inżynierów delegatami grupy do *działania wobec Rady Narodowej*. Późniejszy tok wydarzeń wskazuje, że chodziło o Krajową Radę Narodową i jej organ wykonawczy – PKWN. Jeden z uczestników owego zebrania tak je wspominał:

Dzień 1 sierpnia 1944 roku stał się datą historyczną dla polskiego leśnictwa. Od tej chwili rozpoczęła swą oficjalną działalność Dyrekcja Lasów Państwowych w Lublinie. W pamiętnym dniu 1 sierpnia 1944 roku przystąpiliśmy do systematycznego organizowania jednostek terenowych na terenie woj. lubelskiego – nadleśnictw i leśnictw, które sukcesywnie przystępowały do swoich zadań. W początkowej fazie organizacji zarówno Dyrekcji LP, jak i terenowych jednostek stanowiska kierownicze były obsadzane przez pełnokwalifikowany personel. Schemat organizacyjny w administracji lasów państwowych oparto na przepisach obowiązujących do 1939 roku. Przepisy te, instrukcje, wzory księgowości i dokumentacji oraz cenniki na drewno przywoziłem z Nadleśnictwa Świdnik, gdzie przechowywałem je przez okres okupacji (Zawadzki 1959).

Oddolne zapoczątkowanie odtwarzania struktur polskiego leśnictwa na terenach na zachód od Bugu podkreślają także autorzy opracowań historycznych. Według Świądery (1967): *Odtwarzanie administracji leśnej na terenach wyzwolonych w lipcu 1944 roku zostało zapoczątkowane z inicjatywy samych leśników...* Podobnie określił ówczesny stan rzeczy Kamiński (1988), pisząc: *Tworzenie form administracyjnych państwowej gospodarki leśnej odbywało się w znacznym stopniu spontanicznie i żywiołowo.*

ROZTERKI I WAHANIA

Objęcie stanowiska dyrektora Dyrekcji Lubelskiej, powierzonego z wyboru przez środowisko leśników, nie było dla Feliksa Osińskiego łatwą decyzją. Prof. dr hab. Saturnin Zawadzki (syn Edwarda Zawadzkiego, kierownika ówczesnego Biura Personalnego Dyrekcji Lasów), zakonspirowany żołnierz AK (ps. Jan, Bąk) w oddziale ppor. Wojciecha Rokickiego (ps. Nerwa), a jednocześnie zatrudniony przez Feliksa Osińskiego jako praktykant techniczno-leśny w Dyrekcji Lasów, tak opisuje ten czas w swoich wspomnieniach:

Pamiętam rozmowy z ojcem oraz inż. Osińskim na temat roli, jaką powierzyli leśnicy panu Osińskiemu. Pamiętam jego rozterki wynikające z ogromnej odpowiedzialności, jaka na nim zaciężała. Warto wiedzieć, iż inż. F. Osiński był oficerem w strukturze Armii Krajowej i z jego osobą były wiązane jakieś plany przez Delegaturę Rządu Londyńskiego. Wspomniał mi o tym kiedyś po wojnie jego przyjaciel z okresu przedwojennego, inż. Zwoliński, późniejszy profesor Politechniki Częstochowskiej, który wciągnął pana Osińskiego do AK. Warto również przypomnieć, że w tych właśnie dniach premier rządu londyńskiego, Stanisław Mikołajczyk, prowadził w Moskwie rozmowy z Józefem Stalinem. Mielśmy nadzieję, w swojej

niestety ogromnej naiwności, że osiągną oni jakiś kompromis. Stąd zrozumiała rozterka inż. Osińskiego, czy powinien w rozmowach z PKWN przyjąć ewentualne obowiązki dyrektora lasów, czy podejmowane przez niego decyzje będą następnie akceptowane przez przyszły rząd (ciągle mieliśmy nadzieję) pod kierunkiem premiera Mikołajczyka. Zarówno inż. Osiński, jak też mój ojciec, który również związany był z AK, chcieli obaj mieć pewność, że nie spotka ich zarzut złamania złożonej przysięgi na wierność legalnej władzy, za którą oczywiście traktowaliśmy rząd i dowództwo wojskowe w Londynie (Zawadzki 1999).

Sprawa wierności przysiędze stała się przedmiotem rozmowy Feliksa Osińskiego i Edwarda Zawadzkiego podczas konspiracyjnego spotkania z kapitanem Stefanem Dębickim (ps. Kmicic), komendantem Okręgu AK Lublin-Miasto oraz majorem Marianem Bernaciakiem (ps. Orlik), komendantem Kedywu Podobwodu „A” (Dęblin-Ryki) w Obwodzie AK Puławy, później dowódcą OP I/15 AK. Spotkanie to dla obu leśników *miało wymiar moralny, dawało wewnętrzny spokój* (Zawadzki 1999).

PRACA ORGANIZACYJNA

Kilka dni po wyborze (1 sierpnia 1944 r.), obaj delegaci – Feliks Osiński i Wilhelm Kokoszyński wraz z Edwardem Zawadzkiem udali się do siedziby PKWN. Pod nieobecność Edwarda Osóbki-Morawskiego, przewodniczącego PKWN i Andrzeja Witosa, kierownika Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych, przyjął ich Stanisław Kotek-Agroszewski, kierownik Resortu Administracji Publicznej. Leśnicy złożyli na jego ręce oświadczenie o gotowości do podjęcia pracy, a przyjęcie tego oświadczenia do wiadomości było formalnym uznaniem rozpoczęcia działalności dyrekcji lubelskiej. Na propozycję delegacji leśników Stanisław Kotek-Agroszewski nakazał wydrukować obwieszczenie wzywające leśników w terenie do powrotu na swoje stanowiska pracy, a ludność do poszanowania lasów (Osiński 1959). W czasie tej wizyty doszło do spotkania z dr. Kazimierzem Bulandą, filozofem i przedwojennym komunistą, który oświadczył leśnikom, że z ramienia Centralnego Komitetu Polskiej Partii Robotniczej będzie nadzorował tworzącą się Dyрекcję Naczelną (Osiński 1959). Fakt ten potwierdza także Świąder (1967), pisząc: *pewnego rodzaju opiekę nad Dyрекcją z ramienia PPR i WRN już od pierwszych dni sierpnia 1944 roku sprawował Kazimierza Bulanda*. Sugeruje to, że nowe władze przyglądały się uważnie Feliksowi Osińskiemu i zbierały informacje o środowisku skupionych wokół niego leśników.

W kilka dni później Feliks Osiński został wezwany przez Andrzeja Witosa, który wręczył mu nominację na stanowisko dyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie z ważnością od 1 sierpnia 1944 roku (Więcko 1968). W trakcie rozmowy Witos zaakceptował koncepcję Osińskiego, który postulował zorganizowanie w pierwszym etapie struktur Dyrekcji Lasów w Lublinie z jednoczesnym pełnieniem

przez nią funkcji Dyrekcji Naczelnej. Na podstawie tych uzgodnień dyrektor Lasów Państwowych w Lublinie występował także zastępczo w charakterze naczelnego dyrektora Lasów Państwowych (Więcko 1968). Sam Osiński (1959) tak pisał o tym okresie: *Dyrekcja Lubelska spełniała zatem podwójną rolę. Z jednej strony organizowała normalną pracę na swoim terenie, obsadzając nadleśnictwa i tartaki, ujmując w ewidencję zapasy drewna i sprzęt pozostawiony przez okupanta, ustalając płace dla robotników leśnych itp. W drugiej zaś swej funkcji – występowała na zewnątrz w zastępstwie nieistniejącej jeszcze Naczelnej Dyrekcji, zajmowała stanowisko nadzędne, wykraczające poza normalne ramy dyrekcji okręgowej. [...] Ustalano zatem w Dyrekcji Lubelskiej granice innych dyrekcji, pracowano przy opracowaniu dekretów o znaczeniu ogólnokrajowym, przejmowano tartaki itp. Pamiętam, że miałem wówczas zaszczyt przyjmowania w charakterze reprezentanta administracji lasów państwowych delegacji leśników z Białegostoku z kol. Edwardem Więcko i delegacji z Rzeszowa z kol. Pohlem na czele. Przybywające w ciągu sierpnia i września delegacje z nowo powstających dyrekcji okręgowych składały w Lublinie sprawozdania z osiągnięć organizacyjnych i otrzymywały odpowiednie instrukcje* (Osiński 1981).

Podwójny charakter działania i kompetencji Dyrekcji Lubelskiej znajdują potwierdzenie we wspomnieniach bliskiego współpracownika Feliksa Osińskiego: *Lubelska Dyrekcja LP była równocześnie ośrodkiem organizacyjnym Dyrekcji Naczelnej LP i spełniała czasowo rolę macierzystej bazy organizujących się jednostek administracji lasów państwowych na innych terenach. Dyrekcja ta zasilala w materiał ludzki młodsze swoje siostrzyce oraz administrowała nadleśnictwami podwarszawskimi (np. Radość, Ryki), nadleśnictwami przyczółku sandomierskiego (Sandomierz, Staszów, Łagów i inne)* (Zawadzki 1959).

Stan taki utrzymał się około dwóch miesięcy (Więcko 1968) i był to okres bardzo aktywnej pracy powstających oddolnie struktur administracji leśnej, którą zaczęto odtwarzać według stanu prawnego i przepisów sprzed wojny. Dyrekcja dysponowała zestawem tych przepisów, różnych instrukcji i wzorów dokumentów, które przechowano przez lata okupacji niemieckiej w Nadleśnictwie Świdnik (Zawadzki 1959). Już na początku sierpnia wysłano w teren zarządzenie o ogólnej inwentaryzacji majątku leśnego pozostawionego przez Niemców, a Biuro Organizacji i Inspekcji kierowane przez inż. Wilhelma Kokoszyńskiego opracowało projekt cennika, zatwierdzony 8 sierpnia przez PKWN (Domagała 1959).

Do zespołu współpracowników Feliksa Osińskiego w tym ważnym okresie należeli m.in.: W. Kokoszyński, M. Niezabitowski, Z. Wierzejewski, A. Czarnowski, E. Zawadzki, Z. Domagała, L. Kłosiński, Wł. Fełenczak, A. Patyra i T. Rykowski (Więcko 1968). Rykowski (1959) wymieniał jeszcze innych współpracowników dyrektora Osińskiego, a wśród nich m.in. Józefa Konderaka i Bolesława Osińskiego, podkreślając ich wkład pracy w organizację biur i oddziałów dyrekcji. Wysoko ocenił także ówczesną aktywność organizacyjną Feliksa Osińskiego, kierującego

obu dyrekcjami, podkreślając jego walory osobowe, dzięki którym *okazał w tym pierwszym okresie dużo energii i umiejętności w obcowaniu z ludźmi, co mu jednało sympatię wśród leśników.*

KU FORMALNEMU UTWORZENIU NACZELNEJ DYREKCJI LP: KONIEC SIERPNI – 23 PAŹDZIERNIKA 1944

Formalne wyodrębnienie nadrzędnej struktury w postaci Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych stawało się coraz wyraźniejszą koniecznością. Domagała (1959) podkreślał, że *powołanie Naczelnej Dyrekcji jest konieczne, gdyż pozostawianie w ramach Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych nie zabezpieczało dostatecznie praw leśników, ani też nie odpowiadało wzmożonym zadaniom leśnictwa.*

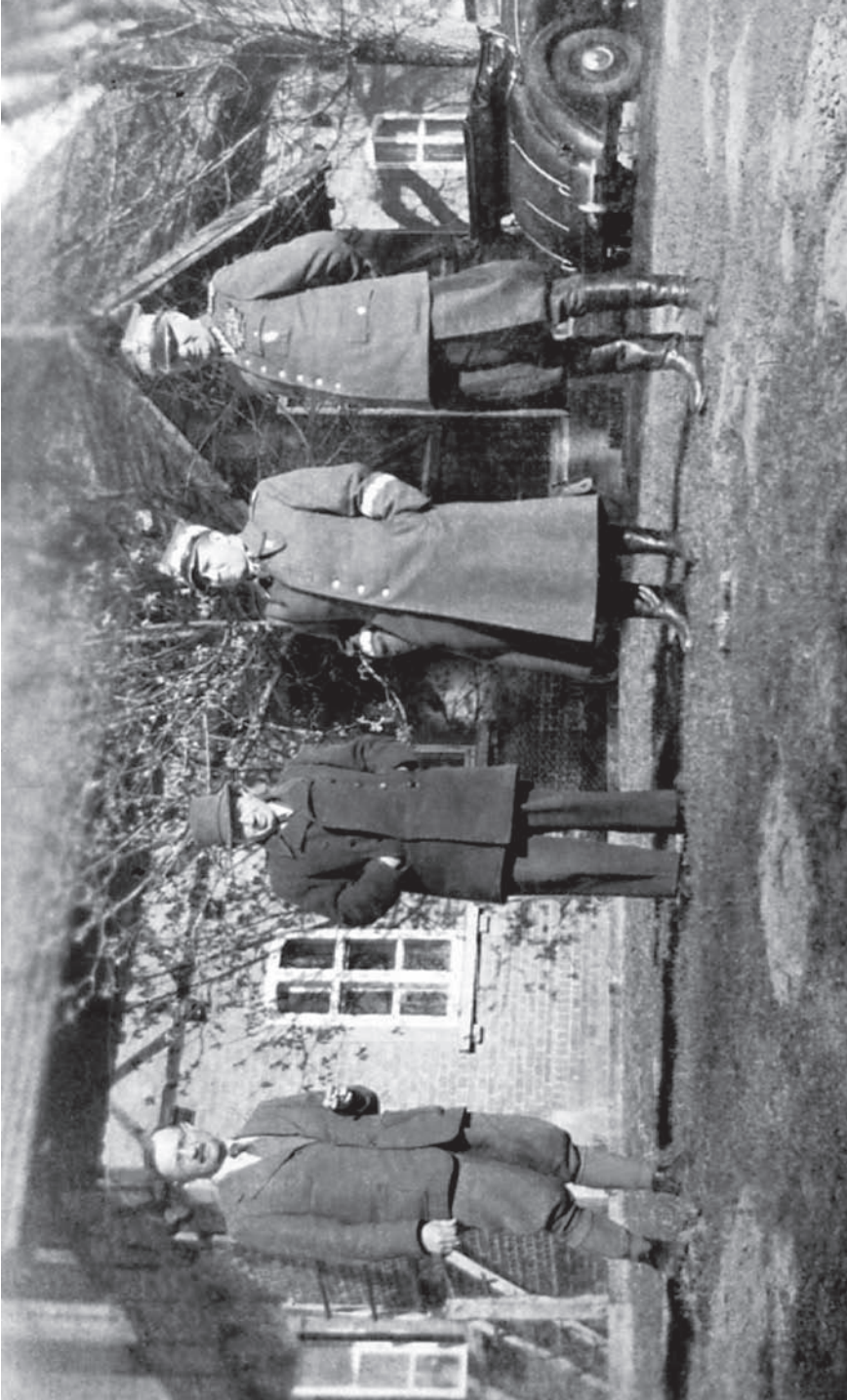
W podobnym tonie wspomina ten okres Konderak (1959), według którego już w końcu sierpnia 1944 roku odczuwało się, z natury rzeczy, brak zwierzchniej instancji, przeto zespół pracowników Dyrekcji LP postanowił na ogólnym zebraniu wyłonić taką instancję w postaci Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych i większością głosów wybrał pierwszym dyrektorem naczelnym (tymczasowym kierownikiem) inż. Feliksa Osińskiego. Ten ponowny oddolny wybór Feliksa Osińskiego wymagał jednak formalnego potwierdzenia przez organ władzy wyższy niż kierownik Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych. Z inicjatywy Andrzeja Witosa doszło więc do osobistego spotkania Feliksa Osińskiego z Edwardem Osóbką-Morawskim. Przewodniczący PKWN chciał dowiedzieć się o stanie spraw związanych z organizacją administracji lasów państwowych oraz poznać osobiście wysuniętego przez leśników kandydata na naczelnego dyrektora. Spotkanie to odbyło się w gabinecie Osóbki-Morawskiego około połowy września 1944 roku. Warto przytoczyć początkowy fragment tej rozmowy w relacji Feliksa Osińskiego (1981):

Osóbka Morawski: *Chciałbym Obywatela poznać osobiście, a także Wasze nastawienie polityczne, gdyż jako naczelnny dyrektor lasów państwowych wchodzilibyście w skład rządu.*

Ja: *Zostałem na zebraniu leśników wytypowany do organizowania administracji lasów państwowych i od 1.08.1944 roku na podstawie nominacji otrzymanej od Ministra Andrzeja Witosa pełnię obowiązki dyrektora lasów [dyrekcji] okręgu lubelskiego, która w pierwszym okresie reprezentuje również naczelną dyrekcję dla terenów już oswobodzonych.*

Osóbka Morawski: *Słyszałem, że leśnicy już się organizują. Chciałbym się dowiedzieć o nastrojach panujących wśród leśników, postępie ich pracy w lasach, poznać także Wasze nastawienie polityczne, a także opinię Waszą i środowiska odnośnie do ogłoszonego Manifestu Lipcowego.*

W dalszym toku rozmowy Feliks Osiński zadeklarował poparcie dla postanowień Manifestu, szczególnie tych odnoszących się do parcelacji majątków oraz zapowiedzianego upaństwowienia lasów, co umożliwiłoby ich racjonalne zagospodarowanie.



Na zdjęciu od lewej: dyrektor Lasów Państwowych Feliks Osiniński, NN, przyszły marszałek Polski Rola-Zymierski oraz generał Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego Stanisław Popławski. Spotkanie miało miejsce niedługo przed aresztowaniem i wywózką Feliksa Osinińskiego na Sybir. Wrzesień lub październik 1944 r.

Poruszył temat wojennej dewastacji lasów oraz sprawę bardzo znacznych strat osobowych wśród leśników, którzy zginęli z rąk niemieckich. Równocześnie przedłożył swemu rozmówcy listę leśników aresztowanych przez NKWD, głównie z powodu ich przynależności do Armii Krajowej i prosił o interwencję u władz radzieckich w sprawie ich uwolnienia.

Odpowiadając na zarzuty Osóbki-Morawskiego o zbrojnych wystąpieniach Armii Krajowej przeciwko nowym władzom, Feliks Osiński odrzekł: *Jeżeli chodzi o znanych mi zaaresztowanych leśników to wiem, że chcieli lojalnie tak jak i ja współpracować z obecnym PKWN. Zostali jednak zaaresztowani przez władze radzieckie bez wysondowania o nich opinii od przełożonych względnie od władz polskich. Dochodzi do tego, że aresztuje i wywozi się z kraju Obywateli Polskich bez Waszej wiedzy i zgody jako Premiera. Takie i podobne postępowanie wojsk radzieckich np. samowolny wyręb lasu, rozmontowywanie i wywóz maszyn tartacznych nie sprzyja wytworzeniu się wzajemnej harmonijnej współpracy cywilnych władz polskich z wojskiem radzieckim, a co za tym idzie nie doprowadza do przyjacielskich stosunków polsko-radzieckich.*

Na stwierdzenie Osóbki-Morawskiego: *Dużo żądacie!*, Feliks Osiński odpowiedział: *Może istotnie za dużo, ale poczuwam się do obowiązku ingerowania i będę to zawsze robił w obronie mnie podległych leśników w wypadku, gdyż jestem przekonany, że są w porządku jako obywatele naszego kraju, dobrzy pracownicy lasu i uczciwi Polacy. Za dużo ich zginęło, a bardzo są potrzebni* (Osiński 1981).

Rozmowa nie przyniosła spodziewanego rezultatu, a Andrzej Witos powiadomiony przez Feliksa Osińskiego o jej przebiegu uznał, że konsekwencją tego spotkania będzie narzucenie leśnikom kandydatury na dyrektora naczelnego z której nie będziecie zadowoleni (Osiński 1981). Wypowiedź Witosy sugeruje, że władze miały już w tym czasie swego kandydata na to stanowisko.

Dla lepszego zrozumienia dalszych wydarzeń należy w tym miejscu naświetlić pogarszającą się wówczas gwałtownie pozycję polityczną Andrzeja Witosy, który tak pisze w swoich wspomnieniach:

Tymczasem moje stosunki z PPR stawały się coraz gorsze. Każde moje zarządzenie jako kierownika Resortu Rolnictwa było przez KRN kontrolowane i oceniane niewłaściwie. Na przykład mianowanie inżyniera Osińskiego, wybitnego fachowca leśnika dyrektorem Lasów Państwowych było komentowane jako sabotaż, gdyż Osiński w ich oczach uchodził za reakcjonistę (Witos 1998).

Taka opinia panująca w kręgach władzy „ludowej” o „reakcjonistę” Feliksie Osińskim z pewnością wynikała także z faktu zatrudniania przez niego wielu żołnierzy Armii Krajowej, wśród których byli m.in. cichociemny Czesław Rossiński (ps. Jemioła) i Waław Zandfos (ps. Huba) (Zawadzki 1999).

Już po rozmowie Feliksa Osińskiego z Osóbką-Morawskim 4 października odbyło się posiedzenie PKWN, w którym uczestniczył Bolesław Bierut, przewodni-

czący Krajowej Rady Narodowej. Zaatakował ostro Andrzeja Witosa, oskarżając go o popieranie reakcji. Według Bieruta dowodem na to była nominacja Osińskiego na dyrektora Lasów Państwowych i związane z tym świadome hamowanie realizacji dekretu o reformie rolnej (Witos 1998). Atak Bieruta oznaczał kres kariery politycznej Andrzeja Witosa jako kierownika Resortu Rolnictwa i Reform Rolnych. Nie przyjął on zaproponowanego mu przez Osóbkę-Morawskiego stanowiska Dyrektora Naczelnego Lasów Państwowych i 7 października 1944 roku (oficjalne pismo datowano na 9 października) został zdymisjonowany *za dobór ludzi do urzędów ziemskich i częściowo na administratorów folwarków spośród starej, wrogiej reformie rolnej klasy społecznej oraz wyraźną tendencją resortu do pomijania lub pomniejszania roli kontroli czynnika społecznego* (Witos 1998).

W takich okolicznościach przestała oczywiście istnieć jakakolwiek szansa na formalne (de iure) objęcie stanowiska Dyrektora Naczelnego Lasów Państwowych przez Feliksa Osińskiego.

MIANOWANIE NACZELNEGO DYREKTORA LASÓW PAŃSTWOWYCH

Nieco ponad dwa tygodnie po zdymisjonowaniu Andrzeja Witosa, 24 października 1944 roku, Bolesław Bierut powołał na stanowisko Naczelnego Dyrektora Lasów Państwowych Stanisława Żemisa. Nowo mianowany dyrektor pojawił się w gmachu przy ul. Okopowej 7 dopiero w początkach listopada w towarzystwie Kazimierza Iwanowskiego i przejął swoją funkcję z zupełnym pominięciem osoby i roli Feliksa Osińskiego, który określił przebieg tego wydarzenia jako *wielki nietakt, szczególnie ze strony Iwanowskiego* (Osiński 1981).

Nominacja Stanisława Żemisa postawiła Feliksa Osińskiego w pewnym zawieszeniu, chociaż formalnie pełnił nadal obowiązki dyrektora Dyrekcji Lubelskiej; ta nieprzyjemna dla niego sytuacja nie trwała jednak długo.

ARESZTOWANIE, ZSYŁKA I POWRÓT Z ŁAGRU:

20 LISTOPADA 1944 – 3 MARCA 1946

W nocy z 20 na 21 listopada 1944 roku NKWD dokonało kilkugodzinnej rewizji w mieszkaniu Feliksa Osińskiego, po której nad ranem został aresztowany. Już następnego dnia Dyrekcja Lasów Państwowych w Lublinie zawiadomiła Dyrekcję Naczelną o tym wydarzeniu.

Po kilku dniach przesłuchań w siedzibie NKWD w Lublinie został on przewieziony do obozu przejściowego w Sokołowie Podlaskim, a następnie wywieziony do Związku Radzieckiego i na początku grudnia 1944 roku znalazł się w jednym z najcięższych łagrów sowieckich, w Borowiczach nad rzeką Mstą, w obwodzie nowogrodzkim.

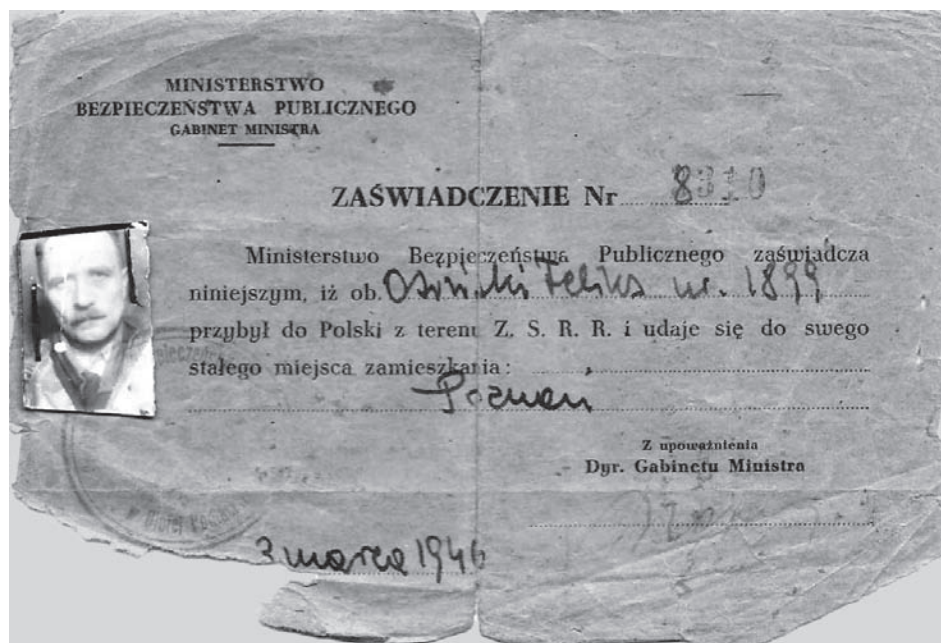
Interesujące, że mimo tych wydarzeń inż. Wilhelm Kokoszyński, zastępca dyrektora DLP w Lublinie, 1 stycznia 1945 roku skierował do Feliksa Osińskiego pismo

z wiadomością o podwyższeniu jego uposażenia na stanowisku dyrektora z ważnością od 1 sierpnia 1944 roku. Być może w ten sposób inż. Kokoszyński chciał pomóc finansowo rodzinie swego kolegi. Ostatecznie jednak w lipcu 1945 roku Feliks Osiński został zwolniony ze swego stanowiska z dniem 1 marca 1945 roku.

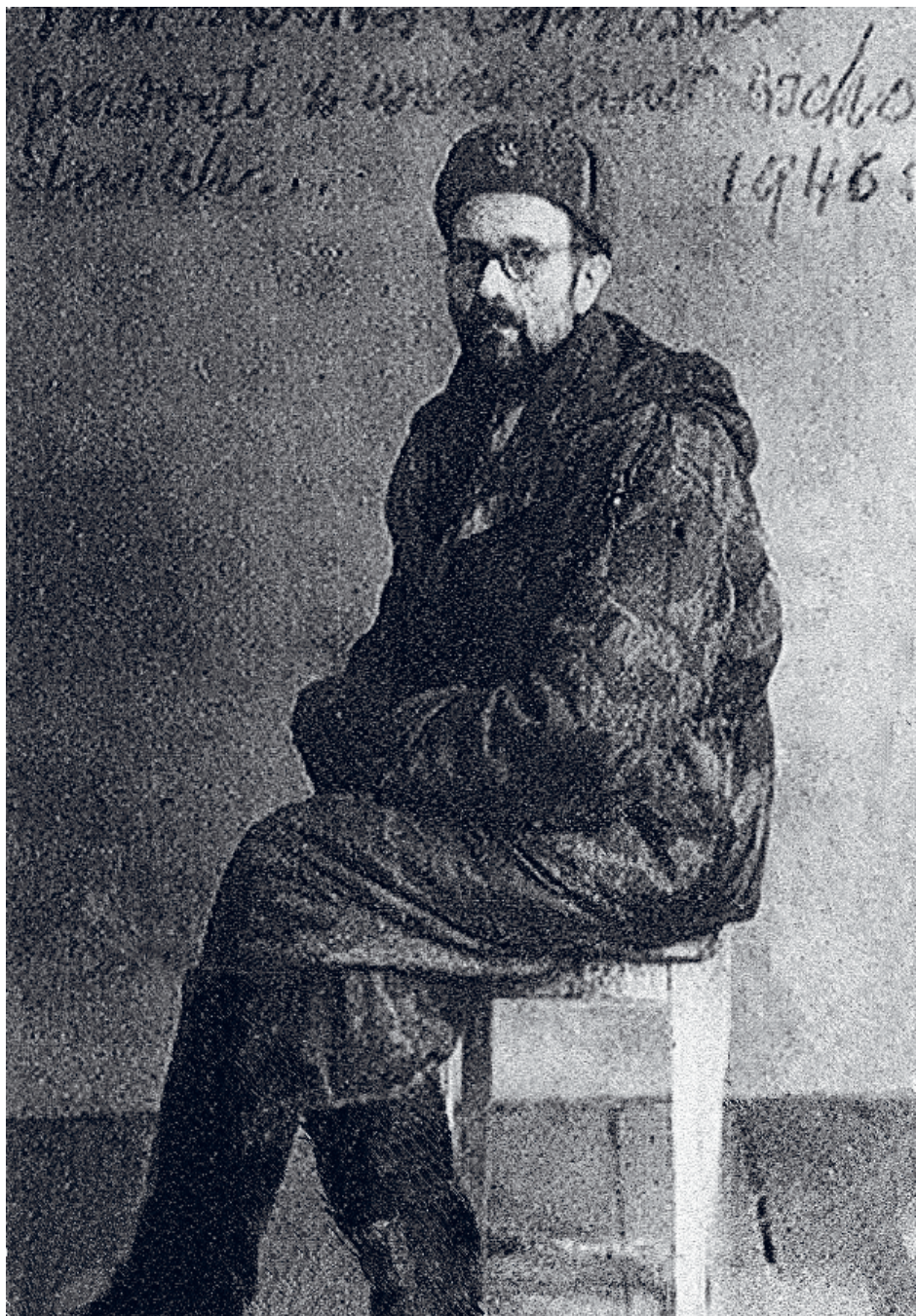
Na początku 1946 roku zaczęto zwalniać z Borowicz żołnierzy Armii Krajowej zesłanych tam w listopadzie i grudniu 1944 roku. Feliks Osiński został uwolniony wraz z grupą około 800 innych więźniów i przekazany 3 marca 1946 roku przez NKWD władzom polskim w Białej Podlaskiej. Obszerny opis pobytu w łagrze w Borowiczach zawarł Feliks Osiński w swoich niepublikowanych dotąd wspomnieniach (Osiński 1981).

Po kilku dniach pobytu u znajomych rodzin w Białej Podlaskiej i w Nadleśnictwie Grabarka Feliks Osiński dotarł do Lublina i 7 marca 1946 roku zgłosił w Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Lubelskiego swój powrót z obozu wraz z wnioskiem o 6-tygodniowy urlop zdrowotny. Ówczesny Minister Leśnictwa Stanisław Tkaczow, pismem z dnia 29 marca tegoż roku odpowiedział pozytywnie na tę prośbę, polecając zgłoszenie się po urlopie do ministerstwa *celem omówienia i załatwienia sprawy przeniesienia na odpowiednie stanowisko*.

W maju 1946 roku dyrektor DLP w Lublinie inż. Stanisław Jenke przesłał do Ministerstwa Leśnictwa do użytku służbowego pismo z danymi personalnymi Feliksa Osińskiego. Zwraca uwagę punkt 10 tego pisma, w którym znajduje się wyraż-



Zaświadczenie „przybycia do Polski z terenów ZSRR”, wydane Feliksowi Osińskiemu przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego po jego zwolnieniu z łagru w Borowiczach, w marcu 1946 r.



Feliks Osiński po zwolnieniu z łagru w Borowiczach na na terenie ZSRR i opuszczeniu transportu kolejowego w Białej Podlaskiej. Zdjęcie opatrzyl komentarzem: *powrócił z wczasów wschodnich*. Marzec 1946 r.



Na terenie Rolniczych i Leśnych Zakładów Doświadczalnych w Zielonce. Pierwszy z prawej; inż. Feliks Osiński – wówczas zastępca dyrektora RILZD, drugi z prawej; rektor Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, prof. dr Władysław Węgorzek oraz przedstawiciele miejscowej administracji leśnej. 15 marca 1965 r.

na wzmianka o powołaniu z wyboru na organizatora Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie oraz równoczesnym pełnieniu obowiązków Naczelnego Dyrektora do czasu mianowania Dyrektorem Naczelnym ob. Żemisa.

POWRÓT DO SŁUŻBY W LASACH PAŃSTWOWYCH

Po przedłużeniu urlopu zdrowotnego o kolejne 6 tygodni w lipcu 1946 roku Feliks Osiński zgłosił się do Ministerstwa Leśnictwa, gdzie zaproponowano mu dwa stanowiska dyrektorskie na Ziemiach Odzyskanych: w Gorzowie i Złotorzy. Z pierwszej propozycji zrezygnował, bo okazało się, że w Gorzowie na stanowisko dyrektora tamtejszej Dyrekcji Lasów Państwowych reflektuje jego przedwojenny kolega inż. Zbigniew Walter. Również po wizycie w Złotorzy, gdzie mieściła się siedziba Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Legnickiego, stwierdził, że ze względu na nadszarpnięte siły i zdrowie nie podoła trudnościom w zarządzaniu tą dyrekcją (Osiński 1981).

W tej sytuacji zgłosił się sam do Dyrekcji LP we Wrocławiu, gdzie powierzono mu stanowisko kierownika Państwowych Gospodarstw Stawowych w Dyrekcji Lasów Państwowych (tzw. stawów milickich) z siedzibą w Wierzchowicach. Praca ta sprawiała mu wiele satysfakcji, jednak w grudniu 1948 roku, głównie z powodów rodzinnych, przyjął propozycję dyrektora Edwarda Więcki i przeniósł się do Gdańska, gdzie objął stanowisko inspektora w Biurze Inspekcji Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Gdańskiego w Sopocie. Po odejściu Edwarda Więcki w 1949 roku nie przyjął stanowiska dyrektora, ponieważ wiązało się to z koniecznością wstąpienia do partii. W swoich wspomnieniach pisze: *W pracy zawodowej w Gdańsku niczym specjalnie się nie wyróżniłem. Ciążył na mnie zarzut politycznego nieuświadomienia* (Osiński 1981).

ZNOWU W POZNANIU: 1958-1982

W 1958 roku Feliks Osiński otrzymał ofertę z Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu i w czerwcu tego roku objął stanowisko dyrektora Leśnych Zakładów Doświadczalnych tej uczelni, zamieszkując przy ul. Kantaka 2/4 m. 20. W 1959 roku po powstaniu Rolniczych i Leśnych Zakładów Doświadczalnych WSR został zastępcą dyrektora nowej instytucji i pełnił to stanowisko do przejścia na emeryturę w 1966 roku (Broda 2009). Z biegiem lat coraz bardziej dawały o sobie znać skutki wojennej rany i niemal półtorarocznego pobytu w łagrze. Z powodu choroby kręgosłupa poruszał się o lasce, a bezwład prawej ręki sprawił, że musiał nauczyć się pisać lewą. Po śmierci żony Władysławy w 1977 roku mieszkał sam w Poznaniu, korzystając z pomocy innych osób. Cieszył się kontaktami z rodziną i podtrzymywał dawne znajomości z kilkoma kolegami ze studiów (Osiński 1981). W 1978 roku rozpoczął pisanie, a właściwie dyktowanie wspomnień, które ukończył w kwietniu 1981 roku. Zmarł w Poznaniu 20 listopada 1982 roku i został pochowany w grobie rodziców na cmentarzu w Gdańsku-Oliwie, gdzie wcześniej spoczęła jego małżonka.

Po latach Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Lublinie uczciła swego pierwszego dyrektora, umieszczając jego nazwisko na tablicy pamiątkowej, odsłoniętej w 2006 roku, na której znalazły się także nazwiska jego współpracowników, zamordowanych po wojnie żołnierzy Armii Krajowej – Czesława Rossińskiego i Wacława Zandofsa.

Podziękowania

Nieocenionym źródłem informacji do niniejszego artykułu okazały się zasoby archiwalne, które życzliwie udostępnił mi członek rodziny dyrektora Feliksa Osińskiego, a w szczególności pan Andrzej Osiński i pani Katarzyna Rybińska. Kontakt z wyżej wymienionymi osobami umożliwiły mi panie: Krystyna Wierzbička i Stefania Weber, siostrzenice Feliksa Osińskiego oraz pani Aleksandra Golska. Wszystkim wyżej wymienionym osobom składam w tym miejscu wyrazy głębokiej wdzięczności.

Dziękuję także panu mgr. inż. Adamowi Kornatowi, zastępcy dyrektora RDLP w Lublinie za przekazanie kopii dokumentów z akt osobowych Feliksa Osińskiego, pani Iwonie Biegun z Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu za udostępnienie kartotek obozowych, prof. dr. hab. Jerzemu Modrzyńskiemu za pomoc w dostępie do Archiwum Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu oraz pani Barbarze Tybiszewskiej za ułatwienie korzystania ze zbiorów Archiwum UP i wykonanie kserokopii dokumentów z okresu studiów Feliksa Osińskiego.

Władysław Chałupka

Zdjęcia: archiwum Rodziny Osińskich

¹ Chałupka Władysław, Inż. Feliks Antoni Osiński i odbudowa struktur polskiego leśnictwa w 1944 roku, w: Stud. Mater. Ośr. Kult. Leśn. 14, 2015, s. 35-74.

Źródła:

Archiwum Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Archiwum Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie.

Archiwum rodzinne Andrzeja Osińskiego.

Broda J., 2009. Leśne Zakłady Doświadczalne. W: Dzieje akademickich studiów leśnych w Poznaniu 1919–2009, red. J. Broda. Wyd. UP w Poznaniu, s. 235–245.

Domagała Z., 1959. Pierwsze dni, tygodnie, miesiące we wspomnieniach. Las Polski 13/14, s. 9–13. Studia_i_materialy_14.indd 50 2015-09-17 09:40:10, Inż. Feliks Antoni Osiński i odbudowa struktur polskiego leśnictwa w 1944 roku 51.

Iwanowski K., 1959. Pierwsze dni, tygodnie, miesiące we wspomnieniach. Las Polski 13/14, s. 21–23.

Jenke S., 1967. Pomoc leśników dla ludności w ukrywaniu się przed Niemcami. Represje okupanta. W: Leśnictwo polskie w okresie II wojny światowej. Państwowe Wydawnictwo Rolnicze Leśne, Warszawa, s. 153–166.

- Kamiński E., 1988. Lasy Państwowe w okresie 40-lecia PRL (1944–1984). Roczniki Nauk Rolniczych, ser. D Monografi e, t. 216, s. 1–64.
- Konderak J., 1959. Pierwsze dni, tygodnie, miesiące we wspomnieniach. Las Polski 13/14, 13–15.
- Krawiarz K., 2013. Feliks Antoni Osiński. Ilustrowany Tygodnik Powiatowy (Kępno), nr 9/10, 27 lutego 2013, s. 14.
- Krzysik F., 1979. Stanisław Żemis – Naczelny Dyrektor Lasów Państwowych 1944–1945. Sylwan CXXIII (10), s. 66–71.
- Madała T., 2006. Osóbka Morawski-Edward. W: Encyklopedia Białych Płam, t. XX. PWE Radom, s. 84–91.
- Osiński F., 1959. Pierwsze dni, tygodnie, miesiące we wspomnieniach. Las Polski 13/14, s. 2–6.
- Osiński F., 1978. Pracowałem u hr. Władysława Zamoyskiego. Tydzień nr 8 (231).
- Osiński F., 1981. Wspomnienia wojenne. Maszynopis udostępniony przez Andrzeja Osińskiego, s. 1–225.
- Rogut D., 2005. Internowani żołnierze Armii Krajowej w obozach NKWD-MWD ZSRR 1944–1947 (zarys wybranej problematyki). Pobrano z: <http://klub-generalagrota.pl/kg/baza-wiedzy/referaty/623>.
- Rykowski T., 1959. Pierwsze dni, tygodnie, miesiące we wspomnieniach. Las Polski 13/14, s. 15–20.
- Skibiński A., 2014. Lasy doliny obrzańskej. Ośrodek Kultury Leśnej, Gołuchów, s. 1–320.
- Skowronek T., 2004. Nie zapomnieli... Działalność leśników w niemieckich obozach, oficerskich obozach jenieckich w czasie drugiej wojny światowej. Fundacja Rozwój SGGW, Warszawa, s. 1–128.
- Świąder J., 1967. Organizacja administracji leśnej. W: Leśnictwo polskie w okresie II wojny światowej. PWRiL, Warszawa, s. 312–328.
- Tucholski J., Ciesielski J., Gajowniczek Z., Przytułska G., Roman W. K., Sawicki Z., Szczerkowski R., Szumińska W., 2003. Charków. Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Warszawa, LXXXVII + 652. Učebnyj Atlas Mira. Moskwa 1968.
- Wielkopolskie Towarzystwo Genealogiczne „Gniazdo”. Ks. Franciszek Nowacki. W: Wielkopolscy księża od XVIII do XX wieku. Pobrano z: <http://www.wtg-gniazdo.org/ksieza>.
- Więcko E., 1968. Ludzie i sprawy leśnictwa polskiego w pierwszych latach Polski Ludowej. Sylwan CXII, nr 11, s. 1–21.
- Studia_i_materiały_14.indd 51 2015-09-17 09:40:10, 52 Władysław Chałupka
- Witos A., 1998. Wszystko, co niosło życie. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Wojnickiej, Wojnicz, s. 1–292.
- Zawadzki E., 1959. Pierwsze dni, tygodnie, miesiące we wspomnieniach. Las Polski 13/14, s. 6–8.
- Zawadzki S., 1999. Wspomnienia praktykanta leśnego. W: Chłopcy z lasu. Wspomnienia leśników- kombatantów, cz. IV. Wydawnictwo Świat, Warszawa, s. 216–225.



Teodor Sroczyński (1910-1939)

Inżynier TEODOR SROCZYŃSKI

(1910-1939)



ój Tato, Teodor Sroczyński, był ostatnim adiunktem w Nadleśnictwie Klosnowo przed wybuchem II wojny światowej. W Klosnowie spędził ostatni okres swojego krótkiego życia, stąd wyruszył na front i nigdy już do świata żywych nie wrócił..

Nie pamiętam mojego Taty. Miałam 15 miesięcy, gdy po raz ostatni trzymał mnie w ramionach. Obecnie jestem najstarsza w rodzinie, nie ma nikogo z poprzedniego pokolenia z kim mogłabym skonsultować moje wiadomości o Tacie. Informacje o jego edukacji i pracy mogę czerpać tylko z dokumentów.

EDUKACJA

Urodził się 12 stycznia 1910 roku w miejscowości Kretków, pow. Jarocin jako drugie dziecko Wacława Sroczyńskiego (administratora majątku) i Praksedy z d. Majerowicz. Miał troje rodzeństwa: starszego brata Mariana i dwie młodsze siostry – Krystynę i Irenę. Obowiązkową naukę szkolną odbył w Szkole Powszechnej w miejscowości Lgów, pow. Jarocin, leżącej blisko Śmiełowa, którym jego ojciec wówczas zarządzał. Następny etap edukacji mojego Taty to lata spędzone w Jarocinie, w państwowym ośmioklasowym gimnazjum klasycznym, gdzie w roku 1929 zdał maturę. W tych latach zwiększała się liczba kilometrów dzielących go od domu rodzinnego. Jego ojciec w poszukiwaniu satysfakcjonującego miejsca pracy na krótko przeniósł się do powiatu średzkiego, do miejscowości Płaczki (tu zmarła 9-letnia córka Krystyna), następnie pod Poznań do majątku Swadzim. W połowie 1925 roku zaczął administrować majątkiem Sielec, pow. Żnin, należącym do admirała Józefa Unruga i pełnił tę funkcję przez następnych 15 lat. To tu mój Tato spędzał swoje gimnazjalne i studenckie wakacje. Jeszcze wiele lat po wojnie zachowała się w okolicy pamięć o rodzinie. Na cmentarzu parafialnym w Juncewie, przy grobie Dziadków, zagadywani byliśmy niejednokrotnie czy jesteśmy spokrewnieni z tym dawnym dyrektorem z Sielca. Za serce chwytały wspominki nawet z okresu, gdy mój Tato i jego brat byli młodzieńcami. Mówiono nam: *Pan Marian uczył się na nauczyciela, a pan Tochu to był myśliwy!*

Tak, mój Tato był myśliwym. W wieku trzynastu lat w prezencie od stryja dostał fuzję i torbę myśliwską. Prezent był obłożony pewnym, nie zawsze prostym do spełnienia warunkiem. Co roku, na Boże Narodzenie, stryj miał otrzymać zająca ważącego pięć kilogramów. Tato sumiennie, każdego roku, paczkę wysyłał. Ostatnią w grudniu 1938 z Klosnowa. Zając nie zawsze miał wymaganą wagę, stryj kwitował to jednym zdaniem na kartce pocztowej: *Zając nie wg umowy.*



Gimnazjalista
Teodor Sroczyński
(z prawej)
z matką Praksedą
Sroczyńską z domu
Majerowicz oraz
bratem Marianem
i siostrą Ireną.
Majątek Sielec,
rok 1927

Po maturze, zdanej w Jarocinie w 1929 roku, podjął studia na Uniwersytecie Poznańskim na Wydziale Rolniczo-Leśnym. Ukończył je w 1933 roku. Był aktywnym uczestnikiem życia studenckiego. Należał m.in. do grupy założycielskiej Korporacji Studenckiej „Demetria”. W trakcie dwóch ostatnich lat pracował nad swoją doświadczałą pracą dyplomową, wykonywaną pod kierunkiem prof. dr. Ryszarda Biehlera w Zakładzie Hodowli Lasu Uniwersytetu Poznańskiego, na temat „Wpływ nawożenia na rozwój siewek sosnowych”.

Do końca sierpnia 1933 roku odbył trwającą pięć miesięcy praktykę w Doświadczałnej Szkółce Leśnej Zakładu Hodowli Lasu Uniwersytetu Poznańskiego, gdzie zapoznał się z całokształtem wszelkich prac szkółkarskich.

Od 20 września 1933 roku zaczyna obowiązkową służbę wojskową. Przydzielony do 34 pp Do CKM. Kończy dywizyjny kurs podchorążych rezerwy w 22 pp w Siedlcach, a 17 września 1934 roku zostaje przeniesiony do rezerwy.

LEŚNIK I ŻOŁNIERZ

Rok 1935 obfituje w ważne w życiu Taty wydarzenia. W marcu rozpoczyna sześciomiesięczną praktykę administracyjno-gospodarczą w Nadleśnictwie Państwowym Durowo, pow. Wągrowiec, której część odbywa w Leśnictwie Dębina. 16 maja 1935 roku zdaje z wynikiem bardzo dobrym egzamin dyplomowy na Uniwersytecie Poznańskim, uzyskując stopień inżyniera leśnictwa. 29 sierpnia 1935 roku w Poznaniu bierze ślub cywilny z dwa lata starszą od siebie Ireną Turkowską, córką Stanisława Turkowskiego i Magdaleny z domu Skorupskiej. Ślub kościelny odbył się 8 września 1935 roku w kościele parafialnym w Juncewie.

Od listopada 1935 roku ma podpisaną umowę z Dyrekcją Lasów Państwowych w Poznaniu na pracownika kontraktowego pełniącego obowiązki brakarza w Nadleśnictwie Grabowo (stacja kolejowa Miasteczko n. Notecią), z wynagrodzeniem miesięcznym 200 zł.

W pierwszej połowie roku 1936 dwukrotnie odbywa trwające po 41 dni ćwiczenia wojskowe w 34 pp: manewry zimowe 12.01-21.02.1936 roku i manewry letnie 11.05.-20.06.1936 roku. W lipcu 1936 roku jest już w Nadleśnictwie Mirachowo, pow. Kartuzy. Pracuje początkowo jako pracownik sezonowy na umowach przedłużanych co trzy miesiące. 1 stycznia 1937 roku jest mianowany na podporucznika rezerwy i otrzymuje Patent Oficerski Nr 830/1937.

Od końca kwietnia 1937 roku ma już stałą umowę o pracę jako praktykant techniczno-leśny z uposażeniem wg 10 grupy. Ponadto w dniach 22-24 marca 1938 roku zdał ważny egzamin państwowy uprawniający go do obejmowania stanowisk I kategorii służby techniczno-leśnej w Administracji Lasów Państwowych. Wspomniana, stała umowa umożliwiła rodzicom tworzenie jakiejś stabilizacji na Pomorzu i likwidację poznańskiego adresu. Mieszkanie służbowe Taty w Mirachowie mieściło się w ładnym domu byłego probostwa ewangelickiego. Rodzice zaczęli to mieszkanie urządzać. Meble zamawiali w firmie – Stolarska Mebli i Budowli Józef Kolka, Mistrz Stolarski, Kartuzy (Pomorze), Wzgórze Wolności. Zachowało się dziewięć pokwitowań wpłat *Od pana Inż. Sroczyńskiego z Mirachowa* z datami od lutego do listopada 1938 roku. Zakupili komplet mebli do jadalni robionych według pomysłu i rysunków mojej Mamy, komplet mebli do sypialni oraz szafę (również zaprojektowaną przez Mamę) mającą uzupełnić wyposażenie do trzeciego pokoju, pełniącego rolę pokoju do pracy, a w razie potrzeby pokoju gościnnego. Okres intensywnego wyposażania mieszkania zbiegł się z oczekiwaniem na moje urodzenie. Nie urodziłam się na Pomorzu. Moja trzydziestoletnia wówczas Mama wolała odbyć pierwszy poród pod opieką lekarza, którego była pacjentką, w klinice położniczej w Poznaniu. Tam urodziłam się 3 czerwca 1938 roku.

KLOSNOWO

Prawdopodobnie już w grudniu 1938 roku Tato pracował w Nadleśnictwie Klosnowo na stanowisku adiunkta. Jego mieszkaniem służbowym była połowa



Inżynier Teodor Sroczyński z żoną Ireną z d. Turkowską. Poznań, rok 1935



Przed domem w Klosnowie. Od lewej: Teodor Sroczyński, jego matka Prakseda, żona Irena i córka Krystyna, rok 1939

Małżonkowie Teodor i Irena Sroczyńscy z córką Krystyną w Klosnowie, marzec 1939 r.



domu bliźniaczego przy drodze do miejscowej wyłuszczeni nasion. Tu zaczęłam stawiać pierwsze w moim życiu kroki, by wkrótce, w doskonałej komitywie z dwoma psami Taty, ganiać po całym obejściu i penetrować każdy zakamarek.

Rodzice nie trzymali żadnego inwentarza, więc mogli swobodnie upiększać otoczenie domu. Na podwórzu powstał trawnik z dużym klombem, na ścianę budynku gospodarczego puszczone jakieś szybko rosnące pnącze. (...) *Dzisiejszej nocy kret pokieroszował klomb (trawniki) i chmiele pod ścianą (...). Tagetes jaki miałem w skrzynce wyflancowałem naokoło klombu* – pisał Tato w liście do Mamy, gdy w czerwcu 1939 roku pojechała pokazać rodzinie swoją roczną córeczkę. Od 1 października 1939 roku miał objąć stanowisko nadleśniczego w Nadleśnictwie Wejherowo. Wybuch II wojny światowej sprawił, że jego droga zawodowa zakończyła się w Klosnowie.

Atmosfera ostatnich dni sierpnia pełna była niepewności. Wyjazd do Chojnic, gdzie Tato miał załatwić służbową sprawę i brak możliwości załatwienia czegośkolwiek z powodu ewakuacji urzędów oraz widok ludności cywilnej obciążonej bagażem usiłującej opuścić miasto, wprowadził go w stan dużego zaniepokojenia. Podjął decyzję o konieczności jak najszybszego wyjazdu Mamy do jego rodziców do Sielca. Do nadleśnictwa nie dotarły jeszcze środki na tzw. pensje ewakuacyjne stanowiące trzykrotność poborów. Mama opuszczała Klosnowo bez tego zabezpieczenia. Na stacji Powałki, w niedzielę 27 sierpnia 1939 roku, Rodzice widzieli się ostatni raz w życiu.

Mam dylematz ustaleniem, kiedy Tato wyruszył z Klosnowa. Leżą przede mną dwa sprzeczne ze sobą dokumenty: pokwitowanie z kasy Nadleśnictwa Klosnowo z datą 29.08.1939, na wypłatę awansem 50 zł, z podpisem mojego Taty, że taką kwotę otrzymał oraz list Taty z Grudziądza mający tę samą datę. Oto ostatnie słowa pisane przez mego Taty, które zdążyły dotrzeć do Sielca.

Grudziądz, 29/VIII.39

Kochana Irko!

Dziś w nocy opuściłem Klosnowo i rano byłem w Grudziądzu. Teraz o 2-giej jadę dalej zgodnie z moim powołaniem dokąd, to wiesz. Później napiszę. Tymczasowy mój adres to Grudziądz 64 pp. Jeżeli nie ma nic ważnego to nie pisz prędzej zanim nie odbierzesz następnego listu. Dom został pod opieką Janiny i p. sekretarza. Bardzo jestem rad, że wyjechaliście w niedzielę. Razem ze mną wyjechał Kalinowski. W chwili mego wyjazdu była jeszcze tylko p. Kalinowska. W poniedziałek wieczorem wyjechały p. sekretarzowa i Litwincowa. Spodziewam się, że dojechaliście szczęśliwie. Moim odczuciem, że Sielca nie ruszajcie się prędzej aniżeli nadejdzie zarządzenie ewakuacyjne. Całuję rączki kochanej Babuli, jak również Rodzicom, a Kryśkę i Marycha ściskam mocno.

Tochu.

TUŁACZKA

Kilka spokojnych dni w Sielcu, w trakcie których Mama zorientowała się, że jest w następnej ciąży, zostało raptownie zakończonych wczesnym rankiem 6 września. Oficer Wojska Polskiego nakazał administratorowi majątku, mojemu dziadkowi, natchmiastową ewakuację wsi. Do godziny 9. we wsi nie miało nikogo być.

Zaczęła się tułaczka bez konkretnego celu. Obszerną bryczką, w której jechała babcia, Mama ze mną i siostra Taty, powoził dziadek. Przemieszczając się od noclegu do noclegu, bocznymi drogami bezpiecznie dotarliśmy do województwa warszawskiego. Tam od uciekinierów zdążających w odwrotnym kierunku usłyszeliśmy: *Ani kroku dalej! Dalej jest piekło!* Dziadek zawrócił konie, zjechał do najbliższej wioski, gdzie pozostaliśmy, aż do dnia kapitulacji. Deszczowe dni powrotu do Sielca miały w przygnębiającym poczuciu kłęski potęgowanym widokiem rozsiansych po polach prymitywnych krzyży na świeżych mogiłach.

Parę dni po dotarciu do Sielca, Mama udała się do Klosnowa. Mogę sądzić, że jednym z celów tej podróży było sprawdzenie możliwości odzyskania zasiłku ewakuacyjnego. Niestety osoba kompetentna w tej sprawie nie wróciła jeszcze z ucieczki. A jak wyglądało mieszkanie? Zasłane słomą podłogi, meble ogołoczone z całej użytecznej zawartości. Książki, zdjęcia, dokumenty i obrazy przetrwały nieruszone. Przy kompoście za budynkiem gospodarczym leżały dwa szczeniaki od suczki Figi, ulubionego psa Taty. Jeden był martwy, drugi dokonał swego psiego żywota na rękach Mamy. Efektem wizyty w Klosnowie było zabranie wszystkich przedwojennych „papierów”, zdjęć i paru pamiątkowych książek, które do tej pory są u mnie.

POBYT W SIELCU

W połowie października 1939 roku zarząd nad Sielcem i kilkoma sąsiednimi majątkami przejął Niemiec. Zostawił dziadka jeszcze przez jakiś czas na poprzednim stanowisku. Mama podjęła pracę sekretarki. Od mojego Taty nie było żadnych wiadomości. Od jego brata Mariana, który jako plutonowy podchorąży walczył na froncie w 205 pp, nadchodziły mocno niepokojące listy. Leżał w szpitalu ortopedycznym we Lwowie. Pocisk rozszarpał mu prawe udo, powodując skomplikowane złamanie kości udowej oraz uszkodzenie lewej dłoni (do końca życia pozostał inwalidą z dużym stopniem kalectwa).

Oprócz troski o los obu synów, dla dziadków bieżącym problemem w marcu 1940 roku była konieczność opuszczenia na zawsze Sielca. Właścicielka folwarku Cegielnia (należącego administracyjnie do wsi Juncewo) udostępniła naszej rodzinie część swojego mieszkania.

W takich okolicznościach 9 maja 1940 roku, w pobliskim Damasławku, w mieszkaniu tamtejszej akuszerki, urodził się mój brat Błażej Teodor Grzegorz. Gdy miał pięć miesięcy, Mama zrealizowała swoje wcześniej podjęte postanowienie

opuszczenia Wielkopolski. Z pisma niemieckiego nadleśniczego Nadleśnictwa Klosnowo wiedziała, że wrócić do przedwojennego mieszkania nie może, że całe wyposażenie z tego mieszkania zostało upaństwowione (niem. verstaatlicht), że na żadne zatrudnienie nie ma szansy. Na podstawie tego pisma, szef Prezydium Policji niemieckiej w Żninie wystawił Mamie przepustkę na wyjazd z dziećmi do Generalnej Guberni.

W KRAKOWIE

Opuściliśmy Cegielnię 12 października 1940 roku. Jechaliśmy do Krakowa, gdzie schronienia udzieliła nam siostra Mamy, która z mężem i schorowanym teściem (uciekiniery ze Lwowa) zajmowali tylko jeden pokój w mocno przeludnionym mieszkaniu. Mama natychmiast zaczęła energiczne poszukiwanie pracy i jakiegoś lokum. Zamieszkała w gospodarstwie na skraju Krakowa, u ludzi którzy podjęli się również opieki nad dziećmi. Intensywne poszukiwanie pracy trwało jeszcze kilka dni, pełnych coraz większego niepokoju. Do dziś brzmią mi w uszach jej słowa, że życie w Krakowie, na progu zimy, zaczęła od sprzedaży całej swojej odzieży zimowej łącznie z płaszczem i obuwem. Zaangażowana została w charakterze buchalterki i stenotypistki, w dyrekcji firmy „Osram”, w której później pracowała aż do likwidacji firmy w końcu sierpnia 1944 roku. Wkrótce udało się również zamieszkać tuż obok firmy, w klasztorze Sióstr Felicjanek przy ul. Kopernika 2. W części frontowej budynku Siostry wynajmowały pokoje. Z ich polecenia zaangażowała Mama zaufaną osobę do opieki nad dziećmi. Rośliśmy z bratem w bezpiecznym, spokojnym domu, nie wiedząc nic o trudnościach z jakimi każdego dnia borykała się nasza Mama.

To pod tym adresem odnalazł Mamę nieznanzy człowiek z pierwszymi i jedynymi, aż do końca wojny, wiadomościami o Tacie. Było niedzielne popołudnie (koniec 1941 roku?), ktoś dzwoni do drzwi i pyta czy zastał inż. Sroczyńskiego. Kompletnie zaskoczenie. Mama powiedziała krótko, że nie zastał. On nadal się dopytywał, o której godzinie Tato wróci do domu, kiedy najdogodniej można go zastać. Gdy usłyszał, że od końca sierpnia 1939 roku Mama nic o mężu nie wie, oświadczył, że razem z Tatą był na froncie. Do końca rozmowy nie przedstawił się, ani nie zdradził, skąd uzyskał Mamy adres. Opowiadał, że w Radomiu, w jednostce, do której ich przydzielono nie było dla nich ani umundurowania, ani uzbrojenia, że Tato na swoją legitymację służbową załatwił nocleg dla siebie, dla niego i kogoś trzeciego w Domu Leśnika w Radomiu. Dopiero 4 września oddział ich został na tyle wyposażony, że gotowy był do przerzucenia w rejon walk. Urząd Pocztowy już nie działał, Tato karton ze swoimi cywilnymi rzeczami zaniósł do radomskiej leśniczówki. 6 września toczyli długotrwałą bitwę do momentu, aż poszły na nich niemieckie czołgi. Zostali kompletnie rozbici. Niemcy zabierali niedobitków do niewoli. Pytania o los Taty, co się z nim stało, ewentualnie czy

wie, gdzie obecnie przebywa, kwitował odpowiedzią: *Tego się pani dowie, gdy się wojna skończy.*

NASZ TATUŚ JEST BOHATEREM!

Wiele lat po wojnie, w książce Jana Wróblewskiego „Armia Prusy 1939”, wydanej w 1986 roku, potwierdziła się prawdziwość relacji tego pana. Na s. 95, w meldunku do sztabu z 3 września złożonym o godz. 20, można przeczytać: *Pułk zbiorczy 16 dywizji piechoty a' 3 baony (...) zupełnie bez broni – zarekwirowałem ją w fabryce broni i obecnie wydaje się ją na ludzi.* Dalej: *Pułk zbiorczy 16 DP wyruszył dopiero 4 września z powodu braków w umundurowaniu i oporządzeniu.* 6 września (s. 186.): *z pułku 16 DP walczyły dwa bataliony. Po reorganizacji (...) sformowano z nich tylko jeden.*

Na pewno człowiek, który zjawił się u Mamy w Krakowie, był świadkiem tych wydarzeń i należał do grona osób, które ostatnie widziały mojego Tatę żywego. Spodziewał się zapewne zobaczyć kobietę z jednym dzieckiem, a zobaczył również drugie dziecko, małego synka, o którym Tato nie wiedział. Czy miał coś więcej do opowiedzenia?



Irena Sroczyńska
z dziećmi, Błażejem
i Krystyną.
Kraków, 1943 r.

Bezpośrednim skutkiem tej wizyty było odzyskanie z Radomia paczki z cywilnym ubraniem Taty, wełnianym pledem i drobiazgami, z którymi wyruszył z Klosnowa. Byłam zbyt mała, by coś z tego rozumieć. Z biegiem czasu utrwaliło się jednak w mojej świadomości, że granatowy pled, po którym kulamy się z braciszkiem, miał przy sobie nasz Tatuś, gdy jechał na wojnę. To zasługa naszej Mamy. Potrafiła zawsze tego Tatę zaszczepiać w naszej dziecięcych umysłach i sercach. Wpoila nam, że jesteśmy Polakami, że naszym krajem jest Polska, Tatuś i inni żołnierze poszli na wojnę bronić Polski przed Niemcami. Nasz Tatuś jest bohaterem!

Sportowe ubranie Taty – zielona marynarka i popielate spodnie typu pompki – w nienaruszonym stanie dotrwało końca wojny. Spełniło swoją rolę w późniejszym czasie. Najpierw zostało przerobione na damski kostium, z którego po maksymalnym wyeksploatowaniu przez Mamusię, powstało ubranko dla mojego, dziesięcioletniego wówczas brata. Jego pierwszemu wyjściu w tym ubranku Mamusia nadała nastrój wręcz uroczystego wydarzenia. Ma na sobie coś, co nosił Tatuś!

Niemcy zabrali siostram Felicjankom budynki przy ul. Kopernika. Przeprowadziliśmy się do oficyny budynku, w którym mieścił się „Osram”. Mama starała się, by dzieci nie wzrastały w atmosferze zastraszenia, jakie niesła okupacyjna codzienność. Życie jednak samo tę wiedzę dawało. Do dziś, gdy znajdę się w Krakowie w pobliżu Starego Rynku mam w oczach widok uciekających, przerażonych ludzi wołających: *Na Sławkowskiej łapanka!*

Okupacja dobiegała końca. Pamiętam tę euforię. Coraz bliższa kanonada, powietrze trzęsło się od wybuchów, a ludzie rozradowani. Nasza Mamusia szczęśliwa. Niemcy uciekają z Polski! W obawie, że lada moment wylecą szyby, Mama zrobiła legowisko w korytarzu i tam ułożyła nas do snu. Zaopatrzona w świece i zapalniczki czuwała. Obudził mnie potworny huk, wstrząs i brzęk tłuczonego szkła, zupełna ciemność i pełno piasku w ustach. Mamusia zapaliła świecę. W powietrzu tak dużo pyłu, że prawie nie było Jej widać. Ale była!!! Mój przerażony braciszek siadł na posłaniu i rozpaczliwie zawołał: *Mamusiu, czy to już jest wojna? Nie. Śpij spokojnie, jak będzie wojna, to cię obudzę* – odpowiedziała łagodnym, opanowanym głosem. Do dziś ją za to podziwiam.

DRUGI RAZ KLOSNOWO

Z Krakowem żegnaliśmy się w czerwcu 1945 roku. Nastał piękny czas pobytu Klosnowie. Mama podjęła tu pracę 1 lipca 1945 roku w charakterze sekretarza, w Wyłuszczeni Nasion. Po latach okupacji w Krakowie, mieszkania w jednym, parterowym pokoju z oknami na podwórze, po anonimowości w tłumie miasta, Klosnowo siedmiolatce jawiło się jak jakieś miejsce z bajki. Nagle do dyspozycji dom z piętrem i kuchnią! I własne podwórko, i ogród, i tutejsi ludzie wszyscy znający moją Mamusię. A dom jak z obrazków w książkach z bajkami – czerwony dach i we wszystkich oknach zielone okiennice, dwuskrzydłowe, w każdym

skrzydle wycięte serduszko. Przez te serduszka rano wpadało światło do sypialni. Do pokojów wróciły przedwojenne meble rodziców. Okupację przetrwały w budynku nadleśnictwa.

Wszystko łączyło się tu z nieznanym, wyczekiwany Tatusiem. To tu do Klosnowa, na pewno już wróci z tej wojny i po raz pierwszy zobaczy swojego synka. Będzie nas woził kajakiem po jeziorze, bo tak jak przed wojną kajak jego stałe jest jeszcze u rybaka. A nawet jego narty są w budynku gospodarczym! Maltretowaliśmy te narty na podwórku w śnieżne zimowe dni, aż oberwaliśmy wiązania. Ale wstyd..., co teraz będzie? Tatus nie będzie mógł jeździć na nich, a może już jutro wróci? Na pewno będziemy mieli psa, a może nawet dwa, jak przed wojną?

Takie to było miejsce, że dosłownie całe powietrze nasycone było obecnością nieobecnego Tatusia, a Mamusia cudownie, obrazowo potrafiła opowiadać: *Tu Tatus to, a tu Tatus owo*. Więc nie tylko otoczenie domu, ale i okoliczne drogi, leśne ścieżki i zabudowania nadleśnictwa stawały się tłem dla Jego wyimaginowanej obecności.

POSZUKIWANIA

Po upływie roku wyjechaliśmy z Klosnowa. Zaczął się poznański okres naszego życia. Wiedza dla naszej Mamy była najwyższym dobrem. Z konsekwencją dążyła do realizacji wysoko stawianych sobie celów. Nie tylko dzieci posłała do szkoły muzycznej, ale sama zaczęła studiować anglistykę na Uniwersytecie Poznańskim. Egzamin magisterski zdała w grudniu 1951 roku.

Krótko po przyjeździe do Poznania, Mama wszczęła również intensywne poszukiwania naszego Taty. Mam przed sobą różnorakie pisma urzędowe, poszukiwanie świadków walczących w tym samym, co Tato zgrupowaniu, odpowiedzi władz gminnych z miejscowości położonych w rejonach poboju itp. Jedynie list pisany przez świadka - Aleksandra Frankiewicza, kierownika szkoły z Warlubia, pow. Świecie, dał informacje bezpośrednio dotyczące mojego Taty.

Warlubie, dn. 15.08.1946

(...) Przypominam sobie Pani męża (...) dlatego, że właśnie z zawodu był leśnikiem. Byłem z nim razem krótko, w jednym batalionie, w pewnej wsi pod Radomiem. Pani mąż był dowódcą plutonu, ja łącznikiem motocyklowym między dowództwami. Z pod Radomia rzucono nasze oddziały pod Zagnańsk-Wąchock (w rejonie autostrady Warszawa-Radom-Kielce). Od tej chwili z mężem Pani więcej się nie widziałem. Batalion, w którym Pani mąż pełnił służbę, walczył w rejonie miejscowości Gozd (cztery km na południe od Gozda), a w kilka dni później w rejonie miasteczka Iłża, (...) został rozбитy ponosząc dotkliwe straty, (...) niezliczone mogiły nieznanymi żołnierzami przykryły braci naszych, (...) po ciężkich zmaganiach z czołgami, nie byliśmy w stanie chować poległych, (...) nie będziemy w stanie dojść prawdy – polegli, czy żyją.

Dwa lata później, 27 kwietnia 1948 roku, p. Frankiewicz zeznawał w Sądzie Grodzkim w Nowem: *W chwili wybuchu wojny służyłem z Teodorem Sroczyńskim, którego dopiero poznałem, w jednej kompanii karabinów maszynowych ośrodka zapasowego 16 Pomorskiej Dywizji Piechoty. Batalion, w którym służył Teodor Sroczyński stoczył pierwszą walkę między Świętym Krzyżem, a Gost (Gozd). W walce tej nie brałem udziału, gdyż w tym czasie pełniłem funkcję łącznika (...). Po walce koledzy z tej kompanii, w której służył Sroczyński, opowiadali, że w walce tej poległ między innymi Teodor Sroczyński.*

Na podstawie tych zeznań Inwalidzka Komisja Rewizyjno-Lekarska przy Starostwie Powiatowym Poznańskim orzekła 11 grudnia 1948 roku o zaginięciu Teodora Sroczyńskiego: „bez własnej winy w związku przyczynowym ze służbą wojskową w Armii Polskiej na terenie i w czasie działań wojennych”. W te urzędowe sprawy nie byliśmy z bratem wtajemniczani. Jednak w tym okresie zachwiała się moja wiara w powrót Taty. Podczas wakacji u dziadka, usłyszałam, jak przekonywał Mamę, że nie powinna mieć oporów i wszczęć postępowanie o uznanie Taty za zmarłego, *niech te dzieci coś po Tochu dostaną*. Boże! O czym ten dziadzio mówi?! Mój dziadzio nie wierzy, że jego syn żyje?! To niemożliwe! Przecież moją Pierwszą Komunię ofiarowałam w intencji powrotu Tatusia!

Postanowienie o uznaniu Teodora Sroczyńskiego za zmarłego wydał Sąd Powiatowy w Chojnicach 10 marca 1951 roku.

POKOLENIA

Mama nigdy nie doczekała pielęgowanej w myślach chwili, w której ten latami oczekiwany mąż stanie przed nią, a ona z dumą przedstawi mu zdrowe, zadbane dzieci. Trud wychowania i wykształcenia nas dźwigała na własnych barkach. Przy całym zabieganiu, miała w sobie wiele radości i entuzjazmu. Nie bała się trudnych wyzwań, nie deliberowała, czy coś jest trudne, czy łatwe, tylko działała. Uczyła języka, głównie naukowców, gotowała, prała, sprawdzała nasze zadania szkolne, w zimowe wieczory biegła z nami na lodowisko do parku, lub znajdowała parę chwil, by przeczytać nam fragment jakiejś pięknej książki. My do łóżek, Mamusia do biurka. Nocami, dalszy ciąg jej pracy zarobkowej, żmudne tłumaczenia prac naukowych.

Brata i moje życie zawodowe odbiegło daleko od zawodów naszych rodziców. Brat, bardzo utalentowany muzycznie, już jako student Wyższej Szkoły Muzycznej w Poznaniu, koncertował na altówce i jako jedyny wówczas w Polsce, na violi d'amore. Był koncertmistrzem grupy altówek w Teatrze Wielkim w Warszawie, w Teheranie, w Malmö, członkiem renomowanych polskich kwartetów smyczkowych, kilkakrotnie dziekanem Wydziału Instrumentalnego Akademii Muzycznej w Warszawie, dwukrotnie pełnił funkcję prorektora tej uczelni. 10 stycznia 1992 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Wałęsa nadał mu tytuł profesora.

Ja ukończyłam Fizykę na Uniwersytecie Poznańskim i zaczęłam pracę jako... muzyk kontrabasista w Operze Poznańskiej kontynuując studia muzyczne w Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Potem, przez siedem lat między próbami a przedstawieniami w Operze uczyłam fizyki w liceum ogólnokształcącym. Następnie grałam w orkiestrze operowej w Teheranie, w filharmonii w Neubrandenburgu (NRD) i znowu w orkiestrze Opery Poznańskiej, gdzie zakończyłam moją 44-letnią pracę zawodową.

Wnukami Teodora Sroczyńskiego są: mój syn Błażej Dymaczewski – mgr inż. mechanik, dzieci mojego brata: Błażej Piotr Sroczyński – mgr sztuki, skrzypek, dyrygent, Paweł Sroczyński – mgr filologii nowożytnej, germanista oraz Anna Rozłucka z domu Sroczyńska – mgr kulturoznawstwa, amerykanistka.

PAMIĘĆ

Nazwisko Taty znajduje się na dwóch tablicach upamiętniających ludzi, którzy w czasie II wojny światowej oddali życie za Ojczyznę. Jedna jest w Liceum Ogólnokształcącym w Jarocinie, gdzie Tato zdawał maturę, druga poświęcona pamięci leśników, absolwentów i studentów Uniwersytetu Poznańskiego w Collegium Cieszkowskich na Golęcinie w Poznaniu. Nie ma grobu naszego Taty. Pod poznańską tablicą składamy kwiaty w dniu Wszystkich Świętych. Również 1 września, w rocznicę wybuchu II wojny światowej, od wielu już lat zanoszę pod tę tablicę bukiet Tacie, czcząc jego bohaterską śmierć, a drugi taki sam bukiet składam na grobie mojej Mamy, czcząc jej bohaterskie życie.

Dużym zaskoczeniem dla mnie jest informacja internetowa, dotycząca mojego Taty: (...) *pełnił służbę wojskową w 57 pp jako podporucznik rezerwy, zaginął w 1939 (...)* Czy to pomyłka? 57 pp to oddział 14 Wielkopolskiej DP Armii Poznań. Czy Tato dożył aż do rozwiązania części oddziałów Armii Prusy po klęsce pod Iłżą i walczył dalej w 57 pp, dzieląc tragiczne losy szlaku bojowego Armii Poznań? Przeróżające...

Ile nie napłakałabym się przy grobach z napisami NN na cmentarzach żołnierzy Września 1939, to Tato na zawsze zostanie dla mnie młodym, radosnym, wysportowanym człowiekiem, który poluje, pływa kajakiem, jeździ na nartach, galopuje konno przy każdej bytności u rodziców w Sielcu, fotografuje, pomaga poszkodowanym dzikim zwierzętom, uczy się języka Kaszubów.

Krystyna Dymaczewska

Zdjęcia: archiwum Krystyny Dymaczewskiej



Bolesław Kiszkiel (1899-1939)

Nadleśniczy BOLESŁAW KISZKIEL

(1899-1939)



Bolesław Kiszkiel był ostatnim w okresie międzywojennym nadleśniczym Nadleśnictwa Ruda koło Górzna. Dzisiaj Ruda jest obrębem leśnym i wchodzi w skład dużego Nadleśnictwa Brodnica. Nadleśniczy Kiszkiel zarządzał Rudą w latach 1930-1939. Zgodnie z nakazem władz zwierzchnich, z chwilą wybuchu wojny w pierwszych dniach września 1939 roku ewakuował się na wschód. Dotarł do Białowięży i dalej. W kilka dni po agresji Rosji sowieckiej na Polskę został zatrzymany przez żołnierzy Armii Czerwonej i zamordowany pod Kobryniem 24 września 1939 roku.

Biografię Bolesława Kiszkiela poszerzoną o wątki rodzinne opowiedział jego syn Jerzy Kiszkiel (rocznik 1933). Dzieje rodu są nadzwyczaj ciekawe. Nie sposób opisać ich w jednym artykule, poświęconym przede wszystkim jemu samemu. Na wstępie warto jednak krótko wspomnieć o ojcu Bolesława – Janie Kiszkielu, postaci barwnej i wybitnym lekarzu weterynarii.

DZIADEK JAN KISZKIEL

Jan Kiszkiel urodził się 1865 roku we wsi Budziewizna w powiecie sejneńskim. Był absolwentem (1888) weterynarii w Warszawie. Później pracował jako okręgowy inspektor weterynarii w stepie kirgiskim i przy Bukiewskiej Ordzie, a następnie jako główny weterynarz w guberni astrachańskiej. Ożenił się z Polką Katarzyną Świdorską, którą – jak wieść rodzinna niesła – poznał na statku spacerowym podczas rejsu na Wołdze. Od 1897 Jan był inspektorem weterynaryjnym w guberni piotrkowskiej na terenie Polski, wówczas pod zaborem rosyjskim.

Jan i Katarzyna Kiszkielowie mieli pięcioro dzieci. Mikołaj został lekarzem medycyny, Mirosław lekarzem weterynarii, Stanisław prawnikiem i sędzią okręgowym, Bolesław – urodzony w Piotrkowie w 1899 roku – nadleśniczym. Bracia mieli też jedyną siostrę, Antoninę.

Jan Kiszkiel w czasie I wojny światowej, od 1915 był lekarzem weterynarii w armii rosyjskiej. Najpierw szedł z armią, a po wybuchu rewolucji bolszewickiej, przez Japonię, Chiny i Turcję wrócił w 1920 roku do Polski. Tu został lekarzem wojskowym w stopniu podpułkownika. Zrobił doktorat na Uniwersytecie Warszawskim w 1925 roku. Był wykładowcą administracji i ustawodawstwa weterynaryjnego oraz weterynarii sądowej na UW. Od lat dwudziestych był też naczelnikiem wydziału w Departamencie Weterynaryjnym Ministerstwa Rolnictwa. Działał społecznie, był m.in. prezesem Polskiego Towarzystwa Lekarzy Weterynaryjnych oraz przewodniczącym Komisji Skór Polskiego Komitetu



Dzieci Jana Kiszkiela (ojca Bolesława Kiszkiela). Od lewej: Stanisław, Mikołaj, Antonina, Mirosław i Bolesław – późniejszy nadleśniczy

Normalizacyjnego. Jest autorem wydanych w formie książkowej wspomnień „Na dziejowej fali. Z Piotrkowa przez Władystok do Śniatynia” oraz „Wyzwolenie. Okrucy przeżyć i wrażeń”. Jan Kiszkiel zmarł w 1951 roku i został pochowany w grobowcu rodzinnym na warszawskich Powązkach.

Tyle w wielkim skrócie o dziadku Pana Jerzego – Janie Kiszkielu. Jak wspomniano, jednym z synów Jana był Bolesław, późniejszy nadleśniczy Nadleśnictwa Ruda, ojciec Pana Jerzego.

OJCIEC BOLESŁAW KISZKIEL

Bolesław Jan Kiszkiel urodził się w Piotrkowie Trybunalskim 28 marca 1899 roku (w niektórych dokumentach pojawia się data urodzenia 28 grudnia 1899 roku). W Piotrkowie ukończył szkołę powszechną i gimnazjum. W marcu 1919 roku trafił do Wojska Polskiego, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku w stopniu kaprała w IV Dywizjonie Artylerii Konnej. Z wojska wrócił w listopadzie 1920 roku. W tym czasie rodzina Kiszkielów przeniosła się z Piotrkowa do Warszawy i zamieszkała przy ul. Chmielnej.

Bolesław podjął studia na Wydziale Leśnym SGGW w Warszawie. Dyplom inżyniera uzyskał 17 marca 1925 roku. Praktyki i staż zawodowy odbywał w kilku miejscach w Polsce. W 1927 roku był pracownikiem kontraktowym w Oddziale Urządzania Lasu Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu. W 1929 pracował



Nadleśniczy Bolesław Kiszkiel z żoną Jadwigą (z domu Grau) w dniu ślubu w 1932 r.

na stanowisku adiunkta leśnego w Nadleśnictwie Chylonia (ówczesna pisownia „Chylonja”) na terenie Dyrekcji LP w Toruniu. W czerwcu 1930 roku z wynikiem bardzo dobrym zdał egzamin dla kandydatów na stanowiska pierwszej kategorii służby techniczno-leśnej w administracji Lasów Państwowych. W październiku 1930 roku został mianowany adiunktem leśnym p.o. nadleśniczego, a w sierpniu 1931 – nadleśniczym Nadleśnictwa Ruda koło Górzna. Stanowisko to zajmował do wybuchu II wojny światowej.

Po sprowadzeniu się do Rudy, Bolesław Kiszkiel nawiązał kontakty towarzyskie z właścicielami majątku Gutowo, Haszkiewiczami. Chętnie bywał we dworze, gdzie też był mile widzianym gościem. Poznał tam swoją przyszlą żonę Jadwigę Grau, która prowadziła dom Haszkiewiczów. Pochodziła z pobliskiego Lidzbarka. Bolesław i Jadwiga pobrali się w 1932 roku. W 1933 roku urodził się pierwszy syn Kiszkielów – Jerzy, a dwa lata później Krzysztof.

RUDA

Pan Jerzy bardzo dobrze pamięta dom rodzinny w Rudzie. Na parterze były biura nadleśnictwa. Na pierwszym piętrze było mieszkanie nadleśniczego, pokoje i sypialnia, na parterze – kuchnia i jadalnia.

Przy Nadleśnictwie Ruda funkcjonowało gospodarstwo rolne obejmujące kilka hektarów upraw. Były tam zwykle dwa konie oraz dwie, trzy krowy. Do pomocy w gospodarstwie Kiszkielowie zatrudniali dwie młode osoby z pobliskiej wsi Zaborowo – Monikę i Jana, którzy później zostali małżeństwem. Obok domu był ogród warzywno-kwiatowy. Rósł tam też świerk srebrzysty, obiekt dziecięcych wspinaczek, jak wspomina Pan Jerzy. Drzewo to rośnie do dzisiaj.

Nadleśniczy pierwotnie posiadał motocykl „Sokół”, ale później, gdy powiększyła się rodzina kupił, samochód osobowy produkcji niemieckiej DKW. Poruszało się też tzw. linijką, czterokołowym pojazdem zaprzęganym w jednego konia.

Nadleśnictwo Ruda słynęło z pięknych lasów i cenionych terenów łowieckich. Głównie jesienią i zimą odbywały się tu polowania, często z udziałem znakomych gości. Matka Pana Jerzego opowiadała mu później, że gdy był niemowlęciem (lata 1933/34), po stopkach całował go sam wojewoda pomorski Władysław Raczkiewicz, późniejszy Prezydent RP na uchodźstwie.

Pan Jerzy pamięta, że w 1938 roku ustawiono tamę na pobliskiej strudze, w rejonie mostu, na drodze z Gutowa do Rudy. Wtedy zostały zalane łąki po lewej stronie drogi. Wkrótce pojawiło się tam mnóstwo kaczek, na które też polowano.

Kiszkielowie byli zaprzyjaźnieni z właścicielami majątku Wleusk koło Lidzbarka, państwem Różyckimi. Mieli oni sześcioro dzieci, które po wojnie ukończyły studia i aktywnie uczestniczyły w odbudowie Polski. Stefan był architektem we Wrocławiu, Andrzej – nadleśniczym pod Koszalinem, Władysław rolnikiem na Mazurach, Stanisław – naczelnym inżynierem w Zakładach Mechanicznych



Nadleśniczy Bolesław Kiszkiel z żoną Jadwigą (stoi druga od lewej) w Rudzie w 1938 r. Dwaj mali chłopcy to synowie Kiszkielów, Jerzy i Krzysztof

Synowie nadleśniczego Kiszkiela - Jerzy (z prawej) i Krzysztof w Rudzie w 1938 r.

Ursus koło Warszawy, Heluta architektem w Gdańsku, a Wanda – polonistką w Szczecinie. Przyjaźń między rodzinami Kiszkielów i Różyckich trwała również długo po wojnie. Po 1945 roku majątek Różyckich zamieniono na PGR, a po ich dworze we Wlewsku nie ma już dzisiaj śladu.

Przyjaźń łączyła też Kiszkielów z Nadleśnictwem Zbiczno, gdzie nadleśniczym był Feliks Soboczyński. Nadleśnictwo to walorami swoich lasów i zwierzyny było podobne do Rudy. Podczas okupacji, nadleśniczy Soboczyński przebywał w Warszawie, gdzie blisko współpracował z Teofilem Lorkiewiczem, konspiracyjnym szefem leśnictwa polskiego z nadania Rządu Londyńskiego. Po wojnie organizował Dyрекcję Lasów Państwowych w Olsztynie. Gdy władza ludowa okrzepła, dyrektor Soboczyński w roku 1949 został aresztowany „za szpiegostwo” i zwolniony ze służby. Po odbyciu kary zamieszkał w Poznaniu i tam kontaktowała się z nim wielokrotnie wdowa po nadleśniczym Kiszkielu.

WOJNA

Pierwszego września 1939 roku nadleśniczy Bolesław Kiszkiel wysłał swoją żonę i synów pociągiem do Warszawy. Powiedział nam – wspomina Pan Jerzy – jedźcie tam, rodzina się wami zaopiekuje. Sam, z polecenia przełożonych, uczestniczył w ewakuacji, której pierwszym celem było Nadleśnictwo Białowieża.

My, wrzesień 1939 roku spędziliśmy razem z rodziną w Milanówku pod Warszawą. Tam zobaczyłem po raz pierwszy maszerujących żołnierzy Wehrmachtu. Wtedy widziałem też bomby zrzucone na Warszawę. Wkrótce jednak mama wyruszyła ze mną i młodszym bratem Krzysztofem podwodami do Lidzbarka i zaraz potem do Rudy. Tu przebywaliśmy do pierwszych mrozów, gdy nowy niemiecki nadleśniczy uznał, że mamy się wynosić. Pamiętam doskonale, jak mama prowadziła nas obu za ręce, drogą do stacji kolejowej Gutowo Pomorskie. Zamieszkaliśmy w Lidzbarku przy ulicy Stare Miasto, naprzeciwko domu rodzinnego naszej matki. To nas w jakiś sposób uratowało. Babci Teofili (matce naszej mamy) udało się jeszcze na początku września zabrać z Rudy trochę naszych niezbędnych rzeczy. Babcia też opiekowała się nami, gdy matka była w pracy.

Całą wojnę przeżyliśmy w Lidzbarku. Tam mieszkał brat i siostra matki. Wynajęli nam mieszkanie. Dowiedzieliśmy się, że gdy we wrześniu 1939 roku Niemcy wkroczyli do Lidzbarka aresztowali niemal całą miejscową inteligencję, w tym prawników, lekarzy i nauczycieli. Aresztowani byli wysyłani do Stutthofu. Po krótkim czasie wracali do rodzin urny z prochami ich bliskich. Była to jedna z metod zastraszenia społeczeństwa polskiego. Rodziny dowiadywały się, że ich bliscy ginęli z powodu... przeziębienia, choroby serca, zapalenia płuc itp. Była to perfidna metoda okupanta obliczona na zastraszenie ludności polskiej. Gdyby ojciec został na miejscu, to z całą pewnością wylądowałby w Stutthofie.

Ojciec koleżanek szkolnych naszej matki, Ścisłowski, zmienił nazwisko na Schlitter i dalej prowadził swój sklep „kolonialny” (m.in. z artykułami spożywczymi). Zakładam, że dzięki tym znajomościom, matka dostała pracę, najpierw w mleczarni a potem w jej sklepie fabrycznym. Po kilku latach pracowała już jako laborantka w aptece. W jakimś stopniu, pomagało to naszej rodzinie w dostępie do żywności i leków.

Obowiązek szkolny dotyczył wszystkich dzieci. Podczas okupacji ukończyłem cztery klasy szkoły podstawowej i jeszcze półtora roku szkoły średniej z obowiązującym językiem niemieckim. Było to dla nas bolesne. Po polsku matka uczyła mnie czytać z „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza. Wpierw w szkole uczono nas pisać i czytać w alfabecie gotyckim, a dopiero w starszej klasie, w łacińskim. Na ulicy obowiązywał język niemiecki, ale w domu rozmawialiśmy po polsku. Matka opowiadała, że kiedyś młodszy brat Krzysztof przyszedł do niej zapłakany, że ma problem, bo jak mówi, to nie wie w jakim języku.

SEKRETARZ SZYMAŃSKI

Jeszcze przed wojną, w Nadleśnictwie Ruda na stanowisku sekretarza pracował Ignacy Szymański. Mieszkał on z rodziną w miejscowości Gać odległej o kilometr od Rudy. Miał dwóch synów nieco młodszych od nas, Henia i Edwarda. Jego żoną była Kaszubka spod Kościerzyny. Starszy syn, Henryk, zamieszkał z nami w Lidzbarku i chodził tu do szkoły. Dzięki temu nasze kontakty rodzinne były ożywione. Jako dzieci, jeździliśmy często razem pociągiem do Gutowa, a dalej szliśmy pieszo, prawie zawsze przez Rudę. Droga była trochę dłuższa, ale za to ciekawa. Zawsze coś interesującego mogliśmy zobaczyć, na przykład produkcję drewna liściastego przeznaczonego dla samochodów ciężarowych, napędzanych gazem węglowym, tzw. holzgazem. Kiedyś pod koniec wojny, towarzyszyliśmy nawet patrolowi żołnierzy Wehrmachtu na trasie do Rudy, aż do skrzyżowania na Fiałki. Z Gaci chodziliśmy boso tą drogą przez Fiałki do kościoła w Górznie. Dopiero u celu zakładaliśmy na nogi jakieś drewniane sandałki.

Gdy do Rudy przyszedł niemiecki nadleśniczy, zachował Szymańskiego na stanowisku sekretarza, bo Niemcy nie dysponowali wystarczającą liczbą kadry leśnej. Szymański miał też swoje gospodarstwo rolne. Były tam dwie krowy, trzoda chlewna, owce i pasieka. W Gaci u Szymańskich spędzaliśmy czasem święta. Zawdzięczamy im dużo. Pamiętam, że z ich synem Heniem sami woziliśmy koniem tzw. kopalniaki, z lasu na stację kolejową w Gutowie.

W ramach akcji zapisywania Polaków do III grupy narodowościowej tzw. Eingedeutschte, dorośli mężczyźni byli powoływani do Wehrmachtu. Tym sposobem Ignacy Szymański wyładował w bunkrze na Wale Atlantyckim, na terenie Francji. To samo spotkało Konrada Grau, brata naszej matki, którego skierowano na teren Holandii.

Doskonale pamiętam opowieści Szymańskiego po powrocie z wojny. Załogę „niemieckiego” bunkra stanowili ludzie z całej Europy, jedynie komendant był Niemcem. W odpowiednim momencie należało go unieszkodliwić wtedy cała załoga była podejmowana na łodzi Royal Navy. Szymański wrócił do kraju w mundurze Polskich Sił Zbrojnych. Brat matki Konrad nie miał tyle szczęścia, wracał do kraju pieszo z obozu jenieckiego w Danii. Na granicy strefy radzieckiej został aresztowany i wywieziony wprost do kopalni w Donbasie. Do Polski wrócił po czterech latach, skrajnie wycieńczony.

ŚMIERĆ NADLEŚNICZEGO

Z chwilą wybuchu II wojny światowej, 1 września 1939 roku, ojciec wysłał nas pociągiem do Warszawy, a sam wyruszył motocyklem na wschód Polski, zgodnie z poleceniem ewakuacji. Wiadomość o śmierci ojca pod Kobryniem (dzisiaj teren Białorusi) dotarła do naszej matki stosunkowo wcześniej, prawdopodobnie od pani Wiktorii Postolko, żony Tadeusza Postolko – nadleśniczego Nadleśnictwa Zwierzyniec¹ na wschodzie, która była świadkiem zabójstwa ojca. Później udało się jej wrócić do Generalnej Guberni.

W czerwcu 1941 roku, z chwilą napaści Niemców na Rosję sowiecką, Kobryń teoretycznie stał się dostępny i matka myślała nawet, by udać się na miejsce śmierci ojca, aby odszukać jego grób. Mieszkaliśmy w Lidzbarku, a to był wówczas okręg Danzig-Westpreussen wcielony do III Rzeszy; my mieliśmy status Polaków. Nie pozwalało to na swobodne poruszanie się poza granicami okręgu. Tymczasem do pokonania była tzw. Generalna Gubernia i jej wschodnia granica, a dalej tzw. Ostgebiet, czyli strefa zafrontowa. Bliscy i znajomi odradzali matce tę niebezpieczną wyprawę i radzili zajmować się dziećmi, ich wychowaniem i kształceniem. Pozostało jej zwrócić się do Niemieckiego Czerwonego Krzyża i tak uczyniła. Pismem z 25 czerwca 1942 roku Presidium Deutsches Rotes Kreuz w Berlinie powiadomiło, że (cytat w tłumaczeniu): *Według oświadczenia sekretarza Maxa Gruschki z Nadleśnictwa Tscherniany/Czerniany, pow. Kobryń, nadleśniczy Bolesław Kiszkiel zmarł we wrześniu 1939 roku we wsi Ostrowje, gmina Czerniany, pow. Kobryń i tam został pochowany.*

Już po zakończeniu wojny Sąd Grodzki w Brodnicy 31 lipca 1947 roku podjął postanowienie o stwierdzenie zgonu Bolesława Jana Kiszkiela. Uzasadnienie było następujące: *Na podstawie zeznań świadka Wiktorii Postolko zamieszkałej w Rabce, Sąd ustalił, że dnia 24 września 1939 roku świadek wraz ze swoim mężem (Tadeuszem Postolko) i Bolesławem Kiszkiem oraz jeszcze dwoma innymi osobami, wracali ze wschodu, dokąd zostali wcześniej ewakuowani, do Białowieży. W drodze koło Kobrynia, w jakiejś wsi, której nazwy świadek nie pamięta, zostali wszyscy zatrzymani przez uzbrojonych bandytów, z których jeden strzelił do męża świadka, Tadeusza Postolko (nadleśniczego Nadleśnictwa Zwierzyniec w Puszczy*

Białowieskiej – przyp. TaCh) i zranił go w ramię. Mąż upadł bardzo ciężko ranny a inni mężczyźni, którym bandyci kazali zejść z motoru, zaczęli uciekać. (...) Po przebiegnięciu kilkunastu kroków, zostali zastrzeleni przez bandytów i upadli na polu przy krzakach. Bandyci przystąpili do świadka i jej rannego męża chwalcąc się, że wszystkich zastrzelili i chcieli dobić również jej męża. Świadek Wiktoria Postolko wyprosiła jednak u nich życie, a następnie odwiozła męża do szpitala w Kobryniu. Bandyci mówili przy świadku, że muszą zastrzelonych pogrzebać, a jednym z zastrzelonych był Bolesław Jan Kiszkiel, którego znała osobiście.

Dziś można dokładniej zidentyfikować sprawców śmierci nadleśniczego Bolesława Kiszkiela, nazywając „bandytów” (wymienionych w sądowym postanowieniu z 1947 roku) po imieniu. Narodowość „bandytów” została bowiem określona w piśmie Ośrodka Karta z 23 sierpnia 2011 roku przesłanym do Jerzego Kiszkiela, syna Bolesława. Napisano w nim m.in.: *Uprzejmie informuję, że pod numerem 43/8728 jest zarejestrowana ankieta, która została wypełniona na podstawie informacji pochodzących od pani Jadwigi Prawochewskiej, z której wynika, że Bolesław Kiszkiel został zastrzelony 24 września 1939 roku przez żołnierza Armii Czerwonej.*

Zatem, 24 września 1939 roku Bolesław Kiszkiel wraz z grupą czterech innych leśników (w tym małżeństwa Postolków) został zatrzymany przez patrol rosyjski (grupa żołnierzy Armii Czerwonej) pod Kobryniem i zamordowany. Przez dziesiątki lat nie można było podawać narodowości zabójców, bo oficjalnie w 1939 roku na Polskę napadli tylko Niemcy. Ponadto przez kilkadziesiąt powojennych lat Polska była pod okupacją sowiecką i obowiązywała oficjalna wersja sojuszu i przyjaźni polsko-radzieckiej.

Po wojnie tereny, gdzie rozegrała się opisana tragedia, znalazły się w granicach sowieckiej Białorusi i dalej były dla nas niedostępne. Dopiero w 1956 roku jako student wyjechałem na wycieczkę do Moskwy i Leningradu. Nawiązałem wtedy kontakt z rodziną dziadka Jana Kiszkiela i ojca. Byłem w kolejnych latach kilkakrotnie prywatnie i służbowo w ZSRR, ale zawsze daleko od Kobrynia. Po upadku Związku Sowieckiego byłem w ambasadzie Białorusi w Warszawie, aby uzyskać informacje, czy jest jakaś możliwość odwiedzenia Kobrynia i okolic. Okazało się, że praktycznie jedynym sposobem byłoby nawiązanie kontaktu z tamtejszą Polonią. Niestety, wszelkie takie próby, spełzły na niczym. Ale dalej trwają.

KOŃCZY SIĘ WOJNA

Z nazwisk innych leśników, pracowników Nadleśnictwa Ruda, doskonale pamiętam Franciszka Pryka i jego rodzinę z Leśnictwa Borek – wspomina Pan Jerzy. Było ono położone najbliżej Rudy. Leśniczówkę Borek odwiedzaliśmy często,

zwłaszcza podczas okupacji, gdy byliśmy już nieco więksi. Mój trzyletni młodszy brat Krzysztof zagubił się kiedyś. Okazało się wkrótce, że wyruszył do Borku, gdyż usłyszał, że tam w leśniczówce urodziły się małe pieski. Razem z rodziną leśniczego Pryka gromadziliśmy się w styczniu 1945 roku przed nadejściem frontu u pani Szymańskiej w Gaci. Pamiętam też nazwisko leśniczego Weidera z Bryńska, którego odwiedzaliśmy w sprawach „gospodarczych” we dwójkę z Heniem Szymańskim.

Po zbliżeniu się frontu wschodniego do Wisły w lecie 1944 roku szkoły w Lidzbarku zamieniono na szpitale wojskowe. Naukę rozpoczęliśmy w prowizorycznych klasach rozrzuconych po domach prywatnych. W latach 1943-1944 w każdą niedzielę dorośli musieli uczestniczyć w kopaniu rowów strzeleckich po wschodniej stronie miasta. W styczniu 1945 roku były one zawiane śniegiem i nie widziały żadnego żołnierza. Ewakuacja Wehrmachtu wyglądała żałośnie. Młodzi żołnierze holowali po kilka samochodów ciężarowych drogą w stronę Brodnicy i dalej na zachód. Inaczej Niemcy wyglądali w lecie 1941, jadąc przez Lidzbark na wschód do Działdowa. W kierunku na Lubawę znajdował się obóz, tzw. Arbeitsdienst'u. Zapomniano go ewakuować i wszyscy chłopcy zginęli.

Gdy ruszyła ofensywa w styczniu 1945 roku, pani Szymańska przysłała po nas swojego woźnicę Franka saniami. Przez Klonowo i Traczyska dotarliśmy do Gaci. Tu była już cała rodzina leśniczego z Borku.

Wolność przyniosło nam dwóch żołnierzy na koniach, ubranych w charakterystyczne półkożuszki. Potem, od czasu do czasu, przyjeżdżali inni na kontrole. Pytali głównie o żołnierzy niemieckich. Raz jacyś maruderzy nocą próbowali ukraść konia z gospodarstwa Szymańskich, ale zostali skutecznie wypłoszeni.

PO WOJNIE

Po wojnie, dużą pomocą służyli nam pracownicy Lasów Państwowych. Już wiosną 1945 roku przenieśliśmy się do Torunia i zamieszkaliśmy w siedzibie Nadleśnictwa Popioły, na drugim piętrze. W nim też pracowała nasza matka. Siedziba nadleśnictwa mieściła się na Placu św. Katarzyny przy kościele garnizonowym, od strony dworca PKP Toruń Miasto. Wkrótce wzięli nas pod swoje skrzydła państwo Różyccy z Wlewska, mieszkający teraz w Toruniu przy ul. Piastowskiej, w dużym pięciopokojowym mieszkaniu. Mieszkała z nami też szefowa bursy leśników działającej wówczas przy ul. Mickiewicza 5. Ona, podobnie jak nasza matka, też była wdową i miała córkę w naszym wieku. Córka wkrótce zginęła tragicznie. W bursie dostawaliśmy śniadania i obiady. W Toruniu, poszedłem do tzw. klasy wstępnej, gdzie w przyspieszonym tempie uczyliśmy się pisać i czytać po polsku.

W 1946 roku Różyccy ściągnęli naszą matkę i nas do Wrocławia. Mama rozpoczęła pracę w „Pagedzie”. Jej szefem był pan Teper, który później prowadził przed-

stawicielstwo „Pagedu” w Berlinie Zachodnim. Dalsze losy rzuciły go do Montrealu w Kanadzie. Z państwem Teperami byliśmy w bliskim kontakcie, gdy mój brat Krzysztof, już jako lekarz, emigrował do Kanady.

We Wrocławiu poszedłem do I klasy gimnazjum we wrześniu 1946 roku. Maturę zdałem w 1951. Następnie podjąłem studia na politechnice na wydziale mechanicznym. Kurs magisterski ukończyłem na Politechnice Gdańskiej. Po studiach dostałem nakaz pracy do Dolnośląskiego Biura Projektów Górniczych we Wrocławiu. Zmieniło ono później nazwę na COBPGO (Centralny Ośrodek Badawczo-Projektowy Górnictwa Odkrywkowego). Pracowałem w tym zakładzie prawie do emerytury. Po upadku PRL-u, dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego podjąłem pracę kolejno w dwóch firmach niemieckich z siedzibą we Wrocławiu. Po mnie ostatnią z nich kieruje mój syn Grzegorz.

W Toruniu i Lidzbarku Welskim zamieszkuje do dziś moja bliska rodzina, dlatego prawie co roku bywam w tych miejscach i wtedy chętnie odwiedzam strony związane z moim dzieciństwem, Rudę, Górzno i Lidzbark. Bywam też przy obelisku w rudzkim lesie, poświęconym mojemu Ojcu Bolesławowi Kiszkielowi, ostatniemu przed II wojną światową nadleśniczemu Nadleśnictwa Ruda. Tablicę ostatnio odnowiono. Dziękuję za to nadleśniczemu Henrykowi Kapuście i pracownikom Nadleśnictwa Brodnica.

Wspomnienia Jerzego Kiszkiela spisał: **Tadeusz Chrzanowski**

Zdjęcia: archiwum rodzinne Jerzego Kiszkiela

¹ Tadeusz Postolko (Postolka) ur. 1897 roku w Czeczelniku na Podolu, absolwent Wydziału Leśnego SGGW w Warszawie (dyplom inżyniera w 1926 roku), od 1938 roku był nadleśniczym Nadleśnictwa Zwierzyniec w Puszczy Białowieskiej. We wrześniu 1939 roku brał udział w ewakuacji, w jednej grupie z nadleśniczym Bolesławem Kiszkiem. 24 września został ciężko ranny w napadzie uzbrojonych „bandytów” (żołnierzy Armii Czerwonej) pod Kobryniem (Kiszkiel został zabity). Postolko został przetransportowany do szpitala, dzięki czemu przeżył. Wkrótce, 10 lutego 1940 roku został aresztowany przez NKWD i zesłany wraz z rodziną na Syberię. Pracował w kopalni złota, później w lesie. Odmówił przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Wycieńczony, zachorował na gruźlicę, zmarł w miejscowości Rebricha (w Kraju Ałtajskim) w maju 1944 roku i tam został pochowany (przypis Tadeusz Chrzanowski).



Marian Wilgocki (1896-1939)

Nadleśniczy MARIAN WILGOCKI

(1896-1939)



Marian Jan Wilgocki urodził się 1 grudnia 1896 roku w Orzechowie, powiat Września. Pochodził z rodziny o żywych tradycjach narodo-wo-patriotycznych, był synem nauczyciela Józefa Wilgockiego i Józefy z domu Michałowskiej. Miał czworo rodzeństwa.

Szkołę powszechną ukończył w Orzechowie, a gimnazjum męskie w Ostrowie Wielkopolskim. Jego edukację przerwała I wojna światowa, w czasie której został powołany do armii pruskiej. Brał udział w walkach na terenie Belgii. W 1917 roku przebywał w lazarecie (szpitalu polowym).

Uczestniczył w Powstaniu Wielkopolskim jako plutonowy Kompanii Telegraficznej Jazdy Nr 7, m.in. na terenie Wroniek, Pniew, Ostrowa, Nowego Tomysła i Rokitna (w latach 1918-1919).

Od stycznia 1921 do lipca 1926 roku studiował na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. Dyplom uzyskał 16 września 1926 roku. W początkowym okresie studiów, do 31 grudnia 1922 roku był redaktorem *Gazety Powszechnej* w Poznaniu.

Pracę w administracji Lasów Państwowych podjął w roku 1924 w Nadleśnictwie Wawrzynowo, powiat Kartuzy, na terenie ówczesnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Z zachowanych fotografii wynika, że przebywał również na terenie kilku innych nadleśnictw: w 1926 roku w Nadleśnictwie Podanin, w 1930 w Nadleśnictwie Osieczno, w 1931 w Nadleśnictwie Darżlubie, a w 1932 w Nadleśnictwie Drewniaczki. W latach od ok. 1932 do września 1939 pracował na stanowisku nadleśniczego Nadleśnictwa Sarnia Góra w Borach Tucholskich.

8 lipca 1933 roku w Kościele Parafialnym w Makowie, woj. krakowskie, zawarł związek małżeński z Anną Schubert. Z tego związku urodziła się córka Barbara (1934 r.) i syn Maciej Józef (1936 r.) ochrzczony w Parafii Śliwickiej 15 sierpnia 1936 roku.

Jesienią 1939 roku został aresztowany przez gestapo i zamknięty w więzieniu w Tucholi. Rozstrzelany w egzekucji Polaków w Rudzkim Moście 10 lub 11 listopada 1939 roku. W powojennej ekshumacji i identyfikacji Polaków pomordowanych, jesienią 1946 roku w lesie w Rudzkim Moście brały udział żona Anna oraz siostra Kornelia Wilgocka.

Krystyna Rząska

Rozmowy z MACIEJEM WILGOCKIM, synem nadleśniczego Mariana Wilgockiego

Toruń – Szklarska Poręba w 2019 roku

W mojej rodzinie pozostały głównie mity – opowiada Maciej Wilgocki, syn Mariana Wilgockiego, ostatniego przed II wojną światową nadleśniczego Nadleśnictwa Sarnia Góra na Pomorzu. Dokumenty zaginęły albo zostały poniszczone. Ja wiem tylko tyle, co mi opowiadano. Czy wszystko było oparte na faktach, czy po części na domysłach, tego już niestety nie wiem. Jako trzyletnie dziecko byłem świadkiem dramatycznych wydarzeń w Sarniej Górze jesienią 1939 roku.

MŁODE LATA OJCA

W czasie I wojny światowej mój Ojciec (Marian Wilgocki) jako Polak, ale obywatel Prus, służył w armii niemieckiej. Odmowa służby wojskowej w warunkach wojny była równoznaczna z karą śmierci. Służył na terenie Belgii.

Ojciec był powstańcem wielkopolskim. Do powstania przystąpił w Miłosławiu w 1918 roku. Zachowało się podziękowanie burmistrza Ostrowa Wielkopolskiego za udział w rozbrajaniu (razem z siostrą Kazimierą) placówek policji niemieckiej. W 1918 roku był też w grupie ochotników, którzy udali się do Lwowa, by wesprzeć Polaków w wojnie z Ukraińcami. Później walczył pod Żeligowskim na Wileńszczyźnie. Nic nie wiem o udziale Ojca w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku.

Studia leśne odbył w latach 1921-1926 w Poznaniu. Po ukończeniu Wydziału Rolniczo-Leśnego na Uniwersytecie Poznańskim, pracował w Lasach Państwowych w kilku miejscach. Wiem, że był to najpierw staż w Dyrekcji Lasów Państwowych w Bydgoszczy. Później był adiunktem i zastępcą nadleśniczego w Nadleśnictwie Wawrzynowo w powiecie Kartuszy, na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu.

GOSPODARSTWO W SARNIEJ GÓRZE

W Poznaniu poznał swoją przyszłą żonę Annę z domu Schubert. Ślub odbył się w Makowie Podhalańskim 8 lipca 1933 roku. W tym czasie Ojciec objął Nadleśnictwo Sarnia Góra. Najpierw były tam tylko zabudowania, dopiero działalność rodziców doprowadziła do rozwoju i prosperity gospodarstwa rolnego. Gdy wszystko już funkcjonowało i przynosiło dochody, Ojciec niekiedy mówił żartem – *My jesteśmy dobrze zamożni.*

Urodziłem się w lutym 1936 roku w Kościerzynie. W mojej pamięci zachowały się obrazy i niektóre wydarzenia z 1939 roku. Na przykład to, że w gospodarstwie mieliśmy siedem psów. Gospościa zawsze robiła dla pracowników duże kromki

chleba smarowane masłem i powidłami. Marzyłem, aby taką dostać. Kiedyś udało mi się jedną pajdę wywalczyć. Poszedłem z nią po wszystkich psich budach, aż do ostatniej, w której mieszkała suka z młodymi. Podzieliłem się chlebem, bawiłem się ze szczeniętami. W końcu wszedłem do budy i zasnąłem. Nikt tego nie zauważył. Gdy rodzice odkryli, że mnie nie ma wybuchła panika, zmobilizowali całą okolicę do poszukiwań trzyletniego Macieja, syna nadleśniczego. Całą noc mnie szukali po lesie i okolicy. Ja dopiero rano się obudziłem i wyszedłem z budy z obrozą na szyi, bo zamierzałem udawać psa Burka.

MÓJ OJCIEC NADLEŚNICZY

Ojciec chodził w mundurze nadleśniczego. W budynku nadleśnictwa, w pokoju na parterze od strony ogrodu-sadu było biuro, w którym pracowały cztery osoby. Tam też było stanowisko pracy naszego Ojca z telefonem. My z siostrą jako dzieci byliśmy przekonani, że cała nadleśniczówka jest naszym domem, a nie urzędem państwowym.



Marian Jan Wilgocki.
Zdjęcie z roku 1924.
W tym czasie był
studentem Wydziału
Rolniczo-Leśnego
na Uniwersytecie
Poznańskim



Marian Wilgocki podczas polowania na terenie Nadleśnictwa Podanin w 1924 r.

Przy nadleśnictwie rodzice prowadzili prywatne gospodarstwo. Gdy się po-
brali, mama jako wiano wniosła spore fundusze, za które rodzice kupili 20 krów
i siedem koni. Poza tym Ojciec zarabiał chyba około tysiąca złotych. To było bar-
dzo dużo, nauczyciel miał wówczas może 600 zł pensji.

Ojciec był wysokim, postawnym mężczyzną. Miał ponad 185 cm wzrostu.
Nosił brodę i wąsy, miał bujne włosy. Miał wielu przyjaciół leśników. Często
spotykali się, uczestniczyli w różnych imprezach, polowaniach, odwiedzali się
wzajemnie. Były konie i powózka, więc z transportem nie było problemu. Towa-
rzyskie życie kwitło. Wokół Sarniej Góry istniało kilka dużych majątków, i to
głównie polskich. Z ich właścicielami rodzice utrzymywali kontakty. Również
w nieodległym Osiu mieszkali dobrzy znajomi naszych rodziców – państwo Osiń-
scy. Bolesław Osiński był wówczas nadleśniczym w Nadleśnictwie Szarłata.

Byliśmy rodziną katolicką, chociaż Ojciec mocno „lewicował”. W codziennym
życiu trzymał się ściśle zasad chrześcijańskich. Nie rób drugiemu, co tobie nie-
miło – to było jedno z jego często powtarzanych powiedzeń. Wrogów w okolicy
nie miał. Ludzie go dobrze zapamiętali. Jeszcze w latach 80. XX wieku, gdy od-
wiedziłem z rodziną Sarnią Górę, ludzie mnie rozpoznawali ze względu na po-
dobieństwo do Ojca i wszyscy dobrze o nim mówili. Ojciec miał dobre kontakty
z miejscową ludnością. Ludzie chętnie dla niego pracowali i w lesie, i w gospo-
darstwie, bo starał się dobrze płacić za pracę. A pracy w gospodarstwie było
dużo: stado krów, konie, uprawa ziemi. Poza tym wówczas szereg produktów
spożywczych wyrabiano na miejscu, jak np. masło czy pieczywo. W gospo-
darstwie było sporo nowoczesnych, jak na ówczesne czasy, urządzeń. Wirówka
do wyrabiania masła albo kierat ciągnięty przez konie, dzięki któremu woda
była pompowana do wszystkich budynków gospodarczych.

Mama była gospodynią i... damą z towarzystwa. Przygotowywała spotkania
towarzyskie i imprezy, zarządzała służbą, zwłaszcza w kuchni.

Takich ludzi jak moi rodzice dzisiaj już nie ma. W pierwszym rządzie patrzy-
ło się w tamtych czasach na zachowanie się człowieka. Określano go jako dobrze
wychowanego albo jako prostaka. Jeśli ktoś się źle zachował, to tworzono o nim
opinię, która trafiała do środowiska i na długo, albo już na zawsze pozostawała.
Nie opłacało się źle zachowywać i być nieuczciwym.

JESIEŃ 1939

Miałem trzy i pół roku, a siostra pięć lat, gdy wybuchła wojna. Nie wszyst-
ko pamiętam. W każdym razie z mamą i siostrą przebywaliśmy w tym czasie
u dziadków ze strony Ojca, w Biechowie pod Wrześnią w Wielkopolsce. Ojciec
był zmobilizowany w 1939 roku i brał udział w kampanii wrześniowej. Wrócił



Nadleśniczy Marian Wilgocki z żoną Anną w mieszkaniu w Sarmiej Górze. Rok 1938

do domu swoich rodziców w Biechowie szybko, chyba już w połowie września, po klęsce Armii Pomorza.

W rodzinie Ojca było wielu nauczycieli. Dziadek i dwie ciotki byli nauczycielami. We wrześniu 1939 roku szkoła w Biechowie była przepełniona uciekinierami. Drogi były zajęte przez pojazdy, wozy konne i tłumy uciekinierów.

Ojciec nie bał się Niemców. Miał całkowite zaufanie do prawa niemieckiego. Powtarzał, że nikogo się nie karze, jeśli nie udowodni mu się przestępstwa. Ojciec po powrocie z frontu zabrał nas z Biechowa i jeszcze we wrześniu razem wróciliśmy do Sarniej Góry, już pod okupacją niemiecką.

ARESztOWANIE OJCA

W mieszkaniu w Sarniej Górze ja z siostrą mieliśmy sypialnię na piętrze, rodzice na parterze. Jesienią 1939 roku byliśmy świadkami aresztowania naszego Ojca. Wczesnym rankiem obudziły nas głośne rozmowy i płacz matki. Zeszliśmy po schodach do pokoju rodziców i zobaczyliśmy mamę, ojca, który się ubierał, i oficera niemieckiego. Przy drzwiach stał żołnierz z karabinem.

Byliśmy osłuchani z językiem niemieckim. Matka z domu Schubert była pochodzenia niemieckiego, ojciec biegle posługiwał się tym językiem. Rodzice, gdy chcieli uzgodnić coś poza wiedzą dzieci, rozmawiali właśnie po niemiecku. Dziadek ze strony mamy, Schubert był Austriakiem. Miał sześciu synów i dwie córki. Można jednak powiedzieć, że czuł się Polakiem. Schubertowie mieszkali w Swarzędzu pod Poznaniem. Dziadek pozwolił babci na wychowanie dzieci w mowie polskiej i w duchu patriotycznym. Mało tego, on był ewangelikiem, babcia – katoliczką. Wszystkie dzieci zostały katolikami.

Wracając do aresztowania Ojca w Sarniej Górze, to pamiętam, że rozmowa Ojca z oficerem przebiegała spokojnie. Gdy się już ubrał, Niemcy zabrali go do samochodu i odjechali. Umieścili w więzieniu gestapo w Tucholi. Matka od razu podjęła starania o jego uwolnienie. Wkrótce okazało się, że dowódcą wojska niemieckiego w okręgu jest oficer, bliski znajomy, czy nawet przyjaciel Ojca z czasów I wojny światowej. Razem służyli w armii pruskiej i walczyli na terenie Belgii. Ten obiecał, że zainteresuje się sprawą, że pomoże. Mama spodziewała się, że wkrótce Ojca zwolnią. Tymczasem oficer pojawił się po kilku dniach w Sarniej Górze i oświadczył, że niewiele może zdziałać, gdyż sam służy w Wehrmachcie, a Ojca przetrzymuje gestapo, skąd otrzymał odmowę. Pomimo to obiecał dalsze starania i doprowadzenie do spotkania Mamy z Ojcem. I rzeczywiście za jakiś czas do takiego spotkania i rozmowy doszło.

OSTATNIE SPOTKANIE Z OJCEM

Mama otrzymała informację, że ma się stawić we wskazanym terminie w jakiejś okolicznej karczynie (Pan Maciej nie pamięta w jakiej miejscowości) na spotkanie z mężem. Mama zabrała mnie ze sobą. Karczyna to był drewniany

budynek, na dole duża sala, pośrodku niej stół, pod drzwiami niemiecki żołnierz (wachman) z karabinem. Przy stole siedział Ojciec z niemieckim oficerem, do nich przysiadła się Mama. Rozmawiali, panowie popijali piwo.

Ubikacja była na zewnątrz. Co jakiś czas panowie wychodzili tam za potrzebą. Początkowo Ojcu towarzyszył wachman, później machnęli ręką i Ojciec, gdyby tylko chciał, mógł zwyczajnie uciec. Wszędzie miał znajomych, każdy by mu pomógł. W okolicach Sarniej Góry mieszkali Kaszubi (tak ich nazywa Pan Maciej, chociaż byli to raczej i są – Borowiacy), którzy z Ojcem i naszą rodziną żyli bardzo dobrze. Niestety, znajomość i zaufanie do niemieckiego prawa przeszkodziło w tym Ojcu. Wierzył bezkrytycznie, że jako niewinnemu nic mu ze strony Niemców nie grozi. Mama mówiła nam później, że podczas tego spotkania namawiała Ojca do ucieczki, ale on zagrożenie bagatelizował. Być może nie zdawał sobie sprawy, że jako powstaniec wielkopolski został umieszczony na niemieckiej liście proskrypcyjnej Polaków przeznaczonych do natychmiastowej eksterminacji. Ojciec uznał, że jeśli ucieknie, to prześladowania skupią się na Mamie i na nas, jego dzieciach. Ufał prawu niemieckiemu, a poza tym ożenił się z „pół-Niemką”. Mama kończyła średnią szkołę niemiecką. Okoliczni Niemcy szanowali Ojca, nawet go podziwiali jako leśnika, gospodarza i dobrego sąsiada. Razem jeździli na polowania, bywali na wspólnych imprezach.

Rodzina ze strony mamy, czyli Schubertowie, działała głównie w Poznaniu i Wielkopolsce. To byli bardzo bogaci ludzie, mieli chyba jeden z pierwszych na terenie kraju salonów mody. Z ich usług korzystały – jak to się mówiło – „panie warszawskie ze sfer rządowych”. W ich salonie się ubierały. Schubertowie podróżowali po całej Europie. To była duża rodzina. Przyjeżdżali też do nas, do Sarniej Góry. Później, po śmierci Ojca to oni nam ratowali życie. Można powiedzieć, że dzięki nim przeżyliśmy wojnę.

Wracając do spotkania w karczmie, trwało ono dość długo, całe popołudnie. Widać było dobrą komitywę Ojca z niemieckim oficerem. Rozmawiali jak dobrzy znajomi. Na koniec przyjechał po nich samochód. Pożegnali się z mamą i odjechali. Mama wróciła ze mną do domu. Była pełna nadziei, że sprawy dobrze się ułożą.

OJCIEC JUŻ NIE WRÓCIŁ

W aresztowaniu Ojca mogli mieć udział miejscowi Niemcy. Tuż przed wojną, Ojciec zatrudnił dwóch Niemców wbrew ostrzeżeniom mieszkańców pobliskiej wsi Zazdrość. Do Ojca przysłała wówczas delegacja z wioski, żeby tych dwóch w lesie nie zatrudniać, bo są podejrzani. Ojciec to zlekceważył, przyjął Niemców do pracy. Okazało się, że później jesienią 1939 roku obydwaj brali udział w egzekucjach Polaków w Rudzkim Moście.

Spaliśmy w pokoju na piętrze nadleśnictwa, gdy obudziły nas krzyki dobiegające z pokoju rodziców, zeszliśmy na dół razem z siostrą. To Mama płakała.

Nad nią stał niemiecki oficer i tłumaczył, że Ojca zabito w egzekucji, a on nie mógł temu zapobiec. Prawdopodobnie był to ten przyjaciel Ojca z czasów I wojny, do którego dotarła wiadomość o rozstrzelaniu nadleśniczego. Staliśmy bezradni z siostrą trzymając się, jak to małe dzieci za ręce, a Mama rozpacziała.

W RUDZKIM MOŚCIE

Świadkiem wywózki Ojca na egzekucję miał być nauczyciel z sąsiedniej wsi, którego w ostatniej chwili Niemcy oszczędzili, bo nosił niemieckie nazwisko. Przeżył wojnę i świadczył o przebiegu wypadków przed sądem w 1946 roku. Jego nazwiska nie pamiętam, ale widnieje ono w aktach sądowych. Nauczyciel bądź inny świadek zbrodni miał powiedzieć, że Ojciec przeżył egzekucję. Nocą, wydostał się spod martwych ciał i próbował ucieczki. Jednak przy dołach śmierci postawiono strażę. Jak miał zeznać ktoś przed sądem po wojnie, Ojca zabił dopiero strażnik. (Taką wersję zdarzeń pamięta Pan Maciej od najmłodszych lat z opowieści rodzinnych). Matka przez lata rozpamiętywała, że Ojciec mógł się uratować, gdyby tylko podjął ucieczkę z więzienia, czy wcześniej, podczas pamiętnego spotkania w karczmie.

Mama i siostra Ojca, Kornelia Wilgocka, uczestniczyły w powojennej ekshumacji i rozpoznały zwłoki nadleśniczego. Mama też występowała jako świadek przed sądem. Ja pierwszy raz byłem na miejscu zbrodni w Rudzkim Moście dopiero w latach 70. XX wieku. Wcześniej nie było tam po co wracać. Przed wojną byliśmy ludźmi majątymi. Nagle straciliśmy wszystko. Mogę powiedzieć, że przeżyliśmy kolejnych kilkanaście lat tylko dzięki wujom Schubertom, no i bohaterstwu naszej Mamy. Gdyby nie pomoc wujów w czasie okupacji, chyba umarlibyśmy z głodu.

Dla Kaszubów, którzy byli przyjaźnie nastawieni do nadleśniczego i naszej rodziny, wojna była ogromnym dramatem. Oni czuli się Polakami, wielu z nich to byli wielcy patrioci. Jednak gdy Niemcy zaczęli wojnę przegrywać, przyszli po młodych Kaszubów z zaciągami do Wehrmachtu. Na Pomorzu nie było specjalnego wyboru w warunkach wojny – albo Wehrmacht, albo śmierć. Odmowa kwalifikowała człowieka jako wroga III Rzeszy. Rodzina traciła wszystko i trafiała do obozu w Stutthofie lub w Potulicach.

Po egzekucji w Rudzkim Moście sprawa śmierci Ojca stała się tematem tabu w rodzinie. Tyle bólu i strachu przeżyliśmy wówczas w Sarniej Górze, że już nikt w rozmowach nie chciał wracać do tragicznych zdarzeń. Ciotki ze strony Ojca nienawidziły Niemców do końca życia. Tak wiele prześladowań i krzywd spotkało ich rodzinę.

SCHRONILIŚMY SIĘ W TARTAKU

Kilka dni po egzekucji Ojca do nadleśnictwa przybyła grupa Kaszubów z okolicznych wsi z informacją, że Niemcy zamierzają aresztować Mamę jako

wroga III Rzeszy. Mama pospiesznie spakowała walizkę i udaliśmy się razem do tartaku, gdzie mieliśmy dobrych znajomych, aby się ukryć. Obawiała się, że jako osoba pochodzenia niemieckiego będzie rozstrzelana za zdradę narodową. Tartak mieścił się na odludziu. Jedna droga tam prowadziła i był jeden tor kolejowy. Już z daleka gospodarz widział zbliżające się pojazdy i nadchodzących ludzi. Gdy jechali Niemcy, zamykano nas na strychu w dużej szafie. Siedzieliśmy cicho, baliśmy się, że teraz Mamę nam zabiorą i zabiją.

W tartaku poznałem Niemca, który był kuzynem właściciela. Bardzo porządnym człowiekiem, jednak nie mówił ani słowa po polsku. Bałem się go śmiertelnie, chociaż on starał się pozyskać naszą przyjaźń. Organizował dla nas nawet teatryk chińskich cieni. Bałem się tej znajomości.

W tartaku mieszkaliśmy prawdopodobnie kilka miesięcy. Na wiosnę przenieśliśmy się do Swarzędza, do domu naszych dziadków ze strony mamy, Schubertów. Później przenieśliśmy się do Poznania, gdzie zamieszkaliśmy u wuja z jego dość liczną rodziną. Po roku musieliśmy wyjechać na teren Generalnej Guberni, gdyż Niemcy wyrzucali z zagarniętych i wcielonych do III Rzeszy terenów ludzi bez niemieckiego obywatelstwa.

OKUPACJA W KRAKOWIE

Na przełomie lat 1940/1941 wyjechaliśmy z Poznania do Krakowa. Zamieszkaliśmy u innego wuja ze strony Schubertów. Przebywaliśmy tam do 1945 roku. Wejście Sowietów do miasta pamiętam dobrze. Mieszkaliśmy na ul. Mikołajskiej blisko Małego Rynku. To nie była żadna armia. Szli ludzie zmęczeni, brudni, w podartych mundurach. Nie reagowali na pozdrowienia.

Od wuja Maksa dowiedziałem się, że Niemcy cały Kraków zaminowali. Zapalniki umieszczono w elektrowni. O tym wiedziała Armia Krajowa. To nie Koniew, ani Armia Radziecka ocalili Kraków, tylko nasi chłopcy z AK, mówił wuj. Mało kto o tym wie, nawet dzisiaj. Z naszej kamienicy (cztery piętra to był skład materiałów dla niemieckiej armii, a my mieszkaliśmy na piątym) wywieziono... trzy ciężarówki materiałów wybuchowych. Mój wuj Maks, który pracował w tym niemieckim składzie, pracował również dla AK. Oczywiście nikomu o tym nie mówił. Myśmy to odkryli jeszcze w czasie wojny, w Jaworniku, gdzie bywaliśmy na wakacjach. Tam docierał do wujka „człowiek z lasu” i rozmawiali na osobności.

RODZINA SCHUBERTÓW

Bracia matki – Stefan i Władysław Schubertowie – mieli w okresie międzywojennym duże interesy w Poznaniu i kilku jeszcze miejscach w kraju. Nazywano ich „królami wełny i jedwabiu”. We wrześniu 1939 roku Niemcy postawili Schubertom warunek. Jeśli chcą zachować własność i zarządzać majątkiem, muszą się zadeklarować jako Niemcy. W innym przypadku stracą wszystko. Otrzymali trzy dni na decyzję. Odmówili. Stracili majątek (nieruchomości w Wielko-

Anna Wilgocka (z domu Schubert) z dziećmi, Barbarą i Maciejem w Krakowie około 1943 r.



polsce) i musieli wyjechać na teren Generalnej Guberni do Krakowa, gdzie mieszkał najmłodszy z braci – Maksymilian. Wuj Maks był zaradny, prowadził interesy, był mecenasem dla wielu miejscowych Polaków. Na różne sposoby wspierał artystyczną elitę krakowską. Wujowie składali się też na rzecz swojej siostry i jej dzieci, czyli na nas. Jako najbardziej zabiedzony u wuja Maksa jadałem obiady.

Rodzina Schubertów niemało ucierpiała w czasie wojny. Jeszcze w 1945 roku najstarsza córka Jadwiga była ranna od rosyjskiego szrapnela. Wdała się gangrena, trzeba było nogę amputować. To była jednak dzielna dziewczyna, później kobieta. Dożyła blisko dziewięćdziesięciu lat.

ZAMIESZKALIŚMY W SZKLARSKIEJ PORĘBY

W grudniu 1945 roku Mama razem z nami przeniosła się z Krakowa do Szklarskiej Poręby. Jechaliśmy tam samochodami wojskowymi produkcji amerykańskiej. To była pierwsza powojenna forma komunikacji. W Jeleniej Górze i okolicach było już sporo Polaków, w tym byłych żołnierzy AK lub innych osób poszukiwanych przez komunistyczny Urząd Bezpieczeństwa. Przyjeżdżali tu z Kresów i z terenu Generalnej Guberni.

W Krakowie podczas wojny uczęszczałem do siedmioklasowej niemieckiej szkoły. Gdy przyjechaliśmy do Szklarskiej Poręby, miałem niespełna 10 lat. Nie było tam jeszcze polskiej szkoły. Uczęszczałem na korepetycje razem z grupą dzieci niemieckich. Uczyła nas Niemka. Do szkoły polskiej, do klasy czwartej, zapisano mnie dopiero pod koniec 1946 roku. W mojej klasie połowa dzieci to były sieroty. Później w pracy zawodowej swobodnie posługiwałem się czterema językami – polskim, rosyjskim, niemieckim i angielskim.

Razem z kolegą Rudim Spindlerem, Niemcem, który mieszkał nad nami, znaleźliśmy kiedyś pociski sygnałowe. Wrzuciliśmy je w ognisko. Były niezłe fajerwerki. Gdy wuj, mój opiekun, o tym się dowiedział, musiałem napisać tysiąc razy: „Małym dzieciom nie wolno bawić się nabojami”. W tamtym czasie zabawy z nabojami były na porządku dziennym, mnóstwo broni i pocisków pozostało po działaniach wojennych. Dorośli byli bardzo zajęci swoimi sprawami, na opiekę nad dziećmi często brakowało im czasu.

W Jeleniej Górze i okolicach mieszkali wówczas Niemcy. Trzeba było z nimi współegzystować, zapomnieć o okropnościach wojny. Z wieloma rodzinami Polacy się zaprzyjaźnili. Później, gdy oni wyjeżdżali do Niemiec, to były nawet płacze. Rudi przyjechał do Szklarskiej Poręby dopiero w latach 90. XX wieku. Później odwiedzaliśmy się wielokrotnie, a pisujemy do siebie do dzisiaj.

Po skończeniu podstawówki trafiłem do renomowanego Liceum Pedagogicznego w Szklarskiej Porębie. Razem z koleżanką porwaliśmy tam ZMP-owską gazetkę ścienną. Było to akurat na Boże Narodzenie 1950 roku. Szkoła miała opiekuna z UB, który czuwał nad czystością ideologiczną uczniów i nauczycieli. Wezwał mnie na przesłuchanie. Pytał o kontakty, adresy. Nie wierzył, że wymyśliliśmy wszystko sami. Wyrzucono mnie ze szkoły bez prawa do dalszej nauki. Mama miała znajomego w kuratorium oświaty, który pomógł znaleźć nową szkołę dla mnie. Trafiłem do ogólniaka w Cieplicach. Do klasy chodziło wielu chłopaków z Kresów wschodnich, którzy przyjechali po wojnie, głównie z okręgu wileńskiego. Po maturze poszliśmy z kolegą na AGH w Krakowie ze specjalnością „szkło”, gdyż był plan na podjęcie pracy w słynnej hucie szkła w Szklarskiej Porębie.

Na egzaminie wstępnym gładko poszła mi matematyka. Pamiętam, że z „wiedzy o społeczeństwie” otrzymałem pytanie od „czynnika społecznego” – *Co ty wiesz o cudzie nad Wisłą?* Odpowiedziałem: *Jak to co? Nowa Huta!* Ależ się ucieszyli! Później powtarzano powszechnie to jako świetny dowcip. W taki oto sposób bez żadnego problemu dostałem się na Akademię.

Po ukończeniu AGH mogłem pracować na uczelni jednak, wróciłem do Szklarskiej Poręby ze względu na matkę. Liczyłem na zatrudnienie w miejscowej hucie. Nie było jednak tam żadnego zainteresowania moją wiedzą i pomysłami. Pracę dyplomową chciałem pisać na temat rozbijania skał kwarcytowych za pomocą ultradźwięków. Promotor nie podjął tematu, pisałem coś innego.

W latach 60. XX wieku pracowałem w hucie szkła technicznego w Jeleniej Górze. Miałem tam szefa, dobrego przedwojennego fachowca. Opatentowałem do 1976 roku ponad 40 wynalazków. Później przeszedłem do Centralnego Laboratorium Optyki w Warszawie. Tutaj zaczęły się wielkie tematy z wykorzystaniem technik laserowych i z nieograniczonym budżetem, zwłaszcza dewizowym. Zakład naukowobadawczy funkcjonował w Jeleniej Górze. Znienawidzono mnie tam z powodu kolejnych patentów, które rejestrowałem. Wykonywaliśmy prace na rzecz Wojskowej Akademii Technicznej. Prace były tajne. To była polska myśl atomowa, wykonywana w tajemnicy nawet przed ZSRR. W latach 80. obroniłem doktorat z nauk fizycznych na WAT na temat właściwości szkła. Jestem twórcą 40 patentów, za które nie otrzymałem nawet złotówki.

JESZCZE O MAMIE I SIOSTRZE

Mama pochodziła ze Swarzędza pod Poznaniem. Już jako dziecko zdobywała doświadczenie w prowadzeniu domu i wychowywaniu dzieci. Jej matka, nasza babcia, wcześniej straciła męża, sama prowadziła dom i wychowywała dzieci. Mama bardzo poświęcała się dla innych. Była dobrą, ciepłą kobietą, odporną na wstrząsy, których życie jej nie szczędziło. Dbała o nas, chyba nawet przesadnie. Zmarła w wieku 88 lat (rocznik 1903).

Moja siostra, podobnie jak ja, mieszkała w Szklarskiej Porębie, jednak pod koniec lat 90. ubiegłego wieku przeniósła się do Jeleniej Góry. Studiowała we Wrocławiu, później w Warszawie. Była geologiem. Zmarła w wieku 83 lat.

TAKICH LUDZI JUŻ NIE MA

W jednej z rozmów Pan Maciej pyta, skąd to moje zainteresowanie nadleśniczym Wilgockim? Odpowiadam, że chciałbym przywrócić pamięć i wiedzę o tamtych ludziach, ich przeżyciach, wyborach, decyzjach i wartościach, którymi żyli...

W słuchawce telefonicznej następuje cisza...

Nie da się – mówi Pan Maciej – Chyba, że jest pan geniuszem, który opisze wszystko, razem z emocjami, które tamtym czasom i ludziom towarzyszyły. Takich ludzi jak mój Ojciec już dzisiaj nie ma.

Przeczytałem niedawno książkę pt. „Leśnicy dla Niepodległej” wydaną w Toruniu w 2018 roku przez Polskie Towarzystwo Leśne – dodaje Pan Maciej. Odnalazłem w niej opisy podobnych przeżyć, jak mojego Ojca i naszej rodziny. Poruszające! To dobrze, że ocalimy tamten świat i tamtych ludzi od zapomnienia.

Wspomnienia Macieja Wilgockiego spisał: **Tadeusz Chrzanowski**

Zdjęcia: archiwum rodzinne Macieja Wilgockiego

PS Maciej Wilgocki, syn nadleśniczego Mariana Wilgockiego, zmarł 9 września 2021 roku i został pochowany w Szklarskiej Porębie.

ZBRODNIĄ w Rudzkim Moście¹

Poniżej i na kolejnych stronach publikujemy obszernie fragmenty artykułu pt. „Rozstrzelany medalik” dr. Tomasza Cerana² o zbrodni dokonanej przez Niemców na Polakach w Rudzkim Moście jesienią 1939 roku. Dokładna liczba zamordowanych nie jest znana. W publikacjach autorzy najczęściej podają liczbę 227 ofiar ekshumowanych w 1946 roku. Z zachowanych relacji świadków wynika, że rozstrzelanych w sześciu egzekucjach było co najmniej 335 Polaków; w niektórych publikacjach podaje się nawet 500 ofiar zbrodni w Rudzkim Moście. Te dane z pewnością wymagają merytorycznej, źródłowej weryfikacji.

Od kilku lat tematem zbrodni niemieckich na Polakach na Pomorzu Gdańskim jesienią 1939 roku zajmują się historycy Instytutu Pamięi Narodowej w Gdańsku, w tym filii IPN w Bydgoszczy w osobach: dr Izabeli Mazanowskiej i dr. Tomasza Cerana. Z tego środowiska wypłynęła inicjatywa wprowadzenia do terminologii historycznej II wojny światowej pojęcia ZBRODNI POMORSKIEJ odnoszącego się do zaplanowanego na szeroką skalę mordu ponad 30 tysięcy Polaków, mieszkańców Pomorza Gdańskiego, dokonanego przez Niemców tylko jesienią 1939 roku. Na pomniku upamiętniającym ofiary „Zbrodni Pomorskiej”, odsłoniętym w Toruniu w 2018 roku, widnieją nazwy ponad 400 miejscowości, w których Niemcy mordowali Polaków jesienią 1939 roku. Obok takich miejsc kaźni, jak Stutthof, Piaśnica, Mniszek, Koralewo, Fordon i Barbarka jest również Rudzki Most.

Publikujemy artykuł na temat zbrodni w Rudzkim Moście również po to, by dać Czytelnikowi szerszy obraz tragicznych losów Mariana Wilgockiego, nadleśniczego Nadleśnictwa Sarnia Góra, który był rozstrzelany w Rudzkim Moście 10 lub 11 listopada 1939 roku. Opowiedział o tym jego syn, Maciej Wilgocki, opierając swoje wspomnienia głównie na przekazie rodzinnym, gdyż sam był wówczas 3,5-letnim dzieckiem (czytaj artykuł na str. 82-93). W Rudzkim Moście Niemcy zamordowali co najmniej siedmiu leśników. Piszemy o nich krótko na str. 99.

(Tadeusz Chrzanowski)

ROZSTRZELANY MEDALIK (fragmenty)

Masowe egzekucje Polaków w powiecie tucholskim na Pomorzu Gdańskim rozpoczęły się 24 października 1939 roku. Trzy dni wcześniej w pobliskim Piastoszynie spłonęła stodoła należąca do zamieszkałego tam Niemca, Hugona Fritza, który zmarł podczas pożaru na skutek zawału serca. Fritz rekwirował ludności polskiej mienie i żywy inwentarz, okradając ich gospodarstwa i majątki. Oskarżenie o podpalenie padło na miejscowych polskich sąsiadów.

Dowódca Selbstschutzu* (Samoobrony) Westpreusen, Ludolf-Hermann von Alvensleben, nie miał wątpliwości co do sprawców rzekomego podpalenia i za-

reagował błyskawicznie: *Co trzeci dzień rozstrzeliwać po 40 Polaków, dopóki nie znajdzie się sprawca pożaru. Na egzekucje należy każdorazowo zabierać dziesięciu dodatkowych Polaków, następnie zwalniać ich na trzy dni w celu odszukania sprawców pożaru. Jeśli go nie odnajdą, rozstrzelać ich jako pierwszych w następnej egzekucji.*

Jak wykazało późniejsze śledztwo, w rzeczywistości budynek spłonął wskutek zaprószenia ognia przez pijanego właściciela gospodarstwa, który wyrzucił niedopałek cygara. Nawet niemiecki wojskowy sąd doraźny (Standgericht der Wehrmacht) uniewinnił Polaków aresztowanych bezpośrednio po tym zdarzeniu. Mimo to członkowie Selbstschutzu rozpoczęli aresztowania i egzekucje Polaków, wykorzystując rzekome podpalenie stodoły jako pretekst do przeprowadzenia akcji eksterminacyjnej.

Na miejsce egzekucji wybrano las nieopodal miejscowości Rudzki Most, oddalonej od Tucholi o 2,5 km. O śmierci Polaków decydowali Kurt Gehrt, przywódca działającej przed wojną w mieście Partii Młodoniemieckiej (niem. Jungdeutsche Partei in Polen, JDP) i Kurt Merten Feddeler, właściciel majątku w Nowej Tucholi.

***Selbstschutz**

Samoobrona Obywateli Polskich Niemieckiego Pochodzenia (Vilksdeutscher Selbstschutz), organizacja utworzona w okupowanej Polsce we wrześniu 1939 roku z inicjatywy Reichsführera SS Heinricha Himmlera. Formalnie miała zajmować się ochroną życia i mienia Niemców mieszkających w Polsce przed „fanatycznymi Polakami”. Faktycznie stała się jedną z głównych formacji egzekucyjnych i narzędziem eksterminacji polskiej ludności cywilnej w pierwszych miesiącach okupacji.

Zamieszkali w Polsce Niemcy mordowali swoich polskich sąsiadów z przyczyn ideologicznych, chcąc dowieść swej narodowosocjalistycznej „niemieckości”, z zemsty za rzekome krzywdy doznane w II Rzeczypospolitej, a także z powodu konfliktów sąsiedzkich czy zwykłej chęci grabieży mienia. Znali lokalne środowiska. Ich wiedzę wykorzystywano m.in. podczas Intelligenzaktion do schwytania i wymordowania lokalnych polskich patriotów: posłów, nauczycieli, działaczy społecznych, lekarzy, księży, dziennikarzy. Do Selbstschutzu należało w całej Polsce ok. 100 tys. osób. Szacuje się, że niemiecka samoobrona odpowiada za śmierć ok. 50 tys. Polaków, choć liczba ta wymaga weryfikacji. Największych zbrodni organizacja dokonała na terenach bezpośrednio włączonych do Rzeszy, szczególnie na Pomorzu Gdańskim, gdzie na jej czele stał SS-Oberführer Ludolf Hermann von Alvensleben (były adiutant Himmlera, zmarł w 1970 roku w Argentynie), oraz w Wielkopolsce, gdzie jej dowódcą został Josef (później znany jako Jurgen) Stroop (antybohater „Rozmów z katem” Henryka Moczarskiego). W listopadzie 1939 roku Selbstschutz rozwiązano, a większość jego członków wcielono do SS lub niemieckiej policji porządkowej. Po wojnie tylko nieliczni odpowiedzieli przed sądem za zbrodnie dokonane w 1939 roku.

Na przygotowanych listach stawiali krzyżyk przy nazwiskach Polaków, którzy mieli zostać rozstrzelani. Później powoływano Volkstribunal (Trybunał Ludowy) złożony z miejscowych Niemców, który w trybie zaocznym wydawał wyroki na Polaków. Zamordowano tych, którzy zostali uznani za „fanatische Polen” – fanatycznych Polaków.

Zatrzymanych Polaków transportowano na miejsce egzekucji samochodami ciężarowymi. Przed rozstrzelaniem zabierano skazanym rzeczy uznane za cenne, a już po zgładzeniu ofiar oprawcy dzielili między sobą ich ubrania. Więźniów pytano zawsze, kto podpalił stodołę. Z grupy wybierano kilka osób, które miały zakopać ciała. Ich samych nie zabijano, lecz wypuszczano na 48 godzin, aby odnaleźli sprawców podpalenia. Po tym czasie znowu mieli się stawić do dyspozycji Slebtschutzu, a w kolejnej egzekucji – zgodnie z zaleceniem von Alvenslebena – byli rozstrzeliwani w pierwszej kolejności trzeciego dnia po wypuszczeniu.

Podczas jednej z pierwszych egzekucji wybrano przypadkowego więźnia i na oczach pozostałych, ustawionych w dwuszeregu, strzelono mu w tył głowy. Dowódca oddziału egzekucyjnego kazał wystąpić z szeregu podpalaczowi stodoły Fritza. Nikt tego nie uczynił. Wówczas Polakom kazano wykopać groby. Jeden z oprawców zwrócił się do aresztowanego księdza z Raciąża, Franciszka Nogalskiego. Uznał, że skoro spowiada ludzi, to na pewno musi znać nazwisko podpalacza. Kazał mu natychmiast go wskazać, twierdząc, że wtedy uratuje życie pozostałych. Ksiądz oświadczył, że to on podpalił stodołę, na co członek niemieckiej Samoobrony stwierdził: *Ty przeklęty psie, ty tego nie zrobiłeś, tylko chcesz ludzi ochronić*. Następnie w rozmowie ze swoim kolegą zastanawiali się, co powinni zrobić z duchownym. Doszli do wniosku, że go powieszą, jednak w pobliżu nie znaleźli odpowiedniego drzewa. Ostatecznie księdza wraz z innymi Polakami rozstrzelał sześćciosobowy pluton egzekucyjny. Jeden ze skazańców próbował uciekać³, ale został złapany i rozstrzelany. Rannych dobijano strzałami z broni krótkiej.

Przebieg egzekucji znamy z relacji Alfonsa Urbanowskiego z 1965 roku. Był on na liście osób przeznaczonych do rozstrzelania, ale dzięki pomocy swojego szkolnego kolegi, Niemca Hinza, trafił do grupy zatrzymanych, którą Niemcy przeznaczyli do zasypania zwłok. Wraz z innymi został zwolniony na 48 godzin, aby szukać podpalacza. Po upływie tego czasu wszyscy mieli się ponownie stawić w więzieniu w Tucholi. Gdyby tego nie zrobili, cała ich rodzina miała zostać zamordowana. W egzekucji rozstrzelano brata Urbanowskiego, Romana. Alfons po upływie wyznaczonego terminu stawił się w więzieniu i ponownie został wywieziony do Rudzkiego Mostu. Egzekucja miała podobny przebieg, ale ponownie udało mu się trafić do grupy osób zwolnionych. Wstawił się za nim jeden z miejscowych Niemców.

Przed egzekucją inny z Polaków, Konstanty Szwaracki, zwrócił się z prośbą o darowanie mu życia. Tłumaczył, że stodoła Fritza spłonęła 21 października, kie-

dy on znajdował się jeszcze w niewoli w Poznaniu. Wypuszczono go. Z podobną prośbą wystąpił kupiec z Tucholi o nazwisku Maćkowski. Został jednak dotkliwie pobity, oprawcy zaś stwierdzili, że wszyscy aresztowani są winni i próbują uniknąć odpowiedzialności. Wszystkich rozstrzelano.

W Rudzkim Moście przeprowadzono co najmniej siedem⁴ egzekucji w dniach: 24 (60 osób zamordowanych), 27 (65 osób) i 30 października (50 osób) oraz 2 (70 osób), 6 (90 osób) i 11 listopada⁵ (liczba ofiar nieznana).

W 1946 roku podczas ekshumacji wydobyto zwłoki 227 osób, z których 34 pozostały niezidentyfikowane⁶. W egzekucjach mordowano przede wszystkim miejscową inteligencję, dziennikarzy, drukarzy, nauczycieli, studentów, działaczy społecznych, kupców i rzemieślników⁷. Rozstrzeliwano tu także Polaków przywożonych z obozu przejściowego w Radzimirze (powiat sępoleński). (...)

Tomasz Ceran

¹ Tytuł pochodzi od redakcji wydawnictwa „Leśnicy dla Niepodległej”. W wersji oryginalnej artykuł ukazał się na portalu: www.pamiec.pl 31.08.2016 r. pod tytułem „Rozstrzelany medalik”.

² Dr Tomasz Ceran jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej w Bydgoszczy.

³ Świadkowie rozstrzeliwań, którzy przeżyli i składali zeznania po wojnie (Konstanty Szwarzacki, Alfons Urabanowski) wspominają o kilku desperackich próbach ucieczki skazańców sprzed plutonu egzekucyjnego. Był to np. robotnik Leon Jaskowski z Bysławia i rolnik Marczak z Wielkiej Klony, którzy jednak zostali zastrzeleni przez obławę składającą się z 30 uzbrojonych Niemców.

⁴ W większości publikacji pojawia się informacja o sześciu egzekucjach. I taki napis umieszczono na tablicach zarówno w miejscu egzekucji, jak i na pomniku w Tucholi upamiętniającym ofiary zbrodni w Rudzkim Moście. Na tych tablicach nie wymienia się jednak daty 11 listopada, kiedy według niektórych zeznań miała mieć miejsce egzekucja (bądź nawet dwie), w której uczestniczył sam Albert Forster, namiestnik (gauleiter) Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Datę tej zbrodni Niemcy wybrali z premedytacją, aby wybić Polakom z głowy jakąkolwiek nadzieję na niepodległą Ojczyznę (przyp. TaCh).

⁵ Na tablicach w Rudzkim Moście i w Tucholi zapisano 10.XI.1939 r. – jako datę ostatniej, szóstej egzekucji. W świetle poprzedniego przypisu, jak i treści zawartych w publikacji Edwarda Skibińskiego (Zbrodnia w Rudzkim Moście..., 2016) istnieje potrzeba weryfikacji materiałów źródłowych w celu rozstrzygnięcia zarówno liczby egzekucji, jak i liczby Polaków zamordowanych w Rudzkim Moście (przyp. TaCh).

⁶ Taką informację umieszczono na płycie pomnika, odsłoniętego i poświęconego w miejscu egzekucji w Rudzkim Moście 7 września 1986 r. (przyp. TaCh).

⁷ Wśród zamordowanych w Rudzkim Moście jest grupa co najmniej siedmiu leśników, o których piszemy na stronie 99 (przyp. TaCh).



Miejsce Pamięci Narodowej w Rudzkim Moście koło Tucholi, gdzie Niemcy jesienią 1939 r. zamordowali m.in. siedmiu leśników. Fot. Tadeusz Chirzanowski

LEŚNICY ZAMORDOWANI w Rudzkim Moście (przypis: Tadeusz Chrzanowski)

Wśród ofiar zbrodni niemieckich dokonanych jesienią 1939 roku w Rudzkim Moście koło Tucholi są również leśnicy.

Jędrzejowski Mieczysław – leśniczy Leśnictwa Rykowisko w Nadleśnictwie Wierzchlas, zamordowany 10 listopada 1939 roku, żył 30 lat.

Kamiński Konstanty – nadleśniczy Nadleśnictwa Woziwoda, absolwent Wydziału Leśnego SGGW, zamordowany 30 października 1939 roku, żył 43 lata.

Nych Michał – podleśniczy w Nadleśnictwie Zamrzenica, absolwent Szkoły dla Leśniczych w Margoninie, zamordowany 10 listopada 1939 roku, żył 28 lat.

Reichelt Ludwik – rolnik i leśnik lasów prywatnych ze Stobna, zamordowany 15 października 1939 roku, żył 42 lata.

Szwaracki Leonard – leśniczy-sekretarz w Nadleśnictwie Trzebciny, zamordowany 10 listopada 1939 roku, żył 44 lata.

Wilgocki Marian – nadleśniczy Nadleśnictwa Sarnia Góra, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, zamordowany 10 listopada 1939 roku, żył 44 lata.

Żychliński Zbigniew – leśniczy-sekretarz w Nadleśnictwie Wierzchlas, absolwent Szkoły dla Leśniczych w Margoninie, zamordowany 10 listopada 1939 roku, żył 33 lata.



Na zdjęciach obok: Kamiński Konstanty
Nych Michał, Reichelt Ludwik, Szwaracki Leonard,
Wilgocki Marian, Żychliński Zbigniew



Sobiesław Mościcki (1900-1940)

Nadleśniczy SOBIESŁAW MOŚCICKI

(1900-1940)



Sobiesław Maria Kornel Mościcki urodził się 13 sierpnia 1900 roku w Rogaticy, w Bośni (ojciec Kornel Wiktor, matka Jadwiga Radomska), gdzie przebywał do siódmego roku życia. Do szkoły uczęszczał w Rzeszowie, gdzie też ukończył I Gimnazjum Klasyczne, uzyskując maturę. W 1918 roku wstąpił ochotniczo do Polskiego Korpusu Posiłkowego w Bolechowie (dzisiaj Ukraina). Internowany i wywieziony do szpitala Hust na Węgrzech, skąd zbiegł w maju 1918 roku. Przez Przemyśl, Lwów i Kijów zmierzał do II Korpusu gen. Hallera, który w tym czasie został rozbitý pod Kaniowem. W tej sytuacji wraz z braćmi, por. Adrianem Mościckim i kpt. Klemensem Mościckim, przedostał się przez Moskwę do Murmańska. W lipcu 1918 roku – drogą morską i przez Anglię – dotarł do Francji, do obozu polskiego w Sille de Guillaume. W Camp du Ruchard ukończył wojskową szkołę aspirantów-podchorążych. Rozkazem Dowództwa Wojsk Polskich w Paryżu w kwietniu 1919 roku został mianowany na podporucznika. Do Polski wrócił z Armią Generała Hallera 15 maja 1919 roku. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 64. Pułku Piechoty. Do rezerwy został zwolniony 19 listopada 1920 roku w stopniu porucznika.

W 1920 roku podjął studia leśne na Uniwersytecie Poznańskim. Po ich ukończeniu w 1924 roku (dyplom inżyniera uzyskał w 1923 r.) objął służbę cywilną na stanowisku adiunkta leśnego w Administracji Lasów Państwowych. Ożenił się z Marią Nikodemowiczówną. Miał dwoje dzieci: Ewę (ur. 18.10.1925 r.) i syna Andrzeja (ur. 20.09.1928 r.). W 1931 roku został nadleśniczym w państwowym Nadleśnictwie Kartuzy. Stanowisko to zajmował do wybuchu II wojny światowej. Był prezesem Polskiego Związku Zachodniego w Kartuzach. W 1936 roku został mianowany kapitanem Wojska Polskiego.

W opinii o Sobiesławie Mościckim, sporządzonej przez dowódcę Dywizjonu Szkolnego Żandarmerii w Grudziądzu w 1928 roku, czytamy: *Bardzo ambitny, obowiązkowy, stanowczy, pilny, o bardzo wysokim poczuciu honoru. Lubi pracować i to z bardzo dobrym wynikiem. Charakter zrównoważony, w stosunkach koleżeńskich i towarzyskich wzorowy. Wysoki, dobrze zbudowany. Oficer o inteligencji bardzo dużej. Stanowczy i pewny w swoich postanowieniach. Energiczny i zawsze samodzielny. Więcej jak bardzo dobry oficer.*



Nadleśniczy Sobiesław Mościcki (w górnym rzędzie, pierwszy od lewej) w gronie rodzinnym. Lata 30. XX w.



Nadleśniczy Sobieśław Mościcki (pierwszy od prawej, w mundurze) z grupą myśliwych na terenie Nadleśnictwa Kartuzy. Lata 30. XX w.



Założa Nadleśnictwa Kartuzy podczas pożegnania leśniczego Leona Kolki (siedzi drugi od lewej) w 1938 r. Drugi od prawej, w ubraniu cywilnym siedzi nadleśniczy Sobiesław Mościcki

Latem 1939 roku kapitan żandarmerii wojskowej Sobiesław Mościcki został zmobilizowany do Wojska Polskiego. Brał udział w kampanii wrześniowej. Do stał się do niewoli sowieckiej. Przebywał w obozie jenieckim w Starobielsku. Zamordowany przez sowieckie NKWD wiosną 1940 roku strzałem w tył głowy w więzieniu w Charkowie. Spoczywa na tamtejszym Polskim Cmentarzu Wojennym. Podczas prac ekshumacyjnych w 1996 roku natrafiono na dokumenty Sobiesława Mościckiego.

Znamienne jest, że jeszcze w 1976 roku wiceprezes Koła Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBOWiD) „Lasy” w Gdańsku, w specjalnym zaświadczeniu zapewniał wdowę po nadleśniczym Marię Mościcką, że nazwisko jej męża znalazło się na zweryfikowanej liście pracowników leśnictwa zamordowanych przez hitlerowców i umieszczone na pamiątkowej tablicy w Zarządzie Okręgowym Lasów Państwowych w Gdańsku oraz na pomniku pod Kościerzyną.

Dęby Pamięci Sobiesława Mościckiego posadzono przy Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika w Ostrowi Mazowieckiej 17 września 2010 roku, w Wierchlesie (Nadleśnictwo Zamrzenica) 12 października 2013 roku oraz przed siedzibą Nadleśnictwa Kartuzy 9 września 2014 r., gdzie miejscowi leśnicy posadowili również obelisk z inskrypcją poświęconą pamięci nadleśniczego.

Tadeusz Chrzanowski

Zdjęcia: archiwum Nadleśnictwa Kartuzy

Źródła:

Akta osobowe Sobiesława Mościckiego. Centralne Archiwum Wojskowe w Warszawie (kopie i skany dokumentów pozyskane w 2012 r.).

Charków, Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego, Rada Ochrony Pamięci, Walk i Męczeństwa, Warszawa 2003.

Dwunastu z Listy Katyńskiej. Leśnicy i drzewiarze z Pomorza i Kujaw, ofiary Zbrodni Katyńskiej, Polskie Towarzystwo Leśne Oddział w Toruniu, Toruń 2014.

Gostkowska E., Jażdżewski K., Nadleśnictwo Kartuzy. Historia i współczesność. SITLiD Oddział w Gdańsku, Kartuzy 2008.

Peszkowski Z.A.J., Zdrojewski S.Z.M., Leśnicy w grobach Katynia, Warszawa-Łódź-Orchard Lake 2001.

ZBRODNIA KATYŃSKA

Termin „Zbrodnia Katyńska” jest określeniem umownym odniesionym do jednego z miejsc eksterminacji polskiej elity przywódczej w latach II wojny światowej, najwcześniej odkrytego – Katynia i lasu katyńskiego pod Smoleńskiem.

Zbrodnia Katyńska to akt ludobójstwa dokonany przez państwo sowieckie, rękami funkcjonariuszy policji politycznej NKWD, na blisko 22 tysiącach obywateli państwa polskiego, wziętych do niewoli, bądź aresztowanych po agresji Związku Sowieckiego na Polskę, która miała miejsce 17 września 1939 roku.

Polacy przetrzymywani byli w obozach jenieckich w Kozielsku, Starobielsku, Kalininie (Twerze) i więzieniach obwodów zachodnich republik Ukraińskiej i Białoruskiej. Zostali zgładzeni strzałem w tył głowy w Katyniu, Charkowie, Miednoje, w Kuropatach pod Mińskiem i Bykowni pod Kijowem wiosną 1940 roku.

Śmierć poniosło wówczas ponad 22 tysiące Polaków, w tym 14 tysięcy oficerów Wojska Polskiego, którzy w czasach pokoju reprezentowali nie tylko zawodowych żołnierzy, ale również lekarzy, inżynierów różnych specjalności, wybitnych przedstawicieli władz państwowych i samorządowych, duchowieństwa, artystów i ludzi kultury. Zginęło też ponad 8 tysięcy cywilnych obywateli II Rzeczypospolitej reprezentujących przywódczą, patriotyczną, najlepiej wykształconą warstwę narodu polskiego.

Do grona elit II Rzeczypospolitej zaliczali się również leśnicy. Wielu z nich w przededniu II wojny światowej zostało zmobilizowanych do Wojska Polskiego i brało czynny udział w kampanii wrześniowej 1939 roku. Ci ze stopniami oficerskimi, którzy 17 września, po napaści Związku Sowieckiego na Polskę, trafili do niewoli rosyjskiej, zostali osadzeni w specjalnych obozach jenieckich NKWD i wiosną 1940 roku na rozkaz Stalina zamordowani „trybem katyńskim”.

Zbrodnia Katyńska, chociaż w latach 90. XX wieku już szerzej ujawniona, wciąż kryje wiele tajemnic. Zginął w niej kwiat leśnictwa polskiego II Rzeczypospolitej. Według różnych autorów było to kilkuset, nawet ponad 700 leśników. W ostatnim dwudziestoleciu wielu z nich było zbiorowo bądź indywidualnie upamiętnianych w różnych miejscach na terenie całej Polski.

W październiku 2013 roku na obrzeżach „Rezerwatu Przyrody Cisy Staropolskie” w Wierzchlesie na terenie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu posadowiono Krzyż i Obelisk poświęcony pamięci Leśników Polskich – Ofiar Zbrodni Katyńskiej. W sposób szczególny wyróżniono dwunastu spośród nich, związanych zawodowo z regionem Kujaw i Pomorza. Posadzono każdemu z nich drzewko – dąb symbolizujący siłę, trwanie, majestat. A dla nas współczesnych – PAMIĘĆ.

Jest wśród nich Adam Loret – dyrektor naczelny Lasów Państwowych, jest trzech pracowników Dyrekcji LP w Toruniu (Bolesław Błazewicz, Szczepan Łuczak,

Ignacy Nitkowski), jest sześciu nadleśniczych lasów państwowych i prywatnych (Edmund Drecki, Władysław Kotula, Tadeusz Miško, Sobiesław Maria Mościcki, Franciszek Nowicki, Rudolf Zacher) i jest dwóch drzewiarzy – właścicieli tartaków na terenie Pomorza (Edmund Wróblewski i Stanisław Zysnarski).

Tadeusz Chrzanowski



Miejsce Pamięci Leśników Polskich, Ofiar Zbrodni Katyńskiej w Wierchlesie w Nadleśnictwie Zamrzenica na terenie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Uroczyste otwarcie z udziałem członków Rodzin Katyńskich, duchowieństwa, lokalnych władz, społeczeństwa, uczniów Technikum Leśnego w Tucholi im. Adama Loreta i leśników odbyło się 12 października 2013 r.
Fot. Tadeusz Chrzanowski



Stefan Lipiński (1894-1943)

Leśniczy STEFAN LIPIŃSKI

(1894-1943)



karol Lipiński herbu „Suche Komnaty” był moim pradziadkiem po kądzieli. Urodził się w 1857 roku. Wywodził się ze zubożałej szlachty. Zubożałej nie przez hulaszczy tryb życia członków rodu, lecz w wyniku przeciwstawiania się zaborcy, co skutkowało zsyłkami i pozbawianiem własności. Takie represje dotyczyły przedstawicieli rodu w każdym pokoleniu. W I wojnie światowej pradziadek Karol walczył przeciwko Rosjanom, m.in. na Wołyniu pod Kościuchnowką.

Pradziadek ożenił się z Anną z Malatyńskich. Z wykształcenia był leśnikiem. Posiadał gospodarstwo w Mniowie koło Kielc. Jego sąsiadem był Henryk Sienkiewicz, właściciel Oblęgorka. Łączyły ich dobre sąsiedzkie stosunki. W potrzebie Karol udzielał pisarzowi pieniężnych pożyczek. W jego gospodarstwie również wykonano ule do obłęgorskiej pasieki na zamówienie Sienkiewicza.

Pradziadek Lipiński był dobrze znany w okolicy. Liczono się z jego wiedzą i doświadczeniem, zwłaszcza z fachowymi poradami w sprawach leśnych. Nosił sumiaste wąsy, a jego szczupła wysportowana sylwetka świadczyła o dobrej kondycji fizycznej.

DZIADEK STEFAN LIPIŃSKI

Karolowi i Annie urodziły się dzieci, jednym z nich był Stefan, mój dziadek. Przyszedł na świat w 1894 roku w miejscowości Odrowąż koło Skarżyska-Kamiennej. Wykształcił się na leśnika. W latach 1918-1919 brał udział w walkach o Lwów. Później osiadł na Wołyniu.

Wiosną 1920 roku Stefan zgłosił się do ochotniczej Armii Hallera. Stawił się wtedy z własnym koniem „Kirgizem”, własnym karabinem, pistoletem, rodową szablą, rzędem końskim i osobistym wyposażeniem. Dostał przydział do 6 Pułku Strzelców Konnych. Brał udział w wyprawie na Kijów przeciwko bolszewikom. W tym bojowym marszu z hallerczykami szły oddziały ukraińskie Symona Petlury, które miały organizować władzę w wyzwolonej wolnej Ukrainie. Miała ona graniczyć z Polską na rzece Słucz i Zbrucz, a sięgać na wschód po rzekę Dniepr. Zbyt słaba na zamiary okazała się determinacja Ukraińców.

Stefan bił się z Armią Czerwoną aż do zwycięstwa Polski w 1920 roku. Po klęsce bolszewików powrócił na Wołyń, gdzie objął stanowisko leśniczego w Państwowym Nadleśnictwie Czartoryskim. W widłach rzek Styru i Okonki, niedaleko Czartoryska, w uroczysku Popielówka, przy starym unickim cmentarzysku

postawił dom, którego nazwa „Buriany” przetrwała w rodzinnych wspomnieniach do dnia dzisiejszego.

BURIANY

Leśniczówka „Buriany” to nie tylko budynek i gospodarstwo. Stała się ona też czymś w rodzaju gniazda rodzinnego. Dom był zbudowany z drewna. Zadaszony taras oplatały powoje dzikiej winorośli. Prostokątne okna wpuszczały do wnętrza dużo światła i rześkiego powietrza. Na froncie leśniczówki od strony ganku schodziło się na podjazd biegnący wokół klombu. Po obu stronach drogi prowadzącej do bramy wjazdowej rosły świerki, a przy samej bramie szeleszczące topole. Drogą od leśniczówki wychodziło się na trakt Sarny – Czartorysk, wiodący przez most na Styrze.

W obejściu domu stała stodoła, stajnia, drewnutnia, wozownia i niewielki domek gospodarczy. Wszystkie budowle były z drewna, a dachy miały pokryte gontem. Zewnętrzne ściany były bielone wapnem. Od strony ogrodu i sadu zbudowano piwnicę ziemną. We wnętrzu składowany był lód w warstwach przesypywanych trocinami drzew liściastych. Był to obiekt idealnie nadający się do przechowywania żywności. Lód był wycinany zimą na pobliskich jeziorach i zwożony do piwnicy. Niedaleko „Burian” leżały Nowosiółki, niewielka wieś zamieszkała przez Polaków i Ukraińców, zgodnie ze sobą sąsiadujących.

Stefan Lipiński był podłowczym Wołynia. Goście z Warszawy i z zagranicy przybywali do Burian na polowania. Wszyscy zachwycali się leśniczówką i jej otoczeniem. Na dachu stodoły, bociany co roku zasiedlały gniazdo i wyprowadzały młode. Pośrodku obszernego dziedzińca stał żuraw studzienny, woda ze studni była zimna i krystalicznie czysta. Od studni biegł wodociąg doprowadzający wodę do domostwa za pomocą pompy ręcznej zainstalowanej w odrębnym pomieszczeniu. Było to duże udogodnienie dla mieszkańców leśniczówki. Nie trzeba było dźwigać wody w wiadrach.

Okna z tyłu domu wychodziły na obszar piaszczystych wydm o nazwie Smolny, na którym w dolinkach połyskiwały lustra jezierek zasiedlonych przez ptactwo wodne. Leśniczy Stefan Lipiński po konsultacjach ze swoim ojcem Karolem, wbrew panującemu w środowisku zawodowym opiniiom, zastosował starą metodę zalesienia wydm. Na gołej powierzchni układano warstwami gałązki świerkowe i sosnowe, a pośród nich nasadzano drzewka. Unieruchomione w ten sposób wędrujące piaski udało się zalesić. Po kilku latach na niedawnych nieużytkach rósł piękny młody las. Ówczesny nadleśniczy z Czartoryska Władysław Barczewski z uznaniem wyrażał się na temat udanego przedsięwzięcia leśników, ojca i syna Lipińskich.

W ostępach leśnych Nadleśnictwa Czartorysk żyły wilki, łosie, jelenie, sarny, lisy. Przy jeziorkach i rzekach gniazdowały gęsi i kaczki. Na obrzeżach lasów

przy uprawach rolnych odzywały się trąbki bażantów, a w gęstwinie leśnej tokowały głośno. Na zielone łąki nad wodami wychodziły wojownicze cietrzewie. Jesienią przestrzeń nieba zdominowana była przez klucze migrujących żurawi. Na szczytach i w koronach starych drzew spotykało się ptaki drapieżne – sokoły, jastrzębie, a trafiała się też jedna, czy druga para orłów. Pracownicy leśni, zwłaszcza gajowi, mieli obowiązek powiadamiać leśniczego Stefana Lipińskiego o obecności i przemieszczaniu się dzikich zwierząt w nadzorowanych przez nich kompleksach leśnych.

KORPUS GAJOWYCH

Gajowy Całcyński był podoficerem ułanów w rezerwie. Chodził w długim, kawaleryjskim płaszczu. Utrzymywał porządek w powierzonym mu obszarze leśnym. Był żonaty, jednak Całcyńscy nie mieli dzieci. Mieszkali w gajówce na skraju lasu.

Leżący nad Styrem Czartorysk był miasteczkiem po części z drewnianą zabudową. Sporo było domów krytych słomianą strzechą. Od czasu, gdy wprowadzono ubezpieczenia od losowych zdarzeń, dość często dochodziło do pożarów. Wypłacane odszkodowania sprzyjały stawianiu nowych budynków, krytych



Na polowaniu w wołyńskich lasach. Od prawej: leśniczy Karol Lipiński (ojciec Stefana), pracownik leśny Jerzy Mil i gajowy Drojewski. Ok. 1922 r.



Leśniczy Stefan Lipiński ze swoimi dziećmi, od lewej: Marią, Krystyną i Zbigniewem. Ok. 1928 r.

Antonina Lipińska zd. Woźniak,
żona leśniczego Stefana Lipińskiego



gontem lub blachą. Obraz miasteczka się zmieniał. Zimą 1926 roku chroniącemu las przed złodziejami drewna i kłusownikami gajowemu Stasiukowi podpalono nocą gajówkę. Udało mu się wydostać z płonącego domostwa. Biegł w mroźną noc boso po śniegu, okryty tylko kocem. Rozchorował się biedaczysko i wkrótce zmarł na zapalenie płuc. Podczas pogrzebu leśniczy Stefan Lipiński przemawiał nad trumną gajowego. – *Leśniku wierny, ja ci mówię wstań! Nie słyszysz mnie bracie. Las, który tak ukochałeś niech tobie zaszumi pieśń wiekiustą...* Wszystkie kobiety odprowadzające zmarłego na wieczny spoczynek płakały po tych słowach, a umundurowani leśnicy oddali salwę karabinową. Zagrał róg myśliwski i gajowego Stasiuka pogrzebano w ziemi wołyńskiej.

W lesie pracował też Jurek Mil. Wrócił on w rodzinne strony po odbyciu służby wojskowej. Był młodym, wysportowanym mężczyzną, śpiewał rosyjskie dumki, deklamował wiersze naszych wieszczów, lubił towarzystwo i wtedy też nie stronił od kieliszka. Brat Jurka był leśnikiem. Kiedyś służył u białogwardzistów, w oddziałach bałachowców (generała Stanisława Bułaka-Bałachowicza). W czasie rewolucji walczył przeciwko bolszewikom. Miał żonę Muszkę i córeczkę, które bardzo kochał.

Jurek Mil często polował z leśniczym Bronkiem Godlewskim. „Brzuchaty Broniek” bardzo dobrze strzelał z dubeltówki, zarówno z prawej, jak i z lewej ręki. Ukuło się powiedzenie „łże jak Broniek, pudłuje jak Żarski”. Broniek lubił się chwalić. Raz opowiadał, gdzie i jak na przynętę złowił dużą rybę. Słuchający tego gajo-

wy Kalkowiec głośno ripostował: *Pan leśniczy złowił rybę na żółtoju rybozczku, co znaczyło, że chwalipięta kupił okazałą rybę od wędkarzy, a ogłosił własny sukces.*

Wspomniany Jan Źarski był leśniczym z za Styru, pracował w Leśnictwie Zarzecze. Miał wtedy około 30 lat, a dożył podobno 89. Na polowaniach strzelał fatalnie. Za to śpiewał i deklamował na zawołanie: *O cesarzu, myśmy dla ciebie w oczach Europy działali cuda dla glorii i chwały. Myśmy dla ciebie szli i zwyciężali...* Kiedyś Źarski dostał zaszczytu witania biskupa, który odwiedził kościół w Czartorysku. Przemowę na cześć dostojnika zaczął od słów: *Źarski jestem!...*

W czartoryskich lasach na Wołyniu pracowało wielu gajowych: Całczyński, Stasiuk, Mił, Kalkowiec, Grajewski, Jurkowski, Szkoła, Jarosz, Dominiak, Matuchna, Uchow, Malinowski, Nidziński, Herman, Drojewski. Byli to ludzie po służbie wojskowej, ze stopniami podoficerskimi. Większość z nich służyła w piechocie, z wyjątkiem Hermana, który służbę odbył w konnicy armii bolszewickiej i Całczyńskiego, który był ułanem w Wojsku Polskim.

Drojewski nosił sumiaste wąsy. Ten był w armii austriackiej żandarmem, doczekał się stopnia sierżanta. Kalkowiec służył w oddziałach Symona Petlury. W 1920 roku jako polski obywatel walczył przeciwko bolszewikom. Jarosz w czasie wojny był artylerzystą w rusznikarni, a gajowy Malinowski był w wojsku saperem, brał udział w I wojnie światowej.

KAWALERIA LEŚNICZEGO LIPIŃSKIEGO

Leśniczy Stefan Lipiński zapewniał gajowym rozrywkę i ćwiczenia sprawnościowe. Należała do nich jazda konna, ale też strzelectwo i wiosłowanie w dużych łodziach na Styrze. Dziesiątki pokonywanych pieszo kilometrów podczas obchodów leśnych i ćwiczenia gwarantowały dobrą kondycję fizyczną i psychiczną. W rocznice świąt narodowych leśnicy gremialnie uczestniczyli w obchodach, w umundurowanych, zwartych grupach. Trzeciego maja każdego roku leśniczy Lipiński urządzał defilady. Jedną z nich był przemarsz konnicy w Kołkach, oddalonych o 18 kilometrów od Burian. Występował tam zawsze oddział kawalerii uzbrojony w karabiny, szable i lance z biało-czerwonymi proporczykami. Takie manifestowanie patriotyzmu spotykało się z entuzjazmem miejscowego społeczeństwa. Leśnicy z bronią i na koniach byli największą atrakcją obchodzonego święta.

W odległości zaledwie 12 kilometrów od Burian wznosiła się Polska Góra, Kościuchnowka. Była ona areną walk Legionów Polskich Piłsudskiego z armią carską w lipcu 1916 roku. Polacy powstrzymali ofensywę rosyjską, pomimo trzykrotnej przewagi wroga. Każdego roku dla uczczenia legionistów odbywały się uroczystości, w których uczestniczył leśniczy Stefan Lipiński ze swoim leśnym oddziałem. W Komarowie pod Kołkami był cmentarz, gdzie pochowano poległych w 1916 roku legionistów. Z tamtego czasu pochodziły też okopy rozciągające się nad Styrem.



Leśniczy Stefan Lipiński ze swoim koniem „Kirgizen” przed defiladą w Kołkach, 3 maja 1930 r.



Leśniczy Stefan Lipiński na „Kirgizie” z synem Zbyszkiem na „Lopku”. Ok. 1932 r.



Leśniczówka „Buriany”. Przed balustradą stoją od lewej: leśniczy z Zarzeczca Tomasz Ostrowski (prawdopodobnie) i córki leśniczego Stefana Lipińskiego – Maria i Krystyna. Ok. 1936 r.

Na werandzie w Burianach. U góry z prawej leśniczy Stefan Lipiński z dziewczynką na kolanach, poniżej z pochyloną głową córka leśniczego Maria, a poniżej córka Krystyna ze swoim narzeczonym Józefem Gołębiowskim. W głębi, po środku Zbyszek, syn leśniczego Lipińskiego. Ok. 1938 r.





Oparci o pień potężnego dębu stoją: leśniczy Stefan Lipiński z córkami – Marią (z lewej) i Krystyną. W dolnym rzędzie „korpuz sześciu gajowych”, a pośrodku syn leśniczego, Zbyszek. Ok. 1935 r.

ŚLAD PO NICH ZAGINAŁ

Zachowało się jeszcze kilka wspomnień o leśnikach z Czartoryska i okolic. Gajowy Szkoda miał żonę i troje dzieci. Dwoje uczyło się w szkole średniej, a najmłodsze w podstawowej. Po 17 września 1939 roku Szkodę zgarnęło NKWD i później wraz z całą rodziną wywieziono na Sybir. Ślad po nich zaginął.

Ślad zaginął też po Jurku Milu, który został wywieziony przez ruskich. Wywózkę przeżył gajowy Dominiak, ale zmarł lub zginął później w Indiach. Szczęśliwie przetrwała żona Dominiaka, po wojnie wróciła do Polski i zamieszkała w Gorzowie Wielkopolskim. Syn Dominiaków zginął w czasie działań wojennych, walcząc jako marynarz. Drugi syn trafił po wojnie do Toronto. Ożenił się tam z Węgierką, która po powstaniu 1956 roku uciekła z Budapesztu do Kanady.

Gajowi Malinowski i Nidziński po II wojnie światowej zamieszkali w Anglii. Na Sybir sowieci wywieźli gajowego Cholewę wraz z całą rodziną. Tylko ich 8-letnia córeczka przeżyła zesłanie i po wojnie odnalazła się w Anglii, gdzie wyszła za mąż, miała dzieci i pozostała na obczyźnie.

Z podziału dużego Leśnictwa Buriany, jeszcze przed wojną utworzono Leśnictwo Zarzeczce. Leśniczym był tam najpierw Jan Źarski, a po nim Tomasz Ostrowski, który ukończył Szkołę Leśną w Białowieży. Po wojnie został na Wołyniu i przeniósł się do opustoszałej i przejętej przez nowe okupacyjne władze ZSRR leśniczówki Buriany. Mieszkał z żoną i dziećmi aż do wysłania go, rzekomo na kurs leśników, do Kijowa. Tam został... rozstrzelany przez NKWD. Tomasz Ostrowski za czasów II Rzeczypospolitej, jako młody leśniczy był wysportowanym, lubiącym ryzyko mężczyzną. Świetnie jeździł konno i na motocyklu. Lubił popisywać się brawurą. Przejeżdżał po kruchym lodzie na drugą stronę Styru, kiedy w nurcie rzeki już ruszała kra.

Leśniczy Bronek Godlewski, „brzuchaty Bronek” był dowcipny i lubił stroić sobie żarty z bliźnich. Nie oszczędzał nikogo, a że przy tym był pocieszny, uchodziło mu na sucho. Syn Godlewskich, Zdzich, świetnie pływał. Popisywał się nurkowaniem. Kiedy długo nie wypływał na powierzchnię, przerażał tym swoją matkę, która biegając po brzegu Styru wołała: *Zdzisiu wychodź z wody, bo się utopisz!* Godlewscy mieli spory majątek. Dobrze im się powodziło. Lipińscy, co jakiś czas gościli u Bronka i zapraszali z rewizytą na Buriany. Pani Godlewska, kiedy ciężko zachorowała, pojechała z mężem do Francji na leczenie, byli też w Lourdes. Po ozdrowieniu pani Godlewskiej, powrócili do Polski. Tu spotkał ich inny przykry wypadek. Zastrzelił się zarządca majątku i gospodarstwo zbankrutowało. Zaraz po tych wydarzeniach Godlewscy wyjechali do Tomasza, który był bliźniakiem Bronka. Mieszkał w mieście i był adwokatem. Bracia Bronek i Tomasz byli tak do siebie podobni, że w dzieciństwie matka wiązała im odmienne kokardy, żeby ich nie pomylić. W szkole jeden był specjalistą od matematyki, a drugi od łaciny. Wzywani

do odpowiedzi dzielili się rolami, z matematyki odpowiadał zawsze specjalista i podobnie z łaciny. Nauczyciele byli tu bezradni. Kiedy bliźniacy byli już dorosłymi mężczyznami, wciąż wprawiali otoczenie w zdumienie swym podobieństwem.

DZIADEK STEFAN I MAMA MARIA

Leśniczy Stefan Lipiński ożenił się z Antoniną Woźniak. Antosia była piękną kobietą, wnuczką powstańca styczniowego 1863 roku, w której Stefan zakochał się „bez pamięci”. Opowiadano, że dziadek Antosi został ciężko ranny w bitwie z Moskalami w 1863 roku. Trafił wtedy do dworku Kubaszewskich herbu Dołęga. Anna, córka Kubaszewskich zajęła się rannym powstańcem. Młodzi zakochali się w sobie i potajemnie zawarli związek małżeński. Rodzinie nie pozostało nic innego, jak pogodzić się z decyzją młodych.

Moim dziadkom, Stefanowi i Antoninie urodziła się trójka dzieci. Dwie córki, Krystyna i Maria, i najmłodszy syn Zbyszek. Maria (nasza mama urodzona 11 listopada 1915 roku w miejscowości Głębokie na Wołyniu) wyszła za mąż za Jana Grochowskiego herbu Lubicz, naszego ojca, urodzonego 9 września 1914 roku w Koninie. Ojciec z wykształcenia był leśnikiem. Pracę w lasach na Wołyniu podjął jeszcze w okresie międzywojennym. W 1939 roku został zmobilizowany do Armii Pomorze i walczył z Niemcami w kampanii wrześniowej. Był ranny w bitwie nad Bzurą. Trafił do oflagu, skąd wkrótce uciekł i dotarł na Wołyń, gdzie w różnych dramatycznych okolicznościach przeżył wojnę wraz z żoną Marią i ze mną, gdyż urodziłem się 8 września 1942 roku w Ozieryszczach koło Kowla. Po wojnie różne urzędy uparcie wpisywały w moich dokumentach osobistych miejsce urodzenia ZSRR, przeciwko czemu konsekwentnie protestowałem aż do skutku, kiedy uwzględniono rzeczywisty kraj urodzenia, to jest Polskę. Mam dwie siostry, Aleksandrę i Krystynę, które urodziły się już po wojnie, gdy mieszkaliśmy w Zielonej pod Warszawą.

OSTRZEŻENIE Z CZARTORYSKA

Po napaści sowietów na Polskę 17 września 1939 roku, mój dziadek Stefan Lipiński (miał wtedy 45 lat), musiał się ukrywać przed NKWD, które intensywnie poszukiwało Polaków uczestników wojny 1920 roku. Gdyby został schwytany podzieliliby zapewne los tych, co zginęli w Katyniu, Charkowie, Miednoje, Bykowni i w wielu innych miejscach zagłady polskich elit.

Wujek Zbyszek Lipiński wspominał, że już na kilka lat przed wybuchem wojny Stefan został przeniesiony służbowo do leśnictwa w okolicach Świnarzynna na południe od Kowla. Cała rodzina bardzo przeżyła tę przeprowadzkę, bo „Buriany” traktowali jak rodzinne gniazdo i swoje niezastąpione miejsce na ziemi. Jeszcze przed wojną dom rodzinny opuściły obie córki leśniczego. Krystyna wyszła za mąż za Józefa Gołębiowskiego i zamieszkała w Bieżuniu na Mazowszu,

natomiast Maria, moja mama, jak wspomniałem wyszła za mojego ojca, leśnika Jana Grochowskiego.

We wrześniu 1939 roku, po wkroczeniu Armii Czerwonej do Czarторыska, miejscowy Żyd, który prowadził karcznię podsłuchiwał rozmowę komisarza NKWD z grupą podwładnych o planie aresztowania leśniczego Stefana Lipińskiego. Właściciel karczmy, który dobrze znał miejscowe elity wysłał swojego syna z pilną wiadomością do Lipińskiego. Leśniczy natychmiast zebrał rodzinę, powiadomił załogę leśnictwa i przez jakiś czas wszyscy ukrywali się w okolicznych lasach przebrani za chłopów. Przeczekali.

Wkrótce, ze względu na niespokojny wojenny czas żona leśniczego Antosia przeniosła się z Wołynia do centralnej Polski. Był plan, że jak tam się zadomowi to ściągnie syna Zbyszka, jednak to się nie udało. Zbyszek pozostał z ojcem i dziadkiem w Świnarzynie. Senior rodu Karol Lipiński zmarł w styczniu 1942 roku i został pochowany na cmentarzu w pobliskim Kupiczowie.

POLSKIE WSIE POWINNY ZNIKNĄĆ Z POWIERZCHNI ZIEMI

W czasie okupacji sowieckiej Stefan Lipiński działał w konspiracji. Pozostawał w stałym kontakcie z Władysławem Czermińskim ps. Jastrząb i swoim zięciem (a moim ojcem) leśniczym Janem Grochowskim ps. Orzeł. Wobec rosnącego zagrożenia Polaków ze strony Ukraińskiej Organizacji Nacjonalistów i UPA, leśniczy Lipiński organizował Polaków w ugrupowania samoobrony. Zbrodnie ukraińskie na Polakach nasiliły się pod okupacją niemiecką w latach 1942-1943. Ukraińcy współpracowali z Niemcami, w 1943 roku powstała ochotnicza 14. Dywizja Grenadierów SS Galizien (po ukraińsku „Hałyczyna”) licząca ponad 25 tysięcy żołnierzy. Dywizja podlegała Wehrmachtowi, walczyła z polską i sowiecką partyzantką, brała udział w zbrodniach na cywilnej ludności polskiej (m.in. w Hucie Pieniackiej).

W czerwcu 1943 roku Dmytro Klaczkiwski ps. Kłym Sawur – pułkownik UPA, główny kierujący rzezią wołyńską, wydał dyrektywę skierowaną do sotni UPA, przeprowadzenia wielkiej akcji mającej na celu wymordowanie ludności polskiej na Wołyniu. Miała ona dotyczyć mężczyzn w wieku od lat 16 do 60, ale w rzeczywistości mordowano wszystkich niezależnie od wieku i płci. W dyrektywie „Sawura” czytamy: *(...) powinniśmy przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. Przy odejściu wojsk niemieckich należy wykorzystać ten dogodny moment dla zlikwidowania całej ludności męskiej w wieku od 16 do 60 lat. (...) Tej walki nie możemy przegrać i za każdą cenę trzeba osłabić polskie oddziały. Leśne wsie oraz wioski położone obok leśnych masywów powinny zniknąć z powierzchni ziemi.*

Przywódcy OUN-UPA podburzali ludność ukraińską do zbrodni na Polakach, do grabieży ich mienia i ścierania z powierzchni ziemi wszystkiego, co polskie.

W 1943 roku Polacy na Wołyniu znaleźli się w tragicznej sytuacji. Niemcy przymykali oko na ukraińskie zbrodnie. Napastnicy czuli się bezkarni zwłaszcza na prowincji, gdzie nie było okupacyjnych garnizonów niemieckich. Polacy musieli się bronić przed całkowitym unicestwieniem. W odpowiedzi na zbrodnicze napady powstawały oddziały samoobrony, na ogół słabo uzbrojone, jednak w wielu przypadkach dawały one skuteczny opór tchórzliwym napastnikom. W bandach napadających na polskie wsie, poza banderowcami, uczestniczyło też podburzone chłopstwo ukraińskie używające do zabijania swoich polskich sąsiadów siekier, noży, narzędzi rolniczych. Były to bestialskie, okrutne mordy ludności polskiej – niemowląt, dzieci, kobiet, starców, wszystkich bez wyjątku.

Polacy uchodząc przed zagładą, starali się przedostać do większych wiosek-warowni, gdzie istniała samoobrona lub do miast, gdzie było względnie bezpiecznie, jeśli stacjonował niemiecki garnizon wojskowy. Poza miastami Ukraińcy wprost polowali na Polaków uchodzących z rzezi. W drugiej połowie 1943 roku, w szczytowym okresie tzw. „rzezi wołyńskiej”, oddziały polskiej samoobrony działały m.in. w Zasmkach, Kupiczowie i Przebrażu.

ZBRODNIĄ W ŚWINARZYNIE 16 LIPCA 1943

Leśniczy Stefan Lipiński, pomagając uciekającym z pogromu, wykonywał rozpoznanie terenu. Ustalał któredy można ominąć grupy ukraińskich rizinów, aby dostać się do miasta i ocalić życie. Właśnie podczas jednej z takich akcji 16 lipca 1943 roku został pochwycony przez członków UPA. Spętanego przyprowadzono do gajówki w Świnarzynie.

Wioska Świnarzyn położona była w gminie Kupiczów, powiat kowelski, kilkadziesiąt kilometrów od Czartoryska. Rozległe lasy świnarzyńskie były miejscem zgrupowania znaczących sił UPA. Gajowym w Świnarzynie był Polak Rutkowski. 16 lipca 1943 roku ukryła się tu grupa Polaków uciekinierów z okolicznych wiosek. Żona Rutkowskiego Oksenia była Ukrainką. To ona po sprowokowanej awanturze z mężem sprowadziła banderowców na ludzi ukrywających się w gajówce. Oprawcy zapędzili Polaków do piwnicy ziemnej i ustawili uzbrojone strażę. Wśród uwięzionych był 23-letni syn leśniczego Zbigniew Lipiński. Ukraińcy zamordowali gajowego Rutkowskiego i jego córkę Stanisławę. Zamknięci w piwnicy słyszeli wrzaski pijanych banderowców, słyszeli też jęki i krzyki kolejno mordowanych Polaków. W okrutny sposób znęcano się nad leśniczym Stefanem Lipińskim, któremu wykłuto oczy, wyrwano język i cięto piłą... aż do skonań.

Oprawcy starali się jak najdłużej znęcać nad swoimi bezbronnymi ofiarami. Zwyczajne zabicie im nie wystarczało. Kobiety były gwałcone i mordowane ze szczególnym okrucieństwem. Błaganie o litość i jęki torturowanych słyszeli uwięzieni w piwnicy, którzy pojedynczo szli na śmierć. Zbyszek Lipiński próbował wydostać się z piwnicy przez wywietrznik na jej szczycie. Ukraińcy ze-

pchnęli go do środka. Kiedy w pomieszczeniu zostało już tylko dwóch więźniów, Zbyszek namawiał swego kolegę do podjęcia próby ucieczki. Ten jednak zdruzgotany tym, co czynili oprawcy załamał się, nie chciał uciekać. Twierdził, że za próbę ucieczki napastnicy z jeszcze większym okrucieństwem będą ich męczyć przed zabiciem. Zrezygnowany modlił się o szybszą śmierć.

Wtedy, pilnujący piwnicy Ukrainiec otworzył drzwi w górze piwnicy. Jego ciemna sylwetka odcięła się na tle jasnego nieba. Zbyszek usłyszał – *Wychodyty!* Jednym susem pokonał schody, runął na strażnika spychając go na pobocze... Drugi Ukrainiec przystawił pistolet do głowy Zbyszka. Słychać było tylko suchy trzask, pistolet nie wypalił. Zbyszek najszybciej jak potrafił, ile sił w nogach pędził w kierunku najbliższego lasu. Rozległy się krzyki. Za uciekającym świsnęły kule, trzy z nich dosięgły Zbyszka. Jedna urwała palce prawej dłoni, druga strzaskała kość przedramienia, trzecia ugrzęzła w prawym boku... Miał szczęście, żadna nie uszkodziła newralgicznych organów ciała. Żył, uciekał!

Kule wystrzelone by zabić, pobudziły Zbyszka do zdwojonego, nadludzkiego wysiłku, wpadł do lasu i pędził dalej. Dopiero, gdy już ucichły strzały i odgłosy pogoni, zwolnił. Szedł, mocno krwawiąc. Zanurzył się w napotkanym leśnym jeziorku. Chłodna woda powstrzymała krwawienie. Pośród trzciny i zwisających nad wodą gałęzi schronił się przed ludźmi. I tak przeczekał do zmierzchu.

Wyszedł z wody, gdy było już całkiem ciemno. Na wszelki wypadek z kieszeni wyjął dokumenty i schował w mchu pod drzewem. Postanowił udawać Ukraińca. Dobrze znał ich język i obyczaje. Jako syn leśnika, instynktownie wybrał kierunek wędrówki. Szedł całą noc. O brzasku postanowił chwilę odpocząć w ustawionych na polu snopkach. Osłabiony upływem krwi, trudami ucieczki i wędrówki, zasnął. Obudził go szelest słomy i przytłumiony okrzyk kobiety, która pochylała się nad nim: *Zbiszek, Zbiszek!* Okazało się, że trafił na pole szkolnej koleżanki Ukrainki. Jej matka opatrzyła rany Zbyszka i dała znać o tym wydarzeniu mojemu ojcu Janowi Grochowskiemu, który w tym czasie był już szwagrem Zbyszka, jako że ożenił się z jego siostrą Marią. Ja, nie mogę pamiętać tamtych wydarzeń, byłem wówczas niespełna rocznym dzieckiem.

Mój ojciec zawiózł Zbyszka do szpitala w Kowlu. Tam wyjęto z jego boku pocisk karabinowy, odcięto zwisające palce, usztywniono strzaskane przedramię. Po wykonaniu koniecznych zabiegów przeniesiono Zbyszka do naszego domu. Mama kurowała swego brata jak umiała. Zmieniała opatrunki, zwalczała świerzb i tyfus, których nabawił się po tragicznych wydarzeniach w Świnarzynie.

„NIE PYTAJ O TO”

Wobec ogromnego zagrożenia ze strony banderowców, mój ojciec (Jan Grochowski) zdecydował, że umieści mamę ze mną oraz wujka Zbyszka w jakiejś większej miejscowości. I tak trafiliśmy do Kowla, a ojciec wrócił do oddziału

partyzanckiego działającego wtedy już w ramach 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej. Ojciec funkcjonował w konspiracji pod pseudonimem Orzeł. Był żołnierzem oddziału por. Władysława Czermińskiego ps. Jastrząb, który organizował samoobronę polską w szeregu miejscowościach na Wołyniu. Szczególnie zasłynął jako dowódca samoobrony w Zasmykach, kiedy to udaremnił zbrodnicze plany okolicznych sotni UPA, a jego niezdobytą bazę nazwano dumnie Rzeczpospolitą Zasmycką.

Oddział Czermińskiego ratował Polaków uchodzących z kolejnych rzezi prowadzonych przez banderowców i ukraińskie chłopstwo zaczadzone antypolską nienawiścią głoszoną przez przywódców OUN-UPA. Ojciec przeszedł cały szlak bojowy 27 Wołyńskiej Dywizji AK, aż do podstępnego rozbrojenia przez Sowietów w Skrobowie na Lubelszczyźnie. Wielu żołnierzy AK Sowietci rozstrzelali, setki skierowali do łagrów w głąb ZSRR, nieliczni trafili do 2 Armii Wojska Polskiego i poszli razem z Armią Czerwoną na Berlin.

Ojciec trafił do 2 Armii. Wymusił na dowódcach przetransportowanie rodziny, w tym mamy, prababci Anny Orłowskiej, wujka Zbyszka i mnie, do Chełma, co uratowało nas przed Sowietami i Ukraińcami. Po zakończeniu wojny ojciec pracował w Lasach Państwowych, w kilku miejscach w Polsce, koło Skierniewic, w Gdyni i w Zielonej, później w PAGED-zie w Warszawie aż w końcu trafił do Cen-



Spotkanie rodziny w Łucku podczas okupacji w 1943 r. Od prawej: leśniczy Jan Grochowski ps. Orzeł, jego matka Janina Grochowska zd. Orłowska i Maria Grochowska zd. Lipińska. Na rękach Janiny - Wiesław, syn Grochowskich (autor artykułu)

tralnego Związku Spółdzielczości Pracy w Warszawie. Jego losy to materiał na osobną opowieść. Dodać jednak muszę, że był bardzo powściągliwy, gdy chodzi o wspomnienia z czasów wojny. Był świadkiem niewyobrażalnych zbrodni ukraińskich, niemieckich i sowieckich na Polakach. Sam często cudem unikał śmierci. Był świadkiem zdrady, kolaboracji, ale i... skutków gadulstwa i wtajemniczania osób postronnych i bliskich w sprawy, które przesądzały o życiu i śmierci.

Gdy, już wiele lat po wojnie, dopytywałem o niektóre osoby i wydarzenia z czasów okupacji i pytałem jak to było naprawdę, odpowiadał krótko: *Nie pytaj o to*. Ojciec zmarł w 1985 roku w Komorowie koło Warszawy i został pochowany w grobie rodzinnym na wojskowych Powązkach.

CIS PAMIĘCI W CELESTYNOWIE

Zbyszek Lipiński, syn leśniczego Stefana Lipińskiego, przeżył wojnę i został geodetą. Zabierał mnie czasami na pomiary gruntów ornych i obszarów leśnych. Ożenił się z Anną z domu Windyga, jednak dzieci nie mieli. Wujek Zbyszek zmarł w 2004 roku w wieku 84 lat i został pochowany w Warszawie.

Miejsce pochówku dziadka Stefana Lipińskiego pozostaje nieznane. Wkrótce po zbrodni mój ojciec z kolegami z oddziału AK podjęli próbę zlokalizowania dołu śmierci w Świnarzynie. Nie znaleźli, a czasy były nadal niebezpieczne dla Polaków. Po wojnie Świnarzyn znalazł się najpierw w granicach ZSRR, później Ukrainy i wciąż dziesiątki tysięcy Polaków pomordowanych przez Ukraińców w latach 1939-1947 nie mają swoich mogił, a na nich krzyża.

Jesienią 2018 roku w Nadleśnictwie Celestynów na terenie „Golgoty Wschodu Leśników Polskich”, w sąsiedztwie „lasu katyńskiego”, miałem zaszczyt uczestniczyć w posadzeniu mojemu dziadkowi Stefanowi Lipińskiemu „Cisa Pamięci” z krótką inskrypcją: „Śp. Stefan Lipiński, Obrońca Lwowa 1918-1919. Chorąży 6 Pułku Strzelców Konnych - ochotnik 1920 roku. Nadleśniczy i Podłowczy Wołyń. Zamordowany przez OUN-UPA 16 lipca 1943 roku w Świnarzynie”.

W pamięci i tradycji rodzinnej mój dziadek Stefan Lipiński pozostaje właśnie jako Nadleśniczy Wojewódzki i Podłowczy Wołyń. Pisząc o Nim, takie funkcje podają również niektórzy autorzy publikacji na temat martyrologii leśników polskich na Wołyniu, np. Ewa Siemaszko, Stanisław Sosenkiewicz i Norbert Toczyk czy Edward Orłowski.

Wiesław Maria Grochowski

Zdjęcia: archiwum rodzinne Wiesława Grochowskiego

ZBRODNIĄ WOŁYŃSKĄ

W wyniku Zbrodni Wołyńskiej dokonanej przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach zamieszkujących Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej, w latach 1939-1945, zginęło ponad 130 tys. naszych rodaków – mężczyzn, kobiet i dzieci. W tym gronie jest ponad 400 leśników i drugie tyle członków ich rodzin. Mimo upływu dziesięcioleci, ta wielka tragedia jest wciąż mało znana i prawie nieobecna w narodowej świadomości.

W latach 1939-1945 na terenach polskich Kresów zamieszkałych wspólnie przez Polaków i Ukraińców nacjonałiści ukraińscy dokonywali na wielką skalę zbrodni na Polakach pod hasłem stworzenia przez nich „Ukrainy dla Ukraińców”. „Do najdrastyczniejszego przebiegu mordów i największej liczby ofiar doszło na terenach czterech województw II RP – wołyńskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego i wschodniej części lwowskiego” – pisała w 2015 roku Ewa Siemaszko w artykule pt. „Leśnicy ofiarami zbrodni wołyńskiej”, na podstawie którego przygotowano niniejszą syntetyczną informację.

130 TYSIĘCY ZAMORDOWANYCH POLAKÓW

Organizatorem zbrodni i sprawcą była Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) kierowana przez Stepana Bandere oraz utworzona przez nią Ukraińska Powstańcza Armia (UPA). Celem OUN-UPA było zdobycie niezależnego państwa ukraińskiego jednolitego narodowościowo, przy czym jako metodę osiągnięcia celu zastosowano biologiczną eliminację grup uznanych za wrogie, na pierwszym miejscu stawiając Polaków i głównie wobec nich skierowując wszystkie siły i zbrodnicze środki. Motyw narodowościowy zbrodni stanowił podstawę do zakwalifikowania jej jako zbrodni ludobójstwa w świetle Konwencji o zapobieganiu i zwalczaniu zbrodni ludobójstwa z 1948 roku uchwalonej przez ONZ.

Ofiarami zbrodni wołyńskiej, których liczbę Ewa Siemaszko szacuje na co najmniej 130 tys. Polaków, była głównie ludność wiejska, będąca w liczebnej przewadze w stosunku do polskich mieszkańców miast, bowiem w miastach stacjonowały liczniejsze okupacyjne wojskowe oddziały niemieckie, których obecność działała powstrzymująco na OUN-UPA. Mordy ukraińskie cechowały się niezwykłym okrucieństwem i barbarzyństwem, dotyczyły wszystkich Polaków niezależnie od płci i wieku, co dało podstawę do nadania tym zbrodniom kwalifikacji „ludobójstwa strasznego, przerażającego” (*genocidium atrox*).

Pod względem społeczno-zawodowym wśród ofiar dominowali rolnicy, ale byli też duchowni rzymsko-katoliccy, właściciele i pracownicy majątków ziemskich, nauczyciele, leśnicy, urzędnicy, lekarze, weterynarze i farmaceuci, młynarze i kowale, działacze przedwojennych organizacji społecznych.

W opracowaniu artykułu „Leśnicy ofiarami Zbrodni Wołyńskiej” Ewa Siemaszko wykorzystwała wszystkie najważniejsze źródła wiedzy na ten temat oparte na relacjach świadków zbrodni, którym udało się przeżyć, zawarte w obszernych publikacjach na temat ukraińskiego ludobójstwa w kresowych województwach II Rzeczypospolitej, dokumentach historycznych i archiwach¹.

LEŚNICY OFIARAMI ZBRODNI WOŁYŃSKIEJ

Leśnicy na Kresach Wschodnich byli grupą szczególnie niepożądaną dla podziemia ukraińskiego. Umiejętność posługiwania się bronią, dysponowanie nią, znajomość i kontrolowanie obszarów leśnych, społeczne rozeznanie – to warunki sprzyjające zaangażowaniu się w tworzenie polskiego podziemia wojskowego i obrony, a do tego straż leśna mogła być świadkiem organizowania się i działania nacjonalistów ukraińskich. Szczególnie istotne dla OUN-UPA stało się to podczas okupacji niemieckiej, ponieważ Niemcy zorganizowali tzw. Forstschutz, czyli Straż Leśną, w której pracowało wielu Polaków z odpowiednimi kwalifikacjami. Toteż mordy służby leśnej znacznie wyprzedzały w danym rejonie zbrodnie masowe na Polakach lub były dokonywane na samym ich początku. Świadczy o tym liczba 11 zamordowanych leśników w 1942 r. na Wołyniu (zob. tab. 1 na s. 128) oraz 33 zamordowanych tamże w I kwartale 1943 r.² Jednakże nie wszyscy leśnicy ginęli zanim OUN-UPA przystąpiła do mordów masowych. Byli mordowani także podczas totalnej depolonizacji w latach 1944-1945, co jest uwidocznione w tab. 1.

Mordercze napady na leśników miały miejsce także po zakończeniu okupacji niemieckiej i całkowitym zajęciu przez Związek Sowiecki Kresów Wschodnich w połowie 1944 roku. W 1945 roku zamordowanych zostało łącznie 14 leśników, głównie na terenie dawnego województwa tarnopolskiego. Niedostateczna ilość informacji nie pozwala na ustalenie, czy ginęli wówczas jako pracownicy leśni, czy też jako byli leśnicy i wyłącznie z powodów narodowościowych.

Wśród wszystkich zatrudnionych w leśnictwie na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej większość zamordowanych stanowiła służba leśna (11 nadleśniczych, 144 leśniczych, 140 gajowych), to jest co najmniej 295 osób, co stanowi 70% wszystkich zamordowanych pracowników (418), a faktycznie znacznie więcej, bowiem z całą pewnością leśniczowie i gajowi znajdowali się w grupie ofiar, których rola nie została precyzyjnie określona w materiałach źródłowych. W relacjach używa się niezbyt precyzyjnych określeń, typu pracownik nadleśnictwa, pracownik leśnictwa, pracownik leśny, leśnik itp. Wśród służby leśnej ofiarami było co najmniej 15 inżynierów leśników: 10 w woj. stanisławowskim, 4 w tarnopolskim i 1 w wołyńskim.

Ofiarami zbrodni ludobójstwa ukraińskiego byli także członkowie najbliższej rodziny leśników – żony, dzieci, rodzice, teściowie i rodzeństwo. Choć narastające zagrożenie powodowało, że leśnicy starali się umieścić swe rodziny w bezpieczniejszych miejscach, np. wywożąc do miasta, to jednak nie wszystkim

Tab. 1. Leśnicy zamordowani w latach 1939-1945 (za: E. Siemaszko, 2015)

Województwo	1939	1941	1942	1943	1944	1945	Data niepewna	Razem
Wołyńskie	16	1	11	96+?	3		4	131+?
Tarnopolskie	8+?*	2		40	38+?	12	3	103+?
Stanisławowskie	3+?		1	44	29		1	78+?
Lwowskie (cz. wschodnia)	1	2	2	36	59+?	2	4	106+?
Razem	28	5	14	216	129	14	12	418+?

*+? oznacza liczbę niewiadomą ponad ustaloną, wynikającą z materiałów źródłowych

Tab. 2. Liczby zamordowanych leśników i ich rodzin przez nacjonalistów ukraińskich (za: E. Siemaszko, 2015)

Województwo	Leśnicy	Członkowie rodzin	Razem leśnicy i członkowie rodzin
Wołyńskie	131+?	153	284+?
Tarnopolskie	103+?	28	131+?
Stanisławowskie	78+?	76	154+?
Lwowskie (cz. wschodnia)	106+?	85	191+?
Razem	418+?	342	760+?

udawało się w porę, i ginęły rodziny leśne w części lub w całości, pozostawiały sieroty i inwalidzi. Były przypadki, że podczas napadu na leśniczkę lub gajówkę wymordowano wszystkich prócz leśnika, bo akurat w tym czasie przebywał gdzie indziej i odwrotnie – rodzina ocalała, bo leśnik został zamordowany poza swoją placówką.

Z ustaleń Ewy Siemaszko wynika, że nacjonaści ukraińscy w ramach tzw. Zbrodni Wołyńskiej zamordowali co najmniej 418 leśników oraz 342 członków ich rodzin, co łącznie daje liczbę 760 mężczyzn, kobiet i dzieci (zob. tab. 2)³.

NIEZAKOŃCZONA PRACA

Podsumowując tę – jak podkreśla Ewa Siemaszko – niezakończoną pracę nad stratami polskiej służby leśnej z rąk nacjonalistów ukraińskich, trzeba zwrócić uwagę, że poza ludzkimi osobistymi krzywdami wyrządzonymi ofiarom i rodzinom pomordowanych, mieliśmy do czynienia z ogromnymi stratami o znaczeniu społecznym i narodowym. Ginęli głównie młodzi ludzie, solidnie przygotowani do zawodu w II Rzeczypospolitej, odznaczający się postawami obywatelskimi i patriotycznymi, w wielu przypadkach zaangażowani w walkę o niepodległość, będący w lokalnych środowiskach elitą przywódczą.

Prace i badania nad stratami Polski i polskiego społeczeństwa poniesionymi w wyniku II wojny światowej są trudne ze względu na niezwykle szeroki zakres i rozmiar. Pomimo upływu 75 lat od zakończenia działań wojennych w wielu przy-

padkach nasza wiedza o pomordowanych rodakach jest całkowicie szczątkowa i pochodzi niemal wyłącznie z relacji nielicznych świadków, którym udało się przeżyć wojnę i falę zbrodni. Ale z racji upływu czasu praktycznie nie ma ich już pośród nas. Szczególna trudność dotyczy ziem II Rzeczypospolitej utraconych w wyniku wojny światowej, do jakich zaliczają się Kresy Wschodnie II RP. Współczesne państwo ukraińskie nie jest zainteresowane odkryciem pełnej prawdy o Zbrodni Wołyńskiej, a nawet gloryfikuje jej sprawców wnosząc do rangi bohaterów narodowych, którym stawiane są pomniki. Trzeba też pamiętać, że Polacy – ofiary tej zbrodni wciąż – nie doczekali się ekshumacji z dołów śmierci i godnego upamiętnienia pod znakiem krzyża.

Nasza wiedza na temat kadr leśnictwa polskiego na Kresach Wschodnich jest znacznie skromniejsza niż ta o kadrach części centralnej i zachodniej II Rzeczypospolitej. Wynika to ze wspomnianego już wyżej faktu utraty Kresów w wyniku wojny światowej, a razem z tym utraty dokumentów i archiwaliów dotyczących tamtych ziem i mieszkańców, jak i ograniczeń w dostępie do miejsc zbrodni i możliwościach prowadzenia swobodnych poszukiwań i badań.

Trzeba też zwrócić uwagę, że o ile udział lasów państwowych w Polsce międzywojennej wynosił średnio około 40% (w województwie pomorskim nawet 76%), to w województwach kresowych był niższy niż 20%. We lwowskim wynosił zaledwie 4,2%, a w tarnopolskim lasów państwowych w ogóle nie było. Co to oznacza? A mianowicie tyle, że tamtejsi leśnicy zatrudniani byli przez właścicieli lasów prywatnych i do dzisiaj zasadniczo nie zachowały się żadne dokumenty personalne. Podczas, gdy odnośnie Administracji Lasów Państwowych takich publikacji okresu międzywojnia zachowało się sporo (np. Almanach z 1933 roku, albo wileńskie Kalendarze Informacyjne). Stąd wynikają też poważne trudności w weryfikacji świadectw pozostawionych przez mieszkańców Kresów, którzy przeżyli wojnę i falę zbrodni.

Tadeusz Chrzanowski

¹Dokładny wykaz źródeł w artykule Ewy Siemaszko pt. „Leśnicy ofiarami Zbrodni Wołyńskiej” w: „Znaczenie lasów w obronności kraju”. Polskie Towarzystwo Leśne, Toruń 2015.

²Masowe zorganizowane zbrodnie OUN-UPA na Polakach zamieszkujących Wołyń rozpoczęły się w niedzielę 11 lipca 1943 r., kiedy Ukraińcy napadli na sto miejscowości zabijając w okrutny sposób kilka tysięcy osób, w tym kobiety, dzieci, starców (zob. Wikipedia: „Krwawa niedziela na Wołyniu”).

³Jeszcze wyższe szacunki dotyczące liczby pomordowanych w Zbrodni Wołyńskiej leśników i członków ich rodzin, przekraczające tysiąc osób zamordowanych, podają Stanisław Sosenkiewicz i Norbert Tomczyk w publikacji „Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich na polskich leśnikach w latach 1938-1948”. Nortom. Wrocław 2008.



Norbert Dutkiewicz (1898-1943)

Nadleśniczy NORBERT DUTKIEWICZ

(1898-1943)



Norbert Dutkiewicz jest postacią mniej znaną pośród korpusu nadleśniczych pomorskich okresu międzywojennego. Może dlatego, że prywatne Nadleśnictwo Pieńkowo, którym kierował w latach 1935-1943 przestało istnieć w nowej rzeczywistości ustrojowej po 1945 roku. Obszar ten wchodzi dzisiaj w skład Nadleśnictwa Zamrzenica.

Nadleśniczy Dutkiewicz zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz 29 października 1943 roku. Wspomnienie o nim spisano dzięki pomocy uzyskanej od syna Michała Dutkiewicza i wnuka Norberta Dutkiewicza oraz korzystając z publikacji Marka Sassa poświęconej majątkowi Kamienica¹, w skład którego wchodziło Nadleśnictwo Pieńkowo.

Norbert Dutkiewicz urodził się 6 czerwca 1898 roku w Rogoźnie Wielkopolskim w powiecie Oborniki, skąd wywodzi się ród Dutkiewiczów. Jego ojciec posiadał fabrykę wyrobów miedzianych, a matka Katarzyna z domu Cholewińska prowadziła gospodarstwo domowe. Norbert miał liczne rodzeństwo – kilku braci, którzy jednak zmarli we wczesnym dzieciństwie oraz cztery siostry. Do niemieckojęzycznej szkoły powszechnej uczęszczał w Rogoźnie. Świadectwo dojrzałości uzyskał 9 kwietnia 1918 roku w miejscowym Gimnazjum.

O POLSKĘ NIEPODLEGŁĄ

Norbert Dutkiewicz, w 1918 roku powołany do armii pruskiej służył w kawalerii, do – jak pisze w swoim życiorysie – wybuchu rewolucji, kiedy wraz z siostrami Marią i Wojciechą, przyłączył się do Powstania Wielkopolskiego. Z początku walczył w rogozińskich oddziałach powstańczych, a w styczniu 1919 roku wstąpił do 3 Pułku Ułanów Wielkopolskich w Gnieźnie. Po zwycięstwie Powstania Wielkopolskiego i zwolnieniu z wojska 15 października 1919 roku podjął praktykę w Nadleśnictwie Sieraków. Jednak, gdy bolszewicy nacierali na Polskę w sierpniu 1920 roku przerwał pracę w lasach i wstąpił do Ochotniczego Pułku Jazdy Wielkopolskiej w Poznaniu. Pułk brał udział w zwycięskich walkach o Brodnicę, a później na froncie białoruskim. W styczniu 1921 roku powrócił do Poznania. Za zasługi bojowe i żołnierską postawę na rozkaz Naczelnego Wodza pułk ochotniczy został przemianowany na 26 Pułk Ułanów Wielkopolskich.



Norbert Dutkiewicz ze swoimi siostrami: Marią i Wojciechą po przyłączeniu się do Powstania Wielkopolskiego. Około 1919 r.

STUDIA, PRACA ZAWODOWA, RODZINA

Norbert Dutkiewicz wrócił do życia cywilnego. Od 1921 do 1924 roku studiował leśnictwo na Uniwersytecie Poznańskim. Po uzyskaniu w 1925 roku absolutorium Wydziału Rolniczo-Leśnego został skierowany do Nadleśnictwa Durowo w charakterze asystenta nadleśniczego. Na krótko, bo już 1 kwietnia 1925 roku przyjął stanowisko nadleśniczego w nadleśnictwie i tartaku księży filipinów (Nadleśnictwo Piaski Zarządu Leśnego Oratorium św. Filipa w Gostyniu) w gminie Piaski w powiecie gostyńskim, gdzie pracował do 1931 roku. Lasy zakonu filipinów obejmowały m.in. duże plantacje modrzewiowe. Wiadomo, że po wojnie lasy kościelne zostały przejęte przez państwo i dzisiaj wchodzą w skład państwowego Nadleśnictwa Piaski.

W tym czasie Norbert Dutkiewicz poznał w Poznaniu Marię Schroeder. Jej rodzina pochodziła ze Szwarcwaldu skąd przeniosła się do Sopotu na terenie Prus Wschodnich. Ojciec Marii miał tam wytwórnię papierosów. Następnie rodzina Schroederów osiedliła się w Poznaniu. Matka Marii prowadziła praktykę dla dziewcząt w zakresie prowadzenia gospodarstwa domowego. Ślub Norberta Dutkiewicza i Marii Schroeder odbył się w kościele Świętego Wojciecha w Poznaniu 4 marca 1930 roku.

Kryzys gospodarczy spowodował w 1931 roku likwidację stanowiska nadleśniczego w lasach księży filipinów. Norbert Dutkiewicz podjął wówczas pracę na terenie województwa kieleckiego, gdzie przeprowadził urządzenie 22 tys. ha lasów Starachowickich Zakładów Górniczych. W 1932 roku w rodzinie Dutkiewiczów urodził się syn Michał.



Norbert Dutkiewicz i Maria zd. Schroeder związek małżeński zawarli 4 marca 1930 r.

W kwietniu 1932 roku Dutkiewicz objął zarząd lasów majątku Komierowskich w powiecie sępoleńskim na Krajnie. Zamieszkał w Komierowie z rodziną. Tu w 1935 roku urodziły się bliźniaczki Elżbieta i Anna. Ze względu na trudne warunki mieszkaniowe, Dutkiewicz przyjął stanowisko nadleśniczego w nieodległym, prywatnym Nadleśnictwie Pieńkowo. Wchodziło ono w skład majątku ziemskiego Kamienica koło Gostycyna w powiecie tucholskim. Właścicielami majątku byli Polacy, bracia Jan i Franciszek Górscy, chociaż faktycznie mieszkał na miejscu i zarządzał posiadłością Jan i jego żona Teresa.

NADLEŚNICTWO PIEŃKOWO

Nadleśnictwo Pieńkowo obejmowało blisko 2220 ha, w tym 1979 ha lasów gospodarczych. Na pozostałą powierzchnię składały się grunty orne, pastwiska, wody, bagna, rowy, drogi oraz osady. Las podzielony była na 78 oddziałów o powierzchni około 25 ha każdy. Jak pisze Marek Sass: oddzielną jednostkę stanowiła tak zwana „Parowa” obejmująca 51 ha, która była najdalej na północ wysuniętą częścią kamienickiego lasu, oraz pobliski „Park” dworski o powierzchni 50 ha, który przylegał do głównego kompleksu leśnego.

Administrację prywatnego Nadleśnictwa Pieńkowo w 1935 roku tworzyły cztery osoby. Obok nadleśniczego Norberta Dutkiewicza, byli też leśniczowie: Jan Nowakowski, później zastąpił go Wolnik (Leśnictwo Leontynowo), Wojciech Tomaszewski (Leśnictwo Stary Młyn) i Niemiec Karl Lüpke (Leśnictwo Wapienik). Nadleśniczy był jednocześnie kierownikiem tartaku. W Planie gospodarstwa leśnego sporządzonym w latach 1934-1935 na temat jego działalności zapisano (cytowane za Markiem Sassem, 2012): *Na plus majątku (Kamienica) należy zanotować uruchomiony właśnie tartak, który przeciera coroczną, przeznaczoną do wyřębu, produkcję drzewną na półfabrykaty, potrzebne i poszukiwane przez okoliczną ludność. Gospodarstwo leśne unika wysokich kosztów pośrednictwa w sprzedaży z jednej strony, z drugiej natomiast – czerpie zysk z przeróbki surowca.* Przed samą wojną tartak zlikwidowano, a teren po nim zalesiono.

W 1921 roku na terenie Nadleśnictwa Pieńkowo wybuchł groźny pożar, który strawił około 180 ha lasu. W latach 1923-1927 z kolei las niszczone był przez sówkę (strzygonię) choinówkę. Na domiar tych niepomyślnych zdarzeń, intensywną eksploatację najstarszych drzewostanów sosnowych prowadzili przez kilkanaście lat żydowscy przedsiębiorcy Max Neumann i Arthur Baerwald. Poprzednia właścicielka Kamienicy, Niemka hrabina Paula von Königsmarck, zanim sprzedała majątek Górskim (w 1922 r.) zainkasowała od Neumanna i Baerwalda pieniądze za drewno na pniu w kilku najstarszych i najcenniejszych oddziałach leśnych. Grunty pod wycinanym starodrzewem, jak i obowiązek ich odnowienia należał do Górskich. Dopiero tuż przed wybuchem II wojny światowej Górski odkupił od Baerwalda ocalałą resztkę starych drzewostanów.



Mapa przedstawiająca tereny byłego prywatnego Nadleśnictwa Pieńkowo (dzisiaj w granicach Nadleśnictwa Zamrzenia), którym zarządzał nadleśniczy Norbert Dutkiewicz. Mapę opracował: Michał Wojcieszkiwicz

„LAS KAMIENICKI” WSPOMINA TERESA GÓRSKA

Las kamieniecki opisała Teresa Górską (1898-1990), żona Jana Górskiego (1899-1939), właściciela majątku Kamienica w latach 1922-1939, we wspomnieniach zatytułowanych „Dzieciństwa moich dzieci. Pisane w latach 1978-1980 w Poznaniu”. Oto „leśny” fragment opisu zaczerpnięty z publikacji Marka Sassa:

Las w Kamienicy był deficytowy. Stało się to z przyczyny, iż hrabina Koenigsmarck, przed sprzedażą majątku braciom Górskim w 1922 roku, oddziały starodrzewu sosnowego, których wyrąb przypadał na następne kilka lat, sprzedała na pniu Żydowi. Ów Baerwald we własnym tartaku zbudowanym na skraju lasu, rok po roku, eksploatował najpiękniejszy starodrzew, natomiast tak pracochłonna czynność jak wykarczowanie i następnie zalesienie (odnowienie – TaCh) wyrąbanych oddziałów należało już do nowych właścicieli. Pozostawał więc jedynie dochód z trzebieży w młodszych oddziałach na kopalniaki i drewno opałowe. Gospodarstwo leśne ratowało się dodatkowo czym mogło: przez wyzyskanie strumyków i łączek leśnych powstawały stawy zarybiane karpem i linami; zbudowana suszarka szyszek przy nadleśnictwie dostarczała nasion sosnowych do szkółek.

Las kamienicki ciągnął się długim na kilka kilometrów wąskim pasem wzdłuż Brdy między jej dwoma dopływami: Kamionką i Sępolną. Mniej więcej w połowie tego pasa znajdowała się siedziba Nadleśnictwa Pieńkowo (mapa na str. 133), skąd urzędował nadleśniczy mający do pomocy trzech leśniczych w leśniczówkach położonych na dwóch krańcach (Leontynowo i Wapiennik – TaCh) i w połowie całego obszaru (Stary Młyn – TaCh). Na przeciwnym brzegu Brdy rozciągały się lasy państwowe Zamrzenica wchodzące w skład dużego kompleksu lasów zwanych Borami Tucholskimi.

Ubogi w dochody las kamienicki był za to bogaty i przepiękny w innych dziedzinach. Położony na górzystym terenie, a nad bystrym nurtem Brdy, dostarczał wielu pięknych widoków z wysokich urwistych brzegów na kręty bieg rzeki. W tym miejscu, będąc kiedyś z żoną z wizytą u nas, Wyczółkowski poprosił, abym się zatrzymała, wysiadł z bryczki i w podręcznym notatniku szkicował pokręcone konary pojedynczych sosen, których grube pnie o jasnej gładkiej korze wskazywały na ich wiek około dwustu lat. W innym znów miejscu z wysokiego wzgórza roztaczał się widok na jezioro „Krzywe Kolano” i „Maszkę”. W jednym z oddziałów na stokach głębokiego parowu rosło wiele imponujących wzrostem na dwa i trzy metry jałowców, chyba po 300 lat.

Na wiosnę w dwóch oddziałach nad Brdą kwitły rozległe dywany konwalii, w lecie las obfitował w poziomki i czarne jagody, a nigdy i nigdzie nie widziałam takiego mnóstwa borowików, jak w kilku oddziałach lasu kamienickiego, prócz wszelakich innych grzybów. Leśniczowie mieli obowiązek dostarczać do dworu jagód i grzybów ze swoich rewirów. Ponieważ jednak miałam pasję zbierania grzybów wymówiłam sobie tę dziedzinę zaopatrywania domu wyłącznie dla siebie. (...)

Pomorze nie jest strefą zajęczką; w Kamienicy, tak w lesie jak na polach było ich bardzo mało, nie trzymały się również bażanty. Kuropatw było zaledwie kilka

stad. Ale za to saren, jeleni i dzików było dużo. Małe błotka o nazwach „Kacze doły” i „Wilcze doły” były rajem dla dzików, toteż stale ich brzegi były przez nie poryte i wydeptane, gdyż zażywały tu ulubionych błotnych kąpiel.

Dziki były jednym więcej rozchodem (kosztem – TaCh) dla administracji leśnej z powodu konieczności wypłacania odszkodowań okolicznym gospodarzom za szkody poczynione przez nie na polach. Ale właścicielem lasu był myśliwy (Jan Górski – przyp. TaCh), więc w zimie podkarmiło się je jeszcze, aby się tu czuły dobrze i nie wyginęły.

Jelenie trzymały się w naszym lesie stale, ale we wrzeźniu, w okresie rykowiska, zwiększała się wybitnie ich liczba, gdyż tak jelenie, jak łanie przepływały przez Brdę z Zamrzenicy; widocznie w tym czasie teren lasów kamienickich szczególnie im odpowiadał. Bywały wieczory i noce, gdy na całym obszarze lasu ryczało dwanaście byków. Wystarczyło wyjść poza podwórze, by już je słyszeć; szczególnie w zimne księżycowe noce ich triumfalny zew odbijał się echem po całym obszarze lasu; przy ciepłej i mglistej pogodzie panowała w lesie cisza. (...)

W okresie mojego pobytu w Kamienicy mieliśmy któregoś roku klęskę szkodnika leśnego sówki choinówki. W pierwszym okresie latały gromadami te kosmate ćmy, później nieprzeliczone zastępy tłustych, zielonych gąsienic żerowały na sosnach. W ciszy leśnej rozlegał się ustawicznie szelest opadających igieł sosnowych; opony bryczki nabierały koloru zielonego od rozgniatanych w koleinach liszek. Dziki stały się wówczas naszymi sprzymierzeńcami – niszczyły w ściółce liszki i poczwarki, toteż zaatakowane przez choinówkę oddziały były całe przez nie poryte. Aby zwiększyć ten sposób walki zainstalowano w nadleśnictwie część naszych świni i wyganiano je do lasu na żerowanie. Las ogromnie ucierpiał; całe oddziały sosen stały ogołoczone z igieł. W następnym roku znowu pojawiła się strzygonia, lecz w znacznie mniejszym stopniu dzięki dzikom, świniom i pojawieniu się drapieżnych owadów gąsieniczników niszczących larwy choinówki przez składanie jaj w ich organizmie.

System zalesiania za czasów niemieckich był wadliwy – sadzono wyłącznie sosny, co nie stwarzało odpowiednich warunków na gnieźdzenie się ptaków owadożernych. Wszystkie bieżąco zalesiane oddziały otaczano szerokim pasem brzozy; na sosnach wieszano drewniane domki dla ptaków.

Tyle leśnych wspomnień dziedziczki majątku Kamienica, Teresy Górskiej.

Norbert Dutkiewicz pełniąc stanowisko nadleśniczego w Pieńkowie nadzorował również około 70 ha stawów rybnych, wspomniany już tartak oraz wyluszcarnię nasion. Był zamiłowanym hodowcą i treserem psów myśliwskich. Jego psy zdobyły niejedyn medal. Pasjonował się również łowiectwem. W swoim gabinecie w Pieńkowie miał liczne trofea rogowców, dzików i jeleni. Ostatni strzelony przez niego jeleni byk uzyskał brązowy medal na Wystawie Łowieckiej



Nadleśnicy Norbert Dutkiewicz (siedzi drugi od prawej) po zakończonych egzaminach leśnych w Toruniu, 6 lipca 1939 r.

w Tucholi w 1939 roku. Wieniec ten już po wojnie rodzina przekazała do Muzeum Borów Tucholskich w Tucholi.

WSPOMINA MICHAŁ DUTKIEWICZ

O Nadleśnictwie Pieńkowo, nadleśniczym Norbercie Dutkiewiczzu opowiada jego syn Michał (ur. w 1932 r.).

Siedziba nadleśnictwa majątku Kamienica mieściła się w murowanym budynku i położona była pośród lasów w miejscowości Pieńkowo. Gabinet nadleśniczego zajmował jedno pomieszczenie. Wisiąca w nim mapa drzewostanowa nadleśnictwa, było biurko i szafa na dokumenty, a na ścianach mnóstwo trofeów, które kolekcjonował nadleśniczy już od wielu lat. Pan Michał pamięta, że na parostkach kozłów była umieszczona nazwa miejscowości Piaski, gdzie jego Ojciec przez kilka lat był nadleśniczym w lasach Księży Filipinów. Pozostała część osady funkcjonowała jako mieszkanie rodziny nadleśniczego, składające się z czterech pokoi i dużej kuchni. Tuż przed wojną nadleśniczy podjął prace przy rozbudowie domu, stanęły już nawet fundamenty pod dwa obszerne pomieszczenia, jednak wybuch wojny zniweczył te plany.

W gospodarstwie było kilka budynków gospodarczych dla bydła, trzody chlewnej, koni i rozlicznego drobiu, który z pasją hodowała żona nadleśniczego. Pan Michał wspomina, że on sam hodował spore stado królików i cały obrządek przy nich był jego zadaniem. Była też w gospodarstwie duża stodoła na siano, które pozyskiwano z rozległych łąk przylegających do osady. Największym mankamentem osady nadleśniczego był brak energii elektrycznej, a więc i światła w tych wszystkich zabudowaniach.

Przy siedzibie nadleśnictwa funkcjonowała suszarnia szyszek i wyłuszcarnia nasion. Nadleśniczy kierował tartakiem, w którym przecierano drewno przede wszystkim na potrzeby własne majątku Kamienica. Odpowiadał też za gospodarkę rybacką prowadzoną na stawach, których łączna powierzchnia sięgała 70 ha. Hodowano tam przede wszystkim karpie i liny.

W granicach nadleśnictwa działała kopalnia torfu. Torf był suszony i składowany w stodole. W okresie zimowym, zwłaszcza w czasie okupacji, służył do ogrzewania mieszkań. Pan Michał wspomina, że w torfiankach żyło sporo ryb – szczupaków, karasi, linów, które wyławiano. Wspomina też malownicze jezioro Krzywe Kolano należące do Nadleśnictwa Pieńkowo, gdzie jako młody chłopak pasjami łowił ryby na wędkę. W Pieńkowie nigdy ryb nie brakowało. Nawet w sąsiedztwie domu przepływał niewielki strumień, na którym utworzono oczko wodne zawsze obfitujące w ryby.

W Pieńkowie było tylko gospodarstwo nadleśniczego. Nie było tu innych mieszkańców. Pan Michał wspomina, że do szkoły w Pruszczu miał trzy kilometry do pokonania najczęściej pieszo, czasami udawało się rowerem. Do pierwszej

klasy szkoły polskiej miał się udać 1 września 1939 roku. Wybuchła jednak wojna i polską szkołę zlikwidowano. Późno, w listopadzie zaczęła działać w Pruszczu szkoła niemiecka. Na początku chodziły tam głównie polskie dzieci, ale z czasem Niemców przybywało tak, że w końcu Polacy stanowili mniejszość. Pan Michał od dzieciństwa swobodnie rozmawiał i w języku niemieckim, i w polskim. Rodzice dbali o to by języka ojczystego nie zapomniał.

WYBUCHŁA WOJNA

W Kamienicy i samym Pieńkowie wkroczenie wojsk niemieckich odbyło się spokojnie. Do większej potyczki zbrojnej doszło na drodze leśnej z Nadleśnictwa Różanna do Pruszcza. Zginęło tam kilkunastu żołnierzy polskich i niemieckich. Zostały po nich groby. Niemcy szybko swoich żołnierzy ekshumowali, natomiast groby polskie były przez całą wojnę, i mieszkańcy okolicznych miejscowości, również nasza mama – wspomina Pan Michał – składali na nich gałązki świerkowe i palili świeczki.

Pan Michał wkroczenia Niemców do Kamienicy nie widział, bo w końcu sierpnia matka wraz z nim i jego siostrami pojechali do Rogoźna, do Dutkiewiczów. Ojciec w Pieńkowie został sam. Z Rogoźna musieli uciekać dalej na wschód aż do chwili, gdy dogonił ich front niemiecki. Nakazano powrót do miejsc zamieszkania i tak po kilku tygodniach powrócili do... Pieńkowa.

Ojciec dobrze znał niemiecki więc porozumiał się z nową władzą okupacyjną. Tyle tylko, że musiał zdać posiadaną broń. Ojciec ze względu na problemy z nogami nie był objęty mobilizacją do wojska. Objęła ona właściciela majątku Kamienica Jana Górskiego, który poległ w końcówce kampanii wrześniowej pod Lublinem. Pan Michał wspomina, że Jan i Teresa Górscy, właściciele majątku Kamienica, to byli ludzie w wieku jego rodziców. Mieli dwójkę dzieci, starszą Krystynę (ur. 1929 r.) i młodszego Jerzego (ur. 1933 r.). Po wybuchu wojny wyjechali do rodziny w Generalnej Guberni, a po wojnie zamieszkali w Poznaniu i utrzymywali przyjazną znajomość z Dutkiewiczami, którzy też tam zamieszkali.

W przededniu wybuchu wojny relacje polsko-niemieckie w obrębie majątku Kamienica i sąsiednich miejscowości były całkiem poprawne. Polacy stanowili tu zdecydowaną większość społeczną i Pan Michał nie pamięta jakichś incydentów narodowościowych, o których by się głośno mówiło. W Nadleśnictwie Pieńkowo pracował leśniczy Karl Lüpke, bardzo porządny człowiek i dobry fachowiec, lubiany przez Polaków. Wśród robotników był też Niemiec o nazwisku Zigg, miał niewielkie gospodarstwo rolne blisko leśniczówki Leontynowo. Był szanowanym pracownikiem i lojalnym obywatelem. Miał jednak syna, który z chwilą wkroczenia Niemców paradował w hitlerowskim, żółtawym mundurze SA (Sturmabteilung – Oddziałów Szturmowych). Buńczuczne zachowanie młodego Niemca przyczyniło się do śmierci jego ojca. Pan Michał pamięta to wydarzenie.

Zigg razem z umundurowanym synem wybrali się pod most nad Brdzie na połów pstrąga. Pech chciał, że spotkali tam dwóch Polaków, których młody Niemiec postanowił wylegitymować. Polacy okazali się partyzantami Gryfa, zamiast dokumentów wyjęli broń. W efekcie stary Zigg zginął na miejscu, a ranny syn zdołał zbiec. Dotarł do Pieńkowa, a stąd konno do Pruszcza. Niemcy wysłali patrol, ściągnęli zwłoki starego Zigga. Po partyzantach wszelki ślad zginął.

ŻYCIE POD OKUPACJĄ

Jak pisze Marek Sass: *Początek okupacji hitlerowskiej zapisał się krwawym terrorem wymierzonym w ludność polską. Jedną z osób zaangażowanych w rozstrzelania na terenie powiatów tucholskiego i sępoleńskiego był Otton Kruger z Kamienicy. Przy jego karczmie 30 września 1939 roku zgromadzono aresztowanych Polaków z terenu gminy Gostycyn, aby ich potem przewieźć ciężarówkami do więzienia w Tucholi (później większość z nich rozstrzelano w Rudzkim Moście – przyp. TaCh). On też przyczynił się do aresztowania, a następnie rozstrzelania w Radzimiu swojego zięcia Jana Nowakowskiego, leśniczego z Leontynowa. W Rudzkim Moście zamordowano pracownika stawów rybnych w Kamienicy, Leona Ryczka.*

Mama Pana Michała biele posługiwała się językiem niemieckim. Ojciec Polak z Wielkopolski, który uczęszczał do pruskich szkół, również. To na początku wojny i okupacji zadziało na ich korzyść, a Ojcu być może nawet ratowało życie. Niemcy uznali, że Dutkiewicz może pełnić rolę pomocnika leśnego (Hilsferstera), który będzie podlegał niemieckiemu zarządcy. I rzeczywiście tak było. W Nadleśnictwie Zamrzenica urzędował niemiecki Forstmeister Stenzel, który co pewien czas przyjeżdżał do Pieńkowa rozliczać Ojca z wykonanej pracy.

Majątek Kamienica ze swoim dużym kompleksem leśnym już przed wojną zasłynął jako znakomite łowisko. Podczas okupacji Niemcy ustanowili w Kamienicy swojego zarządcę majątku (Treuhandera). To był przyzwoity człowiek, ale po polsku nie mówił. Przyjmował on m.in. zlecenia na organizację polowań dla Niemców. Wtedy całym przedsięwzięciem zajmował się nadleśniczy Dutkiewicz, który sam był wytrawnym myśliwym, znał kamienicki las i okolice, do tego swobodnie posługiwał się językiem niemieckim. Pod tym względem był wysoko ceniony przez Niemców.

Ponieważ Pan Michał nie miał w Pieńkowie kolegów zatem ojciec często zabierał go do powózki i razem objeżdżali tereny leśne. Dzięki temu już jako 10-letni chłopak znakomicie orientował się w kamienickim lesie, znał lokalizację ambon myśliwskich, paśników, miejsc, gdzie gromadziła się zwierzyna. To okazało się bardzo przydatne, gdy później zabrakło Ojca. Niemiecki Treuhander z Kamienicy zatrudnił go do podprowadzania myśliwych na polowania.

Podczas okupacji Ojciec co pewien czas odwiedzał leśniczówkę Lisikąt w sąsiadującym – przez Brdę – z lasem kamienickim, państwowym Nadleśnictwie Zamrzenica.



Rodzina Dutkiewiczów: Maria i Norbert oraz ich dzieci – Michał, Elżbieta i Anna. Rok ok. 1942

Na drugą stronę rzeki przepływaliśmy łódką. – wspomina Pan Michał – Leśniczym w Lisimkacie był Leonard Wenda. Już wtedy się tego domyślałem, a po wojnie to było już powszechnie wiadomo, że leśniczówka Wendy była punktem kontaktowym dla miejscowej partyzantki, związanej głównie z Tajną Organizacją Wojskową Gryf Pomorski.

Leśniczy Wenda miał syna Janka mniej więcej w wieku Pana Michała, z którym mieli wspólne zainteresowania i zabawy w czasie, gdy dorośli na osobności omawiali zapewne ważne bieżące sprawy związane z wojną i konspiracją.

Pan Michał pamięta też, że bardzo często w Pieńkowie, w ostatniej chwili przed wyjazdem powózki konnej do lasu, Matka przynosiła worek i kładła w nogach, pod przykryciem. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale nietrudno było się domyślić, że był to prowiant dla „leśnych ludzi”. Ojciec później, w sposób niezauważony przez Michała worka z prowiantem się pozbywał.

NIE PODPISALI VOLKSLISTY

Norbert Dutkiewicz był wielokrotnie nagabywany przez władze niemieckie w sprawie podpisania volkslisty, czyli niemieckiej listy narodowościowej. Zdecydowanie i konsekwentnie odmawiał. Pewnego razu, na terenie nadzorowanego przez niego lasu, na granicy z Nadleśnictwem Różanna, nad Brdą odkryto dobrze zakamuflowany, solidny bunkier partyzancki. Znalazł go chłopiec wypasający krowy, ale wieść się szybko rozniosła i Niemcy wzmoгли czujność. Partyzantów nie znaleźli, jednak mogli mieć informacje, że polski nadleśniczy ma kontakty z podziemiem i nie jest entuzjastą niemieckiej okupacji. Na podpisanie volkslisty nie zgodziła się również żona nadleśniczego Maria Dutkiewicz.

To przesądziło ostatecznie o aresztowaniu Ojca – wspomina Pan Michał. – Było to w lipcu 1943 roku nad ranem, gdy pod nadleśnictwo w Pieńkowie podjechał samochód z dwoma gestapowcami. Kazali Ojcu się ubierać i powieźli go do Bydgoszczy. Niemcy wykorzystali nieobecność Treuhandera z Kamienicy, który bardzo cenił naszego Ojca i był dla niego tarczą ochronną. W tym czasie wyjechał na dłuższy urlop do Rzeszy i gestapo ten moment wykorzystało.

Odwiedziliśmy z mamą Ojca w więzieniu w Bydgoszczy. Odbyło się widzenie w obecności strażnika. Tam jeszcze nagabywali, zwłaszcza Mamę, by podpisała volkslistę. Odmówiła. 1 października 1943 roku Ojca przewieziono do obozu zagłady w Auschwitz, gdzie został oznaczony numerem 153 024. Podczas tej podróży Ojciec napisał list pożegnalny, który dotarł do nas dzięki polskiemu kolejarzowi.

Norbert Dutkiewicz zginął w Auschwitz 29 października 1943 roku. Niemcy przysłali z obozu kłamliwe w treści zawiadomienie, że zmarł w szpitalu więziennym na zapalenie gardła. Zapewnili, że mogą przysłać prochy. Nikt w to piśmo nie wierzył.

PO ŚMIERCI OJCA

Po śmierci Ojca, Mama razem z nami pozostała w nadleśniczówce w Pieńkowie. – kontynuuje Pan Michał - Lokalizacja osady w środku lasu była w naszej trudnej sytuacji korzystna. Zarządca majątku, młody Niemiec, który wrócił z urlopu, Ojca już nie mógł uratować, ale nam starał się pomóc. Sprawami leśnymi zajmował się niemiecki nadleśniczy z Zamrzenicy, Forstmeister Stenzel. Był to starszy grzeczny pan, który co kilka dni przyjeżdżał do Pieńkowa i w naszym domu na piętrze zamieszkiwał. U nas się też stołował. Załatwiał sprawy formalne i wyjeżdżał.

Nadleśniczówka nadal była miejscem organizacji polowań i spotkań myśliwych. Pan Michał sprawdzał się jako podprowadzający, a w gospodarstwie były konie, powózka, pracownicy, którzy obsługiwali gospodarstwo leśne i łowieczkie. Tak dotrwali do chwili, gdy na przełomie lat 1944/1945 na horyzoncie pojawił się front wschodni. Zbliżała się Armia Czerwona.

Tragiczne były też losy leśniczego z Wapiennika, Karla Lüpke. Mieszkał on ze swoją dorosłą córką, zupełnie na odludziu. Lubiany i szanowany przez Polaków. Gdy zbliżał się front, głośno było o gwałtach i zbrodniach dokonywanych przez Sowietów na ludności miejscowej, w szczególności niemieckiej. Lüpke zastrzelił swą córkę, a następnie popełnił samobójstwo. Gdy odkryli to okoliczni Polacy, zawinęli oboje w dywan i pochowali w pobliżu leśniczówki. Dzisiaj po leśniczówce praktycznie nie ma już śladu, może poza kilkoma drzewami owocowymi.

Tuż przed nadejściem frontu, nadleśniczówkę odwiedzali żołnierze – raz rosyjscy, później niemieccy. Ci ostatni nawet przez jakiś czas mieli tu swoją placówkę-szpicę obsadzoną przez sześciu uzbrojonych żołnierzy. Front stał w pobliżu, cały czas słyhać było detonacje. Sytuacja stawała się niebezpieczna dla mieszkańców. W pewnym momencie Niemcy odwołali swoją załogę i Dutkiewiczom też kazali się wynosić. Wdowa po nadleśniczym z trójką dzieci została przewieziona wozem pancernym z Pieńkowa do odległego o pięć kilometrów dworu w Kamienicy. Tam, razem z innymi polskimi rodzinami przeżyli, głównie w piwnicach, przejście frontu. Tylko na chwilę pojawili się żołnierze rosyjscy. Zachowali się przyjaźnie, pytali o zegarki: *czasy ty masz?* i o coś do picia. Wkrótce się wynieśli razem z frontem.

Do Pieńkowa już nie wróciliśmy. – mówi Pan Michał – Zamieszkaliśmy w jednym z budynków majątkowych w Kamienicy, u rodziny Kucharskich. Rodzina Ojca z Rogoźna na wiadomość, że front już przeszedł przysłała ciężarówkę po nasze meble i cenniejsze rzeczy z mieszkania w Pieńkowie. Rogoźnianie całą wojnę przeżyli w Sokołowie Podlaskim, gdzie wysiedlili ich Niemcy. Teraz już wrócili i postanowili ściągnąć nas do siebie.

Pan Michał zamieszkał w Rogoźnie, gdzie ukończył szkołę powszechną i gimnazjum z małą maturą. Następnie podjął naukę w liceum leśnym II stopnia w Margoninie. Po pierwszym roku szkołę przeniesiono do Brynka w Tarnowskie Góry. Gdy

ukończył Technikum Leśne w Brynku, od razu otrzymał nakaz pracy w centrali przemysłu drzewnego w Warszawie. Po kilku miesiącach udało mu się wrócić do Poznania. Tu podjął studia na Wydziale Leśnym, założył rodzinę i przez długie lata pracował w Biurze Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej.

W 2015 roku Pan Michał przygotował biogram swojego Ojca nadleśniczego Norberta Dutkiewicza do publikacji Polskiego Towarzystwa Leśnego². W podsumowaniu napisał:

Postawa mojego Ojca, zaangażowanie, zainteresowania i pasje wywarły na mnie ogromny wpływ, pomimo tego, że wojna zabrała nam go tak wcześnie. Jestem również leśnikiem, ukończyłem Wydział Leśny Akademii Rolniczej w Poznaniu, a z zamiłowania myśliwym i hodowcą psów myśliwskich. Mój syn, Norbert, noszący imię po swoim dziadku, też podtrzymuje tradycje rodzinne, jest absolwentem tej samej uczelni.

27 listopada 1985 roku nastąpiło odsłonięcie w Collegium Cieszkowskich Akademii Rolniczej w Poznaniu tablicy-drzeworytu, upamiętniającej absolwentów i studentów leśnictwa Uniwersytetu Poznańskiego, którzy oddali życie w obronie niepodległości i wolności Ojczyzny w latach 1939-1945. Umieszczono na niej również nazwisko Norberta Dutkiewicza. Także przy Pomniku Polskiego Państwa Podziemnego i AK w Poznaniu od 2008 roku Norbert Dutkiewicz ma swoją tabliczkę.

Tadeusz Chrzanowski

Zdjęcia: archiwum rodzinne Dutkiewiczów

PS Michał Dutkiewicz, syn nadleśniczego Norberta Dutkiewicza zmarł 3 października 2021 roku i został pochowany na Cmentarzu Sołackim w Poznaniu.

¹Marek Sass - Kamienica na pograniczu borowiacko-krajeńskim, Bydgoszcz-Kamienica 2012.

²Michał Dutkiewicz: Norbert Dutkiewicz, w: Udział leśników w obronie ojczyzny. Biogramy, Toruń 2015, ss. 46-48.

LEŚNICY W KL AUSCHWITZ w latach 1940-1944¹

Świat powinien wiedzieć, ile nas Polaków kosztowało prawo do swojego miejsca na ziemi – te słowa Jana Pawła II oddają ogrom polskiej martyrologii podczas II wojny światowej, która była ceną walki o niepodległość i narodowego oporu wobec okupantów. Jej symbolem jest m.in. KL Auschwitz.

Wśród około 140 tys. polskich więźniów tego obozu znajdowały się osoby reprezentujące cały ówczesny przekrój społeczny narodu polskiego. Nie zabrakło wśród nich także pracowników leśnictwa różnych szczebli. Co najmniej 205 przedstawicieli tej grupy zawodowej stało się więźniami KL Auschwitz i co najmniej 170 z nich zginęło w tym lub innych obozach koncentracyjnych, do których zostali przeniesieni.

Powodem deportacji leśników polskich do KL Auschwitz – tak jak i w przypadku pozostałych więźniów polskich – było ich zaangażowanie w działalność konspiracyjną oraz represje wynikające z terrorystycznych działań okupanta niemieckiego.

W latach 30. XX wieku, w obliczu zagrożenia II RP ze strony dwóch potężnych i agresywnych sąsiadów, objęto specjalnym przeszkoleniem wojskowym urzędników państwowych poczty, kolei i leśnictwa. Dlatego w 1933 roku została utworzona organizacja paramilitarna o nazwie Przystosowanie Wojskowe Leśników. Celem tej organizacji – pozostającej pod kontrolą poszczególnych Dyrekcji Lasów i Dowództw Okręgów Korpusów – było przygotowanie leśników do działania w warunkach wojny. Kładziono nacisk na szkolenie bojowe w warunkach leśnych oraz organizowanie sabotażu na tyłach wroga. Do PWL należeli zarówno leśnicy Lasów Państwowych, jak i prywatnych. W niektórych tajnych ośrodkach szkolono leśników do zadań wywiadowczych i kontrwywiadowczych. Przygotowywano ich też do dywersji pozafrontowej, czyli działalności konspiracyjnej pod okupacją wroga. W latach 1933-1939 sześciotygodniowe szkolenie wojskowe w PWL odbyło około 12 tysięcy leśników².

Latem 1939 roku – podczas rosnącego zagrożenia niemieckiego – leśnicy współpracowali ze Strażą Graniczną, Korpusem Ochrony Pogranicza, policją, wywiadem i kontrwywiadem wojskowym w zwalczaniu działalności tajnych agentur niemieckich, czyli tzw. V kolumny.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, leśnicy natychmiast włączyli się do walki w obronie niepodległości kraju, a następnie do walki konspiracyjnej. Szacuje się, że byli tą polską grupą zawodową, która poniosła jedne z najwyższych strat podczas wojny, sięgające 50% przedwojennego stanu osobowego. Równie duże ofiary poniosły ich rodziny.

Lasy stanowiły naturalną bazę rozwoju konspiracji i działań partyzanckich na okupowanych w latach 1939-1945 ziemiach polskich. W początkowej fazie okupacji

niemieckiej działalność konspiracyjna leśników polegała głównie na zbiórce i zabezpieczeniu broni pozostałej w lasach po kampanii wrześniowej oraz na prowadzeniu w nadzorowanej przez okupanta niemieckiego gospodarce leśnej różnych form sabotażu, takich jak: niszczenie lub ukrywanie polskich akt i planów gospodarczych z dziedziny leśnictwa i drzewnictwa, fałszowanie danych dotyczących wieku drzewostanu, stanu lasów i możliwości ich eksploatacji, wyrównywanie nałożonych przez okupanta kontyngentów masą drzewną z cięć pielęgnacyjnych o niskiej wartości drewna użytkowego oraz wykradanie żywicy przeznaczonej na produkcję mydła.

Jednym z głównych zadań konspiracyjnych leśników polskich była walka z dokonywaną przez okupanta dewastacją lasów i rabunkiem drzewostanu. Do walki podziemnej włączono pracowników leśnictwa wszystkich szczebli, w tym członków ich rodzin.

Działalność leśników w zorganizowanej konspiracji wojskowej polegała na bezpośrednim udziale w akcjach sabotażowo-dywersyjnych i walce partyzanckiej oraz tworzeniu zaplecza dla partyzantów w postaci kwater, punktów kontaktowych, zaopatrzenia w żywność, magazynowania broni, opieki nad rannymi i chorymi partyzantami oraz ukrywania osób zdekonspirowanych. Do ważnych form wsparcia konspiracji i partyzantki przez leśników należały również: wywiad, przewodnictwo, podejmowanie zrzutów, ubezpieczanie grup bojowych oraz transport broni i rannych. Leśnicy pełnili także funkcje kierownicze i dowódcze na różnych szczeblach konspiracji wojskowej.

Wśród leśników deportowanych do KL Auschwitz znaleźli się żołnierze i współpracownicy różnych organizacji polskiego podziemia. Władysław Bartnik (nr 154039), Antoni Gabrysiewicz (nr 66439), Mikołaj Koziarski (nr 44640), Mieczysław Lipiński (nr 34462), Jan Niewiadomski (nr nieznany) i Eugeniusz Wróblewski (nr 12998) już na początku okupacji niemieckiej współpracowali z Oddziałem Wydzielonym Wojska Polskiego mjr. Henryka Dobrzańskiego-Hubala. Jan Niewiadomski był ponadto komendantem I Podobrodu-Niewachłów w Obwodzie Kielecko-Radomskim Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK.

Żołnierzami placówki ZWZ/AK „Stańczyk” w Serbinowie (gmina Mniów, pow. Kielce) byli: Czesław Bobiński (nr nieznany), Wawrzyniec Drogosz (nr nieznany), Józef Klebecki (nr nieznany) i Eugeniusz Mathias (nr nieznany).

Ponadto do ZWZ/AK i innych organizacji konspiracyjnych należeli lub z nimi współpracowali m.in.: Zbigniew Andruszewski (nr 169521), Aleksander Baranowicz (nr 100970), Tadeusz Będkowski (nr nieznany), Klemens Bieszke (nr 169524), Jan Bobowski (nr 20183), Czesław Darkowski (nr 43022), Antoni Dudek (nr nieznany), Norbert Dutkiewicz (nr 153024)³, Franciszek Dwornik (nr nieznany), Władysław Dyk (nr nieznany), Stanisław Fetkowski (nr 134203), Władysław Florkowski (nr 17106) – komendant placówki „Puszczyk” organizacji Polska Niepodległa

w powiecie średzkim, Tadeusz Frydecki (w obozie Balicki, nr 131604), Stanisław Furtak (nr 14332), Antoni Gabrysiewicz (nr 66439) – komendant rejonu ZWZ/AK Spała, Andrzej Gąsienica-Makowski (nr 5654) – kurier tatrzański, Władysław Gólus (nr 34813), Aleksander Gosarow (nr nieznany), Tomasz Gwóźdź (nr 171231), Kazimierz Hyski (37794), Stanisław Jachimowicz (nr nieznany), Kazimierz Jeleński (nr nieznany), Henryk Kaczorkiewicz (nr 23226), Franciszek Kalisz (nr 155403), Jan Kaluch (nr 14092), Roman Kędzierski (nr 14145), Tomasz Kietliński (nr 14376), Stefan Kormański (nr 14377), Tomasz Kosse (nr 153081), Lucjan Kowalewski (nr 99824), Tomasz Kozłowski (nr 15821), Stefan Kulig (nr 95664), Jan Kuska/Kuzka (nr 63689), Lech Ładowski (nr 34464), Zbigniew Mazurkiewicz (nr 35205), Jan Mikulka (nr 125592), Waclaw Nowicki (nr 12955), Józef Orczykowski (nr nieznany), Jakub Pałasiewicz (nr nieznany) – przewodnik trasy przerzutowej, Bronisław Pałko (nr 8949), Bronisław Pawłowicz (więzień policyjny), Józef Piekarczyk (nr 22741), Leonard Poborc (nr 23998), Józef Pomarański (nr 38014) – komendant obwodu radoszczańskiego ZWZ/AK i podobwodu AK Gidle, Jan Rajchel (nr nieznany), Czesław Rylewicz (nr 13913), Stanisław Sadowski (nr 19592), Czesław Sikorski (nr 14122), Stanisław Skiba (99847), Jan Skoczylas (nr nieznany), Ludwik Skorupa (nr 117867), Mieczysław Skriwan (nr 63716), Jan Stetkiewicz (nr nieznany)⁴, Józef Szymański (nr nieznany), Wojciech Strząbała (nr nieznany), Stanisław Szczepaniec (nr 5939), - kierownik tras przerzutowych na Słowację i Węgry, Stanisław Tarchalski (nr 63730), Wilhelm Tokarz (nr 88572), Ludwik Trzeciak (nr 111614), Stanisław Ungeheuer (nr 63733), Marian Waldeck (nr nieznany), Antoni Wąsik (nr 123580), Wisław Wolski (nr 14508), Walenty Wróblewski (nr 109192), Wawrzyniec Wyrębkiewicz (nr 14508), Władysław Zarychta (nr 9241) oraz Ignacy Żmuda (nr 11436).

Roman Gesing (nr 87135) był współtwórcą Straży Chłopskiej, czyli późniejszych Batalionów Chłopskich, oraz kierował konspiracją ruchu ludowego na terenie powiatów brzozowskiego, jasielskiego, krośnieńskiego i sanockiego.

Ernest Buchalik i Józef Tkocz należeli do działającej w Gotartowicach k. Rybnika Polskiej Tajnej Organizacji Powstańczej. Za działalność w tej organizacji zostali rozstrzelani pod Ścianą Śmierci w KL Auschwitz. Mikołaj Dębicki (nr 7814) trafił do obozu za przechowywanie broni i postawę antyniemiecką, a Władysław Markiewicz (nr 86239) za pomoc jeńcom wojennym.

Nie zabrakło wśród leśników także ofiar terroru hitlerowskiego. Jedną z pierwszych był Ludwik Lubas (nr 7020) – aresztowany 9 listopada 1939 roku jako zakładnik. Męczeńską kartę zapisali Mieczysław Abstorski, Karol Posch, Arnold Pregler i Józef Sołtysek – żołnierze Organizacji Orła Białego – Związku Odwetu i współpracownicy Gwardii Ludowej PPS-WRN, ofiary pacyfikacji leśniczówek w Buczynie i Jeziorkach (pow. Chrzanów) w lipcu 1943 roku – rozstrzelani pod Ścianą Śmierci w KL Auschwitz jako więźniowie policyjni. Ofiarami tych represji padły również ich rodziny.

Podczas obławy w Kawiarni Plastyków przy ul. Łobzowskiej 3 w Krakowie, 16 kwietnia 1942 roku zostali aresztowani Piotr Bobrowicz (nr 32495) i Marcei Lugowski (nr 33146). Obaj zginęli pod Ścianą Śmierci 27 maja 1942 roku. Oprócz nich pod Ścianą Śmierci w obozie macierzystym KL Auschwitz I zginęli: Władysław Smędowski (nr 29684), Stanisław Szczepaniec (nr 5939), Władysław Zarychta (nr 9241), Ignacy Żmuda (nr 11436) oraz więźniowie policyjni: Mieczysław Bębenek, Franciszek Karpeta, Bronisław Pawłowicz, Jan Pryszcz, Jan Rudkowski i Bronisław Witos.

Stanisław Furtak (nr 14332) został wyselekcjonowany 28 lipca 1941 roku w grupie 575 więźniów, w większości Polaków i zginął następnego dnia zamordowany tlenkiem węgla w tzw. zakładzie eutanazyjnym na Zamku Sonnenstein w Pirnie.

Ofiarami pacyfikacji Garbatki w powiecie kozienickim 12 lipca 1942 roku byli: Szczepan Gieruszka (nr nieznan), Stanisław Handelsman (nr 62353), Mieczysław Jasiński (nr nieznan), Zenon Łuczywko/Łuczywek (nr 46855), Tadeusz Mąkowski (nr 46887).

Władysław Fabiszewski (nr 120039) był ofiarą obławy przeprowadzonej przez gestapo i żandarmerię niemiecką 11 kwietnia 1943 roku w miejscowościach Biała Góra, Łękawica, Marynki, Michałów Górny i Palczew, położonych w okolicach Warki.

Marian Jeżyk/Jerzyk (nr 15245) stał się ofiarą akcji represyjnej w powiecie kaliskim (wówczas tzw. Kraj Warty – Wartheland), przeprowadzonej w dniach 5-7 marca 1941 roku w odwecie za zamach na policjanta niemieckiego. Natomiast Władysław Przybylski (nr 35582) został aresztowany 7 kwietnia 1942 roku podczas akcji represyjnej przeprowadzonej w rejencji łódzkiej Kraju Warty w odwecie za zabicie dwóch gestapowców.

Podczas jednej z masowych obław policyjnych na terenie Generalnego Gubernatorstwa, które zostały zarządzane 11 stycznia 1943 roku przez Heinricha Himmlera, został ujęty Stanisław Zerygiewicz (nr nieznan). Ofiarą masowych aresztowań w majątkach ziemskich na terenie dystryktu lubelskiego Generalnej Guberni w kwietniu 1941 roku stał się natomiast Tadeusz Zdanowicz (nr 16163).

Zbigniew Florkowski (nr 195612) i Eliasz Makowski (nr 191744) zostali wypędzeni przez Niemców z Warszawy podczas powstania warszawskiego do obozu przejściowego w Pruszkowie (Durchgangslager 121, Dulag 121) i stamtąd deportowani do KL Auschwitz.

Ofiarą niezwykle brutalnego aresztowania i traktowania stał się Marian Wierusz-Kowalski (nr 5976), który próbował ratować aresztowanego przez gestapo syna.

Ofiarami denuncjacji dokonanych przez nacjonalistów ukraińskich stali się Bronisław Pipczyński (nr 117792) – oficer lotnictwa, zatrudniony podczas okupacji niemieckiej w leśnictwie, oraz Eustachy Rolski (nr 807). Natomiast

formalnym powodem deportacji do obozu Zdzisława Orpiszewskiego (nr 1707) było to, że nie zgłosił niemieckim władzom okupacyjnym faktu bycia przed wojną oficerem rezerwy WP.

Jednym z nielicznych leśników-więźniów KL Auschwitz, którym udało się doczekać końca wojny, był Zygmunt Koehler (nr 162562). 15 września 1944 roku zbiegł z podobozu oświęcimskiego Jawischwowitz w Jawiszowicach. Brawurowej ucieczki z obozu dokonał również 14 czerwca 1944 roku Andrzej Gąsienica-Markowski (nr 5654).

Niniejsza Księga Pamięci⁵ nie obejmuje zapewne wszystkich leśników polskich, których droga walki i męczeństwa zawiodła do KL Auschwitz. O wielu z nich prawdopodobnie nie dowiemy się już nigdy. Brak materiałów źródłowych nie pozwolił też na pełną rekonstrukcję losów i przyczyn aresztowania części z przedstawionych postaci. Pomimo to publikacja ta jest małym krokiem w procesie przywracania pamięci o niejednokrotnie zapomnianych bohaterach polskiej walki o niepodległość podczas II wojny światowej.

Bohdan Piętka

¹Artykuł Bohdana Piętki jest przedrukiem z publikacji „Księga Pamięci Leśników deportowanych do KL Auschwitz w latach 1940-1944” wydanej przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu w 2020 r., ss. 81-86. Artykuł publikujemy za zgodą Autora (przypis Tadeusz Chrzanowski).

²Z. Zieliński, Przystosowanie Wojskowe Leśników w latach 1933-1939, „Niepodległość i Pamięć” 2005, nr 21, s. 199-200.

³Norbert Antoni Dutkiewicz był nadleśniczym Nadleśnictwa Pieńkowo w lasach prywatnych w Kamienicy koło Tucholi. Losy nadleśniczego oraz jego rodziny opisano na ss. 130-145 (przypis Tadeusz Chrzanowski).

⁴Jan Stetkiewicz od maja 1939 roku był leśniczym Leśnictwa Paliwodzizna w Nadleśnictwie Lipno w granicach Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Krótki biogram leśniczego zamieszczono na str. 151 (przypis Tadeusz Chrzanowski).

⁵Publikowany artykuł Bohdana Piętki pochodzi z książki „Księga Pamięci Leśników deportowanych do KL Auschwitz w latach 1940-1944” wydanej przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu w 2020 r. ss. 81-86.

Leśniczy JAN STETKIEWICZ (1908-1960)

– więzień Auschwitz, Buchenwald i Mittelbau

Jan Stetkiewicz urodził się 28 sierpnia 1908 roku w miejscowości Wapowce, pow. Przemyśl. Ukończył Państwową Szkołę dla Leśniczych w Bolechowie. W latach 1929-1939 był praktykantem, następnie leśniczym Leśnictwa Drzewicz w Nadleśnictwie Klosnowo (pow. Chojnice) w granicach ówczesnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Od maja 1939 roku został leśniczym Leśnictwa Paliwodzizna w Nadleśnictwie Lipno¹.

Podczas okupacji niemieckiej zdegradowany przez władze okupacyjne do stanowiska pomocnika leśniczego. Aresztowany 6 maja 1943 roku przez placówkę gestapo w Grudziądzu. Oskarżony o przynależność do AK i odmowę podpisania Volkslisty. Deportowany do KL Auschwitz (nr więziarski nieznan). Zatrudniony w komandzie Zerlegebetrieb (demontaż zestrzelonych samolotów alianckich i wycofanych z użycia samolotów niemieckich) w obozie Birkenau (KL Auschwitz II). 15 sierpnia 1944 roku przeniesiony do KL Buchenwald (nr więziarski 79687), a następnie do KL Mittelbau. Wyzwolony 2 maja 1945 roku w podoboże KL Mittelbau w Sangerhausen (komando zewnętrzne Arten).



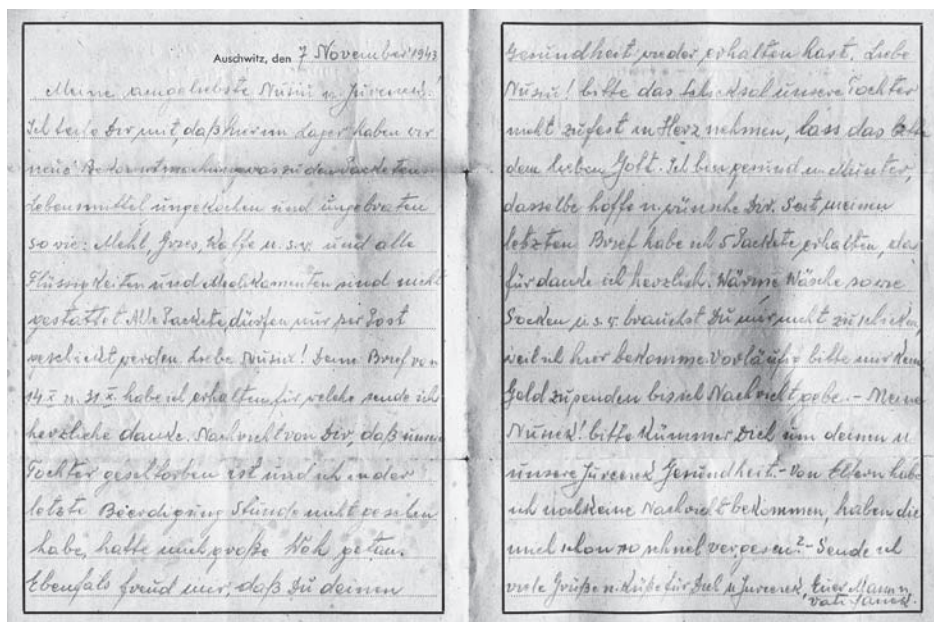
Po wojnie był leśniczym Leśnictwa Cieszyny w Nadleśnictwie Mszano (1945-1950), następnie pełnił obowiązki nadleśniczego Nadleśnictwa Włocławek (1950-1951). W latach 1951-1959 był dyrektorem Rejonu Lasów Państwowych we Włocławku. Zmarł 4 kwietnia 1960 roku.

Przedwczesna śmierć Jana Stetkiewicza była spowodowana nieuleczalną chorobą płuc nabytą w niemieckich obozach koncentracyjnych.

¹W publikowanych biogramach Jana Stetkiewicza podawana jest przynależność Leśnictwa Paliwodzizna do Nadleśnictwa Skępe. On sam też taką nazwę podaje w życiorysie zachowanym w aktach osobowych pracownika LP. Oficjalnie, w okresie gdy Jan Stetkiewicz był leśniczym w Leśnictwie Paliwodzizna wchodziło ono w skład państwowego Nadleśnictwa Lipno. Faktem jest, że Skarb Państwa - Nadleśnictwo Lipno w drugiej połowie lat 30. XX wieku przejęło za długi 95% majątku ziemskiego „Skępe” (3674 ha lasów i in. użytków) i być może nieformalnie używano tej nazwy. Nadleśnictwo Skępe rzeczywiście funkcjonowało, ale dopiero po II wojnie światowej. Obecnie Leśnictwo Paliwodzizna wchodzi w skład Nadleśnictwa Golub-Dobrzyń (przypis Tadeusz Chrzanowski).



Leśnicy Jan Stetkiewicz (pierwszy od prawej), jego żona Elżbieta (trzecia od prawej) z grupą znajomych w Strębacznie w 1943 r.



List leśniczego Jana Stetkiewicza z obozu niemieckiego w Auschwitz do żony Elżbiety - wersja oryginalna (tłumaczenie poniżej)

List Jana Stetkiewicza do żony Elżbiety

Auschwitz, 7 listopada 1943

Moja najukochańsza Niusiu i Jureczku!

Chciałem Cię poinformować, że tu w obozie mamy nowe przepisy dotyczące paczek: zabrania się przesyłania żywności nie gotowanej i nie upieczonej, jak również: mąki, kaszy, kawy itp. oraz wszelkich płynów i lekarstw. Wszystkie paczki mogą być jedynie wysłane pocztą. Droga Niusiu! Twoje listy z 14.X. i 31.X. otrzymałem, za które serdecznie dziękuję. Wiadomość od Ciebie, że nasza córeczka zmarła i że nie mogłem jej zobaczyć choćby na pogrzebie sprawiła mi wielki ból. Jednakże cieszę się, że Ty zostałam przy zdrowiu. Droga Niusiu! Nie bierz za mocno do serca losu naszej córeczki, pozostaw to Bogu. Jestem zdrowy i czuję się dobrze, tego samego życzę Tobie. Od mojego ostatniego listu dostałem 5 paczek, za co dziękuję serdecznie. Nie musisz mi wysyłać ciepłej bielizny, skarpet itp., gdyż otrzymuję to tutaj na miejscu. Na razie nie przysyłaj też pieniędzy, do momentu, aż Cię o to poproszę.

Moja Niuško! Proszę zadbać o zdrowie Twojego i naszego Jureczka. Od rodziców nie dostałem jeszcze wiadomości. Czyżby o mnie zapomnieli? Przesyłam moc pozdrowień i pocałunków dla Ciebie i Jureczka.

Wasz mąż i tatuś. Janek

Opracowanie: **Tadeusz Chrzanowski**

Zdjęcia: archiwum Andrzeja Stetkiewicza



Stefan Beer (1880-1944)

Nadleśniczy STEFAN BEER

(1880-1944)¹



Stefan Beer urodził się 25 grudnia 1880 roku w Jadachach, w powiecie tarnobrzeskim, jako syn Rudolfa i Marii Ślepowron Rybczyńskiej. Zmarł 31 sierpnia 1944 roku i został pochowany w Kawenczynie koło Lublina. Z zawodu był leśnikiem i całe swe życie poświęcił służbie leśnej.

Już jako 14-letni chłopiec rozpoczął praktykę, trwającą sześć lat, w lasach w Jadachach w dobrach Dzikowskich, u hrabiego Zdzisława Tarnowskiego. Pełnił tu później do 1904 roku funkcję adiunkta lasowego. W następnym okresie ten sam właściciel oddał mu pod opiekę Mokrzyzowskie Lasy w Rudzie Stalowej, gdzie pozostawał na stanowisku adiunkta i łowczego.

W latach 1914-1921 pełnił funkcję nadleśniczego w majątku Skarbków we Lwowie. Opinie o jego pracy wystawiane przez ówczesnych pracodawców oraz przez Dyрекcję Lasów Państwowych w Bydgoszczy za okres służby w latach 1929-1938 przechowuje pieczętowanie rodzina, żyjąca w Bydgoszczy i kultywująca pamięć dziadka. We wszystkich opiniach oceniano Stefana Beera jako sumiennego pracownika, zamiłowanego leśnika i gorliwego Polaka.

Po pierwszej wojnie światowej związał się z Pomorzem pracując między innymi jako zarządca-nadleśniczy Nadleśnictwa Giełdon (dzisiaj obręb leśny w granicach Nadleśnictwa Czerny) i następnie jako kontraktowy leśniczy w Nadleśnictwie Wierchlas (dzisiaj w granicach Nadleśnictwa Zamrzenia) w Borach Tucholskich. W 1938 roku przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Tucholi. Po wybuchu II wojny światowej wysiedlony do Generalnej Guberni. Pod koniec swojego życia był nadleśniczym w Wierchowiskach koło Lublina, gdzie w okresie wojny wspomagał akcje partyzantów w walce z okupantem.

Wiedzę o popularności zawodu leśnika w rodzinie Stefana Beera i jego żony Zofii z domu Mielczarek przekazała Pani Aleksandra Ferenc², wnuczka nadleśniczego: *W rodzinie Stefana Beera silne były tradycje pracy w służbie leśnej. Jego ojciec Rudolf był leśniczym w Jadachach, szwagier Julian Mielczarek – nadleśniczym w Kamieniu, Jan Górski (dziadek żony) – leśniczym w Laskowej koło Dębicy. Synowie Stefana Beera kontynuowali pracę na rzecz lasów – Marian jako leśniczy w Nadleśnictwie Świdnik oraz Julian Beer w Laskach koło Warszawy.*

Żywe były także tradycje patriotyczne w rodzinie. Ojciec i dziadek żony Stefana Beera – Zofii z domu Mielczarek byli powstańcami styczniowymi. Syn Stefana Beera – Julian zginął w 1944 roku jako żołnierz Armii Krajowej za wolność Ojczyzny w Puszczy Kampinoskiej.

Dowodem dużego zainteresowania Stefana Beera rezerwatem cisów w Wierzchlesie jest jego dziennik, pisany piękną polszczyzną odręcznie w latach 1929-1938. Dziennik ten – udostępniony przez rodzinę i nieznany dotychczas – składa się z czterech części i zawiera obserwacje stanu zdrowotnego, liczebności i struktury wieku cisów w rezerwacie oraz wyniki kilkuletnich prac hodowlanych prowadzonych w kilku szkółkach cisa założonych w pobliżu domu i w rezerwacie. Poza tym znajdują się w nim wycinki z gazet i wzmianki o niektórych odczytach na temat ochrony cisa w Polsce, np. dr. J. Kołodziejskiego w 1936 i dr J. Szaferowej w 1937 roku. Autor dziennika wspomina również o napisaniu i wysłaniu w 1932 roku do Redakcji „Echa leśne” artykułu „O polskich cisach”. Stefan Beer żali się w swym dzienniku, że artykuł ten nie został opublikowany tylko odesłany do użytku wewnętrznego Instytutu Leśnictwa w Warszawie, jako bardzo cenny materiał obserwacyjny.

Rezerwat cisów w Wierzchlesie został założony w 1824 roku. Tę datę podaje Stefan Beer w swym dzienniku. Zdaniem autora rezerwat nie był dobrze zabezpieczony i przez wiele lat gospodarowano w nim jak w parku, co wpłynęło niekorzystnie na odnawianie się drzewostanu cisowego. Oto co pisze autor: *Rezerwat przetrwał prawie 130 lat niewoli i był przez wrogów zaborców częściowo szanowany jako skrawek lasu z cisami, ale nigdzie nie spotyka się by ktokolwiek z leśników zaborców zainteresował się utrzymaniem przez odnowienie naturalne czy sztuczne cisa – nigdzie nie spotyka się nawet w najmniejszej mierze prób hodowlanych, ale za to starano się grzebać ciała zmarłych nadleśniczych i ich rodzin w cieniu pod cisami jako dobroczyńców i ochraniarzy cisa.* Autor miał tu na myśli prawdopodobnie groby nadleśniczego Bocka i jego rodziny, położone w południowo zachodnim krańcu rezerwatu. Wokół grobów rosną nie tylko cisy, ale również wprowadzono tu obce gatunki krzewów i drzew. *Od roku 1920 do 1929 – pisze autor – leśnik polski także nie dbał o to, czy cis utrzyma się czy wyginie – gospodarowano w nim jak w parku, wycinano posusz łamiąc przy tym i niszcząc cisy, urządzano zabawy.*

W jesieni 1929 roku opiekę nad cisami powierzono Stefanowi Beerowi, o czym wspomina w swoim dzienniku. Tym samym roku rozpoczął on prowadzenie obserwacji i eksperymentów hodowlanych nad cisem. W oddziale 189, w starej szkółce obsiewanej dębem i sosną wysiał pierwsze 80 nasion oczyszczonych z mięsistej osnówki. Koło domu natomiast wysiał 100 nasion do drewnianych skrzynek z ziemią, po 15 nasion w każdej skrzynce. Po ośmiu miesiącach miał już 75 siewek cisa. Następne szkółki założył w rezerwacie: jedną „dziką” na jeziorem Mukrz wysiewając tu około 1 kg nasion oraz drugą doświadczalną w oddziale 152 na powierzchni około 2 ha, w której wysiał 5 kg nasion. W szkółkach, z wyjątkiem „dzikiej”, prowadził normalne zabiegi pielęgnacyjne, takie jak: pielenie chwastów, wznoszenie gleby, podlewanie w okresach suszy itp. Na poletkach obserwował wpływ mrozu, zaniedbań i warunków glebowych na rozwój siewek i sadzonek cisa. Głównym czynnikiem wywołującym masowe wymieranie nalotu siewek



Nadleśniczy Stefan Beer wraz z rodziną w majątku Skarbków we Lwowie. Około 1920 r.



Nadleśniczy Stefan Beer (piąty od lewej) z załogą Nadleśnictwa Giełdon. Rok 1922. Na drugim planie kapliczka, na której umieszczono następującą informację (pisownia oryginalna): „Bogu na Chwałę. Z pomocą urzędników Rolbickiego, Hajda, Indykiewicz Józef, Wenclewski, Odoliński, Żywicki, Fr. Kosiedowski, Lisiecki, Giełdanowski, Alojzy Cysewski oraz rękodzielników Teodora Kosiedowskiego, Józefa Kobierowskiego, Jana Gierszewskiego, robotników leśnych Kaplicę tę postawiłem - Stefan Beer



Nadleśniczy Stefan Beer wraz z żoną i dziećmi po wieczery przy wieczornej lekturze. Nadleśnictwo Gieddon, rok 1923



Stefan Beer na przejażdżce ze swoją wnuczką Aleksandrą w Wierchowiskach koło Lublina. Rok 1943

cisa w rezerwacie jest zdaniem autora mróz, a w szczególności wczesnojesienne i późnowiosenne przymrozki. Tak np. w szkółce w oddz. 152 przymrozek na początku czerwca 1933 roku zniszczył 87 siewek na 456 rosnących na tym siedlisku, a w następnym roku aż 200 siewek zginęło od czerwcowego przymrozku. Ocalały głównie te okazy, które uprzednio przesadzano na wyżej położone miejsca. Zdaniem autora szkółka została założona w zbyt bliskim sąsiedztwie podmokłego terenu, gdzie powstawały mrozowiska.

Autor dziennika badał również wpływ ocienienia na rozwój siewek i sadzonek cisa, tworząc nad nimi mniej lub bardziej zwarte baldachy z gałęzi brzoźowych. Okazało się, że duże ocienienie nie jest cisom potrzebne. Nienakrywane siewki i sadzonki rozwijały się lepiej. Krytyczne jest też spojrzenie Beera na panujący pogląd, że niedobór wilgoci w glebie ogranicza życie cisów w rezerwacie. Doświadczenia wykazały, że cis rozwija się najlepiej na średniowilgotnych i przepuszczalnych glebach. Rośnie zatem dobrze na glebach piaszczystych. Uni-

ka siedlisk podmokłych. Próby z przesadzaniem około 3-letnich cisów wykazały, że system korzeniowy cisa jest w tym czasie dość płytki, silnie rozgałęziony, korzeń palowy dość wczesnie zanika. Sadzonki cisa posadzone dość głęboko z nadaniem kierunku pionowego korzeniom nie przyjmowały się i usychały. Autor wykazał również, że młode okazy cisa rozwijają się lepiej na poletkach oczyszczonych z nadmiaru próchnicy wykazującej na terenie rezerwatu odczyn kwaśny. Nad jeziorem Mukrz, na poletkach z nienaruszoną próchnicą, siewki cisa rozwijały się słabo.

U starszych okazów cisa (od 4 do 10 lat) autor stosował „podkrzesywanie” dolnych gałęzi uzyskując szybszy wzrost strzały. Autor opisał szereg młodych okazów cisów, wyrosłych w pełnym słońcu poza terenem rezerwatu. Zdaniem autora cis nie jest gatunkiem ceniolubnym a raczej cienioznośnym.

Podsumowując wyniki eksperymentów i obserwacji prowadzonych przez Stefana Beera należy podkreślić, że zwrócił on prawdopodobnie po raz pierwszy uwagę na kompleksowość czynników wpływających na wymieranie siewek cisa i zagrażających tym samym życiu tego gatunku w rezerwacie. Godnym uwagi jest fakt, że autor dziennika w ówczesnych warunkach z trudnością zdobywał środki finansowe na prowadzenie swych szkółek i niejednokrotnie pokrywał koszty robocizny z własnych funduszy. Sam nigdy nie żałował czasu i sił do pracy w szkółkach.

W 1935 roku dzięki jego kilkuletnim staraniom ogrodzono rezerwat cisów zabezpieczając go przed nadmiernym wydeptywaniem i niszczeniem roślinności przez miejscową ludność.

Wysiłki Stefana Beera poszły na marne. Nikt nie podjął zaczętej przez niego pracy w szkółkach cisa i działań mających na celu uratowanie cisa przed zagrażającą mu w przyszłości zagładą.

Rezerwat cisów w Wierzchlesie zwany od 1956 roku rezerwatem „Cisy Staropolskie im. Leona Wyczółkowskiego” doczekał się wielu monograficznych i kompleksowych, jak również specjalistycznych opracowań naukowych. Wciąż jednak brak jest recepty na poprawę warunków rozwoju siewek cisa i stosowania czynnej ochrony tego gatunku.

Przypomnienie zatem sylwetki zasłużonego i wytrwałego w pracy leśnika walczącego o życie cisów w rezerwacie jest jak najbardziej na czasie. Być może postać ta zachęci i pobudzi do dalszych działań w zakresie czynnej ochrony cisa i zachowania tego gatunku w naszym kraju.

Jadwiga Wilkoń-Michalska, Jerzy Berndt

Zdjęcia: archiwum rodzinne Aleksandry Ferenc

¹Artykuł ukazał się 36 lat temu w czasopiśmie „Chrońmy Przyrodę Ojczystą” nr 6 z 1985 roku pod tytułem „Zasługi Stefana Beera na polu czynnej ochrony cisa *Taxus baccata* w Wierzchlesie”. (przypis Tadeusz Chrzanowski).

²Informacja Aleksandry Ferenc z 19 listopada 2021 roku.



Ignacy Rząska (1904-1945)

Przodownik leśny IGNACY RZĄSKA

(1904-1945)



ój dziadek Ignacy Rząska mieszkał z rodziną w Zwierzyńcu, niewielkiej wsi borowiackiej nieopodal Śliwic. Dla bliskich i wielu sąsiadów był cenionym doradcą i autorytetem moralnym. Dla naszej rodziny pozostał dumą i legendą, choć niewiele materialnych pamiątek po nim pozostało. To jest zaledwie kilka zdjęć i tyleż tajemnicza, co smutna informacja, że przepadł w lutym 1945 roku po zatrzymaniu przez sowieckie NKWD.

Czas zaciera ślady, odeszli już prawie wszyscy świadkowie dramatycznych lat wojny. Poszukiwania śladów po Ignacym Rząsce i zbieranie informacji o jego losach rozpocząłem w połowie lat 90. ubiegłego wieku, opierając się na wywiadach i wspomnieniach dziesiątek osób, wertowaniu rozmaitych archiwów, wysyłaniu pism do wielu instytucji i osób prywatnych na terenie Polski, Niemiec, Rosji i Łotwy.

DZIADEK IGNACY

Ignacy Rząska urodził się 2 maja 1904 roku w miejscowości Rosochatka w Borach Tucholskich. Jego rodzicami byli Mateusz Rząska i Joanna zd. Szlachcikowska, pochodzący z tej samej wsi. Ignacy był piątym z siedmiorga dzieci Rząsków. Cała rodzina mieszkała w Rosochatce w domu nr 42, który był zlokalizowany w sąsiedztwie szkoły. Tam Ignacy pobierał pierwsze nauki. W 1925 roku został powołany na dwa lata do służby wojskowej w 2 Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich w Bielsku. W dniu 9 lutego 1928 roku zawarł związek małżeński z Martą Pilawską urodzoną w 1907 roku również w Rosochatce. Po ślubie zamieszkali wraz z jej matką Marianną w domu rodzinnym Marty w Zwierzyńcu; w drewnianej, urokliwej chacie z dużym podwórkiem, stodołą, ogromnym sadem, pięknie kwitnącymi wiosną jabłoniami, śliwami, wiśniami. Całe to gospodarstwo otoczone było licznym jałowcami i z trzech stron ścianą lasu.

Wioska Zwierzyniec jest ukryta głęboko w lesie. Jeszcze dzisiaj można dorzeć tu tylko piaszczystymi duktami. Dawna leśniczówka, o tej samej nazwie, leży tuż za wsią nad rzeczką Zwierzynką. Zabudowania wsi są rozproszone; często nawet najbliżsi sąsiedzi nie widzą się z uwagi na zalesienie, pagórki lub po prostu znaczne odległości dzielące sąsiadujące chaty. Gdzieniedzie znajdują się małe, piaszczyste pola. Miejscowość otoczona jest sosnowo-świerkowymi



Ignacy Rząska (w pierwszym rzędzie z młotem na ramieniu) wśród uczestników budowy linii kolejowej – „magistrali węglowej” na odcinku między stacjami Lipowa i Łąg. Rok 1928

lasami z bogatym runem i ściółką. W okresie przedwojennym wieś liczyła 22 chaty mieszkalne, a dom Rząsków znajdował się na jej południowym skraju. W Zwierzyncu urodziło się sześcioro dzieci Ignacego i Marty: Leon Roman (1928), Halina (1930), Edmund (1933), Zygmunt (1934), Henryk (1939) i Genowefa (1945).

W latach 1928-1930 Ignacy Rząska uczestniczył w budowie „magistrali węglowej” na odcinku Lipowa-Łąg, przyczółka gdyńskiego, a potem w utrzymaniu technicznym linii kolejowej (nr 201). Po roku 1930 podjął pracę w Leśnictwie Zwierzyniec, gdzie leśniczym był najpierw Franciszek Sowa, a po nim Antoni Szymański. W wyniku zmian administracyjnych w latach 30. XX wieku, leśniczówka Zwierzyniec należała terytorialnie najpierw do Nadleśnictwa Lipowa, a potem do Nadleśnictwa Twarożnica. Ignacy w początkowym okresie zatrudniony był prawdopodobnie jako robotnik leśny, bądź tzw. przodownik. Przystępnie po 1938 roku objął w leśnictwie stanowisko gajowego lub podleśniczego. Jego praca bowiem polegała na nadzorze nad pracami wykonywanymi przez robotników. Uczestniczył w pomiarach i odbiorach drewna, był referentem, księgowym i kasjerem w jednej osobie.

Ignacy nade wszystko cenił sobie pracę w lesie, dokąd często zabierał swoich synów, przekazując im wiedzę na temat życia natury. Większość pracy piśmiennej przynosił do domu. Wykonywał ją do późnych godzin nocnych przy lampie naftowej. Jego żona Marta też podejmowała różnego rodzaju prace w lesie, począwszy od eliminowania plagi sówki choinówki, której szczyt przypadła w 1938 roku, a kończąc na pomocy w przydomowej zagrodzie.

LEŚNICZY ANTONI SZYMAŃSKI

Leśniczy Leśnictwa Zwierzyniec, Antoni Szymański, urodził się 12 czerwca 1907 roku w Grońsku na terenie Wielkopolski, jako syn nauczyciela Andrzeja i Marii. Tam uczęszczał do szkoły powszechnej, potem uzyskał maturę. Był absolwentem kursu nauczycielskiego w Poznaniu. Następnie uczył się w Państwowej Szkole dla Leśniczych w Margoninie. Przeszkolenie wojskowe odbył w Batalionie Balonowym w Toruniu. Stanowisko leśniczego objął po raz pierwszy 9 grudnia 1930 roku w powiecie kościerskim. W 1932 roku w Sierakowicach wziął ślub z Klarą Grzenkowicz (ur. w 1913 r.) pochodzącą z okolic Strzeczca. Leśniczówkę Zwierzyniec objął we wrześniu 1935 roku, zamieszkując tu wraz z rodziną. Miał wówczas trzyletniego syna Zbigniewa i rocznego Andrzeja. W listopadzie 1936 roku urodziła się córka Edyta.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej zaczęto budować murowaną leśniczówkę w miejsce starej drewnianej. Stary dom, pod względem architektonicznym, prezentował się pięknie; był okazały jak na drewnianą zabudowę



Leśnicy Leśnictwa Zwierzyniec, Antoni Szymański z żoną Klarą i dziećmi nad rzeczką Zwierzynką. Siedzą na drewnianym mostku, przez który Ignacy Rząska chodził codziennie do pracy. Rok 1938. Fot. archiwum prywatne rodzin Daruk i Głodowskich

charakterystyczną dla regionu. Posiadał jedno wejście i kilka przechodnich pokoi. Był to tzw. budynek zrębowy z szerokimi belkami łączonymi na rybi ogon i dodatkowo konstrukcją usztywnioną drewnianymi kołkami tzw. „teblami”. Na przeciwko domu stały dwa budynki gospodarcze, jeden murowany, drugi po części drewniany i murowany. Były też tam: stajnia, obora, stodoła, pokój dla stajenego oraz pomieszczenia dla drobnego inwentarza. Szymańscy posiadali krowy, kury, kaczki, gęsi i konia o imieniu „Lotta”.

Na czas budowy nowej leśniczówki, Szymańscy zamieszkali w budynku gospodarczym. Dodatkowo postawiono wówczas barak, w którym znajdował się piec chlebowy. Nowy budynek został oddany do użytku leśniczego już po wybuchu II wojny światowej.

Rodzina Ignacego Rząski była bardzo emocjonalnie związana z rodziną leśniczego Antoniego Szymańskiego. Świadczyły o tym serdeczne prywatne kontakty przed wojną i w czasie okupacji. Leśniczy często pojawiał się późnym popołudniem w domu Ignacego przekazując jakieś dokumenty, co skutkowało tym, że pracował on do późnych godzin nocnych, szemrając pod nosem różne słowa i liczby w języku i polskim, i niemieckim. Dla dzieci było to dość stresujące, bo podczas pracy taty bezwzględnie wszyscy musieli zachować ciszę w domu.

Innymi osobami związanymi z leśniczówką i rodziną leśniczego Szymańskiego byli w tamtym czasie: Olejnik ze Zwierzyńca, który wykonywał różne prace własnym koniem i wozem, jego syn Bronek, Pawełek ze Zwierzyńca, czy niania Wanda z Rzepicznej, która miała piętnaścioro rodzeństwa.

Już we wrześniu 1939 roku Niemcy aresztowali leśniczego Antoniego Szymańskiego i osadzili go w obozie w Tucholi. Wkrótce jednak, z pomocą żony Klary, okupu i wsparcia od – do dzisiaj nieustalonego – mieszkańca Zwierzyńca, dobrze władającego językiem niemieckim, został zwolniony i nawet dalej pełnił funkcję leśniczego w Zwierzyńcu. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że do uwolnienia swego przełożonego przyczynił się wówczas właśnie Ignacy.

CODZIENNOŚĆ CZASU OKUPACJI

Podczas okupacji, dom rodziny Rząsków, prawdopodobnie z uwagi na jego położenie na granicy z lasem oraz z dala od uczęszczanej drogi, często nawiedzany był, zwłaszcza nocą, przez uzbrojonych ludzi: partyzantów różnych proveniencji, oddziały Jagdkommando narodowości ukraińskiej stacjonujące w szkole w pobliskiej wsi Okoniny, niemiecką żandarmerię, patrole SS i Wehrmachtu, potem przez wojska radzieckie i na końcu żołnierzy 5 Wileńskiej Brygady mjr. Szendzielarza „Łupaszki”. Wizyty te dobrze zapamiętał syn Ignacego – Zygmunt, który najczęściej, po łomotaniu do okien i drzwi, otwierał wejście. Spał bowiem wraz z rodzeństwem w pokoju najbliższym drzwi wejściowych.



Spotkanie rodziny Rząsków w Zwierzyńcu. Od prawej: Ignacy Rząska, żona Marta oraz ich dzieci: Henryk, trzymany na rękach przez matkę Marty – Mariannę Pławską, Roman (w krawacie); od prawej na ziemi siedzą Zygmunt i Edmund, a w środku (z opaską na głowie) stoi Halina. Pozostałe osoby to rodzina z Niemiec i wsi Rosochatka. Rok 1940

Żona Ignacego Marta, z uwagi na niedostatek środków potrzebnych na utrzymanie licznej rodziny, często wyjeżdżała do Bydgoszczy sprzedając tam artykuły swojskiej produkcji i przywożąc zarobione pieniądze i różne artykuły przemysłowe, które w części odsprzedawano dalej. Wracając pociągiem, który przyjeżdżał do stacji Lipowa około godziny 21, nabyte towary wyrzucała z okna pociągu w umówionym rejonie, gdzie oczekiwali już Ignacy z najstarszym synem Romanem. Spowodowane to było tym, że na stacji Lipowa, niemiecka Policja często dokonywała przeszukania i aresztowań osób przywożących zakazany towar. Pod nieobecność rodziców, a było to nagminne, gotowaniem, sprzątaniem, opieką nad młodszym rodzeństwem, zajmowała się jedyna córka Rząsków Halina.

Był taki czas, kiedy rodzina spostrzegła, że Ignacy zabiera do pracy coraz więcej żywności. Zdarzało się nawet, że nocą wiózł do lasu większy transport. Pytany o powód takiego zachowania, najpierw wskazywał na długi czas pracy w lesie i konieczność zaopatrzenia pracujących tam ludzi. Później w ogóle nie wypowiadał się na ten temat i żona przestała go dręczyć niezręcznymi pytaniami, domyślając się, że jest to pomoc dla partyzantów. W tym też czasie zaczął częściej wyjeżdżać koleją, zazwyczaj do Bydgoszczy.

W czasie okupacji Ignacy zakazał żonie wysyłania dzieci do niemieckiej szkoły. Te, które zaczęły edukację jeszcze przed wojną w szkole w Lipowej, przerwały ją, natomiast inne, dorastające, których wiek wskazywał na obowiązek szkolny, podjęły naukę dopiero po wojnie.

LEŚNICZY FRANZ HAKSPIEL

W maju 1944 roku, leśniczy Antoni Szymański dostał nakaz pracy w Nadleśnictwie Baden Baden na terenie III Rzeszy. Na jego miejsce natychmiast przysłano niemieckiego leśniczego. Był to wysoki, szczupły mężczyzna w wieku około 40 lat. Nazywał się Franz Hakspiel i był Niemcem urodzonym w Austrii. Ignacy Rząska, rodzina i inni mieszkańcy Zwierzyńca odebrali go jako życzliwego człowieka. Sam mówił, że jest w Polsce tylko dlatego, że dostał nakaz, a z faszyzmem i okupacją niemiecką nigdy się nie identyfikował i chciałby jak najszybciej wrócić do domu, gdzie została żona i dzieci. Zapamiętano, że leśniczy Hakspiel siadał często na schodach wejściowych leśniczówki paląc fajkę z białej porcelany, na której z jednej strony był umieszczony wizerunek jelenia, a na drugiej krajobraz alpejski. Do lasu nigdy nie zabierał broni służbowej.

Pewnego dnia, gdy w leśniczówce było tylko troje dzieci leśniczego Szymańskiego, zjawili się pięciu partyzantów, którzy weszli do kancelarii zabierając broń, długi płaszcz i... porcelanową fajkę. Po powrocie z lasu leśniczy Hakspiel najbardziej ubolewał nad utratą fajki. Poza tym był raczej zadowolony z wizyty partyzantów, gdyż zdarzenie to oddalało potencjalne podejrzenia

policji niemieckiej, że mógłby z nimi współpracować. Innym razem zwierzył się Klarze Szymańskiej, że spotkał w lesie, niedaleko drogi do Wilczych Dołów, oddział partyzantów. Prosił wtedy, aby nikomu o tym nie wspominać.

III GRUPA, ALBO STUTTHOF

W drugiej połowie 1944 roku wezwano rodzinę Rząsków do Śliwic w sprawie podpisania niemieckiej listy narodowościowej (III grupy, Eingedeutschte). Była to już kolejna wizyta Ignacego w tej sprawie, na posterunku Policji. Pojechała z nim żona Marta i najstarszy syn Roman. Na wstępie jeden z mundurowych Niemców zaczął wykrzykiwać, że miała stawić się cała rodzina. Ignacy odpowiedział, że pozostałe dzieci i tak nic by nie zrozumiwały, gdyż nie znają niemieckiego. W odpowiedzi usłyszał, że odmowa złożenia podpisu na deklaracji, będzie skutkować natychmiastowym wywiezieniem całej rodziny do obozu koncentracyjnego Stutthof. Dodatkowym argumentem do podpisania listy podanym przez policjantów, był fakt przebywania w Niemczech, od wielu lat i to na stałe, dwóch braci Ignacego – Franciszka i Jana.

Podpisanie przynależności do III grupy narodowościowej niemieckiej było całkowicie sprzeczne z poczuciem tożsamości, wiary i godności osobistej Ignacego, jednak na razie gwarantowało zachowanie życia całej rodziny. I to przesądziło o jego decyzji. Natychmiast po podpisaniu niechcianej deklaracji, 16-letni syn Roman został skierowany do oddziałów pracy i przysposobienia wojskowego na terenie III Rzeszy.

W tym samym czasie wezwano na posterunek w Śliwicach, również żonę leśniczego Szymańskiego (leśniczy wciąż przebywał w Baden Baden) wraz z dziećmi. Klara Szymańska jako argument odmowy podpisania listy, podała że jest Kaszubką, dlatego – według nazistowskiej retoryki – należy uznać, że nie jest ani Polką, ani Niemką, A ponadto, jej dzieci nie znają języka niemieckiego. O dziwo uznano te argumenty, zapowiadając jednak dalsze wezwania.

NAD DOŁEM ŚMIERCI

Na przełomie lata i jesieni 1944 roku, w godzinach popołudniowych, do domu Rząsków przybiegł jeden z pracowników leśnych informując Martę (żonę Ignacego), że w miejscu pracy w lesie, Ignacy został aresztowany przez dwóch funkcjonariuszy SS z posterunku w Śliwicach. Marta pobiegła do leśniczówki, gdzie urzędował leśniczy Hakspiel, informując go o zdarzeniu. Ten, natychmiast siadł na rower i udał się na miejsce zatrzymania. Zdołał odszukać Ignacego, dosłownie w ostatniej chwili przed egzekucją. Okazało się, że wykopał on już dla siebie dół. SS-mani o czymś rozmawiali. Ignacy stał nad dołem, odwrócony tyłem do swoich oprawców. Działo się to nieopodal miejsca zwanego potocznie

„Szyldą” – składnicy drewna należącej do stacji kolejowej Lipowa. Po przybyciu leśniczego i rozmowie z SS-manami, prośbach, słownych poręczeniach, jeden z nich użył stwierdzenia, że: *Jest już za późno*. Nieugięty leśniczy dalej prowadził negocjacje z tym, że już tylko z jednym policjantem. Stała się wtedy rzecz niewiarygodna, gdyż drugi SS-man podszedł do stojącego nad dołem Ignacego i powiedział do niego stanowczym głosem po niemiecku: *A teraz uciekaj*. Wówczas Ignacy natychmiast podjął ucieczkę, kierując się wprost do domu. Niedługo potem przyjechał leśniczy. Usiadł przy stole z Ignacym i zapłakaną Martą. Rozmowa była krótka i wynikało z niej, że ktoś doniósł na Ignacego, że utrzymuje kontakty i dostarcza żywność partyzantom.

Po tym zdarzeniu Ignacy pozostał na miejscu, nie ukrywał się i do dzisiaj nie wiadomo jak hitlerowcy rozliczyli to zdarzenie między sobą oraz na posterunku w Śliwicach. Możliwe, że nie sporządzono żadnej dokumentacji, ani meldunku. Może coś w tej sprawie załatwił leśniczy? Pozostaje to tajemnicą, o rozwiązanie której Ignacy wówczas nie zabiegał będąc szczęśliwy, że żyje i że cała rodzina uniknęła represji lub śmierci. Niedługo po tym wypadku, Ignacy przestał jednak chodzić do pracy w lesie.

PRZED NADEJŚCIEM FRONTU

Na początku grudnia 1944 roku w rodzinie Szymańskich urodziła się córeczka, o tym samym co matka imieniu Klara. W tamtym czasie nikt z rodziny Rząsków i okolicznych mieszkańców nie chodził do leśniczówki. Było tam niebezpiecznie, terenu strzegli niemieccy żołnierzy, najliczniej zgrupowani w okolicy mostu na Zwierzynce. W samej leśniczówce wojsko nie stacjonowało, ani też nie zorganizowano tam szpitala dla lotników – jak twierdzono przez długie lata. Dalej mieszkała tam rodzina leśniczego Szymańskiego i Franz Hakspiel.

W pamięci rodziny Rząsków pozostał bardzo mroźny dzień pod koniec grudnia 1944 roku. We wsi Zwierzyniec w godzinach wieczorowo nocnych pojawiło się, jak nigdy dotąd, mnóstwo niemieckiego wojska. Była to pierwsza duża obława przeciwko partyzantom. Efektem było kolejne wtargnięcie do domu Rząsków żołnierzy szukających partyzantów, a potem żądających ciepłego picia i posiłku. Ignacego w tym czasie nie było w domu. Żona Marta leżała chora w łóżku. Dziesięcioletni syn Zygmunt, popędzany przez żołnierzy, rozpałał ogień po czym dał im posiadaną żywność.

Styczeń 1945 roku przyniósł wiadomość, że zbliża się Armia Czerwona. Wzmogła się jeszcze bardziej aktywność różnych oddziałów partyzanckich, co poskutkowało kolejną wielką obławą zorganizowaną w rejonie Zwierzynca.

Leśniczy Hakspiel w połowie stycznia postanowił opuścić leśniczówkę mówiąc, że ma zarezerwowane miejsce na statku Wilhem Gustloff. Jak się później okazało, statek ten zatonął 30 stycznia 1945 roku z 10 tysiącami uchodźców na pokładzie.

Pewnego dnia po wyjeździe Hakspieła, na krótko przed północą pojawiło się wojsko – niemiecki Wehrmacht, około dwudziestu żołnierzy. Prosił Szymańską o krótkotrwałe schronienie. Otrzymali kartofle, które sami obrali i ugotowali. Spali w większości w piwnicy. Jeszcze przed wschodem pożegnali się i odeszli. Rankiem przybył oddział SS szukający dezertersów. Wkrótce i oni odjechali nie uzyskując żadnej informacji o pobycie żołnierzy Wehrmachtu. W tym samym czasie pojawił się samotnie, dobrze uzbrojony – i jak sądzono wówczas – oficer niemiecki w mundurze polowym. Był to człowiek nad wyraz uprzejmy i kulturalny. Prosił o spoczynek i jedzenie. Odmówił przyjęcia mleka mówiąc, aby Szymańska zatrzymała je dla dzieci. Po niedługim czasie i on opuścił leśniczówkę.

TAK ZWANE „WYZWOLENIE”

W lutym 1945 roku, w dalszym ciągu w leśniczówce przebywała rodzina leśniczego Szymańskiego, natomiast strzegący drogi dojazdowej po obu stronach leśniczówki, dość liczny oddział niemiecki został unicestwiony bez wystrzału, białą bronią przez sowietów, a następnie wszystkich wrzucono do rzeki. Wśród pierwszych przybyłych do wioski sowieckich żołnierzy, ku zdumieniu mieszkańców, był człowiek, który kilka dni wcześniej odwiedził leśniczówkę w mundurze niemieckim. Okazało się, że był on oficerem zwiadu w wojskach sowieckich wyzwalających te tereny.

Przybyłe regularne frontowe wojsko, wobec obawy o los Klary Szymańskiej i czwórki jej dzieci, poleciło rodzinie natychmiast opuścić leśniczówkę. Klara pośpiesznie umieściła dwumiesięczne niemowlę w koszu na bieliznę, który potem niosła z najstarszym synem Zbigniewem, a młodszy Andrzej wraz z siostrą Edytą nieśli w drugim koszu duży bochen chleba. Rodzina udała się z grupą sowieckich żołnierzy do wsi Zamarte, oddalonej od leśniczówki około 50 kilometrów w stronę Chojnic. Tam przebywali kilka dni.

W trakcie wyzwolania rejonu wsi Zwierzyniec, a było to w połowie lutego, rodzina Ignacego Rząski przez kilka dni chroniła się w ziemiance usytuowanej za domem. W międzyczasie Rosjanie, którzy wiedzieli o bytności rodziny, nakazali ucieczkę do sąsiedniej wsi Główka. W Głównie inni Rosjanie nakazali powrót do Zwierzynca. W Zwierzyncu znowu nakazano wracać do Głównki, gdzie ostatecznie nocowali w chlewie u rodziny Ossowickich. Podczas tego przemieszczania jeszcze inni rosyjscy żołnierze zabrali Ignacemu zegarek z łańcuszkiem, który nosił w kieszeni kamizelki.

16 lutego 1945 roku ostatecznie wieś została trwale opanowana przez Rosjan. Pobliskie Śliwice oswobodzono z niemieckiej okupacji 19 lutego. Wokół było teraz mnóstwo żołnierzy Armii Czerwonej. Za domem Rząsków urządzono skład amunicji dużego kalibru. Dowódcą oddziałów wyzwalających rejon Zwierzyńca i Śliwic był Rosjanin w stopniu kapitana o nazwisku Janke. Pierwszą noc po tzw. wyzwoleniu rodzina Rząsków spędziła we własnym chlewie, gdyż dom był zajęty przez wojsko. W środku nocy obudził ich jakiś sowiecki żołnierz, który wszedł do chlewa i napastował 15 letnią Halinę. Stając w obronie córki, Ignacy uderzył żołdata, po czym zaczęli się szamotać powodując duży hałas. Po chwili wbiegł do środka rosyjski oficer z oświetleniem w rękę. Ignacy pośpiesznie opowiedział co przed chwilą zaszło. Wtedy oficer wyciągnął z kabury pistolet mierząc w stronę żołnierza i zaczął wyprowadzać sprawcę napastowania na zewnątrz. Ignacy widząc co się święci, uprosił oficera, aby darować życie napastnikowi. Oficer po chwili schował broń i nakazał niedoszłemu gwałtcielowi czekać na zewnątrz. Po czym, ku ogromnemu zdziwieniu rodziny Ignaca, ich obrońca serdecznie się przywitał. Był oburzony faktem nocowania Rząsków w chlewie i zaistniałym przed chwilą incydentem. Zwracał się do Ignacego po imieniu, a z rozmowy wynikało, że dobrze się znają. Prowadzili serdeczną wymianę zdań. Oficer wskazywał między innymi na zasługi Ignacego w walce z Niemcami. Dobrze posługiwał się językiem polskim. Miał na sobie rosyjski mundur oraz polskiego orzełka na czapce. Ostatecznie, interwencja oficera zakończyła się stwierdzeniem, że pozostałe dni rodzina spędzi we własnym domu i obietnicą, że tak długo jak będzie tu wojsko, cała rodzina będzie otrzymywać racje żywnościowe z żołnierskiego kotła.

Nazajutrz, faktycznie dom został opuszczony przez żołnierzy, podczas gdy w niektórych domach we wsi w dalszym ciągu przebywali Rosjanie. W końcu i oni się wynieśli, a na podwórku została tylko wojskowa kuchnia polowa, którą obsługiwał niewysoki, miły mężczyzna, w wieku około 55 lat. Nazywano go „Kozakiem”. Pełnił funkcje kierowcy i zaopatrzeniowca w wojsku. Opowiadał, że pochodzi z Moskwy, a z zawodu jest nauczycielem.

WIZYTA NKWD

Po tygodniu, w domu Rząsków pojawiło się dwóch sowieckich żołnierzy, rozpoznanych jako NKWD, gdyż mieli na głowach czapki z charakterystycznym ciemnoniebieskim kolorem. Padło pytanie o niemieckie dokumenty. Ignacy odpowiedział, że ma je w ziemiance poza domem. *No to przynieś* – odpowiedział jeden z nich. Ignacy poszedł. Funkcjonariusze czekali w izbie na jego powrót. Po chwili przyniósł dokumenty, które potwierdzały podpisanie niemieckiej III grupy narodowościowej (Eingedeutschte). Świadkiem tego zdarzenia była rodzina Ignaca i wspomniany rosyjski kucharz, który stał za uchylonymi drzwiami. Widząc całe zajście, wszedł do izby i rzucił ze złości swoją czapkę na ziemię wykrzykując po rosyjsku: *Coś ty*

zrobi! Wtedy jeden z funkcjonariuszy NKWD uderzył kucharza kolbą karabinu. Ignacy, nie zdając sobie sprawy z zagrożenia, odpowiedział tylko: *Przecież ja nic złego nie zrobiłem*. Nie było rewizji, ani kontroli osobistej. Funkcjonariusze NKWD udali się wraz z Ignacym na posterunek do Legbąda lub Rzepiczej.

Kilka dni po zatrzymaniu Ignaca, przyszedli inni NKWD-yści i przesłuchiwali jego żonę Martę. Zabrali pozostałe dokumenty Ignacego, których już nigdy nie udało się rodzinie odzyskać. Były tam między innymi świadectwa szkolne, dokumenty osobiste, paszporty, zaświadczenia, dokumenty z wojska itp. W czasie przeglądania zarekwirowanych dokumentów, funkcjonariusze byli bardzo wzburzeni widząc paszporty rodziny Rząsków. Co chwilę powtarzali słowa: *Ot, szulery!* Paszporty były wystawione w 1938 lub 1939 roku, gdyż siostra Marty, Anna Litkowska przebywała wraz z rodziną od około 10 lat w Algrange we Francji. Rodzina Rząsków też zamierzała tam wyemigrować. Z uwagi jednak na opiekę nad matką Marty zamieszkałą w Zwierzyńcu, odkładano termin wyjazdu.

NIE MA DO CZEGO WRACAĆ

Dwa tygodnie po tzw. wyzwoleniu, Klara Szymańska z dziećmi powróciła do leśniczówki. Budynek mieszkalny i pomieszczenia gospodarcze z zewnątrz nie były uszkodzone. Jednak w środku większość wyposażenia była rozgrabiona, bądź zdewastowana. Ze zwierząt gospodarskich odnaleziono tylko kota z jednym okiem. W takim stanie rzeczy nie było możliwe zamieszkanie w domu z małymi dziećmi. Rodzina leśniczego Szymańskiego udała się do wsi Zwierzyniec. Po drodze spotkali kilku mężczyzn idących z łopatami w stronę leśniczówki. Ucieszyli się oni na widok Szymańskiej, gdyż szli do leśniczówki z zamiarem rozkopania w pobliskim lesie dwóch świeżych grobów. Mieli informację, że tam znajdują... ciało jej i dzieci. Otrzymali zadanie pochować ich na cmentarzu, po chrześcijańsku.

Mówili o swoim zakłopotaniu i trosce o leśniczego Antoniego Szymańskiego, na okoliczność, gdy ten przyjedzie z Niemiec szukać swojej rodziny. Pomyłka wzięta się stąd, że mieszkańcy Zwierzyńca, kilkudniowe nagłe zniknięcie rodziny Szymańskich powiązali ze świeżymi dwoma grobami, które znaleziono w lesie. Po tym spotkaniu, Klara opuściła Zwierzyniec i udała się do Szlachty, gdzie zamieszkała z dziećmi, podejmując pracę na poczcie i oczekując na powrót męża.

Antoni Szymański powrócił z Niemiec jesienią 1945 roku. Klara, nie wyraziła zgody na zamieszkanie w lesie i dalszą pracę męża w leśniczówce. Ostatecznie cała rodzina zamieszkała w Kwidzynie. Przybyły do leśniczówki Zwierzyniec od 1948 roku nowy leśniczy Alfons Lipiński z żoną Jadwigą wspominali, że żona Szymańskiego kilka razy odwiedzała wraz z dziećmi leśniczówkę nie kryjąc wzruszenia.

W 1949 roku urodziła się Szymańskim jeszcze jedna córka – Barbara. Antoni Szymański zmarł w 1970 roku, a jego żona Klara w 1986.

LOS IGNACEGO

Rodzina Rząsków nie miała informacji, gdzie wywieziono Ignacego i co się z nim stało. Marta wielokrotnie wyjeżdżała na poszukiwania i wysyłała pisma do różnych instytucji próbując uzyskać jakiegokolwiek informacje o mężu. Urzędnicy albo rozkładali bezradnie ręce, albo zdawkowo odpisywali, że informacji brak.

W połowie 1945 roku wrócił z Niemiec do Zwierzyńca, zwolniony przez wojsko amerykańskie, najstarszy syn Ignacego – Roman. Dom rodzinny został bez żywiciela rodziny, cały inwentarz zjedzony przez wojsko, a mienie rozkradzione. Osierocona rodzina wobec faktu podpisania III grupy, nie otrzymywała kartek żywnościowych, ani innych przydziałów. W kwietniu 1946 roku zdesperowani postanowili opuścić Zwierzyniec udając się na tzw. ziemie odzyskane w okolice Słupska. W domu został tylko syn Zygmunt, któremu pomocy udzielała sąsiadka Elżbieta Lipkowska.

Pewnego dnia, tuż przed zachodem słońca, na podwórku domu Rząsków pojawił się dość liczny oddział Wojska Polskiego z psem owczarkiem niemieckim. Żołnierze przeprowadzili wywiad z Zygmuntem, następnie nocowali w chałupie i w stodole. Rano udali się do leśniczówki Zwierzyniec, gdzie zatrzymali się na dłużej. Był to oddział 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”.



Marta Rząska z synem Zygmuntem.
Rok 1944

Po wielu latach – w wyniku poszukiwań w źródłach archiwalnych – udało się ustalić, że Ignacy Rząska zmarł z niedożywienia i wycieńczenia spowodowanego ciężką pracą w miejscowości Dźwińsk w Rosji sowieckiej, już 5 maja 1945 roku. To tam zesłało go NKWD do katorżniczej pracy w fabryce zbrojeniowej. Osierocił pięcioro dzieci i pozostawił żonę Martę w dziewiątym miesiącu ciąży. Urodzone dziecko niebawem zmarło z powodu niedożywienia. Cała rodzina osiadła ostatecznie w Trójmieście i jego okolicach. Żona Ignacego Marta zmarła w Gdańsku w 1987 roku i zgodnie z życzeniem została pochowana jak najbliżej Zwierzyńca, na cmentarzu w Śliwicach. Na rodzinną ziemię powrócił na stałe tylko Zygmunt Rząska ze swoją rodziną.

POSTSCRIPTUM 1

Ignacy Rząska, jako pracownik leśny, był groźnym dla okupanta przeciwnikiem. Wykształcony i przeszkolony wojskowo, miał dobre relacje z miejscową ludnością, a przede wszystkim doskonale znał strategiczny dla walk i ukrywania się teren leśny. Z dokumentów wiadomo, że we wrześniu 1944 roku w najbliższej okolicy leśniczówki Zwierzyniec lądował, a potem ukrywał się polsko-radziecki desant, który do tzw. wyzwolenia, przeprowadził razem z lokalną grupą partyzancką Jana Meggera kilka akcji przeciwko Niemcom. Dowódcą tego rzutu był ppor. Wiktor Aleksiejew, a zastępcą ppor. Jan Miętki.

Biorąc pod uwagę czas, w którym Ignacy pomagał partyzantom, mógł on również współpracować z innymi oddziałami partyzanckimi. W pobliskich lasach działał m.in. oddział Armii Krajowej „Jedliny” pod dowództwem Jana Sznajdera. Zanim nastąpiła zima, oddziały stacjonowały w lesie kwaterując w podziemnych bunkrach i ziemniakach. Natomiast zimą, ze względu na trudności aprowizacyjne i ograniczone możliwości poruszania się po śniegu, dzielono się na mniejsze grupy, kwaterując w bunkrach przygotowanych przez miejscową ludność, wciągniętą do ruchu oporu i współdziałającą z partyzantami.

Ignacy kochał las. Cenił wolność i był wielkim patriotą, pomagał walczącym w czasie okupacji ludziom, nie zaniedbując przy tym swojej wielodzietnej rodziny. W jakim zakresie, jak długo i ilu oddziałom i partyzantom pomógł, możemy się tylko domyślać. Z pewnością nie miało dla niego znaczenia, z jakiego ugrupowania byli żołnierze podziemia. W działaniu i pomocy był dyskretny, bo to było gwarancją ochrony, bezpieczeństwa rodziny i całej rzeszy innych ludzi.

Po aresztowaniu Ignacego przez NKWD, dzieci długo jeszcze, każdego popołudnia, uporczywie spoglądały w kierunku leśniczówki, gdzie przez wiele lat pojawiał się zarys postaci Ojca, wracającego z pracy skrótem przez rzeczkę Zwierzynkę do leśnej, ciepłej, rodzinnej chaty otoczonej wysokim sosnowym lasem, z pięknym dużym sadem i starym żurawiem przy studni.

POSTSCRIPTUM 2

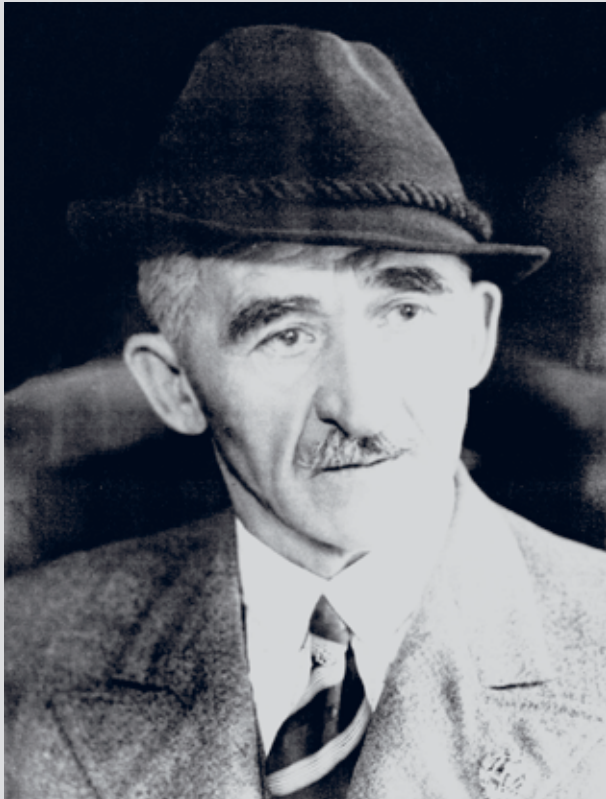
18 maja 1945 roku do leśniczówki Zwierzyniec, na miejsce leśniczego Antoniego Szymańskiego przyszedł Władysław Ossowski, a od 4 października 1948 roku zastąpił go Alfons Lipiński z żoną Jadwigą, który piastował urząd leśniczego przez kolejnych 13 lat. Ostatnim leśniczym Leśnictwa Zwierzyniec, od 1 kwietnia 1998 roku do 31 grudnia 2002 roku, kiedy leśnictwo zlikwidowano, był Mariusz Maliszewski.

Dariusz Rząska

Zdjęcia: archiwum autora

Podziękowanie

Dziękuję osobom, dzięki którym ta opowieść o moim dziadku Ignacym Rząsce i leśniczym Antonim Szymańskim mogła powstać. Są to: Zygmunt Rząska, Edyta Głódowska, Radosław Daruk, Klara Daruk, Bogusława Teclaw z Legbąda, Jadwiga Lipińska, Mariusz Maliszewski.



Tadeusz Metzsig (1876-1949)

Nadleśniczy TADEUSZ METZIG

(1876-1949)



znakomitą postacią w dziejach leśnictwa i łowiectwa polskiego był przedwojenny nadleśniczy w Gołąbkach i Mochach oraz w lasach wileńskich, Tadeusz Metzиг. Po II wojnie światowej odtwarzał struktury Polskiego Związku Łowieckiego, był również nadleśniczym w lasach mazurskich. Nadleśnictwem Gołąbki zarządzał przez 10 lat i w tymże czasie złotymi zgłoskami zapisał się w dziele łowiectwa.

Tadeusz Metzиг był współzałożycielem Polskiego Związku Myśliwych w Poznaniu, uznanym hodowcą psów myśliwskich, dziennikarzem i pisarzem zajmującym się tematyką łowiecką. Jego przodkowie byli Niemcami wyznania ewangelickiego. Aby pokazać jak wielce zasłużyli się dla sprawy polskiej, wystarczy przywołać dziadka Tadeusza, Jana Metzига. By poznać postać Tadeusza Metzига, rozpocznę moją opowieść o nim od jego korzeni. Rodzina Metzигów osiadła w Skwierzynie, zaś bliscy ich krewni zamieszkiwali na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej.

SŁAWNI PRZODKOWIE

Pradziadek Tadeusza był przez pewien czas burmistrzem w Trzcielcu, a później sędzią i adwokatem w Międzyrzeczu. Dziadek Jan kształcił się w gimnazjum w Joachimstalu, które ukończył w 1822 roku. Następnie pobierał naukę w Wojskowym Instytucie Medycyny w Berlinie, który skończył obroną dysertacji, uzyskując stopień naukowy doktora. Został lekarzem wojskowym najpierw w Berlinie, później krótko w Poznaniu i Strzałkowie nad granicą Kongresówki.

W 1831 roku przybył wraz z żoną do Leszna i objął stanowisko lekarza wojskowego w miejscowym batalionie. Żona, Emilia Barbara Schafer, była cioteczną siostrą Fryderyka Chopina, gdyż jej matka Tekla Dorota Krzyżanowska była siostrą Justyny Krzyżanowskiej, matki Fryderyka Chopina. Rodzina Krzyżanowskich i trzech bracia Krzyżanowscy także służyli sprawie polskiej. Stanisław – ojciec – generał wojsk Stanów Zjednoczonych, Bogumił i Bonawentura – wszyscy służyli pod Napoleonem I. Powrót Jana Metzига po studiach wojskowych do rodzinnej ziemi poznańskiej, obcowanie z Polakami i zawarcie związku małżeńskiego z Polką rozbudziły ponownie jego zainteresowania sprawami polskimi.

Obserwacja przebiegu wydarzeń Wiosny Ludów w 1848 roku w Wielkopolsce, a także losów Polaków, utwierdziły dra Jana Metzига w jego polonofilskich poglądach. Jan Metzиг był członkiem Ligi Polskiej, w której reprezentował od lat zamieszkałych tu Niemców. *Jego osobowość, to szlachetny charakter, prawość*

iu ucziwość. Ogromna wiedza medyczna, a przede wszystkim zainteresowanie losem Polaków i naszymi dziejami historycznymi – taki opis sylwetki Jana Metziga przedstawiał S. Gołębiowski w „Wielkopolanach XIX wieku”. Troska o zdrowie i pomoc biedocie miejskiej i wiejskiej to dalsze cechy jego osobowości.

Jan Metzigi utrzymywał ściśle kontakty z wieloma wybitnymi Wielkopolanami, a wśród nich z Karolem Libeltem, Karolem Marcinkowskim, Gustawem Potworowskim, Augustem Cieszkowskim i wieloma innymi. Dowodami przyjaźni z Polakami są pamiątki: podarowany mu przez Karola Marcinkowskiego olejny portret z jego dedykacją, czy też ofiarowany przez społeczność miasta Gniezna srebrny puchar z wygrawerowanym napisem: *Stałemu przyjacielowi Polaków – doktorowi Janowi Metzigowi – Polacy grodu Lecha*. Dziś puchar ten stanowi własność rodziny w Poznaniu. W swoich publikacjach podejmował problemy odzyskania przez Polskę niepodległości. *Każdemu co się należy. Właściwa odpowiedź w kwestii polskiej, na wielkie pytanie czasu* – to opracowane credo poglądów Jana Metziga, wydane w 1856 roku w Hamburgu. W tej pozycji autor domaga się m.in. otwarcia Uniwersytetu w Poznaniu lub otwarcia Uniwersytetu Słowiańskiego w Lesznie, wracając do tradycji Jana Amosa Komeńskiego.

Wielki przyjaciel Polaków zmarł w 1868 roku. W 1920 roku jeden z placów Leszna nazwano jego imieniem. Nie ulega wątpliwości, jak pisał A. Rogalski, że w galerii pionierów przyjaźni niemiecko-polskiej postać doktora Jana Metziga zajmuje ważne miejsce i że jest on jednym z wykwitów idei Rewolucji Francuskiej oraz dążeń demokratycznych pierwszej połowy wieku dziewiętnastego.

Ten wątek z dziejów przodka Tadeusza Metziga jest niejako świadectwem dla pracowitości naszego bohatera już w wolnej Polsce, na niwie łowieckiej. Wspaniałe korzenie i znakomita polska koligacja sprawiły, że i Tadeusz – wzorem dziadka – pozostawił po sobie bogatą spuściznę dziejową.

STUDIA W THARANDCIE

Tadeusz Metzigi urodził się 6 sierpnia 1876 roku w Szamotułach w rodzinie miejscowego lekarza Emila Metziga i Benigny z Michalskich, jako pierwsze z czworga rodzeństwa. W mieście tym spędził dzieciństwo i lata nauki szkolnej. Uczęszczał do miejscowej Szkoły Agronomicznej. Była to szkoła przypominająca szkoły realne o sześciu klasach. Trzy pierwsze klasy miały charakter przygotowawczy do kształcenia średniego, czyli z zakresu klas niższych gimnazjum lub szkoły realnej. W ostatnich trzech klasach, zwanych zawodowymi wykładano poza przedmiotami zawodowymi botanikę, zoologię, fizykę, chemię i mineralogię. Również naukę o gospodarstwie i o przedsiębiorstwie oraz miernictwo. Zakład posiadał uprawnienia do wystawiania świadectw dojrzałości. Po jej ukończeniu odbył praktyki w majątności Szołdrskich w Starym Gołębinie. Stąd wyjechał, by kontynuować naukę na studiach wyższych. Od października 1898 roku do



Po polowaniu w lasach antonińskich Ordynacji Przygodzickiej Radziwiłłów. W środku stoi (z tyczką w ręku) łowczy Tadeusz Metzig. Obok niego, na prawo: syn Zygmunt i żona Maria z d. Schellenberg. Około 1910 r.

marca 1900 roku studiował w Królewskiej Saskiej Akademii Leśnej w Tharandcie. Po jej ukończeniu nadal pracował w dobrach Szołdrskich w Starym Gołębinie nadzorując m.in. tamtejsze lasy. Od października 1908 roku do marca 1909 roku uzupełnił wiedzę, kończąc trzeci rok studiów (wprowadzony od 1907 r.). W tym samym czasie studiowali z nim: Adam Loret – pierwszy dyrektor naczelny Lasów Państwowych i Teofil Lorkiewicz – w okresie międzywojennym dyrektor Okręgu Toruńskiego i Poznańskiego Lasów Państwowych.

Akademia Leśna założona została w 1816 roku przez von Johanna Heinricha Cotta pod nazwą Königlich-Sächsische Förstakademie – czyli Królewskiej Saksońskiej Akademii Leśnictwa. Po jej ukończeniu podjął się pracy w lasach prywatnych w Wielkim Księstwie Poznańskim. Pracował w lasach antonińskich Ordynacji Przygodzickiej Radziwiłłów, u ordynata księcia Ferdynanda Radziwiłła. Z tego okresu pracy zawodowej nie zachowały się żadne dane, jedynym potwierdzeniem na zatrudnienie u Radziwiłłów są tradycje rodzinne, według których miał pracować jako... łowczy w majątkach Radziwiłłów.

W styczniu 1903 roku Tadeusz Metzиг poślubił w Poznaniu Marię Schellenberg, urodzoną 8 grudnia 1878 roku. Pochodziła ona z warszawskiej rodziny przemysłowców. *Była kobietą mądrą, wykształconą w szkole sztuk pięknych, znakomitą malarką, uprawiającą również sztukę użytkową.* Spora część jej prac znajduje się w domu wnuka Andrzeja Tyszeckiego. Wiele z nich zostało poświęconych tematyce myśliwskiej. Z małżeństwa Marii i Tadeusza urodziła się dwójka dzieci: syn Zygmunt i córka Halina. Oboje, jak pokazała przyszłość, związali się z zawodem ojca Tadeusza – leśnictwem.

Jako młody, acz doświadczony leśnik i myśliwy, pisał artykuły do warszawskiej prasy łowieckiej, tj. do „Łowca Polskiego”. W jednym z artykułów z 1912 roku pisał o swoim doświadczeniu na polu łowieckim: *Otóż mając dużo sposobności polować na grubego zwierzę w najróżniejszych okolicach, jak na Pomorzu, w Poznańskim, w Saksonii, w Królestwie, w Galicji i na Węgrzech, miałem więc tym samym okazję poznać różnych i różne kategorie myśliwych i rozmaite klasy strzelców.*

Z wybuchem I wojny światowej, Tadeusz Metzиг będący oficerem armii pruskiej, został zmobilizowany i wysłany na front wschodni. W jednej z bitew został wzięty przez Rosjan do niewoli i osadzony na zesłaniu w Orenburgu nad rzeką Ural. Tam w 1915 roku rozpoczął działalność w osiemnastoosobowym Podkomitecie Towarzystwa Dobroczynności. Z jego ramienia organizował pomoc osadzonej tam inteligencji wojskowej, która z braku zatrudnienia doświadczała głodu i złych warunków bytowania. Współpracował w tym względzie z warszawskim i piotrogrodzkim Komitetem Towarzystwa Dobroczynności. Na miejscu w Orenburgu organizował również życie kulturalne Polonii osadzonej w liczbie blisko 4 tysięcy osób, tej z roku 1831 oraz lat późniejszych, jak również tej najmłodszej, frontowej.

NADLEŚNICZY W GOŁĄBKACH

Po zakończeniu działań wojennych wrócił do Polski, do Poznania i przez Decernat Leśnictwa Naczelnej Rady Ludowej został skierowany do Nadleśnictwa Gołębki, by przejąć z rąk niemieckich zarząd nad lasami gołębkowskimi. Oficjalnie 26 lipca 1919 roku otrzymał mianowanie na nadleśniczego Nadleśnictwa Gołębki, podpisaną przez kierującego Decernatem Leśnictwa, Modzelewskiego. W tym samym czasie identycznie mianowany nadleśniczym Nadleśnictwa Szczepanowo został Ksawery Ludwiczak. Podobnie było z powstaniem nowej polskiej struktury zarządzającej lasami państwowymi. Powstał Zarząd Lasów Państwowych w Poznaniu, którego głównym dyrektorem dla całego byłego zaboru pruskiego został Antoni Pacyński, dyrektorem lasów Włodzimierz Zacherta, a inspektorami: inż. Stefan Studniarski, inż. Ludwik Waclawiak, inż. Zdzisław Gańczakowski, inż. Kazimierz Chrzanowski, Edmund Bartz, Antoni Sella i Adam Gotowała. Powołano również 12 nadleśniczych, m.in. wyżej wspomnianych.

15 listopada 1922 roku nadleśniczy Tadeusz Metzиг z Gołębek został wybrany asesorem w zarządzie Oddziału Poznańskiego Polskiego Związku Myśliwych. Od 1 lipca 1923 roku przestało wychodzić „Łowiectwo Polskie” w Poznaniu. W tamtym dniu nastąpiło połączenie się czasopisma z wydawanym w Warszawie „Przeglądem Łowieckim”. Tytuł nowego czasopisma zaczerpnięto z połączenia obu tytułów i brzmiał on „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie”.

Podczas IV Wystawy Myśliwskiej, zorganizowanej 23 czerwca 1923 roku w Poznaniu przez Polski Związek Myśliwych, pośród wystawców znalazł się również nadleśniczy państwowy z Gołębek Tadeusz Metzиг. Już wówczas cieszył się popularnością i był w sferach wielkopolskich znanym hodowcą i jak go określono, pisarzem myśliwskim. Jego eksponaty budziły zachwyt zwiedzających i samej komisji konkursowej, która przyznała jego trofeom: wieńcom i parostkom srebrne medale. W rok później został zastępcą prezesa Zarządu Oddziału Poznańskiego Polskiego Związku Myśliwych. W 1923 roku wszedł również w skład Społecznego Komitetu Budowy Pomnika dla Poległych, który ukonstytuował się 14 czerwca 1923 roku. Jego zadaniem było wystawienie pomnika mieszkańcom powiatu żnińskiego poległych w walkach o wyzwolenie z jarzma niemieckiego. Pomnik miał stanąć w Żninie ze składek mieszkańców całego powiatu.

Tadeusz Metzиг przez wiele lat był przewodniczącym Oddziału Bydgoskiego Związku Zawodowego Leśników Rzeczypospolitej Polskiej, orędownikiem szkolenia i egzaminowania uczniów leśnych w terenie i praktycznie. Wspierał powstanie baonów strzeleckich, aby leśnik zaciągnięty do wojska nie zapominał tego, czego się wcześniej nauczył. Był sygnatariuszem protestu przeciw statutowi z 28 czerwca 1924 roku „Polskie Lasy Państwowe”.



Nadleśniczy Tadeusz Metzsig na pierwszym polowaniu w Nadleśnictwie Gołąbki (stoi czwarty od lewej). W środku (z psem) siedzi brat nadleśniczego. Rok 1919



Nadleśniczy Tadeusz Metzиг (drugi od prawej) z synem Zygmuntem (pierwszy od prawej) przed polowaniem w Nadleśnictwie Gołębki. Lata 20. XX w.



Tadeusz Metz i jego małżonka Maria z d. Schellenberg. Nadleśnictwo Gołąbki, lata 20. XX w.

MYŚLIWSKIE PASJE I TALENTY

„Gazeta Bydgoska” z 1925 roku podaje, że Wielkopolski Związek Myśliwych z ppłk. rez. Konstantym Chłapowskim na czele zorganizował w poznańskim Szełągu, na Strzelnicy Bractwa Strzeleckiego, doroczny konkurs strzelania myśliwskiego. Pośród uczestników znalazł się również nadleśniczy Tadeusz Metzиг, który otrzymał premie za strzelanie do dzika biegnącego i do rzutek, zajmując w tych kategoriach I miejsca.

Tadeusz Metzиг swoje pasje łowieckie realizował także jako hodowca psów rasowych, jamników. Był również sędzią egzaminującym zgłoszone do konkursów psy myśliwskie. Jeden z takich konkursów wyzłów dowodnych został przeprowadzony 25 sierpnia 1928 roku przez Wielkopolski Związek Myśliwych w majątności hr. Ignacego Mielżyńskiego w Iwnie. W składzie komisji konkursowej znalazł się nadleśniczy Tadeusz Metzиг. Sam nadleśniczy Metzиг ze swojej hodowli wystawił od 1 do 4 czerwca 1929 roku na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu dwa psy. Były to: Sznaps i Moryc. O pozycji jaką zajmował w sferach łowieckich świadczy fakt, że znalazł się w składzie specjalnej komisji, która opracowała dział dydaktyczno-naukowy łowiectwa na PWK. Obejmował on historię polowania, sposoby polowania w literaturze, obrazach i fotografiach, znaczenie polowania dla gospodarstwa krajowego, ochronę zwierząt w Polsce, dział łośia, kozicy, świstaka oraz tropy zwierzęce.

Pośród uznanych sędziów, którzy mieli uprawnienia do oceny wyzłów dowodnych rasy niemieckiej, asystentem był również Tadeusz Metzиг – wówczas zamieszkały w Poznaniu przy ul. Jasnej 14.

Od 1924 roku, z chwilą włączenia łowiectwa wielkopolskiego w struktury Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, wybierano z każdego powiatu delegatów na walne zebrania. Do 1930 roku powiat żniński reprezentował Tadeusz Metzиг, choć już wówczas nie piastował funkcji nadleśniczego w Nadleśnictwie Gołąbki. W sierpniu 1929 roku został odwołany z funkcji nadleśniczego w VII stopniu służbowym i przeniesiony na także stanowisko do Nadleśnictwa Mochy. Jeszcze w maju 1930 roku był tam nadleśniczym, lecz wkrótce dostał propozycję przejścia do Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie, bez wskazania stanowiska służbowego. W tym miejscu wszelkie informacje o Tadeuszu Metzigu się urywają. Możemy jedynie domniemywać, że skorzystał z oferty przejścia do pracy w lasach Wileńszczyzny. Do Wielkopolski powrócił około 1936 roku. W tym roku brał udział w zawodach strzeleckich w Poznaniu, reprezentując Łowca Wielkopolskiego. Od 1937 roku wymieniany był kilkakrotnie w prasie łowieckiej, jako emerytowany nadleśniczy. Zamieszkał w Poznaniu przy ul. Jasnej 14, mieszkania 7. Znajdujemy również informację, że w Środzie Wielkopolskiej prowadził firmę „TAMET”, która zajmowała się produkcją



Tadeusz Metzgi z pasją uprawiał dziennikarstwo. Był także autorem kilku książek na temat zwierzyny. Na zdjęciu widzimy go w trakcie pisania kolejnego artykułu do prasy łowieckiej

lizawek dla zwierzyny kopytnej: jeleni, danieli i saren. Nosiły one podobnie jak firma – nazwę „Tamet”. Był to skrót od nazwiska właściciela, czyli Tadeusza Metzgi.

PUBLICYSTA

Tadeusz Metzgi z wielką pasją uprawiał dziennikarstwo, pisząc na łamach prasy łowieckiej artykuły z zakresu poradnictwa i doradztwa. Publikował między innymi w czasopismach „Łowiectwo Polskie”, „Myśliwy”, „Łowiec Polski” itd. Zadebiutował w 1912 roku na łamach „Łowca Polskiego”, artykułem *Cietrzew na toku*. Kolejnymi artykułami były: *W sprawie psów legawych*, *Hodowla kuropatw i Nieco o prawidłowym łowiectwie*. Intensywniej pracował na polu pisarskim już przed I wojną światową, a największą spuściznę pozostawił po sobie z lat 1912-1942.

W okresie II wojny światowej przebywał na terenie Wielkopolski w miejscowości Pinka. Tam w otoczeniu lasów dołskich napisał książkę pod znamienym tytułem *Zwierz naszych lasów i pól*, o czym mówi zapis na odwrocie zdjęcia datowany na 8 maja 1942 roku. Napisał również drugą książkę o hodowli jelenia.

NA WARMII I MAZURACH

Tadeusz Metzgi opuścił Wielkopolskę w maju 1945 roku i udał się na Warmię i Mazury. Była to zaskakująca decyzja w sytuacji, gdy tutaj brakowało specjalistów i fachowej kadry dla leśnictwa. Towarzyszyli mu dwaj leśnicy, przedwojenni



Nadleśnictwo Purda Leśna na Mazurach. Stoją od lewej: Zygmunt Metzig, Stanisław Tyszecki, Janina Metzig (żona Witolda), Helena Metzig (żona Zygmunta), NN, Halina Tyszecka (z d. Metzig), Tadeusz Metzig (nadleśniczy w N. Purda Leśna, w latach 1945-48), NN oraz Witold Metzig. Około roku 1947

absolwenci Uniwersytetu Poznańskiego: syn Zygmunt i zięć Stanisław Tyszecki. Zapewne jedną z przyczyn było wcześniejsze poznanie lasów przedwojennego województwa wileńskiego. Z drugiej zaś strony, całkowity brak polskich specjalistów w tej części kraju. W końcu najważniejsza przyczyna, chęć bycia blisko z rodziną, w niewielkim oddaleniu od siebie. Tadeusz był wówczas wdowcem, dlatego też i tęsknota za najbliższymi. Cała trójka otrzymywała stanowiska nadleśniczych w Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Mazurskiego w Olsztynie. Senior Tadeusz został nadleśniczym Nadleśnictwa Zaborowo, które później zmieniło nazwę na Nadleśnictwo Purda Leśna; syn Zygmunt został nadleśniczym w Nadleśnictwie Siemiany nad Jeziorem Jeziorak; a zięć Stanisław nadleśniczym w Nadleśnictwie Dzierzgoń.



Tadeusz Metzig
(pierwszy od prawej)
w towarzystwie
syna Zygmunta i jego
żony Heleny (primo
voto Waleckiej,
wdowy po oficerze
zamordowanym
w Katyniu). Mazury,
rok 1947

W nowym otoczeniu i środowisku Tadeusz Metzиг z miejsca podjął się działalności na niwie łowieckiej. Współorganizował pierwszą po wojnie Wojewódzką Radę Łowiecką Województwa Mazurskiego (Okręgu Mazurskiego), stając się jej członkiem a zarazem referentem ds. hodowli zwierzyny. 3 listopada 1945 roku, jako delegat uczestniczył w pierwszym powojennym Walnym Zgromadzeniu Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie. Z racji wielkiego doświadczenia na niwie łowieckiej został wybrany asesorem WZ PZŁ. Zasiadał w składzie Sądu Łowieckiego przy Naczelnej Radzie Łowieckiej.

„NIE ŻAL UMIERAĆ”

Z opisu, jaki przekazał wnuk Tadeusza Metziga, Andrzej Tyszecki, nasz bohater był w okresie powojennym już *niemłody, za to niestęchający wysportowany. Niewysoki, szczupły, muskularny. Znakomity myśliwy. Posiadał ogromną kolekcję medali za trofea z wystaw łowieckich, w tym z największej z wystaw w Berlinie, zorganizowanej w 1936 roku. Był człowiekiem wesołym, towarzyskim oraz wielkim optymistą. Jak twierdził: nie żał mu będzie umierać, gdyż od życia wziął wszystko, co można było oczekiwać.*

Po raz drugi na emeryturę przeszedł w 1947 roku, a kierowanie nadleśnictwem przejął zięć Stanisław Tyszecki. Zamieszkał w Pasymiu koło Olsztyna, gdzie nadal pracował, jako leśniczy lasów gminnych. Zmarł nagle 2 marca 1949 roku na tzw. wylew. Po śmierci wrócił do Wielkopolski i został pochowany obok zmarłej 2 września 1932 roku żony Marii z Schellenbergów na cmentarzu w Szamotułach, gdzie spoczywali również ojciec i brat śp. Tadeusza.

O doniosłości zasług łowieckich jakie położył nadleśniczy Tadeusz Metzиг niech zaświadczą słowa wypowiedziane z okazji 30-lecia istnienia Wielkopolskiego Związku Myśliwych przez założyciela i honorowego prezesa WZŁ Nestora Łowiectwa Władysława Janta-Pończyńskiego z Redgoszczy. Powiedział on, że: *Towarzystwo Łowieckie ma więc swoich Marcinkowskich i Jackowskich na skromnym, ale niemniej pożytecznym polu działania, bo wszyscy oni byli tylko trybami wielkiego koła pożytecznej pracy społecznej narodu, przygotowującej dzisiejsze czasy wiktoria. Wielu z nich żyje jeszcze czcząc św. Huberta, działa i walczy dla honoru zielonego sztandaru. Niepodobna wyszczególnić tutaj wszystkich. Niech nam więc wolno będzie wymienić (...) współpracowników organu Towarzystwa „Łowca Wielkopolskiego”, a pośród nich nadleśniczego Tadeusza Metziga.*

Marian Przybylski

Zdjęcia: zbiory Andrzeja Tyszeckiego, wnuka Tadeusza Metziga oraz archiwa Nadleśnictwa Gołębki i autora



Wiaczesław Hlebowicz (1903-1966)

Leśniczy WIACZESŁAW HLEBOWICZ

(1903-1966) i jego bracia



rodzinie Hlebowiczów tradycje leśne i myśliwskie są przechowywane od pokoleń. Sama rodzina wywodzi się z Kresów Wschodnich, początki jej z XVI wieku sięgają ziem położonych pomiędzy Smoleńskiem a Witebskiem. Przez kilka kolejnych stuleci rodzina związana była z Grodnem i Grodzieńszczyzną.

Najbardziej znany jej przedstawiciel, o złożonym, kontrowersyjnym życiorysie, Antoni Bolesław Hlebowicz (1801-1847) – filareta, a potem radca stanu Cesarstwa Rosyjskiego, wizytator szkół w Królestwie Kongresowym – urodził się w Grodnie. Potem jego losy zaprowadziły tak jego, jak i całą rodzinę do Warszawy, gdzie zmarł i został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim. Antoni Bolesław pozostawił po sobie siedmioro potomków, w tym czterech synów. Jeden z młodszych synów Cezary Adam, urodził się w Warszawie w 1839 roku. Ożenił się ze Szwedką, co ciekawe, wyznania prawosławnego – Olgą Sternberg, przez co wszyscy kolejni potomkowie tej gałęzi rodu Hlebowiczów musieli przyjąć to wyznanie religijne. Takie było prawo obowiązujące w Cesarstwie Rosyjskim. Nie znamy dalszych szczegółowych losów Cezarego, najprawdopodobniej tak jak ojciec pracował jako urzędnik w państwie carskim na Lubelszczyźnie. Tam, w Lubartowie, przyszedł na świat Jan Hlebowicz (1868-1928), inżynier leśny, pracujący w lasach Lubelszczyzny, Grodzieńszczyzny, guberni ufimskiej na Uralu, a po powrocie z Rosji, w lasach radomskich i toruńskich. Ożeniony z Marią, z domu Steckiewicz, Jan doczekał się aż dwanaściora dzieci, z których dożyło dorosłości sześcioro. Na Uralu, w niedużej wsi Wierchnietroickoje, urodzili się najstarsi synowie – Anatol i jego młodszy brat Wiaczesław. Być może także tam urodziła się ich siostra Maria, o której wiadomo tylko tyle, że po 1921 roku pozostała w Rosji bolszewickiej, bowiem była już wtedy zamężna z Rosjaninem.

W UFIE I BASZKIRII

Jak to się stało, że rodzina Hlebowiczów trafiła na południowy Ural? Jan Hlebowicz ukończył słynny Instytut Leśny w Petersburgu, założony w 1803 roku przez cara Aleksandra I. W drugiej połowie XIX wieku wielu Polaków wybierało studia w Petersburgu, Kijowie czy Moskwie, nie mogąc uzyskać stosownego wykształcenia na terenie Królestwa Polskiego lub Litwy. Absolwentami nadnewskiej uczelni byli m. in. profesor Adam Hrebnicki (1858-1941), słynny polski sadownik, także wykładowca Instytutu Leśnego, czy Jan Mikłaszewski (1874-1944), długoletni profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie a w latach

1936-1939 rektor tej uczelni. Innym absolwentem Instytutu Leśnego był Julian Pilecki (1860-1932), ojciec Witolda, późniejszego bohatera II wojny światowej. Nie mógł on jednak podjąć pracy w swoich stronach rodzinnych, ponieważ w tym czasie na terenach zaboru rosyjskiego władze carskie nie zatrudniały Polaków z wyższym wykształceniem, starając się ich rozproszyć na ogromnych terenach Rosji. Najczęściej wysyłano ich na krańce imperium rosyjskiego i tam dopiero mogli otrzymać zgodne z posiadanym wykształceniem stanowiska. Julian Pilecki dostał więc pracę w Karelii (tam właśnie urodził się Witold), a Jan Hlebowicz w Baszkirii w ówczesnym powiecie belebejskim, w miejscowości Wierchnietroickoje. Carskie państwo Romanowów prowadziło własną politykę asymilacyjną i rusyfikacyjną. Oto jak opisuje to zjawisko znawca tematyki syberyjskiej profesor Antoni Kuczyński: *Nieraz urzędników specjalnie wysyłano z dala od rodzinnych stron, gdzie powoli następowało „obrusienie”, tj. przyjmowanie rosyjskich nawyków życia codziennego, zachwaszczanie języka rosyjskimi zwrotami, przyjmowanie zwyczajów rodzinnych i posługiwanie się na co dzień rosyjskim językiem, a nieraz nawet przechodzenia na prawosławie.*

Jan Hlebowicz musiał być sumiennym i rzetelnym pracownikiem, skoro dość szybko uzyskał posadę nadleśniczego, a potem inspektora (rewizora) leśnego. W Wierchnietroickoje, w guberni ufimskiej 25 maja 1899 roku przyszedł na świat najstarszy syn Jana i Marii Hlebowiczów – Anatol. Cztery lata później w tej samej niedużej miejscowości urodził się młodszy z braci Hlebowiczów – Wiaczesław. Było to 28 marca 1903 roku.

Wierchnietroickoje i cała ziemia belebejska, zdaniem jego mieszkańców, nie ma porównania nigdzie na świecie. W obramowaniu lesistych wzgórz i krystalicznie czystych strumieni rozlokowana jest ta nieduża miejscowość. Dookoła lasy, bogate w jagody i grzyby, żyją tu liczne gatunki ssaków takich jak łosie, dziki, lisy, wilki, rysie, zające, a wśród ptaków wielkim rarytasem są głuszce. Przez długie lata najważniejszym tutejszym zakładem przemysłowym była huta miedzi nad rzeką Kidasz, zatrudniająca nawet do 400 pracowników. Działał tu niewielki szpitalik z 20 łózkami, w którym pracował jeden lekarz i dwójka felczerów. Najpewniej to położna – felczer o nazwisku Maria Letuna przyjmowała porody dwóch młodych Hlebowiczów. We wsi od 1752 roku istniała murowana cerkiew pod wezwaniem św. Trójcy. Prawdopodobnie obaj Hlebowiczowie zostali ochrzczeni w tej prawosławnej świątyni.

Kiedy pojawiły się w Rosji prądy wolnościowe, domagające się większej demokracji w państwie, rodzina Hlebowiczów wróciła do zachodnich guberni Rosji, czyli na dawne ziemie polskie, o czym świadczą kolejne narodziny dzieci – Jerzego (11.08.1904) w Grodnie, Lidii, również w Grodnie (17.02.1906) oraz Tatiany Natalii w Brześciu nad Bugiem (5.08.1908). Miejsca narodzin potomstwa wskazują na to, że zgodnie z ówczesnym zwyczajem inspektor leśny Jan Hlebowicz dość często

był przerzucany z miejsca na kolejne miejsce pracy. Według życiorysu napisanego przez Anatola Hlebowicza 14 marca 1926 roku, a zdeponowanego w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie, w 1908 roku wstąpił on do państwowego gimnazjum w Brześciu, ale niedługo potem rodzina znalazła się w Grodnie, gdzie Anatol ukończył 5 klas gimnazjalnych. Tu rodzinę zastał wybuch Wielkiej Wojny.

BURZLIWE LATA I WOJNY ŚWIATOWEJ

W 1914 roku rodzina Hlebowiczów należała do ogromnej liczby tzw. „bieżeńców”, którzy na skutek presji władz carskich uciekali z zachodnich guberni przed nacierającymi Niemcami po wybuchu I wojny światowej. Rodzina początkowo trafiła do Kurska, a stamtąd do dobrze już znanej Hlebowiczom Ufy, stolicy Baszkirii. Tutaj, najpierw Anatol (w 1917 r.) a potem Wiaczesław zostali absolwentami miejscowego gimnazjum. Anatol był wybitnym uczniem, ukończył gimnazjum ze Złotym Medalem i jesienią 1917 roku rozpoczął studia medyczne na Uniwersytecie Moskiewskim. Przerwał je po roku, po ukończeniu dwóch semestrów nauki, jak pisze w swoim życiorysie: *z powodu nieporządków bolszewickich i głodu*. Wrócił do rodziny, z którą przeniósł się z Ufy początkowo do Złatousta, a potem do Omska. Wiaczesław tymczasem w Ufie najpierw ukończył sześć klas nauki w państwowym ufimskim gimnazjum, a następnie od stycznia do kwietnia 1919 roku uczył się w prywatnym męskim gimnazjum w tej miejscowości, o czym przekonuje zaświadczenie wystawione przez dyrektora placówki Gałanova. Czytamy w tym dokumencie, że: *wystąpił z ufimskiego gimnazjum prywatnego z przyczyn rodzinnych*. Tą przyczyną była zapewne co i rusz zmieniająca się władza w mieście; w grudniu 1918 roku do Ufy wkroczyli bolszewicy, 13 marca 1919 roku miasto odzyskały wojska „białego” admirała Kołczaka, ale już 9 czerwca wrócili tu czerwonoarmiści. Rodzina przeniosła się z Baszkirii na niedaleką Syberię, a konkretnie do Omska.

Tam 22 sierpnia 1919 roku Anatol, wtedy 20-letni młodzieniec, zaciągnął się jako ochotnik do tworzącej się polskiej 5 Dywizji Syberyjskiej. Po krótkim czasie został odesłany do Nowonikołajewska (dzisiaj Nowosybirsk), gdzie Dywizja przechodziła szkolenie. Ponieważ przez krótki czas był studentem medycyny, a młodemu wojsku brakowało lekarzy, po zdaniu egzaminu przed komisją lekarską, na czele której stał główny lekarz Dywizji płk Toczyski, został włączony jako felczer do Drugiego Dywizjonu 5 pułku artylerii polowej w randze podchorążego. W sumie służba zdrowia 5 Dywizji pod koniec 1919 roku liczyła 56 lekarzy i farmaceutów, 27 felczerów, 24 siostry oraz około 400 sanitariuszy. Wiaczesław, wówczas 16-letni, był za młody na wojaczkę. Być może przebywał jednak razem z polskim wojskiem, ponieważ przy dywizji zgromadzone były bardzo duże ilości polskich rodzin. Działo tam prężnie polskie harcerstwo, które wydawało nawet dwa tytuły prasowe. Dywizja najpierw walczyła z wojskami bolszewickimi lub

partyzantką chłopską, strzegąc przede wszystkim bezpieczeństwa i przejezdności Kolei Transsyberyjskiej.

Jesienią 1919 roku armia Kołczaka uległa rozproszeniu i sytuacja stała się na tyle dramatyczna, że na skutek rozkazów francuskiego gen. Maurica Janin, dowodzącego siłami wojsk sprzymierzonych, armia ta zaczęła się wycofywać koleją transsyberyjską w kierunku granicy z Chinami. Polakom wyznaczono najbardziej niewdzięczną rolę pełnienia tylnej straży wycofujących się eszelonów, przez co to oni właśnie musieli staczać większość potyczek z napierającą Armią Czerwoną. Na początku listopada zaczął się dramatyczny odwrót z Nowonikołajewska. 23 grudnia, w przeddzień wigilii 1919 roku doszło do najbardziej zacieklej bitwy podczas tej ewakuacji, pod miejscowością Tajga. 10 stycznia 1920 roku, na skutek zablokowania możliwości przejazdu polskich składów pociągowych przez Korpus Czechosłowacki, dowódca 5 Dywizji płk Walerian Czuma zdecydował się poddać swoje wojsko bolszewikom, co nastąpiło w miejscowości Klukwiennaja pod Krasnojarskiem. Anatol na dłuższy czas dostał się do niewoli, gdzie przebywał przez niemal półtora roku. Warunki były bardzo ciężkie, polscy jeńcy byli traktowani bardzo źle przez bolszewików, w wyniku czego wielu z nich zmarło, inni, głównie oficerowie, byli rozstrzelani przez czerwonoarmistów. W niewoli sowieckiej, według ustaleń Dariusza Radziwiłłowicza, znalazło się ponad 10 tys. polskich żołnierzy, w tym 800 oficerów, a także około 2300 członków rodzin wojskowych, które ewakuowały się wraz z wojskiem. Bolszewicy oddzielili żołnierzy od oficerów, a nawet ludzi posiadających jakiegokolwiek wykształcenie. Próbowano żołnierzy agitować, ale nie przyniosło to wielkich rezultatów. W efekcie większość jeńców trafiła do obozu pracy w okolicach Krasnojarska. Jak wspominał potem jeden z osadzonych tu oficerów – W. Scholze-Srokowski: *jedzenie składało się dziennie z pół funta gliniastego i ziarnistego chleba, ciepłej, często niedogotowanej wody, zaprawianej kawałkiem końskiej padliny lub cuchnącej ryby*. Spano na dwupiętrowych narach, często na gołych posadzkach a nawet w ubikacjach. Strażnicy dopuszczali się gwałtów i grabieży na jeńcach, szalały choroby zakaźne, które spowodowały większą śmiertelność, niż podczas wszystkich walk toczonych przez dywizję.

Po podpisaniu traktatu pokojowego w Rydze pomiędzy Rosją bolszewicką a odrodzoną Rzeczpospolitą Polską, obaj bracia we wrześniu 1921 roku wrócili do Polski jednym z pierwszych transportów byłych żołnierzy 5 Dywizji.

SŁUŻBA W POLSKICH LASACH

Jan Hlebowicz po powrocie z Rosji został Komisarzem Ochrony Lasów w Radomiu, następnie przeniósł się na analogiczne stanowisko pracy w Toruniu. Jedyne śladem jego pracy na tym ostatnim stanowisku jest zachowany

w aktach Urzędu Wojewódzkiego Pomorskiego w Toruniu, a dzisiaj przechowywany w Archiwum Państwowym w Bydgoszczy, sporządzony na lata 1925-1926 „Referat inspektora ochrony lasów prywatnych Jana Hlebowicza w sprawie obliczenia cen drewna użytkowego dla ustalenia w gotówce daniny lasowej w lasach Województwa Pomorskiego”.

Wychowani i ukształtowani w leśniczówkach przez ojca Jana synowie podjęli w wolnej Rzeczypospolitej pracę w służbie leśnej. Anatol został po studiach w SGGW w Warszawie w latach 1921-1927 inżynierem leśnikiem. Pracę dyplomową napisał na temat: „Czynniki wydajności materiałów tartych i ich krytyka”. Na dyplomie SGGW z dnia 22 marca 1927 roku widnieją podpisy rektora uczelni Władysława Grabskiego i dziekana Wydziału Leśnego Adama Schwarza. Początkowo pracował w Lasach Państwowych w Toruniu, około 1928 roku podjął pracę w lasach prywatnych na Lubelszczyźnie, gdzie pracował jako inżynier leśnik i mierniczy. Zamieszkał w Lublinie, gdzie w 1931 roku ożenił się z siedemnastoletnią studentką tamtejszego uniwersytetu, Haliną Chadaj.

Co ciekawe, bracia niedługo po powrocie do Polski zmienili wyznanie prawosławne na rzymskokatolickie. Jeszcze w podaniu składanym do SGGW przez Anatola w rubryce wyznanie figuruje – prawosławne, a na zakończenie jego nauki w 1927 roku już rzymskokatolickie. Anatol w swoim życiorysie, sporządzonym w 1921 roku, pisał: *pochodzę z rodziny czysto polskiej, ziemi lubelskiej. Ponieważ dziad mój ożenił się z prawosławną Szwedką, dlatego też, w myśl przepisów rosyjskich, ja musiałem zostać prawosławnym. W zaświadczeniu o urodzeniu Wiaczesława, wystawionym przez proboszcza fary grodzieńskiej 3 maja 1923 roku, przytacza się Księgę Konwertytów, tam więc musiał on wcześniej złożyć oficjalne wyznanie wiary katolickiej. Mimo to, jak wspomina jego córka Maria Szczukowska, ojciec jej wielokrotnie modlił się w domu przed niedużą ikoną, także w latach powojennych, stając przed nią z charakterystycznie rozłożonymi rękoma. Ikona ta, przedstawiająca wizerunek Matki Boskiej, była darem od rodziców, który mały Wacek otrzymał na progu I wojny światowej. Po jego śmierci w 1966 roku ikona ta, na prośbę siostrzeńca, została włożona do trumny zmarłego.*

Wiaczesław zaraz po powrocie do Polski podjął także pracę leśnika. Najpierw jako technik leśny pracował w biurze urządzeniowym gospodarstw leśnych „Grobliński i spółka” w Warszawie, co de facto oznaczało wyjazdy w drużynie urządzania lasów na teren Kresów Wschodnich. W grudniu 1921 roku objął posesadę nadleśniczego w majątku prywatnym Karasin, powiat kowelski na Wołyniu. W majątku należącym do Michała Slezkina zarządzał terenem o powierzchni 11 tysięcy hektarów. Jak napisał właściciel ziemski rok później: *Wiaczesław Hlebowicz swoje obowiązki spełnia sumiennie i z pełną świadomością rzeczy.* W okresie od 1 maja 1923 do 1924 pracował jako technik leśny w majątku Wielki Olzeń, powiatu lidzkiego, ziemi nowogródzkiej. Wcześniej pracował w tym

samym charakterze w majątku Wielki Możejków u Antoniego Bocianowskiego. Jak zaświadczał właściciel majątku w dniu 31 lipca: *czynność jego polega na zdjęciu planów, wydziale drzewostanów i wzięciu próbnych powierzchni – oznaczone czynności spełnia on sumiennie i z pełną świadomością.*

W 1923 roku Wiaczesław zdecydował się podjąć naukę w Szkole dla Leśniczych w Zagórzcu. W okresie międzywojennym powstało 5 szkół dla leśniczych – tzw. szkół niższych: w Margoninie (woj. poznańskie) od 1921, w Zagórzcu (woj. warszawskie) lata 1922-1935, w Bolechowie (woj. lwowskie) od 1924, w Cieszynie (woj. śląskie) lata 1929-1938, w Białowieży (woj. białostockie) lata 1929-1936. Nauka w szkole była bezpłatna, trwała 11 miesięcy (od 1.09 do 31.07) i była podzielona na trzy okresy (dawne trzy tercjały). Program nauki przewidywał wykłady teoretyczne i zajęcia praktyczne. Przedmioty dzieliły się na 3 grupy: ogólne, zawodowe i pomocnicze. Po zakończeniu nauki odbywał się egzamin ustny (ew. pisemny) ze wszystkich przedmiotów przed komisją egzaminacyjną, której przewodniczył Naczelnik Zarządu Okręgowego Lasów Państwowych lub jego zastępca. W przypadku uzyskania pozytywnych ocen uczeń otrzymywał tymczasowe świadectwo ukończenia szkoły i był zobowiązany do odbycia jednorocznej praktyki leśnej w lasach państwowych. Dopiero po spełnieniu tego warunku otrzymywał świadectwo ukończenia szkoły. Wiaczesław ukończył Szkołę w Zagórzcu w 1924 roku z wynikiem bardzo dobrym, po czym odbył konieczną jednoroczną praktykę, którą rozpoczął 9 września 1924 roku w Nadleśnictwie Państwowym Sarniagóra, Dyrekcja Lasów w Bydgoszczy. Od 1 lipca 1925 roku został zatrudniony jako pomocnik leśny w Leśnictwie Zazdrość, Nadleśnictwo Sarniagóra.

15 października 1926 roku został powołany do odbycia służby wojskowej, w trakcie której ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy w Berezie Kartuskiej z wynikiem dobrym oraz dwudziestą dziewiątą lokatą. 1 sierpnia 1928 roku został przyjęty do pracy w charakterze leśniczego w Magistracie miasta Torunia (lasy miejskie), obejmując Leśnictwo Bielany. Prośbę o przyjęcie do pracy w piśmie do Magistratu miasta Torunia uzasadniał w ten sposób: *rezygnuję z posady Państwowego leśniczego ze względu na to, że pragnę mieszkać wraz z matką, wdową po śp. Ojcu moim J. Hlebowiczu, byłym Inspektorze Ochrony Lasów.* Dodajmy, że Jan Hlebowicz, leśnik z ponad 30-letnim stażem pracy, zmarł w Toruniu 20 marca 1928 roku i tam został pochowany.

Co charakterystyczne, Wiaczesław podpisał się w tym podaniu jako Waclaw. Rodzina zazwyczaj mówiła do niego „Wacek”. Zresztą na skutek posiadania rzadko spotykanego imienia, dość często w jego dokumentach pojawiają się inne imiona: Wiczysław, Mieczysław, Waclaw. Podobna historia była z nazwiskiem, bardzo często zapisywanym przez „Ch”. Umowa służbowa zawarta z Magistratem miasta Torunia także podaje imię Waclaw. 3 lutego 1931 roku ks. D. Stasinowski

z Lubomina pisał w tej sprawie do Magistratu toruńskiego: *zrobiłem poprawkę imienia p. Hlebowicza z Wiczysław na Wiaczesław, (...) te dwa imiona są bardzo do siebie zbliżone, więc łatwo można się pomylić.*

O tym, że doksztalcanie było ważne także przed wojną, świadczy ukończony przez leśniczego Hlebowicza w 1928 roku kurs wikliniarstwa, o czym przekonuje świadectwo wystawione przez Pomorską Izbę Rolniczą w Toruniu. Z tego okresu wart odnotowania jest także fakt mianowania Wiaczesława oficerem rezerwy w 1930 roku. W tym samym roku, 27 grudnia, a zatem w dzień po Bożym Narodzeniu nastąpił ważny fakt w jego życiu prywatnym – tego dnia bowiem zawarł on związek małżeński z Katarzyną Mikulską, lat 23, ślub odbył się w miejscowości panny młodej, w Lubominie, powiat Włocławek. Co ciekawe, aż troje spośród pięciorga rodzeństwa Hlebowiczów zmieniło stan cywilny w ciągu zaledwie 4 miesięcy. 7 stycznia ożenił się starszy brat Anatol, a młodsza siostra Tatiana Natalia wyszła za mąż 28 kwietnia 1931 roku w Toruniu. Jej wybrankiem serca został pracownik leśny Józef Zawisłak, który niestety na skutek nieuleczalnej choroby po roku zmarł. W rodzinie Katarzyny i Wiaczesława w krótkim czasie przyszło na świat dwoje dzieci, w 1931 roku córka Maria, a trzy lata później – w roku 1934 syn Ryszard.

Z końcem 1935 roku Wiaczesław został przeniesiony służbowo do Leśnictwa Olek. W dowód zasług za dobrą pracę wojewoda pomorski Władysław



Rodzina Hlebowiczów przy grobie seniora Jana Hlebowicza w Toruniu. Około 1930 r. Pierwszy od lewej leśniczy Wiaczesław Hlebowicz. Drugi od prawej - Anatol Hlebowicz



Władysław Hlebowicz i Katarzyna Hlebowicz z domu Mikulska około 1931 r.



Zdjęcie ślubne Natalii Hlebowicz z Józefem Zawiaślakiem w Toruniu, 28 kwietnia 1931 r. Stoją od góry od lewej: Wiaczesław, Jerzy, NN, Lidia Czapow z d. Hlebowicz, NN, NN i Anatol. Siedzą od lewej: Katarzyna z d. Mikulska, żona Wiaczesława, NN, Maria Hlebowicz, żona Jana, Natalia Zawiaślak z d. Hlebowicz, Józef Zawiaślak, NN, Halina Hlebowicz z d. Chadał, żona Anatola



Wiaczesław Hlebowicz, leśniczy lasów miejskich Torunia ok. 1935 r.

Rackiewicz (późniejszy prezydent rządu RP na uchodźstwie) nadał leśniczemu miejskiemu Wiaczesławowi Hlebowiczowi 7 lipca 1938 roku Brązowy Medal za Długoletnią Służbę.

Zarówno Anatol jak i Wiaczesław w okresie Dwudziestolecia Międzywojennego byli oficerami rezerwy, regularnie odbywającymi ćwiczenia wojskowe. Obaj też mieli dobre opinie w polskiej armii. Opinię o Anatoniu wystawił ppłk Landau, dowódca pułku manewrowego artylerii w Toruniu, gdzie czytamy: *Okazywał bardzo wiele zainteresowania, uczył się pilnie i skorzystał bardzo wiele na ćwiczeniach. Funkcje oficera przy baterii opanował w zupełności. Dobry oficer rezerwy; zasługuje na awans.* Major Wielgut, komendant Szkoły Podoficerów w Grudziądzu 6 września 1930 roku tak z kolei opiniował młodszego z braci: *Poczucie honoru bardzo wysokie. Ambicja osobista bardzo duża. Bardzo systematyczny i pilny. Zainteresowanie się służbą i wiedzą wojskową bardzo duże. Dobrze zbudowany i wytrzymały na wysiłek fizyczny. Bardzo inteligentny. Jako dowódca działa szybko i dobrze, choć czasem nerwowo. Nadaje się na oficera liniowego.* Jak się okazało niebawem obie te opinie znalazły swą weryfikację życiową w nieodległej kampanii wrześniowej 1939 roku.

Najmniej informacji spośród trzech braci leśników posiadamy o najmłodszym Jerzym. Kalendarz Leśny Informacyjny z 1928 roku informuje, że Jerzy Hlebowicz pełni obowiązki leśniczego w Nadleśnictwie Sarniagóra. Nazwę tę znamy już z wcześniejszej pracy tutaj Wiaczesława. Ponieważ w 1926 roku Wiaczesław został powołany do wojska, najpewniej jego miejsce zajął rodzony brat. W 1931 roku Jerzy pracował jako leśniczy w Łązku, podległym pod Dyрекcję Lasów Państwowych w Toruniu. W „Almanachu Leśnym” z 1933 roku jest kolejna wzmianka o nim – był w tym czasie leśniczym w Nadleśnictwie Świekatówko, znajdującym się na terenie Dyрекcji Lasów Państwowych w Poznaniu. Najpewniej tuż przed wojną najmłodszy z braci Hlebowiczów przeprowadził się na Kresy Wschodnie RP, a konkretnie podjął pracę leśniczego w Porzeczu na Grodzieńszczyźnie. Zmiana miejsca zamieszkania wiązała się z miejscem zamieszkania żony Jerzego, Aliny, z domu Długopolskiej, z którą zawarł związek małżeński niedługo przed wybuchem wojny.

KAMPANIA WRZEŚNIOWA 1939 ROKU

Okres II wojny światowej miał tragiczne w skutkach rezultaty, dla polskiego narodu. Rodzina Hlebowiczów nie była w tym względzie wyjątkiem, ponosząc ofiary, tak ze strony okupanta hitlerowskiego, jak i sowieckiego.

24 sierpnia 1939 roku Wiaczesław został powołany do wojska, kampanię wrześniową odbył w szeregach Armii „Pomorze” jako oficer żywnościowy 3 batalionu 63 Toruńskiego Pułku Piechoty, wchodzącego w skład 4 Dywizji Piechoty. Toruń przed wojną należał do największych garnizonów wojskowych II Rzeczypospolitej. Znajdowała się tu siedziba Dowództwa Okręgu Korpusu nr VII, Centrum Wyszkołenia Artylerii, stacjonowały liczne jednostki liniowe, jednak



Szkoła Podchorążych w Brześciu n. Bugiem. Pierwszy z prawej Władysław Hlebowicz. Lata 30. XX w.

wizytówką miasta był 63 Pułk Piechoty noszący oficjalną nazwę „Toruński”. Z uwagi na swe zasługi w wojnie polsko-bolszewickiej pułk jako jeden z niewielu w Wojsku Polskim posiadał przywilej noszenia na kołnierzach kurtek i płaszczy specjalnych oznak wyróżniających – był to orzeł w koronie trzymający nad swoją głową wzniesiony do uderzenia miecz. Stanowiło to historyczne nawiązanie do herbu Ziemi Chełmińskiej z okresu I Rzeczypospolitej.

W kampanii wrześniowej 63 Pułku Piechoty pod dowództwem ppłk. dypl. Władysława Winiarskiego, bierze udział w ryzykownym (pod prąd wycofujących się oddziałów 16 DP) natarciu z Zakrzewa na stację kolejową Mełno, a następnie w nocnym kontrnatarciu na Grutę, którą zdobywa po północy, zadając Niemcom poważne straty, zwłaszcza podczas starcia na bagnety. Cały dzień 3 września pułk toczył ciężkie walki pod Grutą i Annowem, nie dając się zepchnąć z pozycji mimo oskrzydlenia przez wroga po wyparciu polskich oddziałów 65 PP z Niewałdu. W godzinach nocnych polskie oddziały rozpoczęły odwrót w kierunku Wąbrzeźna.

5 września 1939 roku, wraz z głównymi siłami 4 DP, wojsko polskie opuściło toruńskie mosty i następnego dnia znalazło się w rejonie Aleksandrowa Kujawskiego. Dzień później cała Grupa Operacyjna gen. Bołtucia, podporządkowana rozkazom gen. Kutrzeby, maszerowała w rejon Kutna, by wziąć udział w przygotowaniu polskiej kontrofensywy nad Bzurą. W pierwszych dniach polskiego natarcia – 9 i 10 września – gdy dywizje Armii Poznań odnosiły już pierwsze sukcesy, żołnierze toruńskiego pułku przygotowywali się do uderzenia przez Bzurę na Bielawy. 11 września rano 63 PP jako czołowy oddział dywizji sforsował rzekę i po uporczywych walkach zajął Bielawę. W następnym dniu, wspólnie z Wielkopolską Brygadą Kawalerii, ponosząc duże straty, 63 PP nacierał na Głowno, a po zatrzymaniu natarcia osłaniał wycofywanie się polskich oddziałów nad Bzurę. Po przegrupowaniu i walkach obronnych nad Bzurą toruński pułk brał udział w jednym z większych i krwawszych starć Września – całodziennego walce o Łowicz (14 września). Straty pułku były bardzo duże. Po kilkudniowych walkach i silnych atakach z powietrza żołnierze byli przemęczeni do granic wytrzymałości, zaczynało brakować opatrunków, żywności, amunicji.

15 września toruńscy żołnierze twardo odpierali niemieckie natarcie nad Bzurą, uniemożliwiając przełamanie frontu okrążonych polskich armii. Niestety następnego dnia, który okazał się przełomowy dla losów bitwy, kolejne silne natarcie niemieckie rozerwało polską obronę. 17 września pułk, a właściwie jego resztki, ruszył pod morderczymi atakami lotnictwa na Białą Górę pragnąc przebić się na Warszawę. Liczył wtedy już tylko niespełna 700 żołnierzy i oficerów (cała 4 Dywizja nieco ponad 3 tysiące) i posuwał się, tocząc nieustanne starcia z wrogiem. Rano 18 września, po walkach w okolicach Radziwiłki i Białej Góry z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, część żołnierzy została okrążona i została niemieckimi jeńcami.

OFLAG VII A MURNAU

Właśnie 18 września Wiaczesław trafił do niemieckiej niewoli w tzw. „kotle łośkim”, po nieudanej próbie przebicia się do Puszczy Kampinoskiej. Początkowo osadzony w Pabianicach, wkrótce został z innymi oficerami przetransportowany do oflagu VIIA Murnau. Przebywał tam w gronie ponad 5,5 tysiąca oficerów, w tym 34 generałów do zakończenia działań wojennych w 1945 roku. Osadzeni w obozie ludzie, kwiat polskiej inteligencji, po pierwszym szoku wywołanym przegraną wojną, stosunkowo szybko zaczęli organizować swe życie obozowe, nie według tego, co nakazywał okupant, lecz zgodnie z własnymi potrzebami i przekonaniem. Jak wspominał jeden z internowanych Stefan Majchrowski: *Każdy znalazł odpowiadające mu zajęcie. Znaleźli się ochotnicy do spełniania wszelkich funkcji. Z amatorstwa zajmowali się biblioteką i oprawianiem książek. Z amatorstwa wykładali na kursach, występowali w teatrze, organizowali koncerty i wystawy (...). Do każdej akcji werbowano się ochotników – do czuwania, sygnalizowania niebezpieczeństwa grożącego z zewnątrz, do budowy podkopów, do podsłuchu radiowego – do żmudnej pracy w komisjach i funduszach jenieckich.*

Oficerowie zawodowi i oficerowie rezerwy razem organizowali kursy zawodowe, kursy języków obcych, uformowały się koła rolników, ogrodników, architektów, chemików, mechaników itd. Wśród nich nie zabrakło także koła leśników, w którego pracach brał również udział Wiaczesław Hlebowicz. Jak stwierdza badacz tego zagadnienia Tomasz Skowronek na podstawie wspomnień ppor. Karola Edera: *Koło Leśników powstało prawdopodobnie w 1941 roku. Zrzeszało około 50 członków, których liczba wzrastała w miarę zwiększenia się obozu. Pierwszym prezesem Koła był kpt. inż. Michał Bernakiewicz (przedwojenny inspektor leśnictwa w Pomorskiej Izbie Rolniczej w Toruniu). Stanowisko to zachował do początku 1943 roku. W okresie tym sekretarzem był ppor. Karol Eder, skarbnikiem i bibliotekarzem kolejno: ppor. inż. Gwidon Buszewicz oraz ppor. inż. Tadeusz Piper. W roku 1943 prezesem wybrano ppor. dra Józefa Goetza, przedwojennego nadleśniczego Lasów Miejskich w Toruniu (Piszemy o nim w wydany w 2018 roku I tomie „Leśników dla Niepodległej” – na stronach 188-191), sekretarzem ppor. Karola Edera i skarbnikiem oraz bibliotekarzem ppor. inż. Tadeusza Pipera.*

Jak wspominał po latach Karol Eder: *Koło Leśników odbywało co tydzień dwugodzinne zebrania, na których wygłaszano referaty z dyskusją. Prawie każdy z członków wygłosił referat, względnie kilka, na tematy dotyczące własnej specjalności, a więc ze wszystkich dziedzin leśnictwa i drzewnictwa. Wygłaszano referaty również na tematy najnowszych zdobyczy przeróbki technologicznej i chemicznej drewna, na podstawie otrzymywanych czasopism ze Szwajcarii, Anglii, Ameryki i Szwecji. Koło posiadało własną bibliotekę, liczącą około 70 woluminów. Co ciekawe, w Murnau powstawały nawet prace magisterskie, w tym studium Karola Edera poświęcone „Daglezji i jej przyszłości w lasach Europy”. Oprócz koła leśników istniało także*



Oficerowie Wojska Polskiego w niemieckim obozie jenieckim w Murnau około 1942 r. Czwarthy od lewej stoi Jeśniczy Wiacześław Hlebowicz

koło łowieckie, skupiające o wiele większą grupę osób niż leśnicy, wymieniającą się swoimi doświadczeniami myśliwskimi, m.in. wspomniany już wcześniej dr Józef Goetz opracował liczące 200 stron studium na temat rozmieszczenia zwierzyny łownej w ówczesnej Polsce.

Wiaczesław czynnie uczestniczył w życiu obozowym, m. in. prowadził wraz z kolegą pralnię o ambitnej nazwie „Jaśniej Słońca”, co miało być najlepszą reklamą serwowanych przez obu internowanych oficerów usług. Przywoływany już tu wcześniej podporucznik dr inż. Józef Goetz wystawił Hlebowiczowi zaświadczenie w Murnau datowane na 26 lutego 1945 roku, a zatem tuż przed zakończeniem działań wojennych. Czytamy w nim: *Przez cały czas swej służby pełnił Hlebowicz powierzone sobie obowiązki ku dobru powierzonego lasu i największemu zadowoleniu swych przełożonych. Dokładna i gruntowna znajomość wszelkich dziedzin, wchodzących w zakres leśnictwa, łowiectwa i wikliniarstwa, połączone z dużym zamiłowaniem do lasu, pozwoliły Panu Hlebowiczowi na wykazanie dużej inicjatywy i rozwinięcie owocnej działalności na powierzonym stanowisku. Zachowanie się w służbie jak i poza służbą było wzorowe. Poświadczenie niniejsze uważać należy jako tymczasowe, a wydaję je na wypadek zaistnienia nieprzewidzianych wydarzeń wojennych.*

Po wyzwoleniu obozu Murnau przez wojska amerykańskie w kwietniu 1945 roku Wiaczesław jeszcze przez kilka miesięcy przebywał w tym miejscu. Sytuacja polityczna w Polsce była niejasna, do Murnau przyjeżdżali zarówno przedstawiciele nowej komunistycznej władzy namawiający do powrotu do ojczyzny, jak i przedstawiciele rządu londyńskiego przestrzegający przed pochopnym udaniem się pod panowanie satelickiej władzy sowieckiej. Jak pisał w liście do rodziny w kraju jeden z oficerów: *Dziś mija 6 tygodni, jak odzyskałiśmy tzw. wolność. Na razie nie jest to wiele. Teren nasz z 16 ha zwiększył się do 25 km kwadratowych, bowiem taki rejon nam wyznaczono, poza który nie wolno się oddalać. Złośliwi twierdzą, że zmieniliśmy jedynie opiekunów.* Ostatecznie we wrześniu 1945 roku Wiaczesław zdecydował się na powrót. 13 września przekroczył polską granicę w Dziedzicach i z końcem tego miesiąca ponownie był w Toruniu.

TRAGICZNE LOSY ANATOLA I JERZEGO

Tragiczne były losy pozostałych dwóch braci Hlebowiczów. Anatol zmobilizowany zgodnie z przydziałem do wojsk artyleryjskich, kampanię wrześniową odbywał na stanowisku oficera ogniowego 4 baterii II dywizjonu 3 pułku artylerii lekkiej przydzielonego do 39 Dywizji Piechoty Rezerwowej. 39 DPRez jako straż przednia gen. Kruszewskiego spotkała się 18 września z oporem Niemców pod Krasnymstawem. Napotkawszy wroga 9 PP zaatakował go w nocy siłami batalionu piechoty wspartego 4 baterią 3 PAL i oddziału kawalerii 9 Pułku Uła-

nów. Natarcie początkowo miało powodzenie, jednak przeciwuderzenie niemieckie zza Wieprza odrzuciło o świcie oddziały polskie. Po zatrzymaniu ataku Niemców dowódca gen. Olbrycht rzucił do walki odwód dywizyjny – 95 PPRez płk Ducha. Natarcie miało powodzenie, nieprzyjaciel wycofał się na Krasnystaw. Walki wykazały jednak, że do zdobycia Krasnegostawu użyto zbyt mało sił. Przejściowy sukces został okupiony dużymi stratami: 86 zabitych i kilkuset rannych. Wśród poległych 19 września 1939 roku w miejscowości Wólka Orłowska był porucznik rezerwy Anatol Hlebowicz. Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Krasnymstawie, w kwaterze wojskowej. Zginął mając 40 lat, pozostawiając po sobie wdowę Halinę, liczącą wówczas zaledwie 25 lat.

Jerzy Hlebowicz z kolei w lutym 1940 roku został deportowany przez sowieckie oddziały NKWD z Porzecza na Grodzieńszczyźnie, razem z żoną Aliną oraz jej matką Marią Długopolską (ur. w 1875). Była to akcja wymierzona przeciwko polskim urzędnikom państwowym oraz inteligencji, mająca za zadanie pozbawienie Kresów Wschodnich RP jak największej ilości świadomych Polaków. 3 marca 1940 roku Hlebowiczowie i Maria Długopolska przybyli do obwodu mołotowskiego (permskiego), gdzie zostali osadzeni w miejscowości Stiepanowka, powiat kizielewski. Tam Jerzy pracował ciężko fizycznie przy wyrębie lasu. Po ogłoszeniu amnestii w wyniku zawarcia paktu Sikorski – Majski i decyzji o tworzeniu polskiej armii w ZSRS pod dowództwem generała Władysława Andersa, Jerzy dołączył do tych organizujących się oddziałów. Następnie wraz z całą armią wyjechał do Persji. W 1942 roku około 120 tysięcy polskich żołnierzy i cywilów zwolnionych z sowieckiej niewoli przybyło do perskiego (irańskiego) portu Bandar Anzali. Wielu z przybyszów było tak zagłodzonych i wynędzniałych, że nie przetrwało trudów podróży i zmarło wkrótce po dotarciu do Iranu. *Po powrocie do Teheranu musiałem się zająć najgorliwiej szpitalami i obozami dla ludności cywilnej. Największym nieszczęściem był często beznadziejny stan zdrowia przybywających. Nieraz już po przybyciu do Teheranu ludzie umierali wskutek wycieńczenia i długotrwałego głodu podczas dwuletniego pobytu w Rosji sowieckiej. W ciągu kilku tygodni las przeszło tysiąca krzyży, pokrył cmentarz polski w Teheranie. Zmarł także mój adiutant i serdeczny przyjaciel sprzed wojny, porucznik Zygmunt Kostakiewicz, któremu cudem udało się wydostać z łagrów sowieckich – pisał po latach generał Władysław Anders.*

Ten tragiczny los podzielił także strzelec 7 Dywizji Piechoty Jerzy Hlebowicz, który zmarł z wycieńczenia 27 sierpnia 1942 roku w Teheranie. Przed śmiercią przyjął sakramenty święte, jego pogrzeb prowadził ks. Jan Jażdżewski. Pochowany został, i nadal tam spoczywa, na Polskim Cmentarzu w Teheranie, gdzie łącznie pochowanych jest 1937 Polaków, w tym 409 wojskowych.

STALIN I ROKOSSOWSKI W OBORZE

Po powrocie z niewoli do Polski Wiaczesław Hlebowicz ponownie objął funkcję leśniczego w Olku koło Torunia. W czerwcu 1949 roku, po przejęciu lasów samorządowych przez Lasy Państwowe przekształcił się z pracownika miejskiego w państwowego.

W „Gazecie Toruńskiej” nr 53 z 22 listopada 1949 roku ukazał się nie podpisany paszkwil – donos zatytułowany „Dobrana para szkodników społecznych – nadleśniczy Kuciński i leśniczy Chlebowicz”. Charakterystyczny błąd w nazwisku, choć w samym tekście nazwisko jest prawidłowo zapisane przez „samo H”. Warto przytoczyć ten dokument epoki w całości:

Komisja, w skład której wchodził: II sekretarz KP PZPR tow. Pietrzyk, sekretarz POP przy rejonie Lasów Państwowych tow. Włodowski, przedstawiciel Powiatowej Rady Zw. Zawodowych tow. Dębski, przedstawiciel Zw. Zaw. Leśników tow. Dawidowicz oraz przedstawiciel Rejonu Lasów Państwowych tow. Wyczółkowski, przeprowadziła ostatnio lustrację w leśnictwie Olek Nadleśnictwa Toruń.

W czasie lustracji stwierdzono, że leśniczówka stanowiąca własność Skarbu Państwa składa się z budynku mieszkalnego, obory i stodoły. Budynek mieszkalny, w którym znajduje się 8 pokoi z wszelkimi wygodami, zamieszkuje jedynie leśniczy Hlebowicz wraz z żoną. W posiadaniu jego znajduje się 60 mórg ziemi, 4 krowy i 1 jałówka, 2 konie itd., przy czym 2 krowy i koń są własnością nadleśniczego Kucińskiego.

Leśniczy Wacław Hlebowicz zatrudnia w gospodarstwie i w domu 3 osoby, z których jedna Wanda Nadolna jest niepełnoletnia, a druga Helena Schroederowa zatrudniona od 1945 r. ma lat 59 i jest kaleką. Z tych trzech pracowników tylko jedna Irena Nadolna otrzymuje za swą pracę wynagrodzenie w wysokości 3.000 zł miesięcznie, a pozostałe nie otrzymują nic.

Wszystkie te kobiety mieszkają w oborze, w warunkach godnych pożalowania i nadzwyczaj niehigienicznych, „pan leśniczy” zaś zajmuje aż 8 pokoi. Również jedzenie sporządza się oddzielnie dla „państwa”, a oddzielnie dla pracowników. Ob. Helena Schroeder latem i zimą chodzi w łachmanach, czego nie może dostrzec „pan leśniczy”. Znamiennym jest fakt, iż w mieszkaniu leśniczego nie ma ani godła, ani też portretów dostojników państwowych, gdy tymczasem u wyzyskiwanych nieludźko przez niego pracowników, w ich małej odgradzonej w oborze izdebce znajdują się portrety tow. Stalina i Marszałka Rokossowskiego.

Zabudowania leśniczówki znajdującej się pod „czułą opieką” leśniczego Hlebowicza ulegają dewastacji, co naraża Skarb Państwa na straty. Pracownicy leśniczego od 4-ech lat nie korzystali z żadnego urlopu wychowawczego.

Nie dziwimy się wcale, że nadleśniczy Kuciński tolerował takiego pracownika, gdyż wiemy już, że opiekował się on jego krówkami i konikiem. Zresztą nadleśniczy Kuciński niewiele się różni od swego podwładnego. Zajmuje on w Toruniu obszerne mieszkanie, którego nie chce zwolnić. Komisja Społeczna przy Rejonie Lasów

wychodząc z założenia, że pracownicy leśni powinni zamieszkiwać w domach administrowanych przez Rejony Leśne, chcąc przyjść z pomocą komisji społecznej przy MRN w Toruniu przydziela nadleśniczemu bardzo wygodne mieszkanie przy biurach Nadleśnictwa. Jednak nadleśniczy Kuciński upiera się przy pozostaniu na starym miejscu, nie chcąc zrozumieć, że tym samym wyrządza szkodę robotnikom m. Torunia, pozostającym niejednokrotnie bez mieszkań. Komisja Społeczna przy MRN w Toruniu winna się zająć również osobą nadleśniczego Kucińskiego.

Dodać trzeba, że Wiaczesław Hlebowicz i Józef Kuciński byli faktycznie za-przyjaźnieni, obie rodziny często się odwiedzały i zawiązały się między nimi więzi niemal rodzinne, które w pewnym stopniu przetrwały do dzisiejszego dnia. W wyniku medialnej nagonki dyrektor Lasów Państwowych w Toruniu, Franciszek Kryczko pismem z dnia 22 lutego 1950 roku zawiesił Wiaczesława w pełnieniu służby i ograniczył uposażenie służbowe do 50 procent. Jednocześnie wszczęte zostało przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne. Tego samego dnia skierowano pismo do Centralnego Zarządu Lasów Państwowych w Warszawie, gdzie Rejon LP w Toruniu wnosi: *o niezwłoczne zwolnienie ze służby Ob. Hlebowicza Wiaczesława, (...) wysoce aspołeczne ustosunkowanie się wymienionego do obecnej rzeczywistości, wyrażające się m.in. w stwierdzonym komisyjnie przez czynnik społeczno-polityczny fakcie wyzysku uprawianego w stosunku do pracownic domowych tegoż Hlebowicza i dewastacji gospodarczej – wyklucza dalsze zatrudnianie go w służbie państwowej.*

Cztery dni wcześniej nakazano Hlebowiczowi i jego rodzinie przeniesienie się do jednego pokoju w leśniczówce Olek, kuchnia miała być współużytkowana z innymi lokatorami. Szykanowany leśnik, 31 marca 1950 roku złożył pismo o dobrowolne wystąpienie ze służby, które zostało rozpatrzone pozytywnie. Leśniczy, mający na utrzymaniu żonę i dwoje uczących się dzieci, w wyniku zarządzonej wobec niego represji nie był w stanie zapewnić bytu swojej rodzinie.

W związku z rezygnacją z pracy Hlebowiczowie musieli natychmiast opuścić miejsce zamieszkania, czyli leśniczówkę Olek, a także nastąpiła utrata wszelkich dotychczasowych dodatków wynikających z pracy leśniczego. W związku z wystąpieniem ze służby leśnej postępowanie dyscyplinarne przeciwko Wiaczesławowi zostało decyzją dyrektora Kryczki umorzone. Sprawa ta miała swój ciąg dalszy po kilku latach. Po przełomie październikowym 1956 roku, kiedy wiele osób szykanowanych lub represjonowanych w poprzednich latach postanowiło dochodzić swych praw, skorzystał z tych przemian także Wiaczesław Hlebowicz. 26 stycznia 1957 roku złożył do Zarządu Lasów Państwowych w Toruniu wniosek „o uznanie wystąpienia ze służby 20 marca 1950 roku, jako dokonane po wpływie szykan i presji moralnej”. Komisja Rehabilitacyjna obradująca pod przewodnictwem Józefa Drożańskiego w dniu 5 czerwca

1957 roku uznała, że: *rozwiązanie stosunku służbowego było krzywdzącym pounięciem personalnym (...) i utracone z tego tytułu prawa winny być obywatelowi przywrócone*. Dalej w uzasadnieniu Komisja stwierdziła, że: *zarzuty stawiane W. Hlebowiczowi – dewastacja gospodarcza i uprawianie wyzysku w stosunku do pracownic domowych – były bezpodstawne – a zawieszenie w urzędowaniu i związane z tym obniżenie uposażenia do 50% oraz niczym nieuzasadnione szykany doprowadziły do załamania się obywatela i złożenia wniosku o wystąpienie ze służby*. Wiaczesław po kilku latach przerwy w zawodzie leśnika i za namową żony, nie powrócił już jednak w szeregi służby leśnej Lasów Państwowych.

OSTATNIE LATA ŻYCIA

Od 1 lipca 1950 roku średni z braci Hlebowiczów, Wiaczesław pracował jako brakarz w Centrali Dostaw Drzewnych Przemysłu Węglowego z siedzibą w Toruniu. Z końcem września 1951 roku z powodu redukcji etatów został zwolniony i z tej służby. Od października 1951 roku został kontraktowym inspektorem leśnictwa w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Inowrocław. W okresie od stycznia 1952 roku do czerwca 1953 roku pracował z kolei jako kierownik, najwidoczniej awansowany, Referatu Leśnictwa PPRN Inowrocław. Nadal był czynnym członkiem Związku Leśników, a także Związku Łowieckiego. Od 1953 roku podjął ostatnią pracę w swym życiu – inspektora w Państwowej Centrali



Wiaczesław Hlebowicz ok. 1950 r.



Katarzyna Hlebowicz ok. 1950 r.

Leśnych Produktów Niedrzewnych „Las” w Toruniu. Trudy dwóch wojen, niełatwe, zmienne koleje losu odcisnęły piętno na zdrowiu Wiaczesława. Nabawił się astmy, coraz bardziej szwankowało mu serce.

W zakładach „Las”, ściślej mówiąc w jednej z pieczarkarni, doszło trzynaście lat później do tragedii. Hlebowicz natknął się na pozostawione przez pracowników przewody elektryczne, prawdopodobnie został porażony, przewrócił się i chore serce przestało bić mimo udzielonej mu natychmiastowej pierwszej pomocy. Było to 3 grudnia 1966 roku. Zmarły spoczął w grobowcu na cmentarzu św. Józefa, przy ul. Wybickiego w Toruniu. W 1978 roku obok niego została pochowana jego małżonka, Katarzyna.

Tak zamyka się historia leśników Hlebowiczów. Dzieje ich życia przypadają na burzliwy okres dwóch wojen światowych, wielkich przemian cywilizacyjnych i gruntownego rozwoju planowej gospodarki leśnej. Śmiało rzec można, że były to życiorysy niekonwencjonalne, wynikające jednak nie tyle z podjętych takich a nie innych wyborów życiowych, ale toczących się wypadków wielkiej i małej historii.

Syn Wiaczesława, Ryszard, kontynuował pasję myśliwską ojca, przez wiele lat pełnił funkcje łowczego w Wojskowym Kole Łowieckim „Sokół” w Pruszczu Gdańskim. Z zawodu był oficerem lotnictwa. Jego wnuk, Adam – autor tego tekstu – z zawodu historyk i dziennikarz pasje leśne realizuje w bezkrwawych łowach z aparatem fotograficznym w rękę.

Adam Hlebowicz

Zdjęcia: archiwum autora



Aleksander Wysięski (1897-1951)

Nadleśniczy ALEKSANDER WYSIŃSKI

(1897-1951)



Historię nadleśniczego Aleksandra Wysińskiego opowiedzieli jego synowie – Mieczysław (ur. w 1934 r.) i Marian (ur. w 1936 r.). To życiorys dramatyczny, chociaż typowy dla nadleśniczych z Pomorza i Wielkopolski, którzy w okresie międzywojennym pracowali w Lasach Państwowych. Charakterystyczne dla tych niezwykłych biografii jest wielkie oddanie dla odrodzonej po zaborach Ojczyzny i rosnących stopniowo w siłę, głównie dzięki znakomitej kadrze, polskich Lasów Państwowych.

Aleksander Wysiński urodził się w Brusach 10 grudnia 1897 roku. Jego ojciec Andrzej był listonoszem, matka Rozalia, z domu Ody, pochodziła z rolniczej rodziny kaszubskiej. Aleksander miał trzy siostry: Marię, Helenę i Zofię oraz trzech braci: Józefa, Bernarda i Cyryla. Najstarszy brat Józef był duchownym, proboszczem parafii świętych Janów w Toruniu. Zasłużony dla tego miasta i kościoła, który za jego kadencji w 1935 roku otrzymał tytuł bazyliki mniejszej. Aleksander Wysiński zmarł przedwcześnie w 1951 roku w Toruniu. O jego życiu opowiedzieli synowie (przyp. Tadeusz Chrzanowski).

MŁODOŚĆ NASZEGO OJCA

Ojciec ukończył niemiecką szkołę powszechną w Brusach, ale był wychowany na literaturze kaszubskiej, m.in. Hieronima Derdowskiego. Maturę uzyskał w 1918 roku w gimnazjum w Chojnicach. Tu, jeszcze pod panowaniem pruskim w 1916 roku, założył tajną, polską organizację patriotyczną Towarzystwo Tomasz Zana. Towarzystwo odważnie działało na rzecz polskości Kaszubów. Aleksander prowadził m.in. kursy czytania i pisania w języku polskim dla początkujących. W tamtym czasie Kaszubi w Brusach rozmawiali po kaszubsku lub po niemiecku. Polacy z centralnej Polski nie potrafili się z nimi porozumieć. To trzeba było zmienić, stąd to nauczanie języka polskiego.

W 1920 roku Ojciec zgłosił się na ochotnika na wojnę z bolszewikami. Przebywał na zgrupowaniu pod Golubiem-Dobrzyniem, jednak nie brał udziału w walkach, gdyż miejscowe dowództwo uznało, że wobec braku przeszkolenia i odpowiedniego uzbrojenia, do działań wojennych przybyli ochotnicy nie będą skierowani.

Przez kolejne dwa lata kształcił się w Seminarium w Pelplinie, a następnie w latach 1920-1924 studiował leśnictwo na Wydziale Rolniczo-Leśnym w Poznaniu. Podczas studiów poznańskich był w grupie założycielskiej korporacji „Pomerania”* (informacja na str. 216) skupiającej młodzież pomorską. Został jej pierwszym wiceprezesem. Celem korporacji było: kultywowanie postaw patriotycznych

absolwentów uczelni poznańskiej pochodzących z Pomorza, organizowanie inteligencji polskiej na Pomorzu, propagowanie tradycji kościoła katolickiego, pomoc młodzieży z niezamożnych rodzin w zdobywaniu wykształcenia. Działalność „Pomeranii” prowadzona była przez jej członków również po studiach. Korporacja liczyła ponad 200 członków rzeczywistych oraz kilkunastu honorowych. Należało do niej wielu prawników, lekarzy, nauczycieli i leśników. Wśród leśników byli m.in. tacy nadleśniczowie z Pomorza, jak: Stanisław Borzyszkowski, Alojzy Cysewski, Władysław Kinka, Jan Kostka i Leon Kostka, Franciszek Nowicki i jeden z założycieli Pomeranii – Aleksander Wysiński.

Ojciec interesował się prawem. Na początku studiów myślał nawet o wyborze zawodu prawnika. Na kolejnych latach studiów utwierdził się jednak w przekonaniu, że zawód leśnika to jego powołanie. Ojciec zawsze nam mówił, że studia trzeba starannie odbyć, szybko skończyć i – zgodnie z ideą „Pomeranii” – wrócić do rodzimego środowiska, by mu pomóc. W początkach niepodległej Polski miało to szczególne znaczenie, bowiem wykształconych Polaków było na prowincji niewiele.

Ojciec był nadzwyczaj dobrze zorganizowany. Nie było chwili życia, która by nie była zagospodarowana. Jego rodzeństwo też takie było. Oni nie znali pojęcia nudy, czy stanu beczczynności. Byli też bardzo rodzinni, solidarni, skorzy do wzajemnej pomocy.

***Pomerania**

Pomerania została założona 8 grudnia 1923 roku przez grupę siedmiu studentów Uniwersytetu Poznańskiego. Prace nad powołaniem korporacji toczyły się od 11 listopada, kiedy to z inicjatywy Aleksandra Wysińskiego odbyło się w mieszkaniu Mieczysława Mrozińskiego spotkanie, na którym podjęto taką decyzję. Pierwszym prezesem stowarzyszenia został Damazy Gracz, były filomata pomorski i jeden z pierwszych absolwentów prawa Uniwersytetu.

Zasady ideowe Pomeranii zostały ujęte w uroczystej Deklaracji Ideowej. Zgodnie z nią celem korporacji było wychowanie świadomych grożącego ze strony Niemiec niebezpieczeństwa pomorskich przywódców i inteligencji, „obowiązkowych i pracowitych, przepojonych chęcią sumiennej i ofiarnej służby dla Narodu, nie cofających się przed żadną przeszkodą, gdy chodzi o dobro Ojczyzny, gotowych w razie potrzeby walczyć do ostatniej kropli krwi w obronie całości i niepodległości Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.” Pomerania stawiała sobie za zadanie „wychowywać swych członków na ludzi o wysokim poziomie moralnym, uszlachetniać ich ambicję, wyrobić w nich poczucie honoru i odpowiedzialności za każde słowo i każdy czyn.” Wychowanie to miało przebiegać w duchu chrześcijańskim ze świadomością, że hasłem ludu pomorskiego w najcięższych chwilach były słowa „Bóg i Ojczyzna”. W deklaracji zobowiązano także członków do „uświadamiania szerokich mas w duchu państwowotwórczym, do krzewienia wśród nich oświaty” oraz zalecono „nie angażować się w żadnej organizacji politycznej, tak akademickiej, jak i starszego społeczeństwa”.

Źródło:

<http://www.archiwumkorporacyjne.pl/index.php/muzeum-korporacyjne/poznan/k-pomerania/>



Aleksander Wysiński, rok 1924. Na zdjęciu w czapce korporacji „Pomerania”. Był jednym z założycieli i pierwszym wiceprezesem tej patriotycznej organizacji w czasie studiów na Wydziale Rolniczo-Leśnym w Poznaniu (1920-1924)



Brusy, ok. 1918 r., w którym Aleksander Wysynski (na zdjęciu pierwszy z prawej) uzyskał maturę w chojnickim gimnazjum. Był tam założycielem w 1916 r. tajnej polskiej organizacji - Towarzystwo Tomasza Żana. Na zdjęciu od lewej: brat Aleksandra - Bernard, siostra Helena, matka Rozalia zd. Ody



Toruń w 1926 r. przed plebanią na ul. Żeglarskiej; Od prawej: Bernard i Kazimiera Wysińscy, Wysińscy: Zofia, Maria, Aleksander, Helena i jej mąż Aleksander Lubik. Chłopiec Czesław – syn Bernarda, zginął później jako żołnierz Wojska Polskiego we wrześniu 1939 r.

DROGA DO WIERZCHLASU

Po ukończeniu studiów, w latach 1924-1927, Ojciec pracował w Dyrekcji Lasów Państwowych w Bydgoszczy, zaczynając od praktykanta techniczno-leśnego i administracyjnego, przez kolejne stopnie wtajemniczenia zawodowego, kiedy kierowano go do nadleśnictw jako adiunkta lub zastępcę nadleśniczego. Pracował kolejno w nadleśnictwach: Przewodnik, Gołąbek, Sarniagóra i Trzebciny.

W latach 1928-1937 był nadleśniczym w Nadleśnictwie Wierzchlas. Jeszcze w latach 20. pracując w dyrekcji i później w borowiackich nadleśnictwach, bardzo aktywnie włączył się w działalność Polskiego Związku Zachodniego oraz Związku Zawodowego Leśników w RP.

Polski Związek Zachodni był organizacją patriotyczną. Działał na rzecz repolonizacji ludności na terenach byłego zaboru pruskiego. Przeciwstawiał się niemieckim dążeniom do rewizji granic oraz propagandzie antypolskiej. Podczas okupacji niemieckiej działacze tej organizacji dotknęły szczególne prześladowania i akty eksterminacji, których pierwsza fala miała miejsce już jesienią 1939 roku podczas ogólnopolskiej akcji gestapo przeciwko inteligencji polskiej. Najczęściej przynależność do Związku równała się wyrokowi śmierci. Ojciec był inicjatorem zakładania kół Związku Zachodniego, m.in. w Tucholi, Lubiewie i Cekcynie. Do organizacji należało wielu leśników.

W Tucholi Ojciec poznał Zofię z Gierszewskich. Okolicznością, która w tym pomogła była jego aktywna działalność w „Pomeranii”, do której należał również brat Zofii, Stanisław, student medycyny. Gierszewscy mieszkali w Tucholi-Wybudowaniu, gdzie senior rodu Michał posiadał duże, blisko stuhektarowe gospodarstwo rolne. Ślub cywilny naszych rodziców, Aleksandra Wysńskiego i Zofii Gierszewskiej, odbył się 3 września 1933 roku w Tucholi, natomiast ślub kościelny tydzień później w oliwskiej katedrze. Po ślubie rodzice zamieszkali w Wierzchlesie, gdzie Ojciec był nadleśniczym. W 1934 roku urodziłem się jako najstarsze ich dziecko, a dwa lata później mój brat Henryk Marian. Pierwsza siostra Aleksandra urodziła się w Lutówku w 1938 roku, a druga, Elżbieta Stefania w Bojanach koło Broku nad Bugiem podczas okupacji w 1944 roku.

Nasza Mama Zofia Gierszewska ukończyła Gimnazjum w Brzegu, a później jeszcze Szkołę Panien Polskich w Kościerzynie, gdzie przygotowywano dziewczyny do prowadzenia gospodarstwa domowego. Później, te kobiety bardzo dobrze radziły sobie w różnych trudnych sytuacjach życiowych, jakich nie brakowało na przykład w czasie wojny. Często, w różnych dramatycznych okolicznościach, których nie szczędziła wojna i lata powojenne, zostawały same z dziećmi i musiały zapewnić im bezpieczeństwo i utrzymanie.

Z opowieści rodzinnych wiemy, że w Wierzchlesie nasz dom odwiedzał Leon Wyczółkowski, który interesował się „Cisowym Gajem” i utrwalił na płótnach serię obrazów z tego niezwykłego miejsca.



Tuchola-Wybudowanie w 1934 r. w gospodarstwie Gierszewskich. Od prawej: Michał Gierszewski senior, nadleśniczy NN, Maria Gierszewska, nadleśniczy Aleksander Wyśiński, jego żona Zofia Wyśińska z domu Gierszewska i jej rodzeństwo: Franciszek, Łucja i Leon

LUTÓWKO PO RAZ PIERWSZY

Przeniesienie służbowe Ojca z Wierzchlasu do Lutówka w 1937 roku było związane z przekonaniem, że zaktywizuje on środowiska patriotyczne do działania na rzecz repolonizacji społeczeństwa w regionie sępoleńskim. W tej działalności wyróżniali się również miejscowi leśniczowie, w tym Maksymilian Kieruj z Leśnictwa Gaj, Franciszek Pałubicki z Leśnictwa Nowydwór i Józef Woźniak z Leśnictwa Lutówka. W biurze nadleśnictwa, poza Ojcem, pracowali: adiunkt, sekretarz nadleśnictwa, kasjer i manipulant, zazwyczaj stażysta.

W Lutówku mieliśmy duże gospodarstwo rolne, chyba około 30 hektarów. To był deputat naszego Ojca. Gospodarstwem fachowo i z oddaniem zajmował się Roman Romaszkin – były żołnierz Armii Czerwonej, szeregowiec, który w 1920 roku dostał się do polskiej niewoli. Gdy później rozwiązywano obóz, spora część jeńców zdecydowała się zostać w Polsce. Znajdowali oni zatrudnienie zazwyczaj u miejscowych rolników. Roman Romaszkin trafił do gospodarstwa naszego dziadka Michała Gierszewskiego, który mieszkał w Tucholi-Wybudowaniu i tam miał kilkadziesiąt hektarów ziemi uprawnej. Romaszkin bardzo dobrze utrwalił się w mojej pamięci, bo po ślubie rodziców przeniósł się do naszego gospodarstwa najpierw w Wierzchlesie, później w Lutówku i całościowo nim zarządzał. Uczył mnie pływać i jazdy konnej, był sprawdzonym przyjacielem rodziny. Gdy na początku wojny Ojciec trafił do niemieckiego obozu w Radzimi, Romaszkin tylko sobie znanymi sposobami dostarczał mu ubranie i żywność, które przygotowywała nasza Mama. Wojnę przetrwał przy robotach drogowych. Po wojnie zatrudnił się jako woźny w szkole w Cekcynie. Założył rodzinę, miał dwie córki. Kilka razy odwiedził nas w Toruniu, przywoził suszone grzyby z borów.

Nasz dom w Lutówku był otwarty. Częstymi gośćmi byli, można powiedzieć, przedstawiciele lokalnej elity społecznej – urzędnicy, prawnicy, duchowni i oczywiście członkowie dość licznej naszej rodziny.

Znany przed wojną obwód łowiecki w Lutówku kilkakrotnie odwiedzał prezydent Ignacy Mościcki. Ojciec chciał nas trzymać z daleka od świąty prezydenckiej, ale to się nie udało. Podczas jednego z polowań prezydent zgodził się bym mu towarzyszył w koszu na jego stanowisku. Ostatecznie na dobre to nie wyszło, bo nie pozwoliłem prezydentowi strzelić do sarny, która tam się pojawiła. Mieliśmy w ogrodzie oswojoną sarnę Baškę i wtedy każda sarna była dla mnie Bašką, której nie wolno robić żadnej krzywdy.

Prezydent Mościcki pamiętał o społeczności Lutówka. Na święta przysyłał paczki dla dzieci uczęszczających do miejscowej szkoły. Były to słodczyce, ale też rzeczy bardziej praktyczne, jak na przykład bielizna zimowa. Zazdrościłem wtedy dzieciom, bo ja jeszcze do szkoły nie chodziłem. Prezydent przysyłał też symboliczne nagrody dla uczestników lokalnego święta lasu, w którym powszechnie uczestniczyła miejscowa ludność.

WYBUCHŁA WOJNA

Granica z Niemcami była oddalona zaledwie o sześć kilometrów od Lutówka. Pamiętam, że w latach 1938-1939 najpierw „nieznani” sprawcy kilkakrotnie, pod osłoną nocy, plądrowali biuro nadleśnictwa. Jak się później okazało po schwytaniu jednego z nich, byli to Niemcy, prawdopodobnie z faszystowskich bojówek. To nie były kradzieże, tylko polityczna prowokacja. Niemcom zależało na sianiu niepokoju i wprowadzaniu chaosu w urzędach i społeczności polskiej, mieszkającej w strefie przygranicznej. Do pochycenia bojówkarza przyczynił się nasz pies Lux, który go wyszukał ukrytego w malinach uprawianych w naszym gospodarstwie.

W końcu sierpnia 1939 roku Ojciec otrzymał kartę mobilizacyjną. Był sape-rem, oficerem rezerwy. W mundurze porucznika Wojska Polskiego udał się do Sępólna i stamtąd pociągiem do Torunia. Po wojnie wspominał, że jego oddział przemieszczał się tylko nocą ze względu na ataki niemieckiego lotnictwa. Gdy znajdowali się gdzieś między Łowiczem i Kutnem dotarli do majątku, który okazał się już zajęty przez Niemców. Był to sztab niemieckiej jednostki zmotoryzowanej liczącej ponad 70 pojazdów. Na wycofanie się było za późno, więc... dowództwo polskiej kompanii (trzy plutony) postanowiło zaatakować. Zaskoczenie okazało się tak wielkie, że Niemcy poddali się praktycznie bez walki. Sytuacja stała się jednak kłopotliwa. Brakowało łączności, a Polacy mieli więcej jeńców niż liczyło ich własne ugrupowanie. Nie mieli w swoich szeregach dostatecznej liczby kierowców, by w pełni wykorzystać zdobyczne niemieckie pojazdy. Sformowali kolumnę i prowadzili ją w kierunku Warszawy. Marsz się przedłużał. Gdy nawiązali wreszcie kontakt z Warszawą otrzymali rozkaz jak najszybszego dotarcia do stolicy, aby wzmocnić obronę miasta. W tych okolicznościach jeńcy niemieccy stali się kulą u nogi. Rozbrojonych puścili wolno, a sami, korzystając z części zdobycznych pojazdów, pospiesznie ruszyli na pomoc Warszawie. Tam uczestniczyli w obronie stolicy w batalionach Starzyńskiego. Wobec ogromnej przewagi wroga obrona Warszawy nie trwała długo. Gdy zbliżał się dzień kapitulacji, żołnierze otrzymali do wyboru (od swojego dowództwa), albo poddanie się w niewolę niemiecką, albo cywilne ubranie i samodzielną ewakuację do miejsc zamieszkania. Ojciec wybrał ten drugi wariant.

Tymczasem my z mamą, jeszcze w sierpniu 1939 roku, zaraz po wyjeździe Ojca z Lutówka do wojska, przenieśliśmy się do dziadka Gierszewskiego do Tucholi i tu zastał nas wybuch wojny. Przed wkroczeniem wojsk do miasta Niemcy zrzucaли z samolotów ładunki wybuchowe na tzw. Głębocek. Chodziło prawdopodobnie o wywołanie paniki, bo ostatecznie do żadnych większych zniszczeń w mieście nie doszło. Niemcy zajęli Tucholę. Gdy dobiegła końca kampania wrześniowa i skapitulowała Warszawa, spodziewaliśmy się, że Ojciec przyjedzie do nas. Wiedział, że będziemy mieszkać u dziadka Gierszewskiego. Tymczasem

Niemcy nakazali, aby urzędnicy państwowi, gdziekolwiek są, wracali do miejsca pracy. I Ojciec tak zrobił. Na przełomie września i października stanął się w Lutówku, gdzie nasze mieszkanie i siedziba nadleśnictwa pozostały nienaruszone. Ubrał się w mundur polskiego nadleśniczego i już nazajutrz... został aresztowany przez gestapo i przewieziony do odległego o około 25 km obozu w Radzimi. Wiadomość o uwięzieniu ojca dotarła do nas do Tucholi. Jakikolwiek odwiedzi-ny były jednak wykluczone.

Dziadek Michał Gierszewski z Tucholi działał przed wojną w Izbie Rolniczej. Był wielkim patriotą, pracował na rzecz odbudowy polskości na terenach w dawnym zaborze pruskim. Polskie Izby Rolnicze dzięki dobrej organizacji i solidarności rosły w siłę i rugowały dawnych niemieckich gospodarzy. Gdy wybuchła wojna, dziadek i jego rodzina byli z tego powodu zagrożeni. Tym bardziej, że dziadek pomimo różnych zachęt nigdy nie przyjął niemieckiej grupy narodowościowej. Miał dużo szczęścia, gdyż do jego gospodarstwa skierowano Niemca z Bawarii jako tzw. Treuhandera (zarządcę majątku), który okazał się porządnym człowiekiem i do tego niezbyt chętnie przyjeżdżał do okupowanej Polski. Porozumieli się z dziadkiem, że raz na kilka miesięcy będą sprawdzane wszelkie formalności związane z nadzorem, dostawami i... będzie przygotowana odpowiednia „wałówka” dla zarządcy.

OBOZOWA TUŁACZKA OJCA

Warunki pobytu naszego Ojca w obozie niemieckim w Radzimi były ciężkie. Poza tym niektórych współwięźniów wywożono, a niektórzy znikali bez śladu. Można było się domyślać, że spotyka ich śmierć. Po 2-3 tygodniach Ojciec podczas apelu zgłosił się na ochotnika do brygady, która miała kopać rowy melioracyjne poza obozem. Pomyślał, że w ten sposób zwiększy swoje szanse na przeżycie. Prace ziemne wykonywano między Obrowem i Przymuszewem, i trwały aż do końca listopada, gdy zamarzła ziemia. Wtedy Niemcy przywieźli brygadę z powrotem do Radzimia, gdzie obozu i więźniów już nie było. Jak się później okazało, część z nich rozstrzelano, m.in. w Rudzkim Moście koło Tucholi i w Dolinie Śmierci w Chojnicach, innych wywieziono do obozów koncentracyjnych, głównie do Stutthofu. Do tego obozu trafił też Ojciec i jego towarzysze z brygady. W Stutthofie przebywał do wiosny 1940 roku, kiedy przewieziono go do Oranienburga, a później do Dachau. Stamtąd otrzymaliśmy pierwszy list od Ojca.

Mama z chwilą otrzymania wiadomości o aresztowaniu Ojca i umieszczeniu w obozie w Radzimi starała się wszelkimi sposobami o jego uwolnienie. Długo się to nie udawało. Ojciec miał kolegów Niemców, którzy przed wojną studiowali w Poznaniu. Byli to głównie prawnicy, ale chyba też kilku leśników. Jeden z nich, prawnik, w czasie okupacji pracował w Gdańsku, i to za jego sprawą oraz forstmeistra o nazwisku Busseck, udało się przenieść Ojca z Oranienburga do Dachau, gdzie pracował w kuchni.

Pewnego dnia, podczas apelu Niemcy ogłosili nabór do pracy w leśnictwie na terenie okupowanej Polski, w Generalnej Guberni. Warunkiem zatrudnienia było wykształcenie leśne i biegła znajomość języka niemieckiego. Zgłosił się Ojciec i jeszcze kilka osób. Otrzymał skierowanie i nakaz pracy w Grójcu. On jednak przyjechał najpierw do nas do Tucholi. Pamiętam taki obraz. Była późna jesień 1940 roku, wczesny ranek, w gospodarstwie jeszcze nikt nie pracował. Nie uprzedzono nas, że Ojciec może wrócić. Z sypialni dziecięcej dostrzegłem na horyzoncie niewyraźną postać ubraną w łachmany. Rozpoznałem w niej Ojca. Narobiłem rabanu w całym domu. Za parę minut to się potwierdziło, gdy Ojciec przekroczył próg domu. Pozostał z nami kilka dni. W tym czasie był tam również mamy brat Stanisław, z zawodu lekarz. On dopilnował, aby Ojciec właściwie się odżywił, to znaczy ograniczał mu jedzenie po obozowym głodzeniu. Po kilku dniach Ojciec zniknął. Powiedziano nam, że wyjechał do dyrekcji lasów do Warszawy. Tylko mama wiedziała, że udał się on do swoich siostr w Toruniu, gdzie jeszcze przez dwa miesiące się kurował po przejściach obozowych. Gdy odzyskał jako tako siły, zgłosił się do Warszawy, gdzie otrzymał skierowanie do pracy w Nadleśnictwie Brok nad Bugiem.

NADLEŚNICTWO BROK NA BUGIEM

Miasteczko Brok nad Bugiem liczyło wówczas może pięć tysięcy mieszkańców. Była to biedna społeczność. Duża część żyła z roli, pracy w lesie i zbioru płodów runa. W Broku był kościół, posterunek policji granatowej, sklep i szkoła. Nadleśniczym był leśnik z Bawarii. Nie chciał za bardzo pracować w okupowanej Polsce. Być może obawiał się o swoje życie. Szybko porozumiał się z Ojcem twierdząc, że dwóch nadleśniczych w jednym miejscu to o jednego za dużo. Umówili się, że forstmeister zostawi nadleśnictwo Ojcu, a sam wróci do Bawarii i tylko co kilka miesięcy będzie przyjeżdżał, aby akceptować przygotowane dokumenty. Ojciec biegle znał język niemiecki, w praktyce był dwujęzyczny. Pamiętam nawet, że liczył zawsze po niemiecku. Chyba zostało mu to z dzieciństwa, szkołę powszechną kończył jeszcze pod zaborem pruskim. Ojcu taki układ bardzo odpowiadał, tym bardziej, że zaangażował się w działalność konspiracyjną, gdyż podziemie w tamtym regionie było dobrze rozwinięte. Nadleśniczy, nawet Polak, był w pewnym sensie osobą uprzywilejowaną, bo mógł się swobodnie poruszać po terenie nadleśnictwa o dowolnej porze dnia i nocy, podczas gdy innych obowiązywała godzina policyjna i inne ograniczenia.

Siedziba nadleśnictwa w Broku była w budowie, lecz Ojciec usilnie zabiegał o zamieszkanie w jakimś polskim gospodarstwie z dala od miasteczka. To się udało. Decyzja Ojca o zamieszkaniu u gospodarza w odległych o pięć kilometrów od Broku Bojanach okazała się bardzo dobra. Ojciec cieszył się dużym zaufaniem w środowisku. Gdyby mieszkał w urzędzie, na pewno by tak nie było. Raczej byłby

traktowany jako ktoś obcy, ktoś z zewnątrz, wprowadzony na urząd przez władze okupacyjne. A do tego relacje z niemieckim Forstmeisterem na tyle dobrze się układały, że Ojciec podczas jednej z jego kolejnych wizyt podsunął mu do podpisu... 250 Arbeitskarte (kart pracy) dla ludzi, którzy mieli pracować w miejscowych lasach. Forstmeister podpisał. W ten sposób zalegalizował pobyt i zabezpieczył przed wywózką na roboty do Rzeszy dużą grupę Polaków, w tym osoby „spalone”, poszukiwane przez okupanta i najczęściej działające już w konspiracji. W kancelarii nadleśnictwa w Broku pracowało kilkanaście osób, w tym pracownicy z wyższym wykształceniem leśnym.

Ojciec nigdy z nami nie rozmawiał szerzej o swojej działalności konspiracyjnej. To były tematy zastrzeżone i podczas okupacji niemieckiej, i później w Polsce ludowej. Wiedzę na ten temat zdobyłem od innych ludzi, w tym od mamy i mieszkańców Bojan. No i sam już sporo rozumiałem i widziałem.



Brok – most na Bugu, ok. 1942 r.
Dorośli od lewej: Zofia i Aleksander Wysińscy oraz Maria Wojtalewicz. Dzieci od lewej: Mieczysław, Aleksandra i Marian

WIEŚ BOJANY

We wsi Bojany, gdzie mieszkaliśmy, w ogóle nie było Niemców. Jedyną władzę sprawował sołtys, który był Polakiem. Mieszkaliśmy u rolnika o nazwisku Kalata. Był żołnierzem dwóch wojen, najpierw w szeregach carskiej armii walczył z Prusakami, a później jako żołnierz polski uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Kalata to był świątły człowiek. Mieszkał z żoną, córką i zięciem. Ojciec najpierw sam zamieszkał u Kalatów, bo my z mamą wciąż przebywaliśmy u dziadka Gierszewskiego w Tucholi. Gdy już dobrze rozpoznał sytuację, jesienią 1942 roku ściągnął nas do Broku. Nie było to łatwe, potrzebna była pozytywna opinia jakiegoś niemieckiego organu. Taką opinię wydał Treuhander (zarządca majątkowy), który formalnie zarządzał majątkiem dziadków Gierszewskich w Tucholi. Oczywiście pozytywną opinię wystawił nam nie za darmo. Otrzymał systematycznie wałówkę i w pewnym sensie gwarantował spokojne funkcjonowanie gospodarstwa w Tucholi. Gdy nasza rodzina sprowadziła się do Broku, rodzice zapisali nas z bratem do miejscowej szkoły prowadzonej w języku polskim. Z Bojan do szkoły w Broku mieliśmy siedem kilometrów. Chodziliśmy na ogół pieszo, ale czasem Ojciec zabierał nas na rower, bo biuro nadleśnictwa też funkcjonowało w Broku. Do szkoły uczęszczało więcej dzieci z naszej wsi, więc chodziliśmy zazwyczaj większą gromadą.

W pokoju, w którym spałem, wielokrotnie odbywały się nocne spotkania Ojca z mężczyznami przychodzącymi z lasu. Z tematyki usłyszanych rozmów, gdy jeszcze nie spałem, zorientowałem się, że Ojciec pełnił w tej konspiracyjnej organizacji funkcję kwatermistrzowską. Był zaprzysiężony, jako członek Armii Krajowej, podobnie jak nasza opiekunka Marynia, która była łączniczką i często uczestniczyła w nocnych naradach dowódców leśnych oddziałów. Z tego tajemnego grona, w mojej pamięci szczególnie mocno utkwiała postać Rosjanina nazywanego „Złotym Iwanem”. Był dowódcą sowieckiego ugrupowania partyzanckiego działającego na terenie Puszczy Białej. Rzadko się odzywał, raczej słuchał, a jego cechą charakterystyczną stanowił cały rząd złotych zębów połyskujących, gdy już coś mówił.

Różne akcje podziemia miały prawdopodobnie miejsce, ale do nas dzieci to nie docierało. Pamiętam takie wydarzenie, gdy na skrzyżowaniu duktów leśnych, w drodze do szkoły, znaleźliśmy ciała dwóch młodych mężczyzn zastrzelonych przez Niemców. Przez kilka dni nie wolno było ich pochować. A później zostali zakopani na miejscu w lesie, bo na pochówek na cmentarzu nie było zgody.

W Broku w czasie okupacji funkcjonował posterunek policji granatowej złożonej z Polaków. Ponadto, w 1944 roku nowo wybudowana siedziba nadleśnictwa została otoczona wysokim nasypem, a wewnątrz zainstalowała się grupa Grenzschtzu z pojazdami bojowymi i uzbrojeniem.

Wyjaśnienia wymaga jeszcze obecność Maryni w naszej rodzinie. Maria Wojtalewicz „Marynia”, którą traktowaliśmy jak starszą siostrę, pomagała naszej

mamie w opiece nad dziećmi. Jej matka zmarła przedwcześnie jeszcze przed wojną, a ojciec zginął w niemieckim obozie koncentracyjnych. Dzieci Wojtalewiczów trafiły do rodziny, do nas Marynia. Była z nami przez całą okupację i jeszcze po wojnie, aż do wyjścia za mąż. Jej mężem został Jan Kazimierz Witkowski, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego w Poznaniu z 1932 roku, który przed wojną był adiunktem u naszego Ojca w Nadleśnictwie Lutówko. Przeżył wojnę, później odnalazł naszą Marysię i się pobrali w końcu lat 40. Witkowski był już wówczas nadleśniczym w Nadleśnictwie Kościan.

Wspominając pobyt w Bojanach, trzeba podkreślić, że rodzice zapewnili nam skromne, ale beztrudne życie, nie dzieląc się z dziećmi, zapewne trudnymi problemami dnia codziennego. Było to ich cechą także w okresie powojennym. Pamiętamy z czasu pobytu w Bojanach piaszczystą, leśną drogę do szkoły w Broku, którą przemierzaliśmy codziennie i w której kiedyś utknęły samochody Wehrmachtu, wiozące żołnierzy na akcję z ugrupowaniem Armii Krajowej operującej w miejscowych lasach. Pamiętamy też wspólne śpiewy polskich pieśni patriotycznych, harcerskich i wojskowych przy akompaniamencie Ojca grającego na bałające. Albo wyprawy z Ojcem do lasu i jego pogawędki o życiu lasu, wycieczki z bratem nad pobliską rzekę Bug i łowienie ryb wędkami z kijów leszczynowych i z przynętą „na muchę”. Połowy musiały wystarczyć na przygotowanie zupy dla całej rodziny. Wracają też obrazy z rodzinnego niedzielnego plażowania nad brzegiem Bugu.

WYJEŹDŹAMY Z BOJAN

W połowie września 1944 roku front wschodni zbliżał się do Bugu. Coraz wyraźniej słyszeliśmy odgłosy armat i karabinów, później dymy na horyzoncie, a nocą rozbłyski na niebie. Ojca i niemal wszystkich mężczyzn z okolicy skierowano do kopania okopów. Los Ojca i naszej rodziny stał się niepewny, tym bardziej, że w sierpniu urodziła się nasza siostra Elżbieta Stefania. Ojciec przeniósł nas do gajówki w tzw. Jelenim Dole, gdzie zgromadziło się sporo uciekinierów przed zbliżającym się frontem.

Jednym z Niemców kierujących pracami ziemnymi, w których uczestniczył Ojciec, był esesman z Chojnic o nazwisku Kaszubowski. Ojciec zagadnął go o swojego kolegę też Kaszubowskiego, z którym chodził do jednej klasy w Gimnazjum w Chojnicach. Okazało się, że to jego kuzyn. Od tej chwili esesman rozmawiał z Ojcem już tylko po polsku i całkiem przyjaźnie. Ojciec zdecydował się poprosić go o pomoc w wywiezieniu rodziny do stacji kolejowej, skąd mogliby pociągiem dostać się do rodziny w Tucholi zanim dotrze tu front. Kaszubowski zmiękł. Zadeklarował, że podstawy samochód, który przewiezie rodzinę do Ciechanowa. Tak się stało. Nawet Ojciec dostał przepustkę. W czasie podróży przeżyliśmy nalot, na szczęście bez ofiar w ludziach. Przez Działdowo, Grudziądz, szczęśli-

wie dotarliśmy do dziadka w Tucholi. Czuliśmy się bezpieczni. Ojciec wybrał się w podróż powrotną. Dopiero po wojnie dowiedzieliśmy się, że nie wrócił już do kopania okopów w Broku, tylko ukrył się – jak już kiedyś po zwolnieniu z Dachau – u swoich sióstr w Toruniu.

Już po wojnie Ojciec powiedział mi, że dowódca sowieckiego ugrupowania partyzanckiego z okolic Broku – wspomniany wcześniej „Złoty Iwan” – w czasie, gdy zbliżała się Armia Czerwona sam zaproponował mu własnoręcznie sporządzoną bumagę, dziś powiedzielibyśmy certyfikat bezpieczeństwa, na wypadek kłopotów ze służbami bezpieczeństwa po wkroczeniu Rosjan. Bumaga przydała się już w marcu 1945 roku, gdy w Toruniu zorganizowano na Rynku Staromiejskim wiec zwycięstwa, podczas którego sowieckie NKWD obstawiło centrum miasta i usilnie wyszukiwało ludzi powiązanych z podziemiem. Ojciec ostrzeżony przez przypadkową kobietę w porę wycofał się ze śródmieścia, ale już na ulicy Mickiewicza zatrzymał go sowiecki patrol. Gdyby nie bumaga Złotego Iwana prawdopodobnie znalazłby się w areszcie, a później być może w transporcie na wschód, co było wówczas zjawiskiem dość powszechnym.

POWRÓT DO LUTÓWKA

W tym czasie do Torunia wyzwolonego spod okupacji niemieckiej dotarła grupa inicjatywna dyrekcji Lasów Państwowych. Ojciec zgłosił się do pracy



Lutówko ok. 1946 r. przed siedzibą nadleśnictwa. Dorośli od lewej: nadleśniczy Aleksander Wysiński jego żona Zofia oraz Maria Wojtalewicz; dzieci od lewej: Aleksandra i Elżbieta Stefania



Lutówko 1946 r. przed wejściem do budynku mieszkalnego. Dorośli od lewej: Zofia Wysińska, jej siostra Maria Gierszewska, nadleśniczy Aleksander Wysiński, Michał Gierszewski senior, Zofia Wysińska. Dzieci od lewej: Mieczysław, Marian i Elżbieta Stefania

i zaraz został skierowany do Nadleśnictwa Lutówko, aby reaktywować jego działalność. Zorganizował na nawo pracę w nadleśnictwie i wkrótce ściągnął do siebie rodzinę z Tucholi. Zamieszkaliśmy w tym samym mieszkaniu, co przed wojną. Udało się odzyskać dużą część umeblowania, które w czasie wojny przeszły w posiadanie przeważnie Niemców, którzy – gdy zbliżał się front – uciekli w głąb Rzeszy. W Lutówku podjęliśmy edukację. Na miejscu była czteroklasowa szkoła powszechna, do której chodził mój brat Marian, a ja do odległej o sześć kilometrów szkoły w Lutowie. Znacznie bliżej miałem przez jezioro, które zimą zamarażało i wtedy chodziło się po lodzie. Latem umawiałem się niekiedy z rybakiem Kuncą i jego łodzią skracaliśmy drogę do domu.

W Lutówku byliśmy do maja 1947 roku. Już w 1946 roku przedwojenni nadleśniczowie, którzy przeżyli wojnę i wrócili do pracy, mogli odczuć, że ich pozycja zawodowa nie odpowiada umacniającej się już władzy komunistycznej, która uważała, że mają oni zbyt duży i „niewłaściwy” wpływ na lokalną społeczność. Ojciec otrzymał propozycję, nie do odrzucenia, przejścia do pracy na stanowisko kierownika Działu Planowania w Dyrekcji Lasów w Toruniu.

Dwuletni pobyt naszej rodziny w Lutówku wszystkim nam dobrze służył. Ojciec, którego wojna najmocniej doświadczyła, bo był w obozach niemieckich, później w różnych trudnych relacjach z okupantem, kiedy współpracował z podziemiem albo ukrywał się zagrożony aresztowaniem, przez te dwa lata odbudował zdrowie, był bowiem też hobbystą zielarzem. Znany z tego w środowisku, sąsiedzi i znajomi powszechnie korzystali z jego zielarskich rad i pomocy.

W TORUNIU

Przeniesienie służbowe do Torunia, Ojciec odebrał jako próbę zwiększenia kontroli nad jego osobą. Podobne ruchy nowej władzy dotyczyły też innych przedwojennych nadleśniczych, których bądź to ściągano do dyrekcji, bądź zsyłano na jakieś odludzie. Ojciec otrzymał mieszkanie komunalne w Toruniu przy ul. Moniuszki, dwieście metrów od miejsca pracy. Niby zyskał finansowo, ale zarobki leśnika były już wtedy bardzo skromne. Pracując w dyrekcji, nie miał też deputatu rolnego, który w latach powojennych ratował budżet rodzin leśnych. Pamiętam, że nieco później, jako młody absolwent leśnictwa, pracowałem w urzędowaniu lasu, gdzie na akord zarabiałem cztery razy tyle, co ówczesny nadleśniczy.

Ojciec nigdy nie narzekał na swoich szefów. W stosunku do podwładnych był bardzo wymagający, tak samo jak w stosunku do siebie. W Toruniu wreszcie miał więcej czasu dla nas. Ale nie trwało to długo. Względnie spokojne życie naszej rodziny zakończyło się we wrześniu 1950 roku. Ojciec otrzymał pismo z Urzędu Bezpieczeństwa, który mieścił się wówczas w Toruniu przy ul. Bydgoskiej. Został wezwany jako świadek w sprawie księdza katolickiego, przeciwko któremu prowadzono śledztwo. Nic nie zapowiadało dramatu. Wydawało się, że świadek

po złożeniu zeznań wróci do domu. Jednym z pracowników urzędu był niejaki Filip Krupienicz, pochodzący gdzieś spod Lwowa. Był wysokim funkcjonariuszem bezpieczeństwa w Toruniu. Później był nawet szefem UB w Inowrocławiu.

Ojca zatrzymali na Bydgoskiej. Wrócił do domu po blisko trzech miesiącach, pod koniec listopada. Mama próbowała dotrzeć do niego. Nie wpuszczono jej do gmachu. Ja też próbowałem się tam dostać. Bez skutku. Ojca i innych aresztowanych trzymano w piwnicy w wodzie. Otrzymali snopek słomy, który natychmiast był mokry. Więźniowie byli w pojedynczych klatkach. Warunki – jak mówił nam Ojciec – były gorsze niż w obozach niemieckich, w których przebywał w czasie wojny. Przez cały czas uwięzienia był w tym samym ubraniu. W ogóle nie było z nim kontaktu. Nie można było mu czegokolwiek dostarczyć, np. bielizny, innych ubrań czy żywności. Wrócił zmaltretowany.

Ojciec był przesłuchiwany w charakterze świadka. Jak wyglądały przesłuchania i jaki był ich temat, Ojciec nigdy nam nie powiedział, prawdopodobnie, aby nas nie narażać i z pewnością kazali mu przy zwolnieniu podpisać jakieś zobowiązanie do milczenia. Od bliskich znajomych Ojca dowiedzieliśmy się z czasem, że śledztwo prowadzono w sprawie księdza katolickiego prawdopodobnie ze Świeka-



Rodzina Aleksandra i Zofii Wysińskich przed domem na ul. Wyczółkowskiego w Toruniu, jesienią 1950 r. Siedzą od lewej: Zofia, Elżbieta Stefania i Aleksander, stoją od lewej: Marian, Mieczysław i Aleksandra

tówka, który w czasie wojny był więziony w obozie niemieckim, w jednym bloku z Ojcem, i miał tam rzekomo cieszyć się jakimiś szczególnymi względami Niemców, bo pozwalali mu oni odprawiać... Msze św., co innym kapłanom było zabronione. Miało to świadczyć o kolaboracji księdza z Niemcami. Ani Ojciec, ani kilkunastu innych świadków nigdy tego nie poświadczyli i ksiądz w procesie został oczyszczony z zarzutów. W rzeczywistości, poszukiwanie przez UB haków na księdza miało wynikać podobno z postawy tego kapłana w nowej rzeczywistości powojennej. W jego kazaniach często pojawiała się krytyka nowej władzy, która walczyła i z kościołem, i z wiarą, i z narodem.

Ubegy z ulicy Bydgoskiej w Toruniu wiedzieli też prawdopodobnie o związkach Ojca z Armią Krajową i ten temat mogli wykorzystywać do zastraszenia. Ojciec jednak z całą pewnością nikogo nie wydał, ani nikomu nie zaszkodził, bo ciągu dalszego sprawy nie było. Ostatecznie nie wezwano Ojca na rozprawę przeciwko oskarżanemu księdzu, gdyż w żaden sposób nie byłoby w nich niczego, co by mogło duchownego obciążyć. Po powrocie z UB Ojciec nie był w stanie przejść o własnych siłach 200 metrów z domu do dyrekcji na ulicy Mickiewicza, gdzie pracował. Ówczesny dyrektor Wilhelm Jankowski przysłał samochód z kierowcą, aby go przewiózł do dyrekcji w celu podpisania listy obecności i nabycia praw do zwolnienia chorobowego. Wkrótce Ojciec trafił do szpitala. Okazało się, że ma kamienie żółciowe, nerkowe i szereg innych dolegliwości. Był poddany operacji chirurgicznej, która nie dała dobrych efektów. Stan jego zdrowia stale się pogarszał. Ponownie trafił do szpitala, gdzie odbyła się kolejna operacja. Był już bardzo osłabiony. Organizm nie podniósł się. Ojciec zmarł 6 maja 1951 roku. Został pochowany na cmentarzu św. Jerzego przy ul. Gałczyńskiego w Toruniu.

Patrząc z perspektywy czasu na dramatyczne wydarzenia związane z aresztowaniem naszego Ojca, brutalnymi przesłuchaniami i konsekwencjami zdrowotnymi zakończonymi przedwczesną śmiercią, trzeba zauważyć, że spora grupa leśników solidaryzowała się wówczas z naszą rodziną. Takim parasolem ochronnym, na miarę swoich możliwości, okazał się dyrektor Jankowski, który – po śmierci Ojca – przyjął naszą mamę do pracy. Później, po śmierci dyrektora Jankowskiego w 1961 roku, podobnie przyjazny stosunek do nas miał i pomoc okazywał jego następca, dyrektor Niedzielski.

Tadeusz Chrzanowski

Spisane na podstawie wspomnień
Mieczysława Wysińskiego i Mariana Wysińskiego.

Toruń, w lipcu 2020 roku

Zdjęcia: archiwum rodziny Wysińskich



Ryszard Kazimierz Borowy (1904-1977)

Inżynier RYSZARD KAZIMIERZ BOROWY

(1904-1977)



Ryszard Kazimierz Borowy urodził się 13 maja 1904 roku we wsi Kuskowo Dzierżno na ziemi ciechanowskiej. Zmarł 2 maja 1977 roku w Warszawie, pochowany został w grobie rodzinnym w Czernicach Borowych, powiat przasnyski. W latach 1912-14 uczęszczał do miejskiej szkoły w Przasnyszu, a po wybuchu I wojny światowej uczył się prywatnie. W latach 1920-21 był uczniem Gimnazjum Humanistycznego w Liskowie (kaliskie), a w latach 1921-26 uczęszczał do Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego w Grudziądzu, gdzie w maju 1926 roku uzyskał świadectwo dojrzałości. W latach 1926-27 odbył obowiązkową służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, którą ukończył w stopniu plutonowego podchorążego. W 1932 roku otrzymał awans na pierwszy stopień oficerski – podporucznika rezerwy kawalerii – z przydziałem mobilizacyjnym do 18 Pułku Ułanów Pomorskich w Grudziądzu, ewidencyjnie podlegał PKU Warszawa M III.

W październiku 1927 roku Ryszard Borowy rozpoczął studia na Wydziale Matematycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Z powodu braku środków materialnych przerwał naukę i w roku 1929 podjął pracę jako referent w Wydziale Budowlanym Zarządu (Urzędu) Miejskiego w Grudziądzu. Rok później wstąpił na Wydział Leśny Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW) w Warszawie, gdzie w 1935 roku uzyskał dyplom inżyniera leśnika w Zakładzie Urządzenia Lasu.

W 1936 roku inż. Borowy podjął pracę w drużynie urzędzeniowej, najpierw w Dyrekcji Lasów w Warszawie, następnie od 1937 roku aż do wybuchu wojny w Dyrekcji Lasów w Toruniu, pracując na stanowisku taksatora, a potem kierownika drużyny urzędzeniowej w Biurze Produkcji Drewna. W tamtym czasie udzielał się politycznie jako członek Stronnictwa Narodowego.

W 1939 roku brał czynny udział w wojnie obronnej, prawdopodobnie jako dowódca plutonu 4 Pułku Strzelców Konnych. Po przegranej kampanii wrześniowej opuścił Toruń i osiadł u rodziny Kuskowskich w Kuskowie Dzierżnie. Zatrudnił się tam jako robotnik rolny (deputant) w gospodarstwie Stanisława Dzilińskiego z Kuskowa. Wkrótce stał się współtwórcą zbrojnego podziemia na terenie północnego Mazowsza. Przyjął pseudonim Odrożyc i jeszcze jesienią 1939 roku wstąpił do Organizacji Wojskowej (OW) w Grudusku (powiat ciechanowski).

W październiku 1940 roku objął funkcję komendanta OW w powiatach ciechanowskim, przasnyskim i mławskim. Po wejściu OW w skład Polskiej Organizacji Narodowo-Syndykalistycznej (PONS) Ryszard Borowy został komendantem na teren północnego Mazowsza. Na przełomie lat 1942 i 1943 PONS wraz z kilkoma innymi organizacjami, scalono w Narodowe Siły Zbrojne (NSZ). Wówczas został dowódcą II grupy Okręgu II Mazowsze-Północ i zmienił pseudonim na „Żelazny”, co mogło mieć związek z aresztowaniami wśród żołnierzy PONS i częściową dekonspiracją organizacji.

Ryszard Borowy brał czynny udział w kierowaniu tą organizacją, w szkoleniu młodej kadry oficerskiej i podoficerskiej, w przygotowaniu jej do walk partyzantskich i organizowania działalności sabotażowo-dywersyjnej. W NSZ został mianowany najpierw do stopnia porucznika rezerwy kawalerii, a potem do stopnia rotmistrza i majora. Należy zaznaczyć, że jego żona, Zofia z Ossowskich, która w okresie międzywojennym pracowała jako nauczycielka języka angielskiego, w czasie okupacji również działała w NSZ jako komendant na II Okręg Mazowsze-Północne Pomocniczej Służby Kobiet.

Po wejściu wojsk sowieckich na północne Mazowsze w drugiej połowie stycznia 1945 roku Ryszard Borowy wraz z żoną powrócił do Torunia, gdzie podjął się organizowania Dyrekcji Lasów Państwowych (DLP). 11 lutego 1945 roku został mianowanym tymczasowym Delegatem Rządu na województwo pomorskie dla zabezpieczenia mienia i przygotowania organizacyjnego ośrodków pracy DLP w Toruniu. Po przybyciu na Pomorze grupy operacyjnej 20 lutego 1945 roku otrzymał m.in. zadanie organizacji Związku Zawodowego, z czego się wywiązał. W tym czasie wiele energii i czasu poświęcił na założenie i prowadzenie stołówek oraz bursy dla uczącej się młodzieży z rodzin leśników. Na podaniu Borowego z 27 lutego 1945 roku o przyjęcie go do pracy w dziale urządzania lasu w Biurze Produkcji Drewna, względnie wyznaczenie mu tymczasowego stanowiska nadleśniczego w terenie, jest adnotacja dokonana przez dyrektora Mieczysława Niezabitowskiego: *Zaangażować jako tymczasowy Nadleśniczy N-ctwa Ruda*. Na tym samym podaniu jest również druga adnotacja dyrektora z dnia 26 marca 1945 roku: *N-ctwo Solec*. Ostatecznie 19 kwietnia 1945 roku powierzono Ryszardowi Borowemu pełnienie obowiązków referendarza w Biurze Produkcji Drewna p.o. Inspektora Lasów Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu z ważnością zatrudnienia od dnia 8 lutego 1945 roku. Na wniosek dyrektora Niezabitowskiego z 24 lipca 1945 roku, skierowany do Ministerstwa Leśnictwa w Łodzi o reaktywowanie Ryszarda Borowego w służbie państwowej i powierzenie mu pełnienia obowiązków inspektora lasów w Biurze Organizacji i Inspekcji DLP Okręgu Toruńskiego w Toruniu, 22 października 1945 roku Minister Leśnictwa przyjął go do służby państwowej i powierzył mu z dniem 11 lutego 1945 roku obowiązki inspektora w tej Dyrekcji.

W aktach osobowych Ryszarda Borowego jest też interesujący dokument – wniosek reklamacyjny z 26 lipca 1945 roku, w którym dyrektor DLP w Toruniu tak uzasadniał wykreślenie inż. Ryszarda Borowego z wojskowej ewidencji: *Z braku sił fachowych, reklamowany jest niezastąpiony, zwłaszcza obecnie, w okresie intensywnych prac reorganizacyjnych, wyrobu i wywózki drewna dla armii polskiej i radzieckiej, terminowych dostaw materiałów drzewnych dla przemysłu węglowego i papierniczego, oraz w chwili szacowania strat wojennych i przewożenia przemysłu drzewnego. Obowiązki te wymagają specjalnego dozoru i ponaglania przez Ob. Inspektorów.* Wniosek ten poparł Minister Leśnictwa, Komitet Miejski PPR w Toruniu oraz Powiatowa Rada Związków Zawodowych w Toruniu. Ciekawostką jest też to, że na wniosku reklamacyjnym jest odcisnięta przedwojenna pieczęć Dyrekcji z godłem Polski, ale z usuniętą koroną, podobnie jak na odcisniętej pieczęci Ministerstwa Leśnictwa.

Podczas pracy w Dyrekcji Ryszard Borowy był w okresie od 10 września do 1 grudnia 1945 roku na urlopie bezpłatnym, i co ciekawe, urlopu tego udzielał mu minister na wniosek Komitetu Wojewódzkiego Pomorza Polskiej Partii Robotniczej (!) z 1 września 1945 roku.



Grupa pracowników Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu w 1945 r. Siódmy od lewej – inż. Ryszard Kazimierz Borowy (1). Obok niego, na prawo – dyrektor Mieczysław Niezabitowski (2)

W powojennym okresie pracy w Dyrekcji LP w Toruniu Ryszard Borowy wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej (PPR) i był jej funkcjonariuszem w randze sekretarza. W tym czasie często przebywali u niego w mieszkaniu nie tylko członkowie PPR, ale też ukrywający się partyzanci z terenów powiatów przasnyskiego i ciechanowskiego, wśród nich por. Czesław Czaplicki, polski żołnierz niepodległościowego podziemia, działacz organizacji kombatanckich, ekonomista i polityk, który zasłynął m.in. ze współorganizacji brawurowego odbicia 42 więźniów – żołnierzy AK, BCh i NSZ – z katowni Urzędu Bezpieczeństwa (UB) w Krasnosielcu 1 maja 1945 roku.

Inżynier Ryszard Borowy w tym krótkim okresie pracy w Dyrekcji pełnił też funkcję Zastępcy Delegata Ministerstwa Leśnictwa do Wojewódzkiej Komisji do Spraw Upaństwowienia Przedsiębiorstw na województwo pomorskie, po mianowaniu go na to stanowisko przez Ministra Leśnictwa 26 kwietnia 1947 roku.

23 lipca 1947 roku Ryszard Borowy został, na wniosek Ministra Leśnictwa i po podjętej uchwale Rady Ministrów z dnia 14 lipca 1947 roku, przeniesiony z urzędu na stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Leśnictwa w Warszawie. W czasie dwuletniego „ministrowania” był inicjatorem i propagatorem szeroko pomyślanego programu przebudowy drzewostanów, opartego na tzw. bezzrębówce, polegającej na całkowitym zaniechaniu stosowania zrębów zupełnych. Według niego w dojrzałych drzewostanach należało posztucznie wyjmować drzewa, a odnowienia miały następować podokapowo w tak prowadzonych przerzedzonych partiach lasu, z wykorzystaniem znajdujących się tam ewentualnych nalotów i podrostów. Metoda ta miała być stosowana bez względu na rodzaj siedliska. Po roku wycofano się z tego pomysłu i przywrócono zrębowy sposób zagospodarowania lasu na siedliskach borów suchych i świeżych.

Ryszard Borowy funkcję wiceministra pełnił do 4 października 1949 roku, kiedy to został aresztowany przez UB. Oskarżono go o szpiegostwo oraz zdradę stanu i skonfiskowano jego mienie. Po sfingowanym procesie został skazany na 15 lat więzienia (wg Tadeusza Łaszczyńskiego na dożywocie). W 1952 roku przeniesiono go z warszawskiego więzienia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) przy ul. Rakowieckiej do więzienia o zaostrzonym rygorze w Barczewie k. Olsztyna. Tam nabawił się gruźlicy płuc. W więzieniu przebywał do maja 1956 roku. Jeszcze w 1956 został zrehabilitowany i zaczął od grudnia pracować w Zakładzie Ekonomiki Instytutu Badawczego Leśnictwa (IBL) w Warszawie. W 1964 roku przeszedł do Zakładu Hodowli Lasu IBL. Podczas wieloletniej pracy w IBL (na emeryturę przeszedł w lipcu 1972 r.) Ryszard Borowy z właściwą sobie pasją kontynuował badania nad przebudową drzewostanów, konstruując wielowariantowe modele wzrostu produktywności lasu. Do ostatniej chwili życia był przywiązany do tej idei, w którą wierzył, a której nie dane mu było zrealizować.

W 1946 roku Ryszard Borowy został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, a w 1947 roku otrzymał Złotą Odznakę Związkową za pracę zawodową i społeczną.

Wspominając Ryszarda Borowego, warto zwrócić uwagę, że w tym samym czasie działało dwóch członków podziemia i znanych leśników o takim samym imieniu i nazwisku, zresztą spokrewnionych, utrzymujących ze sobą sporadyczne kontakty. Dlatego też często byli myleni, zarówno przez pracowników resortu leśnictwa, jak i przez UB. Ryszard Kazimierz Borowy pracował przy urządzaniu lasów, a potem był wiceministrem leśnictwa i pracownikiem naukowym w IBL, natomiast Ryszard Lech Borowy znany był głównie jako redaktor i autor artykułów w czasopismach „Las Polski” i „Głos Lasu”. Zdarzały się pomyłki zabawne, ale i tragiczne. Jeden z przykładów: żona wiceministra była bardzo niezadowolona z tego, że wiele młodych dziewcząt pisało do niego czułe listy, których odbiorcą powinien być być ówczesny student Wydziału Leśnego, zamieszkały w 1949 roku w pokojach gościnnych Ministerstwa Leśnictwa. Znacznie poważniejsze konsekwencje miała ta zbieżność, kiedy w 1952 roku w więzieniu MBP przy ul. Rakowieckiej pomyłono dwóch więźniów Ryszardów Borowych. Wiceminister miał już wówczas długoletni wyrok, ale dla studenta skończyło się to wieloma przykrościami, łącznie z przeniesieniem go do karnej celi oraz awanturą przy konfrontacji w więzieniu. Kiedy uwolniony student ukończył studia i został redaktorem, jego artykuły zaczęto zaliczać do dorobku naukowego byłego wiceministra, który w tym czasie został pracownikiem naukowym IBL. W celu uniknięcia tych nieporozumień obaj postanowili używać w swych podpisach drugich imion: Kazimierz i Lech.

Lech Niestuchowski

Zdjęcia: archiwum

Źródła:

Adam A. Pszczółkowski – Dzieje rodu Borowych z ziemi ciechanowskiej. Warszawa 2009.
 Z żałobnej karty (T.P.) - Las Polski nr 15-16/1977.
 Akta osobowe inż. Borowego Ryszarda. 8.II.1945, RDLP w Toruniu.
 Informacja Tadeusza Łaszczewskiego zamieszczona na stronie www.stankiewicz.e.pl
 Relacja Haliny i Zygmunta Kuskowskich zam. w Kuskowie.
 Praca zbiorowa – Z dziejów Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu 1925-2010. PTL Oddział w Toruniu 2010.



Czesław Łopuski (1882-1967)

Nadleśniczy CZESŁAW ŁOPUSKI

(1882-1967)

ŻYCIORYS CZESŁAWA ŁOPUSKIEGO¹



zesław Lucjan Łopuski, syn Jana, inżyniera-technologa i Heleny z Wiwe-gerów, córki profesora. Urodziłem się 5/XI 1882 r. w Sosnowcu, powiat Będzin, województwo śląsko-dąbrowskie. Nauki pobierałem w 3-im gimnazjum rosyjskim w Warszawie. W r. 1901 zdałem maturę i wstąpiłem na wydział fizyko-matematyczny Uniwersytetu Warszawskiego.

W r. 1905 byłem na 3-im kursie tego Wydziału, ale wskutek wypadków politycznych, a mianowicie walki o polskość szkół i uniwersytetu, w której brałem czynny udział, zostałem z uniwersytetu wydalony. W r. 1906 wyjechałem w celu kształcenia się do Francji i zapisałem się na wydział przyrodniczy uniwersytetu paryskiego (Sor-bony – przyp. red.). Studia uniwersyteckie skończyłem w r. 1909 (pełne studia na wydziale geologii oraz dwa lata na wydziale biologii – przyp. redakcji) ze stopniem naukowym licencjata (licenciees sciences), odpowiednikiem polskiego magistra.

Po powrocie do Warszawy pracowałem jako geolog przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, a jednocześnie w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie prowadziłem wykłady z zakresu geologii, mineralogii i geografii fizycznej, w latach 1911-1913. W tym czasie obok innych wydałem większą pracę oryginalną „Skamieliny Kredy Lubelskiej”, drukowaną w roczniku Warszawskiego Towarzystwa Naukowego.

Od służby wojskowej w wojsku rosyjskim byłem zwolniony na zasadzie stosunków rodzinnych.

W r. 1913 ożeniłem się z p. Marią Pieniążek, właścicielką majątku rolno-leśnego w Małopolsce, powiat Dębica. Przeniósłem się wówczas do Małopolski i objąłem zarząd lasów mojej żony w Strzegonicach pod Pilznem, powiat Dębica. Odtąd przez lat 32 prowadziłem gospodarstwo leśne 530 ha osobiście przy pomocy funkcjonariuszów niższego stopnia. Postawiłem gospodarstwo leśne na wysokim poziomie, zaprowadziłem gospodarstwo bezzrębowe, które obecnie (1954 r. – przypis redakcji) w całej Polsce jest stosowane. W zakresie tego gospodarstwa jestem specjalistą i wydałem szereg prac z tego zakresu leśnictwa w organie Polskiego Towarzystwa Leśnego „Sylwan”.

Z małżeństwa z Marią Pieniążek (ur. 11/VII 1894) urodziło się 3 dzieci: córka Iza-bela 5/IV 1914, syn Jan 3/I 1917 i córka Elżbieta 15/IX 1933 r.

W okresie lat 1917-1939, mieszkając w Strzegonicach pod Pilznem, które było wówczas miastem powiatowym, pełniłem stale różne funkcje społeczne, jako stały członek Rady powiatowej, a w pewnych okresach jej przewodniczący, jako prezes powiatowe-go Towarzystwa Rolniczego, prezes powiatowej Kasy Chorych, komisarz miasta Pilzna i inne. Do żadnego stronnictwa politycznego nigdy nie należałem, sympatyzowałem ze stronnictwem ludowym Wincentego Witosa.

¹ Przepisany z oryginału w aktach osobowych Czesława Łopuskiego



Nadleśniczy Czesław Łopuski w latach 20. ubiegłego wieku

W czasie okupacji niemieckiej 1939-1945 przebywałem w majątku Strzegocice. W okresie tym wspomagałem czynnie walkę podziemną z okupantem, choć formalnie członkiem A.K. nie byłem, a były niemi tylko moje dzieci (Izabela i Jan – przyp. redakcji).

W wojsku polskim regularnej służby nie pełniłem, byłem już poza granicą wieku poborowego. Jedynie w r. 1918 po odrodzeniu się Państwa Polskiego zaciągnąłem się jako ochotnik do 9-go pułku ułanów i pełniłem jakiś czas służbę w randze kaprała.

W styczniu 1945 r. wobec upaństwowienia większych majątków ziemskich, oddałem w imieniu mojej żony plany i akta zarządu leśnego państwowym władzom leśnym. Sam zamieszkałem przez 2 miesiące w mieście Pilźnie, a w kwietniu 1945 r. zgłosiłem się do pracy w Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Gdańskiego w Sopocie. W czasie 1/IV-1/VII 1945 r. pełniłem obowiązki leśniczego Leśnictwa Lisiny, Nadleśnictwo Sarnia Góra, w czasie 1/VII-1/IX 1945 r. obowiązki leśniczego Leśnictwa Gródek, Nadleśnictwo Osie. Od 1/IX 1945 r. Dyrekcja mianowała mnie nadleśniczym Nadleśnictwa Przewodnik i pełniłem te obowiązki do 1/I 1951 r. W czasie od 1/I 1951 do 1/IV 1951 r. byłem kierownikiem Sekcji planowania w Rejonie Lasów Państwowych w Osiu. Zwolniony z tego stanowiska dekretem Okręgu Lasów Państwowych w Toruniu zostałem od dn. 1/V 1951 r. mianowany nadleśniczym Nadleśnictwa Szubin i na tym stanowisku pozostaję do dnia dzisiejszego (20/XI 1954 r. – przyp. redakcji).

Jestem fachowym leśnikiem z wyższym wykształceniem, bezpartyjnym, członkiem Związku Zawodowego Pracowników Leśnych i w zakresie czynności moich przyczyniłem się do podniesienia stanu lasów polskich i rozwoju gospodarczego. (dopisane po kropce – przyp. redakcji) Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

*Czesław Łopuski
Szubin, 20/XI 1954 r.*

DALSZY PRZEBIEG PRACY ZAWODOWEJ CZESŁAWA ŁOPUSKIEGO

sporządzony m.in. na podstawie akt osobowych:

- 07.05.1951 – 30.09.1955 – nadleśniczy (kontraktowy) Nadleśnictwa Szubin
- 01.10.1955 – 30.04.1956 – referent Ochrony Lasu w Rejonie Lasów Państwowych w Szubinie
- 01.05.1956 – 01.04.1958 – referendarz techniczno-leśny w Rejonie Lasów Państwowych w Kartuzach (z siedzibą w Gdańsku)
- 02.04.1958 – 02.11.1967 – emerytura i praca dozorczy poza jednostkami Lasów Państwowych

Czesław Łopuski od chwili objęcia gospodarstwa leśnego majątku Strzegocice w 1913 roku do kresu życia w 1967 roku był zaangażowanym leśnikiem i wnikliwym obserwatorem lasu. Wyniki swoich doświadczeń i przemyślenia publikował w fachowych czasopismach, m.in. w „Sylwaniu” w latach 1938-1939 ukazały się jego artykuły na temat „urządzenia lasu ciągłego”. Co ciekawe, autor wykazywał, opierając się na doświadczeniach zagranicznych i własnych, że gospodarka lasu ciągłego (przerębowego) jest możliwa również w drzewostanach sosnowych, co na owe czasy było dość awangardowym punktem widzenia. Miał spory prywatny księgozbiór

związany z leśnictwem europejskim. Oprócz publikacji autorów polskich, takich jak: Sokołowski, Biehler, Jedliński, Miklaszewski, sprowadzał książki i czasopisma zagraniczne, głównie z Niemiec, Francji i Szwajcarii. Zwłaszcza lasy szwajcarskie były dla niego inspirujące. W tamtym czasie, w środowisku zawodowym leśników pracujących w terenach górskich i podgórskich, gdzie w drzewostanach rosły takie gatunki jak jodła, buk, świerk, publikacje opisujące doświadczenia z lasów szwajcarskich były ważnym punktem odniesienia. Na bieżąco śledził czasopisma leśne ukazujące się w języku francuskim i niemieckim, gdyż tymi językami posługiwał się biegle.

Po II wojnie światowej, gdy mieszkał już w Gdańsku, opublikował przynajmniej jeden artykuł w „Sylwaniu” na temat „Teoria ekologicznego wypełnienia przestrzeni i równania drzewostanu” w 1963 roku, a więc kiedy miał już 81 lat.

Czesław Łopuski zmarł w wieku 85 lat – 2 listopada 1967 roku w Gdańsku-Oliwie i tam został pochowany. (Red.)

OJCIEC KOCHAŁ LAS

Rozmowa z **prof. dr. hab. Janem Łopuskim**, wybitnym znawcą prawa morskiego, synem nadleśniczego Czesław Łopuskiego

Przez kilkanaście lat po wojnie Pański ojciec, nadleśniczy Czesław Łopuski, pracował w nadleśnictwach państwowych Przewodnik i Szubin. Jak trafił do leśnictwa?

Dzieciństwo i młodość spędził Ojciec w Warszawie, gdzie już od kilku pokoleń zamieszkiwała rodzina Łopuskich. Ojciec w młodości miał poglądy lewicowe. Jako student trzeciego roku Wydziału Fizyko-Matematycznego Uniwersytetu Warszawskiego brał udział w Rewolucji 1905 roku. Domagał się polskości uczelni, za co został relegowany z uniwersytetu przez władze carskie. Mówił potem żartem, że kto w młodości nie był lewicowy, ten nie ma serca, a kto na starość jest lewicowy, ten nie ma rozumu (*śmieje się Profesor*).

Po usunięciu Czesława z Uniwersytetu jego ojciec (czyli mój dziadek Jan), któremu się dobrze powodziło, bo był inżynierem od kotłów parowych i nadzorował parostatki na Wołdze w carskiej Rosji, zafundował mu studia w Paryżu. I tak Czesław Łopuski odbył studia na Sorbonie, gdzie skończył geologię oraz dwa lata biologii.

W 1913 roku Czesław Łopuski ożenił się z Marią Odrowąż-Pieniążek i przeniósł się z Warszawy do Strzegocic, blisko Pilzna w powiecie Dębica, gdzie jego żona miała majątek rolny (ok. 320 ha) z kompleksem leśnym o powierzchni 530 ha. W majątku były ponadto cegielnia i gorzelnia, uprawiano zboża, warzywa i hodowano zwierzęta gospodarskie. Ojciec mojej Matki, Ignacy Odrowąż-Pieniążek, był uczestnikiem Powstania Styczniowego 1863 roku, po upadku którego wyemigrował do Berlina. Ożenił się z Wilhelminą Schulz, Austriaczką, związaną, podobnie jak mój dziadek, z rodziną Raczyńskich w Zawadzie pod Dębicą. Moja babka zmarła przy

porodzie jedynej córki Marii. Po sześciu latach zmarł też Ignacy, wobec czego moja Matka już jako małe dziecko została sierotą. Wychowali ją stryjowie. Odziedziczyła jednak majątek, w którym było owe 530 ha lasów. Ojciec majątkiem rolnym się mniej interesował. Jego prawdziwą pasją był las.

W majątku Strzegocice pracowali leśnicy?

Ojciec zatrudnił leśniczego o nazwisku Musiał, który mieszkał w leśniczówce w Jaworzu. Najpierw była to stara chata, później ojciec wybudował nową, murowaną osadę. Przy leśniczówce były zabudowania gospodarcze oraz deputat rolny. Żona leśniczego zajmowała się gospodarstwem, w którym było bydło, trzoda chlewna i różnego gatunku drób. Ojca łączyły bardzo przyjazne stosunki ze służbą leśną czyli leśniczym i gajowymi. I była to sympatia wzajemna.

Leśniczy miał do pomocy w lesie dwóch gajowych. To byli dobrzy pracownicy i znali się na pracy. Leśniczy posiadał wykształcenie leśne, dużą wiedzę i doświadczenie. Ojciec darzył go pełnym zaufaniem. Pamiętam, że ten sam leśniczy i gajowi pracowali u Ojca nieprzerwanie przez cały okres międzywojenny. Leśniczy w każdy poniedziałek rano stawiał się u Ojca i zdawał relację z minionego tygodnia, po czym wspólnie planowali prace na bieżący tydzień. Była to swoista odprawa.

Lasy majątku Strzegocice były zlokalizowane po prawej stronie Wisłoki, a po lewej był majątek rolny i dwór, w którym zamieszkiwaliśmy. Ojciec często wizytował las osobiście. Jeździł konno wierzchem. Pamiętam, że leśniczy i gajowi posiadali jednolite umundurowanie, które nosili zarówno podczas pracy w lesie, jak i na organizowanych czasem polowaniach.

Jakie pożytki były z lasu w Strzegocicach?

Z lasu pozyskiwano przede wszystkim drewno kopalniakowe. Przy wyrębie pracowała grupa drwali oraz wozaków. Drewno było ładowane na furmanki i wywożone na odległą o 15 km stację kolejową w Dębicy. Właścicielami firm, które zajmowały się pośrednictwem w sprzedaży drewna do kopalni na Śląsku, byli Żydzi. Oni zdecydowanie zdominowali w tamtym czasie handel, zarówno mały, lokalny jak i ten większych rozmiarów. Ta sama firma handlowa pośredniczyła również w zakupie węgla i miazgi, który był potrzebny do cegielni w majątku w Strzegocicach.

Las, który prowadził Ojciec przynosił zyski. Zdarzało się okresowo, że to majątek rolny, obciążony nadmiernie podatkami, dawał deficyt i wtedy dochód z lasu był pewnym wsparciem dla całego gospodarstwa. Ojciec miał dokładnie zaplanowane, na jakie zyski z lasu w kolejnych latach może liczyć.

W niektórych fragmentach lasu wykonywane były zręby zupełne. Wówczas taką powierzchnię wizytowali inspektorzy leśni z powiatowej inspekcji leśnej, która mieściła się w Dębicy. Dokonywali pomiarów, doglądali prac zrębowych i odnowienia lasu. Zrębów zupełnych było jednak niewiele, a tuż przed wojną cały ten las był

prowadzony według tzw. modelu lasu ciągłego (przerębowego). Ojciec był wielkim zwolennikiem takiego sposobu zagospodarowania. Nawet opublikował kilka większych artykułów na ten temat w „Sylwaniu” w 1938 i 1939 roku (wykaz odnalezionych publikacji Czesława Łopuskiego zamieszczony jest na s. 252 - red.)

W lesie przerębowym drzewa do wycinki były znakowane. W pierwszej kolejności zawsze były to egzemplarze gorszej jakości. Ojciec dążył do stopniowej poprawy jakości drzewostanów i to mu bardzo dobrze wychodziło. Oprócz drewna wielkometryowego robotnicy leśni wyrabiali drewno opałowe, ustawiali je w sągi, które później były sprzedawane, przede wszystkim miejscowej ludności.

Czy Pański ojciec zajmował się też gospodarką łowiecką?

Ojciec był myśliwym, można powiedzieć „umiarkowanym”. Uczestniczył w polowaniach, ale nie były one jego pasją. W lesie mieliśmy sarny i dość dużo jarzabków; dziki tylko przechodnie, natomiast zupełnie nie było jeleni. Na okolicznych polach spotykało się zające i bardzo licznie kuropatwy. Muszę przyznać, że od najmłodszych lat łowiectwo było moją pasją. W czasie wakacji studenckich, we wrześniu przyjeżdżałem do Strzegocin i dużo polowałem. Oko miałem wyrobione. Na przykład, w ostatnim sezonie łowieckim przed wojną 1938/1939 brałem udział w trzech dużych polowaniach i na wszystkich trzech byłem królem. W tamtym czasie bardzo rygorystycznie przestrzegane były okresy ochronne dla zwierząt łownych, etyczne zasady polowania i cały rytuał myśliwski.

Chociaż na polowaniach zbiorowych odnosiłem sukcesy to najbardziej lubiłem polowania indywidualne, tylko w towarzystwie własnego, dobrze ułożonego psa. Nie trofea jednak były dla mnie najważniejsze, ale sama możliwość przebywania w łowisku i obcowania z przyrodą.

Jak na losy rodziny Łopuskich wpłynął wybuch II wojny światowej?

Rodzice zdecydowali się na ewakuację. Spakowali najbardziej potrzebne rzeczy i ruszyli na wschód, na Zamojszczyznę, konkretnie do młodszego brata Ojca, Bohdana, który pracował w Ordynacji Zamojskiej i nadzorował gospodarkę rybacką prowadzoną w stawach. Mieszkał w Momotach. Był później członkiem Armii Krajowej w regionie, gdzie aktywność partyzancka była bardzo duża. Po wkroczeniu Armii Czerwonej został aresztowany i zesłany do łagru. Wrócił do Polski w 1948 roku.

Ojciec miał dwóch młodszych braci. Starszy, z nich, Jan Łopuski (to częste imię w naszym rodzie), ukończył leśnictwo na Politechnice Lwowskiej. Później był nadleśniczym w lasach prywatnych w różnych miejscach, głównie na Kresach. Tuż przed wojną, bodaj w majątku Radziwiłłów w Polsce północno-wschodniej. Później, w czasie wojny zarządzał lasami majątku Załuskich w Iwoniczu Zdroju. Po wojnie podjął pracę na Wydziale Leśnym w Poznaniu, gdzie uzyskał doktorat. W końcu przeniósł się do Kazimierza, gdzie był nauczycielem w szkole.

A wracając do początków wojny, po niedługim czasie, bo jeszcze we wrześniu 1939 roku, rodzice zdecydowali się wrócić do majątku w Strzegonicach. Zaczęła się... względnie „spokojna” okupacja. Niemcy stworzyli własną administrację. Połączyli trzy lokalne powiaty w jeden Kreis Dębica. W tym niemieckim starostwie był specjalista do spraw majątków. Jeśli majątek był dobrze zarządzany przez polskich właścicieli, wywiązywał się terminowo z obowiązkowych dostaw (kontyngentu), Niemcy nie ingerowali w jego funkcjonowanie. Jeśli popadał w długi, usuwali na bok polskiego zarządcę i posyłali własnego (Treuhaendera). Majątek Strzegocice był zarządzany bardzo dobrze i Niemcy nie ruszali Ojca. On z kolei nie lubił kontaktów z administracją okupacyjną i tę rolę ja pełniłem, wówczas już będąc absolwentem prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W pierwszym roku okupacji, na skutek donosu, leśniczy Musiał został aresztowany przez gestapo i osadzony w areszcie w Rzeszowie. Ojciec pojechał po niego i przekonał Niemców, że leśniczy jest niezbędny do prowadzenia gospodarstwa leśnego. Niemcy bezzwłocznie zwolnili Musiała i ten wrócił do pracy w lesie. Długo po wojnie, aż do swojej śmierci, pisywał do mnie, gdy już mieszkałem na Wybrzeżu.

Czy w okolicach Strzegocic działała polska partyzantka?

W Gumniskach pod Dębicą miał swoją siedzibę konspiracyjny obwód Armii Krajowej o kryptonimie „Deser”. Już od wiosny 1940 roku byłem członkiem ZWZ-AK. Działalność konspiracyjna koncentrowała się na szkoleniach (podchorążówka), później również na odbieraniu zrzutów z bronią i innym sprzętem dla polskiego podziemia oraz na wywiadzie. Większe akcje zbrojne przeciwko okupantowi miały miejsce dopiero w 1944 roku. Wiosną tego roku w lesie zarządzanym przez mojego Ojca stacjonowała ponad 20-osobowa grupa partyzancka. Jej możliwości działania były jednak bardzo ograniczone niewielką powierzchnią kompleksu leśnego. Później oddział ten przemieścił się w kierunku wschodnim, gdzie było więcej lasów i lepsze warunki dla działalności zbrojnego podziemia.

Dotknęły Waszą rodzinę prześladowania ze strony okupantów?

W czasie wojny, we wrześniu 1943 roku miało miejsce wydarzenie, które bardzo ciężko przeżyli moi rodzice. Otóż, razem z moimi towarzyszami z Armii Krajowej przewoziliśmy wozem konnym z majątku Strzegocice broń i radia przeznaczone na akcję przyjmowania zrzutów. W jednej z wiosek (Niedźwiada) zatrzymał nas patrol niemiecko-polski (granatowa policja), doszło do wymiany ognia, w wyniku której policjanci zostali ranni, a myśmy zdążyli uciec. Niestety, w wymianie ognia, koń został postrzelony i trzeba było go dobić, a wóz ukryć w lesie. Nocą ludzie z organizacji przejęli i ukryli broń i starali się zatrzeć ślady. Nie do końca się to udało. Niemcy znaleźli wóz i martwego konia. Próbowali zidentyfikować właściciela. Sytuacja była groźna dla całej naszej rodziny. Znany był wówczas w okolicy

przypadek rozstrzelania właścicieli innego polskiego majątku, w odwecie za pomoc i współpracę z partyzantką. Do dzisiaj nie wiem, czemu śledztwo nie wykryło sprawców, mimo poszlak prowadzących do dworu w Strzegocicach.

W czasie wojny szczęśliwie nikt z naszej rodziny nie zginął. Latem 1944 roku moją starszą siostrę Izabelę (rocznik 1914) aresztowało gestapo po zarzucie współpracy z Armią Krajową, co rzeczywiście miało miejsce. Trafiła do aresztu w Tarnowie, a stamtąd do więzienia na Montelupich w Krakowie. Groziła jej kara śmierci. Ostatecznie, gdy do Krakowa zbliżała się Armia Czerwona, Niemcy w styczniu 1945 roku ewakuowali więźniów na zachód. Izabela z grupą innych kobiet miała trafić do Ravensbruck. Po drodze zdołała zbiec z transportu i tak prawdopodobnie uniknęła śmierci.

Ja natomiast, byłem aresztowany w grudniu 1944 roku przez kontrwywiad sowiecki (Smiersz – ros. Smiert Szpionam, przyp. red.) w Rzeszowie. Przeszedłem bardzo intensywne śledztwo i zimą 1944/45 zostałem wywieziony z grupą żołnierzy polskiego podziemia do łagru w Stalinogorsku. We wrześniu 1945 roku w pierwszej grupie 1330 więźniów zwalnianych ze Stalinogorska, mocno wycieńczony, ale żywy, wróciłem transportem kolejowym do Warszawy. W drodze powrotnej poznałem swoją późniejszą żonę Katarzynę, która przebywała w tym samym łagrze.

Patrząc z perspektywy czasu, mogę być zadowolony, że aresztowali mnie Rosjanie, a nie UB-owcy. Wszystko mogło się dla mnie znacznie gorzej skończyć. Po powrocie z łagru do Polski postanowiłem przedostać się na Zachód. Przez zieloną granicę dotarłem do II Korpusu Generała Andersa we Włoszech, a stamtąd trafiłem do Wielkiej Brytanii. Ostatecznie jednak, podjąłem trudną decyzję o ujawnieniu się, skorzystaniu z tzw. amnestii i powróciłem do kraju.

Jak Pan trafił ze Strzegocic do Rzeszowa, a później do łagru w Stalinogorsku?

Jeszcze pod okupacją, w sierpniu 1944 roku, niemiecki naczelnik (niem. Kreislandwirt) w Dębicy wezwał moją matkę do siebie i pytał o mnie. Gdy matka powiedziała, że wyjechałem do Warszawy, bez ogródek stwierdził, że jestem polskim bandytą. Było to potwierdzenie, że Niemcy posiadali informację o moich związkach z Armią Krajową i co najmniej podejrzewali, że brałem udział w zbrojnej potyczce z policją w Niedźwiadzie.

Ja tymczasem, wczesnym latem 1944 roku otrzymałem nowe funkcje i zadania w organizacji. Jako osoba podejrzewana przez Niemców o współpracę z podziemiem zmieniłem nazwisko i przeniósłem się do Rzeszowa, gdzie służyłem w Inspektoracie Rejonowym AK.

W efekcie Niemcy odebrali rodzicom zarząd majątku. Wysłali swojego zarządcę, a rodzice z najmłodszą 10-letnią córką Elżbietą przeprowadzili się do leśniczówki, gdzie mieszkał leśniczy Musiał z rodziną. Starsza siostra Izabela, wtedy jeszcze

przed aresztowaniem, pozostała w jednym pokoju we dworze, aby doglądać rodzinnej własności. Utrzymywała równocześnie kontakty z grupą partyzancką AK stacjonującą w kompleksie leśnym w Jaworzu. W grupie tej było kilku mieszkańców z okolicznych miejscowości, byli też partyzanci, którzy przybyli z Kresów zajętych już wtedy przez Armię Czerwoną.

Dowódcą niemieckiego oddziału do zwalczania partyzantki był Austriak, podpułkownik Graaf, który był przyjaźnie nastawiony do Polaków i, jak się wydaje, unikał konfrontacji zbrojnej z oddziałem partyzanckim, chociaż niewątpliwie miał dużą przewagę w ludziach i uzbrojeniu. Z czasem jego przełożeni zorientowali się w tej grze Graafa i nieformalnym „układzie” i przenieśli go w inne miejsce.

Jak wyglądało „wyzwolenie” Strzegocic przez Armię Czerwoną i przejście majątku?

Gdy w majątku Strzegocice pojawiła się Armia Czerwona, na miejscu byli tylko moi rodzice. Usunięci wcześniej z dworu przez Niemców, zamieszkiwali najpierw w leśniczówce Musiała, później – na zaproszenie księdza proboszcza – w plebani w Pilźnie. Moja siostra była już w więzieniu niemieckim na Montelupich w Krakowie, a ja w więzieniu NKWD w Rzeszowie i wkrótce potem w sowieckim łagrze w Stalinogorsku.

Ojciec postanowił jednak uczestniczyć w formalnym przekazaniu majątku nowym władzom, dlatego wrócił do dworu i tam nawet sypiał. Długo nikt się nie pojawił, chociaż w terenie działała już jakaś utworzona przez nowe władze komisja przejmująca dobra na rzecz ludowego państwa. Pewnej nocy Ojca obudził sowiecki major z pistoletem w ręku. Usłyszał tylko polecenie „Zabieraj się i wychodź!” Zanim jednak Ojciec opuścił dom oficer zabrał mu jeszcze zegarek. Ojciec ubrał się i tak jak stał, z niczym, wyszedł w ciemną noc i poszedł na plebanię w Pilźnie. I tak odbyło się wywłaszczenie. Rodzice nigdy później do Strzegocic nie wrócili, ani nie dodzili odszkodowań.

Jako rodzina opuściliśmy dwór w dramatycznych okolicznościach i bez niczego. Wszystko zostało rozgrabione. Najbardziej było mi żal bogatego księgozbioru, nie tylko Ojca, bo również ja miałem sporo wartościowych książek. Ponadto, zostały tam różne nasze dokumenty, fotografie i pamiątki rodzinne. Gdy wróciłem do Polski z łagru w końcu 1945 roku, do Strzegocic nie było już po co jeździć. Później znalazłem się we Włoszech i w Anglii. Powrót po amnestii do kraju, owołanego już przez komunistów, przekreślił szanse na odzyskanie czegokolwiek w Strzegocicach.

Obecnie nasza rodzina podjęła starania, aby odzyskać choćby to, co wówczas przejęto niezgodnie nawet z komunistycznym dekretem wywłaszczeniowym, na przykład dwór z parkiem i cegielnię. Ale to droga trudna i czasochłonna. Są wielkie opory, chociaż ostatnio pojawiła się pewna szansa.

Jak Pański ojciec trafił do leśnictwa państwowego w 1945 roku?

Naszym sąsiadem w Strzegonicach, jeszcze przed wojną, był inżynier Karol Garbaczyński. Nieopodal naszego lasu miał dom z niewielkim kompleksem leśnym. Był wykształconym leśnikiem, ukończył przed wojną leśnictwo na Politechnice Lwowskiej. Co jakiś czas odwiedzał mojego Ojca i wtedy długo debatowali o gospodarce leśnej i wszelkich nowinkach w leśnictwie.

Karol Garbaczyński pracował przed wojną na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Był nawet zastępca dyrektora...

Tak, to możliwe. Prawdopodobnie podczas urlopów, gdy bywał w swoim majątku koło Strzegonic, odwiedzał nasz dom. W każdym razie, tuż po wojnie, to on pomógł Ojcu znaleźć pracę. Garbaczyński pracował już wtedy na terenie nowoutworzonej dyrekcji gdańskiej Lasów Państwowych i ściągnął Ojca w Bory Tucholskie. Ojciec, prawdę powiedziawszy, nie miał specjalnie wyboru, został pozbawiony wszelkiej własności, dlatego z zadowoleniem przyjął tę propozycję. Po krótkim stażu na terenie Nadleśnictwa Osie, został nadleśniczym w Nadleśnictwie Przewodnik. Tam odwiedziłem rodziców w końcu 1945 roku, gdy wróciłem z łagru w Stalinogorsku. Z Krakowa pociągiem dojechałem do Smętowa, później szedłem kilka kilometrów przez las, podwiózł mnie też jakiś miejscowy rolnik. Byłem mocno obszarpany i wyglądałem dość marnie. Rodzice na mój widok się jednak ucieszyli, bo długo nic o mnie nie słyszeli poza tym, że jestem na zesłaniu w ZSRR. Ja tymczasem oświadczyłem im, że... uciekam z Polski na Zachód.

I zrobił Pan tak?

Owszem, przez zieloną granicę trafiłem do Polskich Sił Zbrojnych we Włoszech, później do Wielkiej Brytanii. Ostatecznie jednak zdecydowałem się ujawnić, skorzystać z tzw. amnestii i wrócić do kraju. Z Anglii przyjechałem w sierpniu 1947 r., a moich znajomych z IV Zarządu WiN Urząd Bezpieczeństwa aresztował w końcu tegoż roku. Siedmiu z nich, po okrutnym śledztwie i sfińgowanym procesie sądowym, zamordowano w więzieniu mokotowskim na Rakowieckiej w Warszawie, 1 marca 1951 roku, w tym podpułkownika Łukasza Ciepłińskiego i Karola Chmiela z obwodu dębickiego AK, których znałem jeszcze z okresu okupacji.

Ojciec w 1946 roku był kilkakrotnie zatrzymywany przez UB, a to z mojego powodu. Zabierali go z Przewodnika i przetrzymywali w areszcie. Wypytywali głównie o mnie. Ojciec jednak konsekwentnie odpowiadał, że nic nie wie poza tym, że w czasie wojny działałem w Armii Krajowej, co zresztą było zgodne z prawdą i o czym funkcjonariusze dobrze wiedzieli.

Natknąłem się w internecie na wspomnienie Gizeli Osińskiej-Lis, która w latach 50. XX wieku wraz ze swoimi rodzicami mieszkała w Przewodniku.

Jej ojciec Czesław Osiński był zatrudniony w nadleśnictwie właśnie przez nadleśniczego Łopuskiego. Ze wspomnienia wynika, że rodziny te były ze sobą zaprzyjaźnione.

*Pisze Osińska-Lis, że **gdy przyjechaliśmy do Przewodnika w okolicznych lasach byli jeszcze partyzanci. Pamiętam, gdy kiedyś Ojciec przenocował dużą grupę partyzancką w dużym pokoju od ulicy. Było to wydarzenie utrzymywane w ścisłej tajemnicy.***

Wspomina też, że latem 1951 roku jedna z mieszkańek Przewodnika, Józefa Kotlarz, została ukąszona przez żmiję. Wówczas nadleśniczy Łopuski, aby ratować jej życie, wypalił ranę gorącym żelazem, dzięki czemu młoda kobieta przeżyła. Z innych dramatycznych wydarzeń pamięta ogromny pożar lasu, który miał miejsce 14 lipca 1954 roku.

Tyle wspomnień Gizeli Osińskiej-Lis. Wracając do Pańskiego ojca, był on nadleśniczym najpierw w Przewodniku, później w Szubinie...

Tak, kilkakrotnie odwiedzałem rodziców, jednak najpierw pobyt na Zachodzie, później praca zawodowa i narodziny dzieci mocno ograniczały podróże. Mojej rodzinie bardziej utrwaliły się wizyty w Smolnikach, gdy Ojciec był nadleśniczym Nadleśnictwa Szubin, a Matka zajmowała się gospodarstwem domowym. Wiedli tam pionierskie życie. Dopiero w 1956 roku, gdy Ojciec miał 74 lata rodzice przenieśli się do Trójmiasta.

Ojciec zakończył pracę zawodową w 1958 roku, mając 76 lat. Mieszkał już wtedy w Oliwie. Czym zajmował się na tak późnej emeryturze?

Podjął pracę dozorczy w dużym przedsiębiorstwie w Gdyni. Mówił, że nie może beczynnie siedzieć w domu. Poza tym, nadal interesował się leśnictwem, utrzymywał kontakty zawodowe. Pisał artykuły, m.in. w 1963 roku zamieścił w „Sylwaniu” (nr 5/1963 – przyp. red.) swoje opracowanie pt. „Teoria ekologicznego wypełnienia przestrzeni i równanie drzewostanu”. Pracował do ostatniego dnia życia. Zmarł w wieku 85 lat, 2 listopada 1967 roku rano, gdy wybierał się do pracy.

Jak podsumowałyby Pan zawodowe życie ojca?

Bardzo krótko: Ojciec kochał las, bardzo emocjonalnie podchodził do pracy zawodowej w lesie. Zmiany powojenne, mimo że utracili wraz z żoną cały majątek, akceptował bez żadnego buntu. Chociaż nie pogodził się ze stylem prowadzenia polityki przez komunistów i z grabieżą, jakiej dokonali na cudzej własności. W głębi serca był prawdziwym lewicowcem. W nowej sytuacji powojennej dopatrywał się szans na większą sprawiedliwość społeczną. Rodzice nie spodziewali się, że w sposób brutalny zostaną pozbawieni dorobku kilku pokoleń, okradzeni i wyrzuceni ze swej własności bez niczego. Z tym się na pewno nie pogodzili. Natomiast Ojciec ucieszył się bardzo, gdy zaproponowano mu pracę w Lasach Państwowych.

Żył razem z żoną w bardzo trudnych warunkach materialnych. Zachował jednak duże poczucie humoru i całkowitą duchową niezależność od systemu komunistycznego. Nigdy z ust naszych rodziców nie słyszeliśmy słowa skargi, czy narzekań. Zachowali godność i spokój do ostatnich dni swojego życia.

Dziękuję za rozmowę i przypomnienie sylwetki nadleśniczego Czesława Łopuskiego.

Rozmawiał: **Tadeusz Chrzanowski**

Gdynia, 27 marca 2014 roku

PS Profesor Jan Łopuski zmarł 10 września 2019 roku w Gdyni i został pochowany na cmentarzu w Gdańsku-Oliwie.

Odnalezione publikacje nadleśniczego Czesława Łopuskiego:

1. Urządzenie lasu ciągłego, Sylwan nr 7-10/1938, ss. 3-20, Lwów 1938.
 2. Gospodarka lasu ciągłego z zastosowaniem metody kontroli w drzewostanach jodłowych czystych i mieszanych, w: Sylwan, nr 11-12/1938, ss.2-28, Lwów 1938.
 3. Gospodarka lasu ciągłego w drzewostanach sosnowych, w: Sylwan, nr 1/1939, ss. 1-20, Lwów 1939.
 4. Teoria ekologicznego wypełnienia przestrzeni i „równanie drzewostanu”, w: Sylwan, nr 5/1963, s. 85-91, Warszawa 1963.
- W „Sylwanie” nr 2/1968 roku Waław Ostrowski opublikował wspomnienie pośmiertne o Czesławie Łopuskim.

NIESŁYCHANIE DZIELNI LUDZIE

Wnuczka nadleśniczego Czesława Łopuskiego – Małgorzata Latałowa z domu Łopuska (córka Jana) poszła w ślady dziadka. Ukończyła na Uniwersytecie Jagiellońskim biologię ze specjalnością botanika, od wielu lat jest profesorem na Uniwersytecie Gdańskim, gdzie między innymi zajmuje się badaniami nad przeszłością lasów. Spotkania z dziadkiem we wczesnym dzieciństwie i spacer w lesie w Smolnikach, gdzie dziadek był nadleśniczym Nadleśnictwa Szubin w latach 1951-1955, a także późniejszy z nim kontakt, miały duży wpływ na rozwój zainteresowań przyrodniczych, a później wybór kierunku studiów i pracy zawodowej. (Red.)

Prof. dr hab. Małgorzata Latałowa wspomina:

Moje najwcześniejsze, wyraźne wspomnienie Dziadka Czesława pochodzi z 1954 lub 1955 roku, kiedy wraz z siostrą spędziłyśmy u Dziadków kawałek lata. Dziadek był wtedy nadleśniczym w Szubinie i mieszkał w osadzie leśnej Smolniki, położonej w lesie, z dala od innych zabudowań. Miałam wtedy pięć lat i pamiętam ten pobyt jako niezwykle przeżycie. Przy leśniczówce było małe gospodarstwo

z krową, świnkami i przynajmniej jednym baranem, który zrobił na mnie specjalne wrażenie. Były też indyki, kury i perliczki oraz ogród z warzywami i kwiatami. Indyżki przeraźliwym krzykiem sygnalizowały całemu gospodarstwu zbliżanie się jastrzębia. Wodę ciągnęło się ze studni. Pamiętam spacer z Dziadkiem po lesie, kiedy pokazywał mi różne rośliny i owady, które oglądaliśmy posługując się kieszonkową lupką w skórzanym pokrowcu. Ta lupka jest dziś wśród moich pamiątek. Później, kiedy byłam w szkole podstawowej, dostawałam od niego regularnie czasopisma „Ziemia” i „Mówią Wieki”. Mogę powiedzieć, że zaszczepił we mnie zainteresowania przyrodnicze, archeologiczne i historyczne, co na pewno wywarło wpływ na mój wybór kierunku studiów. Dzisiaj, kiedy w swojej pracy poruszam się na polu różnych dyscyplin naukowych, łącząc botanikę i ekologię z geologią oraz ściśle współpracując z archeologami i historykami, a jednym z wiodących dla mnie problemów badawczych jest rekonstrukcja historii zbiorowisk leśnych w różnych skalach przestrzeni i czasu, myślę, że mój Dziadek Czesław byłby żywo zainteresowany tymi zagadnieniami.

Obydwoje Dziadkowie Łopuscy byli niesłychanie dzielnymi ludźmi. Przed wojną mieli we dworze wszelkie wygodę i dostatnie życie, których po wojnie zostali całkowicie pozbawieni. Z dobrze prosperującego (dzięki ich ciężkiej pracy) majątku w Strzegomicach zostali rzućeni w warunki pionierskie, w środek lasu bez żadnych udogodnień. Nie byli już najmłodszy. W 1945 roku Dziadek Czesław miał 63 lata, a Babcia Maria ponad 50.

W osadach leśnych w Przewodniku, a potem w Smolnikach, nie było elektryczności, po wodę chodziło się z wiadrem do studni, daleko było do sklepu, do komunikacji, do wszelkiej cywilizacji. Aby żyć, utrzymać siebie i najmłodszą córkę, organizowali przydomowe gospodarstwo z bydłem, trzodą, drobiem i ogrodem i sami przy tym dobytek pracowali. Przed wojną i w czasie jej trwania, ich praca miała inny charakter. Zarządzając z powodzeniem sporym majątkiem, organizowali pracę wielu ludzi, o wszystko i o wszystkich troszcząc się z wielką odpowiedzialnością. Po wojnie, Babcia pracowała wręcz jak gospodyni wiejska z urodzenia, chociaż wywodziła się z ziemiaństwa. Obydwoje z Dziadkiem funkcjonowali w tej leśnej głuszy całkiem dobrze, bez narzekania, często z poczuciem humoru. Gdy Dziadek przeszedł na emeryturę, zamieszkał wraz z Babcią w Gdańsku-Oliwie, najpierw w sublokatorskim pokoju, później w małej kawalerce, na którą składały się niewielki pokój, „mikroskopijna” łazienka i wnęka kuchenna.

Dziadek Czesław zmarł w 1967 roku w wieku 85 lat, a Babcia Maria w 1985 roku w wieku 91 lat. Byli to nadzwyczajni, niesłychanie dzielni Ludzie.

Małgorzata Latałowa

Gdynia, 27 marca 2014 roku



Lech Babiński (1886-1967)

Nadleśniczy LECH BABIŃSKI

(1886-1967) i jego synowie



ój ojciec, Lech Babiński, urodził się we Włocławku w 1886 roku. Był synem farmaceuty, mój dziadek Antoni miał aptekę we Włocławku. Jego powinowatym był słynny neurolog Józef Babiński, który żył i pracował w Paryżu. Ojciec miał jeszcze czterech braci. Kończył Akademię Leśną w Tarandcie (Tharandt koło Drezna w Saksonii).

Był dwa lata młodszy od Adama Loreta, pierwszego dyrektora naczelnego Lasów Państwowych. Znali się ze studiów i chyba nawet w tym samym 1911 roku kończyli Akademię Leśną. Innym jego kolegą ze studiów był Albert Górski, późniejszy dyrektor Lasów Państwowych w Gorzowie.

Ojciec studiował jeszcze później w Petersburgu, a po ich ukończeniu pracował jakiś czas koło Odessy, budował szlaki kolejowe i mosty. Później przeszedł do pracy w leśnictwie, najpierw w dobrach Bużańsko-Olchowickich hr. Adama Potockiego i na terenie dzisiejszej Litwy w pobliżu Druskiennik, następnie został nadleśniczym koło Ostrołęki. W mojej rodzinie było kilku leśników, m.in. ze strony matki – Gałęcki i mój stryj Koczorowski.

Ojciec zawsze chciał wrócić w rodzinne strony, zrealizował to około 1920 roku, kiedy został nadleśniczym dużego nadleśnictwa w Kowalu, które później podzielono na mniejsze. Ożenił się w 1922 roku z Ireną z Koczorowskich i przeszedł do Jedwabnej. Ja urodziłem się w 1923 roku, mój brat Włodek w 1925 roku w Wydoniu. Gdy miałem iść do szkoły, ojciec przeniósł się do Łuby, został nadleśniczym Nadleśnictwa Włocławek. Zamieszkaliśmy w budynku w Łubie, który kiedyś był rezydencją barona Korfa. Dom był zniszczony, cały zagrzybiony. Ojciec zarządził kapitalny remont. W tej rezydencji zamieszkała cała nasza rodzina. Ojciec był tam nadleśniczym aż do wybuchu II wojny światowej w 1939 roku. Biuro nadleśnictwa było w drugim budynku, gdzie i dzisiaj jest siedziba Nadleśnictwa Włocławek.

U ojca pracowali leśnicy, których dobrze pamiętam: Felicjan Janicki, Ludwik Szymański, Senk, Władysław Honiek, Jan Erdman, Kudasiewicz, Jerzy Borawski, Wacław Błaut, czy Zbyszek Kasztel, który po wojnie był nadleśniczym, a później dyrektorem w zakładach przemysłu węglowego. Pracował też adiunkt Mieczysław Hodorowski, który był później dyrektorem Destylarni Żywicy w Garbatce. Nadleśniczymi w sąsiednich nadleśnictwach byli Stefan Trocki (Kowal) i Kazimierz Hartung (Koło).

Z ważniejszych wydarzeń okresu przedwojennego ojciec wspominał elektryfikację Łuby, którą przeprowadził we współpracy z naszym stryjem Czesławem,



Nadleśniczy Lech Babiński przy osadzie w Widoniu. Lata 20. XX w.



Irena Babińska – żona nadleśniczego
Lecha Babińskiego. Rok 1920



Lech Babiński z rodziną przed osadą Widoń. Rok 1928

kierownikiem Starej Elektrowni we Włocławku. Ojciec kierował dużą akcją zwalczania strzygoni choinówki w Nadleśnictwie Jedwabna, a później – w latach trzydziestych XX wieku – plagi barczatki i brudnicy mniszki metodą odymiania świecami, opylania z samolotów, lepowania pni oraz metod naturalnych, na przykład sprowadzając takie owady drapieżne jak tęcznik liszkarz.

WRZESIEŃ 1939

Na kilka dni przed wybuchem II wojny światowej, ojciec otrzymał polecenie stawienia się w Białowieży. Tam leśnicy mieli się zgrupować i utworzyć oddziały. Zdążyliśmy dojechać całą rodziną i z ekwipunkiem tylko do Nieborowa na Mazowszu, gdzie otoczyli nas Niemcy. Mieliśmy z nimi różne perypetie. Niemcy zabrali nasze konie, a w zamian dali dychawicznego ogiera, który choć okazały, to jednak poruszał się bardzo powoli. W tego ogiera wróciliśmy niebawem do Włocławka.

W listopadzie 1939 roku przyjechał do Włocławka Niemiec o nazwisku Fink obejmować nadleśnictwo w imieniu okupantów. Przyjechał do ojca i pytał, skąd zna tak dobrze niemiecki. Dogadali się, że mniej więcej w tym samym czasie kształcili się w Tharandcie. Jako kolega po fachu Oberforstmeister Fink doradził ojcu, by natychmiast, jeszcze tego samego dnia zabrał rodzinę i udał się do Warszawy, bo w nocy przyjdzie po niego gestapo. Niemcy mają w planie aresztowanie co najmniej części inteligencji we Włocławku. Zabraliśmy więc niezwłocznie najpotrzebniejsze



Przed osadą Łuba, rok 1937. Lech Babiński (siedzi w mundurze) i jego czterej bracia. Stoi leśniczy Władysław Honiek i dwaj synowie Lecha

rzeczy i przenieśliśmy się tymczasem do leśniczówki Falbanka, gdzie leśniczym był wychowanek naszego ojca, Stasiu Knop. Zamieszkaliśmy w Falbance. Ojciec był z nami jeszcze trzy dni, zanim, zagrożony aresztowaniem wyjechał do Warszawy. Mnie i mojego brata władze okupacyjne zamierzały skierować na roboty do Niemiec. Z miejsca zarejestrowaliśmy się jako robotnicy leśni i to tymczasem uchroniło nas przed wywózką. Jesienią i zimą zwoziliśmy koniem drewno z lasu, wiosną sadziliśmy las.

WYSIEDLENIE

Latem 1940 roku Niemcy wysiedlili całą naszą rodzinę – babcię, mamę i brata ze mną – z Włocławka do Generalnej Guberni. Znaleźliśmy ojca, który już wcześniej spotkał kolegę jeszcze ze studiów w Tharandcie – Kazimierza Marszyckiego, a ten pomógł mu znaleźć pracę w leśnictwie pod Warszawą. Marszycki był nadleśniczym w Nadleśnictwie Łochów (Pomiechówek). Nasz ojciec mieszkał najpierw w Rybieniu pod Wyszkowem, później przeniósł się do Nadliwia i tam nas ściągnął. Najpierw pracował w Leśnictwie Fidest u leśniczego Władysława Końskiego jako kwitkowy, wydawał drewno z lasu. Szybko jednak został nadleśniczym w lasach pomajątkowych z siedzibą w Łochowie-Budziskach. W wyniku działań wojennych powstały tam duże zniszczenia w lasach, trzeba było sporo wycinać i sadzić. Ja i brat znaleźliśmy zatrudnienie najpierw w tartaku w Budziskach, którym zawiadywał Austriak Weinert, a za pół roku ja dostałem się do nadleśnictwa na stanowisko praktykanta leśnego.

NA ROBOTY DO NIEMIEC

Pracowaliśmy w Łochowie do września 1943 roku, to jest do chwili aresztowania i wywózki na roboty do Niemiec. Brata wieźli innym transportem. Jemu udało się uciec z pociągu, ja trafiłem do obozu pracy w Stargardzie (Szczecińskim). Mielni mnie przewieźć do zakładów przemysłowych w Politz (Policach), jednak w tym czasie Police zbombardowali alianci i nie było po co tam jechać. Zawieźli nas do Szczecina i jak po niewolników przychodzili po nas miejscowi Niemcy potrzebujący robotników do prac w gospodarstwie. Trafiłem na kilka miesięcy do firmy węglowej Brandenburg und Niedermayer w Szczecinie, do rozładunku, pakowania i rozwózki węgla. Dowiedziałem się z czasem, że obok jest nadleśnictwo, w którym potrzebują ludzi do pracy. Przy pomocy jednego z kolegów napisałem list do regionalnego dyrektora leśnego w Szczecinie – nazywał się Kamlach – z prośbą o skierowanie do pracy w lesie, jako że jestem z rodziny leśnej i znam tę pracę. Udało się. Otrzymałem wezwanie do dyrekcji. Po rozmowie z urzędnikiem skierowano mnie do pracy w Leśnictwie Linken, Nadleśnictwo Falkenwalde. To było około 15 km od Szczecina. Do dzisiaj istnieje to leśnictwo w Niemczech, blisko granicy z Polską. Ówczesny, miejscowy leśniczy (Oberforstwarth) o nazwisku Kalkreuth, to był przyzwoity człowiek, nawet przyjął mnie śniadaniem. W jego lesie pracowało jeszcze siedmiu



Synowie nadleśniczego Babińskiego – Bohdan (z lewej) i Włodzimierz (z prawej). Jadów k. Łochowa, rok 1943

innych Polaków. Mieszkaliśmy w baraku. Cała nasza grupa ścinała drzewa i wyrabiała różne sortymenty. Mnie leśniczy kierował też do wyznaczania trzebieży i odbiórek drewna.

Tymczasem mój brat po ucieczce z transportu już po kilku dniach został zatrzymany przez niemieckich żandarmów i trafił do obozu karnego pod Inowrocławiem, a później do Greizera w Poznaniu (przed wojną polskie Zakłady Cegielskiego), gdzie pracował jako tokarz. Gdy Rosjanie w 1945 roku zbliżali się do Włocławka, brat próbował wrócić na własną rękę do rodzinnego domu. To się jednak nie udało, ich pociąg skierowano do Gdańska. Brat wiedział, gdzie ja pracuję i niezwłocznie wyruszył w kierunku Szczecina, żeby się ze mną spotkać. I to się udało, pewnego dnia znalazł mnie w lesie. Leśniczy zgodził się, żebyśmy pracowali razem. Stanowiliśmy zespół drwali, pracując jedną piłą.

SOWIECKIE „WYZWOLENIE”

Pewnego poranka, w kwietniu 1945 roku, znikli okoliczni Niemcy. Zbliżał się front. Cały dzień słyszeliśmy wystrzały armatnie. Nadleciały rosyjskie samoloty. Machaliśmy im rękami z radością, gdy tymczasem oni zaczęli do nas strzelać. Pewnie byśmy nie przeżyli, ale na szczęście było blisko do cmentarza. Zdążyliśmy się schować za nagrobki. Później, zbudowaliśmy bunkier w lesie, w którym zamierzaliśmy przetrwać ten niebezpieczny czas. Po kilku dniach wkroczyli do wsi Rosjanie. I wtedy o mało nie pożegnałem się z życiem. Jeden z żołnierzy zażądał ode mnie zegarka.

Najpierw nie chciałem mu oddać, jednak gdy postawił mnie pod ścianą z zamiarem zastrzelenia, pospiesznie wręczyłem mu ten zegarek, który zresztą nie przedstawiał większej wartości. Po rosyjsku już nieźle mówiłem, gdyż mieliśmy kontakty z jeńcami rosyjskimi, którzy byli w obozach jenieckich w pobliżu Szczecina. Chwilę potem naszą polską grupę Rosjanie postanowili wykorzystać do rozpoznania stanowisk niemieckich. Pod groźbą rozstrzelania kazali nam biec przez łąkę w kierunku stanowisk karabinów niemieckich. Wydawało się, że to już po nas. Albo zastrzelą nas Niemcy z przodu, albo Rosjanie z tyłu. Uratował nas rów melioracyjny wykopany w połowie łąki. Pamiętałem o nim i gdy znaleźliśmy się w pobliżu skierowałem całą naszą grupę dnem tego rowu, aż poza pole ostrzału. Tylko jeden z naszych kolegów otrzymał postrzał w rękę. Uszliśmy z życiem. Ale to nie był koniec naszych spotkań z frontem rosyjsko-niemieckim. Po kilku kilometrach wędrówki drogą, wyszliśmy na większą enklawę – otwartą przestrzeń – pośród lasów. Gdy byliśmy w centrum dostaliśmy się pod ostrzał artyleryjski. To było prawdziwe piekło – wybuchy, ogień, dym, hałas. Widziałem w pewnym momencie, jak po wybuchu odrzuciło na kilka metrów mojego brata Włodka. Upadł do rowu przy szosie. Już myślałem, że nie żyje. Jednak i tym razem mieliśmy sporo szczęścia. Brat wyszedł bez szwanku. Schowaliśmy się w okopach, które były przygotowane przy drodze. Przeczekaliśmy ostrzał i nocą, przez las wróciliśmy do wsi, w której pracowaliśmy. Zatrzymaliśmy się w opuszczonej przez mieszkańców leśniczówce. W piwnicy były ubrania i zapasy żywności. Najedliśmy się, przebraliśmy i nazajutrz ruszyliśmy w drogę z zamiarem powrotu do domu, do Włocławka. To się jednak nie udało. Wkrótce, na przeprawie pontonowej na Odrze, w okolicach Gryfina zatrzymali nas rosyjscy żołnierze. Pod bronią zaprowadzili do stodoły, gdzie było już zgromadzonych z dwustu Polaków. Później Kozacy pognali nas do Szczecina.

WIĘZIENIE W SZCZECINIE

To było pierwszego maja 1945 roku. Piękna pogoda, w Szczecinie kwitły drzewa owocowe. Zamknęli nas w miejskim więzieniu. Przy wyczytywaniu nazwisk i umieszczaniu w celach każdy świeżo upieczony więzień otrzymywał tęgie razy najhalką kozacką. Mnie też dosięgły ze trzy. Zamykali nas w małych pomieszczeniach o wymiarach 1 na 3 metry, po siedmiu. Nie było gdzie się położyć, ani siąść. Po 24 godzinach zaczęły się przesłuchania. Przesłuchiwał sam komendant. Ostre światło w oczy. Najpierw wmawiał mi, że jestem „german”, bo on widział mnie w mundurze. Później przyszedł drugi NKWD-zista, który też od razu stwierdził, że ja jestem „german” i przystawił mi broń do głowy. To już mnie zgniewało i odpowiedziałem „jeśli ja german, to ty toż german”. Nieoczekiwanie to podziało, uspokoił się. Ale zaraz zaczęli z drugiej beczki. „Jeśli ty nie german, to ty był a AK”. Koniecznie chcieli mieć pretekst do rozstrzelania. W końcu wyprowadzili mnie przed więzienie i puścili, częstując porządnym kopniakiem, wolno.

Nazajutrz spotkałem Zarembe, który był mianowany na prezydenta Szczecina. Zaproponował mi współpracę w organizacji administracji miasta. Po kilku dniach odnalazłem brata, który też wydostał się z więzienia NKWD. Współpracowaliśmy jakiś czas z prezydentem, a później z inżynierem Rusieckim, który kierował grupą leśników organizujących biura nowej Dyrekcji Lasów Państwowych.

OJCIEC W POWSTANIU WARSZAWSKIM

Ojciec brał udział w Powstaniu Warszawskim. Później nigdy nie chciał o tym mówić. Z jednej strony były to bardzo tragiczne wspomnienia, z drugiej przyznawanie się do uczestnictwa w powstaniu w czasach Polski Ludowej, zwłaszcza zaraz po wojnie było niebezpieczne dla całej rodziny. W każdym razie wówczas, w 1944 roku, po upadku Powstania Warszawskiego Niemcy wzięli moich rodziców do obozu w Pruszkowie. Matkę mojego ojca, staruszkę rozstrzelali szaulisi – Litwini wysługujący się Niemcom przy pacyfikacji Powstania Warszawskiego. Gdy do Pruszkowa zbliżali się Rosjanie ojciec przekupił strażnika, uciekł z obozu i dzięki temu przeżył. Nadleśniczy Kazimierz Marszycki, po „wyzwoleniu” obozu dostał się w ręce NKWD, wywieźli go na Syberię. Słuch po nim na zawsze zagaśniał.

Ojciec dostał się najpierw do Skierniewic i tam zamieszkał u znajomego leśniczego. Gdy front minął Włocławek, w lutym 1945 roku dotarł do Włocławka. Dom był splądrowany, właściwie z wyposażenia nic nie zostało. Ojciec zajął się organizacją nadleśnictwa. Jednak przybyłe nowe władze leśne miały inne plany. Nie ukrywali, że w tych planach nie ma za wiele miejsca dla przedwojennego nadleśniczego. Oświadczone mu, że we Włocławku będzie Inspekcja LP. Jej szefem został Konwicki. Ojca przenieśli do Bobrownik i tam był w randze nadleśniczego do marca 1946 roku. Później i tam nie pasował nowym władzom. Zresztą po wizycie u nas pod Gorzowem postanowił, że nie będzie się przepychał z nową władzą, pojedzie na zachód, gdzie przyjmowali do pracy w lesie właściwie wszystkich chętnych. I tak został przeniesiony na ziemie zachodnie, a w aktach osobowych (zachowała się tylko okładka) napisano – przeniesiony do Gorzowa. Pracował w Nadleśnictwie Głusko blisko Dobiegniewa.

Ojciec ztracał się w robocie. Kochał las. Jednak był już człowiekiem starszym, miał mniej siły. Tam nawet do sklepu trzeba było dojeżdżać sześć kilometrów rowerem. Po kilku latach przeniósł się do Rejonu Lasów Państwowych w Drezdenku (DLP w Gorzowie Wlkp.), skąd przeszedł na emeryturę około 1960 roku, w wieku 75 lat. W lasach przepracował 57 lat. Gdy później ja przeniosłem się do Włocławka, dużo przebywał w naszym domu. Zmarł u mnie, w 1967 roku, w wieku 82 lat. Jest pochowany na cmentarzu we Włocławku-Michelinie. Tam również spoczywa jego żona (nasza mama) Irena.

ZOSTALIŚMY LEŚNIKAMI

Po przejściu frontu, w kwietniu 1945 roku, i epizodzie współpracy z prezydentem Zarembą, Rosjanie usunęli nas ze Szczecina. Trafiliśmy z bratem do grupy operacyjnej organizującej się Dyrekcji LP w Poznaniu. Dyrektorem był Albert Górski, kolega naszego ojca jeszcze ze studiów w Tharandcie. Zajmowaliśmy się organizacją leśnictwa na terenach przejętych od Niemców. Dyrektor Górski polecił nam zabezpieczenie obiektów przemysłu drzewnego – fabryki sklejek i tartaków w Podjuchach i Gryficach. Jednak ze wszystkich tych obiektów zostaliśmy wyrzuceni przez wojsko, a maszyny i urządzenia wywieziono w nieznanym kierunku.

W międzyczasie odwiedziłem rodziców we Włocławku. Były tam ciężkie warunki do życia. Dom bez mebli, trudności z pracą, pieniędzy ojcu nie wypłacali, nie było środków na utrzymanie całej rodziny. Wróciłem do Poznania, zresztą o to prosił dyrektor Górski, proponując mi i bratu pracę. Wtedy przyjmowali tam kogokolwiek, nawet bez szkoły leśnej, bo brakowało rąk do pracy. Trafiliśmy do Gorzowa, gdzie organizowano nową zielonogórską dyrekcję Lasów Państwowych. Szef działu personalnego Próchnicki skierował nas do Nadleśnictwa Drezdenko, które prowadził nadleśniczy Głuchowski. Znał mojego ojca sprzed wojny. Trafiałem do ponemieckiej leśniczówki Busch Kamp, 12 kilometrów od Drezdenka. Gdy tam pojechałem pierwszy raz, zobaczyłem dwie sarny, które pasły się nieopodal osady. Nazwałem tę leśniczówkę – Sarnowo. I tak już pozostało, chyba do dziś. Mój brat podjął pracę w biurze nadleśnictwa Drezdenko Nowe, a później jako podleśniczy na terenie Nadleśnictwa Wołogoszcz.

W Leśnictwie Sarnowo byłem kilkanaście miesięcy, po czym przenieśli mnie na pięć lat do Leśnictwa Wilczyska. Wtedy sami urządzaliśmy miejscowe lasy i wykonaliśmy pierwsze plany urządzeniowe. Wilczyska to było duże leśnictwo, piękne drzewostany. Miałem sześciu stałych robotników. W tym czasie kończyłem Technikum Leśne w Goraju i Polskiej Woli koło Rzepina. Później przenieśli mnie do Leśnictwa Ustronie w Nadleśnictwie Karwin, po drugiej stronie Drezdenka. W leśniczówkach nie było światła, siedzieli przy karbidówkach i lampach naftowych. Woda w studni była na głębokości 30 metrów. W tej leśniczówce urzędowałem przez dwa i pół roku.

MOJA ŻONA

Żonę Barbarę poznałem jeszcze w Sarnowie. Basia była tam nauczycielką i jednocześnie kierowniczką szkoły. Pochodziła z Sosnowca. Od początku wojny angażowała się w działalność niepodległościową. Najpierw w tajnej organizacji „Nasze Sprawy”, przekształconej później w Związek Orła Białego, który następnie wszedł w skład Armii Krajowej. Ojciec żony był żołnierzem września 1939 roku. Zginął, gdy samoloty niemieckie ostrzelały jego kolumnę.

Żona działała w konspiracji na Śląsku. W struktury organizacji dostał się agent. Wiosną 1941 roku gestapo aresztowało kilkaset osób, w tym moją przyszłą żonę i jej matkę. Umieścili je w Oświęcimiu, gdzie wkrótce matkę zamordowali. Żonę dowozili na przesłuchania na gestapo. Odbyła się sprawa sądowa, w której otrzymała wyrok śmierci. Po apelacji samych Niemców, ze względu na młody wiek, wyrok zamieniono na osiem lat ciężkiego więzienia. Wyrok odbywała w kilku miejscach. W obozie była królikiem doświadczalnym, w końcowej fazie wojny, w Fordonie koło Bydgoszczy. Niemiecy pseudomedycy odebrali jej na zawsze zdrowie. W marszu śmierci w styczniu 1945 roku udało się Basi uciec razem z koleżanką, przeżyła.

Po wojnie najpierw na krótko wróciła do Sosnowca, a później przeniosła się na ziemie zachodnie. Została nauczycielką i kierowniczką szkoły na wsi blisko Leśnictwa Sarnowo, gdzie pracowałem. Poznaliśmy się przy zalesieniach, w których uczestniczyły dzieci z jej szkoły. Przedstawiłem żonę rodzicom, akurat w roku 25-lecia ich małżeństwa. Rodzice już mieszkali wtedy na ziemiach zachodnich, w Nadleśnictwie Głusko. Ślub z Basią wzięliśmy w 1948 roku. W małżeństwie przeżyliśmy 58 lat. Żona zmarła w 2006 roku.

MÓJ BRAT

Mój brat Włodek krótko po wojnie rzucił leśnictwo. W Gorzowie Wlkp. ukończył szkołę felczerską, myślał o medycynie. Pomógł mu szczęśliwy przypadek. Kiedyś poszedł na polowanie na kaczki. To było jego pasją. Nagle usłyszał krzyk na wodzie, zobaczył wywróconą łódkę i topiących się trzech chłopców. Zrzucił kurtkę, skoczył im na pomoc. Zdołał uratować wszystkich. Zbiegli się ludzie, chłopaków zabrali, wysuszyli. Między uratowanymi był syn jakiegoś sekretarza Komitetu Wojewódzkiego partii z Zielonej Góry. Ten, gdy poznał brata i jego zawodowe zamiary usilnie namawiał, by Włodek studiował medycynę. I tak się stało. Brat egzamin wstępny zdał celując, dostał się do Poznania na Akademię Medyczną, tam ją ukończył i ponieważ lubił dzieci, zrobił specjalizację jako pediatra. Pracował w Poznaniu, w Bydgoszczy, a na końcu w Gębicach koło Mogilna. Zmarł przedwcześnie na zawał serca w 60. roku życia.

MOJE 40 LAT I 10 MIESIĘCY

Przed wojną zdążyłem ukończyć Kujawskie Gimnazjum Klasyczne we Włocławku, które dawało tzw. małą maturę. Dalszą edukację przerwała wojna. Już po wojnie, pracując w lasach gorzowskich, ukończyłem Technikum Leśne w Poraju i Polskiej Woli koło Rzepina. Leśniczym byłem do 1953 roku, później przenieśli mnie do Rejonu Lasów Państwowych W Gorzowie Wielkopolskim, gdzie zostałem brakarzem. Co roku uczestniczyłem w kursach brakarskich, które wtedy organizo-

wał inspektor Borodzik z ministerstwa. Gdy zdobyłem pierwszą klasę brakarską, sam prowadziłem kursy brakarskie. Później zostałem przeniesiony do Zarządu LP w Zielonej Górze, z siedzibą w Żarach, na stanowisko głównego brakarza. Żary obsługiwały wówczas 92 nadleśnictwa, a rozpiętość działania zarządu sięgała 300 km. Z Gorzowa do miejsca pracy w Żarach miałem 180 km, codziennie dojeżdżałem motocyklem. Nie było wtedy wolnych sobót, większość życia zajmowała praca i dojazdy. Miałem wówczas do dyspozycji 14 brakarzy. Pensja była licha, jak to wówczas w leśnictwie. Minister stale obiecywał – *chłopcy jeszcze rok, już widać zielone światło dla leśników*. A za rok było tak samo. Przybywało pracy biurowej. Ogromna ilość papierów. To mnie zniechęcało.

Odszedłem z Zarządu w teren. Tęskniłem za lasem. Ostatnie półtora roku, w latach 1962-1964, pracowałem jako brakarz w nadleśnictwach Krzystkowice-Bogaczów, Zielona Góra, Przytok, Żary, Ochla i kilku innych. Na własną prośbę w 1964 roku wróciłem w rodzinne strony, czyli do Włocławka.

Podjąłem pracę na terenie Okręgowego Zarządu LP w Toruniu na stanowiskach brakarskich kolejno w Nadleśnictwie Skępe (1964-68), w Zespole Składnic najpierw Włocławek, później Toruń. W latach 1969-74 byłem przedstawicielem Lasów Państwowych w Zakładach Celulozowo-Papierniczych we Włocławku. Celuloza przyjmowała transporty drewna z siedemnastu Okręgowych Zarządów LP z całego kraju. Zarabiało się niewiele. Dorabiałem rzeźbieniem w drewnie. Później, sporo tych rzeźb trafiło do muzeum folkloru, do skansenu, są też u moich znajomych. Na emeryturę przeszedłem po przepracowaniu 40 lat i 10 miesięcy, z początkiem 1982 roku.

Kiedyś pojechałem w zielonogórskie, tam gdzie dawniej pracowałem. Wszystko się zmieniło. W leśnicówkach mają wszelkie wygody. Las, który sadiłem urósł na 15-20 metrów wysokości. To już inny świat. Jeszcze kilka lat temu żyło wielu leśników, którzy zaczęli pracę przed wojną. Mieli zdjęcia, pamiętali kawał historii lasów kujawsko-pomorskich. W większości poumierali, żyją może nieliczni. Trochę pamiątek zostało u ich rodzin, wnuki może coś pamiętają z opowieści dziadków. To wszystko robimy za późno.

Wspomnienia Bogdana Babińskiego spisał: **Tadeusz Chrzanowski**

Włocławek, w czerwcu 2005 roku

Zdjęcia: archiwum rodzinne Bohdana Babińskiego

PS Bogdan Babiński, syn nadleśniczego Lecha Babińskiego, zmarł 22 maja 2015 roku w wieku 92 lat i został pochowany na cmentarzu we Włocławku-Michelinie.



Franciszek Sosnowski (1900-1974)

Inżynier FRANCISZEK SOSNOWSKI

(1900-1974) i jego rodzina¹



absolwent Liceum Ogólnokształcącego im. Z. Krasińskiego w Ciechanowie, jeden z pierwszych maturzystów w 1921 roku, członek Polskiej Organizacji Wojskowej, był uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. W czasie II wojny światowej i okupacji więzień NKWD, członek Armii Krajowej, z wykształcenia inżynier leśnik, pracował jako zastępca dyrektora Lasów Państwowych w Toruniu i nadleśniczy Nadleśnictwa Pułtusk.

Franciszek Sosnowski (1900-1974) z Obiedzina kilkakrotnie otarł się o śmierć. Stracił braci i został pozbawiony ukochanej pracy. Mimo nieszczęść, jakich doświadczył, pozostał wierny sobie, wyniesionym z domu wartościom i Niepodległej, o którą walczył. Tacy byli także jego rodzice i rodzeństwo. Te zasady przekazał swoim dzieciom, Barbarze (z męża Pawłowskiej) i Ryszardowi oraz czterem wnuczkom. O nich wszystkich jest ta opowieść, ułożona z rozmów z mieszkającymi w Pułtusku i Warszawie bliskimi Franciszka Sosnowskiego, zapisków rodzinnych, odnalezionych przeze mnie dokumentów oraz z książek o ziemi ciechanowskiej i jej mieszkańcach.

DOM Z POWSTAŃCEM STYCZNIOWYM W TLE

Franciszek Sosnowski urodził się 1 grudnia 1900 roku w Obiedzinie Górnym jako czwarte dziecko Hilarego Sosnowskiego i Walentyny z Kownackich. Chrzest odbył się 6 grudnia w Pałukach, a rodzicami chrzestnymi zostali: siostra ojca Helena i jej mąż Kornel Ossowski.

Przed nim na świat przyszli trzej bracia: Stefan Paweł (1896), Ludwik (1897) i Henryk (1899), a po nich pięciu braci i trzy siostry: Stanisław (1902), Ludwika (1904), Kazimierz (1906), Józef (1908), Henryka (1910), Regina (1913) i Eugeniusz oraz jeszcze jeden chłopiec. Dwie córki i dwóch synów zmarło w dzieciństwie, jak mówi przekaz rodzinny. W zasobach internetowych parafii Pałuki można znaleźć informacje o aktach zgonu czworga młodych Sosnowskich. Regina zmarła w 1918 roku w wieku 5 lat, Henryka w 1923 roku w wieku 13 lat, zmarły w 1926 roku Józef dożył lat 18, a zmarły w 1931 roku Henryk lat 20 i był kawalerem. Wspomniany Henryk musiał urodzić się w 1911 roku, a nie w 1899 roku, jakby wynikało z odnalezionych metryk. Oznacza to, że albo zaszła pomyłka, albo chłopiec o imieniu Henryk wcześniej zmarł, a kolejny syn otrzymał jego imię.

Dzieci wychowywały się w rodzinie szlacheckiej o tradycjach patriotycznych. Ich dziadek, a ojciec Hilarego – Tadeusz Sosnowski (ur. 1829 r.), syn Antoniego i Marianny z Kołakowskich, mąż Marianny Obidzińskiej, wdowy po Florianie Kołakowskim (ślub odbył się w 1852 r.), dziedzic części w Obiedzinie (jak zapisano w akcie chrztu jego syna Hilarego, nr 9/1861), za udział w powstaniu styczniowym został zesłany na Syberię. Oto fragment rodzinnych zapisków: *Uciekł, przeszedł pieszo do Białegostoku, tam wycieńczony fizycznie został przygarnięty przez jakąś rodzinę, która przekazała informację do Obiedzina. Stamtąd wysłano wóz, którym udało się przewieźć go do domu.*

Powstaniec Tadeusz Sosnowski zmarł w 1893 roku w domu w Obiedzinie, w którym rodziły się jego dzieci. Pałuckiego proboszcza o jego śmierci zawiadomili synowie: Hilary i Władysław. Hilary ożenił się dopiero jako 34-letni mężczyzna z 19-letnią panną Walentyną Kownacką, córką Aleksandra i Ludwiki z Włoczewskich, w 1895 roku, czyli po śmierci ojca, ale na pewno opowiadał dzieciom o bohaterskim przodku. Te opowieści z pewnością miały wpływ na późniejsze wybory jego synów.

UCZEŃ GIMNAZJUM, HARCERZ, PEOWIAK

Czwarty z braci Sosnowskich, Franciszek, późniejszy leśnik, jako nastolatek zdał egzaminy wstępne i rozpoczął naukę w nowo powstałym progimnazjum Pawła Topolińskiego w Ciechanowie. Razem z nim w pierwszym roku istnienia szkoły, roku szkolnym 1913/1914, uczyło się 175 osób, do następnych klas promocje otrzymało 150 dzieci. Nagrody za wybitne osiągnięcia w nauce otrzymało 16 uczniów, w tym 9 z klasy pierwszej A, m.in. Franciszek Sosnowski, Ich nazwiska wymieniła Katarzyna Pełka-Ślesicka w książce „Krasiniak. 100 lat kuźni talentów” (Ciechanów 2017, s. 9). Naukę w progimnazjum przerwał wybuch I wojny światowej, szkoła zawiesiła działalność i już jej nie wznowiła. Część uczniów zasiadła w szkolnych ławach otwartego w 1915 roku ośmioklasowego Filologicznego Gimnazjum Męskiego. Trafił do niego również Franciszek. Czy jego trzej starsi bracia zaczęli naukę w gimnazjum, nie wiemy.

Jako uczeń gimnazjum filologicznego Franciszek Sosnowski został wspomniany w książce Bogumiły Umińskiej „Polska Organizacja Wojskowa w obwodzie ciechanowskim” (Ciechanów 2001, s. 24). Wstąpił do harcerstwa, a później jako jeden z pierwszych gimnazjalistów do Polskiej Organizacji Wojskowej (s. 29). Na zamieszczonej w książce fotografii podpisanej „Harcerze Gimnazjum Męskiego w Ciechanowie” widnieje ubrany w garnitur, białą koszulę i krawat, a nie tak jak koledzy w mundury, młody poważny mężczyzna. Stoi w środku, a po jego bokach siedzą: Mieczysław Kurzypiński, organizator szkolnego plutonu POW i Tadeusz Wojciechowski, jeden z jego członków. Wszyscy trzej, jak i ich rówieśnicy, brali udział w różnych akcjach POW, a w 1918 roku w rozbrajaniu Niemców. Wszyscy trzej cieszyli się z odzyskania niepodległości przez Polskę.

WOJNA POLSKO-BOLSZEWICKA, BRACIA NA FRONCIE

Dwa lata później niespełna 18-letniemu Franciszkowi przyszło zdać egzamin z wierności odzyskanej ojczyźnie, „egzamin z obywatelstwa”, jak napisał Edward Lewandowski w publikacji „Liceum Ogólnokształcące im. Zygmunta Krasińskiego w Ciechanowie” (Ciechanów 2005, s. 31). Uczniowie dwóch najstarszych klas, szóstej i siódmej, wyruszyli jako ochotnicy na wojnę z bolszewikami, co postanowiono podczas zebrania pod kierownictwem dyrektora Bronisława Woyde. Jeden z nich, Tadeusz Sobolewski, który służył w 5 Pułku Piechoty Legionów, pisał o udziale w ofensywie w rejonie Białostok, Lida i Grodno. Do szkoły wrócił po zawarciu pokoju w końcu listopada 1920 roku. Czy jego kolega szkolny, Franciszek Sosnowski, również ochotnik (s. 32), służył w tym samym pułku, nie wiemy.

– Dziadek miał osłaniać przeprawę przez rzekę i jak najdłużej zatrzymać Rosjan. Wystrzelał wszystkie naboje i został ranny. Jego oddział się wycofał, a on położył się w rowie. Miał nadzieję, iż Rosjanie pomyślą, że jest martwy. Podeszło do niego dwóch Rosjan, zdjęli mu czapkę z głowy – dziadek nie zareagował. Ale gdy jeden chciał założyć mu swoją czapkę na głowę, dziadek nie wytrzymał. Wtedy ten Rosjanin chciał go zastrzelić, ale drugi kolegę powstrzymał, tłumacząc mu, że brakuje naboji. I żołnierze odeszli – powtarza usłyszaną od wuja Ryszarda Sosnowskiego opowieść Hanna Kojer.

Drugi raz Franciszek Sosnowski otarł się o śmierć, gdy 13 sierpnia 1920 roku został ranny w nogę.

– Rosjanka sanitariuszka kazała zabrać z pola walki rannego Polaka razem z rannymi żołnierzami rosyjskimi. Dziadek mojej żony trafił do szpitala polowego w Makowie Maz. Ktoś zawiadomił o tym rodzinę w Obidzinie i już rodzice zaczęli myśleć, jak zorganizować rannemu ucieczkę. Nie wiadomo, jak by się ta historia skończyła, gdyby nie ofensywa wojsk polskich. Rosjanie szybko się ewakuowali, zabierając swoich rannych, a Polaka zostawili – kolejną historię opowiada spisujący dzieje rodziny Andrzej Grąbczewski, mąż wnuczki Franciszka – Barbary.

Syn wrócił, ku radości rodziców Hilarego i Walentyny, do domu, prawdopodobnie pojechał po niego ktoś z krewnych. Wyzdrowiał dzięki troskliwej opiece matki.

Oprócz Franciszka z bolszewikami w 1920 roku walczyli trzej jego starsi bracia, wcieleni zapewne z racji wieku do Wojska Polskiego. Wrócił jedynie Stefan, który otrzymał osiem odznaczeń, w tym Krzyż Walecznych. Ludwik zmarł z powodu odniesionych ran w szpitalu w Lublinie, a Henryk poległ w walkach. Taki przekaz przywołują kolejne pokolenia.

MATURZYSTA Z KRASINIAKA – JEDEN Z SIĘDMIU

Ocalały gimnazjalista-żołnierz wrócił do szkoły. I jemu, i jego wielu kolegom trudno było wrócić do roli uczniów. Posługiwali się językiem, jakim rozmawiali w koszarach i okopach, zachowywali się w sposób, jakiego nauczyciele nie mogli

i nie chcieli zaakceptować. *Wąsy i bródki nie należały u nich do rzadkości, zaś z braku odzieży nosili mundury z naszywkami plutonowych, kaprali, najmniej szeregowych. Z mundurów nie odpięli jeszcze Krzyży Walecznych bądź innych odznaczeń bojowych, czym imponowali młodszemu kolegom, a głównie dziewczętom. Dwóch przynosiło nawet zdobyczne na froncie bałatajki i graniem rażąco naruszali regulamin szkolny. Ze strony nauczycieli potrzebny był czas i takt, by nie urazić ich oraz zasług wojennych, z drugiej strony pomóc w przejściu do normalnego życia szkolnego* – tak opisywał szkolne życie w gimnazjum noszącym od 1920 roku imię Zygmunta Krasińskiego Edward Lewandowski w ww. monografii szkoły (s. 33).

Pierwsi maturzyści opuścili mury Krasiniaka, jak nazywa się potocznie gimnazjum, a obecnie I Liceum Ogólnokształcące w Ciechanowie, w 1921 roku. Byli to: Ignacy Brym, Stanisław Jastrzębowski, Czesław Niedzielski, Mieczysław Okoński, Witold Okoński, Mojżesz Rosenberg i Franciszek Sosnowski. Wymieniają ich w swoich książkach, zarówno Edward Lewandowski (s. 46), który określił ich jako zdolnych i pracowitych, jak i Katarzyna Pełka-Ślesicka (s. 177).

– *Nie wiedziałam, że dziadek był wśród pierwszych ciechanowskich maturzystów* – przyznała Hanna Kojer.

Absolwent z Obiedzina utrzymywał kontakt ze szkołą i miastem nad Łydynią. Należał do Akademickiego Koła Ciechanowian, którego prezesem został jego kolega Ignacy Brym, a w 1931 roku uczestniczył w I Zjeździe Wychowanków, o czym wspominał w jego biogramie opublikowanym w „Ciechanowskim słowniku biograficznym” (Ciechanów 2008, s. 71-72) cytowany już regionalista Edward Lewandowski.

INŻYNIER LEŚNIK, MAŻ I OJCIEC

Po ukończeniu studiów na Wydziale Leśnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie² Franciszek Sosnowski pracował w Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie. Ożenił się z Wandą z Flanczewskich, córką Juliusza i Heleny z Przedpeńskich, urodzoną w 1906 roku w Gródku i ochrzczonej w parafii Obryte (metryka 27/1906). Panna Wanda była córką leśniczego w Gródku, a potem w Bartodziejach (w Nadleśnictwie Lemany, powiat pułtuski), wnuczką Wincentego Flanczewskiego i Franciszki z Gradeckich, prawnuczką Leona Flanczewskiego i Marianny.

– *Pradziadek Wandy brał udział w powstaniu styczniowym. Po jego upadku, obawiając się represji ze strony władz carskich, opuścił rodzinne strony, przeniósł się do Rząśnika i zmienił nazwisko na Flanczewski* – dzieli się informacją o rodzinie ze strony babci Barbara Grąbczewska.

Ślub młodej pary, Franciszka i Wandy, odbył się po Świętach Bożego Narodzenia 29 grudnia 1928 roku (nr aktu 53/1928), w kościele w Obrytem, a przyjęcie weselne miało miejsce w Bartodziejach. Małżonkowie zamieszkali w Warszawie,



Inżynier Franciszek Sosnowski z małżonką Wandą (z domu Flanczewską) w dniu ślubu 29 grudnia 1928 r.



Franciszki Wanda Sosnowscy z dziećmi: Barbarą i Ryszardem. Lata 30. XX w.

gdzie 31 sierpnia 1930 roku urodziła się ich córka Barbara. Syn Ryszard Hilary urodził się 5 stycznia 1932 roku w Białowieży, dokąd Franciszek został przeniesiony w 1931 roku i gdzie pracował w Dyrekcji Lasów. Trzy lata później został kierownikiem Biura Produkcji Drzewa Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, gdzie przeniósł się wraz z rodziną.

Ze szczęśliwego rodzinnego czasu pozostała fotografia, wykonana w I połowie lat 30. XX wieku. Patrząc z niej na nas uśmiechnięci: młoda ładna kobieta o gęstych ciemnych włosach, ubrana w długą białą suknię w ciemne grochy i przystojny mężczyzna z wąsikami, ubrany w garnitur. Ona siedzi na leżaku, w ogrodzie, a na kolanach trzyma synka, zaś on siedzi po jej lewej stronie prawdopodobnie na krześle i podaje dziecku zabawkę. Przed nim na małym wiklinowym krzeselku siedzi córeczka, równie elegancko ubrana jak rodzice – czubek jej głowy zdobi duża biała kokarda. Przejęta patrzy w obiektyw, prawą rączką ściska leżącą na jej kolanach lalkę. Franciszek i Wanda Sosnowscy z dziećmi: Barbarą i Ryszardem. Z tej czwórki żyje tylko Ryszard, siostrę pożegnał w 2018 roku.

Rodzina Sosnowskich do wybuchu II wojny światowej mieszkała w Toruniu.

WIĘZIEŃ NKWD, ŻOŁNIERZ AK

Urlop w sierpniu 1939 roku Franciszek Sosnowski spędzał w Obiedzinie (Obiedzinie, jak wówczas nazywała się wieś w parafii Pałuki), pomagając w pracach polowych bratu Stefanowi.

Po wybuchu II wojny światowej, jako zastępca dyrektora Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu wyjechał do Warszawy, a następnie z Dyrekcją Naczelną, zabrawszy archiwum, ewakuował się na Wschód. W okolicach Nowogródka 17 września leśnicy zostali aresztowani przez NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR). Franciszek Sosnowski siedział w jednej celi z Adamem Loretem, dyrektorem naczelnym Lasów Państwowych, tym samym, dzięki któremu została przeprowadzona inwentaryzacja zasobów leśnych, powstały parki narodowe, a Lasy Państwowe stały się jednym z najnowocześniejszych przedsiębiorstw w Europie. Prawdopodobnie nie znał okoliczności śmierci dyrektora. Adam Loret został zastrzelony przez NKWD i pochowany na przedmieściach Wołożyna, na terenie dzisiejszej Białorusi (internetowa Otwarta Encyklopedia Leśna)³.

– *Franciszek Sosnowski przeżył dzięki świetnej znajomości języka rosyjskiego, spracowanym dłoniom i doskonałej pamięci, dzięki której powtarzał o każdej porze dnia i nocy tę samą historię, że pochodzi z bardzo licznej rodziny i bardzo małego gospodarstwa* – podkreśla Andrzej Grąbczewski, który spisał wspomnienia córki leśniczego, a swojej teściowej, Barbary Pawłowskiej.

Zwolniony z więzienia po 6 tygodniach, dawny peowiak dotarł w rodzinne strony żony. Okupację spędził częściowo w Rząśniku, częściowo w Obiedzinie. Wstąpił do Narodowych Sił Zbrojnych, tak jak jego teść Julian Flanczewski, leśniczy,

a następnie do Armii Krajowej; pamiętał zarządzenie dyrektora w sprawie włączenia się leśników do oddziałów partyzanckich przeciwko Niemcom.

– Mój ojciec był w AK, zaś jego bracia byli w NSZ, czyli w odrębnych organizacjach wojskowych. Już po wojnie przeczytałem, że ojciec jeździł na obszar, gdzie działały NSZ po to, żeby obie organizacje prowadziły w miarę możliwości wspólne działania. Pod koniec okupacji ojciec był łącznikiem – przywołuje losy Franciszka jego syn Ryszard Sosnowski.

Wraz z siostrą Basią i mamą spędził okupację w Rząśniku w domu dziadków Flanczewskich, dokąd cała trójka przeniosła się z leśniczówki w Wielgolesie; dzieci do I komunii świętej przystąpiły w Porządziu. Z Rząśnika Wanda Sosnowska pojechała do Torunia, by zabrać z rodzinnego mieszkania najcenniejsze rzeczy, bo na wakacje wyjechała tylko z walizką.

– Basia codziennie modliła się o szczęśliwy powrót rodziców. Jej prośby zostały wysłuchane. Mama wróciła, ale okazało się, że Sosnowscy stracili dorobek całego życia, gdyż piękne mieszkanie w Toruniu zajęli Niemcy i nie udało się nic odzyskać – opowiada Barbara Grąbczewska, córka Barbary.

BRACIA SOSNOWSCY NA FRONCIE I W KONSPIRACJI

Do wojska w 1939 roku zostali powołani dwaj młodszy bracia Franciszka: Kazimierz (ur. w 1906), leśnik, i Antoni (ur. po 1913), uczeń szkoły leśnej. Po kampanii wrześniowej Kazimierz przedostał się do Rumunii, a następnie do Francji. Był żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, walczył pod Tobrukiem i Monte Casino, gdzie pełnił służbę radiotelegrafisty. Antoni miał mniej szczęścia, dostał się do niewoli rosyjskiej i został wywieziony w głąb Rosji, gdzie z innymi jeńcami zimą budował lotnisko. Przeżył dzięki wstąpieniu do armii gen. Władysława Andersa. Ciężko ranny pod Tobrukiem został przewieziony do Anglii. Po zakończeniu wojny, obaj bracia obawiali się powrotu do kraju. Tęskniący za poślubioną w październiku 1938 roku żoną i synem Stefanem, który urodził się we wrześniu 1939 roku, Kazimierz wrócił. Małżonkowie doczekali się jeszcze dwóch synów. Pracował w Lasach Państwowych. Jego młodszy brat pozostał w Anglii, ożenił się z mającą córkę Angielką.

– Antoni po II wojnie światowej był w Polsce kilkakrotnie, a w 1989 odwiedził kraj wraz z żoną. Życzył sobie, żeby jego prochy spopielono i pogrzebano w Polsce, ale angielska rodzina nie uczyniła tego – mówi Hanna Kojer, wnuczka Franciszka.

Nieznane są losy jednego z braci, Stanisława (ur. w 1902), tak jak i miejsce pochówku prowadzącego gospodarstwo w Obidzinie najstarszego Stefana (ur. w 1896). I on, i najmłodszy Eugeniusz (ur. ok. 1925) działali w konspiracji i zostali aresztowani przez gestapo w grudniu 1944 roku.

– Skatowany Stefan został przez Niemców potajemnie zamordowany, a jego ciało nie wydano rodzinie. Eugeniusz wraz z innymi osobami został rozstrzelany na dzie-

dzińcu ratusza w Ciechanowie w nocy z 16 na 17 stycznia 1945 roku, tuż przed ucieczką Niemców z miasta – opowiada rodzinny kronikarz.

CIECHANOWSKA NIOBE

Śmierć pierworodnego i najmłodszego syna stała się dramatem dla ich matki. Walentyna z Kownackich Sosnowska, stojąc jako 19-latką na ślubnym kobiercu, na pewno nie myślała o tym, że przyjdzie jej pochować większość dzieci. Dwie córki i dwóch synów zmarło na skutek chorób. Dwóch z czterech synów biorących udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku w niej zginęło. Po śmierci w 1931 roku męża Hilarego, Walentyna nie miała z kim dzielić troski o potomstwo. Gdy wybuchła II wojna światowa, obawiała się o życie synów, w tym tych powołanych do wojska, jak i jedynej żyjącej córki Ludwiki, od lutego 1937 roku żony Edmunda Nałęcza. Przeżywała śmierć każdego dziecka, ale najbardziej dotknęła ją śmierć Stefana, którego pochowała tylko symbolicznie, i Eugeniusza.

– Po ciało najmłodszego syna Walentyna Sosnowska pojechała wozem do Ciechanowa. Była prawie niewidoma, miała wypłakane oczy. W tym czasie nie znała losu pozostałych synów – snuje opowieść opartą na wspomnieniach Barbary Pawłowskiej, wnuczki Walentyny, Andrzej Grąbczewski.

Matka żołnierzy dwóch wojen, z których czterech oddało życie za Ojczyznę, matka, która pochowała ośmioro dzieci zasłużyła na miano ciechanowskiej Niobe (mityczna królowa Teb straciła 12 dzieci z 14). Zmarła 16 września 1948 roku, w wieku 72 lat i została pochowana na cmentarzu w Pałukach.

WIERNY OJCZYŹNIE, LASOM I RODZINIE

– Po wojnie ojciec pracował w gospodarstwie w Obiedzinie, a w 1947 roku przyjął funkcję nadleśniczego Nadleśnictwa Pułtusk – podkreśla Ryszard Sosnowski.

Przed Franciszkiem Sosnowskim stanęły trudne zadania, m.in. skompletowania kadry i odtworzenia lasów w dolinie Narwi, w rejonie, w którym stał front. Z oddaniem je wykonywał do 1951 roku, kiedy to został zdegradowany, do czego przyczyniły się: *pochodzenie, kułackie gospodarstwo, przeszłość okupacyjna* (o czym pisze w „Ciechanowskim słowniku biograficznym” Edward Lewandowski, s. 72), a także wiara w Boga, to było również powodem szykan ze strony Urzędu Bezpieczeństwa, których doświadczył też brat Franciszka, Kazimierz. Inżynier leśnik został przeniesiony do Rejonu Lasów Państwowych w Przasnyszu, potem do Dyrekcji w Siedlcach, ale ta praca nie dawała mu takiej satysfakcji jak organizacja nadleśnictwa. Zmarł w 1974 roku, spoczął w rodzinnej parafii Pałuki. Miał 74 lata. Jego żona Wanda zmarła 7 stycznia 2000 roku w wieku 94 lat.

– Na szczęście miałem obydwaje rodziców. Mama zajmowała się naszym wychowaniem i prowadziła na wysokim poziomie dom. Ojciec zapewniał materialny byt naszej rodziny – cofa się pamięcią do dzieciństwa i młodości Ryszard Sosnowski. Ojciec,

gdy zauważył coś ciekawego, szczególnie zjawiska przyrodnicze, wyjaśniał je nam. W czasie okupacji prowadził dla nas szkołę, dla mnie i dla siostry oddzielne klasy. Nie chciał na nas niczego wymuszać, lecz starał się nas zainteresować.

– Mój teść był mądrym, mającym własne zdanie, wymagającym od siebie i innych, ale i pomagającym innym człowiekiem, wzorowym leśnikiem. Gdy dostał leśniczkówkę w Karwaczu, a jego rodzina została w Przasnyszu, wołał dojeżdżać do Przasnysza. Był oddany rodzinie oraz pracy zawodowej i społecznej. Ważne dla niego były wartości: Bóg, honor i ojczyzna – charakteryzuje Franciszka Sosnowskiego Zygmunt Pawłowski, wieloletni nadleśniczy Nadleśnictwa Pułtusk, który poznał go w Rejonie Lasów Przasnysz, a 12 września 1954 roku w Świętym Miejscu ożenił się z jego córką Barbarą.

– Dziadek miał ogromną wiedzę, był bardzo czytany. Godzinami opowiadał mi Trylogię Henryka Sienkiewicza, cytował jej fragmenty. Historię i literaturę Polską miał w jednym palcu. Chętnie ze mną rozmawiał. Był człowiekiem wierzącym i patriotą – wspomina Barbara Grąbczewska.

KOLEJNE POKOLENIE: BARBARA I RYSZARD

„Niewłaściwe” pochodzenie i opinia wystawiona przez Związek Młodzieży Polskiej sprawiły, że po zdaniu matury w 1950 roku w Liceum Ogólnokształcącym im. P. Skargi w Pułtusku (wcześniej uczyli się w Ciechanowie) Barbara i Ryszard Sosnowscy, dzieci Franciszka i Wandy, o studiach nie mogli marzyć, mimo że oboje uzyskali bardzo dobre oceny, a Ryszard jako laureat I krajowej olimpiady matematycznej miał zagwarantowane przyjęcie na każdy kierunek studiów bez egzaminu.

– Dzięki interwencji prof. Zarankiewicza, Ryszard po paru miesiącach został studentem Uniwersytetu Warszawskiego. Barbara wyjechała daleko, dzięki czemu w następnym roku dostała się na Wydział Rolny Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – wyjaśnia Andrzej Grąbczewski.

Barbara Pawłowska uczyła 28 lat przedmiotów zawodowych w Zasadniczej Szkole Rolniczej w Pułtusku, Zespole Szkół Rolniczych w Gołądkowie, pracowała w Wydziale Rolnictwa Starostwa Powiatowego. Obowiązki zawodowe i działalność społeczna jej męża spowodowały, że to na jej barkach spoczywał w dużym stopniu obowiązek zajmowania się domem, w którym często pojawiali się niespodziewani goście, oraz wychowaniem córek. Kiedy musiała dokonać wyboru, wybierała rodzinę, a nie pracę zawodową. Na wiosnę 2008 roku zachorowała. Przez 10 lat zmagła się z ciężką chorobą otoczona troskliwą opieką bliskich. Zmarła 2 kwietnia 2018 roku w Pułtusku.

– Mama była dla mnie autorytetem moralnym i przyjacielem. Bardzo dbała o nasze wszechstronne wychowanie. Kiedy byłam mała, zabrała mnie na pogrzeb Melchiora Wańkowicza i powiedziała: Jesteś tu, żebyś pamiętała. Dzień wizyty Ojca Świętego w naszym kraju w 1979 roku był dla mnie dniem odebrania świadectwa maturalnego. Mama mówiła: Żyjemy w ciekawych czasach, nie można tego wydarzenia przegapić. Z mamą i mamą chrzestną uczestniczyłam w pogrzebie

ks. Jerzego Popiełuszki. W postawie mamy dostrzegam wpływ jej rodziców, szczególnie mojego dziadka – ze wzruszeniem opisuje relację z mamą Barbarą Pawłowską jej imienniczką Barbarą Grąbczewska.

Jej młodsza siostra Hanna Kojer wspomina: *Mama cenila rzeczy ładne i potrafiła je wyczarować nawet w trudnych warunkach komunistycznej Polski. Robiła piękne swetry dla całej rodziny, haftowała śliczne serwety i obrusy, a nawet sukienki dla nas, swoich córek. Dzięki mamie nauczyłam się wcześniej szydełkować, haftować, robić na drutach i znam radość, jaką daje zrobienie czegoś własnoręcznie. Mama kochała przyrodę, uczyła mnie wrażliwości na nią. W naszym ogródku zawsze było dużo kwiatów, ale i warzyw, które urozmaicały domowe posiłki.*

– *Babcia zaraziła mnie miłością do literatury, sztuki i kultury. Charakteryzowała się niezwykłym urokiem i klasą, a jednocześnie była osobą skromną i nieśmiałą. Była wzorem pracowitości. Wspierała działalność naukową i społeczną wszystkich członków rodziny, sama często pozostając w cieniu – napisała po śmierci Barbary Pawłowskiej jej wnuczka Aleksandra Grąbczewska.*

Z oddaniem wspomina żonę Zygmunt Pawłowski, który przeżył z nią w małżeństwie ponad 63 lata.

Brat Barbary, Ryszard Sosnowski wybrał karierę naukową, a jego specjalnością stała się fizyka eksperymentalna cząstek elementarnych i fizyka oddziaływań wysokich energii. Profesor Narodowego Centrum Badań Jądrowych, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, w 2015 roku otrzymał medal Pro Masovia. Żonaty z Marią Lefeld-Sosnowską ma dwie córki. Mieszka w Warszawie.

W Ciechanowie i okolicach nie pozostał nikt z potomków Hilarego i Walentyny Sosnowskich, Franciszka czy jego braci – wiernych Niepodległej. Zaciera się pamięć o nich. Ta opowieść ma ją ocalić.

Izabela Koba

Zdjęcia: archiwum rodziny Sosnowskich

¹Reportaż zatytułowany „Wierni Niepodległej – pokolenia” z nagłówkiem „Franciszek Sosnowski i jego rodzina”, autorstwa Izabeli Koby ukazał się w dwóch częściach w „Tygodniku Ciechanowskim” 20 i 27 listopada 2018 r. Autorce opracowania oraz redakcji „Tygodnika Ciechanowskiego” dziękujemy za wyrażenie zgody na przedruk reportażu w niniejszej publikacji (TaCh).

²Franciszek Sosnowski specjalizował się w urządzaniu lasu. Pracę dyplomową pt. „Projekt i uzasadnienie podziału przestrzennego i rozmieszczenia cięć w Nadleśnictwie Lubochnia, leśnictwo Kierz” przygotował pod kierunkiem prof. Władysława Jedlińskiego. Stopień inżyniera leśnictwa otrzymał na SGGW w Warszawie 23 czerwca 1928 r. (TaCh).

³Miejsce i okoliczności śmierci Adama Loreta nie są ostatecznie potwierdzone. Jedną z prawdopodobnych jest wersja, zbadana i opisana przez prof. Józefa Brodę, wg której Loret miał być przeniesiony przez NKWD do więzienia w Mińsku i tam zginąć w nieustalonych okolicznościach w 1940 r., co pozwalałoby uznać go za ofiarę szeroko rozumianej Zbrodni Katyńskiej (TaCh).



Henryk Bolcek (1902-1979)

Leśniczy HENRYK BOLCEK

(1902-1979)



eśniczy Henryk Bolesław Bolcek to postać niezwykła. Pochodził z mieszanej rodziny polsko-niemieckiej. Matka słabo znała język polski, ojciec Wilhelm, będący leśniczym walczył o Śląsk dla Polski. On i rodzeństwo zostali wychowani na wielkich polskich patriotów. Henryk, człowiek bezgranicznie odważny, był świadkiem i udokumentował, ryzykując życie swoje i bliskich, zbrodnie niemieckie na Polakach w Tryszczynie jesienią 1939 roku. Człowiek niezłomny, w powojennej Polsce, także rządzonej przez komunistów i ludzi zwyczajnie małego formatu, pozostał wierny Ojczyźnie, najlepszym tradycjom i etosowi leśnika polskiego.

ZOSTAŁEM POLAKIEM

Nazajutrz po zakończeniu okupacji niemieckiej w rejonie Torunia i Bydgoszczy, w lutym 1945 roku do służby w polskich Lasach Państwowych zgłosił się przedwojenny leśniczy Leśnictwa Tryszczyn (Nadleśnictwo Jachcice) Henryk Bolcek. Do podania o pracę dołączył życiorys.

Ja, Henryk Bolesław Bolcek, syn leśniczego Wilhelma Bolcka, urodziłem się dnia 30 stycznia 1902 r. w Bachorzewie, powiat Jarocin. Szkołę leśną w Templinie ukończyłem jako prymus z wynikiem bardzo dobrym w roku 1919, poczem z dniem 1 grudnia 1919 wstąpiłem do służby w Administracji Lasów Państwowych.

(...) W Leśnictwie Tryszczyn jestem od 1921 r. Podczas okupacji niemieckiej byłem pomocnikiem leśnym. Wniosku o obywatelstwo niemieckie, mimo gróźb ze strony władz okupacyjnych, nie podpisałem i zostałem Polakiem.

Henryk Bolcek, Tryszczyn, dnia 28 lutego 1945 r.

Henryk Bolcek wychował się w rodzinie mieszanej. Ojciec, leśniczy Wilhelm Bolcek był Polakiem wyznania katolickiego, matka Emma z domu Zollner była Niemką wyznania ewangelickiego. Henryk urodził się 30 stycznia 1902 r. w Bachorzewie, w powiecie jarocińskim. W Jarocinie kształcił się w latach 1910-1916 i ukończył „wyższą szkołę miejską”, czyli gimnazjum klasyczne. Na świadectwie szkolnym widnieje ciekawa adnotacja: *opuścił szkołę dnia 11 kwietnia 1917 roku, by udzielić się leśnictwu.*

Leśnictwo praktykował najpierw u swojego ojca Wilhelma Bolcka, leśniczego Leśnictwa Hillarów w majątku Bachorzew, później w sąsiednich lasach tarzeczkich (lasy majątku w Tarcach). W opinii nadleśniczego Taranczewskiego, Bolcek



Rodzina Bolcków i sąsiedzi w Bachorzewie około 1920 r. Pierwszy od prawej, w mundurze, siedzi senior, leśniczy Wilhelm Bolcek, obok jego żona Emma z córeczką na kolanach. Drugi od lewej stoi absolwent szkoły leśnej w Templinie - Henryk Bolcek



Prawdopodobnie załoga Nadleśnictwa Jachcice około 1921 r. część leśników w mundurach wzoru pruskiego. Pierwszy od prawej stoi Henryk Bolcek, trzeci Jan Olejniczak, piąty Władysław Kopezyński



W 1923 r. Henryk Bolcek zawarł związek małżeński z Łucją Jankowską, córką leśniczego

podczas praktyki *miał sposobność uczęszczać przy robotach leśnych i łowieckich, przy czym okazał wielką pilność, a szczególnie miłość i zręczność do zawodu.*

Z taką opinią i zapalem trafił do Szkoły Leśnej Związku Leśników Prywatnych Niemiec w Templinie (Brandenburgia), której opiekunem był słynny i znany dobrze również polskim leśnikom dr leśnictwa Adam Schwappach. Tu w latach 1918-1919 Bolcek uczył się, zyskując celujące wyniki we wszystkich niemal przedmiotach zawodowych i na egzaminie końcowym składanym łącznie przez osiem dni przed komisją, której przewodniczył nie kto inny jak profesor Schwappach. Później, już w pracy zawodowej, Bolcek z pasją zakładał, obserwował i opisywał w prasie leśnej swoje wieloletnie doświadczenia hodowlane w lasach Leśnictwa Tryszczyn pod Bydgoszczą.

Po ukończeniu szkoły leśnej w Templinie, w grudniu 1919 roku Bolcek trafił do państwowego Nadleśnictwa Gołąbki, gdzie jako „urzędnik do ochrony lasu” podlegał ówczesnemu nadleśniczemu Tadeuszowi Metzgowi. W tym czasie, od lipca do końca grudnia 1920 roku, odbył też półroczną służbę wojskową.

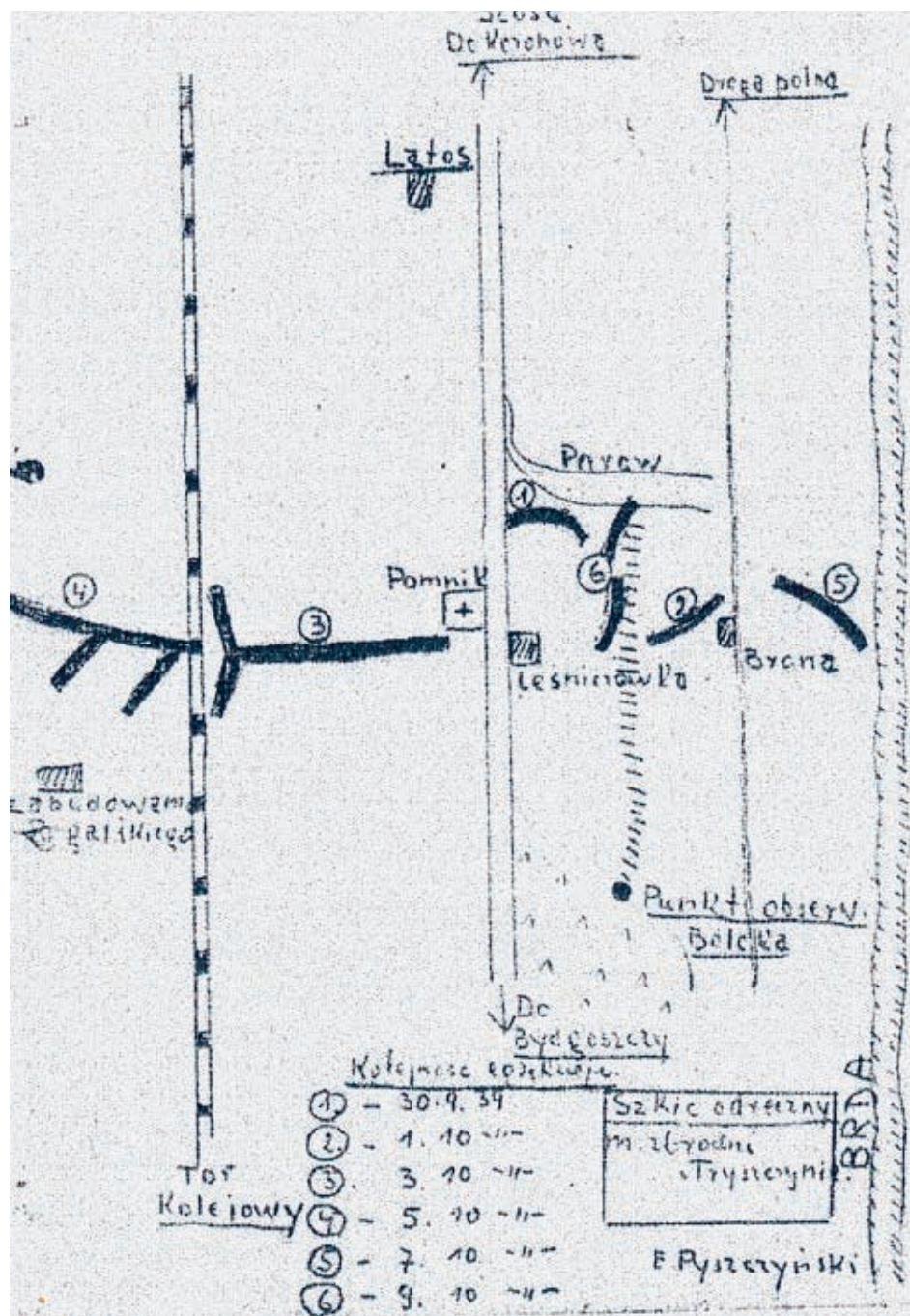
W grudniu 1920 roku został powołany przez Dyрекcję Lasów Państwowych w Bydgoszczy do komisarycznego prowadzenia leśnictwa w Nadleśnictwie Margonin. W 1921 roku zdał egzamin państwowy na pomocnika leśnego i wkrótce otrzymał przeniesienie do Leśnictwa Tryszczyn w ówczesnym Nadleśnictwie Jachcice pod Bydgoszczą. W 1923 roku Henryk Bolcek zawarł związek małżeński z Łucją Jankowską, córką leśniczego.

Egzamin państwowy na leśniczego zdał w 1925 roku i w tymże czasie dyrektor Dyrekcji Lasów Państwowych w Bydgoszczy Józef Zagórski mianował go leśniczym Leśnictwa Tryszczyn. Tu zaczyna się chyba najbardziej twórczy i pomyślny okres w pracy zawodowej Henryka Bolcka, trwający do wybuchu II wojny światowej w 1939 roku. Wcześniej, w 1929 roku, z inicjatywy dyrektora Józefa Zagórskiego otrzymał medal „Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości”, a w 1938 roku Prezydium Rady Ministrów nadało mu Brązowy Krzyż Zasługi.

OKUPACJA

Na początku września 1939 roku Niemcy zajęli Bydgoszcz i tereny przyległe. Jak pisze Robert Grochowski: *Nastał czas krwawej pacyfikacji miasta (Bydgoszczy). Swoją zbrodniczą działalność rozpoczął przybyły z Gdańska, bydgoski oddział Einsatzkommando, wspierany aktywnie przez miejscowy Selbstschutz składający się z bydgoskich volksdeutscheów.*

Dalsze nasilenie terroru wiązało się z realizacją akcji Intelligenzaktion, której celem była eksterminacja elity polskiego społeczeństwa. Rozpoczęły się masowe aresztowania bydgoskiej inteligencji, kupców, rzemieślników oraz członków organizacji patriotycznych. Zatrzymani trafiali do obozu utworzonego w koszarach wojskowych przy ul. Gdańskiej. Stąd wywożeni byli następnie na obrzeża Bydgoszczy, gdzie Niemcy



Szkic miejsca niemieckich zbrodni (egzekucje od nr 1 do nr 6) w Trzyczynie wykonany przez leśniczego Henryka Bolcka w 1939 r.

dokonywali masowych egzekucji. Jednym z miejsc kaźni był system polskich okopów w rejonie leśniczówki Tryszczyn.

ŚWIADECTWO LEŚNICZEGO

Świadkiem zbrodni w Tryszczynie był leśniczy Henryk Bolcek. W październiku 1939 roku obserwował z ukrycia przebieg egzekucji. Nocą, z narażeniem życia, sondował groby i wykonywał ich dokładne plany. Pod koniec miesiąca przerysował je na wspólny plan (kopia na str. 284), który zamknięty w butelce zakopał w ziemi (jeden pod orzechem w sadzie, drugi w kurniku, kolejny pod paśnikiem w lesie). W obliczu wzmagających się represji okupanta w 1942 roku sporządził jego dwie dodatkowe kopie. Nie był pewien, czy przeżyje wojnę i – jak później zeznał – w sprawę z 1942 roku wtajemniczył dwie zaufane osoby, *bo jeśli ja zginę, to to wszystko przepadnie*. Jednym z nich był naukowiec, doktor prawa z Poznania, o nazwisku Kolańczyk, a drugim młody leśnik stażysta w Tryszczynie, po wojnie leśniczy pod Kcynią, Aleksander Wesoły.

Mimo nacisku władz okupacyjnych Bolcek nigdy nie przyjął niemieckiej grupy narodowościowej. Zawsze powtarzał, że czuje się Polakiem i takim pragnie pozostać. Po zakończeniu wojny brał czynny udział w pracach ekshumacyjnych. Dzięki przechowywanym planom odnaleziono wówczas wszystkie miejsca masowych mordów. Przy mogile w Tryszczynie własnym sumptem postawił ogrodzenie, drewniany krzyż oraz posadził kilkanaście dębów. Dzisiaj są to już okazałe drzewa (fotografia na str. 289).

Po wojnie Bolcek był trzykrotnie przesłuchiwany przez Okręgową Komisję badania Zbrodni Hitlerowskich w Bydgoszczy w charakterze świadka zbrodni w Tryszczynie: 28 lutego 1947, 22 listopada 1966 i 3 czerwca 1971 roku. Poniżej przytaczamy obszernie fragmenty protokołu z przesłuchania w 1971 roku, gdyż zawiera szereg dodatkowych informacji z życia zawodowego i prywatnego leśniczego Bolcka.

W Tryszczynie byłem leśniczym od stycznia 1921 r. przez lata wojny i wiele lat po jej zakończeniu. Zabudowania leśniczówki znajdowały się i istnieją do tej chwili u wejścia do wioski, nad szosą. Po drugiej stronie szosy, naprzeciw leśniczówki wzdłuż wzgórza aż za tor kolejki wąskotorowej oraz od moich zabudowań w kierunku wschodnim, w związku ze zbliżającą się wojną, pobudowane zostały począwszy od czerwca 1939 r. okopy skierowane w kierunku ogólnym, obronnym, na Świecie. Okopy miały nieregularną linię taką właśnie, jak zaznaczyłem już później na szkicu. Rowy te były głębokie do 180 cm.

W chwili wybuchu wojny rodzina moja wyjechała wcześniej, a ja zostałem ewakuowany 2 września do Łucka, dokąd tylko dwóch z Okręgowej Dyrekcji Lasów Państwowych (w Poznaniu – TaCh) dotarło. Powróciłem w zasadzie 1 października 1939 r., ale jedną noc zatrzymałem się w (w pobliskim – TaCh) Opławcu,

gdyż znajomi uprzedzali mnie, że w Tryszczyńce były egzekucje w sobotę 30 września i w niedzielę 1 października. Mimo ostrzeżeń zdecydowałem się jednak powrócić, gdyż tam była moja rodzina. Rychło rano 2 października znalazłem się w Tryszczyńce. Od żony dowiedziałem się wówczas, że w sobotę po raz pierwszy przyjechały z wieczora samochody, jakie nie wiem, i zatrzymały się za leśnicówką, tam gdzie obecnie jest cieplarnia, przed parowem. Potem słysząc było strzały. Jeszcze nie orientowano się, co się dzieje. Wszyscy pokładli się w domu na podłodze i odczekali, aż nastąpiła cisza.

Rano dnia 1 października żona stwierdziła, że odcinek rowu (wojskowego okopu – TaCh) za sadem jest niedbale, nierówno zasypany i wokoło dużo śladów krwi. Miejsce to osobiście zbadałem, a w późniejszym okresie, wymierzyłem krokami i (naniósłem – TaCh) na szkic. Ta linia rowów oznaczona jest nr 1. Podczas ekshumacji stwierdzono – było to w 1945 r. – że zwłoki leżały w nieładzie, lecz wzdłuż rowu, nie jedno na drugich. Wydobyto tam około 40 zwłok. Rów ten miał długości 59 kroków z tym, że 2 kroki były puste, co na szkicu również naniósłem.

Kto mówił mi o egzekucji w niedzielę 1 października, nie pamiętam. Pole to jednak również obszedłem i przy pomocy ostro zakończonej laski sondowałem, gdzie trafia na opór, co wskazywało na obecność zwłok. Długość tego grobu wynosiła w krokach 85 a dalsze 7 kroków, przy wzniesieniu było puste. I tutaj zwłoki leżały w szeregu a nie jedno na drugich. Ile zwłok tam zagrzebano, nie wiem, ale obliczam na podstawie długości grobu oraz ułożenia zwłok, że było ich od 50 do 60.

Dalsze egzekucje odbywały się już podczas mego pobytu w Tryszczyńce. Pierwsza z tych egzekucji była przeprowadzona 3 października 1939 r. Przed południem przyjechał ciężarowy samochód, na którym w pozycji siedzącej znajdowało się może 30 osób. Razem z nimi przybyły ze 2-3 samochody osobowe i kilka motocykli. Razem zjechało się do 25 Niemców, z których tylko około 5 było umundurowanych. Jeden z nich, komendant był w stopniu „Oberleutnanta” (porucznika – TaCh), drugi oficer „Leutnanta” (podporucznika – TaCh), jeden „Feldwebel” (sierżant – TaCh) i dwóch dalszych. Jak z późniejszej rozmowy z nimi wynikało, byli oni z Gdańska. Ów „Oberleutnant” powiedział „wir sind der Selbstschutz Danzing-Westpreussen”. Reszta Niemców była w cywilnych ubraniach z opaską z napisem „Selbstschutz”. Przebieg egzekucji obserwowałem z poddasza mego domu, gdyż Niemcy do nas na początku w ogóle nie zajrzeli i nikogo nie usunęli.

Rozstrzeliwanie odbywało się po sześciu mężczyzn, względnie około sześciu. Po zejściu z samochodu ofiary musiały iść na pole z podniesionymi rękami, a następnie wejść do rowu i położyć się jeden za drugim w ten sposób, że głowa jednego dotykała nóg drugiego. Po obydwu stronach rowu stawali członkowie Selbstschutzu i do każdego leżącego dwóch oddawało strzały. Strzały padały na komendę któregoś z umundurowanych Niemców. Po wystrzeleniu wszystkich samochodów odjeżdżał i nadchodził nowy z dalszą grupą Polaków. Egzekucja trwała do zmroku. Była to jedna z największych. Trupy zajęły odcinek rowu o długości 203 kroków, a cały rów

z częścią wolną wynosił 240 kroków z tym, że 33 kroki od szosy i 4 kroki przy torze i bagienku nie były wypełnione trupami. Ponieważ wszystkie zwłoki nie mieściły się pojedynczo w grobie, część z nich, jak się okazało później w toku ekshumacji, leżała w dwóch warstwach. Łącznie zamordowano wówczas około 250 osób. W tym dniu w końcowej fazie zamordowano także kilkudziesięciu Żydów, co stwierdzono dopiero podczas ekshumacji. Widziałem, że byli ubrani w chałaty. Leżeli oni w pobliżu toru w tej części rowów, która rozwidlała się w kierunku północnym. Jeden z samochodów, którym dowożono ofiary z kierunku Bydgoszczy należał do młyna w Karczewie, co wynikało z napisów na nim.

W przerwach między transportami Niemcy mundurowi przychodzili do nas umyć ręce, których nie mieli okrwawionych i pili kawę, którą musieliśmy im podać. Sądzę, że z uwagi na dobrą moją znajomość języka niemieckiego, i mej kuzynki i siostry, oraz fakt, że w bibliotece miałem bardzo dużo książek niemieckich, a na nocnym stoliku leżało kilka bieżących numerów „Berliner Illustrierte Zeitung”, które przestała mi matka – uważano naszą rodzinę za niemiecką. Istotnie (3 wyrazy nieczytelne – TaCh) pochodziłem z rodziny niemieckiej, gdyż matka była Niemką, ale ojciec był Ślązakiem i wzorowym Polakiem, działającym w okresie plebiscytu na rzecz Polski i w tym duchu zostałem też wychowany. W okresie okupacji nie miałem nawet III grupy (narodowościowej niemieckiej – TaCh). Niemcy, którzy rozstrzeliwali, stojąc na szosie rozmawiali o mnie, o mej bibliotece, bo słyszałem jak jeden z nich mówił po niemiecku, że jednak miałem w niej i książki polskie. Tej samej nocy, rów zbadałem przy pomocy sondy i zaznaczyłem na szkicu. Zamordowani w tym dniu zajęli odcinek rowu między szosą a torem kolejki wąskotorowej. Na szkicu oznaczony jest ten odcinek, cyfrą 3.

Następna egzekucja przeprowadzona w identyczny sposób była w dniu 5 października. Skończyła się bardzo późno. W grupie ofiar było kilka kobiet. Nic bliższego na temat kobiet powiedzieć nie mogę. Tego dnia jeden z mężczyzn uciekł i Niemcy nie schwytali go. Po wojnie zdaje się dopiero dowiedziałem, że uciekającym był dr Rządowski. Niemcy go zbyt energicznie nie szukali, a będąc u nas w domu wspominali, że jeden im uciekł. Zwłoki wówczas zabitych zakopano w rowie za torem małej kolejki. Rów ten miał dwie odnogi w kierunku południowym. Długość rowu wypełnionego zwłokami wynosiła 223 kroki, a część niewypełniona 27 kroków. I w tym rowie zwłoki leżały częściowo w dwóch warstwach. Wykonawcami zbrodni była ta sama grupa co poprzednio. Po egzekucji pewnej grupy, grób zasypywali pozostali przy życiu, a ostatnią grupę zasypali Niemcy. Zwłoki były przykryte warstwą ziemi do połowy lub może nieco więcej rowu, a pełne przykrycie wykonane zostało później przez Polaków – przeważnie inteligencję – zarejestrowaną w Arbeitsamcie. Nadzór techniczny miał być kapitan Wojska Polskiego. Rozmawiałem z nim, ale nazwiska jego nie znałem. Część rowów znajdujących się w lesie, bez trupów, zasypali jesienią 1940 jeńcy angielscy.

Dnia 7 października 1939 r., wracając z obchodu lasów wzdłuż stoku gór na wschód od szosy, usłyszałem nad Brdą strzały. Była wówczas może godzina 11. Lasem podkramłem się bliżej i ukryty za krzakami tarniny, która w tym miejscu do dzisiaj rośnie, ujrzałem, jak stokiem wzgórze za sadem leśniczówki przed parowem cywile prowadzili 10-12 kobiet. Kobiety te w pobliżu zabudowań Brony przeszły drogę i skierowały się w kierunku Brdy. Mój punkt obserwacyjny był wysoko, odległy zaledwie około 250 m, dlatego więc dobrze widziałem, co się na dole działo. Połowa kobiet musiała położyć się z dala od rowu a druga weszła do rowu, gdzie według tej samej techniki co w innych przypadkach, zostały zastrzelone. Na ich ciała musiała położyć się czekająca grupa. Po zamordowaniu i tych sprowadzano następne. W toku ekshumacji, zwłoki leżały na odcinku 37 kroków w czterech warstwach względnie w trzech. Obserwując z dala kobiety, byłem przekonany, że są młode. (...) Wydobyto z tego miejsca około 40 zwłok.

Ostatnia egzekucja miała miejsce 9 października 1939 r. W dniu tym ofiary przewieziono samochodami około południa. Samochody zatrzymały się za sadem leśniczówki, już za moim polem widzenia. Później za zabudowaniami gospodarczymi w kierunku Brdy i parowu słyszałem strzały. Były to już ostatnie niewykorzystane przez Niemców rowy. Zaraz po odjeździe Niemców poszedłem w to miejsce i znalazłem rowy częściowo zasypane. Ciał – jak we wszystkich przypadkach – nie było widać. Przy pomocy mej sondy ustaliłem, gdzie znajdują się ciała i oznaczyłem na szkicu nr 6. Zwłoki zajmowały odcinek 129 kroków. Zamordowano wówczas około 100 osób.

Po tej egzekucji nie było już rowów strzeleckich pustych i dlatego więcej egzekucji tutaj się nie odbywało. Podsumowanie moich danych liczbowych wskazuje, że łącznie zamordowano w Trzyczynie ponad 700 osób. Oczywiście mogą być od tej liczby pewne odchylenia, ale wynika to stąd, że operuję liczbami przybliżonymi. Nie mam jednak żadnej wątpliwości, że wszystko zostało odkopane i nie ma tutaj miejsc nieodnalezionych. Wszystkie groby zostały natychmiast naniesione na szkic i na jego podstawie sporządziłem ten, który znajduje się jako fotokopia w aktach.

Te wszystkie zwłoki ekshumowane zostały w 1945 r. z wyjątkiem dwóch odnóg za torem kolejowym, podczas egzekucji określone nr 4. Te rowy odkopane zostały w roku – o ile pamiętam – następnym. Po poinformowaniu mnie, że z protokołów ekshumacji wynika, że w dniu 1 października 1947 r. wydobyto 19 zwłok oraz 28 zwłok oświadczam, że niewątpliwie dotyczy to tego odcinka. (...)

Leśniczy Bolcek po zakończeniu działań wojennych bardzo precyzyjnie wskazał miejsca zbrodni niemieckich na terenie trzyczynskiego lasu. Oprócz sześciu grobów (743 zwłoki) na polu przy leśniczówce Trzyczyn były to też doły śmierci żołnierzy rosyjskich pod Osową Górą (216 zwłok), żołnierzy polskich z września 1939 roku (11 zwłok), Polaków powieszonych na Wilczaku (10 zwłok), rolników z Mochla (3 zwłoki), ks. Jana Hamerskiego, proboszcza z Wtelnia oraz nieznaney osoby z Wągrowca. W lokalizacji miejsc tych zbrodni pomagali leśniczemu Polacy – robotnicy leśni.



Miejsce Pamięci Narodowej w sąsiedztwie historycznej leśniczówki Tryszczyn (na drugim planie w głębi), obsadzone dębami przez leśniczego Henryka Bolcka, kryje szczątki Polaków pomordowanych jesienią 1939 r. Widok z 2021 r. Fot. Tadeusz Chrzanowski

EKSHUMACJE

Leśniczy Henryk Bolcek, ze względu na posiadaną wiedzę i sporządzoną dokumentację, był pierwszoplanową postacią podczas prowadzenia ekshumacji w pierwszych latach powojennych. Pierwszą z nich przeprowadzono w okresie od 27 kwietnia do 8 maja 1945 roku. Na podstawie sporządzonych w okresie wojny precyzyjnych planów z pomocą leśniczego Henryka Bolcka zlokalizowano i otwarto wszystkie masowe groby z 1939 roku, oznaczone na szkicu numerami od 1 do 6. Zwłoki z masowych grobów złożono najpierw w dużym, specjalnie przygotowanym wspólnym grobie, usytuowanym w pobliżu leśniczówki Tryszczyn. Pochowano tutaj 693 ciała. Bolcek krytycznie odniósł się do sposobu prowadzenia ekshumacji (odbywały się bowiem bez powiadamiania rodzin i próby identyfikacji), jak również do programu uroczystości pogrzebowej. Nie było trumien, a dół ze zwłokami był tylko w małej części odsłonięty. Na znak protestu nie uczestniczył w pogrzebie.

W 1948 roku zapadła decyzja przeniesienia ciał z Tryszczyna do Bydgoszczy. Od 10 do 12 maja trwały prace ekshumacyjne na zbiorowej mogile przy leśniczówce. Wydobyte szczątki umieszczono w 128 trumnach i przewieziono je na Cmentarz Bohaterów na Wzgórzu Wolności.

Po ekshumacji mogiła naprzeciwko leśniczówki w Tryszczynie stała się miejscem pamięci narodowej. Trzydzieści lat po śmierci leśniczego Bolcka (zmarł w 1979 r.), jesienią 2009 roku przeprowadzono tam badania archeologiczne.

W trakcie prac wydobyto 2213 fragmentów kości, należących do przynajmniej 48 osób. W kwietniu 2010 roku, po wykonaniu badań antropologicznych, szczątki ludzkie uroczyście pochowano na cmentarzu w Trzyszczynie (w tejże mogile naprzeciwko leśniczówki), który odzyskał status obiektu grobownictwa wojennego.

POWOJENNE LOSY LEŚNICZEGO

Do pracy w Lasach Państwowych leśniczy Bolcek zgłosił się już w lutym 1945 roku. Został ponownie leśniczym w Trzyszczynie, jednak wkrótce otrzymał też zadanie organizacji Nadleśnictwa Stronno, pełniąc tam obowiązki pierwszego po wojnie nadleśniczego. Następnie, na czas delegowania nadleśniczego Nadleśnictwa Jachcie, Jana Czernichowskiego, na kilka miesięcy do pracy w okręgu legnickim Lasów Państwowych to właśnie Bolckowi powierzano kierowanie nadleśnictwem, doceniając jego kompetencje i autorytet. Leśniczy – jako wielki pasjonat i znawca łowiectwa – włączył się aktywnie w odbudowę regionalnych struktur Polskiego Związku Łowieckiego.

Jednak już latem 1946 roku pojawiły się pierwsze chmury nad leśniczym. Otrzymał dekret podpisany przez ministra leśnictwa Tkaczowa o przeniesieniu służbowym na... ziemie zachodnie. W tym czasie już poważnie chorowała jego żona Łucja i Bolcek próbował ratować dotychczasowe miejsce pracy orzeczeniem lekarskim. Pojawiły się też donosy o rzekomą kolaborację z okupantem niemieckim. Ten za-



Leśniczy Henryk Bolcek i jego małżonka Łucja około 1950 r.

rzut okazał się łatwy do obalenia, gdyż istniała korespondencja Bolcka z Urzędem okupacyjnym, z której jednoznacznie wynikało, że na niemieckie obywatelstwo nigdy nie wyraził zgody. Ponadto w orzeczeniu Zarządu Gminy we Wtelnie, wydanym już 2 marca 1945 roku, napisano m.in.: *Ob. Bolcek jest gorliwym Polakiem, wniosku o nadanie obywatelstwa niemieckiego grupy III nie stawił, nadanie obywatelstwa niemieckiego z urzędu stanowczo odmówił. Podlegli ob. Bolckowi robotnicy leśni pod jego wpływem nie stawili wniosków o nadanie obywatelstwa. Ob. Bolcek cieszy się pełnym zaufaniem swoich pracowników i okolicznej ludności polskiej, służył jej zawsze skutecznymi i sumiennymi radami.*

Poparcie społeczne dla Bolcka było tak szerokie, jednomyślne i zdecydowane, że minister leśnictwa odwołał własne zarządzenie odnośnie przeniesienia leśniczego na ziemie zachodnie i pozostawił na dotychczasowym stanowisku leśniczego w Tryszczynie. Jednak już w październiku 1948 roku leśniczy otrzymał przeniesienie, i to w fatalne warunki, do pracy w odległym Nadleśnictwie Okalewo. Bolcek przygotował obszerną odpowiedź, w której próbował bronić swego statusu, wskazując na wszechstronne zaangażowanie w pracę zawodową, trwającą już 28 lat, sukcesy hodowlane i gospodarcze, jak również prowadzenie z wielkim wysiłkiem własnego gospodarstwa rolnego. Zwrócił uwagę na swoją patriotyczną postawę i rolę odegraną podczas wojny i okupacji w utrwaleniu miejsc pamięci po pomordowanych w Tryszczynie Polakach. Leśniczy uzyskał silne poparcie Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Bydgoszczy. Pismo w obronie Bolcka wystosowała też społeczność Tryszczyna. Podpisali się pod nim niemal wszyscy mieszkańcy wioski. Dyrekcja w Toruniu wycofała się z przeniesienia.

Jednak już w grudniu 1948 roku minister leśnictwa wydał kolejne zarządzenie o służbowym przeniesieniu Bolcka, tym razem na drugi koniec toruńskiej dyrekcji, do Nadleśnictwa Jamy na stanowisko leśniczego Leśnictwa Lisnowo Zamek. I ponownie do ministerstwa napłynęła fala społecznego poparcia dla leśniczego. 14 lutego 1949 roku minister anulował własne zarządzenie dotyczące przeniesienia Bolcka do Nadleśnictwa Jamy. Niemniej, chyba już nikt nie miał wątpliwości, że obecność tego niezłomnego człowieka, bohaterskiego leśnika czasów wojny, cieszącego się wielkim uznaniem, poparciem, szacunkiem nie tylko lokalnego społeczeństwa, jest bardzo nie na rękę zarówno dyrekcji lasów w Toruniu, jak i kierownictwu resortu leśnictwa, a może jeszcze komuś.

Z dniem 1 stycznia 1950 roku nastąpiła zmiana struktury organizacyjnej Lasów Państwowych w całym kraju, powołano Rejony Lasów Państwowych. W marcu 1950 roku do ataku na leśniczego z Tryszczyna przystąpił świeżo powołany Zarząd Rejonu LP w Toruniu. W poufnym piśmie do Centralnego Zarządu Lasów Państwowych w Warszawie *wnosi o zwolnienie ze służby ob. Bolcka Henryka* pisząc jednozdaniowe uzasadnienie: *Ob. Bolcek jako jednostka wroga naszemu ustrojowi,*

wywiera ujemny wpływ na otoczenie, co zostało szczegółowo rozpracowane w P.O.P. (Podstawowej Organizacji Partyjnej) i uzgodnione na szczelbu Komitetu Wojewódzkiego PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej).

Centralny Zarząd LP (dyrektor naczelny F. Jurkowski) z dniem 31 maja 1950 roku wypowiedział leśniczemu Henrykowi Bolckowi stosunek służbowy i zwolnił z pełnienia obowiązków z dniem 31 sierpnia 1950 roku. Leśniczy Bolcek jeszcze raz podjął próbę obrony dobrego imienia leśnika polskiego. W piśmie do dyrektora naczelnego napisał: *Na swoją obronę od siebie nic nie przytaczam, gdyż o wartości człowieka i pracownika decydują wyniki jego pracy i jego stosunek do ludzi. Dlatego uprzejmie proszę o ponowne zanalizowanie mojej sprawy, szczególnie o ustalenie na gruncie, czy długoletnia moja praca zawodowa, jako szarego terenowca, była i jest dla Państwa korzystna, tak przedmiotowo, jak i moralnie, jeżeli chodzi o wyrobienie ducha kadr u mnie pracujących robotników. Mam lat 48, jestem pełen sił i zdaję sobie sprawę, iż mógłbym pracować jeszcze długi czas w umiłowanym przez siebie zawodzie dla dobra Kraju i zrujnowanej wojną gospodarki.*

Robotnicy leśni nie zawiedli. Wystosowali „Oświadczenie” zaczynające się od zdania: *My niżej podpisani robotnicy leśni i wozacy Leśnictwa Tryszczyn znamy ob. leśniczego Henryka Bolcka od 30 lat...* Pod oświadczeniem widnieją 44 podpisy. W obronie leśniczego wystąpił do Ministra Leśnictwa też doc. dr Damazy Tilgner, poseł do Sejmu Ustawodawczego: *Nie wiem, czy pozbywanie się dobrych pracowników leży w interesie gospodarki narodowej. Odnoszę wrażenie, że w tym przypadku może mieć miejsce rażące pokrzywdzenie człowieka, który posiada piękny dorobek*



Leśniczy Henryk Bolcek przy pniu okazałej sosny na terenie Leśnictwa Tryszczyn około 1950 r.

w pracy zawodowej i jest w terenie tutejszego województwa stawiany jako wzór. Odwagą cywilną wykazał się również bezpośredni przełożony leśniczego Bolcka, nadleśniczy Nadleśnictwa Jachcice. W piśmie do Rejonu LP w Toruniu napisał m.in.: *Bolcek Henryk przedstawia najwyższe walory jako fachowiec, doskonały organizator, lojalny kolega, oraz karny i zdyscyplinowany pracownik*. I tym razem udało się wybronić leśniczego. Dyrektor naczelny LP uchylił zarządzenie w sprawie zwolnienia go ze służby.

Wszyscy, którzy by pomyśleli, że wreszcie ustana ataki, pomówienia, oszczerstwa i nękanie leśniczego, jednak by się pomylili. Wszak trwał w Polsce Ludowej realny socjalizm nazywany też okresem stalinowskim. Leśniczy Henryk Bolcek, wysokiej klasy fachowiec wywodzący się z solidnej szkoły leśnictwa polskiego II Rzeczypospolitej, człowiek o wysokim morale, niezłomny, pracowity, bohatersko odważny a jednocześnie prosty i skromny, co najwyżej do bólu prawdomówny – nie pasował do nowej rzeczywistości kraju i społeczeństwa budowanego na modłę sowiecką.

Kolejne uderzenie nastąpiło w końcu czerwca 1953 roku. Dyrektor Okręgu Lasów Państwowych w Toruniu, Wilhelm Jankowski wystosował do Bolcka pismo o treści: *Z dniem 15 lipca 1953 r. przenoszę Obywatela z urzędu do służby w (...) Nadleśnictwie Ruda, Leśnictwo Górzno*. Niezłomny leśniczy i tym razem podjął próbę obrony i pozostania w dotychczasowym miejscu pracy. Nie stawiał się w Nadleśnictwie Ruda, nadal pracował w swoim Tryszczynie, napisał odwołanie do ministerstwa. Macierzyste Nadleśnictwo Jachcice wstrzymało wypłaty. Naciski polityczne na usunięcie Bolcka z Tryszczyna musiały być wielkie, skoro tym razem i Centralny Zarząd LP w Warszawie i minister leśnictwa poparli decyzję Okręgu LP w Toruniu.

Światło na sprawę rzuca poufna opinia Rejonu LP w Bydgoszczy o leśniczym Bolcku, z dnia 23 maja 1953 roku. Oto jej fragment: *Ponieważ w tym samym leśnictwie pracuje (Bolcek) od 1925 r. do obecnej chwili, zakumał się z kułakami i idąc kułakom na rękę, gdzie również jest obok nowa spółdzielnia produkcyjna, to jej nie idzie na rękę. W dużym stopniu cechuje się u niego zachłanność, zatrudnia dwie siły najemne, użytkuje około 15 ha ziemi*. Następnie dyrektor Rejonu LP drobiazgowo wylicza posiadany przez Bolcka inwentarz: dwa dobre konie, pięć krów, dużo drobiu. W podsumowaniu podpowiada, że Bolcka *należałoby przenieść z tego terenu (...) jako dobrego fachowca na inny teren*.

To były ciężkie i nośne w okresie przymusowej kolektywizacji zarzuty. Wielu co bardziej przedsiębiorczych włościan było wówczas zaliczonych w poczet kułaków i trafiło do więzień. Bolcek „tylko” stracił pracę.

Nakazano bezwzględne przekazanie z dniem 1 października 1953 roku Leśnictwa Tryszczyn nowemu leśniczemu. W takiej sytuacji totalnego zaszczucia 26 września 1953 roku Bolcek skierował pismo do Okręgu LP w Toruniu: *Niniejszym składam moją decyzję o wystąpieniu ze służby państwowej z dniem 30 września 53 r.*

i proszę o przyjęcie tej decyzji. W obecności dyrektora Rejonu LP oraz radcy prawnego poinformowano Bolcka, że i on i rodzina tracą prawo do uposażenia emerytalnego.

Wobec ciężkiej choroby żony, postępującego paraliżu, ostatecznie pozwolono Bolckowi na pracę na stanowisku składnicowego w Zespole Składnic LP w Bydgoszczy. Pracował najpierw jako bindugowy na kilku bindugach na Brdzie, a następnie na składnicy drewna w Maksymilianowie, dokąd mógł z miejsca zamieszkania w Opławcu dojeżdżać rowerem. Zamieszkał w prywatnym domu w Opławcu i dorabiał na niewielkim gospodarstwie rolnym.

REHABILITACJA 1957

W wyniku „odwilży” 1956 roku pojawiła się szansa na rehabilitację. Leśników prześladowanych i skrzywdzonych w okresie stalinowskiej dyktatury w Polsce rządzonej przez komunistów było wielu. Komisja Rehabilitacyjna utworzona przy Zarządzie Lasów Państwowych w Toruniu rozpatrzyła wniosek Henryka Bolcka z 29 kwietnia 1957 roku o rehabilitację i przywrócenie go na dawne miejsce pracy. Warto podać jej skład osobowy, wszak wydanie uczciwego orzeczenia wymagało wówczas dużej cywilnej odwagi: przewodniczący mgr Józef Drożański, sekretarz mgr Aleksandra Wielińska, członkowie: inż. Ryszard Tempczyk, inż. Tadeusz Wojtowicz i Stanisław Chrapan.

Komisja w pełni zrehabilitowała leśniczego Henryka Bolcka, rozwiązanie stosunku służbowego uznała za niesłuszne i krzywdzące, potwierdziła pełne kwalifikacje do pełnienia funkcji leśniczego, wskazała na predyspozycje do pełnienia nawet wyższych funkcji w Lasach Państwowych. Zarzuty polityczne uznała za całkowicie chybione oraz wskazała, że dla pełnego zadośćuczynienia Henryk Bolcek winien być zatrudniony na stanowisku zajmowanym przed zwolnieniem go ze służby, to jest w charakterze leśniczego Leśnictwa Tryszczyn.

Komisja komisją, orzeczenie orzeczeniem, a rzeczywistość PRL – po chwilowym entuzjazmie i pobudzeniu nadziei – szybko wróciła w niedawne koleiny budowania komunizmu o „ludzkiej twarzy”. Bolcek kilkakrotnie zwracał się z podaniem o przywrócenie na stanowisko leśniczego, jeśli nie w Tryszczynie, to w jednym pobliskich leśnictw. Jeśli otrzymywał jakieś propozycje, to zawsze były skrajnie odległe od miejsca zamieszkania.

Jego sytuacja życiowa stawała się ciężka. W 1959 roku w piśmie do Zarządu LP w Toruniu, po przepracowaniu 40 lat w Lasach Państwowych, napisał m.in.: *Obecnie zarabiam netto 932 zł, a tak się ułożyło u mnie, że mam na utrzymaniu 4 osoby. To też od 6 lat (tj. od chwili pozbawienia stanowiska leśniczego w Tryszczynie – przyp. TaCh) w wolnych od zajęć służbowych chwilach, niedziele, jak i na urlopie wypoczynkowym zarabiać muszę ciężką pracą fizyczną, najczęściej w wielkiej odległości od domu, na najskromniejsze nasze utrzymanie, a choćby o najprymitywniejszej inwe-*

stycji odzieżowej w ogóle nie ma mowy. Przy tym czuję, że siły moje z powodu wieku, jak i przeżyć moralnych już ustawają. Gdy 40 lat temu (po ukończeniu szkoły leśnej w Templinie – przyp. TaCh) jako młody leśnik na zew Ojca-patrioty przybyłem do Polski i zaangażowałem się w polskiej Administracji Lasów Państwowych, nigdy nie przypuszczałem, że w tak skrajnie ciężkich i tragicznych warunkach zakończyć mam moją karierę jako moralny wrak człowieka. Nie wiadomo, czy ten wniosek został jakkolwiek uwzględniony.

Stosunek przełożonych do Henryka Bolcka zmienił się nieco na lepsze po 1960 roku, gdy zmienił się dyrektor Zarządu LP w Toruniu. We wniosku awansowym starszego składnicowego Bolcka Henryka pojawia się krótka, treściwa opinia komisji: *Pilny. Wysokie poczucie dyscypliny i uczciwości. Długoletni leśniczy. Bardzo przykre warunki osobiste. Żona sparaliżowana. Łucja Bolcek całkowicie zaniemogła, zmarła w maju 1964 roku (ur. w 1899 r.).*

Henryk Bolcek przeszedł na emeryturę z końcem 1969 roku. Nadal jednak prowadził aktywny tryb życia, m.in. na niwie łowieckiej oraz w swoim niewielkim gospodarstwie rolnym. Tak jak w czasie pracy zawodowej, przemierzał rowerem na co dzień kilometry drogami leśnymi i publicznymi. W 1979 roku uległ wypadkowi. Potrącony przez samochód doznał pęknięcia czaszki, trafił do szpitala, gdzie wkrótce zmarł. Został pochowany na cmentarzu przy ul. Chojnickiej w Bydgoszczy.

Tadeusz Chrzanowski

Zdjęcia: archiwum

Podziękowanie

Autor opracowania składa serdeczne podziękowanie wszystkim, którzy udzieliли wsparcia w przygotowaniu biogramu leśniczego Henryka Bolcka. Są to przede wszystkim Siostry zakonne z Klasztoru Sióstr Karmelitanek Bosych w Trzszczyźnie, dr Robert Grochowski – archeolog, prowadzący ekshumacje na cmentarzu w Trzszczyźnie i autor opracowania historycznego dotyczącego zbrodni w Trzszczyźnie. Dziękuję Panu Hubertowi Zygmuntowi, siostrzeńcowi leśniczego Henryka Bolcka za udostępnienie fotografii z archiwum rodzinnego oraz cenne uwagi uzupełniające wiedzę o leśniczym i jego rodzinie.

Źródła:

Akta osobowe Henryka Bolcka z: archiwum zakładowego Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu.
Grochowski Robert – Opracowanie historyczne, tekst i plany na tablicy umieszczonej przy „Cmentarzu ofiar terroru hitlerowskiego z okresu II wojny światowej w Trzszczyźnie”.
Kołakowski Zbigniew – Zapomniana zbrodnia w Trzszczyźnie. Maszynopis. Bydgoszcz 2003.
Siostry Karmelitanki z Karmelu p.w. Narodzenia Pańskiego w Trzszczyźnie – Pan Henryk Bolcek (były leśniczy Leśnictwa Trzszczyn) mówi o rozstrzelaniach Polaków w rejonie leśniczówki w dniach 30.09.1939 r. – 16.10.1939 r. Trzszczyn, 1976 rok.



Ryszard Sierpiński (1896-1983)

Inspektor RYSZARD SIERPIŃSKI

(1896-1983)



yszard Sierpiński urodził się na Podolu. W czasie rewolucji w 1917 roku stracił rodziców i całe mienie, a sam przez Turcję uciekł do Polski. Tu studiował leśnictwo w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Jego żona (pobrali się w Warszawie) pochodziła ze szlacheckiej polskiej rodziny w guberni witebskiej.

Również w czasie rewolucji straciła rodziców i majątek, sama zaś przez Mińsk przedostała się do Polski, gdzie na Uniwersytecie Warszawskim studiowała polonistykę. Jednak w 1928 roku zmarła przy urodzeniu dziecka. Po jej śmierci Sierpiński wyjechał z córeczką na Kresy Wschodnie i w Nadleśnictwie Naliboki, w woj. nowogródzkim, objął najpierw funkcję leśniczego, a następnie nadleśniczego. Siedziba nadleśnictwa znajdowała się w głębi Puszczy Nalibockiej, w osadzie Budy, oddalonej 16 km od Nalibok. Po pięciu latach powtórnie się ożenił i z tego małżeństwa urodził się syn Jerzy.

10 lutego 1940 roku cała pięćosobowa rodzina (Sierpiński z żoną, dwoje dzieci i teściowa staruszka) została wywieziona do obozu w rejonie Wożega, na północ od Wołody. Do tego samego obozu został również deportowany leśniczy Sierpińskiego – Stanisław Czaiński ze swą rodziną (czytaj na stronach: 310-335). Przez cały okres pobytu na zesłaniu przebywali razem i łączyły ich wspólne losy.

Po układzie Sikorski-Majski i ogłoszeniu amnestii dla Polaków Czaiński i Sierpiński wyruszyli ze swymi rodzinami na południe, do armii generała Andersa. Jednak w Swierdłowsku władze radzieckie nie przepuściły transportu na południe, kierując go na południowy wschód przez Omsk, Nowosybirsk, Barnauł do miasta Bijsk w Kraju Ałtajskim, blisko granicy z Mongolią i Chinami. Po przewiezieniu do stacji Gordiejewo zatrudniono ich w pobliskim sowchozie jako robotników rolnych. Po pewnym czasie Sierpińskiego i Czaińskiego powołano do Omska, gdzie najpierw pracowali przy organizowaniu wzorcowego sowchozu, a następnie przy urządzaniu okolicznych lasów.

W 1946 roku Sierpiński powrócił wraz rodziną do Polski. Wkrótce potem podjął pracę w leśnictwie, najpierw jako nadleśniczy w Nadleśnictwie Łobez, w ówczesnej lubuskiej dyrekcji Lasów Państwowych, a następnie przeniósł się do Chojnic w dyrekcji toruńskiej (1952), gdzie aż do przejścia na emeryturę pracował jako inspektor Lasów Państwowych. Zmarł w wieku 87 lat, w 1983 roku.



Dzień Lasu na Kresach Wschodnich w Nadleśnictwie Naliboki (woj. nowogrodzkie), w r. 1935. Pierwszy z prawej stoi nadleśniczy Ryszard Sierpiński. Pośrodku grupy, częściowo zakryty, w czapce i mundurze leśnika – leśniczy Stanisław Czaiński. Fot. archiwum rodziny Czaińskich

Autorką wspomnień jest córka Ryszarda Sierpińskiego z pierwszego małżeństwa, która w chwili aresztowania i deportacji miała nieco ponad 11 lat. W okresie pobytu w Kraju Ałtajskim na niej spoczywało – pod nieobecność ojca – wyżywienie i utrzymanie całej rodziny.

RODZINA

Na początku kilka szczegółów o mojej rodzinie. Ojciec – Ryszard Sierpiński, urodzony w 1896 roku w Suhakach na Podolu, stracił rodziców i całe mienie w czasie rewolucji w 1917 roku. Uciekł z Rosji przez Turcję do Polski. Tu skończył Wydział Leśny na SGGW w Warszawie. Matka – Waleria Sierpińska, z domu Okulicz-Kozaryn, urodziła się w 1898 roku w Rosji, na terenie guberni witebskiej. W czasie rewolucji w 1917 roku straciła całą rodzinę i majątek, który został nadany jej przodkom za szczególne męstwo i odwagę. Okulicz-Kozarynowie walczyli aż do zawarcia pokoju u Chodkiewicza – hetmana [...]. Matka przez Mińsk uciekła przed rewolucją do Warszawy. Na Uniwersytecie Warszawskim ukończyła polonistykę. Tu, w Warszawie, wyszła za mąż i w 1928 roku zmarła przy urodzeniu dziecka. Jest pochowana na Bródnie. Tym dzieckiem jestem ja, Teresa Waleria Sierpińska, po mężu Januszewska.

Po śmierci matki ojciec wyjechał na Kresy Wschodnie. Zamieszkaliśmy w Puszczy Nalibockiej, powiat Stołpce, woj. nowogródzkie, Nadleśnictwo Budy Naliboki. Po pięciu latach ojciec ożenił się powtórnie. Z tego związku jest mój przyrodni brat Jerzy. Mieszkała z nami matka macochy, 70-letnia staruszka. W takim składzie zostaliśmy wywiezieni do ZSRR 10 lutego 1940 roku – razem pięć osób [...].

SIEDZIBA NADLEŚNICTWA

Nadleśnictwo było położone bardzo pięknie nad Niemnem, w Puszczy Nalibockiej, daleko od miast: do Stołpców było 50 km, do Nowogródka 45 km. W puszczy żyła różnorodna zwierzyna i dzikie ptactwo. Co roku przyjeżdżali tam myśliwi z Francji, Niemiec i całej Polski. Szczególnie zimą polowano na dziki, lisy, rysie i wilki.

Mieszkaliśmy tam w ciszy i spokoju aż do wojny 1939 roku. Osiedle nasze składało się z pałacyku myśliwskiego po byłym właścicielu Niemcu, od którego skarb państwa otrzymał puszcę i pałac po 1919 roku. W drugim, mniejszym budynku mieszkał sekretarz z rodziną i woźny. W trzecim mieściła się firma żydowska, która na mocy umowy eksploatowała drewno i spławiła je Niemnem. Do najbliższego miasteczka Naliboki, w którym mieszkali Żydzi i w mniejszości Białorusini, było 16 km bardzo złej drogi przez las. W miasteczku była siedmioklasowa szkoła, kościół, trochę żydowskich sklepików – i to wszystko. Biura nadleśnictwa mieściły się w pałacyku, tam też było mieszkanie prywatne nadleśniczego.

NOCLEG W NADLEŚNICTWIE EKIPY ADAMA LORETA

15 września 1939 roku ojciec otrzymał wiadomość, że z Warszawy wyruszyła do nas kolumna samochodów¹, a w niej Naczelną Dyrekcja Lasów Państwowych z dyrektorem na czele. Dyrektor, o ile pamiętam, nazywał się Loret. Było z nim 27 osób, w tym dwie kobiety – sekretarki. Był jeden wojskowy łązik, chyba z obstawą. Miałam wtedy 11 lat i piszę to, co zapamiętałam, widziałam i znam z opowiadań ojca. Razem było siedem osobowych aut². Mieli u nas odpocząć, przenocować i następnego dnia ruszyć do Rumunii. Ponieważ na wypadek wojny w Puszczy zmagazynowano duże ilości paliw, goście mieli zaopatrzyć się w paliwo na dalszą drogę.

Przyjechali do nas 16 września po południu. Zjedli obiad i odpoczywali. Przyszedł nasz woźny i powiedział do ojca, że goście powinni zaraz odjechać dalej, bo ściągną na jego głowę tylko nieszczęście. Po pewnym czasie Żydzi, rozmawiając z ojcem, powiedzieli, że wszyscy powinni już jechać, czasy są niespokojne i jak najszybciej powinni się znaleźć w Rumunii. Niestety nie powiedzieli, że następnego dnia wkroczą Rosjanie, a nikt tego nie przewidział, nie domyślił się nawet ojciec. Jednak goście zostali powiadomieni przez ojca, że wszyscy radzą im jechać. Po naradzie postanowili nocować. Ojcu i pracownikom wypłacili pensje za pół roku naprzód. Wieźli ze sobą dużo pieniędzy, złota, kosztowności. Po prostu dorobek życia. Nie było z nimi rodzin. Te zostały w Warszawie. Młody porucznik pojechał wojskowym łązikiem do Leśnictwa Kleciszcze po paliwo. Miał wrócić w nocy. Już nie wrócił. Jak się później okazało, był jedyną osobą, która się uratowała przed Rosjanami. Kiedy byliśmy na Syberii, od tego porucznika przyszła kartka z Grecji z pozdrowieniami i podziękowaniem za gościnę. Jak udało mu się uciec z Polski nie wiemy, ani skąd miał nasz adres³.

Przez całą noc ojciec palił w kominku tajne dokumenty. Takie dostał polecenie od dyrektora. A rano wszyscy wstali o godzinie 4.30 i zaczęli szykować się do podróży. Zjedli śniadanie, włączyli radio i już usłyszeli głos przemawiającego Stalina⁴, że wojska radzieckie przekroczyły granice Polski. Zrobił się popłoch, niektórzy z nich płakali. Od nas do głównego traktu prowadzącego na południe było 7 km leśnej drogi. Zaraz wszyscy odjechali, licząc, że zdążą przed wojskiem. Niestety, na skrzyżowaniu spotkali sowieckie czołgi⁵. Rosjanie potraktowali ich bardzo brutalnie. Zabrali samochody i również to, co mieli. Zawieźli ich do więzienia w Nowogródka, a potem na Kołymę. Dwie kobiety po śledztwie podobno zwolnili i wróciły do Warszawy⁶. Ale nie wiem, czy tak było naprawdę.

WOŹNY KONFIDENTEM

Pragnę opisać woźnego, który odegrał szczególną rolę po wkroczeniu wojsk sowieckich 17 września 1939 roku. Nazywał się Michno. Był Białorusinem, mieszkał z żoną i czwórką dzieci w budynku administracyjnym. Komunistą był z przekonania i regularnie chodził przez zieloną granicę z meldunkami do ZSRR. Ojciec i wywiad

wojskowy byli o tym poinformowani. Jednak z pracy nie został zwolniony. Był bacznie obserwowany. Podsuwano mu różne fałszywe dokumenty. Jeździł po poczcie do miasteczka, ale listy ważne i poufne ojciec odbierał osobiście. Chyba niewiele mu Rosjanie płacili, bo żył z rodziną bardzo skromnie, a dzieci ubierała przeważnie moja matka. Kiedy 17 września wkroczyły wojska radzieckie, nasz woźny Michno witał je bardzo serdecznie.

ARESztOWANIA, PRZESŁUCHANIA

Uzbrojony oddział sowiecki przyjechał do nadleśnictwa po południu 17 września. Już wiedzieli, że ojciec miał ważnych gości. Wyprowadzili ojca do lasu i pewnie by go zabili, ale nasz woźny Michno poręczył swoją głową, że ojciec nie należał do żadnej partii i nie zajmował się polityką. Wrócili z lasu i robili rewizję. Zabrali całą broń myśliwską i amunicję. Szukali złota, ale nie znaleźli. Kasetka była pod poduszką w sypialni, a oni szukali pod materacami. Tym razem ocalało.

Dwa tygodnie minęły spokojnie, po czym jednej nocy przyszła grupa uzbrojonych Białorusinów i zabrała ojca do więzienia w Nowogródku. Prowadzili go pieszo 45 km i po drodze zabierali innych. Nie było wiadomo, czy kogoś po drodze nie zabiją. Zaczęły się nocne przesłuchania: czy w Puszczy nie ukrywają się oddziały wojska, czy nie ma partyzantki, czy ojciec coś wie o ludziach z II Oddziału Wojskowego (wywiad), którzy przyjeżdżali do ojca, gdzie są nazwiska i adresy. Na żadne z pytań ojciec im nic nie odpowiedział, bo wielu rzeczy naprawdę nie wiedział, a to co wiedział, i tak od wyroku by go nie uchroniło. Po kilku dniach do Nowogródka przyjechali Żydzi z firmy, tej od spławiania drewna, i poręczyli za ojca własnymi głowami. Oni też byli komunistami i po wkroczeniu wojsk sowieckich liczone się z ich zdaniem. Po naszej deportacji i wypowiedzeniu wojny przez Hitlera wyjechali do Związku Radzieckiego. Nie wyjechał Michno, Rosjanie kazali mu zostać i pracować dla nich. Niemcy, po wkroczeniu, powiesili Michnę za współpracę z komunistami.

POD NOWĄ WŁADZĄ

Władza radziecka zaczęła urzędowanie od przystania komisarza do Nalibok. Ten oczywiście musiał się luksusowo urządzać z rodziną, więc zaczął rabować co zamożniejszych obywateli. Rodzice moi w 1937 roku kupili nowe piękne meble, dywany, różne piękne drobiazgi. Cały dom był już urządzony. Komisarz ze swoimi ludźmi wywiózł od nas rzeczy na 11 wozach: meble, dywany, porcelanę, szkło, bielelną pościelową, osobiste rzeczy, nawet ubrania dziecięce, moje i brata. Zostaliśmy w jednym pokoju, zagubieni i przerażeni. Zabrali nam albumy rodzinne, żebyśmy zapomnieli, że kiedyś było inaczej.

Jednak okazało się, że rodzicom udało się coś uratować. To nas ocaliło na Syberii od głodu. Nim przyjechał komisarz ze swoimi ludźmi, rodzice przygotowali dwie duże walizki. Do jednej włożyli srebrne sztucce i inne drobiazgi, do drugiej suknie,

bieliznę, pantofle, rękawiczki i inne drobne rzeczy, bardzo ładne, kupowane w Warszawie i Wilnie. To ojciec z naszą pokojówką Zosią zakopali nocą w trocinach w drewniaku. Kiedy wywozili nas saniami do stacji kolejowej Stołpce, w nocy 10 lutego 1940 roku, Zosia wymknęła się, odkopała wszystko i wrzuciła na sanie tak, że nikt tego nie zauważył. Złote drobiazgi w metalowej kasetce zakopał wcześniej w stajni nasz stangret Józef, razem z ojcem. Był to stary Białorusin, traktowany przez rodziców jak członek rodziny. Niestety nie przyniósł tego, chociaż mógł, nikt go nie pilnował. Nie znając ich wartości, po naszym wyjeździe sprzedał te pamiątki za bezcen na targu w Nalibokach.

WYWIEZIENIE DO OBOZU NA PÓŁNOC OD WOŁOGDY.

WARUNKI OBOZOWE

Wyjechaliśmy z Polski 10 lutego 1940 roku. Zima była ciężka, mrozy dochodziły na Kresach Wschodnich do -40°C . Na Syberii zima była jeszcze cięższa, tam mrozy przekraczały -40°C i śnieg leżał do maja.

Do stacji kolejowej Stołpce dojechaliśmy saniami – 45 km. Tam już stały wagony bydłące z piecykami żelaznymi w środku. Było w nich bardzo zimno. Pościel przymarzała do prycz. Jechaliśmy parę tygodni w zamkniętych wagonach. Cały transport był strzeżony przez uzbrojonych żołnierzy. Przyjechaliśmy do stacji Wożega. Tam kazali nam wysiadać i ładować się na sanie. Do miejsca przeznaczenia było 60 km. W środku lasu stały drewniane baraki, cały obóz otoczony drutami kolczastymi i pilnowany przez NKWD-zistów z psami. Nazywał się ten obóz Zielony Bor.

Wewnątrz baraków były prycze zbite z desek. Każda rodzina otrzymała miejsce na pryczy, a przywieziony dobytek mieścił się pod pryczami. Pośrodku baraku stał żelazny piecyk, który ogrzewał; na płycie można było coś ugotować. Na początku każda rodzina jeszcze mogła coś ugotować z zapasów przywiezionych z Polski, później chodziło się do wsi i wymieniało rzeczy zabrane z Polski za ziemniaki i mąkę, bo niczego innego ci ludzie nie posiadali. Do wsi można było iść, uzyskawszy przepustkę od komendanta, na określony czas i do wiadomej wsi. Komendant nazywał się Dobrowolski, takie polskie nazwisko. Może nie był jeszcze najgorszy. W obozie była stołówka i do czasu wojny z Niemcami nikt nie głodował. Było proste jedzenie, jakieś zupy i kasze kraszone olejem słonecznikowym. Jednak kiedy zaczęła się wojna, stołówkę zamknięto i wszystkie produkty przeznaczono dla wojska. Polakami nikt się nie przejmował.

W naszym obozie byli nadleśniczowie, leśniczowie i gajowi z rodzinami, zarówno z lasów państwowych, jak i prywatnych, np. Radziwiłła. Pamiętam, że od ojca był gajowy Dubicki i Hołaj, od Radziwiłła leśniczy Łazarz z żoną i dwójkiem dzieci. Początkowo była z nami tylko jego żona z dziećmi, a on gdzieś na wojnie.

Potem, przed zagładą naszych oficerów w Starobielsku, NKWD przywiozło go do żony. Stwierdzili, że był tylko plutonowym, więc szkoda było kuli dla niego.

W naszym regionie nie było tartaków ani innych zakładów przerabiających drewno. We wsiach nie było wodociągów, kanalizacji ani światła elektrycznego. W każdej chacie był drewniany stojak do łuczywa. Smolne listwy wkładało się do stojaka i zapalało. Siedział sobie stary dziadek i zmieniał listwy, żeby zawsze było jasno. Kobiety skubały pierze albo przędły wełnę na skarpety i rękawice.

DARY PRZYRODY

Mieszkaliśmy w środku dużego lasu, na terenie podmokłym. Kilka kilometrów od obozu płynęła duża spławna rzeka Kubina⁷. Od wiosny do jesieni w lasach pełno było pięknych kwiatów, jagód i grzybów. Dużo było zwierzyny: sarny, jelenie i łosie, które spacerowały bardzo blisko ludzi, jak pasące się krowy. Nikt do nich nie strzelał, bo pozwolenia na broń mieli tylko zatrudnieni myśliwi. Oni ustrzeloną zwierzynę musieli oddać i rozliczyć się z amunicji. Myśliwi polowali przeważnie na zwierzynę z pięknymi skórami, bo za to państwo płaciło dobrze.

Były też specjalne zbieraczki, które zbierały żurawiny i dostarczały do szpitali. Ponieważ było mało lekarstw, a niektórych wcale, wykorzystywano zioła. Żurawina obniża gorączkę i ciśnienie.

PRACA W LESIE

Wszyscy pracowali w lesie – mężczyźni, kobiety, dzieci. Mężczyźni zajmowali się wyrębem lasu, młodsze kobiety też. Reszta obcinała gałęzie i znosiła na sterty, które później palono. Część kobiet cięła piłami bale i układała w sęgi na zrębach. Nikt nie zalesiał zrębów, jak to się robi w Polsce i na świecie. Ponadto z brzoźowych bali cięto kilkunastocentymetrowe klocki, a potem je rąbano na małe kawałki. Po podsuszeniu używano ich do napędu samochodów ciężarowych, które pracowały w lesie. Ciężarówki miały wysokie kominy do odprowadzania spalin. Te małe kawałki brzoźowe nazywały się po rosyjsku „czuryczki”.

Zimą też ścinano i przygotowywano drewno. Część ludzi zajmowała się zwożeniem drewna nad rzekę Kubienę. Do tego służyły ciężkie traktory gąsienicowe. Do traktorów doczepiano duże i długie sanie, do 10 sztuk, na trzech płozach: jedna, środkowa, szeroka i dwie boczne ruchome, węższe. Dla tych sań budowano drogę przez las do samej rzeki. Nazywała się lodzianka, od słowa lód. Droga miała szerokość dwóch pasm naszej drogi i jeszcze pobocza. Na tej trasie latem nie ścinano drzew, tylko karczowano. Ziemię wyrównywano. Zimą, kiedy spadły duże śniegi i był mróz, drogę trzeba było przystosować do zwózki drewna. Pośrodku drogi łopatomi kopało się w śniegu rynnę, a po bokach – takie węższe koleiny. Następnie jechał traktor z beczką i polewał wodą. Aby dobrze zamarzło, polewał kolejno kilka razy, aż w rynnie był twardy lód, a po bokach dobrze ubity śnieg. Droga biegła aż do rzeki.

Miała chyba długość 5-7 km. Podzielona była na 500-metrowe odcinki, na których pracowały dzieci. Przychodziło się rano, a kończyło się, jak już się ściemniało. Praca nasza polegała na zmiataniu swojego odcinka miotłą – tej właśnie rynny i bocznych kolein. Jeżeli padał śnieg, to pracy było dużo, bo trzeba było pracować łopatą. Tak było całą zimę, aż do stopnienia śniegu. Dorośli ładowali drewno na sanie w lesie i rozładowywali nad rzeką. Wiosną, jak rzeka ruszyła, zaczynało się spławianie. Tratew nie wiązano. Spychano pojedyncze sztuki ze skarpy do wody.

Na poboczach wolno było palić ogniska, jeżeli droga była czysto zamieciona, wolno było coś zjeść i ogrzać się. Przeważnie mieliśmy ze sobą suchy chleb. Rumieniło się chleb na patyku i to było nasze jedzenie. Od baraków do lodzianki było kilka kilometrów, które trzeba było przejść codziennie.

Praca w lesie była bardzo ciężka, zwłaszcza dla ludzi nie przyzwyczajonych do niej. Dlatego ojciec i matka trafili do szpitala w Woźedze [Wożega] na operację przepukliny. 60 km przebyli na wozie, bo nie było innej możliwości. Miejscowa ludność również pozostawała bez opieki lekarskiej. Ratowali się sami ziołami i Polaków tego nauczyli. Lekarka pojawiła się w obozie, kiedy Niemcy wypowiedzieli wojnę. Była żoną wysokiego NKWD-zisty z dwojgiem dzieci. Wysłali ją w głąb Rosji z Leningradu przed groźącą blokadą. Starła się ratować, nas Polaków też, ale nie miała lekarstw.

Wiosną wybuchła epidemia odry z powikłaniami u dzieci. Umarło 2/3 małych dzieci. W niektórych rodzinach zmarły wszystkie, zarażając się jedne od drugich.



Brygada kobiet przy wyróbce drewna stosowego w syberyjskim lesie. Fot. archiwum

My z bratem przeżyliśmy, bo była z nami babcia, która pilnowała nas i nie pozwoliła wyjść z łóżka, aż minęła choroba. Dzieci umierały na zapalenie płuc.

W naszym leśnym obozie było dużo mężczyzn w wieku od 30 do 60 lat, jak również młodzieży do 20 lat. Młodzi stworzyli brygadę, którą nazwali „złota brygada Amelusika”, od nazwiska brygadzysty. Nie wiadomo o czym między sobą rozmawiali w lesie, może o Polsce, o powrocie, ucieczce. Ktoś podsłuchiwał, ktoś doniósł. Całą brygadę wywieźli na Kołymę, a może i dalej. Dla rodziców tych młodych ludzi była to tragedia. Jeden z nich, który wrócił do rodziny w 1946 roku, nie miał ani jednego zęba. Panowały tam nieludzkie warunki pracy, temperatura -50°C, głód, ciężka praca, brak jarzyn. Statek przywoził zaopatrzenie, jak puściły lody, raz w roku, i wracał. Wszyscy chorowali na szkorbut. Co stało się z resztą młodzieży, nie wiem.

W tym samym czasie [1941 r.] resztę mężczyzn zamknięto w więzieniu w Wołogdzie. Nie wiadomo za co. Wrócili po amnestii dla Polaków, którą załatwił generał Sikorski w wyniku układu ze Stalinem. Na mocy tej umowy staliśmy się ludźmi wolnymi i mogliśmy się przemieszczać po całym Związku Radzieckim.

WYJAZD DO KRAJU AŁTAJSKIEGO

Po ogłoszeniu amnestii dla Polaków w obozie zaczęto się naradzać nad wyjazdem gdzieś na południe, gdzie nie ma lasów, a sieją zboże – do sowchozów. Nasi rodzice postanowili wyjechać w okolice Taszkientu, gdzie tworzyło się wojsko polskie. Ojciec miał wtedy 45 lat. Rosjanie dostarczali bydłące wagony i w miarę możliwości odprowadzali transporty z Polakami na południe. W tym czasie trwała już wojna z Niemcami i pierwsi ranni byli transportowani za Ural, podobnie jak fabryki i urzędy. Możliwości kolei były ograniczone. Polacy mieszkający bliżej stacji kolejowych wyjechali wcześniej i dotarli na południe. Kiedy my dojechalismy do Swierdłowska, droga na południe była już zamknięta. Panowała tam epidemia tyfusu i innych chorób. Ludzie, wygłodzeni i wycieńczeni ciężką pracą, umierali masowo, nieraz całe rodziny z dziećmi. Tak rodzice stracili znajomych, którzy wyjechali przed nami. Brak było podstawowych lekarstw, lekarzy, szpitali. Nas skierowano przez Nowosybirsk, Barnaul do Ałtajskiego Kraju, w okolice Bijska. Zamieszkaliśmy w sowchozie „Proletariat”.

W POGONI ZA POCIĄGIEM Z RODZICAMI

Zanim dojechalismy na miejsce, a trwało to chyba sześć tygodni (już dobrze nie pamiętam), zdarzyło się kilka dramatycznych epizodów. Po dwóch tygodniach podróży nie mieliśmy już żywności. Kupić też nie było możliwości. Na postojach, które trwały nieraz parę dni, dzieci zaczęły szukać czegoś do jedzenia. Było nas chyba pięć osób, dziewczęta i chłopcy. Pewnej nocy odkryliśmy transport konserw amerykańskich w zaplombowanych wagonach, których pilnowali uzbrojeni żołnierze. Kiedy wartowników zmorzył sen, otworzyliśmy wagon. Przechodząc pod

wagonami, wynieśliśmy kartony mleka skondensowanego, puszki z koniną, puszki rybne. Rodzice byli przerażeni. Na szczęście nasz transport rano odjechał w dalszą drogę. Zapewniło to nam jakieś wyżywienie na pewien czas. Nie mieliśmy soli i nie można było jej kupić. Na jednej stacji znaleźliśmy cały transport soli, przewożony z kopalni na otwartych wagonach. Poszliśmy więc z wiaderkiem, nasypaliśmy soli i już prawie nam się udało, kiedy wyrosła przed nami rosyjska milicjantka. Kazała sól wysypać, a nas poprowadziła do komisariatu. Było nas pięcioro, a ona jedna, więc jej uciekliśmy. Miała broń, ale nie strzelała do nas.

Kiedy nasz transport zatrzymywał się, należało zaopatrzyć się w wodę. Zawsze pytaliśmy, jak długo będziemy stali. Tym razem wzięłam moje wiaderko i o szóstej rano poszłam po wodę. Ubrana byłam w krótki zakopiański kożuszek, wełnianą czapkę, sznurowane buciki, bez rękawiczek. Był mróz i jeszcze była zima, chociaż był marzec. Kiedy po 15 minutach przyszłam z wodą, naszego transportu już nie było. Odjechał po paru minutach postoju. Poszłam do zawiadowcy stacji. Śmiał się tylko: mogę pracować na tej stacji, a w tym wojennym bałaganie pewnie nie spotkam rodziców. Stacja nazywała się Swieczka, po polsku Świeca. W tym czasie władałam językiem rosyjskim tak dobrze, jak polskim. Dzieci nauczyły się języka bardzo szybko.

Postanowiłam dogonić nasz „eszołn” za wszelką cenę. Najszybciej podążyły za Ural, tzn. od Uralu na wschód, pociągi z rannymi. Postanowiłam poczekać na peronie na taki „eszołn”. Po godzinie nadjechał. Stał 25 minut. Miał w swoim składzie wagony osobowe z ciężko rannymi i na końcu kilka bydłowych z lżej rannymi. Cały peron obstawiony był kolejową milicją. Kilka razy zwracano mi uwagę, że trzeba się odsunąć od pociągu. Ja jednak postanowiłam jechać właśnie tym pociągiem. Nie wiedziałam dokąd nasz „eszołn” skierują za Uralem, ale wiedziałam, że pojedziemy dalej.

Kiedy pociąg ruszył i nabierał szybkości, wskoczyłam na schodki wagonu osobowego i kurczowo uchwyciłam się poręczy. Ktoś z peronu krzyczał, strzelał do góry, ale ja już jechałam. Nie wiem, jak długo tak jechałam. Byłam sztywna i skostniała z zimna. Drzwi do wagonów były zamknięte. Jakaś pielęgniarka, przechodząc z jednego wagonu do drugiego, zauważyła mnie. Ktoś dostał się na schodki, przytrzymał mnie, otworzyli drzwi i zabrali do środka. Rozcierali spirytusem nogi, ręce. Dali gorącej herbaty z wódką, dali obiad i musiałam wszystko opowiedzieć. Cały czas jechaliśmy, a ja siedziałam w ciepłym wagonie.

Jak tylko pociąg zatrzymał się na stacji, kazali wysiąść. Nie mogłam podróżować z wojskiem. Podziękowałam i poszłam na koniec pociągu. Poprosiłam żołnierzy, żeby mnie zabrali. Zgodzili się i tym samym pociągiem jechałam dzień i noc, nie wiedząc czy rodzice jadą przed nami, czy za nami. Aż w nocy, kiedy drzemałam przy drzwiach, a pociąg stał, usłyszałam głos ojca, który chodził między „eszołnami” na każdym postoju i wołał mnie po imieniu. Podziękowaliśmy z ojcem

moim rannym żołnierzom za gościnę i poszłam do naszego wagonu. Już do końca naszej podróży ojciec pilnował mnie jak oka w głowie. W ten sposób dotarliśmy do Ałtajskiego Kraju.

W SOWCHOZIE

Nasze wagony skierowano, przez Nowosybirsk i Barnaul, do stacji kolejowej Gordiejewo. Pracowaliśmy w pobliskim sowchozie „Proletariat”, latem w polu, zimą na elewatorze, blisko ziarna, a w ten sposób i chleba. Jednak nadal było zimno i głodno. Ziarno można było tylko ukraść, ale jak złapali, można było spędzić kilka lat w więzieniu.

Krótko po osiedleniu się w sowchozie, ojciec był zmuszony wyjechać w okolice Omska. Ze swoim leśniczym, panem Czaińskim, musieli przyjąć pracę przy urządzaniu wzorcowego sowchozu, takiego który można pokazać zagranicznym delegacjom. Musiał być park i fachowo posadzone odpowiednie drzewa i krzewy. Po tej pracy zlecono im inne zadania w okolicznych lasach. Ojciec wrócił do nas dopiero na wiosnę 1946 roku i z nami jechał do Polski.

Utrzymanie i wyżywienie czterech osób spoczęło na mnie. Było bardzo ciężko, panował głód. Wszystkie wartościowe przedmioty dawno zostały sprzedane. Jedliśmy chleb na kartki: 0,5 kg dla ciężko pracującego, tzn. dla mnie, 100 g dla brata, 100 i dla babci i 300 g dla matki, która pracowała w pracowni dziewiarskiej. Resztę, tzn. ziarno, trzeba było ukraść. Mieliśmy takie małe żarna, zrobione chałupniczo, na nich mieliło się ziarno pszenicy albo inne i piekło się na płycie kuchennej podpłomyki. Wszystko trzeba było robić po kryjomu.

Zimą nie było opału, trzeba było jechać do lasu wołem zaprzężonym w sanie, wyrąbać takie karłowate brzozy i przywieźć do domu. Matka zupełnie nie mogła sobie poradzić, nie była przygotowana do takich obowiązków. Babcia była sparaliżowana po wylewie. W takim stanie przywieźliśmy ją do Polski, gdzie umarła w 1948 roku. Mając 13 lat, byłam za nich odpowiedzialna, zastępowałam nieobecnego ojca.

Praca w sowchozie trwała od świtu do nocy, zarówno zimą, jak i latem. Zimą woziliśmy saniami zboże do stacji kolejowej Gordziejewo. Przywiezione worki musieliśmy sami załadować na wagony. Nikt nigdy nie płacił nam za pracę. Podpisywało się tylko na liście płac, a pieniądze szły albo na nowy czołg dla jakiejś jednostki, albo na nowy samolot. Zimą wydawali buty do pracy, nazywały się walonki, a zamiast skarpet wkładało się siano albo onuce. Wydawali również pikowane spodnie i kurtki, i w tym chodziło się do pracy.

Zimy były tam długie i ostre. Wiąły po kilka dni śnieżyce, które nazywały się burany. Baraki i domy były zasypywane przez noc, łącznie z kominem. Sąsiedzi musieli odkopywać, żeby zasypani mogli wyjść. W takich śnieżnych buranach wiele osób zamarzło na śmierć albo odmroziło ręce i nogi. Nasz znajomy całą noc błądził po dachach i odmroził sobie obie dłonie, które musieli mu amputować.



Ryszard Sierpiński, około 1960 roku. Był wtedy inspektorem w Rejonie Lasów Państwowych w Chojnicach, OZLP Toruń. Zdjęcie udostępniła jego córka – Teresa Januszewska

POWRÓT DO OJCZYZNY

Od Polski byliśmy oddaleni około 6000 km. Przez cały czas myśleliśmy tylko o powrocie. Dokumenty stwierdzające obywatelstwo polskie mieliśmy zaszyte w ubraniach i nosiliśmy przy sobie. W czasie rewizji często zabierano dokumenty, a później przy wyjeździe tylko obywatele polscy mieli prawo do repatriacji. Wielu Polaków przy spisie ludności podawało na zesłaniu narodowość ukraińską albo białoruską. W ten sposób polepszyli sobie trochę byt. Jednak wyjechać w 1946 roku już nie mogli. Widzieliśmy w naszym sowchozie takie tragedie.

Wróciliśmy w maju 1946 roku do Łobezu w województwie szczecińskim. W 1952 roku ojciec przeniósł się do Chojnic i pracował w toruńskiej dyrekcji Lasów Państwowych. Tu osiedliliśmy się na stałe.

Rodzice już nie żyją. Na pewno pamiętali więcej szczegółów, ale w czasach ustroju komunistycznego nie wolno było o tym mówić i pisać. Przeczytałam apel o opisywanie wspomnień w czasopiśmie „Twój Styl” i postanowiłam napisać.

Teresa W. Januszewska (z domu Sierpińska)

Zdjęcia: archiwum

PS Historię inspektora Ryszarda Sierpińskiego i jego rodziny opisała jego córka Teresa Januszewska z domu Sierpińska. Historia była opublikowana w opracowaniu Józefa Brody pt. „Wśród śniegów i bagien tajgi” przez Wydawnictwo Akademii Rolniczej w Poznaniu w 2004 roku (strony od 243 do 253).

Redakcja składa podziękowanie dla Wydawnictwa Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu (kontynuatorowi Wydawnictwa AR) za wyrażenie zgody na przedruk biogramu Ryszarda Sierpińskiego.

¹Ten wyjazd nie był z Warszawy, lecz z Pińska na Polesiu.

²Z tych siedmiu samochodów ubyły dwa, którymi sześciuosobowa grupa z ekipy Adama Loreta wyjechała, po krótkim odpoczynku, z kasą Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych i innymi dokumentami do Wilna i tam dojechała. O tym autorka nie pisze. Informacja powyższa pochodzi od F. Szkiłłądzia, kierownika biura finansowego DNLP, który znajdował się w tej grupie (Twórcy i organizatorzy leśnictwa polskiego na tle jego rozwoju. PTL, Warszawa 1967, s. 125-126).

³Rola porucznika, towarzyszącego ekipie Loreta, jest mocno podejrzana. Wszystko wskazuje na to, że był on szpiegiem na rzecz Związku Radzieckiego. Świadczy o tym jego „zniknięcie” przy okazji wyjazdu po paliwo do Leśnictwa Kleciszcze (odległość między siedzibą nadleśnictwa a bazą paliw w tym leśnictwie wynosiła według mapy około 15 km śródlądowej drogi). Brak paliwa uniemożliwił ekipie Loreta wyjazd w dalszą drogę. Jeszcze bardziej wskazuje na to jego „przedostanie się” w warunkach wojennych z północno-wschodniej Polski aż do Grecji (zapewne został tam przerzucony przez służby radzieckie z nowymi zadaniami szpiegowskimi w rejonie cieśniny Bosfor-Dardanele i Bliskiego Wschodu). Dowodzi tego także uzyskanie przez niego adresu do nadleśniczego Sierpińskiego, znajdującego się już w odległym obozie na południe od Archangielska.

⁴To był głos W. Mołotowa.

⁵Prawie wszyscy autorzy relacji mówiący o miejscu aresztowania A. Loreta (F. Szkiłłądz, W. Bujak, A. Wierzbicki, B. Szymański) podają błędną lokalizację na szosie od Nalibok do Iwieńca. Powyższy błąd wynikał zapewne z tego, że utożsamiali oni nazwę miejscowości (miasteczka) Naliboki z nazwą siedziby Nadleśnictwa Naliboki, oddalonej 16 km na zachód.

⁶Brak danych, czy i kogo wywieziono na Kołymę, a także czy zwolniono kogokolwiek z aresztowanych.

⁷Według mapy jej nazwa brzmi: Kubiena (a nie Kubina).



Stanisław Czaiński (1895-1985)

Leśniczy STANISŁAW CZAIŃSKI

(1895-1985)



Stanisław Czaiński był leśniczym w nadleśnictwie państwowym Naliboki, woj. nowogródzkie. Wykształcenie zawodowe uzyskał w Rosji w szkole leśnej w Wielsku (1913-1915), gub. wołogodzka. Po rewolucji październikowej powrócił do kraju i niebawem rozpoczął pracę zawodową w leśnictwie jako leśniczy, a następnie sekretarz w nadleśnictwie cimkowskim (pow. Słuck, gub. mińska). W 1920 roku brał udział jako ochotnik w obronie Warszawy przed nawałą bolszewicką. Po zakończeniu wojny powrócił do pracy w administracji Lasów Państwowych dyrekcji wileńskiej, od 1935 roku jako leśniczy Leśnictwa Naliboki (nadleśnictwo o tej samej nazwie miało swą siedzibę w Budach, osadzie oddalonej o 16 km).

W nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku Czaiński wraz z rodziną (żona i dwóch synów) został aresztowany i wywieziony z innymi tamtejszymi leśnikami do obozu Zielony Bór, na północ od Wołogdy. Pracował przy wyrębie lasu. Do tego obozu został wywieziony również nadleśniczy Nadleśnictwa Naliboki – Ryszard Sierpiński z rodziną (czytaj na str. 293-305). W nocy 24 czerwca 1941 roku Czaińskiego, Sierpińskiego i kilku innych mężczyzn niespodziewanie aresztowano i bez sądu osadzono w więzieniu w Wołogdzie. Po układzie Sikorski-Majski zostali oni zwolnieni.

W związku z pomocą z UNRRA, leśniczego Czaińskiego wybrano w posiołku mężem zaufania, z zadaniem organizowania odbioru, dowozu i rozdziału darów. Z kolei, gdy otworzyły się możliwości wyjazdu na południe, do tworzącej się armii polskiej, Czaiński ponownie został wybrany mężem zaufania i kierownikiem ewakuacji Polaków, a następnie komendantem transportu organizowanego w Wołogdzie. Jako mąż zaufania i pełnomocnik musiał pozostawać do końca ewakuacji Polaków z rejonu miejsca zesłania, nie tylko z posiołka Zielony Bór. Niestety, drugi transport, którym podróżował Czaiński z rodziną (także nadleśniczy Sierpiński ze swą rodziną), władze radzieckie zatrzymały w Kirowie. Odmawiając zgody na dalszą jazdę na południe, skierowały pociąg na wschód – przez Swierdłowski, Omsk, Nowosybirsk; i dalej na południe – przez Barnauł do niewielkiego miasta Bijsk w Kraju Ałtajskim. Z Bijska przewieziono ich do stacji kolejowej Gordiejewo, a stamtąd do pobliskiego sowchozu, gdzie zostali zatrudnieni jako robotnicy przy pracach polowych. Po utworzeniu I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, Czaiński i Sierpiński zostali powołani do wojskowego batalionu pracy, jednak wkrótce potem zatrudniono ich przy organizowaniu sowchozów koło Omska, a następnie jako taksatorów przy urządzeniu okolicznych lasów.

W 1946 roku Czaiński, z upoważnienia Związku Patriotów Polskich w Omsku, brał udział w organizowaniu wyjazdu Polaków do kraju. Po powrocie do Polski znalazł zatrudnienie w Lubuskim okręgu Lasów Państwowych – najpierw na stanowisku inspektora, a następnie w oddziale Urządzenia i Pomiarów Lasów. W 1963 roku przeszedł na emeryturę, ale jeszcze przez dziewięć lat pracował na pół etatu. Zmarł w 1985 roku w wieku 90 lat.

Autorem wspomnień o Stanisławie Czaińskim jest jego syn Janusz (zmarły w 1998 roku), przy współudziale brata Henryka. W chwili aresztowania i deportacji pierwszy z nich miał 13 lat, drugi 4 lata.

GNIAZDO RODZINNE, EDUKACJA, SŁUŻBA WOJSKOWA

Stanisław Czaiński i jego żona Maria (pobrali się w 1925 roku) pochodzili z polskiej, przedrozbiorowej szlachty z ziemi nowogródzkiej, o głębokich tradycjach katolicko-patriotycznych i narodowo-wyzwoleńczych. Czaiński wykształcenie ogólne uzyskał w rosyjskim 4-letnim gimnazjum w Kojdanowie (1908-1912), a wykształcenie zawodowe leśne – w średniej szkole leśnej w Wielsku, w gub. wołogodzkiej (1913-1915). Zastępcą dyrektora tej szkoły był inż. W. Wolski, były szlachcic z Nowogródzyczyny, bliski znajomy Czaińskich.

W sierpniu 1914 roku z Wielska został przymusowo powołany do armii rosyjskiej w rejon Carskiego Sioła koło Petersburga. Po aresztowaniu cara Mikołaja II miał okazję, pełniąc wartę przy pałacu cesarskim, widzieć z bliska cesarza, gdy pod eskortą wyprowadzano go na spacer po parku. Pod koniec 1917 roku Czaińskiego, jak większość Polaków, skierowano na front do walki przeciwko Austriakom. Przez pewien czas był kreślaczem sztabowym przy opracowywaniu planów operacyjnych. Z wojska został zwolniony z powodu dyzenterii.

PRACA ZAWODOWA W LEŚNICTWIE

W latach 1918-1920 był najpierw leśniczym, a następnie sekretarzem w cimkowskim nadleśnictwie ówczesnego okręgowego zarządu Lasów Państwowych w Mińsku Litewskim. 3 czerwca 1920 roku zgłosił się jako ochotnik do wojska polskiego, na apel Naczelnego Wodza. Służył w 29 pułku artylerii polowej. Jako plutonowy artylerii brał udział w walkach na linii Wisły w obronie Warszawy. Za waleczność otrzymał działkę osadniczo-wojskową (17 ha) w Skiparowicach koło lwieńca, na skraju Puszczy Nalibockiej, pow. Wołożyn, woj. nowogródzkie. W latach 1920-1925 nadal pracował w cimkowskim nadleśnictwie jako sekretarz. Ożenił się w 1925 roku. Od 1927 roku był leśniczym w Leśnictwie Kamień, pow. Wołożyn, następnie przez dwa lata taksatorem w DLP w Wilnie, z kolei leśniczym w Leśnictwie Kromań w Centrum Puszczy Nalibockiej (1934-1935), i wreszcie od 1935 roku leśniczym w Leśnictwie Naliboki. Nadleśnictwo, o tej samej nazwie, miało swą



Stanisław Czaiński, lata 20. XX w.



Prace przy pomiarach geodezyjnych w okolicach Wilna, lata 30. XX w. Leśniczy Stanisław Czaiński w środku (trzeci od prawej)



Pracownicy Urzędzenia Lasów Państwowych DLP w Wilnie, rok 1933. Stanisław Czaiński między pierwszym a drugim rzędem (drugi od prawej)



Leśnictwo Naliboki, lata 30. XX w. Pierwszy od prawej siedzi – leśniczy Stanisław Czaiński

Maria i Stanisław Czaińscy w Nowogródku. Rok 1934





Maria i Stanisław Czaińscy z synem Januszem z prawej u góry, poniżej chłopiec nieznanymi, przed wejściem do domu. Wilno 1934 r.



Naliboki około 1938-1939 r. Z prawej strony stoi Maria Czaińska, z lewej praktykant leśny Szczerbiński, po środku stoi chłopak nieznan. Z prawej siedzi Janusz Czaiński

Grupa leśników w lesie nalibockim około 1938-1939 r. Pierwszy od lewej siedzi leśniczy Stanisław Czaiński z synem Henrykiem. Druga od prawej stoi Maria Czaińska



siedzibę w oddalonej o 16 km osadzie Budy. Nadleśniczym był inż. Ryszard Sierpiński, wywieziony w 1940 roku z rodziną oraz rodziną Czaińskich i innymi leśnikami w głąb Związku Radzieckiego.

W OKRESIE „BEZKRÓLEWIA” (5-17 IX 1939)

Do 1 września 1939 roku praca w leśniczówce przebiegała spokojnie, bez większych wydarzeń, poza sporadyczną defraudacją, czy kradzieżą w lasach. Po wybuchu wojny nastąpiła dezorientacja w organizacji pracy. Liczne telefony, zamieszanie, niepewność jutra. W skomunizowanej wsi koło Nalibok, w Terebejnie, dokąd Sowieci prawdopodobnie zrzucili broń, powstała samowwająca, uzbrojona czerwona milicja. Tam była też siedziba konfidentów, szpiegów radzieckich, którzy byli poinformowani o napaści wojsk sowieckich na Polskę.

5 września 1939 roku bandy samozwańców z czerwonymi opaskami, uzbrojone w sowieckie karabiny, dokonały aresztowania wszystkich leśniczych. Zatrzymano ojca, nadleśniczego Ryszarda Sierpińskiego i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam. Aresztantów osadzono w byłym budynku policji, naprzeciw urzędu miejskiego w Nalibokach. Widziałem osobiście, jak całe mienie, meble nadleśniczego Sierpińskiego przywieźli z Bud do byłego dworku Ciechanowiczów, stojącego w pobliżu naszej leśniczówki.

W naszym domu samozwańcy kilkakrotnie dokonywali rewizji, szukali broni, która była już oddana i przekazana dalej, w związku z apelem rządu polskiego. Ze względu na ogłoszoną powszechną mobilizację zebrano sporo odzieży i kocy dla wojska, które wkrótce szybko przekazano dalej. W tym okresie działało bezprawie. Prowodorem bandy był Szabunio ze wsi Terebejno oraz Michno, woźny w Nadleśnictwie Naliboki.

POD NOWĄ WŁADZĄ

W nocy z 17 na 18 września 1939 roku wkroczyła do Nalibok piechota radziecka. Rano zobaczyłem koło naszej leśniczówki wielkie obozowisko żołnierzy sowieckich, a nieopodal nich również wojsko przy wozach z końmi. W odległości około jednego kilometra, w kierunku wsi Jankowicze, od strony Stołpców, w lesie stały sowieckie czołgi. Pierwsze spostrzeżenia: bojcy jedli wołowinę ugotowaną w kotłach. Z miasteczka przyprowadzili krowy, ubijali je na miejscu bagnetem, gotowali, obżerali się jak bydłota. Stałem z boku, przyglądałem się.

– *A ty odkuda?* - zapytali.

Pokazałem ręką na leśniczówkę.

– *A! Polski pan, wot my twojowo otca tymi kulami nakarmimy.*

Drugi żołdat burknął:

– *Daj spokój, to chłopak.*

Zaraz po wkroczeniu armii sowieckiej „dobrodusznie” kazano zwolnić wszystkich aresztowanych. Pozornie zabrano też samozwańcom broń. Ponieważ ojciec znał świetnie język rosyjski – naczałstwo, oficerstwo, postanowiło zakwaterować się w naszym domu. Zajęli niemal wszystkie pokoje, postawili swoją wartę – i stacjonowali u nas przez parę dni, aż któregoś poranka znikli, poszli dalej. W tym krótkim czasie w Nalibokach powstał komitet komunistyczny. Wojsko dosłownie oczyściło sklepy ze wszystkiego. Od tego czasu nie można było kupić nawet guzika czy igły.

Władze sowieckie zmieniły organizację administracji leśnej. Po zwolnieniu z aresztu mego ojca i nadleśniczego Ryszarda Sierpińskiego (między innymi) całe nadleśnictwo podzielono na dwie części: północną i południową. Część północną miał nadzorować inż. Ryszard Sierpiński, a część południową mój ojciec. Każdemu z nich przydzielono „swojego człowieka” jako sekretarza. Zauważyłem, jak przy nowym sekretarzu nagle głosy milkły. Wyczuwało się niebezpieczeństwo. W powietrzu wisiało coś złowrogiego, ale nikt nie spodziewał się najgorszego...

ARESztOWANIE I DOWÓZ DO PUNKTU ZBORNEGO

W siarczystą noc z 9 na 10 lutego 1940 roku około godziny drugiej usłyszeliśmy natarczywe, brutalne walenie do drzwi i okien. „Atwieraj, atwieraj poskorej”. Ojciec pobiegł pierwszy otworzyć. Do mieszkania wtargnęło trzech radzieckich żołnierzy. Pierwszy z naganem w rękę, najprawdopodobniej politruk, oficer, właściwie lejt-nant NKWD, kazał wszystkim zgromadzić się w jednym pokoju, w pokoju stołowym obok fortepianu i z tego miejsca nigdzie nie wychodzić. Był w szarym szynelu, na głowie miał futrzaną czapkę z czerwoną gwiazdą sowiecką, epolety na ramieniu i skórzaną torbę polową, przewieszoną przez ramię. Z jego butów zionął odrażający zapach bolszewickiego smaru do czyszczenia butów – był to popularnie używany w wojsku sowieckim dziegieć brzoźowy, którego odoru nigdy nie zapomnę.

Dowodzący grupą operacyjną starszyna wyjął z teczki papier, sprawdził nasze imiona. Do ojca odezwał się: *Razreszycie, waszyje dokumenty* [Pozwólcie, wasze dokumenty]. Następnie przyjaznym, łagodnym głosem oświadczył: *Sowieckij Sojuz pieresielajet was z tej obłaści w druguju. Wot, po reszeniu Wierchownowo Sowieta Sowietskogo Sojuza Socjalisticzeskich Respublik, w tieczenie odnawo czasa nada sobratsa, wziac po 15 kilogram na czelowieka prodowolstwa, wziac adioż i wychadzić na padwody* [Związek Radziecki przesiedla was z tego obwodu do innego. Oto według zarządzenia Rady Najwyższej ZSRR w ciągu jednej godziny macie się zebrać, wziąć po 15 kg żywności na osobę, wziąć odzież i wychodzić na podwody].

Ojciec zaczął protestować, że w niczym nie zawinił, że to pomyłka, lecz politruk flegmatycznie wyjął drugie pismo i powiedział: *Wot smatri, napisano jasno, leśnik S. Czaiński, osadnik wojskowy, patriota* – element antysowiecki – *sobirajcieś poskorej*. Pozostali żołnierze z karabinami i bagnetami przeprowadzali w tym czasie re-

wizję, splądrowali całe mieszkanie, z szaf powyrzucali na podłogę odzież, w kancelarii ojca kazali otworzyć kasę pancerną, w której ojciec niegdyś przechowywał pieniądze na wypłaty. Cały czas dopytywali się, gdzie ojciec schował „arużja” – broń. W momencie aresztowania ojciec miał 45 lat, matka Maria 32 lata, syn Janusz (główny współautor wspomnień) 13 lat, a syn Henryk 4 lata.

W aresztowaniu i rewizji brała również udział miejscowa milicja z komitetu komunistycznego. Było ich trzech, uzbrojonych w sowieckie „gwintówki”. Pochodzili z sąsiedniej wsi Terebejno, zamieszkałej głównie przez Białorusinów – skomunizowanych szpiegów, agentów, donosicieli sowieckich. Tam prawdopodobnie Rosjanie zrzucili broń, karabiny sowieckie. Obserwowałem te twarze zdrajców i oni sami w tej chwili czuli się nieswojo, bo ojciec miał dobrą opinię jako leśniczy, nigdy nikogo nie skrzywdził, był wyrozumiały dla biednych. Teraz doradzali, żeby się nie spieszyć, żeby ze sobą zabrać jak najwięcej odzieży, żywności, bo czeka nas bardzo daleka podróż. Matka pytała, dokąd nas powiozą – lejtnant wzruszał ramionami, odpowiadając: *nie znaju*.

Przed leśniczówką, od strony kuchni, czekały już trzy furmanki, konie zaprzężone w sanie. Wyprowadzono też ze stajni naszego konia, Kasztankę, zaprzęgnięto w nasze sanie. Do tych saní załadowano trochę bagażu i umieszczono w nich matkę i nas: Janusza i Henryka. Za nami jechał ojciec i reszta eskorty sowieckiej. Noc była cicha, bardzo mroźna, domy na horyzoncie ośnieżone. Przejeżdżając przez duży plac przed leśniczówką, po raz ostatni spojrzałem na swoją szkołę, stodoły Ciechanowiczów, studnię z żurawiem. Miałem już wtedy świadomość, że nigdy w życiu nie zobaczę tych najmilszych stron dzieciństwa.

Konie skręciły nagle w prawo, w kierunku Jankowicz, Derewna, Stołpców. Było tak cicho, że obaj z bratem wkrótce zasnęliśmy. Spokojne zachowanie się grupy operacyjnej podczas aresztowania tej strasznej nocy – po wielu, wielu latach – wyjaśniła dopiero tajna instrukcja: „Rozkaz NKWD ZSRR, nr 001223, z dn. 2 października 1939 roku.” Akcją aresztowań kierował generał Iwan Sierow, zastępca ludowego komisarza bezpieczeństwa Ławrentija Berii. Pierwszy punkt zalecenia instrukcji brzmiał: *Starać się, aby operacja była przeprowadzona bez hałasu i paniki*. Podstawowe chwytaki NKWD i KGB: aresztowanie w nocy, podstępnie, spokojnie, z początkowaniem papierosem (*zakuritie?*).

ZAŁADUNEK DO BYDLĘCYCH WAGONÓW I PODRÓŻ W KIERUNKU ARCHANGIELSKA

10 lutego 1940 roku przebudziłem się na saniach, gdy było już jasno. Z dala dochodził doniosły gwar. Na niebie czysty błękit, bardzo mroźny dzień. Pierwsze spojrzenie: na wysokim wzniesieniu, nasypie kolejowej boczniczy towarowej stał niesłychanie długi czerwony pociąg towarowy, przed którym było mnóstwo furmanek i biegających ludzi. Oddział „wochry KGB” (worużonnaja ochrana) w długich

płaszczach wojskowych lub grubych kozuchach, futrzanych czapkach, z automatami i bagnietami zatknietymi na karabinach, głośno pokrzykiwał: *Nuka! Dawaj! Posko-rej! Wygrużaj! Podawaj siuda!...* [Nuże, dawaj! Szybciej! Wyładowuj! Tu podawaj!]. Nasze furmanki, konwojowane przez tzw. trójkę wysiedlającą, podjechały pod wagon dziewiąty. Politruk, ten który pierwszy wkroczył do naszego mieszkania z naganem, przekazał nasze dokumenty komendantowi pociągu, oficerowi NKWD. Zauważyłem, że przed załadowaniem do pociągu była dokładna segregacja aresztowanych według ichniego planu. Niektóre furmanki, które podjeżdżały do pierwszych wagonów, odprawiano dalej, do tyłu.

Załadowano nas do wagonu z tak wielkim pośpiechem, jakby pociąg miał już zaraz ruszyć. W wagonie znalazło się kilka rodzin, razem około 40 osób. Wewnątrz było zimno, brudno, ciemno. Dwa małe okienka, zakratowane z jednej strony, z drugiej strony zostały zabite deskami na głucho. Po obu stronach wagonu znajdowały się dwa rzędy prycz, zbitych z desek, bez odstępów między legowiskami. Na środku wagonu stał mały, żelazny piecyk – „koza” i puste wiadro bez węgla. Środek wagonu był wypełniony tobołkami, które stanowiły cały dobytek zesłańców. Drzwi wagonu zatrzaśnięto ze zgrzytem, zakręcono drutem, ostrzegając, że jeśli ktoś waży się uciekać, będzie zastrzelony. Uwięzieni po jakimś czasie zaczęli głośno stukać do drzwi, prosząc o węgiel, drzewo do piecyka, gdyż wewnątrz były dzieci. Wyznaczono jedną osobę, pod konwojem. Początkowo w wagonie nie było ustępu, załatwiano się za zawieszonym kocem. Potem pozwolono załatwiać się tylko pod własnym wagonem w obecności konwoju – strażników. Śmieszne widowisko: żołnierze sowieccy stali z karabinami na „gotuj broń” nad długim szeregiem przykucniętych postaci. Gdy pociąg ruszył, wyrąbano w podłodze dziurę. Mogliśmy więc załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne. Zimno w wagonie było nie do zniesienia. Matki zawijały dzieci w koce, kołdry, poduszki. Posiłku żadnego w Stołpcach nie dostarczono. Do pójścia po wodę wyznaczono jedną osobę, która razem z żołnierzem schodziła w dół, w kierunku domków, gdzie mieszkali kolejarze. Zdarzył się jeden wypadek, że zastrzelono młodego Polaka, który nabrawszy wody próbował uciec między domami. Rygor ze strony „ochry” panował tak wielki, że nawet nie wiedzieliśmy, kto znajduje się w sąsiednich wagonach. Wiedzieliśmy tylko, że z Nalibok w sąsiednim wagonie znajduje się rodzina nadleśniczego Sierpińskiego, a przecież z Nalibok w tym dniu sporo aresztowano. Czerwony pociąg eszelon był zadrutowany, obstawiony radzieckim wojskiem. Minęły trzy dni, zanim podstawiono lokomotywę. Nikt nie wiedział, dokąd nas powiozą i jak długo będziemy musieli jechać.

Rankiem 13 lub 14 lutego 1940 roku parowóz przeraźliwie zagwizdał, raz, drugi, a za trzecim razem kilka razy mocno szarpnął cały transport, którego koła od ludzkich wydaliny przymarzły do szyn. Jechaliśmy na wschód, minęliśmy pierwszą graniczną stacją Niegorełoje. Serca wszystkim ścisnęły się nagle, krajobraz zmienił się w pustkowie. Dalsza trasa przebiegała przez Mińsk – Smoleńsk (po lewej

stronie minęliśmy nieznaną nam jeszcze Katyń), dalej Moskwa – Jarosław, przejechaliśmy przez rzekę Wołgę – do Wołogdy, a dalej na północ do stacji docelowej Wożega, położonej na trasie Wołogda – Archangielsk. Podróż trwała dokładnie dwa tygodnie. Jechaliśmy dzień i noc, pociąg zatrzymywał się tylko na około 20 minut na większych stacjach, gdzie pozwalano zaopatrzyć się w „kipiatok” – gorącą wodę i wydano parę razy „piszczu” – wodnistą zupę oraz po małej porcji chleba. Przez całą trasę pociąg był eskortowany przez wojsko.

Na stacji Wożega, gdy pozwolono wyjść z wagonów, byliśmy zdziwieni, że z tak olbrzymiego transportu (ok. 50 wagonów) pozostało zaledwie około dzieścięć. Kołchoźnicy furmankami zawieźli nas przez gęste lasy do posesiłka, otoczonego ze wszech stron lasami. Przejechaliśmy trasę około 1500 km.

W POSIOŁKU ZIELONY BÓR. STOSUNEK WŁADZ OBOZOWYCH DO POLAKÓW, WARUNKI BYTOWE, PRACA

Obóz pokryty był trzymetrowymi zaspami śniegu. Spod śniegu sterczały pnie. Cztery długie drewniane baraki, komendantura, obok „chołodnaja” (karczer), świetlica, biuro rachmistrzów, „bania” (łazienka), „ławoczka” (stołówka), „łariok” (sklepik), „waszobojka” (odwieszalnia) i „koniusznia” (stajnia dla koni) tworzyły komplet przymusowego obozu pracy – posesiłka zwanego Zielonyj Bor, wożegodzkiej „lespromchoz”, wołogodzkiej obłasti. W każdym baraku mieściło się ponad 50 osób, czyli należy sądzić, iż w tym obozie było około 250 zesłanych Polaków. Przywieziono tu całe rodziny, od dzieci do starców, głównie osadników, urzędników i pracowników służby leśnej – trzy rodziny: Czaińskich, Sierpińskich, Łazarzów oraz jednego samotnego gajowego, pana Łukaszewicza. Może było i więcej, lecz tych tylko zapamiętałem. Od pierwszego dnia pobytu w obozie wprowadzono terror, zakaz opuszczania obozu i kontaktu z kołchoźnikami. W drugim dniu pobytu wszystkich mężczyzn i kobiety skierowano do pracy w lesie – w „lesoruby” do wyrębu lasu.

Komendant obozu, enkawudzista Dobrowolski, typ psychopaty i kryminalisty, oświadczył w drugim dniu: *Was tu przywiezli na prynużdziteliłnyje raboty (przymusowe prace). Nużna zabudż o tom, czto wy kohda wiernotieś w Polszu. Zdzieś wasz dom i dzieś budziecie rabotać do końca swojej żyźni. Nado czestno rabotać: kto nie rabotajet, tot nie kuszajet. Nu, polskije pany, nie dumajcie, czto wy prijechali tolko na nieskolko miesiacew, let. Polszy niet i nie budziet. Sobierajtieś k'rabote.* [Należy zapomnieć o tym, że kiedyś powrócicie do Polski. Tutaj wasz dom i tutaj będziecie pracować do końca swego życia. Należy rzetelnie pracować: kto nie pracuje, ten nie je. No, polscy panowie, nie myślcie, że przyjechaliście tutaj tylko na parę miesięcy, lat. Polski nie ma i nie będzie. Ruszajcie do pracy!].

Nadleśniczy inż. Sierpiński, leśniczy Czaiński, leśniczy Łazarz otrzymali „trudowyje kniżki” – książki pracy z dopiskiem w rubryce zawód (profesja): „lesorub” (czyli drwal). Utworzono brygady „lesorubow” i rozpoczęła się codzienna gehenna

głodowa, praca od godziny szóstej rano (o piątej pobudka, gong przez uderzenie w żelazo od traktora) aż do zmroku, każdego dnia, bez żadnych dni świątecznych, niedziel – z wyjątkiem jednego dnia, obchodu Wielkiej Rewolucji.

Barak, do którego nas wpakowano, miał długość 50 m i szerokość 8 m. Był wysoki, zbudowany z grubych ociosanych belek, uszczelnionych mchem leśnym. W środku roiło się od pluskiew. Wewnątrz prycze po obu stronach. Przerażliwy chłód z powodu nieszczelnych ścian. Zadaniem skazanych był wyrąb lasu, głównie w kierunku rzeki Kubiny (ok. 10 km od obozu). Była to puszcza, w której rzadko bywał człowiek. Stare drzewostany świerków, jodeł, nieco sosny, dużo brzozy – okazałej, wysokiej, gładkiej, jak świece, sporo osiny w wilgotniejszych terenach, olchy i nieco wierzby w pobliżu rzeki Kubieny. Były ustalone normy pracy, w zależności od których „lesorub” otrzymywał przydział chleba, od 600 g do 800 g, oraz talon na zupę. Pamiętam, że rudowłosy leśniczy Łazarz z 23-letnim synem Stanisławem wychodzili do lasu z piłami (tzw. stachanowki) jeszcze przed świtem, a wracali, gdy było zupełnie ciemno. Osiągali 135% normy, za co otrzymywali po 1100 g chleba. Ich nazwiska jakiś czas widniały na tablicy stachanowców koło komendantury. Widocznie nie wiedzieli, że czerwona tablica stachanowców z nazwiskami to zaplanowana akcja podjudzania do pracy pozostałych, żeby wszystkich maksymalnie fizycznie wykończyć.

Dzieci, do których i ja należałem, otrzymywały po 400 g chleba. Wydawano go w sklepiku („ławocze”), zawsze po pracy, wieczorem – chleb czarny, gliniasty, wodnisty, przywożony codziennie wołami z dużymi rogami, gdzieś z kołchozu. W stołówce do blaszanych misek (krużek) wydawano na kartki zupę (bałanda), przeważnie z prosa, rzadką, wodnistą, bez tłuszczu. Mięsa nigdy nie było, nawet dla stachanowców. Czasami kostka cukru i nieco kaszy jęczmiennej dla ciężko pracujących. Jednak brygady „lesorubow”, przeważnie mężczyźni i częściowo kobiety, które w lesie znosiły gałęzie na palenisko, nigdy nie korzystały z obiadów w stołówce ze względu na odległość od miejsca pracy. Każdy miał przy sobie „pajki”, zamrożone na kość, „pajok” chleba (jeśli nie zjadł go poprzedniego dnia), który na patyku rozgrzewał nad ogniem, a zupą była woda ze śniegu.

Jeszcze pierwszy rok po przyjeździe do obozu było jako tako. Każdy zdążył coś niecoś zabrać z jedzenia podczas aresztowania w domu. Później głód dokuczał coraz bardziej, opadały siły do pracy, przydzielano coraz mniejsze racje chleba, który był podstawą życia. W obozie pojawiły się pierwsze oznaki chorób: skorbut (cynga), kurza ślepotą (awitaminoza A – brak tłuszczu), nerwice, stany lękowe, depresje, czyraczyce, olbrzymie niebieskie wrzody, tzw. karbunkuły, na które i ja mocno cierpiałem. Pomocy medycznej żadnej, dosłownie żadnej: nie było ani pielęgniarki, ani felczera, ani lekarza.

Pomimo ostrego zakazu komendanta w posiołku zaczął się odbywać handel wymienny. Za machorkę wymieniano chleb. Kołchoźnicy w tajemnicy przychodzili do

lasu w umówione miejsca. Za cebulę wymieniano wiele cennych rzeczy. Kołchoźnicy przynosili mrożone mleko, lepioszki, mąkę. Za futro dawali wiadro kartofli. Praca w lesie była normowana. Każdy, „lesorub”, musiał wyrobić 7,5 m sześć. drewna w ciągu dnia, za co mógł otrzymać 800 g chleba. Praktycznie było to niemożliwe przy głodowych racjach i tęgich mrozach, dochodzących do -40°C (zakaz pracy obowiązywał od -50°C). Nikt nie widział termometru, więc pracowano codziennie. Kiedy w lasach pojawiała się charakterystyczna mgiełka, oddech stawał się ciężki, duszący i brzoza głośno trzaskała w lesie (kora pękała od mrozu), wtedy wiedzieliśmy że temperatura osiągnęła -40°C .

W lasach brygady odgarniały śnieg pod każdym drzewem, podcinały toporem, piłowano pojedynczą piłą łuczkową, zwaną stachanowką. Po obrąbaniu gałęzi, okorowaniu, wozacy zwozili drzewa na stosy. Traktory zwoziły drzewa zimą, tzw. lodzianką, nad brzeg Kubieny, gdzie na wiosnę spławiano je w kierunku Jeziora Kubieńskiego. O planowej gospodarce leśnej nie było mowy, nie sadzono nowego lasu. Jeszcze przed naszym przybyciem poprzedni skazańcy wyrabiali sporo lasu, pozostawiając olbrzymie pustkowia, pogniłe stosy drzew.

Warunki klimatyczne i praca w lesie podczas tęgich mrozów wymagała dobrej odzieży. Odzież z naszego klimatu polskiego była tu mało przydatna. Przede wszystkim niezbędne były walonki, kufajki, watowane spodnie, czapki uszanki, buszłaty i najważniejsze – dobre rękawice, które szybko niszczyły się podczas pracy. Tę odzież wydawano sporadycznie, nie wszystkim; brakowało jej, jak wszystkiego w wielkim Kraju Rad. Częste odmrożenia były na porządku dziennym.

Miejsce obozu było celowo wybrane, aby skazańcy szybciej wymarli. Na wiosnę, pod koniec kwietnia, gdy śniegi już stopniały, okazało się, że nasz posesiołek leży na błotnistym terenie. Pomiędzy barakami pobudowano na słupkach chodniki i trotuary. Latem zaś była plaga komarów, zachorowań na malarię, meszek – maleńkich „wampirów”. Maszkara ta opanowała cały podmokły las. Te maleńkie, białoczarne muszki, o krótkich nóżkach, cięty bezlitośnie w posesiołku i w lesie. Byliśmy całkowicie odizolowani od świata, nie było ani radia, ani prasy. Nostalgia za krajem gnębiła nas coraz bardziej. Ludzie chodzili jak obłąkani, mało odzywając się do siebie, każdy myślał, żeby tylko do jutra przeżyć, dostać „pajok” – głód to zapowiedź śmierci. Często daleko w lesie odbywał się koncert leśny, terkot dzieciątów, które siadały na gałęziach starych wyschniętych osin. Uroki dzikiej Puszczy Wołogodzkiej jednak mało pocieszały. Nad nami wisiąca zagłada.

Latem próbowaliśmy odgadnąć, kto przebywał przed nami w tym obozie. Niestety, starannie zatarto ślady, ani cmentarzyska, ani żadnych, pozostawionych przedmiotów, nawet drobnych. NKWD zadbało o wszystko. Nieco później dowiedzieliśmy się, że baraki pobudowano około 1934 roku, może i wcześniej, gdy podczas kolektywizacji, a potem „wielkiej czystki”, zsyłano tu między innymi rozkułaczonych chłopów: Rosjan, Ukraińców, Tatarów, Gruzinów, Ormian, także Niemców

nadwożańskich, sprowadzonych nad Wołgę jeszcze przez Katarzynę II, których Stalin chciał wytepić głodem, nadludzką pracą i mrozem, tak jak nas Polaków.

Przywieziono nas do obozu pracy Zielonyj Bor 23 lutego 1940 roku. W tym samym roku, już 8 marca zapoczątkowano mord Polaków w Katyniu, o czym nie wiedzieliśmy. W pobliżu Wołogdy był drugi obóz śmierci dla Polaków – Griazowiec. NKWD pracowało, śledziło, miało swoich agentów również w naszym posiołku. 22 czerwca 1941 roku III Rzesza zaatakowała Związek Radziecki.

W WOŁOGODZKIM WIĘZIENIU

W dwa dni po napaści Niemiec na Związek Radziecki, w nocy 24 czerwca 1941 roku, aresztowano ojca, inż. Sierpińskiego oraz wielu mężczyzn w posiołku i uwięziono w wołogodzkiej „turmie”. Mężczyzn zatrzymano widocznie z obawy przed powstaniem w posiołku rebelii na wiadomość, że Niemcy napadły na Sowieckiej Sojuz. Po wielu latach wyciągnęliśmy z ojcem wnioski, że NKWD kierowało się dwiema przesłankami. Po pierwsze wśród Polaków chcieli zwerbować swoich agentów, a jeśli nie, to wysłać do obozu śmierci, np. do niedaleko położonego Griazowca.

Według krótkiego wspomnienia ojca – opowiedzianego dopiero długo po wojnie – nie wiedzieli oni, za co i dlaczego ich aresztowano. Osadzono ich w celi zbiorowej gdzie zamiast podłogi był zimny beton, powietrze stęchłe, wilgotne przyce, kubeł – „parasza”, pluskwy, okno wysoko i zakratowane, w drzwiach judasz – „karmuszka”, przed świtem „padjom” – pobudka, dziennie 400 g mokrego jak gli na chleba, czarna niesłodzona herbata z palonych żołądzi, zupa – brudne pomyje z kilkoma krupkami, wieczorem zamiast kawy czysty „kapiatok”. Dzień i noc żarówka świeciła się bez przerwy. Śledztwo w nocy przeprowadzał „śledowatiel”, starszy lejtnant NKWD z „politreżymu”, który miał na celu sprawdzić, „czem dyszesz”, jakiego jesteś przekonania, czy uda się ciebie złamać złudnymi obietnicami, wolnością, polepszeniem życia. Była to agitacja na zasadzie „kto nie z nami, ten przeciw nam”. Lisia propozycja, jak zwykle z poczęstowaniem najlepszymi papierosami: *My wam predłagajem s nami rabotać* (współpracować) *i ostatsta u nas, w Sowiet-skom Sojuzie. Wasza żyzn budziet choroszaja. Wot, eto nada wypołnić* [deklarację] *na ruskom jazykie i podpisać*.

Odpowiedź ojca była stanowcza i krótka: *Ja s wami nie rabotał i rabotać nie budu!*. Ta odpowiedź oznaczała karę śmierci [...]. I wtedy jakby drugi cud nad Wisłą się wydarzył! 12 sierpnia 1941 roku ogłoszono amnestię dla Polaków! Generał Sikorski uratował życie wielu setkom tysięcy Polaków na zesłaniu, a później generał Anders – wyprowadzając Polaków, całe rodziny, z katorgi syberyjskiej. Nie zdążyli zgładzić, musieli uwolnić z więzienia!

Któregoś dnia na początku października w posiołku wybuchła wiadomość – nasi idą z więzienia. Pobiegłem na spotkanie drogą leśną w kierunku Wożegi.

Wracali, ale pojedynczo, nie gromadą. Co mocniejsi szli na przedzie. Na ojca długo czekałem, aż pojawił się na horyzoncie. Poznałem po sylwetce. Gdy się zbliżył, nie mogłem go poznać. Obrośnięty, z długą brodą, wychudzony niemal do charłactwa, ledwo ruszał nogami. W niewielkiej odległości za ojcem kroczył przygarbiony inż. Ryszard Sierpiński, jeszcze bardziej chudy, bo w odróżnieniu od ojca zawsze był wątłej budowy.

PIERWSZY „ŁYK” WOLNOŚCI

Niedługo po powrocie z więzienia w Wołogdzie, ojciec został wybrany w posiołku na męża zaufania. Wystawiono, z datą 14 stycznia 1942 roku, odpowiedni dokument, z którym pojechał do Archangielska po odbiór żywności i odzieży ofiarowanej Polakom przez UNRRA. Podróży tej ojciec o mało nie przypłacił życiem z powodu głodu, mrozu, postojów na stacjach, jednak wszystko w całości przywiózł i w posiołku sprawiedliwie podzielił. Było kilka przypadków zgonu z powodu przejedzenia się wśród skrajnie wygłodniałych. W obozie zawitała wolność. Polacy otrzymali zaświadczenie, prawo wyjazdu. Były komendant obozu, Dobrowolski, teraz starał się każdemu przypodobać: *Sejczas budiem w miestie [razem] bić Niemców*. Namawiał, żeby tu zostać, a on postara się każdemu pomóc.

Zacząto organizować się do wyjazdu. Kto mógł, ruszył do kołchozów, aby sprzedać resztę ubrań, wymienić na chleb, żywność, zabezpieczyć się na podróż. Ojca ponownie wybrano mężem zaufania, kierownikiem ds. organizacji transportu, podwód, transportu kolejowego. Przez wiele dni przebywał w Wołogdzie, gdzie udało mu się zorganizować dwa transporty towarowe dla posiołka Zielonyj Bor i sąsiednich posiołków, porzucanych w Puszczy Wołogodzkiej. Zanim doszło do wyjazdu, w posiołku nastąpiły pewne wydarzenia. W miejscowej świetlicy zorganizowano wieczór pożegnalny, na który przyszli też Rosjanie, straż obozowa włącznie z komendantem obozu. To wydarzenie pozostanie w pamięci do końca życia. Jak wielka siła witalna tkwi w duszy Polaka – patriotyzm, ten tylko zrozumie, kto to przeżył. Przyległy do komendatury barak, który zwano „chudożestwiennaja samodiejatelnost”, tego dnia był przepełniony. Ustawiono ławki, na ścianach zawieszono polskie chorągiewki z kolorowej bibułki. Na podium sceny wszedł jeden z łagrowiczów, Polak, w obdartej kufajce i uroczyście powitał zebranych. Po nim weszła na scenę mała dziewczynka, zadeklamowała wiersz po polsku. Burzliwe brawa! Teraz miała się odbyć część artystyczna. Na scenę weszli: pan Mecharzyński z akordeonem i ojciec ze skrzypcami, tymi z Nalibok. Chwila ciszy i nagle kilkoma taktami, subtelnymi polskimi akordami, jakby zerwał kajdany niewoli, poruszył rdzeń odwiecznego ducha polskiego. Potem zagrzmiały akordy piorunujące, grzmiące, jakby wołające: *Powstań Polsko, zrzuć kajdany...* I znów melodia ukojenia, pełna polskości, improwizacja, dotykająca najgłębsze uczucia Polaków na zesłaniu.

Ojciec stał błądliwy, trzymając w lewej ręce skrzypce, był w najwyższym stanie wzruszenia. Za chwilę miał się rozpocząć duet, więc powoli oparł skrzypce na ramieniu, położył na nich głowę i prawą ręką podniósł do góry smyczek [...]. Mechaniczny delikatnymi akordami dał znak początku. Skrzypce podchwyciły melodię, zaszlochały, załkały boleśnie i jakby posypały się brylanty najwyższych uczuć, tęsknoty, nostalgii za ziemią ojczystą. Co się działo na sali jest nie do opisania. Euforia zbiorowa w najwyższym stopniu. Serca Polaków skazańców, niedawno jeszcze terroryzowanych, bez najmniejszej nadziei powrotu do wolności, teraz tętniły radością. Rosjanie też bili brawa, szalał huragan oklasków. Za oknem było już całkowicie ciemno. W świetlicy na ścianach paliły się zawieszane „kopciuki” – lampy naftowe. Potem zorganizowano pierwszą zabawę. Ktoś zaczął grać poleczkę na harmonii. Zapanował istny szal. Wyzwoliła się polska dusza, sala drżała, leciały drzazgi. Rosjanie byli zdziwieni, skąd tyle siły bierze się u tych „Polaczków”, wygłodzonych i wynędzniałych.

Z OBWODU WOŁOGODZKIEGO DO KRAJU AŁTAJSKIEGO

Serca nieco okrzepli, nabrały otuchy – w obozie trwały przygotowania do wyjazdu. Ojca, Stanisława Czaińskiego, wybrano ponownie mężem zaufania, nadano pełnomocnictwo ds. ewakuacji Polaków, a następnie mianowano komendantem transportu organizowanego w Wołogdzie. Każdy z obozowiczów musiał na własną rękę zorganizować sobie furmankę u kołchoźnika celem dojechania do najbliższej stacji, Wożegi, oddalonej od posesji o około 50 km. Za furmankę trzeba było drogo płacić, nie rublami, lecz towarami, np. odzieżą. Kto pierwszy uzyskał furmankę, ten jechał do Wożegi, gdzie czekały podstawione towarowe wagony. Zdarzały się też tragiczne sceny, gdy nagle umówiony kołchoźnik odmawiał przewozu, żądając podniesienia opłaty.

Ojciec został pełnomocnikiem również sąsiedniego obozu, czterokrotnie większego, w którym m.in. była rodzina Berlińskich ze Starej Wilejki pod Wilnem, rodzony brat naszej matki Marii – Aleksander Berliński z dwoma synami i żoną oraz pani Polkowa – żona leśniczego z Kleciszcz koło Nalibok z synem. Jej brat, lekarz medycyny lotnictwa, Michał Kulikowski, został zamordowany w Katyniu.

Pierwszy transport Polaków z Wołogdy podążył na południe i zdążył dołączyć do transportu wojsk Andersa, więc wyjechali z „sowieckiego raju” do Persji (Iranu). Ojciec, jako pełnomocnik, był do końca organizacji ewakuacji Polaków w obrębie wołogodzkiej lasów. W drugim tygodniu lutego 1942 roku ruszył drugi transport Polaków, podążając trasą poprzedniego. Wojna z Niemcami już trwała. Po drodze widzieliśmy sceny przerażające, straszne oznaki głodu. Staliśmy długo na bocznych torach w Wołogdzie, ponieważ węzeł wołogodzki był zablokowany transportami uciekinierów z Leningradu. Dalej natrafialiśmy na wojskowe transporty sanitarne,

powracające z frontu, pełne rannych, okaleczonych, obandażowanych, jęczących z bólu. Wartość miał tylko chleb. Za kawałek chleba można było kupić najkosztowniejszą złotą biżuterię.

W połowie lutego 1942 roku, gdy byliśmy już na stacji w Kirowie, władze radzieckie (NKWD) niespodziewanie odmówiły zezwolenia wyjazdu do Taszkientu i za granicę. Jak dziś widzę ojca, który wracał z sąsiedniego budynku stacji, z dala machając, rozkładając ręce, w których trzymał jakieś papiery. Wracał od służb NKWD, które zakazały wyjazdu za granicę. Nastąpiła ogromna desperacja w transporcie. Na nic zdały się dalsze perswazje, przekonywania, że umowa polsko-sowiecka zezwala na wyjazd wojska i Polaków z obozów za granicę. Jedno słowo: *Nie Izia*. Możemy jechać tylko za Ural, czyli na Syberię. Nasz transport skierowano na kolejową trasę transyberyjską: Swierdłowski – Omsk – Nowosybirsk. Z Nowosybirsk skierowano nas w stronę południową w kierunku Barnaulu, Bijska. Ostatecznie wyładowano nas, kilka wagonów, na małej stacyjce Troickoje, następnie przewieziono kolejną do przystanku Gordiejewo z przyległym sowchozem Proletariat. Był to okręg Środkowej Syberii – Ałtajski Kraj. Mimo że był to sowchoz uprawy zboża, okazało się, że śmierć głodowa ma tu takie samo oblicze jak w lasach wołgodzkich.

W SOWCHOZIE PROLETARIAT

Od 2 marca 1942 roku do sierpnia 1943 roku ojciec i inż. Ryszard Sierpiński pracowali w sowchozie, wyłącznie fizycznie, przy różnych pracach polowych – oraniu, sianiu zboża, żniwach, sianokosach, jako stajenni, oborowi, przy wypasie sowchozowego bydła. [...] A warunki bytowe? Ulokowano ich z rodzinami w baraku wieloosobowym, tzw. obszeżycie. Te same głodowe kartki żywnościowe – 600 g chleba, talony na zupełną „bałandę”. Praca nienormowana od świtu do ciemna, a podczas żniw całodobowa, spanie bezpośrednio na polu, np. w zeszłorocznym stogu słomy. Żadnego przydziału odzieży. W większości chodzono w spodniach uszytych z worków [...]. Na nogach drewniaki, obite odpadami z filcu, starych „wojłoków”. Kufajki te, które pozostały jeszcze z posiołka. Własną odzież całkowicie wyprzedaliśmy przed wyjazdem, a co zostało, dawno się podarło. To jest trudne do wyobrażenia, ale niestety tak było. Byliśmy w gorszym położeniu niż bydło, które przynajmniej miało zapewnione siano i słomę. Tu człowiek nie stanowił żadnej wartości. Przez trzy lata nieraz widziałem ojca na granicy śmierci z powodu głodu, szczególnie gdy zimą nie dowożono chleba. Tak było na „uczastkach”, w samotnych barakach w stepie, w których mieszkaliśmy przez parę lat. Za zebranie zeszłorocznych kłosów groziła natychmiastowa kara zsyłki do jeszcze gorszego obozu pracy. Soska (Poleszuk), który podczas żniw woził wodę w beczkach do traktorów, którejś nocy przywiózł trochę pszenicy w wiadrze schowanym w beczce. Następnego dnia znikł jak kamfora. Nigdy już nie powrócił.

Najtrudniej było przeżyć zimę, straszne zawieje (burany), mrozy. Głód dokuczał straszliwie. Oprócz „pajki” chleba, od 500 g do 600 g, nie mieliśmy nic. Nie pozostała żadna odzież do wymiany. Czasami zdobywaliśmy obierki ze śmietnika stołówki. Z tego były placki (lepioszki), jednak po nich często występowały nudności i wymioty. Później, wiele lat po wojnie, dowiedziałem się, że ich przyczyną był zawarty w obierkach alkaloid – solanidyna. Można powiedzieć, że w tym czasie byłem podczas zimy jedynym żywicielem. Pracowałem, jako 16-letni chłopak, w „koniuszni” przy koniach. Stamtąd ukradkiem przynosiłem w kieszeniach watowanych podartych spodni owies, przydzielany wyłącznie koniom „predsiedatiela”. Było to wielkie ryzyko. Mógłbym podzielić losy między innymi pana Soski. Do innych odpadów żywności należał tzw. żmych, duże płaskie kawałki o żółtym kolorze – wytłoki z nasion bawełny, które czasami dawano krowom. W sowchozie były krowy, lecz nikt nie widział mleka – gdzieś je natychmiast wysyłano. Czasami udało się zdobyć kawałek mięsa z konia zdechłego z wycieńczenia.

Na wiosnę i latem było nieco lżej. Zbieraliśmy lebiodę, która rosła przy stajni na gnojowisku. Czasami udawało mi się oderwać od pracy i poszukać w polu zeszłorocznych ziemniaków. To nie był już ziemniak, lecz wyschnięty kawałek skrobi. Ojciec, a najczęściej ja, podczas wypasu była w stepie łapał imuranki, małe zwierzątka o kociej głowie. Norę w ziemi miały zawsze pionową. Wystarczyło wlać do nory wiadro wody – i już je mieliśmy. Imuranki były nadzwyczaj tłuste, ale miały mało mięsa. Po wytopieniu takiej imuranki otrzymywaliśmy trzy czwarte puszki białego tłuszczu (puszki od mleka skondensowanego z UNRR-y, które otrzymywaliśmy jako zapomogę jeszcze w leśnym posiołku). Tłuszcz był wielkim skarbem, na wagę życia. Pytanie: A jak żyli sowchoźnicy? Podobnie jak my, też dostawali kartki na chleb i zupę, z tym że uprawiali własne ziemniaki na małych przydzielonych im poletkach. Niektórzy mieli krowę i mleko. Przyjechaliśmy do sowchozu obdarci, bez niczego. Między innymi mój ojciec i pan Sierpiński próbowali na wiosnę koło sowchozu skopać ziemię pod ziemniaki. Kopali po nocy. „Predsiedatiel” Jakowlew zrobił wówczas straszną awanturę, że polskie pany chcą dla siebie sadzić ziemniaki. Nie pozwolono! *Nada rabotać dla gosudarstwa* [dla państwa].

Latem 1943 roku pojawili się w sowchozie leningradczycy, uciekinierzy z miasta oblężonego przez Niemców. Jako naoczni świadkowie opowiadali o potwornym głodzie, o tym jak ze zwiotczających mięśni współobywateli, najczęściej ofiar mordu – robili kotlety, a z kości i skóry gotowali rosoły, potrawy, które potem sprzedawali na rynku za złote carskie ruble i za biżuterię. Leningradczycy to byli nadzwyczaj kulturalni ludzie, różniący się od pozostałych Rosjan.

W tym sowchozie przebywał agronom inż. Witold Hryniewicz, zdrajca. Zapomniał, że był Polakiem, zapomniał polskiej mowy. Awansował aż do zastępcy „predsiedatiela”. Wyżywał się na Polakach, szczególnie na ojcu, mojej matce i najwięcej na mnie. Obżerał się z rozkoszą, gdy my tymczasem żyliśmy z dnia na dzień, stale myśląc, aby

przeżyć do następnego dnia. Miał wygodne kilkupokojowe mieszkanie i pełno jadła na stole. Widziałem to, gdy mu rąbałem drewno, podprowadzałem konia z saniami. Nigdy nie poczęstował nawet kromką chleba. Potwór. W Zielonej Górze, po powrocie do kraju, dopasował się do władzy i znów mu się dobrze powodziło. Zmarł w Sopocie.

POBYT W OMSKU. POWRÓT DO KRAJU

Kiedy 15 czerwca 1943 roku utworzono w Związku Radzieckim I Dywizję im. Tadeusza Kościuszki, już pod koniec miesiąca zgłosiło się do niej wielu młodych polskich ochotników. Pomimo, że rocznik ojca i pana Sierpińskiego nie podlegał oficjalnie poborowi – w sierpniu 1943 roku wezwano obu do „wojenkomatu” do Troicka (południowy Ural). Otrzymali tzw. komandirówkę (skierowanie) do Omska, z przeznaczeniem wcielenia do armii radzieckiej, [do] batalionów pracy na tyłach frontu. Po wyjeździe ojca do Omska reszta naszej rodziny (matka – lat 35, ja – lat 16 i brat Henryk – lat 8) pozostała w sowchozie, aż do czerwca 1945 roku. Był to najstraszniejszy okres nędzy, głodu i poniżenia w całej naszej sześćoletniej katordze. Matka, która niegdyś ważyła ok. 80 kg, schudła do 40 kg, obaj z bratem byliśmy zbliżeni do charłactwa. W podobnej sytuacji była rodzina pana Sierpińskiego: ponad 80-letnia babcia, żona, córka Teresa i najmłodszy Jurek – około 8 lat.

W Omsku jednak nie wcielono ich do wojska z powodu interwencji wspomnianego już starego inżyniera z czasów carskich, Worotnikowa, który był dyrektorem drużyny urzędniowo-leśnej omskiego leśnictwa [...]. Od sierpnia 1943 roku zatrudniono ojca i inż. Sierpińskiego w „sowchozmelioustroju” w Omsku w charakterze „ziemlomierów” – taksatorów drużyny urzędniowo-leśnej. Latem pracowali w terenie w okolicach Omska („jurewskij, jęgorowski i kaniłowski sielsowiet”), np. przy opracowywaniu lasów, ustalaniu spornych granic pomiędzy kołchozami. Latem 1945 roku, po przyjeździe do Omska z sowchozu Proletariat, pomagałem ojcu przy pomiarach w kołchozach. Ta sama nędza i głód, jednak w niektórych kołchozach można było się pożywić, np. w kołchozie łotewskim (z okresu carskich zesłań). Byliśmy zdziwieni, że nie brakuje im żywności. To byli inni organizacyjnie ludzie. Dawno wykonali plan dla państwa i mieli również dla siebie.

Do chwili wydobycia się naszej rodziny z tego sowchozowego piekła, tj. czerwca 1945 roku, ojciec mieszkał samotnie w pokoju u inż. leśnictwa Michaiła Aleksandra Worotnikowa. Tuż obok ulicy znajdowała się potężna twierdza, omskie więzienie (tiumra) zbudowane za czasów Katarzyny I, w którym siedziało między innymi wielu polskich zesłańców z okresu carskiego. Tu przesiadywał również Dostojewski. Połowa ludności w Omsku to zesłańcy! Spotkaliśmy wiele rodzin polskich, jeszcze z okresu zaborów, np. kreślarkę urządzania lasów, panią Kramkowską, która o dziwo świetnie mówiła po polsku i po kryjomu dostarczyła mi do przeczytania trylogię Sienkiewicza. Trzeba podkreślić, że Rosjanie – pracownicy z leśnictwa – odnosili się do Polaków z wielkim szacunkiem. Ojciec sprowadził nas

do Omska nielegalnie, na własne ryzyko. Istniał bowiem powszechny zakaz osiedlania się Polaków w miastach. Omsk jest położony nad rzeką Irtysz. Dzielnica, w której mieszkaliśmy, należała do starej, drewnianej części miasta – pojedyncze niskie domki. Ten sam głód i niedostatek, z tym że na kartki zawsze można było wykupić chleb i dodatkowe produkty. Na rynku (tzw. tałkuczka) panował handel wymienny. Tam było wszystko, nawet można było kupić kartkę na chleb. Ojciec przez długi czas kupował kartki na chleb za machorkę ze swego talonu, suszył suchary, przygotowywał dla nas na podróż. A w mieście, jak wszędzie w Kraju Rad, czerwona propaganda, transparenty. Głośnik (radiotoczek) wydierał się na ulicach całego miasta, od porannych kurantów z wieży spaskiej Kremla aż do Międzynarodówki o północy. W centrum miasta, głównie w pobliżu gmachu NKWD, stały szpetne pomniki wodzów rewolucji, a wokół krążył przygnębiony naród szukający pożywienia w pustych sklepach. Na ulicach budził postrach stale kursujący „czornyj woron” (czarny kruk), karetka więzienna NKWD.

W Omsku działał Związek Patriotów Polskich. Gruchnęła wiadomość, że Polacy mogą wracać do kraju. Zanim to nastąpiło, pamiętam, że NKWD kilka razy w nocy wzywało ojca do siebie. Po tej wizycie zawsze przychodził przygnębiony, nic nie mówiąc (podpisywał zobowiązanie zachowania tajemnicy). Potem, w drodze powrotnej do Polski, powiedział, że szantażowano go, aby pozostać. W połowie lutego 1946 roku prezes Związku Patriotów Polskich, pan Toczek, poinformował na zebraniu, aby powiadomić wszystkich Polaków, żeby zgłosili się po odbiór zaświadczeń repatriacyjnych. Z upoważnienia Związku Patriotów Polskich w Omsku ojciec brał udział w organizowaniu akcji powrotu Polaków do Polski. Na dworcu towarowym podstawiono już wagony towarowe dla repatriantów, którzy zjeżdżali się z okolic. Być może w dalekich zapadłych kołchozach nie wszyscy dowiedzieli się o możliwości powrotu do kraju. Ojcu wydano kartę repatriacyjną (nr BE-17743) 13 marca 1946 roku. Przed wyjazdem NKWD sprawdzało na stacji Omsk dokumenty, karty repatriacyjne. Zapamiętałem kilka dramatycznych scen. NKWD siłą usunęło z wagonów kilka rodzin – na nic się zdały lament, płacz, rozdzieranie szat. Jak się później okazało, rodziny te, pochodzenia polskiego lub białoruskiego, przyjęły obywatelstwo radzieckie, aby poprawić sobie warunki bytowe.

13 marca 1946 roku długi transport ruszył do Polski. Przekroczenie granicy polskiej nastąpiło 20 kwietnia 1946 roku na stacji Medyka. Na widok kolejarzy z polskimi orzełkami wpadliśmy w stan euforii, szczęścia, zadowolenia, że nareszcie po sześćioletniej katordze jesteśmy na ojczyźnie. Pociąg podążył przez Kraków na ziemie odzyskane. Sporo Polaków pozostało we Wrocławiu. Kilkanaście wagonów jechało dalej przez Poznań do miasta Łobez. W Poznaniu staliśmy przez jedną dobę (7 maja 1946) na bocznych torach, tuż obok głównego dworca, przy moście dworcowym. Wielka wdzięczność dla poznaniaków, którzy na nasz widok – skrajnie wycieńczonych, wygłodniałych skazańców – przynosili żywność, ubrania i chleb.

Niech ten ich czyn chwalebny przejdzie do pamięci, do historii Polski, martyrologii Polaków na Sybirze. 8 maja 1946 roku kilkanaście wagonów repatriantów zatrzymało się na stałe w punkcie etapowym PUR (Państwowego Urzędu Repatriacyjnego) w mieście Łobez, powiat Ławiczka, woj. pomorskie.

POWRÓT DO PRACY ZAWODOWEJ W POLSKIM LEŚNICTWIE

Tu otwiera się powojenna karta życia i pracy taksatora, geodety mojego ojca, Stanisława Czaińskiego. Po przybyciu do Łobza, 8 maja 1946 roku, za pośrednictwem Nadleśnictwa Łobez został przyjęty do pracy do Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Lubuskiego w Gorzowie na stanowisko taksatora w biurze produkcji drewna. Pierwsze prace jako taksator prowadził w Ławiczkach i Resku. Pod koniec 1946 roku został przeniesiony na stałe do DLP w Gorzowie Wlkp. do sekcji pomiarowo-taksacyjnej. Od 1 lutego do 8 sierpnia 1947 roku pracował w biurze inspekcji Dyrekcji LP Okręgu Lubuskiego (w VIII obwodzie, na stanowisku inspektora). Po przyznaniu mieszkania sprowadził z Łobza rodzinę do Gorzowa (10 czerw-



Stanisław Czaiński
- inż. geodeta w Oddziale
Urządzenia i Pomiarów Lasów
DLP w Gorzowie Wlkp.
Lata 50. XX w.

ca 1947). Nadal wykonywał pomiarowo-taksacyjne prace terenowe i kameralne. W okresie od 30 stycznia do 15 lutego 1956 roku ukończył w Tułowicach obowiązkowy kurs dla wszystkich leśnych pracowników geodezyjnych – pomiarów w zakresie geodezji leśnej. 13 marca 1956 roku został awansowany na stanowisko p.o. inż. geodety w Oddziale Urządzenia i Pomiarów Lasów w Gorzowie Wlkp. (dyrektorem Oddziału był inż. Stanisław Kwiatek) [...]. Najbliższymi jego współpracownikami w Gorzowie Wlkp. pochodzącymi z Kresów Wschodnich (z DLP w Wilnie) byli: inż. Stanisław Kwiatek, inż. M. Zgorzelski, inż. J. Łukszo, inż. W. Leśnicki.

22 listopada 1963 roku ojciec przeszedł na emeryturę. Od 22 listopada 1963 roku do 31 sierpnia 1972 roku pracował jeszcze, przez 9 lat, na pół etatu. W służbie leśnej, poczynając od 1918 roku, aż do 31 sierpnia 1972 roku, przepracował 54 lata, wliczając okres zesłania – pracę w „lesorubach” (drwal) i pracę „ziemlomiera” (pomiarowca w Omsku). W okresie powojennym (8 maja 1946 – 31 sierpnia 1972) pracował ciągle jako geodeta taksator. Zmarł 29 marca 1985 roku w wieku 90 lat. Został pochowany w Gorzowie Wlkp. Był to Polak, patriota, rodem z ziemi nowogrodzkiej, leśnik wielkiego serca. Przyrodę uwielbiał, czcił, czuł jej niepowtarzalny czar w szumie drzew, śpiewie ptaków, porankach leśnych. Nigdy w pracy nie kierował się interesem, korzyścią materialną za wszelką cenę. Był pogodnego usposobienia, nadzwyczaj skromny, niezwykle pracowity, sumienny, starannie i pięknie kreślił plany. Jeszcze do późnej starości, po przyznaniu skromnej emerytury, nocami pracował w domu, kreśląc, obliczając współrzędne itp.

Syberia bardzo okaleczyła naszą rodzinę. Matka uległa całkowitemu paraliżowi, podobnie starszy syn (w zasadzie główny autor wspomnień) na skutek licznych odmrożeń wrócił do Polski jako kaleka, powłóczęc z ledwością nogami, a następnie został inwalidą pierwszej grupy – na wózku inwalidzkim. Urodzona już po wojnie, w 1947 roku, nasza siostra Jadwiga, poświęciła bezgranicznie swe młode życie opiece nad nami, trojgiem okaleczonych Sybiraków. Zmarła mając 46 lat i została pochowana z ojcem w jednym grobie.

Janusz i Henryk Czaińscy

Zdjęcia: archiwum rodziny Czaińskich

PS Historię leśniczego Stanisława Czaińskiego i jego rodziny opisali jego synowie – Janusz i Henryk. Historia była opublikowana w opracowaniu Józefa Brody pt. „Wśród śniegów i bagien tajgi” przez Wydawnictwo Akademii Rolniczej w Poznaniu w 2004 roku (strony od 255 do 270).

Redakcja składa podziękowanie Rodzinie oraz Wydawnictwu Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu (kontynuatorowi Wydawnictwa AR) za wyrażenie zgody na przedruk biogramu leśniczego Stanisława Czaińskiego.

ZBRODNIA SOWIECKICH DEPORTACJI

W nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku odbyły się masowe deportacje polskich leśników przez Związek Sowieckich Republik Radzieckich. Pracownicy przedwojennych Lasów Państwowych oraz ich rodziny trafili do „białych krematoriów”, jak były nazywane obozy pracy przymusowej systemu GUŁAG, gdzie czekała na nich praca przy wyrębie tajgi.

Agresja ZSRR na II Rzeczpospolitą w 1939 roku była pogwałceniem obowiązującego prawa międzynarodowego. Związek Radziecki dokonał zbrojnej napaści bez wcześniejszego wypowiedzenia wojny, co było określone w prawie międzynarodowym. Jednym z celów okupacyjnych władz była fizyczna likwidacja polskiej inteligencji, w tym leśników. Pracownicy przedwojennych Lasów Państwowych byli masowo wywożeni na wschód. Agresja ZSRR, wbrew wcześniejszym układom polsko-sowieckim, zapoczątkowała okupację wschodnich terenów Rzeczypospolitej. Według planów najwyższych władz komunistycznych tereny te miały zostać pozabawione polskiej klasy przywódczej.

W dokumentach wymieniono grupy społeczne i zawodowe, z których pochodzili jeńcy i więźniowie znajdujący się w sowieckich obozach oraz więzieniach. Byli to oficerowie armii polskiej, policjanci, straż graniczna, żandarmeria, służba więzienna, pracownicy wywiadu, fabrykanci, posiadacze ziemscy, księża, urzędnicy, dziennikarze, lekarze, prawnicy, działacze polityczni oraz właśnie leśnicy. Część z nich została rozstrzelana w Katyniu i innych miejscowościach, innych skierowano do „białych krematoriów”.

Trafili oni do systemu GUŁAG. Ten konglomerat obozów koncentracyjnych dla przetrzymywania wrogów politycznych partii komunistycznej powstał krótko po rewolucji październikowej. Zgodnie z koncepcją Włodzimierza Lenina wzdłuż wybrzeży Morza Białego zaczęły powstawać miejsca odosobnienia, gdzie ich więźniowie mieli pracować niewolniczo. Nazwano je Gułagami (Głównoje uprawlenije isprawitelno-trudowych łagieriej i kolonij) i miały być miejscami internowania osób niepewnych politycznie i mniejszości narodowych.

W 1920 roku było już 107 takich obozów. Szef radzieckiej bezpieki Feliks Dzierżyński uznał, że powstające obozy będą miejscem: *gdzie praca aresztantów znajdzie zastosowanie, gdzie będą się trudzić panowie żyjący z powietrza albo ci, co nie potrafią pracować bez pewnego przymusu. (...) Ten środek kary powinien być stosowany za niesumienność w pracy, za lenistwo, za spóźnienia.*

Ze względu na niski koszt pracy więźniów system obozów szybko stał się sposobem na poprawienie wydajności pracy. Wysoka śmiertelność spowodowała, że potrzebny był stały napływ nowych więźniów. Jednym z najbardziej śmierciono-

śnych momentów był sam transport. Umieszczenie w bydłych, nieogrzewanych wagonach na wielodniową podróż powodowało bardzo wysoki odsetek zmarłych już podczas drogi dojazdowej. Szczególnym problemem był brak ciepłego jedzenia i wody.

W ciągu trwającej 28 dni podróży, wodę podano nam tylko trzy razy, kiedy pociąg od czasu do czasu się zatrzymywał, by usunąć trupy z wagonów – czytamy w wspomnieniach polskiego zesłańca.

Dlatego władze ZSRR musiały stale dbać o przyrływ nowych osadzonych. Więźniowie obozów koncentracyjnych pracowali przy wyrębie lasów, budowie kolei, stalowni, a także wybudowali od podstaw trzy miasta na Syberii: Workuta, Norylsk, Magadan. Z ujawnionej, niepełnej dokumentacji, wynika, że pracownicy Lasów Państwowych najczęściej byli kierowani do prac przy wyrębie tajgi. Wraz z rozwojem gułagów coraz częściej praca stawała się synonimem eksterminacji. Szczególnie obóz w Kołymie był uważany za najbardziej surowy i o największej śmiertelności.

Więziony przez 18 miesięcy w gułagu w Karagpolu Gustaw Herling-Grudziński pisał we wspomnieniach: *W pierwszych dniach kwietnia gruchnęła w obozie wiadomość, że przygotowuje się etap na Kołymę. Dopiero dzisiaj, kiedy przeczytałem już wiele książek o niemieckich obozach koncentracyjnych, wiem, że etap na Kołymę był w sowieckich obozach pracy czymś w rodzaju odpowiednika niemieckiej „selekcji do gazu”. (...) Nasz obóz zastygł z przerażenia. W barakach ucichły rozmowy, przy pracy narzekania, ambulatorium opustoszało. Zbliżał się dzień Sądu Ostatecznego i stawaliśmy przed obliczem naszego Pana z pokornymi twarzami, śledząc błagalnym wzrokiem błyskawiczne poruszenia jego miecza.*

Pracowano nierzadko po 10-11 godzin dziennie oraz przy mrozach sięgających minus 50 stopni Celsjusza. Nie tylko surowe warunki i ciężka praca były przyczynami śmiertelności. W samych obozach, szczególnie na przełomie lat 30. i 40., mieszało ze sobą uruków, czyli recydywistów, z więźniami politycznymi. Władze obozów przymykały oczy na gwałty, grabieże i mordy popełniane na osadzonych.

Wysoka śmiertelność wśród internowanych wynikała przede wszystkim z niskich temperatur, małych racji żywnościowych i wycieńczającej pracy. Bardzo rzadko zdarzało się, by więźniowie jedli ryby lub mięso, zazwyczaj była to kasza, zupa warzywna oraz chleb. Czasem w koloniach otrzymywano herbatę, jednakże głównym napojem pozostawała woda.

Więźniowie starali się uzupełnić dietę jagodami, grzybami i kłączami, jednakże za odrywanie się od pracy można było utracić życie. Racje żywnościowe były bardzo niskie, nierzadko stanowiły dwie miski cienkiej zupy oraz 300 gram chleba na dobę. Wysoka śmiertelność wynikała też z wysokich mrozów oraz nieodpowiedniej opieki lekarskiej. Brak witamin i niewłaściwa dieta prowadziły do skorbutu i omdleń z głodu. Często pielęgniarzem osobowym zostawał jeden z więźniów, któremu dawano do przeczytania zaledwie dwie książki o chorobach.

Zimą w Wierchojańsku, niedaleko Kołomy, odnotowano temperaturę minus 68 stopni Celsjusza, co świadczy z jakimi mrozami musieli się zmagać więźniowie. Często byli oni pozbawieni odpowiedniej odzieży i wyposażenia do pracy w lesie. Na barak przypadały 1-2 piece co powodowało, że były w nim miejsca niemal całkowicie nie ogrzane.

Odrębną kwestią był sadyzm więźniów kryminalnych oraz załogi obozu, a także surowe kary za nieposłuszeństwo. Strażnicy wywodzili się z niższych warstw społecznych i nie przykładali się do pracy. Traktowali pracę w obozie jako swego rodzaju zesłanie, co często odbijało się na więźniach. Demoralizacja była zwalczana, ale nieskutecznie. Śmiertelność w obozach wynosiła około 14 proc. całości stanu rocznie.

Przebieg brutalnej akcji przesiedleń był wszędzie podobny. Dość wiernie oddaje to relacja sybiraczki Marii Skrzyńskiej z domu Ząbek (1926-2003), córki leśniczego z Ropienki:

Mój ojciec Stanisław Ząbek ur. 11.04.1895 roku (...) mieszkał z rodziną w Ropience, pow. Lesko, gdzie pracował jako leśniczy. Zarządzał lasami majątku ziemiańskiej rodziny Hołyńskich w Brelikowie oraz lasami dziedzica Ropienki Górnej i przedsiębiorcy naftowego Henryka Linderskiego. Pamiętam doskonale ten piątkowy wieczór 9 lutego 1940 roku. Byłam już w wieku 13 lat. Tego wieczoru mama zarobiła zaczyn do ciasta na chleb do upieczenia w sobotę. Żeby go przygotować przecierała ziemniaki przez sito. Chleba już nie upiekła, bo tej nocy ok. godz. 2:00 obudził nas łomot i krzyk „otwierać drzwi!”. Po wejściu trzech uzbrojonych NKWD-stów oznajmiono, że jest nakaz przeprowadzenia rewizji i zaczęli poszukiwania rzekomo ukrywanej broni. Ojca od nas odseparowali, stawiając go do kąta. (...) Jeden z żołnierzy niby na pocieszenie skwitował, że jedziemy niedaleko koło Lwowa i jeszcze tu wrócimy. Oświadczone stanowczo, że w ciągu 15 minut mamy opuścić dom. Poganiając mamę, kazano jej ciepło ubrać dzieci, spakować niezbędne rzeczy i przygotować się do podróży, bo podwoda już czekała na drodze. Przez cały czas tato trzymany był w kącie. Wykorzystując chwilę nieuwagi, mama cicho szepnęła do moich braci Tadzia (lat 11) i Gustka (lat 5), żeby wymknęli się i poszli obudzić babcię (mama mojej mamy) mieszkającą w sąsiednim domu i poprosili o trochę mleka, a także przekazali co się stało. W końcu pod strażą jak zbrodniarza wyprowadzili pilnowanego tatę, sadzając go na drugich saniach. Nie pozwolono nam nic wziąć, tylko dobrze się ubrać. Dopiero później zobaczyliśmy, że innym rodzinom deportowanym pozwolono zabrać na drogę nieco żywności, a my nawet chleba nie zabraliśmy. Ciemna noc, mróz, zadyma, ludzie spali, a my jechaliśmy w nieznane. Po 10 km jazdy dowieziono nas do stacji kolejowej w Olszanicy, gdzie czekał podstawiony długi skład bydłęcych wagonów.

Przy wysiadce i przechodzeniu na stację była szansa na ucieczkę dla dzieci, które były mniej pilnowane. Mama namawiała nas, zwłaszcza że w tej wsi mieszkały dwie nasze ciocie, ale orzekliśmy, że gdzie tato i mama – tam i my. Kiedy poprowadzono nas do wagonu i odsunięto zaryglowane drzwi, okazało się, że w ciemnościach wa-

gonu popłakując siedzą już jakieś rodziny (...). Po zasunięciu drzwi wszyscy zaczęli głośno szlochać i lamentować. Okazało się, że w naszym wagonie jest ponad 40 osób i są to tylko rodziny leśników (...). Przez szpary w wagonie widać było, jak ze wszystkich stron pod eskortą sowieckich żołnierzy przywożono kolejne rodziny i ładowano do wagonów (...). We Lwowie przeładowali nas na wagony szerokiego toru, wtedy utwierdziliśmy się w przekonaniu, że jedziemy na Sybir.

Mówiono, że nasz skład pociągu liczył ok. 60 wagonów i podobno wieziono nim 2,5 tysiąca zesańców. We Lwowie takich transportów z Polakami jak nasz stało wiele. Mimo wołania o pomoc spragnionych i głodnych ludzi, pierwszą strawę (zamarznięty kawałek czarnego chleba i mała porcja niedobrej zamarzniętej kaszy jęczmiennej) i trochę „kipiatoku” dostaliśmy dopiero na stacji Podwołoczyska, w pobliżu niedawnej granicy polsko-sowieckiej.

Dalej jechaliśmy przez miesiąc, po drodze wiele schorowanych ludzi umierało, a trupy wyrzucano za tory w śnieg. Mama też ucierpiała, była poparzona, bo podczas podróży przy szarpnięciu wagonami wylał się na jej nogę wrzątek z garnka strąconego z piecyka. Przywieziono nas do pasiołka Pobjedy koło miejscowości Tawda, Oblast Świerdłowski, a dalej w tajgę ruszyliśmy transportem konnym i piechotą do Fanierny, gdzie na początek musieliśmy postawić sobie baraki do zamieszkania. Pięcioletni pobyt na Syberii nadaje się na osobną opowieść. Do kraju wróciliśmy w marcu 1946 roku.

Według badaczy II wojny światowej można przyjąć, że w ramach „leśnych deportacji” łącznie zamordowano lub wywieziono z ziem wschodnich od 50 tys. do 55 tys. osób. Byli to oczywiście nie tylko leśnicy, Rosjanie deportowali całe rodziny. Szacunkowo można przyjąć, że leśników skazanych na pobyt w łagrach mogło przeżyć najwyżej ok. 15-20 proc.

Do niektórych łagrów i obozów zesłania zapewne nie dotarła nawet wiadomość o tzw. amnestii dla Polaków z 12 sierpnia 1941 roku (po układzie Sikorski – Majski).

Wielkości strat osobowych wśród leśników z polskich ziem wschodnich – od ich zajęcia przez Związek Radziecki do połowy 1940 roku – w przybliżeniu można określić według następującego podziału: wyżsi funkcjonariusze administracji leśnej, od nadleśniczego wzwyż 85-90 proc., nadleśniczowie i inni równorzędni funkcjonariusze leśni i drzewni 60-70 proc., leśniczowie i leśnicy - uchodźcy 50-60 proc., gajowi i strażnicy leśni 25-35 proc. Straty były więc ogromne. Spowodowały one nie tylko brak należytej opieki nad łupionymi lasami, ale też rozbitcie kształtujących się polskich struktur podziemnych na wschodzie, gdzie dużą rolę odgrywali leśnicy.

Piotr Celej

Źródło:

Strona internetowa Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych – www.lasy.gov.pl z dnia 11.02.2021 r. (zakładka „Aktualności”).



Leonard Karolewski (1908-1982)

Leśniczy LEONARD KAROLEWSKI

(1908-1982)



ędąc na zjeździe maturzystów w Tucholi, w lipcu 2011 roku, spotkałam koleżankę z lat szkolnych, z którą nie widziałam się 58 lat. Była to Marysia Szupryczyńska (z domu Urbańska), która obecnie mieszka w Toruniu i pracuje na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Były szczere rozmowy i wspomnienia z młodości. Okazało się, że losy jej taty i mojego były podobne: obydwaj byli leśnikami w tym samym czasie, w tej samej toruńskiej dyrekcji Lasów Państwowych, nawet pracowali w tym samym nadleśnictwie, choć nie równocześnie. Dowiedziałam się, że w „Biuletynie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu” znajduje się stały dział „Karty z naszej historii”. Odpowiadając na zaproszenie redaktora Biuletynu, Tadeusza Chrzanowskiego, podjęłam się opisanie historii mojego Ojca.

MARGONIN I POCZĄTKI PRACY ZAWODOWEJ

Mój ojciec Leonard Karolewski urodził się w 1908 roku w Gnieźnie, w rodzinie niezbyt zamożnych kolejarzy. Był najstarszy w sześciuosobowej gromadce dzieci. Warunki bytowe rodziny Karolewskich były skromne, ale babcia Konstancja, jak na tamte czasy osoba światła, lubiąca czytać książki, postanowiła, że najstarszy syn Leonard musi mieć dobry zawód i wykształcenie. Po części to ona sprawiła, że wybrał leśnictwo.

Najbliższa szkoła leśna znajdowała się wówczas w Margoninie, toteż Tato podjął tam naukę, którą pomyślnie ukończył w 1930 roku, zdobywając zawód leśnika. Pracę otrzymał w Leśnictwie Promno koło Gniezna, lecz nie na długo, gdyż został powołany do wojska. Służbę odbywał w Poznaniu. I tam pewnego dnia, będąc na przepustce, wraz z kolegami odwiedził ich koleżankę Zofię. Znajomość ta przerodziła się w uczucie. Moi rodzice Leonard i Zofia pobraли się w czerwcu 1935 roku.

Młoda para, wraz z bogatym wianem – gdyż ojciec Zofii był zamożnym gospodarzem – zamieszkała w wyznaczonej Ojcu leśniczówce Małki w Nadleśnictwie Mszano koło Brodnicy. Był to mały dom z cegły, z ogródkiem, położony malowniczo pośród lasu, nad rzeczką. Do Brodnicy stamtąd było pięć kilometrów. Ojciec pracował w nadleśnictwie na stanowisku leśniczego administracyjnego. Rodzice szybko nawiązali znajomości z sąsiadami i odwiedzali się wzajemnie. Pożyczyli bryczkę od gospodarza i jeździli do sąsiednich leśniczówek. Życie towarzyskie kwitło. Po roku urodziła się pierwsza córka Halina.



Leonard Karolewski (drugi od lewej) jako absolwent Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Margoninie. Rok 1930



Zofia i Leonard Karolewscy w dniu ślubu, 30 czerwca 1935 r.

Po trzech latach pracy w Małkach nasza rodzina przeprowadziła się o dobre sto kilometrów dalej, na teren Nadleśnictwa Leśno, gdzie Ojciec awansował na sekretarza nadleśnictwa. Zamieszkali w osadzie oddalonej o dziesięć kilometrów od Kowalewa. Leśno składało się wówczas z dwóch domów jednorodzinnych otoczonych ogrodami. Dalej był jeszcze kilkurodzinny dom i piękny pałac, w którym mieściło się nadleśnictwo. Miejscowość otoczona była lasem i płynęła tam urokliwa rzeczka. Za zarobione przez Ojca pieniądze rodzice kupili wkrótce krowę i świnkę, bo trzeba było być samowystarczalnym. Później nabyli też pierwsze radio.

W 1939 roku zaczęto coraz częściej mówić o wojnie. Pewnego dnia do biura nadleśnictwa zadzwonili z dyrekcji w Toruniu, że wojna jest nieunikniona. Odbywały się gorące dyskusje w radiu i pośród znajomych. Pocieszano się, że Polska jest silna i nie podda się, że mamy mocnych sojuszników i wspólnie poradzimy sobie z najeźdźcą. Ogłoszono ewakuację cywilów i mobilizację mężczyzn. Tato miał się stawić w swoim pułku w Grudziądzu. Rodzice wsiedli zatem na rowery i pojechali do najbliższej stacji kolejowej, odległej o dziewięć kilometrów. Na dworcu odbyły się smutne pożegnania. Kobiety płakały, a mężczyźni dodawali sobie otuchy, śpiewając: *Wojenko, wojenko...*

WOJNA

Tato pojechał do miejsca swego przeznaczenia. W działaniach wojennych przemieszczał się na koniu, gdyż służył w żandarmerii wojskowej. Pierwszy niemiecki atak przeżył przy granicy z Prusami Wschodnimi. Był to nalot samolotów myśliwskich, przed którym – jak później opowiadała – zdołał się ukryć w pobliskim lesie.

Kilka dni po wyjeździe Ojca zarządzono ewakuację leśnych rodzin. Nadleśniczy zorganizował wozy konne. Mamę i mnie, razem z dobytkiem – pościelą, ubraniami, zapasem żywności – dołączono do wozu z rodziną leśniczego Tadeusza Babireckiego. Wyruszyliśmy w nieznaną, przez Drwęcę w kierunku Warszawy. Na noclegi zatrzymywaliśmy się w przygodnych domach lub w stodołach. Gospodarze mieli obowiązek przyjmować i przemocować ludzi. Gotowanie odbywało się najczęściej na ognisku, czasem na udostępnionej kuchni. Jechaliśmy całe dni, aż dotarliśmy do Kutna. Szosy były zatłoczone wojskiem i uchodźcami. Ostatecznie, nakazano nam powrót do miejsca zamieszkania, by ułatwić przemieszczanie się wojska. I tak po kolejnych dniach tułaczki wróciliśmy z mamą do spustoszonego Leśna. Po jakimś czasie, po licznych i dramatycznych przygodach wojennych, powrócił do nas również Tato.

Nieopodal Leśna była wówczas – nieistniejąca już dzisiaj – leśniczówka Strębaczo. Mieszkający tam leśniczy uciekł przed Niemcami i osada stała pusta. Tato dostał polecenie od nadleśniczego, że ma się tam przenieść wraz z rodziną i pracować jako pomocnik najbliższego leśniczego. Niemcy uważali Pomorze za swoje terytorium. Mieszkających tu młodych Niemców brali do swojego wojska, Polakami na razie obsadzali niektóre, podrzędne posady. Leśniczówka Strębaczo była



Spotkanie w gronie znajomych w Strębacznie w 1941 r. Od lewej: Leonard i Zofia Karolewscy

urokliwie położona pośród lasów. Do Leśna było stąd dwa kilometry, a do Kowalewa – dziewięć. Tam też urodził się mój brat Andrzejek, a przy porodzie mamie pomagał lekarz przywieziony furmanką z Golubia.

Tato prowadził wyrąb lasu. Mama z babcią zajmowały się gospodarstwem domowym, hodowały gęsi, kury i kaczki. Była też krowa i świnka. Tymczasem los Polaków był coraz trudniejszy. Byli zabierani do obozów koncentracyjnych, albo wywożeni do pracy u niemieckich gospodarzy. W końcu też młodych mężczyzn kierowano do niemieckiego wojska, gdyż potrzebni byli żołnierze na front wschodni. Na Pomorzu wprowadzono obowiązek służby w Wehrmachcie również dla Polaków zatrudnionych w urzędach państwowych. W 1942 roku Tato dostał wezwanie do Grudziądza, do niemieckiej armii. Obie z mamą, zapłakane, żegnałyśmy (może na zawsze?) tatę na dworcu. Po przeszkoleniu dostał on najpierw skierowanie na front wschodni. Uratowała go choroba. Po wyleczeniu wysłano go na zachód, w głąb Niemiec aż do granicy z Holandią. Później trafił do Francji nad Atlantyk, w okolice Lorient w Bretanii. W walkach nie brał jednak bezpośrednio udziału, gdyż służył w batalionie zaopatrującym wojsko w żywność. Z Francji pisał do nas pełne tęsknoty listy i pocztówki, a nawet jeden raz przyjechał do Strębaczna na krótki urlop.

W Strębacznie powodziło się nam nieźle. Mama z babcią, która mieszkała w czasie okupacji u nas, prowadziły dość duże gospodarstwo. Hodowały krowy, trzodę chlewną, całe stada kur, gęsi i kaczek, uprawiały ogród i kawałek pola. Jedzenia mieliśmy pod dostatkiem. Toteż chętnie odwiedzali nas goście, przyjeżdżali znajomi z Kowalewa i Torunia. Najczęściej celem takich spotkań była wymiana wiadomości o wojnie i wzajemne podtrzymywanie się na duchu, że „już niedługo”.

Pod koniec wojny spokój mojej mamy został zakłócony. Pewnego dnia przyszedł do nas „trojchender” (der Treuchander – zarządca), czyli sołtys tego terenu – Niemiec i oznajmił, że wpłynęło pismo z gestapo w sprawie wysłania naszej rodziny do Oświęcimia. Okazało się, że wśród Niemców też byli porządni ludzie. Umówił się z mamą, że to pismo przetrzyma, jak długo się da. Może wiedział, że wojna na wschodzie przechylała się na naszą korzyść, bo Niemcy właśnie uciekali spod Stalingradu. Aż nastąpił taki dzień, kiedy na niebie pojawiły się eskadry samolotów. Wtedy spakowaliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i przenieśliśmy się do piwniczki wykopanej na podwórku. Mama dowiedziała się, że wojska sowieckie są już niedaleko.

Pamiętam noce pełne trwogi, kiedy słychać było detonacje z walk pod Grudziądem. Budziłam się pełna przerażenia i płakałam. Detonacje w końcu ucichły, śnieg pokrył ziemię i drzewa. Drogi do leśniczówki były zasypane. W domu było teraz cicho, ciepło i przyjemnie. Był już styczeń 1945 roku, kiedy babcia wpadła do naszego pokoju z wiadomością, że dróżką leśną od Kowalewa jadą wojskowe samochody i czołgi. Po chwili gazik zatrzymał się przed naszą furtką. Wysiadł z niego kapitan

w futrzanej czapce i wszedł do domu. Przebiegł wszystkie pokoje pytając, czy jest tu „germaniec”. Gdy go nie znalazł, zapytał o drogę na Leśno. Tam rozłożył się sztab wojsk sowieckich. Nazajutrz odwiedziła nas znajoma z Leśna z ostrzeżeniem: *chowajcie wszystko co się świeci, bo ruscy zabierają, zwłaszcza zegarki*. Babcia pochowała głęboko zegarki i sztucce. Później poszliśmy do Leśna. Na polance obok osady rozłożonych było mnóstwo ogromnych namiotów wojskowych. Stały też samochody ciężarowe i gaziki. Na niektórych, spod lakieru, przebijały napisy „U.S.A.”

Po kilku dniach podjechał pod leśniczówkę samochód ciężarowy, z którego wysiadł sowiecki oficer. Oznajmił, że zajmuje jeden pokój, w którym zamieszkają Rosjanie: kinooperator, kierowca, fotograf i tzw. bajonista, który grywał na harmonii. Byli to młodzi, spokojni i dość kulturalni chłopcy. Wieczorami mieliśmy muzykę, a raz zaprosili nas nawet na film pt. „Obrona Stalingradu”, wyświetlany w stodole przy siedzibie nadleśnictwa w Leśnie. Niekiedy przynosili nawet coś do zjedzenia z wojskowych zapasów. Po jakimś czasie sztab wojskowy zwinął się i odjechał. Zaczęło się normalne życie i świadomość, że dla nas wojna się skończyła.

Pewnego wiosennego poranka pod leśniczówkę podjechał wóz konny. Wyskoczył z niego dwóch wojskowych oznajmiając, że rekwirują różne rzeczy dla wojska polskiego. Zabrali z domu wszystko, co było do jedzenia: zapasy wędlin, mięsa, kury, poza tym ciepłą odzież i, o dziwo, moje sukienki. Za wozem uwiązali jałówkę. Wychodząc, jeszcze raz podkreślili, że *to wszystko dla wojska polskiego*. Niebawem okazało się, że była to banda rabusiów podszywająca się pod wojskowych. W okolicy takich band grasowało więcej.

Od września 1945 roku otwarto szkoły. Trafiłam do jednoklasowej szkoły w Chełmoniu, ale w ciągu roku przerobiłam materiał z czterech klas, gdyż w czasie wojny uczyła mnie mama. W 1946 roku, kiedy już wojna przebrzmiała, również w lasach rozpoczęto porządkowanie i prace gospodarcze. Mieszkaliśmy nadal w leśniczówce Strębacznno, ale lasem zajmował się nowy leśniczy Woźniak, który przybył z Torunia. Ojciec jeszcze nie wrócił z wojny.

Wkrótce przybyli do Strębacznna państwo Tułodzieccy. Żona leśniczego była w zaawansowanej ciąży. Pewnego dnia pojechała do szpitala i na świat przyszedł bliźniaki – Roman i Tadeusz, co było dla wszystkich dużym zaskoczeniem. Moja mama dzielnie pomagała słabej i zapracowanej kobiecie w codziennych obowiązkach. Wkrótce jednak leśniczego Tułodzieckiego przeniesiono do leśniczówki Tołułka w sąsiednim Nadleśnictwie Konstancjewo.

UCIECZKA TATY

Tymczasem Tato, wcielony do niemieckiej armii przebywał na terenie Francji i wraz z grupą kolegów Polaków szukał sposobności, jak uciec z wojska. Okazja nadarzyła się, kiedy przepędzali krowy w pobliżu zaminowanego pola. Krowy się rozbiegły, miny zaczęły wybuchać, rozrywając zwierzęta. Ojcu błysnęła myśl, aby

po śladach krów uciec z kolegami do najbliższej miejscowości. Tak też uczynili i zaraz nawiązali kontakt z francuskim ruchem oporu. Jakiś czas ich badano. Kiedy okazało się, że mówią prawdę, skierowano do Anglii, gdzie trafili do wojska polskiego dowodzonego przez generała Maczka. Później Tato został przeniesiony do Glasgow w Szkocji, gdzie służył już do końca wojny.

Po ucieczce Taty z niemieckiego wojska mama otrzymała pismo z Berlina, że jej mąż zaginął na wojnie. Później pojawiło się, wspomniane wcześniej, pismo z gestapo do miejscowego wójta Niemca, żeby naszą rodzinę skierować do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Widać odkryli fakt dezercji Taty. Mama przeżywała gehennę, jednak cały czas miała nadzieję, że mąż jej gdzieś żyje. Dopiero po zakończeniu działań wojennych przyszło zapytanie z Czerwonego Krzyża, czy żyje rodzina Leonarda Karolewskiego. Później dotarł list z Anglii. Tato pisał, że szczęśliwie przeżył wojnę i niebawem wróci do Polski, bo już zapisał się do obozu przejściowego. Tęsknił za rodziną i za krajem.

I tak, pewnego czerwcowego dnia 1946 roku, stanął przed drzwiami naszej leśniczówki, w angielskim mundurze, z tobołkiem w ręku. Tak skończyła się dla nas ta okropna wojna.

LOSY RODZEŃSTWA OJCA

Siostry mojego Ojca, Emilia i Oleńka, jeszcze przed wojną wyszły za mąż za oficerów Wojska Polskiego. Obie zamieszkały w miejscowości Korzec koło Równego, na polskich Kresach. W 1937 r. Emilia urodziła synka Zbyszka. Obydwu rodzinom powodziło się dobrze. Dramatyczna zmiana nastąpiła z chwilą wybuchu II wojny światowej. Po napaści Związku Sowieckiego mąż Emilii trafił do Kozielska i został zamordowany przez NKWD w Katyniu.

W tym czasie, w kwietniu 1940 roku Rosjanie wywozili całe rodziny polskich oficerów na Sybir. Deportacja dotknęła również Oleńkę, Emilię i jej dwuletnie dziecko. Obie siostry trafiły do Kazachstanu, gdzie mieszkały i pracowały w katorżniczych warunkach, o głodzie i chłódzie. Mieszkali kątem u biednej rosyjskiej „hadziajki”. Chałupka była maleńka, jednoizbowa. Mieszkali w niej wszyscy, a była tam też świnia i krowa – żywicielki rodziny. Pomieszczenie ogrzewało się krowimi odchodami, suszonymi latem na słońcu. Zimą, pod grubą warstwą śniegu, spod której wystawał tylko komin, w chałupce było ciepło. Jednak w tak ciężkich warunkach życia, stałego niedożywienia i ciężkiej pracy o chorobę nie było trudno. Emilia zapadła na gruźlicę krtani i wkrótce zmarła. Została na zawsze w obcej ziemi. Oleńka i siedmioletni już Zbyszek (syn Emilii) po zakończeniu wojny przez trzy miesiące wracali transportem kolejowym do Polski. Aż wreszcie trafili do Gniezna, do rodzinnego domu.

Młodszy brat Taty, osiemnastoletni Zbyszek, działał w Armii Krajowej. Po wojnie, już przez władzę ludową, został za to skazany na siedem lat ciężkiego więzienia we Wronkach. Odsiedział cały wyrok. Później założył rodzinę i zamieszkał w okolicach

Zielonej Góry. Kolejny brat Taty – Edmund miał więcej szczęścia. Po wojnie, wraz z żoną Janką podjął pracę w Nadleśnictwie Tuchola, niedaleko Świtu, gdzie już i my wówczas mieszkaliśmy. Oboje pracowali w nadleśnictwie do emerytury, a ich córka Basia po latach ukończyła Technikum Leśne w Tucholi i wraz z mężem znaleźli też zatrudnienie w Lasach Państwowych.

NADLEŚNICTWO ŚWIT

Po swoim szczęśliwym powrocie z wojny do domu w Strębacznie, Tato zgłosił się w sprawie zatrudnienia do dyrekcji lasów w Toruniu. Otrzymał propozycję pracy w nadleśnictwie o pięknej nazwie Świt, położonym w Borach Tucholskich. Pojechał obejrzeć miejsce pracy i wrócił zauroczony. Leśniczówka była położona w lesie, na skarpie Brdy. Był to piękny dom z dużym podwórkiem, zabudowaniami gospodarczymi i ogrodem kończącym się na brzegu rzeki. Decyzja była szybka – przeprowadzamy się w okolice Tucholi.

Jednak nie wszystko tam było takie proste i łatwe. Do lampy naftowej byliśmy co prawda przyzwyczajeni, ale dojazdy Taty do pracy i moje do szkoły były uciążliwe. Nadleśnictwo mieściło się w oddalonej o pięć kilometrów Tucholi, gdyż dawna siedziba w Świcie była zniszczona w czasie działań wojennych. Toteż w uroczym Świcie całe dnie przebywała tylko mama z synkiem Andrzejem, a my z Tatą jeździliśmy do Tucholi rowerami. W 1948 roku urodziła się moja siostra Wanda, a w 1949 – Bogumiła.

Czasy powojenne były ciężkie, ale nam jedzenia nigdy nie brakowało. Mama hodowała dwie krowy, świnie, stado kur, kaczek i indyków. Pracowała bardzo ciężko, ale dzielnie pomagał jej w tym Ojciec, który zaraz po powrocie z pracy w lesie brał się za obrządek. Zimą przy naszej leśniczówce całymi tygodniami nie było widać żywej duszy. Natomiast latem Mama nie mogła opędzić się przed letnikami. Przyjeżdżali chętnie na odpoczynek z Bydgoszczy, Gdańska, a nawet z Warszawy. Jednymi z nich byli Państwo Sadowscy z Warszawy. Nasze rodziny zaprzyjaźniły się. Mama była zachwycona, bo miała sympatyczne towarzystwo. Pan Sadowski był wykładowcą w SGPiS, a potem prezesem Głównego Urzędu Statystycznego. Za kwaterę Mama nie brała żadnych pieniędzy, ale za to miała dobrych klientów na wiejskie jaja, mleko, ser i masło.

Świt odwiedzali też często moi znajomi – koleżanki i koledzy z Liceum Ogólnokształcącego w Tucholi. Mama piekła wtedy jakieś pyszne ciasto, którym się wszyscy zajadaliśmy, a po uczcie szliśmy na spacer do lasu, najczęściej do Piekietka. Jest to cudowne i znane uroczysko nad Brdą. Spadziste brzegi porasta stary las, a w dole szumi woda w rzece, płynąc pośród ogromnych głązów.

W Świcie było urokliwie i pięknie, ale codzienne życie niosło ze sobą również określone trudy i wyrzeczenia. Tato wstawał wcześniej, pomagał mamie w obrządkach,



Założa Nadleśnictwa Świt w Tucholi w 1948 r. Pierwszy od lewej siedzi leśniczy Leonard Karolewski



Polowanie w Świcie, ok. roku 1952. Drugi od lewej leśniczy Leonard Karolewski

jadł śniadanie i wyjeżdżał do pracy w Tucholi, najpierw rowerem, a po jakimś czasie motocyklem WFM. W sezonie wiosenno-jesiennym ja też jeździłam do szkoły rowerem, a zimą, kiedy warunki były trudne, mieszkałam w Tucholi na stacji. W przedmaturalnej klasie znalazłam nawet lokum w internacie. Liceum Ogólnokształcące miało zajęcia po południu, bo przed południem odbywały się lekcje Liceum Pedagogicznego. Nie zapomnę moich nocnych powrotów rowerem ze szkoły. Cztery kilometry pustą szosą na Koronowo, a potem jeszcze dwa, leśną drogą do leśniczówki. W jednym miejscu obok drogi było bagniste zagłębienie, gdzie zazwyczaj buszowały dziki. Wtedy mocniej naciskałam pedały i spocona wpadałam na nasze podwórko.

W Świcie przeżyliśmy też wielką tragedię. Było to w czerwcu 1947 roku. Mój brat Andrzejek miał wtedy pięć lat. Był mądrym, grzecznym dzieckiem, oczkiem w głowie mamy, gdyż poza nim były dwie córki – dwunastoletnia Halina i półroczna Wanda. Wtedy w czerwcu 1947 roku, chłopiec, który pasł nasze krowy, postanowił wybrać się rowerem na drugą stronę rzeki, gdzie w opuszczonym sadzie były smaczne jabłka. Na bagażnik zabrał Andrzejka. Gdy przejeżdżali przez prowizoryczny mostek nad Brdą, wąski i bez barierek, wpadli do rzeki. Nurt był tam szybki. Chłopiec uratował się, gdyż umiał pływać. Andrzejek utonął, choć tenże chłopiec wyciągnął go z wody na pobliskim zakolu rzeki. Na ratunek było za późno. Rozpacz rodziny była ogromna. Dla Taty była to chyba największa tragedia w życiu. Trzeba było jednak pozierać się i twardo wrócić do codziennych spraw i obowiązków.

Tak minęło sześć lat. W 1953 roku zdałam maturę i wybierałam się na studia ogrodnicze do Poznania. Nasz wychowawca, profesor Boiński, ostrzegał mnie – *Oj Halina, po co ty chcesz brudzić sobie rączki w ziemi.* I chyba wymówił to w złą godzinę, gdyż egzamin zdałam, ale z braku miejsc na ten wydział nie zostałam przyjęta. Tato doszedł do wniosku, że pora polepszyć warunki życia rodzinie i sobie. Teraz dojeżdżał co prawda do pracy motocyklem WFM, ale moje siostry miały właśnie pójść do szkoły, a ja musiałam gdzieś podjąć pracę.

REJON LASÓW PAŃSTWOWYCH WE WŁOCLAWKU

W tym czasie nastąpiła reorganizacja Lasów Państwowych. Dyrekcja pozostała w Toruniu, a w terenie utworzono nowe jednostki – Rejony Lasów Państwowych, które skupiały po kilka nadleśnictw. Tato zwrócił się do Dyrekcji z prośbą o przeniesienie, naświetlając własną sytuację rodzinną. Zaproponowano mu pracę w Rejonie Lasów Państwowych we Włocławku. Rodzice wybrali się na oględziny zaproponowanego miejsca pracy, a szczególnie warunków mieszkaniowych. Nie było tak urokliwie jak w Świcie, ale za to warunki zamieszkania były wspiane.

Biuro Rejonu mieściło się w budynku byłego nadleśnictwa, na skraju lasu, przy osiedlu domków rodzinnych. Po sąsiedzku biegła szosa z Włocławka do Brześcia



Pracownicy Rejonu Lasów Państwowych we Włocławku, rok ok. 1954. Pierwszy z prawej stoi leśniczy Leonard Karolewski, pośrodku siedzi dyrektor Jan Stetkiewicz

Kujawskiego. Do przystanku autobusu miejskiego było trzysta metrów. Obok głównego, okazałego budynku, w którym mieściły się biura Rejonu, były dwa mniejsze, z podwórkiem i ogrodem. Nam przypadł domek drewniany, ze stojącą obok stodołą i oborą, pokrytymi jeszcze strzechą. Mama nie była zbyt zachwycona, jednak atuty inne niż urok miejsca przeważały. Nastąpiła przeprowadzka i tak zamieszkaliśmy we Włocławku, w dzielnicy Łuba.

Od nowego roku szkolnego 1953/1954 moje siostry poszły do szkoły, oddalonej o kilometr od domu, a Ojciec i ja rozpoczęliśmy pracę w Rejonie Lasów Państwowych. Ostatecznie, cała rodzina była zadowolona z nowych warunków życia. Wszędzie było blisko – do pracy, do szkoły, na zakupy i do kościoła. Relacje z sąsiadami były bardzo dobre. Zakład pracy organizował wycieczki, wyjścia do kina. A najlepsze były zabawy sylwestrowe i karnawałowe. Tato bardzo je lubił, gdyż mógł potańczyć ze swoimi paniami – mamą i ze mną.

Tato był zadowolony z pracy. Dyrektorem Rejonu był Jan Stetkiewicz, jego kolega z czasów szkolnych i z lat okupacji. Wtedy, razem ze swoim synem Jurkiem, był częstym gościem w naszej leśniczówce Strębacznno. W albumie rodzinnym

pozostały fotografie z tamtych spotkań. Wówczas, w 1942 roku mego Tatę zabrano do wojska, a Jan Stetkiewicz trafił do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Teraz, we Włocławku, nasze rodziny zamieszkały obok siebie. Dyrektor z rodziną w budynku po nadleśnictwie. Syn Jurek był w moim wieku, a jego młodsi bracia w wieku moich sióstr. Dość często uczestniczyliśmy w spotkaniach rodzinnych i towarzyskich. Jan Stetkiewicz był wspaniałym dyrektorem i człowiekiem. Spokojny, zrównoważony, a w pracy, kiedy trzeba – wymagający.

W budynku Rejonu oprócz biur było duże mieszkanie, które zajmował główny księgowy Władysław Golusiński. Jego córka była moją przyjaciółką, najczęściej razem chodziliśmy do kina. Golusiński był moim dobrym szefem, w jego dziale pracowałam na stanowisku rachmistrza. Pracował tam również Michał Stetkiewicz – brat dyrektora i jego żona Wanda. W pracy panowała sympatyczna atmosfera, wszyscy żyliśmy w wielkiej komitywie.

Przy naszym domu we Włocławku mieliśmy duży ogród i piaszczyste podwórkę. Mama hodowała – jak zawsze – krowę, trzodę chlewną i kury, a Ojciec pomagał w obrządku. Po trzech latach pracy w Rejonie, rozpoczęłam studia na Wydziale Rolnym Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. Jednak wszystko co dobre, kiedyś się kończy. Nastąpiła kolejna reorganizacja w Lasach Państwowych.

NADLEŚNICTWO MIRADZ

W 1959 roku stwierdzono, że Rejony Lasów Państwowych się nie sprawdziły, a więc muszą ulec likwidacji. Ojcu zaproponowano pracę w Nadleśnictwie Miradz. Po zapoznaniu się z nowymi warunkami zamieszkania i pracy rodzice zdecydowali się na przeprowadzkę. Siedziba nadleśnictwa była pięknie położona pośród lasów. Obok stał ładny dom mieszkalny z ogrodem i podwórką. Tato otrzymał posesję leśniczego administracyjnego z pracą na miejscu. Pewnym utrudnieniem była odległość do najbliższego miasta Strzelna wynosząca pięć kilometrów. Jednak szkoła dla młodszych dzieci była bliżej, bo w oddalonej o dwa kilometry miejscowości Młyny. Moje siostry dojeżdżały tam rowerami. Po skończeniu podstawówki poszły do szkół średnich w Inowrocławiu i wtedy zamieszkały w internacie.

Jeszcze w 1947 roku Tato zapisał się do Polskiego Związku Łowieckiego, jednak do czasu podjęcia pracy w Miradzu praktycznie nie polował. Teraz sytuacja się zmieniła. W Miradzu były znakomite warunki dla myśliwych – rozległe łowiska leśne, a także kwatera myśliwska dla przyjezdnych. W każdą sobotę w sezonie łowieckim przyjeżdżali myśliwi z Torunia, Bydgoszczy i szeregu pomniejszych miejscowości. Byli wśród nich ludzie różnych zawodów, w dużej części profesjonalni i etyczni myśliwi, ale niestety także tacy, co zasady i regulaminy łowieckie mieli za nic. Byli w tym gronie milicjanci i „ubecy”. Mój Tato był na wskroś prawym człowiekiem i nie znosił „bandytyzmu” na polowaniach. Pewnego dnia naraził się owym „ubekom”, kategorycznie protestując przeciwko strzelaniu „do wszystkiego co żywe”. Wkrót-

ce po tej interwencji otrzymał wezwanie do stosownego urzędu, otrzymał nagane i został wyłączony z udziału w polowaniach.

Mama lubiła gościć myśliwych, którzy często przyjeżdżali do Miradza z żonami. Z niektórymi nawiązała bliższe znajomości i przyjaźnie. Naprzeciw naszego domu i podwórka, na skrzyżowaniu dróg, stała osada robotnicza otoczona lasem. W końcu lat 60. XX wieku postanowiono wybudować w tym miejscu hotel dla myśliwych. I tak wkrótce stanął piękny, okazały budynek – kwatery myśliwska, z której chyba do dziś korzystają amatorzy polowań.

Czas mijał, rodzicom i nam przybywało lat, siostry kończyły już szkołę średnią, powróciła myśl o polepszeniu warunków życia i ewentualnie dalszej edukacji i pracy dla dorastających dzieci.

NADLEŚNICTWO ŻOŁĘDOWO

W 1969 roku Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu zaproponowała Ojcu pracę na stanowisku leśniczego administracyjnego w Nadleśnictwie Żołędowo koło Bydgoszczy. Rodzice pojechali na nowe miejsce i... byli zachwyceni. Wieś ładna i duża, obok siedziby nadleśnictwa był kościół, szkoła, sklep i przystanek autobusowy z bezpośrednim dojazdem do Bydgoszczy. Budynek nadleśnictwa piękny i okazały, otoczony ogromnym parkiem. Połowę budynku zajmowały biura nadleśnictwa, a w drugiej połowie zamieszkiwały dwie rodziny pracownicze. Nasze mieszkanie było ładne i funkcjonalne. Były tam trzy pokoje, duża kuchnia i – co pierwszy raz zdarzyło się moim rodzicom – prawdziwa, przestronna łazienka z wanną, pralką, zimną i ciepłą wodą. Istny raj na ziemi!

Moje siostry dojeżdżały do pracy w Bydgoszczy. Starsza pracowała w Nadleśnictwie Bydgoszcz, młodsza była nauczycielką i dodatkowo studiowała. Rodzice mieli deputat rolny – kawałek pola i łąki. Pracowali na nim wspólnie, a w wolnym czasie i my pomagaliśmy rodzicom. W obórce była krowa, świnka i kury.

Ze względu na dogodny dojazd i dobre warunki mieszkaniowe często, zwłaszcza w czasie świąt, gościliśmy w naszym domu krewnych z Gniezna, Torunia i Bydgoszczy. Wtedy mama z córkami gotowały i piekły różne przysmaki. Mieliśmy też blisko do lasu, gdzie można było do woli wędrować i przebywać na łonie natury. W tym czasie odbyły się śluby moich sióstr. Wanda ślubowała w drewnianym kościółku w Żołędowie, oddalonym około dwieście metrów od domu, a wesele odbyło się w domu. Młodsza siostra Bogumiła miała ślub w bydgoskiej bazylice.

OSTATNIE LATA

Wszystkie córki Leonarda wyszły za mąż. Ja, po skończeniu studiów na SGGW w Warszawie, wzięłam ślub w Strzelnie w 1961 roku i niebawem wyjechalśmy z mężem na tzw. ziemie odzyskane. Zamieszkaliśmy w Legnicy, gdzie przebywam do dzisiaj.



Rodzina Karolewskich przed domem w Żołądowie w 1972 r. Najwyżej, pośrodku stoją Leonard i Zofia

Ojciec czuł się dobrze w Żołędowie. Pracę miał spokojną i rodzinę blisko. Na święta i część urlopu przyjeżdżał razem z mamą do Legnicy, gdzie mieszkałam z rodziną. Wnuki przebywały u nich przez całe miesiące. Jednak wszystko ma swój kres. Powoli zbliżał się czas emerytury. Ojciec obawiał się samotności i na starsze lata chciał być przy rodzinie którejś z córek. W tym czasie w Legnicy budowaliśmy wraz z mężem dom. Tato przeszedł na emeryturę z początkiem 1975 roku i kiedy nasz dom był ukończony, oboje z mamą przeprowadzili się do nas. Konieczność likwidacji dorobku całego życia i radykalna zmiana otoczenia były dla nich trudne. Z dużego mieszkania z gospodarstwem w Żołędowie przenosili się do dwóch niewielkich pokoi w Legnicy. Wbrew zasadzie, że „starych drzew się nie przesadza”, trzeba było zacząć życie w nowych warunkach.

Rodzice jednak szybko przyzwyczaili się do legnickich warunków. Tato zajął się ogrodem, nawiązał kontakt z miejscowym kołem Polskiego Związku Łowieckiego, bywał na polowaniach. Zawarł wiele nowych znajomości i żył też codziennymi sprawami swoich dzieci i wnuków. Razem z mamą jeździli do sanatorium, na wycieczki, odwiedzali rodzinę w innych częściach kraju. Zdrowie ojcu dopisywało, czasem tylko dotykały go przeziębienia. Toteż wielkim zaskoczeniem dla nas wszystkich było, gdy na jego ciele pojawiły się guzy. Lekarz stwierdził, że trzeba je przebadać i usunąć. Po operacji tato czuł się dobrze. Jeszcze w sierpniu odwiedził rodzinę w Gnieźnie. Z wyprawy wrócił zadowolony. Jednak już we wrześniu usłyszał wyrok – wyniki badań lekarskich wykazały rozwinięty w ostatnim stadium nowotwór oskrzeli. Zmarł w listopadzie 1982 roku.

Halina Brzezińska z domu Karolewska

Zdjęcia: archiwum rodziny Karolewskich



Eugeniusz Bicz (1900-1985)

Nadleśniczy EUGENIUSZ BICZ

(1900-1985)



ugeniusz Bicz, rocznik 1900, był uczestnikiem obrony Lwowa w latach 1918-1919 i wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku, absolwentem Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego i ostatnim przed wojną nadleśniczym Nadleśnictwa Osiek pod Toruniem. Okupację przeżył w Radomsku w Generalnej Guberni. Był członkiem Armii Krajowej. Po wojnie pracował na stanowisku nadleśniczego w Osieku i Konstancjewie, a następnie inspektora w Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu. Zmarł w 1985 roku.

Eugeniusz Bicz urodził się 14 października 1900 roku w Myślenicach niedaleko Krakowa, w zaborze austriackim. W wieku czterech lat stracił ojca Józefa. Matka Ludwika Bicz sama wychowała siedmioro dzieci. Już w okresie gimnazjum Eugeniusz był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej. Maturę zdał w 1918 r., w roku, w którym Polska odzyskała niepodległość. Nie był to jednak czas spokojny. Na kresach wschodnich wybuchła wojna polsko-ukraińska. Eugeniusz z grupą harcerzy pod przewodnictwem profesora Tadeusza Staniewskiego zgłosił się do walki o Lwów, zajęty przez wojska ukraińskie w listopadzie 1918 roku. Otrzymał później od generała Rozwadowskiego Odznakę Honorową „Orlęta” o numerze L.2523 – „Za dzielność i wierną służbę Ojczyźnie, ku pamięci przebytych bojów w obronie Lwowa i Kresów Wschodnich w latach 1918-1919”. Wkrótce, za udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Po powrocie z wojska podjął studia na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. Z uwagi na trudną sytuację finansową, jeszcze w trakcie nauki podjął pracę w Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu jako taksator, a później kierownik drużyny urzędzeniowej w Dziale Urządzenia Lasów. Podczas studiów zaprzyjaźnił się z dwoma kolegami z roku, późniejszymi profesorami Uniwersytetu Poznańskiego, Tadeuszem Perkitnym i Leonem Mroczkiewiczem. Przyjaźń ta przetrwała do końca życia.

NADLEŚNICTWO OSIEK

Po uzyskaniu dyplomu inżyniera leśnictwa w 1930 roku Bicz podjął pracę w Nadleśnictwie Durowo na stanowisku adiunkta leśnego. W 1934 roku objął funkcję nadleśniczego w Nadleśnictwie Osiek (obecnie teren Nadleśnictwo Cierpiszewo) pod Toruniem. Jego poprzednikiem w Osieku był kolega ze studiów inż. Stanisław Suchocki, którego postać prezentowano na łamach Biuletynu Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu nr 3 (43) z lipca-września 2007.

Eugeniusz Bicz przybył do Osieka jako kawaler. Tutaj sprowadził swoją matkę Ludwikę, która zajęła się domem. Wkrótce poznał Erykę Bieszkę, z którą postanowił związać dalsze życie. Ślub odbył się w Tczewie w 1936 r. Gośćmi weselnymi byli m.in. leśniczowie Nadleśnictwa Osiek. 2 lipca 1939 roku urodziła się córka Biczów, Maria. Ze współczesnych wspomnień Marii Bicz-Kubiатовicz, córki nadleśniczego wiemy, że Nadleśnictwo Osiek tętniło życiem towarzyskim. Relacje między pracownikami oparte były na zaufaniu i przyjaźni. W nadleśnictwie działało kilka organizacji, m.in. Związek Rezerwistów, Związek Zawodowy Leśników RP, Przysposobienie Wojskowe Leśników i Rodzina Leśnika. Państwo Biczowie darzyli serdecznością współpracowników, co nie zmieniało faktu, że nadleśniczy był osobą wymagającą, od siebie i podwładnych. W tym czasie, jak wspomina Pani Maria, rodzina Biczów utrzymywała bliskie kontakty m.in. z rodziną sekretarza nadleśnictwa Franciszka Mikołajczaka. Przyjaźń ta trwała jeszcze długo po wojnie.

Z zapamiętanych ciekawostek warto wspomnieć, że w Osieku wielokrotnie gościł znany artysta Leon Wyczółkowski. Z opowiadań córki nadleśniczego wynika, że tutaj mogły powstać niektóre jego dzieła, prace o tematyce przyrodniczej. Kolejna historia dotyczy 1935 roku. Po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego władze państwowe podjęły decyzję o usypaniu na krakowskim Sowińcu kopca w hołdzie Wodzowi. Lasy Państwowe organizowały pielgrzymki do Krakowa. Na Sowiniec dotarli leśnicy z Pomorza i Kujaw z urną wypełnioną ziemią z pomorskich lasów. Ziemia pochodziła z kilku historycznych miejsc w regionie, ale również - najprawdopodobniej za sprawą Eugeniusza Bicza - z Osieka. Upamiętnia ten fakt zachowana do dziś fotografia i jej opis na odwrocie wykonany własnoręcznie przez Bicza: *Ziemia z Osieka na kopiec w Sowińcu*. (zdjęcie na str. 363)

WOJNA, ARESZTOWANIE, WYSIEDLENIE

Pierwszego września 1939 roku Niemcy napadli na Polskę, wybuchła II wojna światowa. Zaczęły się aresztowania, więzienie, egzekucje Polaków. Rodzina Biczów musiała się ewakuować. Po agresji Związku Sowieckiego 17 września 1939 roku, powrócili do Osieka. W październiku 1939 roku Eugeniusz Bicz został aresztowany przez SS i uwięziony w Inowrocławiu. Jak później wspominał, przed śmiercią uchronił go Niemiec, który – jako przedstawiciel władz okupacyjnych – obejmował po nim nadleśnictwo. Eugeniusz Bicz przekazywał mu dokumentację. W marcu 1940 roku Biczowie zostali wysiedleni na teren Generalnej Guberni w okolicie Radomska. W Osieku pozostawili cały dobytek, zabrali jedynie najpotrzebniejsze rzeczy. Dzięki znajomości języka niemieckiego oboje znaleźli zatrudnienie w tamtejszej inspekcji lasów. Bicz został nadleśniczym nadzorującym lasy prywatne wokół Radomska.

Już w 1940 roku nadleśniczy wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, a później – po przekształceniu organizacji – do Armii Krajowej i pod pseudonimem Farys



Eugeniusz Bicz w mundurze żołnierza Wojska Polskiego z Krzyżem Walecznych, przyznany mu za udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r.



Oficjalne przekazanie Nadleśnictwa Osiek w 1934 r. Przekazujący – Stanisław Suchocki (w górnym rzędzie 1. z prawej), przejmujący – Eugeniusz Bicz (cywil, 2. z lewej), inspektor Franciszek Piasek (cywil w środku) oraz załoga nadleśnictwa



Narada terenowa załogi Nadleśnictwa Osiek w 1935 r. W jasnym płaszczu nadleśniczy Eugeniusz Bicz - sięga do szkatuły z ziemią z Puszczy Bydgoskiej przeznaczoną na kopiec marszałka Józefa Piłsudskiego na Sowińcu w Krakowie

brał czynny udział w działalności Sztabu Obwodu AK Radomsko. Pełnił funkcję kierownika Referatu Służby Ochrony Powstania. Współdziałał z oddziałami partyzanckimi w okolicach Radomska. Do AK wstąpiła również jego żona Eryka, przyjmując pseudonim Irka. Dostarczała informacji dla wywiadu i pomagała w wyrabianiu partyzantom fałszywych kart zatrudnienia.

Z relacji Pani Marii Bicz-Kubiатовicz wiemy, że jednym ze znaczących zdarzeń rodzinnych z okresu okupacji było uzyskanie zwolnienia dziadka Leona Bieszke i jego dwóch synów z obozu niemieckiego w Gniewie. Do umieszczonego na dokumencie administracji niemieckiej zdania: *Zostaje zwolniony Leon Bieszke*, Eryka Bicz dopisała słowa: *z dwoma synami* („mit zwei Söhnen”). Było to ogromnie ryzykowne posunięcie, jednak się opłaciło, bo Niemcy wypuścili z obozu całą trójkę. Ojciec Eryki, Leon zamieszkał wraz z nimi w Radomsku. Pięcioletnia wówczas Maria, córka Biczów, pamięta jak w końcowym etapie wojny, do ich mieszkania w Radomsku weszło kilku żołnierzy sowieckich. Zabrali między innymi buty, ciepłe ubrania oraz zegarek. Tak wyglądało to swoiste „wyzwolenie”.

Pobyt na wysiedleniu dobiegł końca, Biczowie postanowili powrócić do ostatniego przed wojną miejsca zamieszkania i pracy, do Osieka. Za patriotyczną posta-



Eryka i Eugeniusz Biczowie oraz pani Budniakowa w Radomsku, w latach okupacji niemieckiej, ok. 1943 r.

wę i zasługi wojenne Eugeniusz Bicz został odznaczony m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Medalem Wojska i Krzyżem Armii Krajowej.

POWRÓT DO OSIEKA

Po zakończeniu niemieckiej okupacji w 1945 roku rodzina Biczów udała się do Osieka. Podróż odbyła się w towarowym wagonie, w ciężkich warunkach i w ogromnym tłoku. Po dotarciu na miejsce, nie zastali już niemieckiego nadleśniczego. Nie tylko on, ale cała niemiecka administracja w popłochu opuściła Osiek. W nadleśnictwie pozostało tylko dwoje młodych Niemców należących do służby, którym Eugeniusz Bicz zaproponował zatrudnienie. Niemka miała pomagać w opiece nad małą Marią, a mężczyzna w pracach gospodarczych. Niedługo jednak i oni uciekli. Większość mebli, które znajdowały się w domu nadleśniczego została wywieziona; udało się odzyskać tylko niewielką część wyposażenia gabinetu służbowego.

Z dniem 19 lutego 1945 roku Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu powierzyła Eugeniuszowi Biczowi pełnienie obowiązków nadleśniczego Nadleśnictwa Państwowego Osiek. Zaczął się nowy, powojenny etap życia rodziny Biczów. Teść nadleśniczego, Leon Bieszke zajmował się gospodarstwem i był szanowaną postacią w Osieku. Córka Maria podjęła edukację w miejscowej szkole podstawowej. Jak wspomina, nie czuła się tam dobrze, bo dokuczali jej inni uczniowie. Być może dlatego, że była córką przedwojennego nadleśniczego, a szły już inne czasy. W nowej ludowej rzeczywistości przyszło nadleśniczemu praktycznie od podstaw organizować pracę nadleśnictwa. Brakowało niemal wszystkiego, poczynając od fachowego personelu, po zwykły papier do korespondencji. Do tego ostatniego celu wykorzystywano pozostawione formularze z niemieckimi nadrukami na odwrocie. Nowo obsadzani na stanowiska leśniczych pracownicy, po pewnym czasie otrzymywali zwykle nakaz pracy na tzw. ziemiach odzyskanych. Wielokrotnie nadleśniczy interweniował u zwierzchników o pozostawienie ich na dotychczasowym stanowisku lub o pilne przydzielenie nowych pracowników.

Tymczasem, rodzina Biczów powiększyła się. 13 września 1946 roku urodził się syn Andrzej.

NADLEŚNICTWO KONSTANCJEWÓ

W 1947 roku Eugeniusz Bicz został przeniesiony na stanowisko nadleśniczego Nadleśnictwa Konstancjewe niedaleko Golubia-Dobrzynia. Miał tam być lepszy dostęp do edukacji, co okazało się jednak złudne. W rezultacie córkę Marię wysłano do rodziny w Krakowie i tam uczęszczała do szkoły.

Stanowisko nadleśniczego było wówczas już bardzo słabo opłacane. Tylko dzięki gospodarstwu na przyznanym deputacie rolnym i dzięki myślistwu udawało się podreperować domowy budżet. Na przykład za odstawienie do skupu upolowanego jelenia, myśliwy otrzymywał niewiele mniej niż miesięczne uposażenie



Rodzina Biczów, od lewej: Andrzej, Eryka, Eugeniusz i Maria pod koniec lat 60. ub. w.

nadleśniczego. Do obowiązków kierownika jednostki należało m.in. organizowanie polowań dla partyjnych działaczy i innych prominentów. Eugeniusz Bicz do partii komunistycznej nigdy nie wstąpił, co życia jemu i rodzinie nie ułatwiało.

W 1955 roku podczas przejazdu służbowego motocyklem nadleśniczy uległ poważnemu wypadkowi. W wyniku zderzenia z ciągnikiem doznał uszkodzenia stawu biodrowego i kolana. Od tego czasu konieczny był częsty kontakt z lekarzem specjalistą. W Konstancjewie nie było to możliwe. Wystąpił zatem do Dyrekcji z prośbą o przeniesienie do Poznania, argumentując dodatkowo zamiarem kształcenia córki Marii na Akademii Medycznej. Przełożeni przychylni się do prośby.

W POZNANIU

W Okręgowym Zarządzie Lasów Państwowych w Poznaniu Eugeniusz Bicz pracował początkowo na stanowisku głównego inżyniera ds. zagospodarowania lasu, a następnie na stanowisku starszego inspektora, aż do przejścia na emeryturę w wieku 70 lat.

Przez cały okres pracy zawodowej Eugeniusz Bicz brał czynny udział w życiu społecznym. Działał m.in. w Polskim Towarzystwie Leśnym, w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa, a także w organizacjach kombatanckich. Zmarł 24 grudnia 1985 roku i został pochowany na Cmentarzu Górczyńskim w Poznaniu.

Andrzej Szafkowski

Zdjęcia: archiwum rodzinne Marii Bicz-Kubiатовicz

Podziękowanie

Autor składa serdeczne podziękowanie Pani Marii Bicz-Kubiатовicz i Panu Andrzejowi Biczowi za podzielenie się wspomnieniami o swoim ojcu, Eugeniuszu Biczu oraz za udostępnienie zdjęć i innych dokumentów z rodzinnego archiwum.

Źródła:

Maria Bicz Kubiатовicz, *To co było i to co jest*, Poznań 2017.

Maria Bicz Kubiатовicz, *Patrząc na lata minione*, Poznań 2017.

Jan Podkanowicz, Florian Budniak, *Wspomnienie o mgr. inż. Eugeniuszu Biczu*, „Sylwan”, nr 9 z 1990 r.

Akta osobowe inż. Bicza Eugeniusza, Archiwum Nadleśnictwa Cierpiszewo.

Akta osobowe Eugeniusza Bicza, Archiwum RDLP w Toruniu.

Biuletyn Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, nr 3 (43) z 2007 r.

Echa Leśne, nr 37 z 1935 r., *Lasy Pomorskie w hołdzie Wodzowi*.

Rozmowy z Marią Bicz-Kubiатовicz i Andrzejem Biczem, córką i synem nadleśniczego Eugeniusza Bicza, w czasie ich wizyty w Nadleśnictwie Cierpiszewo, w sierpniu 2018 r.



Józef Mazgaj (1926-2014)

Leśniczy JÓZEF MAZGAJ

(1926-2014)



Józef Mazgaj urodził się na ziemi tarnowskiej. Wojna przerwała jego edukację, ale zaraz też wciągnęła młodego chłopaka w struktury polskiego ruchu niepodległościowego. Pierwszą szkołę dyscypliny przeszedł w szeregach Armii Krajowej. Już po wojnie, z wyroku zbrodniczego, komunistycznego sądu zginął jego dowódca Władysław Pilch ps. Szary. Z trudem, ale też z pasją Pan Józef zdobywał szlify i doświadczenie leśnika pracując 27 lat na stanowisku leśniczego w leśnictwach: Biskupice, Boruta i Borek. Przez ponad 60 lat towarzyszem jego życia była żona Adelajda. Na rentę inwalidzką Pan Józef przeszedł w 1980 roku. Jego dzieło w Lasach Państwowych kontynuują dzisiaj: syn, zięć i kilkoro wnuków.

Józef Mazgaj urodził się w 1926 roku w Gwoźdźcu, niewielkiej wsi położonej niedaleko Zakliczyna w powiecie tarnowskim w Małopolsce. Tam uczęszczał do szkoły powszechnej aż do wybuchu II wojny światowej, kiedy Niemcy szkołę zamknęli.

Ojciec Pana Józefa, Wincenty Mazgaj jeszcze pod zaborami służył w armii austriackiej, walczył jako oficer na froncie włoskim. Jednak, gdy cesarz wysłał go na front wschodni do walki z armią rosyjską, w której służyło wówczas wielu Polaków zaciąganych do służby przez zaborcę, odmówił udziału w bratobójczej wojnie. Zdezercerował, bo tak rozumiał patriotyzm. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości otrzymał zatrudnienie jako dróżnik drogowy. Gwarantowało to nieduży, ale pewny dochód, który wraz z pożytkami zebranymi z hektara pola uprawnego, pozwalała na skromne utrzymanie sporej rodziny. Pan Józef miał trzy siostry i dwóch braci.

W szkole w Gwoźdźcu uczyło dwoje nauczycieli: Polak z Tarnowa i Ukrainka, która przybyła ze wschodu. Kładli oni duży nacisk na wychowanie patriotyczne swoich podopiecznych. Pan Józef opowiadał, jak kilka razy do roku uczestniczył w różnych podniosłych uroczystościach. Najbardziej utkwili mu w pamięci odwiedziny mogił żołnierzy poległych w I wojnie światowej. Nieopodal Gwoźdźca rozegrała się wówczas duża i niezwykle krwawa bitwa między Rosjanami i Austriakami. Setki żołnierzy zginęło i zostało na miejscu pochowanych w mogiłach zbiorowych. Cmentarz ten istnieje do dziś.

Przyroda pociągała Józefa od najmłodszych lat. Wspominał, że w okolicach Świąt Wielkanocnych, podczas tradycyjnego święcenia pól uprawnych, miał szczęście znajdować zajączka, którym później się opiekował, wykarmił i w końcu wypuszczał na wolność. Okolice były górzyste, a jednak mało zalesione, gdyż każdy bardziej płaski kawałek ziemi był pod uprawą rolną. Niewielkie enklawy leśne były w zarządzie dworu i kościoła.

WYBUCHŁA WOJNA

Wojna zaczęła się w Gwoźdźcu już 30 sierpnia 1939 roku. Pobliska Słowacja była od roku pod okupacją niemiecką i stamtąd nadleciał samolot z czarnym krzyżem zrzucając niecelnie bomby na most na Dunajcu. Czego nie zrobili Niemcy, nazajutrz wykonało Wojsko Polskie wysadzając most, aby zatrzymać spodziewaną agresję. Nie na wiele to się zdało. 1 września do Gwoźdźca wjechały niemieckie czołgi i wkroczyło wojsko. Ostrzał stanowisk wojska polskiego trwał niecałą dobę. Po czym Polacy wycofali się.

W październiku 1939 roku Niemcy zajęli we wsi wszystkie budynki państwowe, w tym szkołę, w której urządzili sobie kwaterę. W krótkim czasie zaprowadzili porządek okupacyjny, w którym najbardziej dotkliwe były obowiązkowe dostawy żywności i produktów rolnych. Gospodarstwa chłopskie w tym regionie były na ogół małe i biedne, a rodziny liczne. Za dostarczone produkty można było dostać trochę chleba, skóry na zelówki do butów, kilka „górali” – takiej nic nie wartej waluty okupacyjnej, a najwięcej wódki.

Co ciekawe, od 1 września 1941 roku Niemcy uruchomili w budynku szkolnym – Szkołę Rolniczą z polskim językiem nauczania. Miała ona przygotować wykwalifikowanych rolników na potrzeby III Rzeszy. Pan Józef wraz z trzydziestką innych chłopców uczęszczał na zajęcia i co najważniejsze otrzymał legitymację, która później kilkakrotnie ratowała go z opresji, gdy legitymowali go Niemcy. Po roku wydano uczniom świadectwa i szkołę zamknięto.

W KONSPIRACJI

Do Związku Walki Zbrojnej – mówił Pan Józef – zwerbował mnie, pod koniec 1941 roku, sierżant Jakub Niemiec ps. Grom. Pochodził z Gdańska, ale ożenił się w Gwoźdźcu i tu przebywał w czasie wojny. Oprócz mnie do organizacji wstąpiło w tym czasie jeszcze kilku chłopców z okolicy. Uczestniczyliśmy w szkoleniach z zakresu konspiracji, dywersji, obchodzenia się z bronią. Szczególny nacisk położono na zachowanie tajemnicy. Broni na razie nie otrzymałem.

Po kilku miesiącach wezwali Pana Józefa do odległego o siedem kilometrów Zakliczyna. Mieściła się tam placówka Armii Krajowej (po 14 lutego 1942 r.). Dowódcą był por. Kazimierz Styryna ps. Sławomir, nauczyciel z Nowego Sącza. Wraz z grupą młodych ludzi, nazywanych już teraz przez porucznika żołnierzami, złożył przysięgę:

W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak męki i zbawienia, i przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił – aż do ofiary mego życia.

Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomie dochowam cokolwiek by mnie spotkać mnie miało.

Dowódca odpowiedział:

Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy Armii Polskiej, walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią.

Józef Mazgaj otrzymał pseudonim Twardy i został łącznikiem w strukturach placówki AK Zośka w Zakliczynie. Miał świetny słuch i sokoli wzrok, bez lornetki widział dalej i więcej niż inni. Został przydzielony do plutonu st. sierż. Władysława Pilcha ps. Szary. Jako łącznik-zwiadowca przenosił materiały konspiracyjne do różnych osób wskazanych przez dowódcę. Oprócz tego z dwoma kolegami z organizacji uczestniczył w zdobywaniu amunicji z niemieckich magazynów. Kilkakrotnie ocierali się o śmierć, jednak póki co wszystko kończyło się szczęśliwie, z wyjątkiem rany na nodze spowodowanej odłamkiem granatu rzuconego przez niemieckiego strażnika, podczas jednej z nocnych wypraw.

CIEŻKIE CZASY

Niezwykłe ciężki dla mieszkańców Gwoźdźca i okolicy był rok 1942. Grad zniszczył zboża, zbiory były skromne, Niemcy grozili wywózkami do obozów koncentracyjnych. Rodzina Mazgajów, podobnie jak inne, przymierała głodem. Wybuchła epidemia czerwonki, która spowodowała śmierć 45 mieszkańców Gwoźdźca, w tym Kazimierza – młodszego brata Pana Józefa. On sam też ciężko chorował. Ledwie się wybronił od czerwonki, a już zapadł na ostre zapalenie stawów. Kilka tygodni przeleżał bez ruchu, po czym od nowa musiał uczyć się chodzić. Zima była wyjątkowo ciężka, ludzie niedożywieni. Łatwo zapadali na choroby. Wiosną 1943 roku zmarł na zapalenie płuc ojciec Wincenty. Miał 56 lat. Gospodarstwo i utrzymanie rodziny spadło wówczas na matkę i Józefa.

BITWA POD JAMNĄ

Największą akcją zbrojną, w której wziął udział osiemnastoletni wówczas Józef Mazgaj, była bitwa partyzancka z Niemcami pod Jamną. Oto krótka relacja tego dramatycznego wydarzenia opisana dzisiaj – na podstawie źródeł historycznych – na stronie internetowej www.zakliczyn.w.interia.pl.

W okolicach Jamnej znajduje się lesiste wzgórze położone pomiędzy Wisłoką a Dunajcem, poprzecinane gęstymi parowami i wąwozami. Tereny te stwarzały dogodne warunki do działań partyzanckich w okresie II wojny światowej. W tych to właśnie rejonach działał od lipca do listopada 1944 roku 1 batalion partyzancki 16 pp Armii Krajowej pod dowództwem kpt. Eugeniusza Borowskiego „Leliwy” – batalion „Barbara” Kapitan „Leliwa” organizował wypady i zasadzki leśne na oddziały Wehrmachtu i policji, celem zdobycia uzbrojenia. Niemcy wielokrotnie próbowali otoczyć partyzantów w lasach i zniszczyć ich, ale bez powodzenia. 12 września 1944 roku dwa bataliony 14 dywizji SS-Galicja, złożone z Ukraińców, otoczyły batalion

Kapral Józef Mazgaj ps. Twardy.
Rok 1945



Kapitan „Leliwa” z grupą partyzantów. Trzeci od prawej kapral Józef Mazgaj. Rok 1944

Barbara na Suchej Górze, ale wyszedł on zwycięsko z tej zasadzki, nie ponosząc strat, przebijając się szturmem przez niemiecki pierścień okrążający.

Po tej walce batalion Barbara zatrzymał się w okolicy Jamnej. Dowództwo zakwaterowało się w małym budynku wiejskiej szkoły, położonej na wzgórzu, skąd dobrze widać było okolice. Wieś Jamna w tym czasie zmieniała się w obozowisko pełne partyzantów (około 600) i koni.

25 września 1944 roku, tuż przed świtem, oddziały 14 dywizji SS-Galicja otoczyły obozowisko partyzanckie w Jamnej. Partyzanci obserwowali ruchy wojsk niemieckich i aby uniknąć otwartej walki z przeważającymi siłami niemieckimi (ok. 4000), wycofali się na sąsiednie zalesione wzgórza, stwarzające dogodniejsze warunki do obrony. Po zaciętej i morderczej walce, partyzantom udało się znaleźć lukę w nieprzyjacielskim pierścieniu. Tędy wyprowadzono prawie pół tysiąca ludzi, między dwoma posterunkami niemieckich karabinów maszynowych. Rano hitlerowski kocioł okazał się pusty, a na pobojowisku było ponad 100 zabitych i rannych esesmanów. Bolesne i dotkliwe były również straty partyzantów, ale niewspółmiernie mniejsze. Mimo znacznej dysproporcji sił, partyzanci wyszli z groźnego okrążenia, odnosząc zdecydowane zwycięstwo i zachowując nadal siły oraz wole walki z wrogiem. W czasie tych walk hitlerowcy za pomoc partyzantom spacyfikowali Jamną. Wieś płonąła przez całą noc z 25 na 26 września. Zginęło w tym czasie 57 osób.

Tyle relacja z internetu znajduje potwierdzenie we wspomnieniach uczestników tamtych walk. Kilka tygodni po bitwie, w końcu października 1944 roku ostatni oddział partyzancki batalionu AK Barbara został rozwiązany. Zbliżała się zima, żołnierze w większości wyszli z lasu do rodzinnych domów.

UCIECZKA PRZED BEZPIEKĄ

W styczniu 1945 roku przeszedł front, Polskę zajmowali Rosjanie. Zaczynała się nowa okupacja. Dowódca plutonu Władysław Pilch ps. Szary podjął próbę odbudowania swojej grupy partyzanckiej. Pan Józef brał udział w kilku akcjach przejmowania broni, której było sporo wśród miejscowej ludności po przejściu frontu. W tym czasie NKWD tworzyło już placówki milicji. Werbowali młodych ludzi, których szkolili do zwalczania polskiego podziemia niepodległościowego, m.in. wychwytywania byłych żołnierzy Armii Krajowej, nazywanych teraz przez nową władzę „zapłutymi kartami reakcji” i oskarżanych kłamliwie o współpracę z Niemcami. Z miesiąca na miesiąc coraz aktywniej działał komunistyczny Urząd Bezpieczeństwa.

W marcu 1946 roku UB przeprowadziło akcję aresztowania mieszkańców Gwoźdźca i okolicznych miejscowości, o których mieli już informacje, że działali bądź współpracowali z Armią Krajową. Gdy podjechali pod dom Mazgajów, Pan Józef wraz z kolegą z sąsiedztwa starali się umknąć do lasu. Ubecy zorientowali się i mimo znacznej już odległości z dwóch karabinów maszynowych strzelali

w kierunku uciekających. Pociski rozbryzgiwały ziemię obok uciekinierów, aż znikli z pola widzenia swoich oprawców. Wyszli z ostrzału bez szwanku. Tego samego dnia strzelano też do uciekającego Władysława Pilcha w sąsiedniej wsi. Od tej chwili wszyscy oni byli spaleni w swoich rodzinnych miejscowościach. Pan Józef przez dwa miesiące ukrywał się u znajomych, po czym wyjechał na Ziemię Odzyskane. W maju 1946 roku podjął pracę jako ekspedient w Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Bystrzycy Kłodzkiej.

ŚMIERĆ „SZAREGO”

Jeszcze jesienią 1946 roku Pan Józef otrzymał pracę w Zarządzie Tartaków w Bystrzycy Kłodzkiej i tamże małe mieszkanie na poddaszu. Pamięta, że codziennością w życiu miasta były ciągłe manewry, nocne naloty i aresztowania Urzędu Bezpieczeństwa. W strukturach tego Urzędu Polacy byli najwyżej w stopniu kapitana, wyżsi dowódcy to byli funkcjonariusze sowieckiego NKWD. Pewnej listopadowej nocy w mieszkaniu Józefa pojawiła się grupa UB i gruntownie przewróciła cały dom. Oficer przeprowadził przesłuchanie i rewizję osobistą. Na odchodnym odgrażał się, że „my jeszcze się spotkamy”. Ubecy odwiedzali też kilkakrotnie dom rodzinny w Gwoźdźcu, ale niczego nie mogli się dowiedzieć od matki o Józefie i w końcu dali spokój.

Tymczasem, losy Władysława Pilcha „Szarego” i grupy jego kolegów z oddziału partyzanckiego potoczyły się tragicznie. Nie było dla nich miejsca w nowej rzeczywistości. Musieli się ukrywać, UB stale deptało im po piętach. „Szary” trzykrotnie odwiedzał Pana Józefa w Bystrzycy Kłodzkiej. Było to niezwykle ryzykowne, gdyż UB interesowało się tym mieszkaniem, a ponadto miało swoich współpracowników w otoczeniu zawodowym Józefa. Pilch czynił starania by przejść zieloną granicę i uciec przed ubecją na Zachód. Wydał go jeden ze znajomych, niejaki Boksa, który poszedł na współpracę z nową władzą. Wystawił im jeszcze kilku ludzi z podziemia. Głośny proces polityczny, prowadzony przez osławionego zbrodniarza sądowego Juliana Polan-Haraschina¹, w którym maltretowano fizycznie byłych żołnierzy AK, zakończył się w grudniu 1947 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Krakowie, trzema wyrokami śmierci i trzema wyrokami długoletniego więzienia. Zamordowani zostali Władysław Pilch, Adam Stoga i Józef Pater. Spoczywają w jednej mogile na Cmentarzu Rakowickim.

MAŁA STABILIZACJA

Pan Józef podjął wkrótce naukę w Średniej Szkole Zawodowej o profilu handlowym. W 1947 roku zatrudnił się na stanowisku sekretarza w Nadleśnictwie Bystrzyca Kłodzka. Nadleśniczym był tam przedwojenny inżynier Kolczyński. To był starszy sympatyczny leśnik, chyba gdzieś z Kresów. Wkrótce przeszedł na emeryturę, a nadleśniczym – zaraz po odbyciu kursu dla nadleśniczych i już z nadania partyjnego – został Jerzy Kuczyński.



Grupa pracowników Zarządu Tartaków w Bystrzycy Kłodzkiej. Z prawej (w mundurze) stoi Józef Mazgaj. Rok 1947

W 1950 roku Pan Józef ożenił się z Adelajdą. Podjął pracę w Państwowym Ośrodku Szkoleniowym w Woliborzu, a po jego likwidacji w 1952 roku w sekretariacie Nadleśnictwa Głuchołazy. We wrześniu 1952 roku otrzymał długo oczekiwaną propozycję pracy w terenie, objęcia Leśnictwa Biskupice w Nadleśnictwie Rogalice, w granicach ówczesnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Opolu. Cały jego dobytek przewieziono koleją do stacji Rogalice, a dalej do leśniczówki, wozami.

Leśniczówka znajdowała się na końcu wioski Barucice. Dom ten zamieszkiwał w czasach niemieckich samotny nauczyciel. Teraz zamieszkała w nim rodzina Mazgajów – leśniczy z żoną Adelajdą i córką Ireną. Budynek mieszkalny i otoczenie były w przyzwoitym stanie. Najważniejsze, że w domu był prąd elektryczny. We wsi była szkoła podstawowa z czterema klasami, Ośrodek Zdrowia oddalony był o dziesięć kilometrów. Dawną leśniczówkę spalili Rosjanie. Zostały przy niej zabudowania gospodarcze, które po remoncie wykonanym staraniem własnym Józefa, nadawały się dla zwierząt gospodarskich. Dzieci przybywało, Pan Józef zakupił krowę i odtąd było już, co prawda bardzo chude, ale własne mleko, a za jakiś czas i cielak.

LEŚNICTWO BISKUPICE (1952-1958)

W 1953 roku podzielono nadleśnictwo na dwa mniejsze: Rogalice i Lubsza. Leśnictwo Biskupice podlegało pod Lubszę, gdzie nadleśniczym był Kocel. Dwa lata



Ślub Adelajdy i Józefa Mazgajów (siedzą w środku). 6 listopada 1950 r. w Szymiszowie k. Opola

później nastąpił kolejny eksperyment – łączenie dwóch leśnictw w jedno z utworzeniem stanowiska leśniczego zespołowego. Ta funkcja przypadła Panu Józefowi, jednak kolega Setlak z przyłączonego Leśnictwa Wójcice, starszy już wiekiem człowiek, nie był zadowolony. Pan Józef widząc to zachował dawną niezależność terytorialną, tylko wypłaty robili wspólnie. Na szczęście po roku zrezygnowano z eksperymentu i wszystko wróciło do normy.

W tym czasie odnowiło się zapalenie stawu kolanowego. Pan Józef znalazł się w szpitalu, groziła mu amputacja nogi. Szczęśliwie trafił na lekarza, który właściwie rozpoznał chorobę i przy użyciu mocnych antybiotyków, o które było wówczas trudno, nogę uratowano. Pan Józef podjął naukę w Technikum Leśnym w Goraju, które ukończył w 1958 roku.

Przez długi czas Pan Józef starał się o broń myśliwską. Sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej niejaki Malinowski, leśniczy z awansu, nie wyraził na to zgody. Być może miał taki odgórnny nakaz. Potem był czas odwilży 1956 roku, kiedy zlikwidowano Urząd Bezpieczeństwa (w to miejsce powstała Służba Bezpieczeństwa), a do leśnictwa trafiła armia przypadkowych ludzi z Ludowego Wojska Polskiego, albo nawet z bezpieki. Tym ludziom, którzy byli na ogół funkcjonariuszami PZPR, pojęcia o lesie nie mieli, zaś arogancję i pociąg do alkoholu na ogół nieograniczony, trzeba było pomagać w sporządzaniu dokumentacji, takiej jak wypłaty, czy planowanie i wykonawstwo prac w leśnictwie.

W tym czasie nadarzyła się okazja, aby przejść na stanowisko leśniczego do korzystniej zlokalizowanej leśniczówki Boruta. Odchodził stamtąd dotychczasowy leśniczy inżynier Roch Karczewski. Nim to jednak nastąpiło, na terenie Leśnictwa Boruta miał miejsce przypadek kłusownictwa. Leśniczy Karczewski słysząc strzały w lesie zwołał do pomocy nadleśniczego inż. Karola Świątkowskiego i leśniczego Józefa Mazgaję. Broń miał tylko Karczewski. W trójkę naszli w lesie osobnika ze sztucerem. Sztucer zarekwirowali, po czym człowiek ten bez słowa poszedł w swoją stronę. Broń i meldunek złożono w Powiatowej Komendzie Milicji Obywatelskiej w Brzegu. Odbyły się cztery sprawy sądowe. Na żadnej z nich nie stawiał się oskarżony. Okazało się, że był nim... prezes Sądu Powiatowego w Brzegu. Wkrótce po tym incydencie nadleśniczy inż. Karol Świątkowski był zmuszony odejść z Nadleśnictwa Rogalice. Przeniósł się do Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Toruniu, gdzie objął stanowisko naczelnika. Leśniczy Roch Karczewski odszedł na leśniczego w zarządzie poznańskim LP.

Z Leśnictwa Biskupce Pan Józef dobrze wspomina brygadę robotników, złożoną z autochtonów, miejscowych Ślązaków. Bardzo dobrze i dokładnie pracowali. I chyba sam leśniczy zdobył ich zaufanie, bowiem gdy przeszedł do odległego Leśnictwa Boruta, brygada poszła za nim, mimo że do pracy w lesie dojeżdżali teraz codziennie pociągiem 40 kilometrów.



Leśniczy Leśnictwa Biskupice – Józef Mazgaj z żoną Adelajdą i córką Ireną. Rok 1953

LEŚNICTWO BORUTA (1958-1962)

Leśnictwo Boruta podlegało pod Nadleśnictwo Rogalice. Leśniczówka była po remoncie kapitalnym, był w niej prąd i telefon. Składała się z trzech pokoi, kuchni, łazienki, dużego korytarza i kancelarii. Do tego były budynki gospodarcze – stodoła i obora, deputat ziemi ornej i pastwisko. Leśniczówka była położona w lesie, do stacji kolejowej było półtora kilometra, a do szkoły dwa. Powierzchnia leśnictwa wynosiła 1300 ha, a zadania gospodarcze były spore: pozyskanie 6,5 tys. metrów sześciennych drewna, zalesienia i odnowienia po 20 hektarów, pielęgnacja 30 hektarów młodników, a trzebieże nastawione na pozyskanie kopalniaka, na który było wówczas ogromne zapotrzebowanie. Pan Józef miał do pomocy podleśniczego Edwarda Krausa i gajowego Stanisława Wawryszyna, sześciu stałych robotników i każdego roku 20-30 interwencyjnych przy odnowieniach, zalesieniach i pielęgnacji młodników. Generalnie jednak do prac w lesie trudno było zdobyć ludzi. Tereny niegdyś zamieszkałe przez ludność niemiecką opustoszały. Osiedlali się tu Polacy wypędzeni z Kresów, najczęściej młode małżeństwa z małymi dziećmi. Łatwiej o ręce do pracy było na południe od Boruty, gdzie pozostali na miejscu autochtoni Ślązacy. Przez dwa lata do prac interwencyjnych wysyłano czterdziestoosobową grupę kobiet odbywających karę więzienia w Brzegu. Przystosowano na ich pobyt baraki w Rogalicach, zakładając kraty i siatki. W drugim roku jedna z więźniarek uciekła z miejsca pracy. Po tym incydencie naczelnik więzienia wycofał się z umowy z nadleśnictwem i problem braku rąk do pracy w lesie powrócił na nowo.

ARMIA CZERWONA POLUJE

Leśnictwo Boruta obejmowało tereny leśne bogate w zwierzynę łowną. W tym czasie w Brzegu nad Odrą stacjonowała duża jednostka lotnicza Armii Czerwonej i jej przydzielono łowisko z lasami Boruty. Pan Józef miał już pozwolenie na broń myśliwską i od czasu do czasu robił z niej użytek. Jednej niedzieli, jeszcze na początku pracy w Leśnictwie Boruta wybrał się w obchód. Na granicy leśnictwa spotkał dwudziestoosobową grupę żołnierzy rosyjskich wyposażonych w broń myśliwską. Przywitał się i poprosił o zezwolenie na prowadzenie w tym terenie polowania. Wystąpił major i przedłożył dokument zwany „putiówką”, wydany przez Urząd Powiatowy w Opolu. Miał on postać rozkazu wyjazdu dla 20 żołdatów i zorganizowania polowania na terenie nadleśnictw Lubsza i Rogalice. I dalej wykaz gatunków zwierząt, które należy pozyskać. Wszystko się zgadzało, poza niedopełnieniem obowiązku uprzedniego zgłoszenia faktu polowania u miejscowego leśniczego. Ich łowczy zwany Onufrym obiecał, że to naprawią, a póki co zapraszają leśniczego do udziału w polowaniu. Tym razem leśniczy odmówił, ale już za tydzień zaprosili go do swojego Koła Łowieckiego, wyrobili legitymację, sami płacili składki i tak zaczęła się dla żołnierzy nauka reguł obowiązujących w Polskim Związku Łowieckim.

Początki były trudne, bowiem Rosjanie polowanie traktowali trochę jak linię frontu, kule gwizdały wzdłuż i w poprzek, a myśliwi dość dowolnie przemieszczali

się pomiędzy stanowiskami „pola bitwy”. Pan Józef oświadczył, że ma rodzinę, małe dzieci i jeszcze musi trochę pożyć. Albo piloci zastosują się do reguł obowiązujących w Polsce, albo on się wypisuje z koła łowieckiego. Poskutkowało. Na kolejnych polowaniach to leśniczy rozstawiał myśliwych, niczym ruski generał, a niepodporządkowanie się nowym zasadom oznaczało wykluczenie z polowania. Zapanował porządek. Natomiast podział łupów łowieckich odbywał się według modły rosyjskiej. Tusze dzielono na porcje stosownie do liczby uczestników polowania. Leśniczy otrzymywał swoją dolę jako pierwszy, reszta w drodze losowania. To było do przyjęcia. Pan Józef polował z kołem łowieckim Armii Czerwonej aż do odejścia z Leśnictwa Boruta, w końcu 1962 roku.

LEŚNICTWO BOREK (1962-1980)

Przypadki kłusownictwa urzędników państwowych na terenie Leśnictwa Boruta, stwierdzone przez leśniczego Józefa Mazgaja skomplikowały jego sytuację. Kłusownicy nie ponosili konsekwencji, natomiast – jako mocno ustawieni w układach partyjnych – pośrednio odgrażali się, że zrobią porządek z leśniczym. Pan Józef postanowił nie czekać na kłopoty. Nawiązał kontakt z inż. Karolem Świątkowskim, wtedy już naczelnikiem w Okręgowym Zarządzie Lasów Państwowych w Toruniu i wyraził chęć objęcia leśnictwa na terenie toruńskiego Zarządu. Wkrótce otrzymał ofertę kilku leśnictw. Wybrał Leśnictwo Borek w Nadleśnictwie Samostrzel (później Nakło, Wyrzysk i w końcu – Szubin).

Podróż dwoma samochodami Ośrodka Transportu Leśnego odbyła się w ostatnich, mroźnych dniach grudnia 1962 roku. Załadowano cały dobytek wraz z krową, świnia, kurami, sianem i workami kartofli. Podróż była niezwykle dramatyczna, warunki drogowe trudne, na zakręcie samochód wpadł w poślizg i uderzył w drzewo. Pan Józef był cały potłuczony, na szczęście dzieciom nic się nie stało. Pozostałą część drogi uszkodzony samochód musiał być holowany. Przez zbitą szybę w szoferce kierowca odmroził sobie twarz. Na miejsce dojechali o pierwszej w nocy.

Początki pracy w nowym leśnictwie były trudne. Panował chaos i spora dowolność, gdy chodzi o dysponowanie brygadą robotników, przypisanych do Leśnictwa Borek. Dopiero twarde rozmowy z miejscowym adiunktem uzdrowiły sytuację. Nadleśniczym w Samostrzelu był Stanisław Kowalski, który do emerytury miał już niewiele czasu i nie zawsze panował nad całym gospodarstwem leśnym. Dopiero, gdy przyszedł nowy nadleśniczy inż. Jan Kurek, znacznie wzrosła dyscyplina, porządek i zapał do pracy. To był energiczny człowiek. Niebawem ruszyły remonty osad i dróg leśnych. Wprowadzono też współzawodnictwo pracy, które przynajmniej w początkowym okresie stanowiło dodatkową motywację do inicjatyw własnych i aktywności pracowników. Pan Józef w latach 70. ubiegłego wieku zajmował czołowe miejsca wśród leśniczych OZLP Toruń. W tym czasie też kierowano do jego leśnictwa absolwentów technikum i wydziału leśnego

w celu odbycia stażu zawodowego. To było duże wyróżnienie i docenienie osiągnięć w pracy zawodowej leśniczego.

Warto podkreślić, że pobory leśników w okresie powojennym były stosunkowo niskie, praktycznie nie wystarczały na utrzymanie nawet małej rodziny. Pan Józef miał czworo dzieci, brakowało nawet na szkołę. Córki nie miały wyboru. Naukę na poziomie średnim kontynuowały w miejscowej Szkole Rolniczej w Samostrzelu. Tylko syn Józef junior mógł kształcić się poza domem, w Technikum Leśnym w Tucholi.

Rodziny leśników dorabiała w tym czasie prowadząc przydomowe (przyleśniczówkowe) gospodarstwo rolne. Pracownikom Lasów Państwowych przysługiwał deputat. Pan Józef miał półtora hektara ziemi ornej i hektar pastwiska. Pracowała w gospodarstwie cała rodzina, a z czasem do zbioru warzyw nawet najmowano pracowników. Dochody z gospodarstwa przewyższały wypłatę leśniczego. Nadwyżki siana skupowało miejscowe Państwowe Gospodarstwo Rolne. Tak uciulane pieniądze pozwoliły po jakimś czasie na zakup samochodu marki „Syrena”. Później dochody z pietruszki i ogórków wystarczyły na zakup działki budowlanej i rozpoczęcie budowy własnego domu. W latach PRL-u jakakolwiek budowa była ogromnie skomplikowana wobec powszechnego braku materiałów budowlanych, a właściwie wszystkiego.

KONIEC PRACY ZAWODOWEJ

Ciężkie przeżycia czasów wojny, późniejsze nawroty choroby zapalenia stawów, praca często na dwa etaty, i w lesie, i w gospodarstwie rolnym odbiły się na zdrowiu Pana Józefa. Nogi odmawiały posłuszeństwa, a w pracy terenowej dogłądanie lasu to jednak codzienność. Po kolejnych operacjach, pobytach w szpitalu, leczeniach, badaniach komisyjnych, z początkiem 1980 roku Pan Józef przeszedł na rentę inwalidzką, w wieku 54 lat. Tyle tylko, że niejako na pocieszenie jego Leśnictwo Borek przejmuje syn Józef junior i do chwili obecnej (2011 r.) nieprzerwanie kontynuuje dzieło Ojca.

Pan Józef nie zerwał kontaktu z lasem. Przez wiele lat będąc na rencie, później na emeryturze, działał w swoim Kole Łowieckim, prowadził pasiekę, odwiedzał „swój” las. Włączył się też w działalność utworzonego już w wolnej Polsce nakielskiego Koła Światowego Związku Armii Krajowej. Przez długie lata PRL-u musiał zachowywać ogromną dyskrecję i ukrywać swoje związki z wojennym podziemiem niepodległościowym. Musiał znosić oszczerstwa władzy ludowej, panoszenie się aparatczyków komunistycznej partii i takiej, czy innej bezpieki. Dopiero w latach 80. dwudziestego wieku przyznano mu pierwsze odznaczenia za udział w wojnie: Odznaka Syna Pułku (1982, 2000), Krzyż Partyzancki (1985), Krzyż Armii Krajowej (Londyn 1985) oraz kolejne awanse w stopniu wojskowym nadawane przez Prezydenta RP w latach 2000 (podporucznik), 2004 (porucznik) i 2008 (kapitan). Pan Józef otrzymał też szereg odznaczeń, wyróżnień i dyplomów za osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej.



Józef i Adelajda Mazgajowie. 15 września 2010 r. w Sadkach. Fot. Tadeusz Chrzanowski

POSTSCRIPTUM

Józef i Adelajda Mazgajowie mieli czworo dzieci, trzy córki i syna. Jedna córka wyszła za mąż za leśniczego Leśnictwa Mościska, Nadleśnictwo Kaczory na terenie dyrekcji pilskiej Lasów Państwowych (ich dzieci ukończyły już studia leśne), druga córka jest żoną leśnika pracującego w biurze nadleśnictwa, kolejna mieszka w Warszawie, zaś syn Józef junior jest leśniczym w Leśnictwie Borek w Nadleśnictwie Szubin (RDLP w Toruniu) – tym samym, gdzie przez 18 lat leśniczował Pan Józef senior (jego synowie ukończyli Technikum Leśne w Tucholi, jeden został informatykiem, drugi jest na studiach ekonomicznych). Dzisiaj, łącznie siedmioro dzieci i wnuków Pana Józefa pracuje w Lasach Państwowych.

W listopadzie 2010 roku Józef i Adelajda Mazgaj obchodzili 60-lecie zawarcia związku małżeńskiego. Na pytanie jak dzisiaj po latach wspomina swoją pracę w lesie, Pan Józef odpowiedział: *W lesie byłem służbistą, ale z lasu za darmo niczego nie wzięłem. Uczylem swoich praktykantów – pracuj zawsze tak, żebyś spokojnie spał.* I po chwili dodał: *Lubiłem swoją pracę. Las jest szczególnie piękny po deszczu, po burzy.*

Wspomnienia Józefa Mazgaja spisał: **Tadeusz Chrzanowski**

Sadki, 15 września 2010 roku

Zdjęcia: archiwum rodzinne Józefa Mazgaja

PS Leśniczy senior Józef Mazgaj zmarł 29 kwietnia 2014 roku i został pochowany na Cmentarzu Parafialnym w Sadkach. 23 lutego 2021 roku stanowisko leśniczego Leśnictwa Borek – po swoim ojcu Józefie (juniorze), który przeszedł na emeryturę, objął Radosław Mazgaj. Tym samym to już trzecie pokolenie Mazgajów gospodaruje lasami Leśnictwa Borek w Nadleśnictwie Szubin.

¹Julian Polan-Haraschin (1912-1984) – zastępca przewodniczącego Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie w latach 1946-1951, odpowiedzialny za wydawanie ponad 60 wyroków śmierci na żołnierzy podziemia niepodległościowego, podpułkownik Ludowego Wojska Polskiego. Rzekomo członek AK, rzekomo kapitan. Ochotniczo wstąpił do LWP od 7 grudnia 1945, powołany przez WKR Kraków-Miasto, w stopniu kapitana, na stanowisko sędziego WSO nr 5, od lutego 1946 do 2 marca 1951 pracował na stanowisku sędziego, a następnie zastępcy szefa WSR w Krakowie. Przeniesiony do rezerwy w 1951 z powodów politycznych. W roku 1958 został ponownie powołany na stanowisko sędziego. Do 1962 był pracownikiem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz kierownikiem katedry prawa Wojskowego Instytutu Prawniczego przy Wojskowej Akademii Politycznej. Skazany na więzienie za łapówki w latach 60.ub. wieku, po wyjściu z więzienia został płatnym donosicielem, zajmując się m.in. rozpracowywaniem kurii krakowskiej (m.in. donosy na biskupa Karola Wojtyłę), Wyższego Seminarium Duchownego i środowiska Radia Wolna Europa. Zadania te ułatwił mu zapewne fakt, że był mężem siostry kardynała Macharskiego (przyp. TaCh).

